PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BOG JEGO“ *Ps. 143.*

ROK XLIX. Tom 195.

LIPIEC — SIERPIEŃ — WRZESIEŃ

1932

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Wieszczby Mickiewicza.

I.

Ze wszystkich tytułów, jakie od stu przeszło lat nadawano, pod jakiemi czczono Mickiewicza w Polsce, miejsce przednie — i przez swą majestatyczność i przez częstotliwość — zajmował tytuł wieszcza. Wieszcz narodu, pierwszy z trójcy wieszczów, — toć to najpowszechniejsze określenia Mickiewicza.

Tytuł ten wszelako, w swoim czasie uroczysty i pełen żywej treści, wytarł się zbiegiem lat i zbanalizował w zbyt częstym obiegu, a dziś jest już niemal pospolitą, a prawdę mówiąc, nawet irytującą trochę oklepanką; kursuje jeszcze, ale raczej jak stara moneta, na której przy ciągłem przechodzeniu z rąk do rąk zatarł się już znak pierwszego tłoczenia i napis znaczący; maluczko, a zdewaluowana do ostateczności moneta wyjdzie z kursu i przepadnie w rupieciarni przeszłości.

Przejdzie zaś tam tem rychlej i przepadnie tem gruntowniej, im wcześniej i szerzej uprzytomni się nam ten fakt, że w uczuciowości narodu w nowym okresie jego dziejów ustala się nowy typ stosunku także do Mickiewicza. Gdy z jednej strony zmierzcha w dużym stopniu aktualność dzieł i wskazań polityczno-wychowawczych, przeróżnych wyzywów, krzepień i ukojeń, z drugiej równocześnie wyjaśnia się coraz pełniej i coraz żywszym urokiem pociąga nieśmiertelne piękno dzieł poetyckich, tudzież — bo i tego z oczu tracić nie należy — potężna, wgłąb i wszerz rozległa skala życia duchowego tego fenomenu w rodzie ludzkim, bogactwo czystego człowieczeństwa, przejawionego w nim, we wzlotach jego, a także w upadkach.

Powiedzieć można krótko: w uczuciowem ustosunkowaniu się nowego pokolenia do Mickiewicza na plan pierwszy wychodzi artysta i człowiek, i coraz bardziej zasłania opatrzoną oczom od tak dawna hieratyczną postać wieszcza.

Otóż zanim słowo to „wieszcz", a poniekąd i wyrażony w niem aspekt, odejdzie w mroki zapomnienia, chciałoby się raz jeszcze zajrzeć mu w twarz, odczytać jego autentyczne znaczenie i spytać o zasadność, uprzytomnić sobie, czem się tłumaczy jego tak długi, tak powszechny obieg i kurs tak wysoki. Czas na takie pytanie wydaje się obecnie właśnie jak najsposobniejszy.

Z wieszczb poetyckich Mickiewicza główna, o odzyskaniu niepodległości, już się spełniła. Nie w takim wprawdzie zakresie, o jakim mówiła przepowiednia. Orły polskie w swych lotach błyskawicowych nie spadły „na dawnej Chrobrego granicy", o wrogu wolności trudnoby też powiedzieć, że wydał już „ostatni krzyk boleści" i obwieścił światu swobodę w całym wymiarze. Niemniej dębowe wieńce na czołach żołnierzy naszych zaświadczyły już zwycięstwu i przywróconej potędze Polski. Stało się zadość tęsknotom pielgrzyma, dozwolone nam było szczęście uczestnictwa w nabożeństwie dziękczynnem, odprawionem „obyczajem przodków, na polu bitwy, z bronią w ręku, przed ołtarzem, zrobionym z bębnów i dział, pod baldachimem, zrobionym z orłów i chorągwi naszych".

To też dziś, po spełnionem proroctwie, przyjrzeć się możemy spokojnie i uważnie wszystkim wieszczbom poety, co rozjaśniały ojcom i dziadom naszym „długie, ciche narodowe noce", zważyć i te, co się ziściły, i te inne, mylne i złudne, rozeznać właściwy sens jednych i drugich. Dzisiaj właśnie można już wobec tych spraw zachować spokój i objektywizm iście naukowy.

II.

Stwierdźmy przedewszystkiem, że określenie: „wieszcz", „wieszczy" zjawia się w Polsce w odniesieniu do Mickiewicza bardzo wcześnie. Już w r. 1825 Mochnacki, cytując urywek *Ody do młodości*, nazywa ją płodem „wieszczego natchnienia"; a w dwa lata później tenże krytyk, mówiąc o *Dziadów*

cz. IV, podnosi, że „w czarującej harmonji rymów [tego poematu], w wezbraniu uczuć, w wylewie myśli poważnych i śmiałych, poznajemy natchnionego wieszcza". Tak więc na długo przed *Dziadów* cz. III, nawet przed *Wallenrodem*, określenie Mickiewicza mianem wieszcza było już rzeczą zwyczajną; miano to zdobył on pierwszemi zaraz dwoma wileńskiemi tomikami poezyj.

Mogłoby to nas dziwić, bo utwory tych tomików, ballady, *Grażyna*, ani nawet *Dziadów* cz. II i IV nie zawierają w sobie pierwiastków — według dzisiejszego potocznego znaczenia — profetycznych. To też czas zaznaczyć, że termin „wieszcz" miał naówczas, miał i w naszym także wypadku, znaczenie od dzisiejszego odmienne, oznaczał poprostu natchnionego poetę.

I w tem znaczeniu zresztą było to słowo nowe, niezwyczajne na forum literackiem. Natchnienie, pierwiastek boskiej podniety twórczej, wysoko cenili u nas humaniści; i dla nich poeta był to *vates*, ale ideałem poety był wtedy *vates doctus;* obok natchnienia, a właściwie nawet ponad nie, ceniono tam „szlachetne ćwiczenie", uczoność.[1]) Z biegiem lat „ćwiczenie" to otrzymywało zdecydowany prymat tak, że dla naszych klasyków stanisławowskich poeta to przedewszystkiem „rymotwórca", t. zn. pisarz, posiadający umiejętność wypowiadania się mową wiązaną, w najlepszym razie artysta, świadomie operujący swoją sprawnością zawodową. Szał twórczy nie był wtedy bynajmniej warunkiem integralnym tworzenia poetyckiego, poezji — według tego — można się było nauczyć, a zwłaszcza nauczyć się można było wzorowej poprawności formalnej, która dopiero nadawała indygenat poety.

Poetyka preromantyczna i romantyczna uprawniła w tworzeniu poetyckiem, owszem na czoło wysunęła, zasadę żywiołowości; oparła zaś ją przedewszystkiem na elementach genjalności, wybuchającej wulkanicznie z wrącego wnętrza psychiki. Rzecz jasna, że wartością główną stało się przytem nie ćwiczenie, nie sprawność doskonale opanowa-

---

[1]) Bruchnalski W., Pojęcie i znaczenie poezji u poetów polskich XVI w., *Eos*, VI 214.

nego rzemiosła poetyckiego, ale przyrodzone wyposażenie genjuszu, potęga twórcza z bożego nadania, właściwa niewielu tylko wybrańcom. Poeta, właśnie jak prorok, okazuje się wysłańcem, namiestnikiem bożym na ziemi, istotą do pewnego stopnia równą Bogu; jak Bóg tworzy on nowe światy własną mocą wyobraźni z niczego. Jak Bóg, *alter deus*. Symbolem tak pojętego poety staje się Prometeusz, rozdawca ognia niebieskiego, niosący życie i nieśmiertelność.[1])

Symbolika ta i zasób mieszczących się w niej pojęć, ustalona w Anglji, dzieło estetyka i myśliciela Shaftesbury'ego, przeszła triumfalnie przez Niemcy, wycisnęła piętno na pewnym okresie twórczości Goethego, a dotarłszy do Polski, padła na urodzajny grunt wileński. Wywody Shaftesbury'ego przyswoił sobie, streszczał i cytował estetyk niemiecki Sulzer w dziele *Allgemeine Theorie der schönen Künste*; ta encyklopedja estetyki znana była dobrze filomatom wileńskim, którzy przystąpili zbiorowo do jej tłumaczenia, a w pracy tej spora część przypadła także na Mickiewicza.

Sulzer szeroko uzasadnia wysokie pojęcie poety, jednostki wyższej ponad tłum ludzi, o wyjątkowem wyposażeniu w moce duchowe, w dar widzenia wyższych światów, wyższych prawd. „Z temi talentami — głosi krytyk — może się poeta uczynić prorokiem, nauczycielem i dobroczyńcą swego narodu, a nawet wszystkich ukształconych narodów; żadnemu bowiem z ludzi genjalnych nie jest tak łatwo jak poecie zasłużyć się rodzajowi ludzkiemu", mianowicie przez podnoszenie go na szczyty owych wyższych, w natchnieniu dojrzanych kształtów życia duchowego. W tem znaczeniu — cytuje Sulzer sąd Shaftesbury'ego, — poeta może być uznany za istotę wręcz odmienną od innych ludzi. „Denn ein solcher Dichter ist in der That ein anderer Schöpfer, ein wahrer Prometheus unter Juppiter", — poeta taki jest w istocie drugim Stwórcą, prawdziwym Prometeuszem pod Zeusem (I 610 n.). W myśl tego wywodził i uzasadniał krytyk historycznie, że nietylko poezję, ale i obyczajowość, porządek prawny i etyczny ludzkości stworzyli tacy właśnie wybrańcy boży, poeci-wieszczowie. Wskazywał dalej, że i dzisiejsi

[1]) Walzel O., *Das Prometheussymbol von Shaftesbury zu Goethe* (1910).

poeci tem skuteczniej wywiążą się ze swych zadań wodzostwa, im jaśniej uświadomią sobie swój charakter proroczy i im pełniej z siebie tę godność wydobędą, im śmielej będą sobą.

Takie to pojęcie poety i poezji stanowi podwalinę świadomości estetycznej młodego romantyzmu; przyjęte za aksjomat, stało się ono odrazu wspólną własnością twórców i krytyków nowego prądu. W myśl tego używano tam i nadużywano nowego określenia poety. Któż bo wówczas nie był wieszczem! Goszczyńskiego sam Mickiewicz nazwał „wieszczem kozackim", „wieszczem Miodoboru" był T. Zaborowski, „wieszczem czerwonoruskim" D. Magnuszewski, wieszczami tytułowano Witwickiego, Garczyńskiego, nie mówiąc o większych. Byli nawet tacy, co „wieszczem" nazywali poczciwego rymopisa, L. Kropińskiego. Ale oczywiście nie o te wyboczenia nam tu chodzi.

Ważne jest dla nas przedewszystkiem, że takie właśnie pojęcie roli i zadań poety-wieszcza leży także u fundamentów samowiedzy poetyckiej młodego Mickiewicza. Ujawnia się ono tam bardzo wcześnie. Kiedy (pod koniec 1820 r.) zdał on sobie sprawę z tego, że w chwilach wyjątkowych władają nim jakieś moce tajemnicze, nieznane mu ani z obserwacji u innych, ani z własnego potocznego doznania, że nachodzą nań momenty szczególniejszego wzmożenia czynności twórczej, kiedy to w nagłem olśnieniu jedną błyskawicą spojrzenia ogarnia nowe światy piękna i równocześnie z przedziwną łatwością znajduje dla nich pełnowartościowy wyraz poetycki, inaczej mówiąc, kiedy tylko zaznał boskiej radości natchnienia, — odrazu pojął je jako dywinację, jako władzę proroczą, przejaw współessencjonalności duszy poety twórczego z istotą Boga. Co zaś za tem idzie, nabrał on przeświadczenia, że pieśń, dzieło natchnione, mające rodowód transcendentalny, ma zarazem wartość nieprzemijającą, wieczystą, właśnie jak objawienie.

W *Hymnie na dzień Zwiastowania N. P. Marji*, stanowiącym obok *Ody do młodości* najwcześniejsze dzieło natchnienia o wysokiem napięciu potęgi, taki dał obraz twórcy i jego pieśni, godzien stanąć obok podobnego w W. Improwizacji, obraz, który jest równocześnie wyrazem jego własnej samowiedzy poetyckiej:

Oto na ziemię złożone czoła,
Oto wśród niemej bojaźnią czerni
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie...
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie,
A zagrzmię pieśnią, jaką Cheruby
Zagrzmią światu na skonanie...

A pieśni te

Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją.

Mówi tu poeta o sobie najwyraźniej jako o proroku, przejawie mocy bożych, zdolnym do ujęcia w słowa najwyższych tajemnic zaświata i do nadania tym słowom doskonałości nieśmiertelnej. Jednakowoż i tutaj także, w tym najwyższym przejawie samowiedzy wieszczej młodego Mickiewicza, z pojęciem poety-proroka nie kojarzy się jeszcze organicznie pojęcie wieszczenia, odsłaniania przyszłości. Poeta prorok pojęty tutaj został jeszcze w sensie sulzerowskim. Dwa te zakresy pojęć powiążą się dla Mickiewicza dopiero później, zaraz po r. 1831; właśnie w *Dziadów* cz. III znajdujemy pierwszy a zarazem najwspanialszy wyraz nowego pojęcia wieszcza. Tam to Konrad-poeta ma zarazem dar proroczy: o przyszłości „jak cygan gada", — jak to żartobliwie określają koledzy. Tam też dzieło sztuki, twór poezji staje się zarazem proroctwem w sensie absolutnym, mieści w sobie wyrażoną tajemnicę przyszłości mającej dopiero nadejść.

Tam też zarazem mieści się punkt zwrotny zagadnienia, dla duchowej struktury Mickiewicza najistotniejszego, czy mianowicie owa moc natchnienia, będącego zarazem olśnieniem proroczem, jest cechą ducha poety autonomiczną, czy też heteronomiczną, czy jest przejawem bożoczłowieczeństwa, czy też darem łaski Bożej. Przeświadczenie poety przytwierdziło, jak wiadomo,[1]) tę drugą alternatywę, czego wyrazem stała się postać ks. Piotra. Odtąd w pojęciach

[1]) Por. Biegański Wł., O filozofji Mickiewicza, *Przegl. Filozof.*, X (1907) 206.

Mickiewicza poeta staje się synonimem świętego; jest to człowiek, któryby sobie zasłużył na dar ustawicznego dopływu łaski natchnienia. Taki tylko — podkreśli to Mickiewicz jeszcze w Prelekcjach — przywrócić zdoła poezji właściwy charakter, jaki miała niegdyś, za proroków. W tym sensie przypadły mu tak do uznania słowa St. Martina, że nie należałoby pisać wierszy, nie dokonawszy wpierw cudu.

Tak bezprzykładnie wysokie pojęcie godności i odpowiedzialności poety, proroka z bożego naznaczenia, wieszcza, przezierającego nawskroś mroki przyszłości, onieśmieliło Mickiewicza wobec poezji, ale nie na zawsze. Kiedy po latach znowu go ogarną boże wichry entuzjazmu twórczego, sięgnie on po tak rozumiany tytuł z całą odwagą genjuszu. „Nie nazywajcie mnie krytykiem, — powie publicznie 3 maja 1842 r. — ale wieszczem; przyznaję się do tego charakteru, gdyż dzisiaj byłoby dla mnie zaniechaniem obowiązków, byłoby zbrodnią odrzucać go przez jakiekolwiek względy".

Widzimy zatem, że Mickiewicz od wczesnych po późne lata pojmował i głośno stwierdzał stanowisko swe w narodzie jako stanowisko poety-wieszcza, i to wieszcza w obojem znaczeniu: w owem pierwszem, sulzerowskiem, czasowem i węższem, ale i w drugiem, najpełniejszem i najwyższem.

III.

W czemże tedy szukać przyczyny, że sąd o mocach proroczych Mickiewicza, o darze wyższego widzenia, jasnowidzenia przyszłości, utrzymał się był tak długo w narodzie i — co równie ważne — że sam poeta z tej dziwnej mocy zdawał sobie sprawę, stwierdzał ją w sobie, niejednokrotnie dawał głośno jej świadectwo? Odpowiedź na to można dać tylko jedną. Najwyraźniej zachodziły faktycznie wypadki, subjektywnie i objektywnie potwierdzające tego rodzaju mniemanie, wypadki przedzierania przez poetę zasłony przyszłości w taki sposób, że późniejsza rzeczywistość potwierdziła kształty przewidziane. Te wypadki interesują nas tu przedewszystkiem.

Z biografji Mickiewicza możemy ich wynotować dosyć sporo, z różnego czasu i o różnym, by tak rzec, kalibrze.

Faktem jest przedewszystkiem, że Mickiewicz parokrotnie okazał dar przepowiadania wypadków przyszłych, przeważnie politycznych, na długo, zanim się one faktycznie wydarzyły. I tak np. w ostatnich dniach maja 1830 r. u arcybiskupa tarentyńskiego Capecelatro zapowiadał był bliski upadek starszej linji Burbonów we Francji. Obecna przy tem Anastazja Klustinówna w parę tygodni później w Genewie powitała go okrzykiem: „chwała prorokowi!", podając gazetę z wiadomościami o rewolucji lipcowej [1]). Podobnież o niechybnem nadejściu rewolucji lutowej, o detronizacji Ludwika Filipa opowiadał Mickiewicz S. Sobolewskiemu [2]) i Micheletowi [3]) jeszcze w r. 1847; potwierdzają to zresztą raporty paryskiej policji tajnéj, [4]) mówiące o nieprawomyślnych zapowiedziach Mickiewicza. Wyjeżdżając zaś w pierwszych dniach r. 1848 do Rzymu, spisał nawet Mickiewicz zapowiedź mających nadejść niebawem wydarzeń rewolucyjnych, zarazem zapowiedź powrotu Napoleonidów do władzy, i polecił jednemu z emigrantów, by po wybuchu zaburzeń wręczył list ten królowi Hieronimowi Bonaparte. [5])

Żeby sobie wytłumaczyć wypadki tego rodzaju trafnych przewidywań, nie trzeba się jeszcze uciekać do przypuszczania jakichś źródeł nadprzyrodzonych. Zwyczajna bystrość

---

[1]) Odyniec, *Listy z podróży*, IV 69 i n., 256 i n.

[2]) Mickiewicz Wł., *Żywot A. Mickiewicza*, III 476, relacja S. Gałęzowskiego.

[3]) Świadczy Krasiński w liście z dn. 6 lutego 1849 r., donosząc o wystąpieniu Micheleta na wykładzie. „Potem oświadczył wszystkim, że oddawna Mickiewicz przepowiedział był mu wszystko, co się ziściło 24 lutego" (*Listy do St. Małachowskiego*, str. 177). Słyszał zresztą Krasiński o tem od samego Mickiewicza; zob. Kallenbach J., *Towianizm na tle historycznem*, str. 115.

[4]) Mickiewicz Wł., *Żywot*, III 489; wyciąg z raportu policyjnego z dnia 20 grud. 1847 r.

[5]) Tamże, III 492; relacja Biergiela i A. Lévy'ego. — Dodajmy jeszcze jedną wiadomość. Na wiosnę r. 1848 w Rzymie zapowiadał Mickiewicz, że jeżeli inicjatywa do wielkiej przemiany nie wyjdzie z Rzymu, wtedy sprawa przeniesie się do Francji, a wszczęta tam rewolucja będzie krwawa; wówczas to „i Rzym, i arystokracja, i szlachta poginą". Wtedy też „Polak rządy nad Francją otrzyma" (zob. Kallenbach J., l. c., str. 120). Oczywiście przewidywał tu Mickiewicz jakąś rewolucję wcześniejszą, tego rodzaju jak rozruchy czerwcowe 1848 r., a nie komunę 1871.

spostrzegawcza, dobra orjentacja w kierunkach i natężeniach działających w społeczeństwie dążności, prosta umiejętność myślenia politycznego, mogłyby tu wystarczyć całkowicie.

Mogłyby, gdyby nie jedno; gdyby nie to, że nie wystarczały samemu Mickiewiczowi. Zaznaczyć bowiem musimy, że on sam najgłębiej był przekonany, iż te jego jasnowidzenia polityczne mają źródło nadprzyrodzone, są w pełnem znaczeniu tego słowa proroctwami. Pewnego razu w rozmowie z królem Hieronimem rozwijał on szczegółowo zapowiedź przyszłego wyniesienia Bonapartów. Kiedy zaś król, mając to za echa jakiejś przygotowującej się zmowy stronnictwa politycznego, odparł zmieszany, że to zapewne jakieś błędne pogłoski, Mickiewicz oświadczył mu krótko słowami Joanny d'Arc: Tam, skąd ja zaczerpnąłem tych wiadomości, nie mylą się nigdy.[1]) Najwyraźniej więc podkreślił on, że swą wiedzę przyszłości czerpie ze źródeł nadprzyrodzonych.

Jakie to źródła, kiedy i jakie z nich wytryskały strumienie, do tego zkolei spróbujmy dojść. Zaznaczmy więc przedewszystkiem, że sprawy nie da się wyjaśnić tanim dziś sposobem, przy pomocy interpretacji spirytystycznej. Zapewne, nie można zaprzeczyć, że Mickiewicz, owszem, posiadał pewne własności, by tak rzec, medjalne, że umiał spowodować zjawiska na przeciętny nasz sposób nie dające się wytłumaczyć. Być może również, że o wyjaśnienie ich należałoby się uciec do dzisiejszych badaczy metapsychiki. Znany jest np. wypadek, — i to znany bezspornie, bo niezależnie od siebie opisali go identycznie dwaj świadkowie, Odyniec i poeta niemiecki Holtei, — tak to Mickiewicz, bawiąc w r. 1829 w Weimarze, z zebranych na tacy pierścionków odgadnął ich właścicielki i każdej zosobna ujawniał szczegóły jej życia wewnętrznego. Przemienił się przytem na twarzy, oczy jego nabrały dziwnej ostrości, podobnie jak to obserwowano u niego podczas improwizacyj. Z tego powodu mówił też tedy o tajemniczych potęgach ducha ludzkiego, a Odyniec wyniósł z tej przygody przeświadczenie, że w Mickiewiczu właśnie działają owe jakieś dziwne siły

[1]) Mickiewicz Wł., *Żywot*, III 492.

magnetyczne, które go doprowadzają do jasnowidzeń, że to „nie prosty poeta-bard, *sed vates et propheta*“.[1]) Podobnież Holtei zachował w pamięci dziwny ten wypadek; „ile razy potem — powiada — czytałem w pismach francuskich nazwisko Mickiewicza, łączone z najbardziej nieprawdopodobnemi baśniami, zawsze mi stawał w oczach ów blady weimarski czarodziej“.

Mówiąc tutaj o medjalnych własnościach Mickiewicza, zaznaczmy przecież jedno. Klucza tego nie można używać zbyt często i nie do wszystkich zamków. Ostatniemi czasy wszelako dały się słyszeć różne ryzykowne opinje o medjumizmie poety, a po rozprawie A. Niemojewskiego mówi się nawet, jakoby *Dziadów* cz. II była poprostu udramatyzowanym seansem. Cała ta gawęda równie jest bezpodstawna, jak sensacyjna. Mickiewicz spirytyzmem nietylko się nie zajmował, ale zajmować się nie chciał. Niema powodu nie wierzyć wyraźnemu jego zeznaniu. Pisał on o tem do Skrzyneckiego w r. 1842: „Byłem zawsze magnetyzmowi przeciwny i nawet widzieć doświadczeń nie chciałem. To przekonanie jeszcze z Wilna wywiozłem. Odciągałem wszystkich moich znajomych od magnetyzowań“. A kiedy podobnoś w ostatnich latach dał się skusić i siadł do stolika, — seans się nie udał. Niema dwóch zdań, koncepcje spirytystyczne niewiele nam tu w naszej potrzebie mogą wyjaśnić.

Nie kusząc się o wyjaśnienie całkowite owych nadprzyrodzonych źródeł proroctwa, t. zn. nie podejmując się zadania, które czeka jeszcze na swego badacza psychologa, możemy przynajmniej opisać te napotykane u poety fenomeny psychiczne, określić ich charakter i cechy.

Szczupło doszły nas wiadomości o niezwyczajnych stanach zachwyceń i objawień, doznanych przez Mickiewicza. Ale i tak możemy się zorjentować najpierw, że stany te nie były u niego odosobnione, właściwe jakiemuś krótkiemu tylko okresowi, ale że powracały raz po raz w różnych fazach życia. Jeżeli wierzyć Odyńcowi, najwcześniejszy wypadek wizji naszedł był na Mickiewicza jeszcze w młodości, w Nowogródku.

---

[1]) O d y n i e c, *Listy z podróży*, I 187 n., 387.

Odyniec miał słyszeć od Czeczota, że był to „pewien rodzaj widzenia, które mu rokowało jakąś ważną przyszłość".[1]) Ostatnie zaś wizje, o których mamy wiadomość pewną, pochodzą z pierwszych lat towianizmu, z początku r. 1844.

Następnie trzeba powiedzieć, że te stany ekstazy przejawiały się u Mickiewicza w sposób bynajmniej nie jednakowy. Różniły się zapewne intensywnością, ale również i samym gatunkiem przejawu.

Najrzadsze, zdaje się, były charakteru akustycznego: poeta słyszał niekiedy w sobie tajemniczy głos wewnętrzny, oznajmujący mu jakąś wiadomość, zwykłemu poznaniu niedostępną. Słyszeniu takiemu nie towarzyszyły żadne wrażenia wzrokowe. Wiadomości o rewelacjach tego typu mamy niewiele. Po raz pierwszy podobno doznał jej Mickiewicz w więzieniu bazyljańskiem. Na tej podstawie miał on zapowiedzieć kolegom, że proces skończy się zesłaniem ich do Rosji. Twierdzi Odyniec,[2]) że sam Mickiewicz później, w Dreźnie 1832 r., opowiadał jemu i Domejce o źródle tej przepowiedni. „Raz, wpół drzemiąc, wpół marząc o szarej godzinie w więzieniu, w klasztorze xx. bazyljanów, usłyszał nagle i wyraźnie, nie zewnątrz siebie ale w sobie, głos cudzy, który mu to zapowiedział".

Jest jeszcze relacja o podobnym wypadku późniejszym, ale musimy ją odrzucić, a przynajmniej zakwestjonować. Opowiada Odyniec,[3]) że w r. 1831 w Rzymie Mickiewicz, schodząc pewnego dnia ze Scala Santa, gdzie się modlił, usłyszał w sobie głos: Dybicz umarł. Uwierzył temu, i opowiadał znajomym, zanim gazety potwierdziły wiadomość. Anegdota Odyńca nie wytrzymuje wszelako krytyki. Kiedy Dybicz umierał (10. VI. 1831 r.), Mickiewicz nie mógł schodzić ze Scala Santa, bo go już nie było ani w Rzymie, ani nawet we Włoszech, bawił najpewniej już w Paryżu. Czy zaś wspomniana opowieść jest prostym wymysłem Odyńca, czy powstała ze zniekształcenia jakiegoś innego wypadku, trudno powiedzieć.

---

[1]) Siemieński L., *Religijność i mistyka w życiu i pismach A. Mickiewicza*, Kraków 1871, str. 135, w liście Odyńca do autora 20 kwietnia 1871 r

[2]) Tamże, str. 136.

[3]) Tamże, str. 136.

Częstsze natomiast były wizje w pełnem znaczeniu słowa, stany, w których poeta na jawie, „oczyma duszy", widział, jasnowidział wydarzenia, odległe czy to w czasie, czy w przestrzeni. W takich momentach tracił on związek zmysłowy z otaczającą go rzeczywistością, skupiony cały w jednym punkcie swego widzenia. Sam Mickiewicz rozumiał ten swój stan w taki sposób, że dusza opuszcza wtedy na czas pewien ciało i idzie na jakieś odległe szlaki po objawienia wyższe. Opisuje to w *Dziadach* jeden z więźniów:

> Bracia! duch jego uszedł i błądzi daleko,
> Jeszcze nie wrócił: może przyszłość w gwiazdach czyta,
> Może się tam z duchami znajomemi wita,
> I one mu powiedzą, czego z gwiazd docieką?

Takich olśnień wizyjnych doznawał Mickiewicz wielekroć, o czem sam mówi dostatecznie wyraźnie. Przychodziły one niespodzianie, od woli jego niezależne, jednakowoż dość często w chwili szczególniejszego skupienia, podczas modlitwy, a on zazwyczaj brał z nich podnietę do twórczości poetyckiej.

Przedmiotem widzenia w takich właśnie stanach wizyjnych bywały niekiedy zwykłe niby wydarzenia z życia potocznego, leżące wszelako poza granicami spostrzeżeń zmysłowych. Mamy wtedy do czynienia z wypadkiem jakby telewizji, przełamania granic przestrzeni. Jeden taki wypadek znamy z relacji najautentyczniejszej, bo ze świadectwa samego Mickiewicza. W r. 1842 opowiadał on Skrzyneckiemu, w jaki sposób przewidział był zjawienie się Towiańskiego. W grudniu 1840 r. miał mianowicie „w biały dzień widzenie; widziałem — pisze w liście — człowieka z głębi kraju jadącego wózkiem jednokonnym, w biedzie, po błocie i w mgle; uczułem, że ten człowiek wiezie wielkość! wielkie rzeczy! Nie brałem tego za widzenie prorockie, ale za nadzwyczaj żywy obraz poetycki; chciałem go opowiedzieć, ale postrzegłem niepodobieństwo do prawdy, dałem spokój." Tymczasem faktycznie podówczas w ten właśnie sposób, „w kałamaszce, ciągnionej krzepkim żmudzinkiem," jechał był do Francji Towiański, jak świadczy Siemieński, [1]) który

[1]) Siemieński, l, c., str. 120.

bawiąc naonczas w Strassburgu, widział go w takich okolicznościach na granicy Francji.

W innych razach widzenia poety jużto nie wychodziły poza krąg spraw ziemskich i miały za przedmiot jakieś fragmenty przyszłych losów narodu polskiego, już też ogarniały jakieś bezkresy kosmiczne, odsłaniały poecie niby od wnętrza ład wszechświata i istotę kierującej nim mocy Bożej. Te wizje intensywnością swoją i zasięgiem pola dochodzą miary najwyższej. Widzimy też, że w takich najwyższych wypadkach ekstazy wrażenia akustyczne łączą się z optycznemi, poeta widzi wtedy i słyszy zarazem zjawiska sposobem pozazmysłowym.

Niekiedy głos odgrywa tam rolę tylko pomocniczą. Tak było np. w widzeniu z lat późniejszych, znanem z relacji poetyckiej, jednem z najprzedziwniejszych, które przez treść swą zarówno jak przez szczytność zachwytu da się zestawić z „wizją cudowną" Dantego (*una mirabile visione*), wspomnianą w zakończeniu *Vita Nuova*, i kto wie, czy nie słusznie uważaną za pierwiastkowy zawiązek pomysłu *Boskiej Komedji*, obraz majestatu Bożego w *Raju*. W *Widzeniu* opisał Mickiewicz zachwycenie, dla którego dźwięk był właśnie jakby wstępną zapowiedzią, a w którem poecie z przedziwną wyrazistością odsłonił się boży ład światów i tajnie dusz.

Dźwięk mię uderzył... Nagle moje ciało
Jak ów kwiat polny, otoczony puchem,
Prysło, zerwane Anioła podmuchem,
I ziarno duszy nagie pozostało...
...i w dziwnem widzeniu
I światłem byłem, i źrenicą razem.
I w pierwszym, jednym rozlałem się błysku
Nad przyrodzenia całego obrazem.

Najwięcej jednakowoż i najpewniej, bo znowu od samego poety, wiemy o innym rodzaju ekstazy twórczej, takim, gdzie sensacje akustyczne formowały się wprost w słowa, w zdania, — w utwór. Taki typ ekstazy najbliższy jest temu, co potocznie rozumiemy jako najwyższy przejaw natchnienia poetyckiego.

Nie poskąpił nam poeta wiadomości, jak się objawiał ten doznany przezeń tylekroć niezwyczajny stan zachwyce-

nia duszy.[1]) Znakiem jego zewnętrznym, niejako zapowiedzią, były światełka, jakby iskry, które mu się ukazywały w pobliżu. Znakiem wewnętrznym było wzmożone poczucie potęgi twórczej; słowa i obrazy poetyckie przychodziły wtenczas same z siebie, jakoby z poza poety, jakby dyktowane. Idąc za tajemniczym głosem wewnętrznym, poeta mógł nawet spisać utwór natchniony. Najczęściej zarazem odczuwał on wtedy obecność jakiejś istności niematerjalnej, pobliże ducha. W ten sposób, „z objawienia", jak świadczy Goszczyński, powstały utwory przedziwnego piękna: *Słowa Chrystusa*, tudzież *Słowa Najświętszej Panny*, natchnione pod koniec r. 1842.

Najszczegółowszy opis tego wyjątkowego fenomenu psychicznego dał nam Mickiewicz w liście do Towiańskiego z października 1842 r. „W ostatnich dniach pobytu w Saint Germain — pisze tam — byłem w wielkiem podniesieniu ducha; przypomniałem, że miałem dawniej te stany, ale o nich całkiem straciłem był pamięć i teraz dopiero dziwnie wróciły. Było to czucie swobody i mocy, bez żadnej myśli, bez kierunku, bez chęci. Dawniej puściłbym je na poezję, teraz czekałem kierunku. W nocy z dnia 7 na 8, po modlitwie do Najświętszej Panny, czułem blisko Chrystusa Pana w postaci *Ecce Homo*, lubo o tem pierwej nie myślałem; a wkrótce zobaczyłem gwiazdeczkę, wielką iskrę. Te iskry czasem widuję, ale wtenczas była większa i jaśniejsza, i poczułem tuż przy sobie duch Napoleona. Zaczęły mi się składać słowa;... treść ich wtenczas w duchu moim poczęła się bez żadnego z mej strony przygotowania lub namysłu". W jednem z późniejszych przemówień znajdujemy inne podobne świadectwo o takichże przeżyciach wewnętrznych. „Mnie samemu, — mówił tam Mickiewicz, — przed sprawą jeszcze Bóg dawał szczególniejsze łaski; miewałem czasem nadzwyczajne wzruszenia, podnosiłem się do stanu ekstazy". I tutaj także zaznacza on dalej, że zachwycenia te były przeważnie związane z modlitwą.

---

[1]) Możemy więc śmiało zrezygnować z mocno podejrzanych gawęd, jakie na ten temat powypisywał A. Niewiarowicz w swych *Wspomnieniach o A. Mickiewiczu* (1878).

Dodajmy i to jeszcze, że opisane tutaj stany wizyjne Mickiewicza wcale często przybierały właściwy charakter proroczy, tyczyły się jakichś dziedzin odsłaniającej się przed poetą przyszłości narodu. Za pierwszy bodajże utwór wieszczy, odkrywający narodowi wypadki przyszłe, uznać wypadnie wiersz *Do matki Polki*; za taki przynajmniej uważał go sam poeta, twierdząc, że przewidział w nim klęskę powstania. „Z boleścią i przeczuciem — mówił w paryskiem Tow. Literackiem 3 maja 1842 r. — przyjmował naród nasz me słowa; wieszczba się spełniła, straszne wypadki i straszne klęski spadły na niego i na przepowiadacza". Tego także rodzaju była wizja, z której się zrodziło najgłośniejsze z proroctw Mickiewiczowych — Widzenie ks. Piotra.

Podobnegoż wreszcie pokroju natchnienie prorocze stało się wątkiem sławnej improwizacji w Paryżu w gronie emigrantów na uczcie przyjacielskiej dnia 1 stycznia 1841 r. Treść jej doszła do nas tylko w bardzo ogólnikowym zarysie, wiemy wszelako, że wywarła ona na obecnych wrażenie piorunujące. „Czułem się — mówi o tem sam Mickiewicz we wspomnianym liście do Skrzyneckiego — w wielkiem podniesieniu ducha, i powiedziałem im, że ich rozumowania, zabiegi, nigdzie nie doprowadzą; jeżeli Bóg zlituje się nad nami, to przyszle człowieka, który będzie dla nas prawem żywem, którego słowa, czyny i gesta będą artykułami. Nie pamiętam słów poezji, ale ta była ich treść... Wołałem, że tylko z takiego męża przeznaczenia mogą wyjść kapłani, królowie i hetmani". Próbował poeta widocznie przypomnieć sobie i zapisać tę improwizację, ale — jak dodaje — „nie byłem nazajutrz w stanie podnieść się do tej wysokości". I tę wizję proroczą ściągał on później do Towiańskiego.

Mimochodem wreszcie tylko i na uboczu przy opisanych dopiero co fenomenach wizyj, zdarzających się na jawie, wspomnieć jeszcze można, że Mickiewcz miewał także niekiedy sny prorocze. O jednym, jeszcze z Petersburga, w którym poecie przyśniły się trafnie okoliczności przyszłego jego ślubu, opowiadał on sam po śmierci Celiny Biergielowi.[1]) Sen o Czeczocie, który po śmierci ukazał

[1]) Mickiewicz Wł., *Żywot*, IV 398.

mu się, „jakgdyby zapraszając mię do siebie", opisał sam Mickiewicz w ostatnim swym liście do T. Zana z września 1855 r., a więc prawie na trzy miesiące przed swą śmiercią.

IV.

Przypomnienie tych kilku faktów zapowiedzi proroczych, powziętych w wizjach, tudzież powodujących je dyspozycyj psychicznych Mickiewicza, pozwoli nam także wyrozumieć lepiej, dlaczego to w literackim dorobku naszego poety elementy profetyczne, motywy wizji przyszłości zajmują miejsce tak znaczne, i to nawet poza *Dziadów* cz. III, dziełem z pośród proroczych najznaczniejszem.

Motyw wizji przyszłości wziął sobie Mickiewicz za temat opracowania literackiego wcześnie, jeszcze za pobytu w Rosji. Opowiada Odyniec,[1]) że na wiosnę 1829 r. w Petersburgu pokazywał mu Mickiewicz początek pisanej podówczas po francusku powieści fantastycznej p. t. *Historja przyszłości.* Trzy pierwsze rozdziały były już prawie gotowe. Akcja powieści toczyła się około r. 2000, a wydarzenia jej zewnętrzne osnute były około pomysłu t. zw. żółtego niebezpieczeństwa. Miała to zatem być powieść typu spotykanego w w. XVIII, utopja społeczno-moralna.

Przed Europą — w myśl koncepcji Mickiewicza — stanęło widmo zagłady, jaką jej grożą następujące wojska chińskich najeźdźców; państwom europejskim brak już sił żywotnych do odporu. Głównem bowiem zadaniem autora było przedstawić upadek moralny społeczeństw przeżytej Europy, tonącej w użyciu materjalnem, w egoizmie i w egoistycznym racjonalizmie. W dobrobycie i wygodzie, wytworzonej przez rozkwit wynalazków technicznych, zatracili Europejczycy pęd do poświęcenia się i do bohaterstwa, któreby ich jedynie jeszcze mogły zasłonić przed zagładą. Powieść miała się zakończyć optymistycznie; najezdnikom zwycięsko stawiła czoło przedewszystkiem Polska, gdzie jeszcze wśród kobiet i młodzieży zachował się żywy entuzjazm dla poświęcenia się bohaterskiego. Armja kobiet i młodzieży pod wodzą Polki pobiła hordę Chińczyków.

[1]) *Listy z podróży*, I 57 i n.

W części już napisanej sporo miejsca zajęło przedstawienie owych właśnie udogodnień życia, spowodowanych przez wynalazki techniczne. Wiele z tych wynalazków, wyimaginowanych w r. 1829, przestało być utopją już w roku 1868, kiedy Odyniec opublikował swą relację; inne realizują się na naszych oczach, a jeszcze inne czekają nadal na swój czas spełnienia.

Przypomnijmy tutaj niektóre. Zapowiadał więc Mickiewicz w r. 1829, kiedy w Anglji przeprowadzano pierwsze próby z lokomotywą, że Europa pocięta zostanie siecią linij kolejowych; coprawda, wyobrażał on sobie, że ludzie przewozić będą na nich dla wygody domy swoje i sklepy, całe miasta budowane na kołach. Opowiadał dalej o całych flotach balonów sterowców, o telegrafie bez drutu, skonstruowanym przy pomocy ogromnych zwierciadeł, gdzie ogniste litery, rzucone na pierwsze, w mgnienia oka odbijają się w ostatniem. Dla radjoamatorów nie obojętna może będzie przepowiednia z przed stulecia „o akustycznych przyrządach, zapomocą których, siedząc spokojnie przy kominku, można będzie słuchać dawanych w mieście koncertów lub wykładów publicznych". Przyjmował też poeta, że na progu w. XXI (t. zn. za lat 70) będziemy już mieli uruchomioną komunikację międzyplanetarną.

Wyjazd Mickiewicza z Rosji stanął na przeszkodzie wykończeniu tej fantazji przyszłości; autor zarzucił myśl dziełka, a napisany początek zniszczył. To, co o niem dzisiaj wiemy, mamy do zawdzięczenia tylko pamięci Odyńca.

V.

Niebawem jednakże pomysł opowieści o przyszłych wypadkach miał ożyć na nowo w wyobraźni poety, ale wypełnić się treścią całkowicie odmienną. Nową *Historję przyszłości* zaczął Mickiewicz pisać (również po francusku) pod koniec roku 1832. Między dawnym a nowym pomysłem nie było poza tytułem nic wspólnego. O ile dawny, petersburski, był jakby zabawką literacką poety, znajdującego zadowolenie w swobodnej grze wyobraźni, o tyle nowy, paryski, wypełnił się treścią zaczerpniętą z najgłębszych wiar poety, tych wiar, w których szukał ratunku przed

rozpaczą dla narodu po klęsce powstania. Na podstawie zachowanego fragmentu tego dziełka możemy nabrać dostatecznego pojęcia o zakroju wykończonej lecz zniszczonej całości.

Ostoją krzepiącego optymizmu politycznego Mickiewicza po r. 1831 stała się przedewszystkiem wiara w rychło mającą nadejść wielką rewolucję europejską, „wojnę powszechną o wolność ludów." Pamiętamy, że od lat młodych był poeta entuzjastycznym wielbicielem rewolucji francuskiej, wierzył, że dzieło jej, chociaż przerwane, jeszcze nie skończone.

A choć teraz skruszone olbrzymy zachodnie,
Jeszcze na ziemię krew ich może działać płodnie.

Po upadku powstania listopadowego podzielał on wiarę całego owoczesnego pokolenia, że dla starego porządku politycznego Europy, którego wyrazem jest utrwalony despotyzm rządów św. przymierza, „trójcy szatańskiej", Rosji, Prus i Austrji, że dla porządku tego wybija ostatnia godzina, że niebawem rozburzy go doszczętnie wzbierający gniew uciskanych ludów. „Z wielkiej budowy politycznej europejskiej nie zostanie kamień na kamieniu." Przeświadczenie, że ta rewolucja wybuchnie wcześniej czy później, ale raczej wcześniej, należało naówczas wprost do dogmatów politycznych Mickiewicza.

„Źródłem moich rozumowań i nadziei, — pisał w listopadzie 1832 r. — jest mocna wiara, że żyjemy w czasie wielkich odmian porządku europejskiego. Widoczna jest, że wszystkie zasady, na których opiera się budowa, są podkopane. Stoi gmach jeszcze, jak dom podkopany w fundamentach, ale za pierwszym powiewem wiatru upadnie. Dość ucho przyłożyć do ziemi, tam, w tawernach niemieckich, w foburgach paryskich, nawet w chatach włoskich jeden rodzi się huk, wróżący trzęsienie ziemi." Termin zaś tego politycznego trzęsienia ziemi był według autora bardzo niedaleki. Latem 1832 r. zapewniał Mickiewicz przyjaciela: „Zdaje się, że jeszcze kilka miesięcy ten system potrwa; dłużej wątpię żeby się utrzymał." Mimo zaś, że tych „kilka miesięcy" minęło bez rewolucji, przeświadczenia poety się nie zachwiały. „Kiedy nastąpi burza — pisał niebawem —

za rok czy za lat sto, dla mnie obojętne pytanie; czuję, że nastąpić musi."

Rewolucja oczekiwana zaprowadzi i utrwali w Europie nowy porządek społeczno-polityczny, zgodny z prawem bożem i prawem wolności; obali trony, odrzuci egoizm państwowy, a przywróci swobody ludom i wolność narodom. Na takim to fundamencie wiary wsparty występował Mickiewicz na emigracji jako polityk, autor *Ksiąg pielgrzymstwa*, rozpraw i memorjałów, redaktor *Pielgrzyma Polskiego;* do tych oczekiwanych wypadków i do sił, mających je wywołać, chciał dostosować charakter i działania emigracji. W pismach swoich owoczesnych rozrzucił wiele wzmianek, że owe rychło jakoby nadchodzące wydarzenia wyobrażał sobie zupełnie konkretnie i szczegółowo, a właśnie w nowej redakcji *Historji przyszłości* porwał się nawet na ukazanie w formie jakby przepowiedni dokładnego przebiegu nadejść mającej zawieruchy rewolucyjnej. Zachowane fragmenty tego dziełka, tudzież wzmianki rozrzucone po innych pismach, pozwolą nam odtworzyć dość dokładnie przebieg wydarzeń i układ stosunków politycznych, jak się one zarysowywały w przewidywaniach Mickiewicza.

Przewidywał więc Mickiewicz, że rewolucja zacznie się w Europie środkowej, najprawdopodobniej w Niemczech, obejmie zwycięsko Węgry, Ruś, Polskę, rozdzieli Niemcy na republikańskie i monarchiczne, rozszerzy się we Francji. Wojska rewolucyjne zrzeszą się pod hasłem przyszłej Konfederacji Europejskiej, działaniem ich kierować będzie jednolite dowództwo. Przewrót rewolucyjny, wskutek oporu starego porządku, trwać będzie długo i będzie krwawy. Właśnie *Historja przyszłości* przedstawiała szczegółowo przebieg działań wojennych armji rewolucyjnej.

Zjednoczone wojska Konfederacji Europejskiej stoczyły wielką bitwę z armją monarchiczną na polach Holandji i — poniosły klęskę. Pobite, ale nie rozbite, pod wodzą Węgra i Ukraińca cofać się jęły przez Niemcy do Polski, by się tam zreorganizować i wzmocnić. Jednakowoż już podczas odwrotu armja ta, dzięki genjuszowi wodzów i błędom przeciwnika, zdołała w sposób stanowczy przechylić szalę zwycięstwa. Nieopodal Berlina cofającym rewolucjonistom za-

stąpiły drogę wojska monarchistów niemieckich. Dowództwo rewolucyjne udanym fortelem strategicznym zdołało je rozdzielić, a rozdzielone rozgromić doszczętnie. Zajęto wtenczas i spalono Berlin, króla pruskiego wzięto w niewolę i wyrokiem sądu doraźnego stracono na szubienicy. Triumfująca armja skonfederowanych zwróciła się przeciwko niedawnym swym zwycięzcom w Holandji, rozbiła tamte oddziały, poczem rozdzieliwszy się, poniosła żagiew rewolucji do Szwajcarji, Włoch i Anglji, gdzie też w krótkim czasie obaliła opierający się jeszcze stary porządek.

W zwycięskim pochodzie sił rewolucyjnych najmniejszy udział miał przypaść Francji. Mickiewicz, który widział był bliżej tragikomedję francuskiej rewolucji lipcowej, nie miał bynajmniej entuzjazmu dla wieńczących ją bankierskich rządów Ludwika Filipa, odnosił się nader krytycznie do całego obozu liberałów francuskich. Miał ich „za zgrają egoistów zdemoralizowanych" i rokował, że się nie zdołają wyleczyć, „bo rak toczy ich serca". Stosownie do tego w przewidywaniach swych przyjmował, że francuski obóz republikański nie zdobędzie się w chwili decydującej na zgodne wystąpienie, ale że trawić się będzie w wewnętrznych walkach domowych. Autor *Historji przyszłości* chciał ponadto pokazać na przykładzie Francji, jakie to niebezpieczeństwa wewnętrzne grożą obozowi rewolucyjnemu, rozerwanemu w sobie przez sprzeczne dążenia skrajne.

Obóz rewolucjonistów francuskich zagrożony został nie przez kontrrewolucjonistów, bo ci nie mieli za sobą żadnej siły, ale wyczerpywał się w walce wewnętrznej między maksymalistami a minimalistami. Przedstawienie ideologij obu tych obozów, przeprowadzone przez Mickiewicza wcale szczegółowo, uderza nas dziwną aktualnością; uderzyć musi dzisiaj zwłaszcza, kiedy w pamięci nam stoją identyczne fermenty rewolucji rosyjskiej, rozerwanej między mienszewików i bolszewików. Przedstawienie to dowodzi wielkiej intuicji Mickiewicza, umiejącego przewidzieć dążność i kierunki sił, drzemiących jeszcze naówczas w sfinksowej masie żywiołu ludowego. Wojna domowa rewolucyjnej Francji zakończyła się ostatecznie zwycięstwem maksymalistów-prole-

tarjuszy, którym udzieliły pomocy zwycięskie wojska Konfederacji Europejskiej.

Jak widzimy, Mickiewicz wyobrażał sobie, że żniwo rewolucyjne będzie krwawe, że zwycięscy rewolucjoniści nie cofną się przed terorem. Rzecznikami teroru byli w jego oczach skrajni demokraci, wyznawcy teorji wszechwładztwa ludu. Nazywał ich „żydami, czyli ludźmi starego zakonu". Mówił o nich w *Księgach*: „Oni nienawidzą bałwochwalców, a nie mają miłości ku bliźnim, i zesłani są na wytępienie bałwochwalców Chananejczyków. I pokruszą bałwany ich, a bałwochwalców będą sądzić prawem Mojżesza i Jozuego, i Robespierra i Saint-Justa, wytępiając od starego do ssącego dziecka, od bydlęcia do szczenięcia". Najwyraźniej przyjmował poeta, że teroryści ci, „ludzie starego zakonu", na czas niejaki przynajmniej wezmą górę w obozie rewolucyjnym.

Teror zwróci się przedewszystkiem przeciwko biurokracji, arystokracji i sferom bankierskim. Do tego to właśnie odnoszą się okrutne, zawzięte groźby w końcowych ustępach *Ksiąg*. „Rządcy francuscy i mędrkowie francuscy, którzy gadacie o wolności a służycie despotyzmowi, legniecie między ludem waszym i despotyzmem obcym, jako szyna żelaza zimnego między młotem a kowadłem. I bici będziecie, a żużle z was i iskry z was lecieć będą na kraj świata, i rzekną narody: zaiste kucie jest tam wielkie jako w kuźni piekielnej". Kupcom i handlarzom francuskim i angielskim rzucił gniewną przepowiednię: „a oto przyjdą dni, iż będziecie lizać złoto wasze i żuć papier wasz, a nikt wam nie przyśle chleba i wody". Z *Historji przyszłości* wiemy, że w zdobytym Berlinie armja rewolucyjna powiesiła dziesięć tysięcy byłych radców, siedm tysięcy sędziów i referendarzy. Okrucieństwa tego teroru poeta wcale nie tai. „Zaprawdę powiadam wam, — grozi w *Księgach* — iż lżej było Tulonowi i Nantes i Lugdunowi w dniach Konwencji, niźli będzie miastu onemu [niewolniczemu] w dniach Konfederacji Europejskiej".

Na gruzach starego porządku, obficie zlanych krwią, armja rewolucyjna zaprowadzi nowy ład. Narody uwolnione z więzów despotyzmu utrwalą ów węzeł braterstwa, zawią-

zany w wojnie rewolucyjnej, i ustabilizują Konfederację Europejską, utworzą coś jakby Stany Zjednoczone Narodów Europejskich. Obalą znienawidzony system celny, porty i morza zostaną umiędzynarodowione, podobnie jak nauka; „albowiem porty i morza i lądy są dziedzictwem ludów wolnych". Już nikt bić się nie będzie to o faktorję, to o wór bawełny, ani nawet o granice państw. „Ustaną w chrześcijaństwie wojny".

Do tego systemu Konfederacji Europejskiej, do unji braterskiej narodów, przyjęte zostaną (po okresie pokuty) także państwa będące do niedawna ostoją despotyzmu, Niemcy i Rosja. „Przetoż powiadam wam, iż Francuz i Niemiec i Moskal muszą być jako Polak i Litwin". W szczególności przewidywał Mickiewicz odrodzenie się ludu rosyjskiego; o nim umieścił w Widzeniu x. Piotra proroctwo: „On jeden poprawi się i Bóg ma przebaczy", o nim pisał w *Księgach*, że może się stać fundamentem nowego porządku. Mówi tam Polak do Francuzów i Anglików: „Jeśli wy, dzieci Wolności, nie pójdziecie za mną, tedy Bóg odrzuci plemię wasze, a wzbudzi obrońców wolności z kamieni, to jest z Moskalów i z Azjatów".

Trudniej zapewne przychodziło mu włączyć Niemców w system europejskiego braterstwa. Wiemy bowiem, że żywił wobec nich niechęć zdecydowaną. Zarówno w r. 1832, kiedy w projektowanej odezwie do Rosjan piętnował Niemców jako sprawne narzędzie despotyzmu w ręku carskich, jak i znacznie później, kiedy się nie krył z tem, że „plemienia germańskiego nienawidzi".[1]) Naówczas jednakże mimo wszystko zapowiadał powszechny związek narodów europejskich.

Nie trzeba dodawać, że w tej przyszłej Konfederacji Europejskiej jedno z przednich miejsc zajmie Polska, obok Belgów, Węgrów i Irlandczyków, „i innych narodów wierzących". Polska też wolna i zjednoczona będzie koniecznym warunkiem trwałego pokoju europejskiego.

---

[1]) Krasiński Z., w liście z dn. 5 kwiet. 1848 (*Listy do Cieszkowskiego*, II 15); por. też Odyńca *Listy z podróży*, list z 28.VII. 1830 r.

VI.

Nie dosyć nam jednak takiego ogólnego stwierdzenia; chcielibyśmy szczegółowiej wiedzieć, jaką kolej rzeczy i jakie stanowisko przewidywał Mickiewicz dla narodu polskiego w nadchodzącym wielkim przewrocie europejskim.

Zaznaczmy więc przedewszystkiem jako szczegół bardzo charakterystyczny, że — w pierwszych zwłaszcza latach emigracji — z tym właśnie przewrotem wiązał Mickiewicz organicznie nadzieję odbudowania Polski. Nie wierzył żadną miarą, żeby Polska mogła powstać bez obalenia w Europie porządku monarchistycznego. Są — powiada on — niektórzy, co się łudzą, że można królów i ministrów nakłonić do sprzyjania naszej sprawie. „Nie podzielam zgoła tych nadziei. Mnie się zdaje, że królowie i gabinety tyle na sobie dźwigają zbrodni, tak są zatwardziałe, że można je uważać jako zamknięte w szpitalu nieuleczalnych. Darmo byłoby czas i leki trwonić... Co do mnie, z równem przekonaniem, z jakiem wierzę w zmartwychwstanie Polski, nie uwierzę nigdy, aby królowie ściągnęli rękę dla odwalenia kamienia z jej grobu". A w innem miejscu przestrzega wyraźnie: nie łudźmy się, żeby z częściowych nieporozumień między monarchami miało wyniknąć co pomyślnego dla Polski. „Przy zawarciu nowych traktatów, Polskę zawsze monarchowie poświęcą jako wynagrodzenie lub zamianę... Nie pierwej tedy sprawa Polski przed sąd wojenny Europy wytoczona będzie, aż rewolucja pomiesza teraźniejszy układ polityczny".

Stosownie do tego przeświadczenia, któremu trzeźwej trafności odmówić niesposób, szukać pragnął Mickiewicz sojuszników dla sprawy polskiej nie w rządach, ale w ludach, mianowicie wśród żywiołów radykalnych. Nie znaczy to jednak, żeby budował wszystką nadzieję na pomocy tych żywiołów, jak to np. początkowo czyniło Towarzystwo Demokratyczne Polskie. Mickiewicz rozumiał, że naród polski musi wydobyć z siebie maximum sił, tak jakby mu nikt nie miał pomóc. „Zdaje mi się, — pisał — że Polska wtenczas silnie powstanie, kiedy nabędzie przekonania, że bez wszelkiej obejdzie się pomocy, i wtenczas tylko znajdzie pomoc".

Pomocy tej nie udzieli Polsce nawet emigracja. Właściwe zadanie emigracji widział Mickiewicz gdzieindziej: ma ona

stać się drożdżami wolności wśród ludów europejskich, ma być inicjatorką nowej ery, łącząc się z ruchami wolności, gdziekolwiekby one wybuchnęły. „Słyszycie, iż mówią żydzi i cyganie, i ludzie z duszą żydowską i cygańską: tam ojczyzna, gdzie dobrze. A Polak powiada narodom: tam ojczyzna, gdzie źle; bo gdzie tylko w Europie jest ucisk wolności i walka o nią, tam jest walka o ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni". Niemniej z chwilą rozgorzenia walki emigracja wróci do Polski. „A trzeciego dnia dusza [t. j. właśnie emigracja] wróci do ciała, i naród zmartwychwstanie i uwolni wszystkie ludy Europy z niewoli".

Wierzył następnie Mickiewicz i przepowiadał, że przewrót polityczny wszędzie, także i w Polsce, pójdzie w parze z przewrotem społecznym, związany będzie z zepchnięciem klas dotychczas uprzywilejowanych z zajętej pozycji, tudzież z wydźwignięciem klas upośledzonych, ludowych. Ten przewrót, zdaniem Mickiewicza, dokona się w Polsce bezkrwawo, przy dobrej woli warstw wyższych, i dzięki religijności niższych. „Ugruntowane uczucia religijne mogą tylko jednych skłonić do ofiar dobrowolnych, drugich wstrzymać od gwałtownego przywłaszczenia cudzej własności. W Polsce te uczucia religijne mają wielką podporę w masach, a klasy wyższe okupiły dawne grzechy wielkiemi poświęceniami. Dlatego myślę, że w Polsce prędzej niż gdzieindziej zaprowadzi się porządek". [1])

Pod względem jednakże ustroju politycznego Polska przyszła, zdaniem Mickiewicza, nie ulegnie radykalnemu przewrotowi. Przyszłe państwo polskie zostanie, — ściślej mówiąc, zostać według tego powinno, — Rzeczypospolitą w sensie tradycyjnym, t. zn. nie wyłączając możliwości sprawowania w niej rządów przez jednego człowieka. Owszem takie właśnie rządy jednostki zapowiada Mickiewicz dla Polski na początkową epokę wolności. „W masach narodu polskiego — mówi on — jest uczucie przeciwne jakobinizmowi; masy czują potrzebę silnego rządu, czyli ten rząd będzie monarchją czy dyktaturą, czy z tytułem króla czy z innym

[1]) Łatwo przypomnieć choćby z *Sułkowskiego*, że wiarę tę podzielał z Mickiewiczem Żeromski.

jakim. Można przewidywać tyle tylko, że odrodzona Polska najbliżej będzie reprezentowana przez jednego człowieka, który jej potrzeby zrozumie, który w jej sprawie najwięcej zasług położy, który jej nieprzyjaciół zgromi".

Na tę przewidywaną rolę jednostki naczelnej w odzyskanem państwie polskiem należy tu położyć szczególniejszy nacisk. Rozumiemy bowiem, że ten szczegół wyobrażeń Mickiewicza łączy się blisko z wykładem najbardziej tajemniczego z pośród proroctw poety, z Widzeniem x. Piotra w *Dziadach*. Nie będziemy tutaj wchodzić w tylekroć, i to do ostatniej chwili, dyskutowaną sprawę, kogo ma oznaczać tajemniczy Mąż straszny o trzech obliczach; odwiodłoby to nas zbyt daleko od tematu głównego. W każdym razie to jedno trzeba powiedzieć wyraźnie, że na zasadniczo błędnej drodze byli ci wykładacze proroctwa, którzy widzieli w Mężu jakąś jednostkę zbiorową, szczep, czy klasę społeczną. Takie przyznawanie roli kierowniczej zbiorowości było całkowicie obce owoczesnej ideologji Mickiewicza. Wzmianki rozrzucone po różnych miejscach świadczą zgodnie, że rolę zbawczą w przyszłości przypisywał on jednostce, człowiekowi wielkiemu, mniejsza o to, czy miał nim być wódz genjalny, czy prorok natchniony, czy mędrzec prosty i cichy.

Nie wchodząc więc w dociekania, kim miał być ów Mąż straszny o imieniu czterdzieści i cztery, czy to sam Mickiewicz, czy kto inny, dość nam tu będzie zaznaczyć, w jaki to sposób Mickiewicz określił zasadniczy charakter jego osobowości. Czy to ma być jedynowładca, rządzący li żelazną surowością swej woli, metodą Konrada: „co ja zechcę, niech wnet zgadną,.. a jeżeli się sprzeciwią, niechaj cierpią i przepadną", czy też ktoś pokroju Marka Aureljusza, łagodny dobroczyńca rzesz? Mickiewicz dotknął tego pytania bezpośrednio, napisał nawet osobny artykuł w *Pielgrzymie* 1833 r. „Ten przyszły wielki człowiek, — pyta on tam — spodziewany mesjasz narodowy, skąd przyjdzie, po czem go poznać?"

Powodem wystąpienia było zdanie Niemcewicza, który sądził, że Polskę wywalczyć mógłby tylko dyktator surowy i bezwzględny, typu Pizystrata czy Cezara, Kromwela czy Napoleona. Mickiewicz, mimo całego szacunku, jaki miał

dla Niemcewicza, wystąpił przeciwko temu twierdzeniu jako błędnemu. „Żaden gatunek pizystracki, ani kromwelski — pisał — nie przyjmie się na ziemi naszej. Jest w narodzie polskim wielkie, głębokie, powszechne uczucie szlachetności, poczciwości i szczerości. Nigdy intrygant i fałszerz w Polszcze popularności nie zyska". Jeżeliby koniecznie szukać jakiegoś wzoru dla naszego przyszłego wielkiego człowieka, to mógłby nim być chyba czcigodny Washington albo Kościuszko. „Zdaje się, że pierwszym warunkiem przyszłego wielkiego człowieka musi być ta szlachetność charakteru, ta serdeczność, ta dobroduszność, która Kościuszce i Washingtonowi zjednała miłość współczesnych i szacunek potomnych. Na tym tylko gruncie zasadzone wielkie talenta militarne i polityczne dojrzeć mogą w teraźniejszym stanie atmosfery narodowej".

Oczywiście ta charakterystyka „przyszłego wielkiego człowieka", „mesjasza narodowego", podana przez samego poetę, sama jedna nie pozwoli jeszcze rozwiązać zagadki Widzenia x. Piotra. Niemniej jednak nie chybimy, uważając ją za pewnego rodzaju komentarz do tego Widzenia, komentarz ważny, bo najwcześniejszy, o rok tylko młodszy od samego utworu. Jako taki zaś wywodzi się on niewątpliwie z tej samej mgławicy uczuciowo-wyobrażeniowej, z której powstała tamta gwiazda objawienia.

VII.

Nie wyczerpaliśmy jeszcze wszystkich przepowiedni politycznych Mickiewicza, tych nawet, co się mieszczą w jego utworach literackich. W inną dziedzinę np. wprowadza nas dalsza, trzecia zkolei redakcja *Historji przyszłości*, zachowana znowu w drobnym zaledwie fragmencie. Zajmuje się tam Mickiewicz wypadkami, jakie według jego przewidywań nastąpią we Francji w czasie niedługim, kiedy wybuchnie rewolucja i obali rządy Ludwika Filipa. Przepowiednia ta, napisana, o ile sądzić wolno,[1]) około r. 1835, o kilkanaście lat wyprzedza rewolucję lutową 1848 r., i trzeba

[1]) Pigoń St., O Mickiewiczowej „Historji przyszłości", w *Przegl. Współcz.* Nr. 114, z paźdz. 1931 r.

powiedzieć, naogół trafnie określa ogólny kierunek wydarzeń. Zapowiadał tam wprawdzie Mickiewicz, że po obaleniu linji orleańskiej dojdzie do władzy na czas niejaki starsza linja Burbonów, w osobie Henryka V, wnuka Karola X, — i w tem się mylił. Hr. Chambord przez długie swoje życie nie miał szczęścia ani na chwilę zasiąść na tronie francuskim, chociaż przeżył intronizację, panowanie, nawet detronizację Napoleona III. Równocześnie jednak Mickiewicz jak najtrafniej przepowiedział tam powrót do znaczenia i do władzy Napoleonidów, a jeśli wierzyć relacji Gałęzowskiego, przewidział nawet zamach grudniowy Ludwika Napoleona.

Istniała jakoby czwarta jeszcze redakcja *Historji przyszłości*, którą emigrant włoski, towiańczyk Scovazzi czytał podobnoś u Mickiewicza kiedyś po r. 1842. Treść jej miała być nader pesymistyczna. Autor stworzył w niej niby odyseję fantastyczną, w której Polak emigrant, jakby nowy Żydwieczny tułacz, przechodzi kraje i wieki, i jest świadkiem coraz większego rozkładu społeczeństwa, które w egoizmie swym schodzi aż na poziom kanibalizmu. Ta właśnie beznadziejność przepowiedni miała być powodem, że zniechęcony autor zniszczył utwór.[1])

Jeżeli relacja Scovazzi'ego polega na prawdzie, mieściłaby ona dla nas jedno bardzo ważne świadectwo. Wynikałoby z niej, że Mickiewicz z biegiem lat, patrząc tylekroć na ruinę swych najgłębszych wierzeń, rozczarował się do optymistycznych założeń dawnych swych przepowiedni i zapatrywał się na przyszłość ludzkości coraz bardziej ponuro.

Czy i na przyszłość Polski także? Pytanie ogromnej dla nas tutaj wagi. W innem ujęciu możnaby je bowiem tak wyrazić: Czy był istotnie taki moment, kiedy Mickiewicz, jak Mojżesz na pustyni, zwątpił — choćby przelotnie — w osiągalność ziemi obiecanej, ziemi wolności?[2]) Odpowiedź

---

[1]) Zob. Mickiewicz A., *Mélanges Posthumes*, I 184.

[2]) W niedawnej, a przebrzmiałej już, literaturze „rewizjonistycznej" nie brakło i tego uwłaczającego przypuszczenia, że taki moment zwątpienia w przyszłość narodu istniał w duszy Mickiewicza, a nawet, że się zapisał jakoby na jego seismografie poetyckim, mianowicie właśnie w *Panu Tadeuszu*. Szkoda słów na wskazywanie, z jak grubego niezrozumienia rzeczy wywodzi się ta insynuacja.

należytą na to pytanie otrzymamy, zwróciwszy uwagę na naczelną i najistotniejszą wieszczbę Mickiewicza przewijającą się przez wszystkie jego pisma i wystąpienia, wieszczbę o Polsce nieśmiertelnej. Treścią jej jest jedna z najdonioślejszych zdobyczy naszej świadomości narodowej w. XIX, teza o niezniszczalności narodu nawet wtenczas, gdy jest on pozbawiony form własnej państwowości.

Teza ta jest dzisiaj dla nas pewnikiem powszechnym i bezspornym. Żeby jednakowoż wyrozumieć należycie wagę i rozmiar wieszczej zasługi Mickiewicza w utwierdzeniu tego pewnika, trzeba przypomnieć, że prawda ta, dziś dla nas najoczywistsza, nie zawsze bynajmniej była u nas pojmowana jako aksjomat; przeciwnie, znamy czasy i ludzi, których nie stać było na siłę tego przeświadczenia, zwłaszcza wtenczas, gdy nienawistny bieg dziejów szczególniej wystawiał je na urągowisko.

Żeby spotkać się z takimi ludźmi małej wiary, nie trzeba nawet cofać się aż do pokolenia z epoki rozbiorów, o którem wiemy, że je — nawet w najwybitniejszych, czołowych jednostkach — szarpała czasami rozpacz, że jego poeci załamywali się na zwątpieniu, czy Polacy zdołają się obronić przed wynarodowieniem:

> I dla kogoż na lutniach odtąd będziem grali,
> Kiedy Polak ma zniemczeć, Litwin się zmoskali?

Przeraźliwa myśl o wytraceniu narodowości polskiej, o tem, że niezadługo może nadejdzie chwila, kiedy ostatni z mowy i z ducha Polacy zejdą ze świata, ta myśl wśród najgorliwszych nawet zabijała wiarę w niezniszczalność ducha narodowego.

Powtarzam — myśl ta jeszcze w trzecim, a nawet w czwartym dziesiątku lat w. XIX przewija się przez głowy i usta jednostek przodujących uczuciem, nawet uczuciem patrjotycznem. Twierdzenie to wygląda tak nieprawdopodobnie, że trzeba je zaraz poprzeć dowodem. Zaznaczmy więc np., że przed myślą o nieuchronnie zbliżającej się zatracie polskości nie obronił się jeden z najpłomienniejszych i najbardziej ofiarnych patrjotów, S. Goszczyński. Jeszcze w r. 1825 dopuszczał on ostateczność, że

. . . do szczętu pognębieni,
. . zarzuceni, jak stare obuwie,
W odgłosie tylko szlachetnych pieni
Przypomnim siebie dalekim wiekom...
I przyszłości poświadczymy,
Jakimi Polacy byli
Ostatni, w ostatniej chwili.[1])

A zatem poezja może być tylko mauzoleum ginącego narodu; przyjdzie czas, że zatrata pochłonie „ostatnich" Polaków, „w ostatniej chwili".

Z takąż samą myślą o nieuniknionem skończeniu się narodu mógł był żyć Słowacki jeszcze w r. 1832. Pocieszał się tylko nadzieją, że jego poezja przeżyje ojczyznę. Uważał się za posąg Memnona, „postawiony na grobie mojej ojczyzny; i długo, długo — powiada — dźwięk mój będzie budził niknących na tej ziemi Polaków; może jeszcze ostatni Polak, co będzie umiał swój język narodowy, obleje łzami moje karty".[2]) A więc znowu: „niknąca" polskość i „ostatni Polak".

Tego rodzaju przykłady małoduszności narodowej możnaby jeszcze mnożyć. Z nasuwających się pod uwagę niech wolno będzie przytoczyć już tylko jeden. W okresie powstania listopadowego zyskała ogromną popularność, niemal hymnem narodowym pokolenia stała się podarowana przez poetę francuskiego piosenka, *Warszawianka*. Po obozach powstańców rozlegało się idące z niej wezwanie:

Powstań, Polsko, skrusz kajdany,
Dziś twój triumf — albo zgon.

Ta alternatywa, głoszona przez usta żołnierskie: triumf albo zgon, zgon narodu, ściągnęła ciężkie słowa w sądzie, przeprowadzonym w *Warszawiance* Wyspiańskiego nad tamtem pokoleniem. „Otóż to, otóż to: zgon!.. Tu jest ukryty miazm rozstroju i rozkładu: w malowniczości zgonu..." W sądzie tym zresztą zszedł się z poetą polityk. „Słowa te — pisze o przytoczonej zwrotce piosenki R. Dmowski[3]) —

[1]) Goszczyński S., *Dzieła zbiorowe*, Lwów (1911), I 81.

[2]) Słowacki J., *Pamiętnik*, notatka z dn. 22 lipca 1832 r. (*Listy*, wyd. Meyeta, I 19).

[3]) Dmowski R., *Polityka polska i odbudowanie państwa*, Warszawa 1925, str. 56.

obrażają moje najgłębsze uczucia, mój zmysł moralny. Człowiek, który w tym wypadku myśli to co śpiewa, jest przestępcą. Sama myśl o tem, że Polska może skonać, jest zbrodnią". Dla pokolenia listopadowego najwidoczniej jeszcze nią tak bezwzględnie nie była.

Otóż czas już powiedzieć, że jeżeli dzisiaj taki ostry sąd o wyboczeniach niewiary w nieśmiertelność narodu podzielić możemy wszyscy, jeżeli tamta małoduszność wydaje się nam błędem i zbrodnią, jeżeli aksjomat o niezniszczalności uświadomionego narodu jest nam już powszechnie jasny jak słońce, pewny jak rachunek, to w tem wszystkiem mieści się ogromna część zasługi wieszczej Mickiewicza, jako budowniczego wiary w naród.

W nim samym wiara ta wybuchała przez całe życie, z jakichś podświadomych złoży pewności, z potęgą wprost biologiczną. Od pierwszych wystąpień w studenckiem gronie filomatów aż po ostatnią wyprawę do kozaków Czajkowskiego, od pierwszego wulkanicznego wybuchu natchnienia poetyckiego, kiedy to skróś gęstniejących mroków w nagłym błysku wieszczego jasnowidzenia dojrzał był „jutrzenkę swobody", wyprzedzającą „słońce zbawienia", aż po ostatnią proroczą improwizację z r. 1841, — jednym nieprzerwanym ciągiem przez wszystkie wystąpienia Mickiewicza płynie tenże sam nurt wiary w nieśmiertelność Polski, w jasną jej przyszłość, w niechybnie się zbliżające zmartwychwstanie jej i wielkość. Fakt niewoli i spadających klęsk, najzawziętsze wysiłki niszczycielskie wrogów, nie zaćmiły mu nigdy tej oczywistości, nigdy pesymizm nie podgryzł korzeni tej jego wiary. W chwili najtragiczniejszej, tuż po upadku powstania, kiedy mściwy zwycięzca orgją zniszczenia przerazić i dobić chciał Polskę, Mickiewicz z niewzruszoną pewnością, z siłą słowa iście prorocką, wspierał zwątlałe pielgrzymstwo przeświadczeniem, że „naród polski nie umarł", choć „ciało jego leży w grobie"; że zmartwychwstanie dnia trzeciego, a ten „dzień trzeci wnijdzie ale nie zajdzie". Pewność ta była w nim natury iście religijnej; nie dziwi nas więc, że dla jej wyrażenia posłużył się poeta słowami i obrazami Pisma św.

Skądżeż się ta pewność wywodzi? Źródłem jej przedewszystkiem jest intuicyjne uchwycenie prawdy, której

nikt chyba u nas przed Mickiewiczem tak wyraźnie nie postawił, a którą potem niejednokrotnie i nawet pełniej wyrażać będzie nasza literatura, — tej prawdy, że narodowość nie jest mechanicznym wytworem dziejów, ale ma źródło nadprzyrodzone, krótko mówiąc, jest „z ustanowienia Bożego"; tym właśnie terminem określił ją Mickiewicz w Prelekcjach.[1]) Narodowość jest według tego znamieniem, nałożonem duszom ręką Bożą, i dlatego też jest nieśmiertelna.

Otóż ta właśnie pewność, to jasnowidzenie nieśmiertelności narodu, tworu Bożego, wśród najciemniejszej nocy niewoli wybłyskujące z ducha poety jak słup ognisty, który wiódł naród do ziemi obiecanej, ziemi wolności, to właśnie jasnowidzenie jest głównym, niewzruszonym fundamentem zasługi narodowej Mickiewicza wieszcza. Tutaj się mieści jego proroctwo najistotniejsze. W tym sensie miała słuszność pisarka francuska, podkreślając, że Mickiewicza, jedynego chyba z poetów nowoczesnych, można zestawiać z natchnionymi prorokami narodowymi Starego Testamentu.

Dzisiaj — niech wolno będzie powtórzyć — przepowiednie Mickiewicza, naogół biorąc, straciły swą aktualność; już nie będziemy uciekać się do nich trwożliwie jak do wyroczni. Ziścił się na naszych oczach naczelny wieszczy aksjomat o zmartychwstaniu narodu polskiego. Słowem, cała ta dziedzina wartości, do której ojcowie nasi, do której myśmy sami do niedawna zwracali się przedewszystkiem, — odsunęła się wgłąb; już nam odtąd nie będzie przesłaniać Mickiewicza arcypoety. To prawda.

Niemniej jednak, kiedy — choćby dla interesu historycznego — będziemy brali pod uwagę i tamtą również dziedzinę, przyjdzie się zgodzić, że w poglądach Mickiewicza na przyszły bieg świata, na rolę Polski zmartwychwstałej, wiele oczywiście było z przemijającego ducha czasu, wiele wynikało li z dobrej znajomości dziejów, wiele z wnikliwej

---

[1]) W wykładzie z dn. 25 czerwca 1841 r.; narodowość jako twór Boży rozważał on także w wykładzie z dn. 6 maja 1842 r. W r. 1844 zaś mówił A. Chodźce: „Każdy naród jest niczem innem, jak objawieniem woli Bożej, a raczej jedną z form, jakiemi Bóg ucieleśnia to objawienie swoje".

obserwacji bieżącego nurtu wypadków, nie brakło w nich nawet rojeń o charakterze wybitnie utopijnym, — ale niemniej wiele było tam elementów takich, z których on sam najtrafniej zdawał sobie sprawę, że są „z łaski Bożej", i którym bieg dziejów przyświadczył, że były iście wieszcze.

Stanisław Pigoń.

Kraków, w kwietniu 1932 r.,
w setną rocznicę powstania *Dziadów* cz. III.

Rzeczpospolita Polska i Wielkie Księstwo Moskiewskie a problem czarnomorski.

Wśród wielu frazesów, jakiemi lubiło posługiwać się społeczeństwo polskie dawnej Rzplitej szlacheckiej, najwięcej chyba fałszu kryło w sobie znane powiedzenie o Polsce „od morza do morza". W zwrocie tym tkwiły jednocześnie dwa błędy: natury geograficznej i moralnej. Moralnej — ponieważ wśród szeregu zagadnień, jakie rozwiązać miała Rzplita, kwestja morska najmniej była stosunkowo rozumiana i doceniana; geograficzny — gdyż Rzplita, rozpościerając się od Bałtyku po niż czarnomorski, nigdy właściwie, poza krótkotrwałemi momentami, do wybrzeży Morza Czarnego nie dotarła, a tem bardziej morza tego nie opanowała i nie wykorzystała. Jednakże, biorąc pod uwagę geograficzne położenie państwa polskiego i jego naturalną ekspansję terytorjalną, problem czarnomorski powinien był istnieć, i w rzeczywistości istniał, rozumiany i doceniany był jednak nie przez cały ogół szlachecki, lecz jedynie przez trzeźwiej patrzące jednostki.

O ile najbliższe nam Morze Bałtyckie posiada obfitą literaturę historyczną, o ile znaczenie dziejowe Bałtyku dla Polski poddane zostało ścisłym badaniom historycznym (że wspomnę choćby cykl prac Szelągowskiego), — o tyle znaczenie Morza Czarnego w epoce nowożytnej potraktowane zostało przez historjografję, w szczególności polską, po macoszemu. Wpłynęło to na cały szereg naturalnych przyczyn; Bałtyk, wydłużony, rozćwiartowany na wiele odnóg i pomniejszych zatok, stał się pierwszorzędną arterją komunika-

cyjną narodów Północy, a opływając wybrzeża wielu państw, stał się ogniskiem handlu międzynarodowego. Odgrywał on dla Północy tę samą rolę, co dla Południa — Morze Śródziemne. Znaczenia takiego Morze Czarne posiadać nie mogło; zamknięte, uzależniające łączność swą ze światem od posiadaczy Bosforu i cieśniny Dardanelskiej, skazane było zgóry na odegranie roli drugorzędnej; było ono wprawdzie łącznikiem między Europą południowo-wschodnią z jednej strony, a Azją Mniejszą i Kaukazem — z drugiej, było wprawdzie naturalnym kierunkiem ekspansji i dla narodów, posuwających się wzdłuż ujścia Dunaju, Dniestru, Dniepru i Donu — to jednak od początku XVI aż do końca niemal XVIII w. Morze Czarne w przybliżeniu nawet nie mogło się równać co do znaczenia z Bałtykiem, gdyż okalającym go narodom brakło tego impulsu, który z morza czyni podstawę polityki mocarstwowej i ekonomicznej.

Główną przyczyną tego stanu, poza samem położeniem Morza Czarnego, była ta okoliczność, że wybrzeża jego przez całe stulecia zamieszkałe były przez narody mało kulturalne, lub nie posiadające zmysłu gospodarczego. Jednakże od północy posuwały się ku niżowi czarnomorskiemu dwa zorganizowane państwa, dla których oparcie się o wybrzeże morskie na południu dyktowane było nietylko względami natury gospodarczej, lecz również wewnętrzno-państwowej, względami, które, jak zobaczymy, do pewnego stopnia stanowiły o ich bycie. Jednemu z tych państw udało się opanować Morze Czarne i w znacznej mierze dzięki temu ugruntowało swoje stanowisko mocarstwowe; drugie z nich celu swego nie dopięło, co stało się dlań jedną z przyczyn upadku. Mam tu, oczywiście, na myśli Polskę i Moskwę. Szkicowy przegląd prób rozwiązania problemu czarnomorskiego przez oba państwa, ich wspólne w tym kierunku wysiłki, jest przedmiotem niniejszego artykułu.

Zajęcie Konstantynopola przez Turków, zamknięcie Hellespontu i ekspansja ich w kierunku ujścia Dunaju miały olbrzymie znaczenie dla Europy wschodniej i przeobraziły system gospodarczy państw, których interesy handlowe związane były z Morzem Czarnem. Jak wiadomo, wybrzeża północne tego morza, niezależnie od tego, czy należały *de*

nomine do Wołoszczyzny, Litwy, czy Chanatu Krymskiego, opanowane były w średniowieczu przez Genuę, w której ręku znajdowały się wszystkie ważniejsze porty, ogniskujące handel wschodnio-europejski. Z Moskwy i innych ziem korony Monomacha szedł szlak handlowy wzdłuż Donu, u wrót którego rozsiadła się Tana, późniejszy Azow. Z Rygi i Nowogrodu szła odwieczna droga handlowa od Bałtyku wdół Dniepru. Naddniestrzański Białogród (późniejszy Akkerman) był portem handlowym dla ziem polskich, tak jak dla Mołdowołoszczyzny — naddunajska Kilja. Wszystkie te punkty handlowe były niejako ekspozyturami wszechwładnej Kaffy, która rozgościła się na wybrzeżu krymskiem i w rękach swych zmonopolizowała cały handel czarnomorski.

Pierwsza połowa wieku XV, okres największego rozwoju wschodnich placówek genueńskich, jest jednocześnie okresem rozkwitu szeregu miast, leżących na głównych szlakach handlowych, jak Kijów i Lwów. Dzięki pracy Kutrzeby, [1]) wiadomo, jak wielką np. rolę odgrywał Lwów, jako ostatnia stacja przeładunkowa na drodze czarnomorskiej, gdzie się zkolei zbiegały inne drogi nietylko z ziem polskich, czy ruskich, lecz ogarniające część Europy zachodniej. We Lwowie zbierały się transporty futer polskich, bursztyny bałtyckie, wyroby norymberskie, a nawet sukna flandryjskie. Wszystko to gromadzono we Lwowie, by stamtąd odtransportować dalej ku morzu via Halicz - Kołomyja - Jassy - Białogród do Kaffy. Objekty te, zależnie od ich celowości, przesyłała Kaffa do swych posterunków anatolijskich, Trebizondy i Synopy, skąd szły dalej w głąb Azji, bądź też przewoziła przez cieśniny do portów Europy południowej. Tą samą drogą szły w głąb lądu wschodnio - europejskiego wyroby włoskie i coraz bardziej cenione artykuły wschodnie, pochodzenia perskiego i indyjskiego.

Zajęcie Konstantynopola i zamknięcie cieśnin przerwało łączność Kaffy z Morzem Śródziemnem, nie obaliło jednak zrazu jej potęgi handlowej. Genua, osłabiona w wyczerpującej walce z Wenecją, nie miała sił, by móc wywrzeć na Turcji jakąkolwiek presję w kierunku neutralizacji cieśnin,

[1]) St. Kutrzeba, *Handel Polski ze Wschodem*. Kraków, 1903.

toteż odstąpiła swe prawa do Kaffy bankowi Casa di San Giorgio. Odtąd porty czarnomorskie pośredniczą tylko między Azją Mniejszą i Europą Wschodnią, a jedyna droga, jaką utrzymywały kontakt z ojczyzną, prowadziła przez Lwów, którego znaczenie handlowe, a zatem i dobrobyt, wzmogły się jeszcze bardziej.

Jednakże taki stan rzeczy nie trwał długo. Turcy, umocniwszy się na Bałkanach, postanowili opanować całe Morze Czarne. Wypad ich szedł zarówno w kierunku ujścia Dunaju, jak Krymu i portów anatolijskich. Zaczęli od tych ostatnich. Gdy w r. 1461 padły kolejno Synopa i Trebizonda, w kolonjach genueńskich wszczął się popłoch. Poczęto teraz zabiegać o pomoc u państw zainteresowanych. Kształtujące się pod rządami Iwana III Wielkie Księstwo Moskiewskie pomocy tej udzielić nie mogło, gdyż z powodu wielkich przestrzeni stepów, oddzielających je od morza, a zatem utrudniających handel z Taną, nie było tak dalece związane z istnieniem kolonij włoskich, zresztą przejawiający się właśnie imperjalizm młodego państwa szedł raczej w kierunku Litwy. Jedyną pomoc istotną mogła okazać Monarchja Jagiellońska. Kaffa rozumiała ten stan rzeczy, to też już w r. 1462 zwrócił się konsul kaffeński do Kazimierza Jagiellończyka z prośbą o pomoc i opiekę. W szczególności prosił, by król we wszystkich traktatach z Tatarami i Turcją zaznaczał, iż Kaffa jest integralną częścią jego państwa.

Polityka ta zawiodła. Kazimierz Jagiellończyk całą uwagę miał wówczas zwróconą ku zachodowi, a społeczeństwo szlacheckie, dochodzące do władzy, nietylko nie rozumiało znaczenia handlu tranzytowego, lecz, w egoiźmie swym klasowym zaślepione, cieszyło się z podcięcia dobrobytu miast. Inercja ta wydała owoce. W r. 1471 zdobyli Turcy Tanę, a w cztery lata później samą Kaffę. Napróżno Casa di S. Giorgio pragnęła subsydjować wyprawę w celu odzyskania Kaffy — projekty te nie spotkały się w Polsce z uznaniem.

Dopiero, gdy w r. 1484 padła Kilja — klucz do Mołdawji i Węgier i Białogród — klucz do Rusi Czerwonej, zrozumiano na dworze królewskim grozę położenia. Zdano sobie sprawę, że stan ten grozi niebezpieczeństwami natury

politycznej. Nim się obejrzano Monarchja Jagiellońska od południa została otoczona pierścieniem muzułmańskim. Chanat Krymski pod protektoratem tureckim zamienił się w groźnego i agresywnego sąsiada. Jeśli w XV w. napady krymskie nie dawały się ziemiom ruskim we znaki, to było to skutkiem polityki Kaffy, która we własnym interesie opłacała chanów, by nie urządzali wypraw na szlakach handlowych. Teraz napady tatarskie stają się zjawiskiem codziennem; nadomiar wszystkiego u wrót dnieprowych, na ziemiach nominalnie litewskich, zbudowali Krymcy potężny Oczaków, który stał się ostatniem ogniwem zaciśniętego łańcucha. Ugruntowana potęga turecko-tatarska zaciężyła jeszcze bardziej na losach Polski, gdy okazało się, że potrafi ona wykorzystać antagonizm litewsko-moskiewski i stać się groźnym pośrednikiem przy likwidowaniu zatargów wschodnich.

Niebezpieczeństwo to zrozumiał dobrze Olbracht, to też organizując swą osławioną wyprawę wołoską, oświadczył jawnie, iż pierwsze uderzenie kieruje na Kilję i Białogród, by stamtąd dosięgnąć Kaffy i oprzeć swe państwo o Morze Czarne. Wyprawa, źle zorganizowana militarnie, zamieniła się w klęskę, z której rezultatów niebawem miano sobie zdać sprawę.

Klęska bukowińska była dla Polski dotkliwym ciosem. Od tej chwili ekspansja w kierunku czarnomorskim zostaje pogrzebana na długie lata. Obaj Zygmuntowie trzymają się w stosunku do Turcji i jej wasalów polityki wybitnie defensywnej. Apele krucjatowe, wychodzące z Rzymu i Wiednia, przyjmowane są w Krakowie ze zrozumiałym sceptycyzmem, zwłaszcza odkąd się przekonano, że nie bez udziału Habsburgów uderzył na dynastję Jagiellońską nowy cios, wymierzony ręką turecką pod Mohaczem. Cały wysiłek skierowany jest tylko w tym kierunku, by nie dopuszczać do koalicji Tatarów z Moskwą, uważaną przez obu Zygmuntów za głównego wroga. O jakiejkolwiek wspólnej akcji z państwem moskiewskiem niema mowy i ono to teraz przechodzi do zdecydowanej ofensywy przeciw wschodniej Monarchji Jagiellońskiej w kierunku na Smoleńsk i Bałtyk. Toteż okres panowania Zygmunta I wypełniony jest prawie całko-

wicie nietylko odbywającą się wojną moskiewską, lecz i powtarzającemi się wciąż napadami forpoczt tureckich w postaci hord tatarskich i oddziałów mołdawskich, pustoszących Pokucie i Ruś Czerwoną. Była to zwykła dywersja, kierowana ręką turecką, a zmierzająca do tego, by zaszachować Polskę i zmusić ją do zaniechania myśli o jakiejkolwiek pomocy na węgierskim teatrze wojny.

Rzecz prosta, że najazdy tatarskie kierowane były na Polskę nietylko przez Turcję, lecz i Moskwę, pragnącą osłabić siły walczącego z nią państwa. Tej samej polityki trzymają się i obaj Zygmunci. Wytwarza się kapitalny paradoks: oto kamieniem węgielnym obu państw słowiańskich staje się pogląd, iż chanat krymski jest najlepszym i najpewniejszym środkiem asekuracyjnym przeciw Moskwie, względnie Polsce.

Zarówno Wasyl III i Iwan Groźny, jak i nasi ostatni Jagiellonowie zdają się zupełnie zapominać o naturalnej ekspansji ich państw ku Morzu Czarnemu, ekspansji, której pierwszym krokiem jest zniweczenie Tatarów krymskich, natomiast uważają ich za najpożądańszych sprzymierzeńców, gotowych w każdej chwili wpaść w posiadłości przeciwnika. W wyniku takiej polityki Krym staje się tym przysłowiowym *tertius gaudens*, który, nie podnosząc żadnych strat, odnosił korzyści niepomierne.

Hypnoza potęgi tureckiej, zwłaszcza po Mohaczu, była w Polsce tak wielka, że Zygmunt Stary lęka się jakiejkolwiek akcji w stosunku do jej wasalów. Nawet, gdy najazdy mołdawskie pomszczone zostały przez Tarnowskiego złamaniem sił hospodarskich w bitwie obertyńskiej, mimo przedstawień senatu, nie zechciał król wykorzystać sytuacji i ponownie zhołdować Mołdawji, obawiając się narazić Porcie Ottomańskiej.

Ta polityka defensywna na południowym froncie państwa ulega dopiero zmianie za czasów Batorego. Jakkolwiek t. zw. „plan Batorego" znany jest w ogólnych zarysach, to jednak opracowanie tego przedmiotu w całości dotychczas jeszcze nie nastąpiło; to pewne, że w ostatnich latach swego życia nosił się król Stefan z zamiarem stworzenia wielkiej koalicji państw europejskich przeciw Półksiężycowi. Głów-

nym celem tej espedycji było z pewnością wyzwolenie Węgier, tem niemniej jednak kwestja ta łączyła się ze sprawą ekspansji polskiej na południe i oparcie granic państwa o Morze Czarne. Nowością zupełną było szukanie związku z Moskwą. Korzystając ze śmierci Groźnego, wysłał Batory poselstwo do Moskwy, którego celem było zjednanie sojuszu na wschodzie i rzucenie armji carskiej na Krym. Tak tedy po raz pierwszy naprawdę stanęła kwestja współdziałania obu państw słowiańskich w sprawie czarnomorskiej. Jak wiemy, śmierć króla rozwiała te plany, tem niemniej jednak społeczeństwo polskie, wiedząc o nich i akceptując je na sejmikach, wyprowadzone zostało z bierności i tego nastawienia defensywnego, do jakiego przyzwyczaiła je polityka ostatnich Jagiellonów.

Spadkobiercą idei Batorego był Zamoyski. Korzystając z zamieszek w Mołdawji i Wołoszczyźnie, postanowił wykorzystać sytuację, przywrócić wpływy polskie w tych krajach i tą drogą osiągnąć wybrzeże morskie między Dunajem a Dniestrem. Plan swój postanowił wykonać samodzielnie, jedynie opierając się o Węgry, gdyż jakakolwiek łączność z Austrją przeciwna była tradycyjnej jego polityce, zaś próby wciągnięcia Moskwy nie dały pozytywnych rezultatów. To ostatnie niepowodzenie nie należy przypisywać wrogiemu nastrojowi wschodniego sąsiada, lecz niepewnemu stanowisku i rezerwie ówczesnego cara. Borys Godunow, mając do zwalczenia szykującą się opozycję bojarów, nie chciał i nie mógł wdawać się w niebezpieczne przedsięwzięcie, zwłaszcza, że zdolności wojskowych nie posiadał, a wojewodom swym nie dowierzał. Ponieważ poselstwo Lwa Sapiehy konkretnych rezultatów pod tym względem nie przyniosło, zdecydował się Zamoyski rozpocząć wyprawę wołoską na własną rękę. Wyprawa ta, jak wiadomo, ugruntowała na nowo wpływy polskie w Mołdowołoszczyźnie, nie przyniosła jednak długotrwałej korzyści. Śmierć kanclerza, rokosz, a następnie wielka wojna moskiewska zaprzepaściły ideę batorjańską. Napróżno kontynuator zamierzeń Zamoyskiego, Żółkiewski, wskazywał na piętrzące się niebezpieczeństwo od strony południowej, napróżno rysował projekt utworzenia wielkiej armji polsko-kozackiej w celu pozbycia się sąsiedztwa ta-

tarskiego i opanowania wybrzeża od ujścia Dniepru po liman dnieprowy. Ustawiczny zatarg króla z narodem, fatalna polityka Zygmunta III, sprzeczna niejednokrotnie z interesami państwa, uśpiła czujność narodu, zdezorjentowała jego program polityczny i sprowadziła na Rzplitą szereg katastrof, których początkiem był właśnie cios, wymierzony od frontu czarnomorskiego, cios, któremu na imię Cecora.

Klęska cecorska obnażyła całą bezsilność Rzplitej, była niejako bilansem fatalnych szamotań się polskiej myśli politycznej pierwszego pokolenia, wyrosłego w atmosferze wzajemnej nieufności społeczeństwa i dworu. Cecora, niezależnie od pośrednich skutków, do których w pierwszym rzędzie zaliczyć trzeba napad szwedzki i szybko postępującą emancypację odśrodkową kozaczyzny, przyniosła za sobą bezpośrednie załamanie się na czas dłuższy ekspansji polskiej ku południowi, na długie lata zniweczyła, jeśli nie kulturalny, to polityczny wpływ Rzplitej w Mołdowołoszczyźnie. Ostatnie dziesięciolecie rządów Zygmunta III, które przeszło wśród zmagań się z potęgą swedzką, grożą wprost najżywotniejszym interesom państwa — to okres powrotnego naporu dziczy tatarskiej, to okres niszczenia południowych prowincyj państwa, to jedno pasmo nieustannych najazdów krymców, którzy prócz niszczenia dorobku gospodarczego tych prowincyj, przygotowywali coś jeszcze bardziej groźnego — przygotowywali demoralizację tamtejszej ludności i wpływali na fatalne w skutkach przeobrażenie psychiki społeczności ukrainnej.

O koalicji polsko-moskiewskiej nie można było marzyć w tym czasie. Wyprawy samozwańców, popierane z Polski, a następnie cała akcja wojenna, sparaliżowana dzięki nieskoordynowaniu planu politycznego, wykopały przepaść nietylko między obydwoma państwami, lecz, co gorzej, pogrążyło całe społeczeństwo moskiewskie w żądzy odwetu na Polakach, którzy w jego oczach byli głównymi sprawcami „smuty". Wprawdzie pierwszemu Samozwańcowi zdołano w Polsce zaszczepić ideę wspólnej krucjaty przeciw światowi muzułmańskiemu, projekt ten jednak zgasł wraz z życiem młodego uzurpatora. Nowa dynastja Romanowych wyniesienie swe na tron musiała ugruntować przez koniecz-

ność kontynuowania programu, zwanego popularnie testamentem Iwana Kalety. Program ten w języku tradycyjnym zwał się zjednoczeniem wszystkich ziem ruskich, w języku zaś geograficznym — opanowaniem całej niziny wschodnioeuropejskiej. W praktyce wysuwało to trzy drogi wypadowe: na Bałtyk, Morze Czarne i wschodnie połacie Rzplitej Polskiej. Ten ostatni wypad, biorąc pod uwagę rewanżowe nastroje, panujące w Moskwie, wydał się najpilniejszy i najniezbędniejszy, toteż okres od rozejmu dywilińskiego rząd moskiewski poświęcił na szybkie, tem niemniej systematyczne przygotowanie do wojny z Polską. W konsekwencji o jakiejkolwiek akcji polsko-moskiewskiej nie mogło być mowy; przeciwnie — Moskwa, gotowa iść na wielkie ofiary na rzecz innych sąsiadów, których zdoła za cenę tę przeciwstawić Polsce. Przykład tego dała zarówno w artykułach pokoju stołbowskiego, zrzekając się na rzecz Szwecji jedynego dostępu do Bałtyku, jak i w ustępliwej polityce wobec Tatarów, jak wreszcie w zaniechaniu odsieczy dla opanowanego przez Dońców Azowa. Klęska cecorska i najazd Gustawa Adolfa nie odbyły się bez cichej interwencji dyplomatycznej naszego wschodniego sąsiada. Niemoc Rzplitej, obnażana w wojnie pruskiej, ukwieconej haniebnym traktatem altmarskim, zdawała się zapowiadać wszelkie gwarancje powodzenia w zamierzonym rewanżu ze strony Moskwy.

Dopiero nieudany zamach na Smoleńsk, kapitulacja całej armji Szehina przy jednoczesnej porażce sprzymierzeńca tureckiego pod Kamieńcem, zmusiły Moskwę nietylko do zaniechania akcji zaczepnej na froncie zachodnim i podpisania pokoju polskiego, lecz i do całkowitej rewizji swej dotychczasowej polityki zagranicznej. Odtąd przez lat dwadzieścia, aż do katastrofy korsuńskiej patrzeć tam będą na Polskę, jak na niezwyciężonego sąsiada, z którym szukać należy raczej wspólnych punktów zaczepienia dla akcji przeciw wrogowi obu kontrahentów. Dążności te zrozumiano w Polsce, postanowiono je wykorzystać — i oto powstaje w Warszawie gigantyczny zamysł wspólnej akcji przeciw światowi muzułmańskiemu w kierunku wybrzeży czarnomorskich.

Zamysł wojny tureckiej Władysława IV-go posiada u nas dość obfitą literaturę historyczną, uwieńczoną świetną

monografją poświęconą temu tematowi, która wyszła z pod pióra Czermaka.[1]) Poprzednikiem Czermaka na tem polu był Kubala, który na łamach biografji Ossolińskiego kwestji tej poświęcił wiele miejsca.[2]) Prace te bezwątpienia rzuciły olbrzymi snop światła na to znane dawniej dość powierzchownie zagadnienie, tem niemniej jednak nie przestawiły zagadnienia tego wszestronnie. Kubali przyświecał zasadniczo inny cel, toteż na projekt wojny tureckiej patrzył poprzez pryzmat udziału w nim Ossolińskiego, w rezultacie, opierając się prawie wyłącznie na źródłach polskich, zajął się autor przeważnie kwestją oddźwięku, jaki znalazły zamysły królewskie w opinji społeczeństwa. Czermakowi krytyka fachowa, doceniając zresztą wartość jego pracy, zarzuca pominięcie kwestji kozackiej, tak ściśle związanej z całością programu. Zarzut to słuszny. Czermak większość swej pracy oparł na niewykorzystanych dotychczas źródłach weneckich, toteż cały program Władysława IV potraktował z punktu widzenia jego układów z państwami włoskiemi, a rolę kozaczyzny potraktował drugoplanowo. Zarzut ten rozszerzyć można dalej, gdyż zbagatelizowany został całokształt ogólnej polityki wschodniej, który można nazwać węzłem czarnomorskim, a na którego splot składali się zarówno Kozacy, jak Tatarzy i państwo moskiewskie. Poza tem, analizując obie wspomniane prace, nie można się w nich dopatrzeć dostatecznego uzasadnienia zamysłu z punktu widzenia interesów państwa Polskiego.

Rzecz prosta, iż niniejszy krótki artykuł nie pozwala na rozwinięcie tego tematu, można jednak w formie możliwie zwięzłej odpowiedzieć sobie na pytanie, jaką rację bytu miało dla Rzplitej w wieku XVII dążenie do rozwiązania kwestji czarnomorskiej. O znaczeniu handlowem i strategicznem wybrzeży morza południowego była już mowa poprzednio; od czasów Olbrachta niewiele się pod tym względem zmieniło, chyba to tylko, że obecnie, po upadku miast, społeczeństwo szlacheckie jeszcze mniej zdawało sobie sprawę z polityki handlowej, jeszcze mniej bodaj zwracało

[1]) Czermak, *Plany wojny tureckiej Władysława IV.* Kraków 1896.
[2]) K. Kubala, *Jerzy Ossoliński* (kilka wydań).

uwagę na geograficzne położenie państwa. Wszakże przez półtora wieku zaszły pewne zmiany, których niebezpieczeństwo dotarło zczasem nawet do zbiorowego instynktu narodu. Mam tu na myśli oścień, wbity w organizm państwa polskiego przez usadowienie się ordy krymskiej, oścień, który w porę nie usunięty i z niezwykłą lekkomyślnością bagatelizowany, spowodował śmiertelną bodaj ranę w postaci kozaczyzny.

W miarę postępu kolonizacyjnego ku Niżowi, napady krymskie stały się zjawiskiem powszedniem, zmorą południowo-wschodnich prowincyj państwa, klęską dotkliwą dla rozwoju ekonomicznego Ukrainy i hamulcem w pochodzie cywilizacji na wschód.

Tatarzy wyrządzali Rzplitej szkody nietylko przez najazdy i ogałacanie całych postaci kraju z ludzi — byli oni również sprawcami tego stanu niepewności i rozwielmożnienia swawoli, jaki panował na Ukrainie. Cokolwiek się mówi o ekonomicznych przyczynach powstania kozaczyzny, niewątpliwie rzuca się w oczy, iż główną przyczyną jej istnienia byli Tatarzy, wojskowa organizacja kozacka powstała jako nieunikniony skutek istnienia w sąsiedztwie ordy, jako konieczna samoobrona ludności przeciw najeźdźcom, która w zetknięciu się z wrogiem przejmować poczęła wszystkie jego cechy i stała się zkolei ciężarem dla państwa niemniejszym od Tatarów. Utworzeniu się kozaczyzny, w zaraniu swem zdradzającej już tendencje odśrodkowe, mogło państwo zawczasu zapobiec, skoro jednak tego nie uczyniło, skoro powstał już problem kozacki, należało go rozwiązać.

Społeczeństwo polskie cechowała połowiczność w załatwianiu ważnych zagadnień państwowych, toteż i w odniesieniu do kwestji kozackiej nie zdobyło się na żaden zdecydowany plan, a poprzestano jedynie na chwilowych kompromisach. Zresztą już społeczeństwo szlacheckie z przełomu w. XVI na XVII uważało kozaczyznę za jedyną tarczę przeciw najazdom tatarskim, czego żywe dowody daje nam ówczesna literatura polityczna. Tak było istotnie. Szlachta nie rozumiała potrzeby silnej armji i linji fortyfikacyjnej na południu, toteż często chowała się za szable kozackie, które, trzeba przyznać, niejednokrotnie osłaniały Rzplitę przed

Półksiężycem. Wszelako, w drugiej ćwierci XVII w. pogląd ten się zmienia. W Polsce zaczyna kiełkować myśl, że Rzplita ma z powodu kozaczyzny więcej kłopotów niż korzyści, zwłaszcza, jeżeli się weźmie pod uwagę oburzenie, a właściwie strach przed rewanżem tureckim za wyprawy czarnomorskie niżowców. Od pokoju chocimskiego daje się wyraźnie zauważyć tendencja do powolnego znoszenia kozaczyzny i zniwelowania jej z ogólnym ustrojem państwa, czemu ostatni wyraz dano w ustawie sejmowej z r. 1638. Jeżeli zaś zdecywano się na drogę stopniowego likwidowania kozaczyzny, to najprostszą drogą do tego było zniszczenie potęgi tatarskiej, gdyż tylko w tym wypadku kozacy straciliby rację bytu i siłą rzeczy z organizacji odśrodkowej staliby się powoli elementem osiadłym. Tak więc walka z Krymem nie była jedynie obroną przed najazdami, była ona również walką z kozaczyzną, walką z anarchją, walką z rozwielmożnioną swawolą, czy też, według terminologji Szajnochy, „walką pługa ze stepem".

Teraz zkolei nasuwa się pytanie, czy łączność kwestji kozacko-tatarskiej jest jedynie teoretycznym poglądem badacza przeszłości, czy też była ona już rozumiana przez ówczesne społeczeństwo polskie, a przynajmniej jego przodujące umysły. Na pytanie to należy odpowiedzieć pozytywnie. Kwestję tę już dawniej zrozumiał Żółkiewski, który pierwszy zetknął się zbliska z kozaczyzną. W r. 1617 pisał on do króla, by utworzyć 100.000 armję polsko-kozacką w celu zniszczenia chanatu krymskiego, przez co zniknie podstawa ciągłego fermentu na Ukrainie, a tem samem stracą podstawę bytu Kozacy, którzy jak się wyraził, „są bardziej od Turków formidabiles..." Odpowiedzią na ten list była — Cecora. Taki sam pogląd na kwestję tatarską posiadał właściwy twórca t. zw. zamysłu Władysława IV, ostatni hetman szkoły Zamoyskiego, łączący w osobie swej wielkie zdolności wojskowe obok zalet męża stanu. Mam na myśli hetmana w. k. Stanisława Koniecpolskiego. Świat muzułmański znał on zbliska zarówno z ciągłych starć orężnych, jak i z czasów kilkuletniej niewoli tureckiej po nieszczęsnej wyprawie cecorskiej, toteż z niebezpieczeństwa tatarskiego zdawał sobie dość wcześnie sprawę i sprecyzował jasno

projekt akcji wypadowej w kierunku wybrzeża czarnomorskiego już wówczas, gdy ani król, ani jego najbliższe otoczenie, nie wyłączając agentów rzymsko-weneckich, o planie tym nie myśleli. Powszechne autorstwo zamysłu wojny tureckiej przypisuje się królowi i sferom dworskim, a projekt zamysłu przenosi się na r. 1645. Tymczasem nie tak było istotnie; na podstawie nowych materjałów rękopiśmiennych rewindykowanych z Rosji, można ustalić, że hetman już w r. 1636 przygotował memorjał na sejmiki p. t. „Sposób zniesienia ordy", w którym rozwijał myśl zawarcia linji polsko-moskiewsko-siedmiogrodzkiej, w celu opanowania całego wybrzeża od ujścia Dunaju po Krym włącznie.[1])

Wystąpienie hetmana było na czasie, gdyż związane było z ówczesną wojną domową na Krymie i kłopotami tureckiemi na froncie perskim, a jeden z kandydatów do chanatu ubiegał się zupełnie wyraźnie o interwencję Rzplitej. Społeczeństwo ze zwykłą sobie biernością uznało projekt hetmana za słuszny, nie uczyniło jednak nic dla zrealizowania go, mimo nawoływania ze strony Persji do wspólnej akcji przeciwtureckiej. Zresztą, jedynie hetman zdawał sobie sprawę z dogodności momentu, gdyż król, zajęty jeszcze negocjacjami o koronę szwedzką, daleki był od akcji zaczepnej na froncie południowym.

Dopiero niepowodzenia polityczne Władysława IV na arenie europejskiej i niebywałe zwycięstwo Koniecpolskiego nad Tatarami pod Ochmatowem zmieniło zarówno program królewski, jak i dotychczasowe nastroje społeczeństwa. Ogół szlachecki zdawał sobie sprawę z konieczności pozbycia się niewygodnego sąsiedztwa tatarskiego, jeżeli jednak zachowywał się opornie przeciw zamierzeniom ofensywnym, to z obawy przed niepewnością skutków tak ryzykownego przedsięwzięcia. Dopiero po Ochmatowie urobił się pogląd, zresztą podsycany umiejętną propagandą poważanego powszechnie hetmana, że Tatarzy nie są niezwyciężonym wrogiem, że pewien wysiłek ze strony narodu może kwestję tatarską rozwiązać radykalnie. Tę zmianę nastrojów postanowił wykorzystać dla swych celów Władysław IV i walkę

[1]) Bibl. Narod. Rkp. rewind. Pol. F. IV. 45.

z Krymem połączyć z ogólno-europejską krucjatą przeciw Stambułowi, przyczem uderzenie na Turcję miało nastąpić ze strony Polski i Wenecji, zaś podbój Krymu przeznaczano — Moskwie.

Pertraktacje króla i jego plan strategiczny są powszechnie znane. Tu trzeba zaznaczyć, iż program polityczny wyszedł i tym razem z ust Koniecpolskiego. W swym „dyskursie", złożonym w senacie w styczniu 1646 r., wystąpił hetman z programem sojuszu moskiewskiego, który miał polegać na wspólnej akcji przeciw Tatarom, przyczem jako rezultat tej akcji miał być podział terytorjum tatarskiego między oba państwa. Moskwa miała otrzymać cały półwysep krymski, Polska zaś wybrzeże morskie między ujściami Dniepru i Dniestru z Oczakowem. Hetman nie radził wszczynać akcji zaczepnej przeciw Turcji, jednakże zdawał sobie sprawę, iż w podobnym wypadku Porta nie pozostanie bierna, toteż planował zajęcie Mołdawji i Wołoszczyzny i oparcie się o ujście Dunaju przez zdobycie Kilji i Białogrodu. Walka z Turcją w tych warunkach nie wydawała się hetmanowi rzeczą trudną, skoro Tatarzy, zajęci wojną moskiewską, nie będą mogli się zdobyć na akcję dywersyjną przeciw Polsce. Warunki zdawało się sprzyjały. Turcja prowadziła uciążliwą wojnę wenecką, tajne poselstwo od narodu bułgarskiego obiecywało na wypadek wojny powstanie na Bałkanach, w Mołdawji od czasów Mohyłów szerzyły się szybko polskie wpływy kulturalne, hospodar Maciej Bassaraba obiecywał 40.000 posiłki. Tak więc program hetmana zmierzał do opanowania wybrzeża nietylko oczakowskiego, lecz w myśl odwiecznych tradycyj, ugruntowanie wpływów w Mołdowołoszczyźnie wraz z oparciem się o Kilję i Białogród-Akkerman, jako porty naturalnej ekspansji handlowej dla ziem mołopolskich. Pozostaje do rozpatrzenia kwestja, czy i na jakiej podstawie realnej opierał się projekt ligi z Moskwą.

Jak już wspomniano, nieudany rewanż smoleński, a tem samem dalsze perspektywy opanowania wybrzeży bałtyckich zmusiły Carstwo Moskiewskie do zaniechania akcji zaczepnej na zachodzie; pozostawał, uskuteczniony zresztą pomyślnie, rozwój państwa w kierunku wschodnim przy jedno-

czesnej trosce o front południowy, który w w. XVII przysparzał Moskwie wiele kłopotu. W przeciwieństwie do polskiego społeczeństwa szlacheckiego, naród moskiewski cechowało zrozumienie interesów gospodarczych, a w pierwszym rzędzie roli, jaką dla dobrobytu państwa odgrywał handel. Jeżeli Groźny podjął podbój wybrzeży Bałtyku, to uczynił to nietylko w imię interesów natury politycznej, lecz w równej mierze w celu nawiązania bezpośredniego kontaktu handlowego z Europą Zachodnią. W równym stopniu nęciła handel moskiewski chęć zdobycia rynków wschodnich i zagarnięcia w ręce swe dróg handlowych między Azją południową i Europą. Cel ten częściowo został osiągnięty przez Groźnego, gdy podbił ordy nadwołżańskie, Astrachań i Kazań, opanował wybrzeża Kaspijskie i w ten sposób nawiązał kontakt handlowy z Persją, a przez nią i z Indjami. Fakt ten miał znaczenie nietylko polityczne, lecz i ekonomiczne przedewszystkiem dla Europy Wschodniej. Mimo zasadniczej zmiany wielkich dróg handlowych, fakt ten się odbił i na Polsce. Uważam, iż badacze dziejów gospodarczych Polski zbyt mało zwrócili uwagi na to, iż w wieku XVII Polska otrzymuje znaczną część tak cenionych wówczas artykułów wchodnich właśnie drogą tranzytu moskiewskiego, znacznie więcej, niż okólną drogą na Gdańsk, czy też za pośrednictwem Stambułu.

Jednakże ekspansja moskiewska szła nietylko w kierunku Kaspji, lecz również ku Morzu Czarnemu, ściśle mówiąc ku jego Azowskiej Zatoce. Kolonizacja moskiewska systematycznie posuwała się wzdłuż Donu, jednakże u wrót tego ostatniego stał Azow, niegdyś genueńska Tana, teraz potężna twierdza turecka, zamykająca drogę handlową dońską. Moskwa zdawała sobie sprawę ze znaczenia Azowa, mimo to, lękając się odwetu, nie skorzystała ze zdobycia go przez kozaków dońskich, a czekała raczej cierpliwie na rozwój wypadków, by wszystkie szanse mieć po swej stronie. Jak widać, interesy handlowe Moskwy szły narazie raczej w kierunku Morza Azowskiego, pozostawiając Krym na uboczu, jednakże były przyczyny, które skłaniały ją do agresji i w tym kierunku.

W okolicach dolnego Donu i Dońca stykały się posia-

dłości moskiewskie z koczowniczemi ordami tatarskiemi, nohajską i perekopską, pozornie niezawisłemi, w istocie zaś będącemi ekspozyturą Krymu, który teraz jest właściwie centrum świata tatarskiego. Girejowie krymscy, jak i dawniej, tak i teraz prowadzą politykę dwustronną, wykorzystując zatargi polsko-moskiewskie i dając się obu państwom we znaki. Najazdy ord tatarskich dla Moskwy były może jeszcze bardziej niszczące niż dla Polski, gdyż armja carska nie umiała stawić czoła ordzie, która zapuszczała się w głąb państwa, rabując bezkarnie. Ulegając orężnie, broniło się jednak carstwo na swój sposób, odmiennie od Polski. Fatalnym błędem ze strony polskiej polityki gospodarczej było odgrodzenie się od Tatarów szerokim pasem t. zw. dzikich pól, pozornie należących do Rzplitej, w rzeczywistości będących dogodnem przedpolem obserwacyjnem dla Tatarów, za którem kryli się bezpiecznie. W pierwszej połowie XVII w., to jest w okresie największego tempa kolonizacji ziem ukraińnych, ekspansja kolonizacyjna idzie niemal wyłącznie na wschód, na Zadnieprze, w rezultacie czego między Dnieprem a Dniestrem „step" posuwa się ku północy. Moskwa trzyma się zgoła innej taktyki: nie kusi się o fikcyjne posiadanie dzikich pól, natomiast z żelazną konsekwencją i iście wschodnią cierpliwością posuwa się w dół Donu krok za krokiem, posuwa swą linję obronnych zameczków coraz bardziej ku południowi, nie pozostawia za sobą stepu, lecz ziemię skolonizowaną przez własną ludność. Najazdy tatarskie niszczyły te linje, przechodziły, jak ogień, po ziemiach moskiewskich, mimo to, w chwilach pokoju, Moskwa odbudowuje znów swą linję i posuwa ją dalej tak niespostrzeżenie, jak czyniła to na Zadnieprzu w pierwszej połowie XVI w. Ta polityką może w znacznej mierze włynęła na to, że „step" się przed Moskwą cofnął.

Mimo to sąsiedztwo tatarskie fatalnie wpływało na rozwój W. Ks. Moskiewskiego. Nietylko przez najazdy. Tak, jak Krym wpłynął deprymująco na psychikę kozaczyzny polskiej, tak też oddziaływał na Kozaków dońskich, utrzymując południowe prowincje moskiewskie w stanie ustawicznego wrzenia. Wreszcie Krym stale nawiązywał stosunki z podbitemi ordami nadwołżańskiemi, pobudzając je do

powstań, z trudem tłumionych przez wojewodów carskich.

Wszystkie te względy budziły w Polsce nadzieję, iż projekt ligi antitatarskiej zostanie przyjęty przychylnie. Jakoż tak i było. Gdy w grudniu 1645 r. orda krymska urządziła olbrzymi najazd na ziemie moskiewskie, rada bojarska z gotowością przyjęła propozycję. Przedwstępne rozmowy rozpoczęto z posłem carskim w Warszawie, oficjalny zaś traktat zawarł Kisiel w Moskwie w czerwcu 1647 r. Bojarowie tak byli skłonni do zawarcia ligi, że proponowali sojusz zaczepny i natychmiastową akcję wspólną. Jednakże poseł polski, kierując się instrukcją królewską, zgodził się jedynie na sojusz odporny, to znaczy, że w razie zaczepki tatarskiej oba państwa miały połączyć siły zbrojne. Poszło to stąd, że Władysław IV nie akceptował planu Koniecpolskiego, zamyślając w dalszym ciągu atak nie na wybrzeże krymskie, lecz besarabskie. Zamierzał on spowodować najazd tatarski, odeprzeć go z pomocą Moskwy, następnie wojska kozacko-moskiewskie pchnąć na Krym i morze, a w razie niechybnej interwencji tureckiej skierować siły polskie w kierunku ujścia Dunaju.

Wielki ten zamysł, jak wiadomo, nie udał się. Obok nietaktu króla, który spowodował niechęć społeczeństwa, główną tego przyczyną była trafna polityka Turcji, która nietylko w porę zatrzymała przygotowany najazd tatarski, lecz utworzyła sojusz chana z Chmielnickim, co stało się początkiem katastrofy państwowej dla Polski.

Jak się zachowała Moskwa wobec ligi kozacko-tatarskiej? W myśl traktatu, zawartego przez Kisiela, na wypadek wkroczenia Tatarów do Polski miał car skoncentrować swe wojsko na granicy i posłać je w kierunku, wskazanym przez hetmanów polskich. Właśnie wypadek ten zaszedł — czy zatem kontrahenci moskiewscy wypełnili swe zadanie? W historjografji naszej utarł się pogląd, oparty jedynie na ówczesnych kronikach, że car, korzystając z najazdu kozacko-tatarskiego, zamierzał już wówczas latem 1648 r. wypowiedzieć wojnę Rzplitej, a jedynie bund ludności przeciw zamierzonej wojnie skłonił go do zaniechania akcji.

Twierdzenie to, utrzymane do czasów ostatnich, pocho-

dzi chyba ze zbyt pewnego oparcia się na źródłach polskich, a niedoceniania rosyjskich. Istotnie, kanclerz Ossoliński mówił w sejmie o groźbie moskiewskiej, lecz było to tłumaczenie się, na skutek indagacji, dlaczego rząd nie wezwał pomocy carskiej. Natomiast zupełnie inaczej przedstawia się sprawa, jeśli się czyta uważnie źródła rosyjskie. t. j. cały szereg korespondencyj cara z wojewodami, zawartych w t. zw. księgach „razriadnych", a częściowo opublikowanych w powszechnie znanych wydawnictwach, jak *Akty južnoj i zapadnoj Rossiji* i *Akty Moskowskawo Gosudarstwa*. Ze źródeł tych, co do których niema żadnych wątpliwości, wynika, że Moskwa nie uchylała się od przyjętych zobowiązań i zamierzała zachować się jak najlojalniej. Wojewodowie carscy, w miarę posiadanych wiadomości o sojuszu kozacko-tatarskim, przesyłali je Kisielowi. W maju, już po klęsce żółtowodzkiej, wojewodowie putywelscy oświadczyli Kisielowi swą gotowość i zapewnili, iż czekają jedynie na wezwanie hetmana Potockiego, w jakim kierunku mają się udać. W końcu maja st. st., a więc po klęsce korsuńskiej, wydał car nakaz pogranicznym wojewodom, by szli Polsce na pomoc; rozkaz ten mówił, by żołnierze zachowywali się spokojnie, ziem polskich nie grabili, a za wszystko płacili gotówką. Wojsko to, wobec braku wskazówek hetmańskich, miało się udać według marszruty Kisiela. Zmobilizował car w państwie 40.000 ludzi przeciw Tatarom, a w Putywlu stał 6000-ny oddział, gotów na wezwanie, które jednak nie nadchodziło. Dopiero w lipcu duma bojarska zgłosiła swą neutralność. Powodem tego była zarówno jawna niemoc Rzplitej, jak i bunt ludności moskiewskiej, która podniosła rokosz bynajmniej nie z powodu wojny, lecz ze względów natury społecznej. Tak więc ostatecznie dojście ligi polsko-moskiewskiej nie nastąpiło wyłącznie z winy dyplomacji polskiej, która sojusz tatarsko-kozacki starała się rozbić przy pomocy układów. Sądzę, że był to jeden z zasadniczych błędów. Widok połączonych sił polsko-moskiewskich zmusiłby zapewne Chmielnickiego do porzucenia przyjaciół, a wówczas, odpierając ordę, można było przejść do wykonania dawnego planu Władysława IV.

Z okresu t. zw. „potopu", którego początek należy

właśnie odnieść do wybuchu chmielnicczyzny, wyszła Rzplita osłabiona fizycznie i moralnie. Starczyło jeszcze narodowi sił do obrony własnej niepodległości, zbyt jednak był wyczerpany, by móc się, przynajmniej w najbliższej przyszłości, zdobyć na kontynuację swego programu mocarstwowego. Z tej wielkiej wojny północnej, mimo pozornych sukcesów, wyszło również osłabione i W. Ks. Moskiewskie. Zdobyto wprawdzie Smoleńsk, spalono Wilno, spustoszono pół Litwy, przyjęto akt poddańczy kozaczyzny polskiej — wszystko to, zapewne było dostateczną rekompensatą za dawniejsze sukcesy Zygmunta III i Władysława IV — tem niemniej jednak w passywach swych miała Moskwa haniebne klęski, zagłady całych armij pod Konotopem i Cudnowem, przewlekłą i beznadziejną wojnę z Polską o Ukrainę, ustawiczne napady tatarskie i jako wynik tego wszystkiego — raz wraz pojawiające się rozruchy ludowe, które z trudem wielkim udało się opanować.

Chroniczna, bez rezultatu prowadzona szarpanina polsko-moskiewska, której wynikiem było jedynie wzmocnienie potęgi tatarskiej oraz kompletna ruina ziem ukrainnych zmusiły oba wojujące państwa do szukania dróg kompromisu. Poddanie się Doroszenki Turcji było tym ostatnim impulsem, który popchnął oba państwa do zawarcia pokoju. Bezwątpienia traktat andruszowski, tak potępiany przez historjografję polską, wskazywał na to, iż z walki tej Polska wyszła pobita, tem niemniej jednak zawarto go na podstawach realnych, gdyż w ówczesnym stanie rzeczy Rzplita nie mogła marzyć o zdobywaniu Smoleńska, czy też Zadnieprza. Mimo to, traktat zawierał dobre strony, gdyż przecinał gordyjski węzeł kozaczyzny, rozwiązał Rzplitej ręce na wschodzie i pozwalał jej zwrócić się frontem ku południowi, skąd zbierała się nowa burza. Burzę tę miała Polska odeprzeć wspólnie z Moskwą, gdyż traktat pokojowy miał charakter przedewszystkiem przymierza odpornego przeciw światowi muzułmańskiemu, na co wyraźnie wskazywał art. 17 umowy. Czasowe odstąpienie Moskwie Kijowa oparte było na tej zasadzie właśnie, że miasto to miało służyć dla armji moskiewskiej, jako baza strategiczna dla operacji przeciw Tatarom w razie ataku ich na prawym brzegu Dniepru.

Postanowienia te były wyraźnym sprawdzianem w zmianach, jakie się dokonały w umysłach kierujących polityką zagraniczną W. Księstwa. Kierownik tych spraw, a właściwie twórca traktatu andruszowskiego, bojarzyn Ordin-Naszczokin, pierwszy polityk rosyjski na większą skalę, jeden z pierwszych prokursorów kultury zachodniej w Moskwie, postanowił zerwać z tradycyjnym programem Iwana Kalety, a oprzeć swe państwo na mocnych podstawach, których uwarunkowanie leżało w odkryciu dróg do Bałtyku i Morza Czarnego. Gdy utworzenie koalicji przeciwszwedzkiej nie powiodło się, całą energję wytężył w kierunku zawarcia ligi przeciwtatarskiej i przeciwtureckiej. Z fikcji niebezpieczeństwa polskiego zdawał sobie sprawę jasno, toteż, nie obawiając się napaści z tej strony, całe siły postanowił wytężyć w kierunku południowym; w kierunku tym pchały go względy nietylko handlowo-gospodarcze, ale i konieczność obrony przed ustawicznemi powstaniami Tatarów nadwołżańskich, podniecanych przez chanat krymski. Obok tych planów realnych, posiadał Naszczokin, jak każdy polityk w wielkim stylu, inny dalekosiężny plan, który sobie zakreślił na dalszą metę. Odkąd załamał się prestige państwa polskiego, całe Bałkany słowiańskie i schyzmatyckie zwracają oczy ku Moskwie, wmawiając w nią, iż ona teraz tylko może je wyzwolić z niewoli tureckiej; ta okoliczność zrodziła w umyśle Naszczokina ideę federacji słowiańskiej, którą to ideę rozwinął szeroko w mowie, wygłoszonej przed poselstwem polskiem. Nim to jednak miało nastąpić — po drodze leżał Krym, który należało zetrzeć.

Na ustępstwa na rzecz Polski mógł iść tem łatwiej, że nie znosił anarchizmu kozackiego, a w opanowaniu Ukrainy nie dopatrzył się korzyści dla swego państwa, lecz jedynie wielkich trudności. Ustąpienia Zadnieprza żądał jedynie pod silną presją cara, a Kijów poprostu wytargował od delegacji polskiej, nie zdającej sobie zupełnie sprawy z istoty rzeczy. Zresztą, zgodziwszy się zająć Kijów czasowo, chciał go po upływie określonego terminu odstąpić Rzplitej, co go ostatecznie pokłóciło z carem i pozbawiło stanowiska kanclerza.

W Rzplitej nie zdawano sobie sprawy ani ze zmiany kursu polityki wschodniego sąsiada, ani też nie umiano wy-

korzystać postanowień traktatu andruszowskiego, który uważano za haniebny, za zło konieczne i czasowe, które da się odrobić. Toteż, lękając się pomocy Moskwy, która po upadku Kamieńca wyraźnie ofiarowała swe usługi, w rezultacie zapłacono istotnie haniebnym pokojem buczackim. Przed nawałą turecką Rzplita cofa się krok za krokiem, ponosząc konsekwencje tego ciosu na innych frontach.

Dopiero marsz Kara Mustafy i złamanie potęgi tureckiej pod Wiedniem wysunęło przed Polską raz jeszcze, tym razem ostatni, możność wykonania programu czarnomorskiego. Wbrew większości, uważam wyprawę wiedeńską Sobieskiego za posunięcie słuszne; jeżeli żniwo tego plonu zebrał kto inny, nie było to winą programu politycznego, lecz tych, którzy nie umieli go konsekwentnie przeprowadzić na polu orężnem. Sądzę, że nie należy tym razem winić Sobieskiego-polityka, lecz właśnie Sobieskiego-hetmana. Złamanie sił tureckich otwierało przed Rzplitą nietylko widoki odzyskania Kamieńca, lecz utwierdzenie wpływów na wyciągających dłoń hospodarstwach i oparcie się o Dunaj i wybrzeża czarnomorskie. Sobieski-polityk kwestję tę zrozumiał, toteż we wszystkich jego t. zw. wyprawach wołoskich z lat 1686—91 widać wyraźny cel strategiczny — porty czarnomorskie. Konieczność zabezpieczenia się od strony wschodniej zmusiła króla do niepopularnych paktów grzymułtowskich, uznających *status quo ante* od wschodu, dało mu jednak możność do skupienia sił między Dniestrem i Dunajem. Grunt dyplomatyczny, zwłaszcza w r. 1686, był dobrze przygotowany. Zawarto sojusz z Moskwą, zapewniono pomoc mołdawsko-siedmiogrodzką, jednakże z niedołęstwem prowadzona kampanja wojenna wniwecz obróciła cały plan. Słusznie mówi historyk tych wypraw, że badając dzieje kampanji wołoskiej odnosi się wrażenie, że to nie koniec wieku XVII, lecz XV, że wojnę prowadzi nie zwycięzca z pod Wiednia, lecz błąkający się w lasach bukowińskich Olbracht. Gdy dywersja moskiewska w stepy skończyła się fiaskiem, gdy ostatnia wyprawa króla na Mołdawję przyniosła porażkę — trzeba było zrezygnować z wielkich zamierzeń. Z wiru tych walk wychodził Sobieski zdruzgotany moralnie i fizycznie, a wraz z nim coś więcej jeszcze — zdruzgotany

został bezpowrotnie prestige mocarstwowy państwa, przed którem raz jeszcze stanęły wielkie możliwości.

Jedną z przyczyn niepowodzenia był również brak koordynacji działań wojennych z Moskwą. Następca i kontynuator polityki Naszczokina, kniaź Golicyn, przyjąwszy zobowiązania ligi, pragnął lojalnie dopełnić warunków traktatu, lecz nieufność wobec podkomendnych i brak osobistych zdolności wojskowych sprawiły, że zamierzenia jego nie dały rezultatów. W r. 1687 przedsięwziął samodzielną wyprawę w stepy czarnomorskie, lecz ciężka armja moskiewska, postępując za cofającym się nieprzyjacielem, ugrzęzła w pustyni i wróciła z powrotem. Przedsięwzięta w dwa lata później wyprawa, również bez porozumienia z siłami polskiemi, doszła wprawdzie do Perekopu, lecz na wkroczenie do półwyspu zdobyć się nie mogła. Niepowodzenia te wywołały w Moskwie rewolucję pałacową, strącenie Golicyna i zamach stanu młodego Piotra, ale dla państwa nie były porażką. Przystąpienie Moskwy po raz pierwszy do koalicji państw zachodnich wciągnęło ją na stałe w wir polityki międzynarodowej i umocniło jej pozycję.

Reformy, dokonane przez Piotra Wielkiego zamieniły dawne W. Księstwo Moskiewskie w militarną potęgę, która w szybkiem tempie przystąpiła do zrealizowania swych kwestyj terytorjalnych. Sam Piotr wyrąbał drogę do Bałtyku i Azowa, następcom jego przypadło w udziale zlikwidowanie kwestji tatarskiej i zagarnięcie w ręce swe całej linji wybrzeża czarnomorskiego, co dało Rosji nieobliczalne korzyści gospodarcze i polityczne.

Rozwiązania tych kwestyj dokonała Rosja samodzielnie. Jej dawny sojusznik w walce z Krymem był jedynie biernym obserwatorem tych zdarzeń. Z zadziwiającą szybkością postępujący bezwład Rzplitej w epoce saskiej, pozwolił jej trwać jedynie w stanie wzmagającej się wegetacji; o jakiejkolwiek akcji czynnej nie mogło być mowy. Rzplita upadała pod brzemieniem ciosów, wymierzanych jej z zewnątrz i z wewnątrz.

Można stwierdzić, iż cios, który otrzymała z nizin czarnomorskich, był jednym z tych, które były śmiertelne.

Dr. Władysław Tomkiewicz.

Europa kręci sznur...

(Handel zagraniczny Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich).

I. Znaczenie handlu zagranicznego dla ZSRR.

Celem partji komunistycznej, rządzącej Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich, jest włączenie całego świata w obręb tego Związku, który też konstytucyjnie oświadcza, iż nie posiada określonych granic i każdej chwili gotów jest do przyjęcia nowych krajów. Początkowe nadzieje na przyłączenie się innych państw do Sowietów pod wpływem udanej rewolucji komunistycznej zawiodły. Rządy wprost lub nieomal bolszewickie w innych krajach upadły, powodując wzrost reakcji antykomunistycznej (np. Węgry, Włochy, Bułgarja). Zawichrzenia w innych państwach ustały. Życie wróciło do dawnej normy. Trzeba było zrzec się natychmiastowego podboju świata i czekać...

Aby móc czekać, trzeba mieć siły na przetrwanie i utrzymanie się wśród morza państw kapitalistycznych. Rosja sowiecka dobrze pamięta różne wyprawy antybolszewickie, wojny domowe i niedomowe z Kołczakiem, Denikinem i wielu podobnymi. Każdej chwili spodziewa się krucjaty, która zmiotłaby z powierzchni ziemi jedyne państwo komunistyczne. Dlatego najpilniejszą koniecznością Republik Radzieckich jest uniezależnienie się od reszty świata pod każdym względem, zdobycie zupełnej samodzielności gospodarczej, finansowej, militarnej. Trudno o to w kraju o niskiej oświacie, o słabej kulturze gospodarczej, niemal bez przemysłu. To też trzeba było stworzyć wielki przemysł obronny,

zapewnić sobie wszystko własne od pancerników do herbaty, od bawełny do gazów trujących, od pieprzu do samolotów, zboża, książek i t. d. i t. d.

Uskutecznienie tego byłoby możliwe jedynie przez stworzenie własnego ogromnego i wszechstronnego przemysłu, przez niebywałe rozwinięcie wszelkich gałęzi rolnictwa, przez usprawnienie komunikacji i t. d. I to natychmiast! Jak najszybciej! Zanim wybuchnie powszechna wojna przeciw Sowietom, nim rozpocznie się bojkot i blokada gospodarcza, czego komuniści boją się bardziej niż wojny, a spodziewają się tuż tuż. Dlatego stworzono plan usamodzielnienia się wszechstronnego, dogonienia historji gospodarczej krajów najwyżej przemysłowo stojących, prześcignięcia wszystkich państw kuli ziemskiej. Wszystko to musi się dokonać w ciągu pięciu lat — osądzili komuniści w 1928 r. — gdyż dłużej świat kapitalistyczny nie będzie czekał na upadek bolszewizmu.

Gdy wybuchł zatarg o kolej wschodnio-chińską, władcy Kremla zlękli się, iż już nadchodzi godzina rozrachunku. Trzeba przyspieszyć wykonanie planu. „Piatiletka" w cztery lata! Trzeba szybciej uruchomić fabryki, prędzej podnieść wydajność roli, więcej i lepiej wytwarzać.

Oto pierwsze zadanie planu pięcioletniego czyli „piatiletki". Ponadto plan ma pokazać robotnikom i chłopom innych krajów, jak wygląda „budownictwo socjalistyczne", co potrafią stworzyć rządy „pierwszego państwa komunistycznego". Musi się udowodnić reszcie świata, że proletarjat sowiecki żyje dostatniej, wygodniej, bezpieczniej niż to ma miejsce w Anglji czy w Polsce, Stanach Zj. Am. P. czy we Włoszech. Dopiero wówczas propaganda komunistyczna może pociągać szerokie masy i coś im przyrzec lepszego. Dotychczas bowiem stopa życiowa całego świata jest bezporównania wyższa od rosyjskiej.

Wreszcie ukończenie planu pięcioletniego ma zapewnić dobrobyt ludności własnej, zjednać ją dla rządów komunistycznych, przekonać o ich wyższości nad innemi systemami.

Plan zaprojektowano olbrzymi. Chęci były ogromne. Jak je wszelako urzeczywistnić? Oczywiście przeprowadzenie planu wymaga niesłychanych nakładów kapitałów. Setki

miljardów złotych. Skąd je wziąć? Kapitałów własnych Rosja niemal nie posiada. Oszczędności wewnętrzne nie istnieją. Kapitalizacja zniszczona. Świat zewnętrzny kwot tak olbrzymich nie pożyczy. Zresztą wogóle nic nie chce dać rządom odmawiającym spłaty dawnych (carskich) długów. A plan musi być wprowadzony w życie za wszelką cenę, gdyż od tego zależy utrzymanie się komunistów przy władzy w Rosji, a na dalszym planie wywołanie rewolucji powszechnej i zwycięstwo nad całym światem kapitalistycznym.

Było jedyne wyjście. Wysprzedaż. Gdy nikt nie chce pożyczyć, oszczędności się nie ma, pozostaje jedynie wyniesienie na sprzedaż urządzenia wewnętrznego. A więc pozbywać się mebli, kosztowniejszych sprzętów, obrazów i t. p. Tak też i ZSRR przystąpił do generalnej wysprzedaży. Wszystko wywieźć zagranicę. Zdobyć pieniądze, za które możnaby kupić maszyny, surowce i pracę specjalistów. Trzeba nabyć wiele maszyn dla uprzemysłowienia kraju. Musi się sprowadzić niezbędne surowce, których brak wewnątrz lub są w ilości niedostatecznej. Nie można przeprowadzić planu, puścić w ruch maszyn precezyjnych bez fachowej obsługi inżynierów i mistrzów (majstrów). W kraju ich niema. Z zagranicy za darmo nie przyjadą.

Otóż stoimy u podnóża handlu zagranicznego ZSRR. Handel ten jest pierwszym, podstawowym warunkiem udania się planu pięcioletniego i ziszczenia się wszystkich związanych z nim nadziei. Tłumaczy nam to, dlaczego bolszewicy przywiązują do niego tak wielką wagę. Jest on ich oczkiem w głowie.

Co można było wywieźć zagranicę z kraju ubogiego, wyniszczonego wojną światową, rewolucją, wojnami domowemi? Niewiele, jeśli nie nic. A tymczasem potrzebne były miljardy złotych rocznie na zakup towaru zagranicą i płatność obcych „speców". Nie pozostało nic innego, jak wydrzeć dosłownie ostatni kęs chleba z ust ludności własnej, sprzedać wszystko zagranicę. Ludność własna niech przegłoduje kilka lat, wzamian za co przyrzeka się jej dobrobyt po ukończeniu planu.

I ruszył potop nafty, pszenicy, drzewa na podbicie świata, na zalanie go i utopienie, na zdobycie pieniędzy dla

zakupna maszyn, mających zbudować komunistyczną arkę XX wieku, jedyną która ocalałaby w chwili ginięcia kapitalistycznego ustroju.

II. Charakterystyka handlu zagranicznego ZSRR.

Handel zagraniczny Republik Radzieckich różni się od handlu każdego innego kraju zarówno celami jak środkami przeprowadzenia, organizacją, warunkami i t. p. Celem handlu zagranicznego obywateli każdego państwa jest osiągnięcie możliwie największego zysku. Zysk jest motorem poruszającym cały ustrój kapitalistyczny. Cele są przeto wyłącznie natury gospodarczej. Wyjątki zdarzają się nader rzadko. Tymczasem ZSRR ma głównie na oku cele polityczne. Handel zagraniczny jest bronią w walce z wrogiemi państwami o postulaty związkowe. Chodzi np. o nacisk w kierunku prawnego *(de jure)* uznania ZSRR. W tym celu posyła się do danego kraju więcej zamówień. Rzuca się tam mniej własnych towarów. Czynnym dla danego państwa bilansem handlowym ze Związkiem zachęca się jego rząd do nawiązania bliższych stosunków z ZSRR i nęci jeszcze większemi zyskami po prawnem uznaniu.

Częstokroć rozstrzygają także względy polityki wewnętrznej. Nie są też obojętne cele społeczne.

1. Znamiona handlu sowieckiego.

Skutkiem nie kierowania się jedynie względami gospodarczemi jest duża gibkość handlu radzieckiego. Zmienia on łatwo źródła nabycia, przerzuca się z jednych krajów zbytu do innych, wysyła raz mniejsze raz olbrzymie ilości towarów, nabywa przedmioty w różnolitej ilości. Możnaby zasypać przykładami tej elastyczności. Niech wystarczy jeden: w listopadzie 1930 r. Sowiety rzuciły na rynek 38% ogółu dostarczonej przez cały świat pszenicy, już w dwa miesiące potem (styczeń 1931 r.) zaledwie 2%, a w maju 1932 r. miały zakupić wielkie ilości pszenicy w Kanadzie i Stanach Zjedn.

Dotyczy to zwłaszcza zakupów. Jednem pociągnięciem pióra unieważniają miljonowe zamówienia, gdy im coś nie odpowiada. Tak np. zareagowały cofnięciem ogromnych zle-

ceń wobec: Austrji na ograniczenia w przywozie jaj, Francji na wprowadzenie systemu licencji, Belgji na zakaz wjazdu okrętów do portów i t. p. Przerzucanie się takie ułatwia Związkowi zawzięta walka konkurencyjna między różnemi krajami kapitalistycznemi, a nawet ich połaciami.

Głównym wszelako czynnikiem, pozwalającym na tak swobodne i zupełne manewrowanie handlem zagranicznym, jest monopol handlowy. Sowiety mają państwowy monopol handlu zagranicznego. Skutkiem tego skupiają pod jednem kierownictwem wywóz wszystkich towarów oraz zakup wszelakich produktów z całego świata. Ponieważ w tychże samych rękach ześrodkowuje się polityka zagraniczna i wewnętrzna, olbrzymia większość wytwórczości rolniczej i przemysłowej, niemal cały handel wewnętrzny, a nadto rozdział dochodu społecznego, nic więc dziwnego, iż możliwa jest daleko idąca elastyczność, wykluczona przy innym ustroju. ZSRR może tracić na jednym artykule, powetowując sobie te straty na rentowniejszej sprzedaży innego, może przenieść więcej produktów z rynku wewnętrznego na obcy lub naodwrót, może dostosować wytwórczość do konieczności wywozowej.

Wreszcie znamienną cechą czerwonego handlu są warunki sprzedaży. Zasadniczo bowiem ZSRR sprzedaje za gotówkę, a kupuje na kredyt i to długoterminowy. Niewątpliwie utrudnia tem sobie zarówno sprzedaż jak i zakupy. Wielu bowiem nabywców może kupić tylko na kredyt, niejeden zaś dostawca chce sprzedać tylko za gotówkę. Związek jednak musi tak czynić, aby zyskać kapitały na przeprowadzenie planu pięcioletniego. Z jednej strony natychmiast użytkowuje nabyte maszyny i surowce, z drugiej zaś odrazu otrzymuje pieniądze za swój eksport, podczas gdy wydatkować zacznie częstokroć dopiero po roku od zawarcia umowy i to ratami nieraz kilkuletniemi. Tak długie kredyty udzielać może przedewszystkiem przemysł silny finansowo. Z natury przeto rzeczy import do Sowietów skupia się w rękach kilku państw większych, mających przemysł bogaty i dobrze rozwinięty, mogący sprostać takim warunkom kredytowym. To też połowa wwozu do ZSRR pochodzi z dwóch państw: Niemiec i SZAP. Nawet jednak te kraje,

a tem bardziej słabsze rywalizujące, nie byłyby w stanie kredytować Związkowi Republik bez osobnego zabezpieczenia przez własne rządy wypłacalności sowieckiej. Gwarancje te sięgają 60—75% kwot należnych. Redyskonto weksli w tych granicach jest stosunkowo łatwe i tanie. Natomiast reszta sum może być uzyskana tylko na prywatnym rynku pieniężnym po stopie dochodzącej do 30% w stosunku rocznym.

2. Rozwój stosunków handlowych ZSRR.

Od 1929 r. jesteśmy świadkami kurczenia się handlu światowego. Od wybuchu ostrego przesilenia gospodarczego wszystkie kraje pragną ratować się przed kryzysem ideą samowystarczalności. Każde państwo chce jak najwięcej towaru wywieźć zagranicę, lecz nic stamtąd nie przywozić lub jak najmniej. Stąd mnogość podwyżek celnych, kontyngentów przywozowych, zakazów importu, ograniczeń dewizowych i t. p. Niemal wszystkie kraje zmniejszają swoje stosunki handlowe z zagranicą. Fala protekcjonizmu zalała nawet Anglję, ostatnią wyspę wolnego handlu.

ZSRR nie poddał się powszechnemu prądowi. Z konieczności zgadza się na bierny bilans handlowy, gdyż uważa go za niezbędny na okres wprowadzania w życie planu uprzemysłowienia. Stąd to w czasie, gdy handel światowy upada, handel czerwony rośnie. Następnego roku po wprowadzeniu planu, t. zn. w 1929 r., ZSRR miał czynny bilans handlowy na kwotę 190 ml zł. (skrótem „ml" oznaczamy miljony, a „mld" miljardy). W 1930 r. nadwyżka wywozu ponad importem spada do 100 ml zł. Chociaż według niektórych obliczeń już w 1930 r. miał wystąpić niedobór w wysokości obliczanej od 9 do ponad 220 ml zł. Już te różnice obliczeń oraz niezwykła rozpiętość w nich czynią dane cyfry wątpliwemi. Rok zaś ubiegły, t. j. 1931, przyniósł już bezsprzeczny deficyt bilansu w olbrzymich rozmiarach 1·3 mld zł. W roku bieżącym 1932 zapowiada się również bilans bierny, gdyż spadł znacznie wywóz z ZSRR, choć coprawda ograniczony również został i przywóz wobec finalizowania pierwszego planu uprzemysłowienia.

Jaki jest bilans handlu zagranicznego ZSRR? Przedewszystkiem należy stwierdzić, iż cyfry odnośne nie są,

jak zaznaczono, pewne. Oficjalne źródła komunistyczne podają różne niezgodne ze sobą liczby. Odchylenia zachodzą także w obliczeniach kapitalistycznych. Dlatego wszystkie liczby należy przyjmować krytycznie, raczej jako ogólnie objaśniające cyfry szacunkowe. Otóż z tem zastrzeżeniem i z przyjęciem kursu rubla równego 4·45 zł czyli pół dolara SZAP, wynosił handel ZSRR w ciągu ostatnich dwóch lat w miljardach złotych:

	przywóz do ZSRR	wywóz z ZSRR
1930	4·7	4·8
1931	4·9	3·6

Jakie zmiany zaszły w bilansie handlowym Sowietów? Przedewszystkiem odbił się na nim powszechny spadek cen. Obniżyły się wprawdzie ceny wytworów gotowych, kupowanych przez ZSRR, lecz szybciej i silniej spadły ceny surowców dostarczanych przez Rosję. Skutkiem tego Republiki Radzieckie, chcąc utrzymać przywóz z zagranicy w rozmiarach przewidzianych przez plan, musiały nieproporcjonalnie wydatniej zwiększyć swój wywóz. Rzucenie ogromnych mas towaru przy słabnącym popycie na nie musiało oczywiście odbić się dalszym spadkiem cen i bolesnym krzykiem konkurentów o dumpingu sowieckim.

To też niezbędne było zwiększenie objętościowe wywozu o okrągło 50%, aby utrzymać dopływ walut na przewidzianym poziomie. Tak np. w 1930/31 r. ZSRR zwiększył swój wywóz w porównaniu z 1929/30 r. ilościowo a jakościowo:

	ilość	wartość
zboże	23 razy	7 razy
drzewo	53%	30%
nafta	25%	17%

W porównaniu zaś lat kalendarzowych 1930 i 1931 r. wywóz wzrósł ilościowo o 1·3%, natomiast w pieniądzach obniżył się o 21·7%. Ponieważ naogół rok 1931 nie był już okresem dalszych silniejszych zniżek surowcowych, a wydatnie spadły w cenie wyroby gotowe, przeto zyskał na tem przywóz do ZSRR, który w pieniądzach wzrósł nominalnie o 4·3%, a w sile kupna nawet o 24·8%.

III. Handel ZSRR z poszczególnemi krajami.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich utrzymuje stosunki handlowe z 52 krajami, zatem niemal z całym światem. Nas ciekawią tu głównie państwa Europy. Europa bowiem stanowi dla ZSRR główny rynek zbytu, na którym umieszcza on około $^3/_4$ swego wywozu. Natomiast o połowę mniejsze jest znaczenie Europy dla przywozu towaru do Sowietów, gdyż duża część importu jest pochodzenia pozaeuropejskiego. Wzmiankowaliśmy już powyżej, że statystyka handlu czerwonego nie jest zbyt pewna. Różne źródła podają odmienne cyfry. Dlatego poniżej widnieją szacunkowe tylko zestawienia handlu zagranicznego ZSRR według lat 1930 i 1931 w ml zł, zakładając równy stan importu i eksportu. Wymienione są ważniejsze kraje Europy z ominięciem państw nie utrzymujących stosunków handlowych z Sowietami, względnie mających zbyt małe obroty. Oprócz państw europejskich zajmujemy się Stan. Zjedn. A. P. jako potężnym rywalem Europy w walce o handel z Sowietami. Oto jak wygląda przeciętny roczny handel zagraniczny ZSRR w miljonach zł.

Państwo	Wywóz z ZSRR		Przywóz do ZSRR	
	ml zł	% ogółu	ml zł	% ogółu
Anglja	1,300	29·	200	4·5
St. Zjedn. A. P.	210	4·5	1,250	27·8
Niemcy	980	22·	950	21·
Włochy	250	5·5	45	1·
Polska	45	1·	130	2·9
Francja	210	4·5	35	0·8
Belgja	110	2·5	33	0·7
Szwecja	35	0·8	98	2·2
Danja	90	2·	26	0·6
Holandja	90	2·	—	—
Czechosłowacja	75	1·6	85	1·9
Finlandja	26	0·6	53	1·2
Norwegja	16	0·4	40	0·9
Austrja	18	0·4	26	0·6
Grecja	18	0·4	—	—
Razem	3,473	77·2	2,971	66·1
Inne	1,027	22·8	1,529	33·9
Ogółem	4,500	100·	4,500	100·

Uderza tu odmienna rola poszczególnych państw. Kiedy Anglja spożywa największą część towarów sowieckich, to wywozi do ZSRR stosunkowo mało. Naodwrót zupełnie jest ze Stan. Zjedn. Równowagę zaś wykazują Niemcy. Inne państwa widnieją po obu stronach bilansu handlowego mniejszemi odsetkami. Omówimy je wobec tego grupowo według ułożenia powstałego ze skombinowania ich położenia geograficznego i znaczenia w handlu sowieckim. Należą tu grupy: 1) Europa południowo-zachodnia, 2) Skandynawja i kraje nadbałtyckie, oraz 3) Europa środkowa i południowo-wschodnia. Polskę wyodrębniamy celem szczegółowego przedstawienia naszego handlu z ZSRR.

1. Anglja.

Żaden kraj nie przeżył tak dramatycznych scen w stosunkach z ZSRR jak Anglja. Dotyczy to przedewszystkiem stosunków politycznych a także handlowych. Anglja zasadniczo odnosi się wrogo do Sowietów; mimo to zawarła umowę handlową z ZSRR jeszcze w 1921 r., wychodząc z założenia, że handlować można z każdym. W 1927 r. przed wyborami parlamentarnemi odkryto, iż przedstawicielstwo handlowe sowieckie trudniło się propagandą bolszewizmu, co spowodowało zerwanie stosunków handlowych. Ponowne nawiązanie nastąpiło w 1930 r. i odtąd Anglja stale powiększa swój udział w handlu sowieckim.

Zyskują na tem Sowiety, dla których Anglja stanowi bogaty i pojemny rynek odbioru jednej trzeciej całości ich wywozu. Dostarczają Anglji głównie drzewa i wyrobów z niego, nafty i jej przetworów, zboża (pszenicy) i masła, futer, mniej zaś bawełny, lnu, zapałek, glukozy, mąki kukurydzianej, kleju, cukierków, antracytu i t. p.

Wzamian bierze Związek z Anglji różne maszyny, przeważnie włókiennicze. Wywóz wszelako nie jest zbyt wielki. Góruje nad nim konkurencja niemiecka i amerykańska.

Przed wojną Rosja carska obejmowała 5% handlu zagranicznego Anglji. Anglja wywoziła do Rosji towarów za 780 ml zł., przywoziła zaś za 1,750 ml zł. Obecnie wywóz stanowi tylko 200 ml zł., przywóz zaś z ZSRR 1,300 ml zł. Wywóz przeto zmniejszył się niemal do ćwierci, podczas

gdy przywóz tylko o ćwierć. Większą zatem sztywność wykazuje eksport sowiecki do Anglji. W handlu zagranicznym z ZSRR zajmowała Anglja w 1925 r. i 1926 r. pierwsze miejsce, w 1927 r. spadła na drugie, a w 1928 r. nawet na trzecie skutkiem zerwania stosunków, lecz następnie powróciła znowu na dawne przodujące stanowisko. Jednak i tak Rosja nie odzyskała tam swego dawnego znaczenia. W imporcie angielskim stanowi tylko 2% zamiast dawnych 5% z 1913 r. Dotyczy to np. masła, w którego przywozie dawniej Rosja zajmowała miejsce drugie, a obecnie zaledwie szóste.

Wywóz angielski do ZSRR rozwijać się zaczął silniej od 1923 r. W roku gospodarczym 1925/26 osiągnął nawet poziom 580 ml zł., lecz już roku następnego obniżył się do 420 ml zł. i ulegał zmniejszeniu następnie na rzecz towarów amerykańskich i niemieckich. Od 1929 r. datuje się ponowny wzrost, choć nie tak silny. Tak np. wywóz angielski wynosił w pierwszych kwartałach w ml zł: 1929 r. 31, w 1930 r. 48·5, w 1931 r. 61.

Jeszcze gwałtowniej zwiększył się eksport sowiecki do Anglji. Np. w 1929 r. Związek nie wysyłał wogóle do Anglji pszenicy, a w 1930 w samym tylko czwartym kwartale przywóz pszenicy sowieckiej do Anglji wynosił więcej niż wszystkich innych krajów — prócz Kanady — łącznie w ciągu całego roku.

Dlaczego Anglja dopuszcza do takiego wwozu, kiedy głównymi dostawcami pszenicy były jej dominja: Kanada i Australja? Aby wywalczyć większe zamówienia dla swoich fabryk ze strony ZSRR. Nie leży w interesie Anglji utrudniać przywóz innych tanich towarów sowieckich, które nie konkurują z angielskiemi. Środkiem presji może być tylko pszenica, w którą ewentualnie mogłaby się Anglja zaopatrzyć na rynkach własnego imperjum. I ten argument skutkuje.

Angielski przemysł maszynowy otrzymuje zamówienia. Związek Radziecki uprzemysławia się dzięki angielskim maszynom. Powstaje w ZSRR wielki przemysł włókienniczy, który odbierze przemysłowi włókienniczemu angielskiemu nietylko rynek rosyjski, lecz również azjatycki a może i inne. Do czego jest zdolny, tego dał rozmyślną próbkę, wysyłając swoje wyroby włókiennicze do Lancashire, ośrodka

przemysłu włókienniczego Anglji. Narazie martwią się tem tylko fabrykanci materjałów. Wytwórców maszyn włókienniczych to nie wzrusza. Uspokajają swoje sumienie oświadczeniem przedstawiciela sowieckiego, że ZSRR nie będzie wysyłał wyrobów przemysłu włókienniczego do całego imperjum brytyjskiego. Jak dotychczas, Anglja wychowuje sobie konkurenta, zachęcając go nawet do zakupów kredytem 12 miesięcznym oraz gwarancją rządową dla dostawców do 60% wysokości faktury. Rząd angielski stara się zmusić Sowiety, aby zakupywały w Anglji jak najwięcej maszyn, a więc aby uprzemysłowiły się jak najszybciej.

2. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

O ile plan pięcioletni uprzemysłowienia Związku SRR uda się choćby w pewnej mierze, to w lwiej części będzie to dziełem Stanów Z. A. P. Dostarczają one Sowietom najważniejszych maszyn, wysyłają głównych inżynierów, techników, robotników wykwalifikowanych dla puszczenia w ruch tych maszyn i dla przebudowy przy ich pomocy starej Rosji w państwo nowe wedle projektu komunistów. Można bez przesady powiedzieć, że Stany amerykańskie ugruntowują Związek Radziecki, który bez pomocy Ameryki nie zdołałby się utrzymać nawet mimo poparcia Niemiec. Niewątpliwie SZAP czynią to jedynie z chęci doraźnych zysków, dla osiągnięcia jak najwyższych dostaw, celem uaktywnienia bilansu handlowego. Istotnie zyski Stanów z handlu sowieckiego są znaczne. Dostarczają one Sowietom towarów po stałych i wysokich cenach i otrzymują duże kwoty tytułem uposażeń za pracę specjalistów. Wzamian kupują od ZSRR za kwotę 6 razy mniejszą artykuły przeważnie tanie, masowe.

ZSRR godzi się na utrzymanie tak wybitnie biernego dla siebie bilansu handlowego *(patrz Tabl. powyżej)*, potrzebując maszyn do jak najszybszego uprzemysłowienia się, a z drugiej strony spodziewając się znęcić SZAP do uznania *de jure* pomyślnemi zyskami i nadziejami dalszych zarobków.

W miarę jednak uruchomiania własnych fabryk przywóz towarów amerykańskich do ZSRR musi spadać. Nie będzie potrzeba nowych maszyn dla już istniejących fabryk, ani wyrobów, których dostarczą własne wytwórnie. Istotnie

też w związku z kończącem się w tym roku pierwszem stadjum uprzemysłowienia wywóz towarów ze Stanów do Sowietów maleje. Kiedy od 1. X. 1929 r. do 31. III. 1930 r. Sowiety zakupiły w Stanach towarów za 540 ml zł. to w tymże samym czasie 1930/31 tylko za 300 ml zł. Jeszcze silniejsze zmiany wykazują miesiące ostatnie w ml zł:

miesiąc	przywóz z SZAP	wywóz do SZAP
marzec 1932	8,3	5
luty 1932	17,8	4,8
marzec 1931	67,9	10,6

W porównaniu więc z marcem 1931 r. w marcu b. r. Sowiety sprowadziły aż 8 razy mniej towaru, gdy sprzedały tylko 2 razy mniej. Trudniej się jest oderwać Stanom od tanich płodów rosyjskich niż Związkowi od drogich wyrobów gotowych. Sowiety bowiem sprzedają do SZAP mangan, futra, ryby, kawior, antracyt, celulozę, drzewo, dywany, len i t. p., kupują zaś stamtąd traktory, maszyny rolnicze, przyrządy elektryczne i metale.

Po udaniu się nawet w drobnej części planu 5-cio letniego pierwszem państwem, które najsilniej odczuje konkurencję Sowietów, będą właśnie Stany Zjedn. Stracą wówczas rynek rosyjski, prawie zupełnie Azję i część Afryki, a rola ich w Europie skurczy się również dotkliwie. Co potrafią Sowiety, widzieli już Amerykanie w postaci nafty rosyjskiej sprzedawanej w pobliżu swych kopalń nafty w Stanach lub węgla ukraińskiego, przywożonego do Pensylwanji.

3. Niemcy.

Niemcy mają naogół zrównoważony bilans handlowy z Sowietami. Różnice saldowe przywozu i wywozu są niezbyt znaczne. Przyczynia się to do ugruntowania handlu wzajemnego. Był nawet czas, kiedy Niemcy miały nieomal monopol wśród państw kapitalistycznych na handel z pierwszą republiką socjalistyczną. Obecnie monopol ten tracą. Wzajemne stosunki gospodarcze — nie bez podłoża politycznego — oziębiają się. W każdym jednak razie zarówno w imporcie jak i w eksporcie sowieckim Rzesza zajmuje drugie miejsce *(p. Tabl. wyżej)*. Oto jak kształtowały się wzajemne stosunki wymienne:

Niemcy zawarły pierwszą umowę handlową z ZSRR

jeszcze w maju 1921 r., powtórzyły ją w kwietniu roku następnego słynnym układem w Rapallo, odnowiły traktatem z października 1925 r., a wzmocniły konferencją z grudnia 1928 r. Bezpośrednio po pierwszych układach handel Niemiec z Sowietami był znaczny. Do szczytu doszedł w 1923 r. Następny rok przynosi silny spadek. Wobec tego rok 1925 stwarza nowy układ, następstwem czego jest zwiększenie się obrotu a zwłaszcza wywozu do Sowietów z roku na rok. Jednak i tak najwyższy eksport, który był w 1927 r., nie dorównywał nietylko przedwojennemu lecz nawet z 1923 r. W 1928 r. handel się znowu kurczy, a w 1929 r. Sowiety niemal wypowiadają wojnę handlową Rzeszy, przenosząc swoje zamówienia do Anglji, Włoch, Czechosłowacji i t. p. Rzesza odpłaca się pięknem za nadobne, kupując artykuły spożywcze nie w Rosji, lecz w Polsce, na Litwie, Łotwie, w Danji i t. p. Rok 1930 przynosi pewne odprężenie, które trwa w 1931 r. Obecnie jednak ponownie handel niemiecko-sowiecki uległ zmniejszeniu.

Niemcy mają żal do Sowietów, iż zbyt mało zamawiają u nich artykułów przemysłowych, mimo hojnie udzielanych im kredytów, gwarantowanych w 70%, a to 40% przez Rzeszę a 30% przez poszczególne kraje niemieckie. Już w 1926 r. Sowiety dostały prawie 650 ml zł. kredytów, po konferencji w 1928 r. Niemcy udzieliły im nowych na przeszło 1 mld zł. Sowiety zaś zarzucają Niemcom, iż Rosja carska stała na drugiem miejscu w imporcie do Niemiec (a na trzeciem w eksporcie), podczas gdy obecnie Sowiety muszą zadawalać się dopiero 10-tem miejscem. Tymczasem Rzesza w handlu czerwonym znajduje się na pierwszem lub w niektórych latach najdalej na drugiem miejscu.

Udział procentowy Niemiec w handlu zagranicznym sowieckim wynosił:

rok	przywóz do ZSRR	wywóz z ZSRR
1925	16	19
1926	26	24
1927	28	32
1928	30	29
1929	23	24
1930	21	22

W 1931 r. oraz w pierwszych miesiącach br. stosunki dla Niemiec znowu się poprawiły. Przedewszystkiem wzrósł w 1931 r. wywóz niemiecki do Sowietów na 1·6 mld zł. wobec 950 ml w 1930 r. i 750 ml w 1929 r. W 1932 r. zaś Niemcy zająć miały według źródeł sowieckich, prostowanych lekko przez Rzeszę, pierwsze miejsce w przywozie do ZSRR, wyprzedzając Stany. Podobnie już w I kwartale 1932 r. saldo na rzecz Rzeszy wynosiło 950 ml zł., choć wydaje się to mało prawdopodobnem. W każdym razie znamienne jest oficjalne sprawozdanie z handlu zagranicznego Niemiec za I kwartał 1932 r.:

W porównaniu z I kwartałem poprzedniego roku wywóz wykazuje spadek o 33·6% a przywóz o 35·2%. Handel z Sowietami w I kwartale 1932 r. wysunął się w Rzeszy na pierwsze miejsce. Stało się to nie skutkiem szczególnego forsowania przez Rzeszę obrotów z Rosją, ale przez jeszcze silniejsze ściśnienie tychże z innemi europejskiemi rynkami zbytu. Całokształt bowiem obrotów handlowych z ZSRR wykazuje w porównaniu z IV kwartałem 1931 r. zmniejszenie o 198 ml zł. do sumy 520 ml zł., gdyż przywóz z ZSRR spadł o 41 ml zł. (głównie surowce a zwłaszcza drzewo), wywóz zaś do Sowietów o 157 ml zł, w czem 144 ml zł. przypada na maszyny i wyroby żelazne.

Celem podtrzymania i wzmożenia eksportu do Sowietów powstało w kwietniu 1932 w Niemczech konsorcjum 13 banków z kredytem redyskontowym w wysokości do 300 ml zł. celem finansowania transakcyj z ZSRR, zawartych od marca 1931 r. Sowiety otrzymują bowiem od Niemiec kredyt nietylko wysoki i gwarantowany przez państwo, lecz także długoterminowy do trzech lat, przeciętnie nawet ponad 14 miesięcy. Często kupują zupełnie bez gotówki, a raty zaczynają spłacać po 13 miesiącach od daty kupna.

Co obejmuje handel sowiecki? Niemcy eksportują maszyny i sprzęty elektryczne, parowozy, farby, chemikalja i metale, sprowadzają zaś drzewo, naftę, zboże, jaja, masło, len, cukier, wino, zapałki, futra, mangan i t. p.

4. Europa południowa i zachodnia.

Z innych połaci Europy poza Niemcami i Anglją najwyższe stosunki z ZSRR utrzymują państwa południowe i zachodnie: Włochy, Francja, Belgja, Holandja, które łącznie odbierają 1/7 część całego eksportu sowieckiego. W wywozie do Republik udział ich jest daleko słabszy. Ale to jest dla ZSRR mniej ważne. Sprzedawcę łatwo znaleźć. Walka wre o chcących i mogących kupować.

Włochy faszystowskie wbrew pozorom utrzymują żywe stosunki handlowe z państwem komunistycznem. Zawarły z niem umowę handlową (ostatnie dwie z lipca 1930 i maja 1931 r.). Chętnie kupują tam oraz wysyłają swoje wytwory a nawet i fachowców. Włochy sprowadzają z Sowietów towary dla siebie niezbędne, a nie wytwarzane w kraju wcale lub w zbyt małej ilości. Około 4/5 przywozu do Włoch stanowi nafta i pszenica, mniej drzewo i węgiel. Natomiast jadą na północ traktory, płyną okręty wojenne, lecą aeroplany. Sowiety kupowałyby nawet więcej okrętów, lecz ze względów polityczno-militarnych, bynajmniej zresztą nie antykomunistycznych, Italja nie chce tego.

Warunki nabycia mają Sowiety dogodne: kredyt 12 do 54 miesięcy, przeciętnie 25 miesięcy, gwarancja rządu w 75 %. Skutkiem tego eksport do ZSRR wzrósł z 33 ml zł. w 1929 r. na 44,5 ml zł. w 1930 r. W roku ubiegłym miał dojść podobno do 178 ml zł, choć cyfra wydaje się przesadzona. Równocześnie przywóz towarów rosyjskich wyniósł w ml zł.: 1929 r. — 160, w 1930 r. — 250.

Francja: była pierwszym krajem, który próbował bronić państw kapitalistycznych (głównie swoich wierzytelności przedwojennych do carskiej Rosji) i przeciwstawić się czerwonemu handlowi. Środkiem do tego miał być system pozwoleń przywozu, wprowadzony w październiku 1930. Pozostał on jednak bez większego skutku, gdyż spożywca francuski nie chciał wyrzekać się tanich towarów radzieckich. Przywóz przeto do Francji zmniejszył się słabo, wywóz zaś spadł gwałtownie, gdyż Sowiety demonstracyjnie przeniosły swoje zamówienia do państw, nie okazujących im tak wyraźnie swojej niechęci. Od wprowadzenia licencji,

t. j. od października 1930 do marca 1931 r., Francja kupiła w Sowietach towaru za 110 ml zł., podczas gdy w tymże okresie o rok wcześniej za 127 ml zł. Ograniczenia przeto zaszkodziły Związkowi istotnie na kwotę 17 ml zł. Cóż kiedy Francji wywóz za te okresy spadł z 51 ml zł na 11·5 ml zł. Sowiety straciły więc 14%, gdy Francja 80% czyli stosunkowo 6 razy więcej.

Sowiety wywożą do Francji głównie pszenicę, naftę, drzewo i len, sprowadzają zaś maszyny. Handel jest równocześnie ważkim czynnikiem polityki międzynarodowej. Marynarka bowiem francuska uzależnia się coraz to więcej od dostawy nafty rosyjskiej, co utrudniłoby rolę Francji w ewentualnem stworzeniu się jednolitego frontu kapitalistycznego przeciw ZSRR. Zarazem w rękach francuskich nafta sowiecka jest atutem wygrywanym w walce o budowę naftociągu z Mossulu.

Belgja nie utrzymuje dotąd stosunków dyplomatycznych ze Związkiem Republik, nie mogąc przeboleć utraty ponad 7 mld zł, zainwestowanych w przemyśle carskiej Rosji. Nie przeszkadza jej to jednak kupować w Sowietach towarów za 110 ml zł, a wywozić tamże za 33 ml zł. Oczywiście dla handlu belgijskiego, obejmującego zgórą 15 mld zł, jest to ilość znikoma. Dla Sowietów jednak rynek belgijski przedstawia 2·5% ogółu eksportu. Wywożą one do Belgji zboże, len, naftę i drzewo, kupują zaś wzamian maszyny, narzędzia i kotły. Aby zmniejszyć przywóz z Sowietów, wprowadziła Belgja tuż po Francji i jej wzorem system licencyj. Wynik był taki sam jak we Francji. Import rosyjski pozostał prawie bez zmiany, eksport zaś spadł do $^1/_3$ części dawnego.

Holandja zyskała na utrudnieniach przywozowych, czynionych Sowietom przez Belgję, gdyż konkurujący Rotterdam przejął ładunki sowieckie, którym nie pozwolono zawinąć do Antwerpji. W ciągu 7 miesięcy po wprowadzeniu ograniczeń wwozowych we Francji i Belgji wyładowano w Holandji 307 parowców sowieckich. Skutkiem tego import z ZSRR wzrastał stale. Tak np. w ciągu I kwartału przywieziono do Holandji w ml zł.:

	1929 r.	1930 r.	1931 r.
ogółem	2,230	2,310	1,760
z ZSRR	7	23	68
czyli % ogółu	0,37	1	4

Handel przeto z Sowietami nie posiada wielkiego wpływu na holenderski bilans, niemniej wykazuje stały wzrost mimo ogólnego kurczenia się obrotów. Importują Sowiety do Holandji zboże, drzewo, mangan, naftę, cukier, materjały włókiennicze i ubrania, oraz chemikalja. Oprócz więc przywozu czysto surowcowego eksportuje Związek wyroby gotowe. Holandja pokrywa swoje zapotrzebowanie wielu artykułów głównie w ZSRR. Np. sprowadza stamtąd 99% swojej tektury, 94% manganu, 93% żyta, 73% owsa, 64% drzewa, oraz 40 artykułów o przeciętnie 30%. Skutkiem tego Sowiety zakupiły w Rotterdamie największy elewator, jaki Europa zbudowała dotychczas.

Hiszpanja miała dotychczas najsłabsze stosunki handlowe z Republikami Radzieckiemi. Kupowała tylko naftę, nie sprzedając wzamian niczego. Dopiero w ciągu maja 1932 r. prowadzone były rokowania, na których ustalono system wymiany nafty rosyjskiej za hiszpańskie żelazo walcowane, miedź, ołów i drzewo korkowe, oraz ewentualnie pancerniki ze stoczni w Bilbao.

5. Państwa skandynawskie i nadbałtyckie.

Kolejno silną grupę w handlu sowieckim tworzą kraje północy europejskiej: Szwecja, Danja, Finlandja, Norwegja, Łotwa i Estonja. Większą rolę odgrywają pierwsze cztery kraje, uczestniczące 4—5% ogólnego obrotu handlowego ZSRR z zagranicą.

Szwecja zyskuje na handlu z Sowietami, gdyż posiada z nimi czynny bilans handlowy, który wynosił w ml zł: 1928 r. — 27, w 1929 r. — 35, w 1930 r. — 62. Eksport istnieje nawet bez gwarancji rządu. Szwedzi wywożą piły maszynowe do cięcia drzewa, wiertarki, turbiny i wirówki do mleka. Sprowadzają zaś naftę i zboże. Jeśli chodzi nie o bezpośrednie zyski, lecz o pośredni wpływ handlu czerwonego, to na innych rynkach ponosi Szwecja ogromne straty,

największe po Finlandji, skutkiem konkurencji drzewa rosyjskiego.

Danja zawarła stosunki handlowe z Republikami jeszcze w kwietniu 1923 r. Rząd daje 60% gwarancji za wywóz. Mimo to Sowiety kupują w Danji towarów za 26 ml zł. a sprzedają jej za 90 ml zł. W $^3/_4$ eksport do Danji składa się ze zboża i paszy, sprzedawanych tanio i wzmagających siłę wywozową duńskiego przemysłu hodowlanego.

Finlandja najboleśniej odczuwa konkurencję sowiecką. Gdy Rosja odpadła z rynków światowych, główny spadek po niej w eksporcie drzewa przejęła Finlandja. Obecnie Rosja odbiera utracone tereny i wypiera Finlandję na dawne położenie. Mimo to Finlandja sprowadza do siebie drzewo rosyjskie, np. w r. 1930 r. za 18 ml zł. Ogółem Finlandja kupuje od ZSRR towarów za 26 ml zł., a sprzedaje za drugi raz tyle (53 ml zł). Eksport w 75% gwarantowany jest przez rząd fiński.

Norwegja pierwsza wprowadziła monopol zbożowy — za nią Szwecja — którego jednem z naczelnych zadań miała być obrona przed dumpingiem sowieckim. Z Rosji zakupuje pszenicę, drzewo, naftę i benzynę, wywozi zaś śledzie, aluminjum, stopy żelazne i statki wielorybnicze. Eksport korzysta z rocznego kredytu gwarantowanego w 75% przez rząd. Wywóz do Sowietów jest prawie trzy razy większy od przywozu: 40 wobec 16 ml zł.

Łotwa i Estonja kupują od Związku głównie maszyny rolnicze.

6. Europa środkowo-południowo-wschodnia.

Stosunkowo słabo rozwinięte stosunki między ZSRR a państwami naddunajskiemi i bałkańskiemi jak CSR, Austrja, Grecja, Węgry, Bułgarja, Rumunja i SHS. Tłumaczy się to niewątpliwie małym ich obszarem i słabością wobec kolosa, obejmującego $^1/_6$ część świata.

Czechosłowacja najsilniej uczestniczy w handlu czerwonym, obejmując około 2% ogółu jego obrotów zagranicznych. Wywiozła do Związku towarów (głównie maszyn) za 85, przywiozła zaś (przeważnie nafty) za 75 ml zł.

Austrja również więcej sprzedaje Sowietom, niż od nich kupuje. Sprzedaż gwarantowana jest przez rząd. Obecnie właśnie (początek czerwca 1932) prowadzone są rokowania sowiecko-austrjackie. Głównym punktem nieporozumień jest żądanie przez Austrję wypłaty dolarami SZAP, podczas gdy ZSRR pragnie płacić za wszystko w szylingach austr. Austrji bowiem zależy na uzyskaniu ustabilizowanych dewiz zagranicznych, podczas gdy Sowiety chcą skorzystać z dewaluacji w Austrji. Zdaje się, że banki austrjackie zgodzą się kompromisowo na spłatę $^2/_3$ należności w szylingach przy równoczesnem skróceniu kredytu z 24 na 15 miesięcy.

Grecja naodwrót kupuje stosunkowo dużo, sprzedaje Sowietom niezwykle mało. Roczne bowiem zakupy wynoszą 18 ml zł, w czem głównie zboże. Sprzedaż zaś roczna przekracza zaledwie ćwierć ml zł.

Węgry wbrew wzorowi Włochów nie utrzymują ze względów politycznych stosunków handlowych z ZSRR. Dochodzą do skutku tylko sporadyczne transakcje, jak np. w 1930 r. zakup bydła węgierskiego za 1,1 ml zł. Węgry natomiast nie zakupują bezpośrednio żadnych towarów rosyjskich.

Bułgarja podobnie jak Węgry, Rumunja, Jugosławja, Albanja i Kanada zakazała przywozu towarów sowieckich. Zakaz ukazał się w jesieni 1930. W tymże samym roku do chwili wydania zakazu sprowadziła z ZSRR towarów za przeszło 1,1 ml zł.

Rumunja odcięła się od dowozu towarów z Sowietów, który wynosił około 3,5 ml zł rocznie.

Jugosławja dotknęła Sowiety najsłabiej swoim zakazem, gdyż jej import wynosił zaledwie 450 tys. zł rocznie.

IV. Handel Polski z ZSRR.

Pomimo sąsiadowania ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich wzdłuż bardzo długiej granicy nasz handel z Sowietami nie jest zbyt wielki. Udział jego w ogólnym obrocie Polski w najlepszych latach doszedł zaledwie do 6,7% wywozu, a 3,5% przywozu. W tej dziedzinie byłoby

wiele do uczynienia, gdyż posiadamy szereg artykułów niezbędnych dla Rosji, stamtąd zaś możemy korzystniej przywieźć wiele rzeczy. Jest to dla Polski rynek tem bardziej pożądany, iż mamy z nim saldo stale czynne i to w poważnej wysokości. Jedynie 1927 r. był wyjątkiem oraz częściowo 1928 r. Poniżej widzimy zestawienie w tys. zł. wartości przywozu z ZSRR oraz wywozu tamże od 1922 r. do marca 1932 r.

Handel polsko-sowiecki w latach 1922—1932 r.

Rok	Przywóz z ZSRR		Wywóz do ZSRR	
	w tys. zł	w % przyw. do Polski	w tys. zł	w % wywozu z Polski
1922	2,855	0·3	20,938	3·2
1923	4,889	0·4	22,576	1·9
1924	4,965	0·4	11,418	0·9
1925	9,328	0·6	39,333	2·8
1926	13,272	0·9	42,355	1·9
1927	100,026	3·5	44,945	1·8
1928	39,111	1·2	38,561	1·5
1929	39,924	1·3	81,079	2·9
1930	45,780	2·	128,963	5·3
1931	36,039	2·4	125,257	6·7
1932 I.	2,284	2·8	1,484	1·6
II.	1,403	2·2	1,737	1·8
III.	784	1·2	1,881	2·

Do Związku Radzieckiego wywozimy głównie wyroby gotowe, surowce i półfabrykaty, mniej artykuły spożywcze. Za czasów „nepu" (nowej polityki ekonomicznej) spadł eksport surowców i półfabrykatów na rzecz artykułów spożywczych. Naodwrót zaś z nastaniem „piatiletki" rośnie silnie wywóz surowców i półfabrykatów, a spada artykułów spożywczych. Oto przykłady dla charakterystyczniejszych lat:

Wywóz do ZSRR w mln zł.

rok	wyroby gotowe	surowce i półfabr.	artyk. spożywcze
1923	19	2·9	0·5
1924	8	0·8	2·6
1925	25·5	2	11·8
1928	18·2	20·1	0·1
1929	52·3	25·9	2·7

Co obejmował eksport? Np. w 1925 r. wśród wyrobów gotowych przodowały tkaniny bawełniane i wełniane, wśród spożywczych cukier a wśród surowców cynk. W 926 r. wywieźliśmy najwięcej węgla, cynku, tkanin bawełnianych, przędzy bawełnianej i parafiny. W 1927 r. największa część wywozu przypadała na cynk i wyroby z niego, blachę żelazną i stalową, maszyny rolnicze oraz przędzę wełnianą. W 1928 r. Sowiety zakupiły u nas głównie cynk, żelazo i stal oraz blachę, przędzę wełnianą i nawozy sztuczne. Naogół tenże sam charakter posiadał eksport w dalszych latach uskuteczniania planu pięcioletniego t. j. 1929, 1930 i 1931 r..

W przywozie do Polski widzimy podobne zjawisko. Wzrasta bowiem najsilniej import wyrobów gotowych a zwłaszcza surowców i półfabrykatów, podczas gdy stosunkowo maleje import spożywczy.

Przywóz z ZSRR w mil zł.

rok	wyroby gotowe	surowce i półfabr.	spożywcze	zwierzęta
1923	0·7	2·7	0·9	0·6
1924	0·4	2·1	1·7	0·7
1925	0·6	3·4	4·4	0·9
1928	4·2	27·3	6·7	1
1929	6·2	30·6	2·1	1·1

W zakresie stosunków handlowych polsko-rosyjskich kilka spraw godnych jest szczególnej uwagi. Np. przędza bawełniana. W 1926 r. wywieźliśmy jej za 2.647 tys. zł. w 1927 r. tylko za 59 tys. zł., a 1928 r. już przywieźliśmy z ZSRR za 1.350 tys. zł.

Podobnie z węglem. W 1926 r. wywieźliśmy go za 15.314 tys. zł., w 1927 r. tylko za 1.571 tys. zł., a w 1932 r. sprowadzono do Mławy i Sierpca kilka wagonów węgla z Rosji sowieckiej dla potrzeb tamtejszego przemysłu prywatnego.

Celem dokładniejszego zobrazowania przedmiotów handlu z Sowietami dajemy niżej listę ważniejszych towarów wysyłanych oraz otrzymanych w ciągu miesiąca kwietnia 1932 r. według ilości i wartości.

Przywóz z ZSRR

towar	q	1,000 zł
makuchy lniane	1,321	32
makuchy inne	4,097	84
skóry końskie świeże	1,253	67
„ „ suszone	373	37
skóry futrzane surowe	397	118
„ „ wyprawione niebarwione	21	47
„ „ „ barwione	7	121
kloce dębowe	1,090	19
dykty	45	12
nasiona oleiste	1,366	81
rośliny lecznicze	34	3
kwaśny węglan sodu	166	3
soda i potaż	328	15
chromiany sodu	82	10
sole zawierające złoto	1	4
szmaty	576	20
przędza nitkowana bawełniana do Nr 38	31	26
„ „ „ „ „ 60	38	25
Razem	11,226	724
Wywóz do ZSRR		
cynk surowy	1,735	77
żelazo i stal	331	9
kadm	45	41
gwoździe	302	20
śruby	230	18
Razem	2,643	165

V. Handel ZSRR według towarów.

Handel czerwony obejmuje niezwykle szeroką skalę towarów zarówno po stronie przywozu jak i wywozu. Wartościowo jednak rozstrzygającą rolę odgrywają tylko nieliczne artykuły. To też niemi tylko zajmiemy się pokrótce. Możnaby bowiem pisać olbrzymie tomy historji walk pewnych tylko towarów o rynki światowe (jak np. słynna kampanja zapałczana, zakończona samobójstwem Kreugera, lub niemal równie tragiczne zmagania się naftowe Deterdinga).

Co stanowi główny artykuł wywozu z Sowietów? Przedewszystkiem surowce objętościowe (nafta, drzewo, węgiel)

oraz towary spożywcze (zboże, cukier, nabiał, ryby). Daleko mniej wywożą Sowiety wyrobów gotowych. O ile nawet wysyłają je zagranicę, to nie do Europy — która nas głównie interesuje — gdzie wytwórczość miejscowa chroniona jest wysokiemi cłami, lecz przeważnie na egzotyczne rynki zbytu, a więc do Azji i Afryki.

Wywóz ZSRR obejmuje przedewszystkiem poniższe towary:

Wywóz z ZSRR	1931 r.		1930 r.	
	ml zł	%	ml zł	%
1. zboże	700	19·4	964	20·
w tem: pszenica	343	9·5	579	12·
żyto	142	3·9	93	1·9
jęczmień	120	3·3	165	3·4
owies	53	1·5	49	1·
2. nafta	516	14·2	700	14·5
3. drzewo	505	14·	790	16·4
4. tytoń	249	6·9	357	7·4
5. futra	249	6·9	343	7·1
6. tkaniny	214	5·9	218	4·5
7. cukier	147	4·	120	2·5
8. masło	107	3·	49	1·
9. bawełna	80	2·2	31	0·6
10. konserwy	71	2·	120	2·5
11. rudy żelazne i manganowe	71	2·	76	1·6
12. węgiel	62	1·7	76	1·6
13. makuchy	62	1·7	71	1·5
14. len	58	1·6	102	2·1
15. ptactwo	45	1·2	58	1·2
16. ryby	45	1·2	40	0·8
łącznie	3.181	87·9	4.115	85·3
Ogółem	3.610	100·	4·820	100·

Przywóz towarów do ZSRR od 1928 r., czyli od przystąpienia do planu pięcioletniego, poddany został zupełnie potrzebom tego planu. Importuje się wyłącznie artykuły dla konsumcji reprodukcyjnej i to tylko najważniejsze. Ponieważ celem planu jest stworzenie przemysłu wytwarzającego dobra produkcyjne, przeto sprowadza się głównie maszyny oraz towary żelazne i metalowe. Tak np. w 1931 r. na ogólną kwotę 4.917 ml zł przywieziono maszyn za 2.182 ml zł, czyli 44·3% importu, a towarów żelaznych i metalowych

za 1.188 ml zł (24·2%), a zatem łącznie 68·5 % całego przywozu. Tem różni się import Rosji komunistycznej od carskiej, która wwoziła liczne przedmioty spożycia osobistego. Np. w 1913 r. importowano rzeczy zbytkowych za 1.428 ml zł. Przestrzeganie zasad planu przy imporcie jest ułatwione istnieniem państwowego monopolu handlu z zagranicą. Drobne jedynie wyjątki tworzą nieliczni pracownicy cudzoziemscy, zatrudnieni w związku jako specjaliści. Mają oni prawo odbierania z zagranicy towarów w określonych ilościach, które są bez większego znaczenia w całokształcie stosunków handlowych Sowietów.

Zmiany w składzie importu uwydatnia poniższa tablica, określająca w tysiącach tonn przywóz najważniejszych artykułów do ZSRR w ciągu trzech lat ostatnich, Widzimy z niej spadek przywozu surowcowego, a wzrost importu żelaza oraz maszyn rolniczych.

Przywóz do ZSRR w tys. tonn

towar	1931	1930	1929
żelazo	614·	622·9	300·5
maszyny rolnicze	103·3	26·5	79·4
maszyny i aparaty	70·7	142·4	69.4
metale (bez żelaza)	54·9	118·	129·5
części maszyn	47·1	66·8	29·1
celuloza i masa drzewna	32·5	75·9	57·1
wełna	14·7	34·7	42·5
bawełna	11·9	57·8	115·
skóry surowe	11·3	21·7	37·
guma	9·2	16·4	12·8
maszyny i aparaty elektr.	4·8	16·8	10·6

VI. Przyszłość handlu zagranicznego ZSRR

Trudno być prorokiem. Zwłaszcza kiedy mowa o kraju wszelkich niemożliwości, jakim jest Rosja. Przypuszczalnie jednak stosunki handlowe Sowietów z zagranicą kształtować się będą w czterech etapach.

Za pierwszy uważamy resztę miesięcy roku bieżącego. W 1932 r. bowiem ma być ukończony „plan pięcioletni w cztery lata". Skutkiem tego komuniści będą dążyli do utrzymania importu w rozmiarach przewidzianych przez

plan, a nieco mniejszych niż w latach poprzednich właśnie ze względu na wykańczanie planu. Odpowiednio do zmniejszenia importu maszyn i surowców będzie też można ograniczyć wywóz, ale w słabszych rozmiarach, gdyż potrzeba będzie pieniędzy na spłatę starych kredytów. Ilościowo wywóz nietylko nie spadnie, lecz nawet będzie musiał się wzmagać w miarę spadku cen. Aby utrzymać dopływ walut na dawnej wysokości, należy powiększyć objętość wywozu. Sowiety jako dłużnik tracą na deflacji.

Lecz ten masowy wywóz towarów zagranicę kosztem spożycia wewnętrznego nie będzie mógł trwać wiecznie i bez ograniczeń. Ludność Związku czeka niecierpliwie na skończenie się planu i nastanie przyrzeczonych błogosławionych dni następnych. Głodują i cierpią narazie w nadziei lepszych czasów. Plan skończony będzie w roku bieżącym. Rok przyszły musi przynieść tej ludności poprawę warunków bytu. I to być powinien etap drugi. W przeciwnym bowiem razie musiałoby nastąpić załamanie się zupełne wiary w system komunistyczny nawet we własnej partji. A cóż dopiero wśród ogółu społeczeństwa! Ponadto ludność wygłodniała, źle ubrana, nieodpowiednio mieszkająca traci szybko siły wytwórcze. Stałaby się zupełnie niezdatna do produkcji. Należy ją przeto odżywić. Dlatego rok przyszły zapewne stanie się okresem „odsapnięcia" dla ludności po wytężonym biegu do uprzemysłowienia. Nie będzie to oznaczać, że ZSRR zaprzestanie uprzemysławiać w dalszym ciągu kraj, ani tem bardziej, że program udał się już całkowicie. W ciągu kilku lat nie można nadrobić braków stuleci. Będzie to zatrzymanie się lub może nawet cofnięcie się o kilka kroków, aby nabrać rozpędu do tem dalszego skoku naprzód.

W tym drugim okresie import będzie mniejszy, jeśli chodzi o narzędzia wytwórczości producyjnej. Natomiast prawdopodobnie powiększy się przywóz towarów dla produkcji konsumcyjnej i jest możliwy wwóz artykułów spożywczych. Po pierwszym planie stworzenia przemysłu wytwórczego, wejdzie w życie plan drugi uruchomienia przemysłu spożywczego. Równocześnie wywóz zmniejszony zostanie do rozmiarów niezbędnych dla wywiązania się ze spłat kredytowych za dawniej pobrane towary. Pewnemi za-

powiedziami tych zmian są pogłoski o zakupnie przez Sowiety pszenicy i cukru w Ameryce. Chociaż transakcje te, zdaje się, pozostają w związku z obawami komunistów o wybuch wojny japońskiej oraz z koniecznością aprowidowania armji na Dalekim Wschodzie (pszenica miałaby być dostarczona do Władywostoku).

Gdy ludność własna zostanie przynajmniej częściowo zaspokojona, przyjdzie czas na ponowne podjęcie silniejszego tempa socjalizacji wewnętrznej drogą dalszej rozbudowy przemysłu tak wytwórczego jak spożywczego, łączenia gospodarstw chłopskich w „kołchozy", zarzucenia całego obszaru Związku siecią elektryczną, kolejową, szosową. W tym trzecim etapie przywóz z zagranicy powiększy się znowu w odróżnieniu od poprzedniego etapu. Równolegle nastąpi wzrost wywozu. Ponieważ potrzeba będzie także dużo towarów wewnątrz kraju w miarę podnoszenia się stopy życiowej, przeto nie będzie Związek w stanie zarzucać rynków obcych masami towarów po jakichkolwiek cenach. Przypuszczalnie skłoni to ZSRR do wejścia w układy z wytwórcami kapitalistycznymi odnośnie do utrzymania cen i rozdziału rynków zbytu. Pewien przedsmak możliwości takich umów mamy obecnie (początek czerwca 1932 r.) na odbywającej się od wielu tygodni konferencji naftowej w Nowym Jorku.

Normalnym tokiem wypadków, o ile nie zajdą nieprzewidziane wydarzenia, przyjść winien czwarty i ostatni etap rozwoju handlu zagranicznego Sowietów. Plan uprzemysłowienia ukończony. Nie potrzeba nowych maszyn. Tylko niektóre surowce są konieczne. Można z zagranicy przywozić bardzo mało. Rynek wewnętrzny jest zaspokojony. Nadmiar produkcji można rzucać na rynki zewnętrzne. I teraz rozgorzeje bezwzględna walka z konkurentami. Oczywiście nie na ich rynkach wewnętrznych, chronionych cłami, zakazami przywozu i t. p. Oczywiście nie musi się sprowadzać węgla do Anglji, wysyłać pszenicy do Kanady, chemikalji do Niemiec i t. p. Bić się będzie współzawodników na rynkach obcych, na zagranicznych dla nich terenach zbytu. A więc np. angielski przemysł włókienniczy w Azji, pszenicę kanadyjską w Holandji, drzewo fińskie w Niemczech i t. p. Wiele krajów będzie się musiało skurczyć do rynku

własnego. Łatwiej przyjdzie to odcięcie się od zagranicy tworom rozległym terytorjalnie, zbliżonym do samowystarczalności. Takiemi są Stany Zjedn. a stanie się Imperjum Brytyjskie po przypuszczalnem jeszcze silniejszem zespoleniu gospodarczem dominjów i kolonij z macierzą (obecnie toczy się konferencja imperjalna w tej sprawie w Ottawie).

Powstaną tedy trzy olbrzymie organizmy państwowo-gospodarcze: Imperjum Brytyjskie, Stany Zjedn. oraz Związek SRR. Inne państwa drobne, a więc przedewszystkiem europejskie, będą ziarenkami, które te trzy ogromne kamienie młyńskie będą rozgniatać na mąkę, z niej zaś będą piec taki chleb, jaki się im będzie podobało. Los drobnoustrojów gospodarczych nie byłby w takim razie do pozazdroszczenia. I tutaj okazuje się, jak niezwykle trafne było określenie O. Urbana, wypowiedziane niedawno na odczycie w Naukowym Instytucie Katolickim w Krakowie, iż państwa Europy same kręcą sznur, na którym prędzej czy później (raczej prędzej niż później) zawisną. Nie tylko nie uchylają szyi przed pętlicą, lecz walczą z energją godną lepszej sprawy o zaszczyt i dochód z kręcenia jak najszybszego tego sznura...

Tak przedstawiałby się nam rozwój wypadków, o ile nie zajdą nieprzewidziane wypadki zarówno wewnątrz ZSRR jak i w reszcie świata. W każdym zaś razie wojna przeciw ZSRR czy nawet bojkot ekonomiczny wydaje się pomysłem przedawnionym i mocno niebezpiecznym. Pozostałoby tylko porozumienie się państw innych między sobą, a następnie zgodne wystąpienie i porozumienie gospodarcze ze Związkiem SRR.

Literatura: O Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich pisze się obecnie dużo. Temat ten jest szczególnie modny na zachodzie Europy (przedewszystkiem Niemcy) oraz w Ameryce północnej. W Polsce materjałów opracowanych jest niezwykle mało. O obecnej, komunistycznej, planowo gospodarowanej Rosji mamy zdumiewająco słabe wyobrażenie.

Przy pisaniu tego artykułu posługiwaliśmy się prasą codzienną polską, niemiecką, francuską i angielską, czasopismami fachowo-ekonomicznemi polskiemi i niemieckiemi, wydawnictwami oficjalnemi, statystycznemi polskiemi (np. Wiadomości Statystyczne GUS, Handel zagraniczny oraz Rocznik handlu zagranicznego) wreszcie książkami:

Farbman Michał, „Piatiletka", Warszawa, „Droga" 1931.

Ischbolbin Boris, „Die russische Handelspolitik der Gegenwart", Jena, Gustav Fischer 1930 (tamże bogata literatura).
Knickerbocker H. R., „Czerwony handel grozi" Warszawa, Fruchtman 1932.
Tenże, „Walka z czerwonym handlem", tamże.
Micewicz Stan. Inż. dr., „Plan pięciolecia w Związku Sowietów", *Przegląd Powszechny*, marzec 1932, Kraków.
Uzdowski Ignacy, „Handel zagraniczny Rzeczp. Polskiej wytworami rolnemi", Warszawa, Związek organ. roln. 1930.

Dr. Maksymiljan Józef Ziomek.

Kraków, 3 czerwca 1932.

Dysputa o Sakramencie.

Sprawa katolickiego małżeństwa, dyskutowana na łamach polskich wydawnictw perjodycznych, przedstawia się wprawdzie mniej malowniczo, niźli znany (pod nazwą wymienioną w nagłówku) a dotyczący Św. Eucharystji, fresk Rafaela w stanzach Watykanu. Niemniej jednak swoje braki estetyczne, oraz wszelkie inne, wynagradza pewną użytecznością społeczną. Jak się bowiem okazuje, kampanja wszczęta na jesieni przez komisję kodyfikacyjną oraz Boya-Żeleńskiego obudziła żywe zainteresowanie dla spraw zasadniczych katolicyzmu w szerokich kołach inteligencji polskiej.

Dyskusja jest tem użyteczniejsza i bardziej celowa, iż jej główny przedmiot, nierozerwalność węzła małżeńskiego, jako też kwestja ograniczania lub nieograniczania potomstwa, posiadają zasadniczą doniosłość nietylko religijną, lecz również społeczno-biologiczną. Odpowiednikiem teoretycznym tego faktu w nauce katolickiej wydaje mi się zasada (wyłożona ostatnio w encyklice *Casti connubii*), iż wszelkie małżeństwo, z samej natury swojej, a więc nawet niezależnie od swej sakramentalnej godności — jest nierozerwalne.

Rzecz inna, że kierunkowi i rodzajowi tej naszej polskiej „Dysputy o sakramencie", względnie o naturze węzła małżeńskiego, wypada sporo zarzucić. Ofensywa Boya zaatakowała społeczną celowość monogamji absolutnej, oraz praktykę nieograniczania potomstwa. Teoretyczna nauka katolicka niezupełnie się z praktyką tą pokrywa, o czem będzie jeszcze mowa. Uderzył też Boy całą siłą swego polemicznego talentu w praktykę sądów konsystorskich. W ofensywie tej nie całkowicie pozostał osamotniony, bo-

wiem z częściowym sukursem pośpieszył mu J. E. Skiwski. Jego stanowisko jest wprawdzie odmienne, w pewnych szczegółach nawet katolickie. Jednakże celowość społeczną nierozerwalności małżeństwa zakwestjonował również p. Skiwski, w działaniach przeciwko sądom konsystorskim wspomaga Boya gorąco, poniekąd zaś wyspecjalizował się w krytyce małżeńskiego prawa kanonicznego. Zarzuca mu, że o wiele mniej niż projekt komisji kodyfikacyjnej się zajmuje stanem faktycznym poszczególnych zatargów rodzinnych oraz losem dzieci w tych poszczególnych wypadkach, że przystępuje do tych konfliktów wyłącznie pod kątem oderwanych zasad, kontraktu oraz Sakramentu, wreszcie zaś i przedewszystkiem, że wytwarza „luzy interpretacyjne", które dają jakoby szerokie pole do osądów subjektywnych, względnie do nadużyć. Stąd wniosek, iż należałoby dążyć do reformy prawa kościelnego w tej dziedzinie.

Atak, oparty głównie na praktyce życiowej, był w tym zakresie dość ostry, odpierany zaś metodą raczej podjazdową, niźli w starciach czołowych. Przynajmniej w prasie warszawskiej „dysputa o sakramencie" poczęła coraz silniej zacieśniać się do kwestji większej lub mniejszej doskonałości i celowości społecznej kodeksu kanonicznego, oraz projektu komisji kodyfikacyjnej. Są to bezwątpienia problematy ważne, zwłaszcza, iż mogłyby ewentualnie służyć jako środek nacisku w kierunku reformy prawa i sądownictwa kościelnego, pod groźbą odjęcia mu mocy państwowej i zastąpienia go ustawą świecką. Mimo to nie należą te problematy do istoty rzeczy. Ogniskuje się ona w społecznej celowości samej zasady nierozerwalnego węzła małżeńskiego, jako też w praktyce nieograniczania potomstwa. W obronie tych właśnie podstawowych wartości stanowiska katolickiego pragnąłbym tu skrzyżować oręż intelektualny z p. p. Boyem i Skiwskim według odmiennej nieco od dotychczasowych metody.

Boyowy szturm przeprowadzony został równolegle z atakiem komisji kodyfikacyjnej jako jego teoretyczny sukurs i podobnie jak on — *à bout portant*. O ile pierwsza, praktyczna, komisyjna, linja natarcia szybko się załamała wobec wykazanej przez obóz katolicki siły odporu, o tyle

linja rezerwowa, po liście biskupów uruchomiona pod dowództwem Boya, wykazała impet znacznie silniejszy.

Oba te natarcia zostały rozwinięte na ciasnym terenie bezpośrednich zetknięć pomiędzy katolicką zasadą małżeńską a życiem jednostki i gromady, w które ta zasada wkracza, które wiąże i krępuje nieraz boleśnie. Mojem tedy najpierwszem zadaniem jest odłączyć się od przeciwnika, zyskać perspektywę niezbędną dla ogarnięcia wzrokiem pola walki, oraz przestrzeń niezbędną dla wyprowadzenia rezerw argumentacyjnych. W tym celu nie zawaham się odstąpić od obrony takiej pozycji zewnętrznej jak praktyka sądów konsystorskich. Nie przedstawia ona bowiem ze stanowiska katolickiego doniosłości zasadniczej. Zarzuty ostre, bezwzględne, wręcz brutalne nawet, które przeciw niej wytoczono, powinny przedewszystkiem być ściślej skonkretyzowane i udowodnione. O ileby zaś istotnie miały zawierać mniejszą lub większą część prawdy, to władza kościelna nie omieszkałaby z pewnością stwierdzonych nadużyć ukrócić. Również raczej tylko przelotnie dotknę sprawy doskonałości i celowości społecznej małżeńskiego prawa kanonicznego, względnie projektowanej małżeńskiej ustawy świeckiej, jest to bowiem przedmiot aż nadto już dotąd dyskutowany. Natomiast dla uzyskania pewnej perspektywy w rzucie oka na sprawę małżeńską od jego strony najistotniejszej, wydaje mi się użytecznem stwierdzić, skąd się ona tak nagle i tak gwałtownie wynurzyła na f o r u m naszych trosk publicznych? To się stało poczęści dlatego, że wobec powszechnej klęski gospodarczej oraz coraz groźniejszych powikłań wewnętrznych i zewnętrznych, energja zbiorowa, sprężona pod ich przemożnem ciśnieniem, rozpaczliwie wyładowuje się przeciwko dolegliwościom raczej ubocznym, takim wszakże, które zdają się być łatwiejsze do opanowania. Taki charakter nosiła burzliwa akcja młodzieży akademickiej przeciwko zalewowi żydowskiemu na uniwersytetach, jako też kampanja przeciwko katolickiemu małżeństwu. Ponadto wszakże impulsu do niej dostarczyła również przyczyna głębsza, ta mianowicie, że rozkład gospodarczy sięgnął już takiego stopnia natężenia, w którym poczyna godzić bezpośrednio w samą istotę życia zbiorowego. Na takiem roz-

paczliwem tle poczynają wchodzić pomiędzy sobą w kolizję dwie podstawowe siły twórcze tego życia: instynkt samozachowawczy oraz instynkt zachowania gatunku. Ponieważ zaś katolicka zasada małżeńska bezwzględnie poświęca pierwszy z tych instynktów interesom drugiego, przeto została wciągnięta w wir walki o byt oraz narażona na gwałtowną ofensywę tych uczuć „humanitarnych", którym bliższe są interesy życia istniejącego, niźli żywiołu życia w jego kosmicznym rozwoju.

Do tej zasadniczej strony zagadnienia powrócę jeszcze, narazie zaś wspomnę również tytułem uwagi wstępnej, że nie ma słuszności p. Skiwski, gdy zestawiając prawo kanoniczne z projektem małżeńskim komisji kodyfikacyjnej i stwierdziwszy, że pierwsze rozstrzyga według zasad abstrakcyjnych, drugi zaś zajmuje się stanem skłóconych rodzin, wyciąga stąd wniosek, jakoby interesów rodziny lepiej broniła komisja, niż Kościół. Albowiem owe „luzy" interpretacyjne w prawie kanonicznem, oraz domniemana skłonność do korzystania z nich ze strony personelów sędziowskich, działaćby mogły w najgorszym nawet razie w społeczności katolickiej tylko jako wąski wyjątek, jako odchylenie od zasady. Tem samem ich rola społeczna musiałaby być ilościowo znikoma w zestawieniu z rolą nierozerwalności. Naodwrót pomimo uwzględniania stosunków rodzinnych, ustawa małżeńska komisji wprowadza szerokim prądem oportunizm, może nawet umiejętnie uwarunkowany, niemniej jednak mogący rozpostrzeć się w życiu zbiorowem szeroko, zwłaszcza iż aktualne nastroje temu sprzyjają. Zachodzi też wszelkie prawdopodobieństwo, że głównym celem projektu komisji jest właśnie udostępnienie ogółowi tej swobody, o którą dlań w katolicyzmie jest tak trudno. Zresztą nawet wśród kół wysoko postawionych i ustosunkowanych tyle jest osób, które dla rozwodów zmieniły wyznanie, że nie świadczy to na korzyść tezy, jakoby „szczyty" społeczne miały być pod tym względem tak znów szczególnie w katolicyzmie uprzywilejowane.

Nie ma również słuszności mojem zdaniem p. Skiwski, gdy w *Tygodniku Ilustrowanym* utrzymuje, że nierozerwalność małżeństwa może się stać wręcz szkodliwą społecznie, jeżeli

przykuwa stadła zgangrenowane, takie zwłaszcza, w których jedna moralnie lub fizycznie zwyrodniała strona zaraża i niszczy drugą, zdrowszą stronę, ewentualnie także potomstwo. Ta supozycja wydaje się jej autorowi tak druzgocąca, iż czyni z niej najwalniejszy pocisk przeciwko społecznej celowości monogamji absolutnej. Przyznaję, że to stanowisko wprawiło mnie w zdumienie. Przecież w Kościele katolickim istnieje dostępna dla wszystkich, kto poważne po temu powody przedstawi — separacja. Czyż może być wobec tego ktokolwiek zmuszony do małżeńskiego współżycia z syfilitykiem, prostytutką lub złodziejem? Czyż można przypuszczać, że sąd duchowny w takich jaskrawych wypadkach nie przyzna również opieki nad dziećmi wyłącznie stronie moralnie i fizycznie zdrowszej? W powyższym toku myśli stwierdzić też trzeba z naciskiem, że sedno zagadnienia nierozerwalności bynajmniej nie tkwi w „przykuciu na całe życie" dwojga istot, które miały nieszczęście „pomylić się" w wyborze, ale w tem, że nie wolno im zawierać powtórnych małżeństw.

Zdrowy rozsądek zdaje się jednak niechybnie wskazywać, że i to jest bardzo poważna kwestja społeczna. Wszak, nie mówiąc o ludzkiem współczuciu dla potrzeb erotycznych dwojga takich nieszczęśliwców, czyż może być korzystnem dla sprawy zachowania gatunku wyeliminowanie ich od udziału w owym zasadniczym procesie utrwalania życia? „Zdrowy rozsądek" oraz powierzchowna obserwacja historyczna wskazuje również, że rozerwalność małżeństw, kontrolowana przez kościoły lub państwa, istniała całe wieki w krajach protestanckich oraz u żydów, nie wyrządzając poważniejszych szkód życiu rodzinnemu. Zdrowy rozsądek zdaje się mieć wiele do powiedzenia także w przyległej do nierozerwalności małżeństwa, a może jeszcze donioślejszej, sprawie sztucznego ograniczania potomstwa. I tutaj również narzuca się napozór nieprzezwyciężony argument jakości (wychowania) na niekorzyść ilości (rozradzania). Szczególnie w okresach pod względem ekonomicznym ciężkich wysuwa się ta strona sprawy na plan pierwszy. „Zdrowy rozsądek" nakazuje tutaj oportunizm, ograniczający potomstwo, w interesie zarówno jego samego, jak rodziców i nawet społeczeństwa.

Niewątpliwie stanąłem wobec najtrudniejszej części zadania, obrony celowości społecznej katolickiej etyki płciowej. Wskazania zdrowego rozsądku spoczywają tutaj na granicie, o ile chodzi o interesy jednostkowe i zbiorowe jakiegoś poszczególnego pokolenia, w wypadku zaś rozwodów, nawet szeregu pokoleń, żyjących w warunkach pomyślnych. Na szczęście jednak dla moich zadań obronnych, nawet już sam „zdrowy rozsądek" (tem bardziej zaś przy pomocy pewnego uświadomienia w zakresie biologicznego rozwoju życia oraz państw i cywilizacyj) pozwala stwierdzić, iż byłoby absurdem koncentrować oczywistą celowość tych gigantycznych procesów w interesach jednostki, lub jednego pokolenia. Przeciwnie, bije w oczy pewnik, że zarówno jednostkowy i gromadny instynkt samozachowawczy, jak też instynkt zachowania gatunku, rzucone na tło kosmicznych zjawisk życia, odgrywają rolę jedynie motorów powszechnego rozwoju, nie zaś celów. Stąd wniosek, że jeżeli jakaś gromada ludzka, znalazłszy się w warunkach trudnych, staje przed problematem, czy ma pierwszeństwo oddać swemu instynktowi samozachowawczemu, lub też instynktowi zachowania gatunku, to wprawdzie skłonna bywa zazwyczaj do rozstrzygnięć na swoją korzyść bezpośrednią, ale stąd nie wynika wcale, ażeby to miało leżeć w interesie żywiołu życia, jako takiego. Według mnie, na straży tych właśnie najwyższych i najogólniejszych interesów natury wręcz kosmicznej stają nakazy etyki płciowej katolickiej.

Jeżeli chodzi o ilość progenitury w stosunku do jej jakości psycho-biologicznej, to bezwątpienia ilość wzmaga szanse powstawania jednostek wybitnych (Napoleon pośród swego licznego rodzeństwa etc. etc.). Jeszcze ważniejszem narzędziem rozwoju społecznego jest walka o byt, która wytwarza elity kierownicze. Im liczniejsze masy biorą w niej udział, tem intensywniejsza bywa ta walka, podstawa doboru szersza, i tem bardziej twórcze powołuje do życia elity. Nie wszędzie wprawdzie proces dziejowy bywa tu jednakowo płodny. W Europie naprz. w wieku XIX, naskutek całego szeregu poprzedzających doborów historycznych, silne rozrodzenie ludności ku końcowi XVIII wieku, oraz jej koncentracja, dla spotęgowanej walki o byt w wielkich miastach,

dała wyniki cywilizacyjno-twórcze wspaniałe. Podczas gdy naodwrót, w inaczej geograficznie skonstruowanej Azji, bieg doborów historycznych o wiele bardziej leniwy i mało urozmaicony doprowadził tamtejsze wielkie skupienia ludzkie do impasu, w którym nadmiary ścinane bywają masowo przez głody, powodzie i wojny domowe. Tem niemniej, to co powiedziałem wyżej wystarcza, ażeby dać pojęcie, w obronie jakich to interesów staje etyka płciowa katolicka, kiedy zamyka przed podległemi społeczeństwami linję najmniejszego oporu w walce o byt, a więc ograniczanie potomstwa.

W szczególności, w dobie obecnego dziejowego przełomu, zagadnienie populacyjne posiada przedziwnie ignorowaną, a wprost rozstrzygającą doniosłość, stanowiąc zasadniczy punkt wyjścia tragicznych konfliktów międzynarodowych. Mam na myśli zwłaszcza stosunek mas ludzkich, w krajach żywnościowo przeludnionych, do ich niewystarczającego terytorjum, jako też fakt istnienia poza Europą niezmiernych obszarów kolonizacyjnych, zaludnionych bardzo słabo. Wobec tych olbrzymich zagadnień, metoda ograniczania potomstwa stanowi najdostępniejsze wprawdzie wyjście doraźne, ale też zarazem najsromotniejszą kapitulację intelektualną wobec kryzysu, samobójczo godzącą w najgłębsze interesy żywiołu życia i cywilizacji powszechnej.

Nie innemu też społecznemu celowi, jak obronie tego właśnie żywiołu przed szkodliwem, w momentach wielkich klęsk i przełomów, działaniem instynktu samozachowawczego jednostek i gromad, służy instytucja katolickiej monogamji absolutnej. Jeżeli bowiem prawdą jest, że instytucja rozwodów może, w pewnych środowiskach, przy chłodnych, północno-protestanckich temperamentach, oraz pewnej umiarkowanej pomyślności materjalnej, nie być dla życia rodzinnego szkodliwą nawet w ciągu szeregu stuleci, to znów z drugiej strony nię ulega też wątpliwości, że gdy nadejdzie dziejowy Dzień Gniewu (tak np. jak w „wieku żelaznym“ z przed tysiąca lat), wówczas zagraża zewstecznienie społeczeństw do stanu zezwierzęconych hord. Broni zaś przed niem i ocala Wiara wogóle, a w szczególności wiara w absolutną, wyższą ponad życie i szczęście jednostki, świętość nierozerwalnego małżeństwa.

Może to jednak jest niebezpieczeństwo już tylko historyczne, którego powrotu nie należy się obawiać, może teraz rozpoczyna się taki właśnie okres dziejowy względnej pomyślności i spokoju, jak ten, który pomimo rozwodów, przeprowadził szczęśliwie protestancką rodzinę przez parę zkolei stuleci? Nie. Wszyscy czujemy, że nam pod stopami ziemia drży, wszyscy oczekujemy, lub obawiamy się przewrotów w ustroju gospodarczym, społecznym i państwowym, wszyscy lękamy się nowych wojen, mogących burzyć państwa i pogrzebać cywilizację. O miedzę, tuż obok, na wschodzie, krocie tysięcy zdziczałych dzieci błądzi po drogach i bezdrożach, żywi się na śmietnikach, kradnie i mrze... Dziś tedy, mniej niż kiedykolwiek, można podstawową komórkę i organ rozrodczy cywilizowanego społeczeństwa powierzać pieczy oportunistycznych ustaw i kazuistycznych sądów, któreby, pod kątem interesów żyjącego pokolenia, decydowały, kiedy rodzina ma istnieć, a kiedy nie. Dziś bardziej niż kiedykolwiek istnienia tego strzec musi Dogmat absolutny, nietykalny, wieczny wobec przemijających pokoleń, ustaw, państw i przełomów.

Dogmat zaś wymaga ofiar. Jest to zasada tak nieugięta i twarda, że, wprowadzona w żywą tkankę społeczną, nie może jej niekiedy nie rozrywać i nie niszczyć. Tak dzieje się wtedy, gdy dogmat eliminuje raz na zawsze od funkcyj rozrodczych rozseparowaną parę niefortunnych małżonków. Tak dzieje się w o wiele jeszcze szerszym zakresie wtedy, gdy dogmat staje wpoprzek sztucznemu ograniczaniu urodzin w momentach lub sytuacjach społecznych, szczególnie uciążliwych. Całe hekatomby niemowląt na wsi przechodzą z kołysek w trumienki, dla donioślejszego, niźli ich istnienie, celu: ażeby wytworzyć selekcję najodporniejszych i najtwardszych natur chłopskich. Podobnie nędza wielkomiejska, licznie mnożąca się na Zachodzie w normalnym czasie przedwojennym, mogła być uważana za nieodzowną podstawę społeczną bogatego systemu selekcji, który z niej wyprowadzał spiętrzoną piramidę hierarchiczną cywilizacji wielkomiejskiej. Wreszcie, w okresach takich jak obecnie, ten sam dogmat zamyka dostęp do łodzi ratunkowych do-

raźnego ocalenią, a rozkazuje za wszelką cenę, nawet hekatomb ludzkich — ratować okręt.

Zdrowy rozsądek widzi bardzo dokładnie, ale na kosmiczny gmach życia spogląda oczyma krótkowidza, niewiele tedy rozróżnić może. Nie dziw, że może mu się, między innemi, wydawać, iż oświata i dobre wychowanie narastających pokoleń jest ważniejsze, niźli potężnienie samego żywiołu życia, poprzez mechanizm selekcyjny. Kościół zaś katolicki, przez dwa tysiące lat kierownik pochodu dziejowego człowieczeństwa, od dwóch tysięcy lat zapatrzony w oblicze Istoty Bytu, od niej wziął objawienie dogmatów, strzegących rozwoju życia. Ich nieubłagana surowość stanowi z jednej strony odbicie równoległych z niemi praw przyrody, praw, dopiero od kilkudziesięciu lat wykrywanych przez naukę, a tak dziwnie ignorowanych przez nowoczesny radykalizm. Z drugiej strony owe nakazy pozostają w doskonałej harmonji z duchem samego katolicyzmu.

Zasadniczy impuls życiowy szczęścia osobistego jednostki przenosi on poza obręb jej istnienia ziemskiego, dąży do zupełnego unicestwienia indywidualnego instynktu samozachowawczego, instynkt ten podporządkowuje instynktowi zachowania gatunku, oba zaś razem — miłości Istoty Bytu. To naczelne uczucie chrześcijańskie konkretyzować się ma nazewnątrz w miłości bliźniego, czyli w podporządkowaniu interesów jednostki interesom otaczającego życia (aż do „miłujcie nieprzyjacioły wasze"). Surowy heroizm, domagający się najcięższych nawet ofiar, wszędzie tam, gdzie tego wymagać może dogmat, służebny wobec Istoty Bytu, znajduje antidotum pomocy i ulgi w pogłębieniu życia religijnego, w płynącej stąd zdolności do poświęceń, oraz miłości społecznej.

Pozostaje też Kościół prawu Bożemu i prawu natury wierny i konsekwentny, jeżeli na tej właśnie drodze heroicznego samozaparcia dopuszcza nawet samą zasadę ograniczenia potomstwa. Wolno to mianowicie małżonkom katolickim uczynić, nie w inny wszelako sposób, jak tylko drogą wstrzemięźliwości płciowej, czasowej czy trwałej. Oczywiście dla szerokich mas trudną jest taka abnegacja, wymagająca wielkiej potęgi uczuć religijnych i duchowego

udoskonalenia jednostek. Dlatego możliwość ta nie odgrywała dotąd praktycznie doniosłej roli socjologicznej, jeśli pominąć pokrewny odbór społeczny, powstający w następstwie celibatu duchowieństwa zakonnego i świeckiego. Zachodzi natomiast wszelkie prawdopodobieństwo, że gdyby udało się na szerszą skalę zastosować wstrzemięźliwość płciową, to zjawisko takie musiałoby iść w parze z tak wielkiem i powszechnem podniesieniem ducha religijnego w społeczeństwie, które znakomicie mogłoby ułatwić wyjście z powikłań materjalnych, skłaniających do ograniczania potomstwa.

Gdy wewnątrz i zewnątrz państw wre walka wszystkich przeciwko wszystkim, krusząca podstawy bytu materjalnego społeczeństw, powyższe zasadnicze cechy katolicyzmu nabierają szczególnej użyteczności społecznej, podobnie jak w poprzednich przełomach dziejowych. Broniąc świętości małżeństwa, zamykając niejako boczne wyjścia z kryzysu, Kościół już przez to samo wzmaga nacisk w kierunku intensyfikacji życia religijnego, jako siły uodporniającej jednostkę w walce o byt; z drugiej zaś strony przynagla do silniejszej chrystjanizacji życia publicznego, czyli złagodzenia samej walki o byt. Przybrała ona u nas w czasach ostatnich formy wręcz koszmarne, przewlekłego szału, który, w obliczu najgroźniejszych niebezpieczeństw, lwią część energji narodu i państwa absorbuje pod hasłem zdławienia opozycji, względnie obalenia *regime'u*.

Walka z kryzysem nie może być przeprowadzona skutecznie inaczej, jak solidarnym wysiłkiem narodu i państwa. Nawet i wówczas jednak nie da się zapewne uniknąć przekształceń ustrojowych, wzmacniających absolutyzm państwowy (nawet w dziedzinie gospodarczej) i niezbyt pomyślne rokujących horoskopy wolnościowym ideałom demokracji parlamentarnej.

Gdyby tak być miało, to zarówno chrystjanizacja dusz, jak pewne ograniczenia suwerenności państw w dziedzinach specjalnych na rzecz kościelnego „nadpaństwa", mogłyby się okazać niemniej użyteczne dla owych państw, jak dla ich obywateli, oraz dla cywilizacji. Tem bardziej, że również w ciężko schorzałem życiu międzynarodowem, po załamaniu

prymitywistycznego pacyfizmu lat powojennych, otwiera się piękne pole dla renesansu wielkich tradycyj uniwersalistycznych Rzymu.

Zdaje mi się, że dla Kościoła i katolicyzmu, tej ostatniej i najpotężniejszej rezerwy sił duchowych człowieczeństwa, bije znów godzina historyczna, jak już tylokrotnie, podczas tylu przełomów minionych. Inna rzecz, że Kościół i katolicyzm, zwłaszcza u nas w Polsce, posiada jeszcze w chwili obecnej fizjognomję dnia wczorajszego, lub nawet ubiegłego wieku. A to był właśnie długotrwały okres względnego zastoju, który mógł pozostawić po sobie, w tej lub owej dziedzinie, dziedzictwo nie zawsze dodatnie. W swoim odwiecznym żywocie Kościół katolicki bywał już jednak o wiele ujemniej obciążony, niźli dziś w Polsce. Mimo to, gdy godzina wybiła, wstępował weń zawsze twórczy Duch Boży. Godzinę wybijały przeciwności. W czasach nowszych najwięcej ich było we Francji i może dlatego właśnie odrodzenie katolickie tam rozwinęło się najsilniej. U nas uderzyła na alarm komisja kodyfikacyjna i Boy. Tyle w tem dobrego, że to budzi.

St. Szczutowski.

Stefan Duszan,
car Serbów i Greków.
(Dokończenie.)

Kierunek zewnętrznej polityki Serbji i jej państwowego urządzenia, które określił jeszcze Nemanja w dążeniu ku dolinie Morawy, Wardaru i do Saloník, położyło swoje piętno i na serbskiej kulturze średniowiecza. Chociaż Serbowie byli naogół tradycyjnie narodem rolniczym, rolnictwo jednak stało na bardzo niskim poziomie, gdyż częste wojny odrywały lud od pracy na roli.

Za panowania Duszana zamieszki domowe ustały i rolnik mógł w spokoju oddać się swojej pracy, zamożność wzrosła tak dalece, iż cudzoziemcy, podróżujący po Serbji, nazywali ją krainą bogatą w chleb i w ziemię [1]). Przyjazne stosunki z Wenecją ożywiły handel. Serbja wywoziła wówczas drzewo z ogromnych puszcz leśnych; rozwinięte pasterstwo dawało możność wywozu świń (karmiących się żołędziami w borach dębowych), solonego mięsa, masła, topionego sadła, szerści i skór różnego gatunku [2]). Do Serbji zaś przywożono sól, jedwab, droższego gatunku sukna, ubrania, wyroby metalowe, oręż, złote i srebrne rzeczy, przedmioty służące do umeblowania domu, południowe owoce i in. Najbardziej znane traktaty handlowe na Bałkanach były:

1) Dubrownicki trakt, którym jechano piętnaście dni z Dubrownika przez Trebinje, Foczę, Novi-pazar, Ibar do Niszu; tym szlakiem przenikała do Serbji zachodnia kultura;

[1]) Brocard, *Directorium ad passagium faciendum.*

[2]) Kostić, *Stara srpska trgowina i industrja*, str. 18—30.

2) Od ujścia Bojany przez Spas, Prizren i Wrań podróżowano do Sofji i Carogrodu; ta droga łączyła miasta z nad Adrjatyku z wewnętrznemi rynkami. Wielkie znaczenie tutaj miał Prizren szczególnie od chwili, gdy Stefan Duszan uczynił go stolicą;

3) Od Kotoru przez Czarnogórze szła „lądowa droga" na Brskowo, Novi-pazar, Rudnik, Belgrad; była to magistrala bardzo ważna, gdyż łączyła kopalnie. Tutaj starym handlowym punktem było Brskowo;

4) Z Kotoru szła druga droga na Onogoszt, Plewle, Użyce, Waljewo i Belgrad;

5) Od ujścia Neretwy przez Mostar, Kreszewo, Fojnicy, Ołowo do Sawy; ta droga zaczynała się od Drjewa (Gabela); kwitł tutaj handel niewolnikami;

6) Wielkie znaczenie ekonomiczne miał trakt od Bosforu przez Sofję do Belgradu; zwano go carogrodzkim (za Rzymian — *via militaris*). Car Duszan starał się o zabezpieczenie tych dróg od rozbojów; wzdłuż nich pobudowano na jego rozkaz setki szop i karczem dla wygody kupców i podróżnych.

Za czasów pierwszych Nemanijów przemysł serbski posiadł charakter wybitnie domowy z powodu tego, iż naród żył t. zw. „zadrugarskiem" życiem, wyrabiano tylko to, co jednej gminie było potrzebne, specjalizacji rzemiosł nie znano, cechy nie istniały. Dopiero za panowania cara Duszana zaczęła się organizacja rzemiosł; tak np. w Prizrenie i Skoplje utworzyły się jakby cechy, które miały starszych zwanych „proto-majstrami". Obok przedstawicieli najstarszego rzemiosła w Serbji — kowali [1]) pojawiają się złotnicy, stolarze, malarze i tkacze.

W tym samym roku, w którym został ogłoszony „Zakonnik", car Stefan przedsięwziął wyprawę na Saloniki, jedyny gród w Macedonji, który obronił się przed wielokrotnemi zamachami władcy serbskiego. Nie mając dostatecznych sił, aby wziąć miasto szturmem, Duszan otoczył wojskiem Saloniki i starał się zyskać zwolenników wśród mieszkańców [2]).

---

[1]) Kowalami podówczas w Serbji byli wołosi (cyncary).

[2]) Cantacuz, IV. c. 16.

W następnym roku usiłuje car znowu zawrzeć z Wenecją sojusz przeciwko Cesarstwu, lecz bezskutecznie. W owym momencie Cesarstwo było bardzo potrzebne Rzeczypospolitej, ta bowiem przygotowywała się do walki z Genuą i jej kolonją Galatem i zamierzała zawrzeć sojusz z Janem Kantakuzenem. Dnia 6 kwietnia 1349 r. senat wenecki wysyła do Serbji poselstwo celem skłonienia Duszana do zawarcia pokoju z cesarzem. Car Stefan propozycje Rzeczypospolitej odrzucił, przygotowując się do walki. Wenecjanie jednak kontynuowali swoją politykę i w listopadzie tegoż roku został zawarty sojusz z cesarstwem. Te dwa posunięcia dyplomatyczne Rzeczypospolitej jasno wykazywały, iż cele Duszana i Wenecji mijały się w stosunku do Bizancjum, i Rzeczpospolita nie mogła go wspomagać w walce z Cesarstwem.

Ale wszystko i teraz nie podziałało głębiej na Duszana, który zajęty swojemi planami, nie zdawał sobie sprawy z dokonywujących się dookoła niego politycznych wydarzeń. Dnia 13 kwietnia 1350 roku wysłany został przez Duszana do Wenecji poseł Michał Bucza, który na posiedzeniu senatu w imieniu władcy serbskiego proponował zawarcie sojuszu [1]), zresztą bez rezultatu [2]). Dnia 3 maja Wenecja dała kategoryczną odpowiedź odmowną, którą car Stefan przyjmuje z oburzeniem. Ostatnie posunięcia dyplomacji weneckiej rozwiały iluzje cara; wszystko wskazywało na to, iż Wenecja nie chciała i nie mogła pomóc mu w walce z cesarstwem. Do zupełnego jednak zerwania między dwoma państwami, jak można było oczekiwać, nie doszło. Niemniej car Duszan dał odczuć Rzeczypospolitej swoje oburzenie i postanowił nastraszyć Wenecjan. We wrześniu 1350 r. Rzeczpospolita rozpoczęła walkę z Genuą. W tym też czasie ruszył w pochód i Duszan, lecz nie na wschód. Nadzieje cara w stosunku do Salonik nie spełniły się, gdyż zwolenników w mieście zyskał zbyt mało, a wysiłki zbrojne do niczego nie doprowadziły. Zrezygnowawszy więc z podbojów na Wschodzie, zwraca wszystkie siły w kierunku Bośni.

[1]) Ljubić, *Monumenta*, III, 174—176.

[2]) Duszan ofiarowywał Wenecji w razie zdobycia Carogrodu — Epir względnie Peru (Novak, *L'alleanza veneto-serba nel. secolo XIV*).

Ale wojny Bośni z Serbją nie życzyła sobie Wenecja [1]). Bała się klęski bana bośniackiego, na którego pomoc liczyła w walce z królem węgierskim. Poza tem obawiała się utracić Dubrownik i inne posiadłości w Dalmacji, o zdobycie których mógł pokusić się Duszan, szczególniej w razie zwycięstwa nad banem bośniackim. Dąży więc Wenecja do pogodzenia Duszana z Bośnią i wysyła dnia 11 czerwca 1350 r. poselstwa do bana i cara. Jednakże wszystkie starania, aby pogodzić przeciwników, spełzły na niczem. Duszan, dążąc do wojny z Bośnią, chciał widocznie odpłacić Wenecji za odmowę sojuszu i pokazać jej namacalnie swoją siłę.

Pochód do Bośni rzeczywiście był jednym wielkim triumfem, zato dla posiadłości świeżo zdobytych na wschodzie wojna ta okazała się wielkiem nieszczęściem. Do walki bowiem z banem car zebrał wszystkie siły rozrzucone w kraju. Macedonja i Albanja były rozbrojone, z pod Salonik wojska odwołano, w miastach pozostały ledwo niewielkie garnizony.

Z tego osłabienia zbrojnych sił serbskich postanowił skorzystać dawny przyjaciel, późniejszy wróg Duszana, noszący teraz cesarską koronę, — energiczny Jan Kantakuzen.

Nowy cesarz już od chwili wstąpienia na tron myślał poważnie nad sposobem powstrzymania naporu serbskiego i odzyskania utraconych prowincyj zachodnich Cesarstwa. Ale o prowadzeniu walki tylko własnemi siłami nie mógł myśleć. Postanowił więc wykorzystać w walce z Duszanem nową groźną siłę na wschodzie, t. j. Turków osmańskich. Przy ich pomocy Kantakuzen, korzystając z nieobecności Duszana i bezbronności jego wschodnich posiadłości, w ciągu jesieni przyłączył zpowrotem południowo-zachodnią część Macedonji, całą Beocję, dotarł do Albanji i Tessalji [2]). Dopiero niepomyślna próba wzięcia szturmem twierdzy Serrai, bronionej przez ulubieńca Duszana, Prelunba, a osłaniającej dostęp w głąb Tessalji, jako też powrót Turków do Azji [3]) zmusiły Kantakuzena do powrotu do Salonik.

W tym też czasie, t. j. w grudniu 1350 r., zjawił się w Macedonji Stefan Duszan, wezwany z Bośni niepokojącemi

[1]) Ljubić, *Monumenta*, III, 119. 177.
[2]) Cantacuz. IV, c. 5.
[3]) Parisot, 240.

wiadomościami, dochodzącemi z poł.-wschodnich posiadłości jego carstwa. Duszan szybko rozpoczął walkę z cesarskiemi wojskami, wypierając je z całej niemal Macedonji, a Kantakuzen zamiast bronić nowozdobytych ziem, zmuszony był śpieszyć do Carogrodu, pozostawiwszy w Salonikach zięcia Jana Paleologa [1]). Tym sposobem powodzenie Kantakuzena okazało się bardzo nikłe i przejściowe; niemniej musiało mieć wielkie znaczenie dla Duszana. Widział on, iż Kantakuzen, stanąwszy na czele Cesarstwa, mimo kłopotów, wykazał tyle energji i sprytu, że walczyć z nim nie było rzeczą łatwą. Toteż zrozumiał Duszan jaką poważną siłę przedstawiają Turcy, których tak zręcznie użył przeciwko niemu Kantakuzen. Do wspomnień o porażce pod Stefanjanami przyłączyły się teraz smutne obrazy zgliszcz i spustoszeń w Macedonji, będących dziełem tych barbarzyńców. Na pomoc Wenecji w walce z Cesarstwem, jak sam się przekonał, liczyć nie mógł. Jeszcze w tym czasie, kiedy Kantakuzen zajął Saloniki, Wenecjanie nakłaniali go do walki z Genuą.

Postanowił więc Duszan zaprzyjaźnić się z Turkami, by odciągnąwszy tę groźną siłę od Kantakuzena, przyciągnąć ją do siebie. W jaki sposób to uczynić, wskazywał carowi przykład samego cesarza Kantakuzena, który ofiarował emirowi Orchanowi córkę Teodorę za żonę. [2]) Tak też uczynił Stefan Duszan. W r. 1351 posłowie serbscy zaofiarowali Orchanowi sojusz i rękę córki Duszana dla jednego z synów władcy tureckiego. [3]) Orchan chętnie przyjął propozycję i wyprawił posłów do cara Stefana w celu zawarcia sojuszu i omówienia sprawy małżeństwa.

Nie było sądzonem jednak posłom dojechać do stolicy Serbji. Około Radostu zostali oni napadnięci z polecenia cesarza przez zięcia Kantakuzena, b. despotę Epiru Nikifora i zamordowani. Tak więc Kantakuzen i tutaj umiał przeszkodzić zawarciu tak niebezpiecznego dla Cesarstwa so-

[1]) Parisot, 227.

[2]) Kronikarz bizantyjski Laokinik Chalkokondijlos pisze, iż Kantakuzen wydał za Orchana swoją córkę celem zyskania sojusznika dla walki z Janem Paleologiem.

[3]) Gregoras XXVI. c. 34.

juszu, gdyż o wznowieniu pertraktacji między Duszanem a Orchanem niema więcej wiadomości.

Tymczasem w Cesarstwie zanosiło się na wojnę domową. Stronnictwo Paleologów, korzystając z niepowodzeń Kantakuzena, przygotowywało się do powstania. Z tego postanowił korzystać Duszan, ujmując się za Paleologiem. Car chciał osłabić Cesarstwo i liczył na możliwość zajęcia Tracji. Duszan rozpoczął rokowania z Janem Paleologiem, przebywającym w Salonikach i ofiarował mu pomoc w walce z teściem.[1]) Jesienią r. 1352 zawrzała w Bizancjum wojna domowa w całej pełni. Dolina Marycy i Chalcydika uległa strasznemu zniszczeniu. Paleolog, rozbity przez Kantakuzena, zwrócił się o pomoc do Serbji i Bułgarji. Duszan chętnie spełnił prośbę Paleologa; zażądał jednak zakładnika w osobie brata jego, despoty Michała. Wkrótce Michał Paleolog przybył na dwór serbski a car wyprawił na pomoc Janowi potężny oddział wojska pod wodzą Kaznaca Borilowica.[2]) Borilowic jednak nie zdążył połączyć się z wojskami Jana Paleologa. Został bowiem rozbity przez Turków, wspomagających Kantakuzena w krwawej walce w dolinie Marycy około Dimotiki, zanim zdążył zdziałać coś dla Paleologa. Zaledwie Borilowic z nieliczną garstką walecznych zdołał się przebić.[3]) Straszne wrażenie na carze uczyniła wiadomość o nieszczęsnej bitwie. Stało się teraz dla niego jasnem, iż podbój Cesarstwa był ponad jego siły. Zrozumiał, iż nie mógł rywalizować ze wspaniale uzbrojonemi i karnemi wojskami tureckiemi, wspomagającemi Kantakuzena. Musiał więc wyrzec się wszelkich nowych prób walki z Carogrodem.

Kampanja Borilowica — to ostatni historyczny fakt, mówiący o zaborczych dążeniach cara Serbji na poł.-wschodzie Bałkanów. Duszan zmuszony jest zostawić w spokoju wschód i skierować się na Dunaj. Z zachodu nadciągała burza. Groził Serbji król węgierski. Chcąc nie chcąc, musiał Duszan poprzestać nn podbojach, dokonanych do r. 1350.

Tymczasem w r. 1354, gdy trwała jeszcze niezgoda pomiędzy Paleologiem i Kantakuzenem, a Turcy zająwszy

[1]) Cantacuz. IV. c. 27.
[2]) Ibid. IV. c. 34.
[3]) Ibid. IV. c. 34.

w r. 1352 małą twierdzę Cympę[1]) na półwyspie Gallipoli, zaczęli zagrażać Tracji, w Carogrodzie powstają stronnictwa, które widzą jedyny ratunek dla Cesarstwa w detronizacji zwalczających się dynastów i poddaniu się pod zwierzchnictwo obcego władcy[2]). Byli i tacy, którzy dążyli do połączenia się z Serbją, co było zapewne wiadomem carowi serbskiemu. Jednakże po bitwie nad Marycą nie widać z jego strony ani jednego kroku, uczynionego w kierunku Bizancjum. Widocznie Duszan nie był w stanie to uczynić. Czem innem tego objaśnić nie można. Tak więc zamiast Grecko-Serbskiego Carstwa, które miało powstać, Stefan Duszan zdążył stworzyć tylko Carstwo Serbskie, obejmujące również sporo ziem greckich.

Jednocześnie ze wzrostem potęgi państwa Serbskiego na zachodzie dokonywują się wielkie zmiany. W r. 1308 w osobie Karola Roberta wstąpiła na tron węgierski dynastja andegaweńska, pod której rządami Węgry stają się najpotężniejszem mocarstwem Europy środkowej. Król Robert doprowadza do porządku finanse państwa, wzmacnia nadwątloną za ostatnich Arpadów władzę na Węgrzech, łamie siłę możnowładztwa, stwarza silną armję i przeprowadza plan połączenia z Węgrami Królestwa Neapolitańskiego i Polski. Poza tem kontynuuje odwieczną politykę Arpadów, dążącą do wzmocnienia i rozszerzenia władzy na Bałkanach. Ludwik Wielki stara się urzeczywistnić program ojca i rozwija jeszcze szerzej polityczne zamiary. Zajęty stworzeniem silnego federacyjnego państwa w centrum Europy, znakomity ten władca dąży jednocześnie do rozszerzenia swojej władzy na półwyspie Bałkańskim. Powrót do Węgier miast dalmackich, walki z Wałachami, Serbami i Bułgarami — były wyrazem tego pędu.

Stefan Duszan bezwątpienia bardzo dobrze rozumiał niebezpieczeństwo ze strony Węgier i cały trud zbierania zachodnio-serbskich ziem. W takiem zrozumieniu sprawy, być może, trzeba widzieć jedną z przyczyn, dla której władca ten ześrodkował swoją działalność przeważnie na

---

[1]) Gregoras, XXVIII. cc. 41, 43.

[2]) Ljubić, *Monumenta*, III, 266.

poł.-wschodzie. Z tej strony bowiem można było oczekiwać lżejszych i pewniejszych powodzeń. Rodzimy współplemienny Zachód już od samego początku panowania odpychał Duszana. Nie unikając myśli o zjednoczeniu ziem serbskich, zbyt mało zatrzymywał się na tem ważnem zadaniu, którego urzeczywistnienie mogło tylko powiększyć wewnętrzną siłę i spoistość jego państwa. Ześrodkowując całą uwagę w kierunku podbojów prowincji Cesarstwa, Duszan coraz mniej myślał o ratowaniu zachodnich dzielnic serbskich i o zabezpieczeniu się przeciwko roszczeniom Zachodu. Uwaga jego zwraca się na Zachód na niedługo, urywkami, w momencie niebezpieczeństwa i to przeważnie w ostatnich latach panowania, w okresie niepowodzeń i rozczarowań na Wschodzie. Zrozumiałem jest, iż przy tak niedostatecznym i mało aktywnym stosunku cara serbskiego do jednej z najbardziej żywotnych spraw ówczesnej południowej Słowiańszczyzny, rozstrzygnięcie tej sprawy nie posunęło się naprzód. Poza chwilowem zajęciem Maczwy i części Chołmu nie poczynił Duszan żadnych znaczniejszych zdobyczy terytorjalnych na zachodzie. Jednocześnie i opór, który Duszan zmuszony był dać Zachodowi, charakteryzuje jego środki, jako niedostatecznie silne dla zabezpieczenia półwyspu od niebezpiecznego wroga.

Już na początku swojego panowania Duszan mógł się upewnić, że ze strony Węgier grozi Serbji niebezpieczeństwo. W 1334 r. Karol Robert — dowiedziawszy się, iż Duszan zajęty jest podbojem Macedonji — przeszedł Dunaj i ruszył w głąb Serbji, dochodząc do Ziczy. Lecz jego wyrachowanie, iż znajdzie Serbję bezbronną, okazało się nietrafnem. Duszan niezwłocznie pospieszył nad Dunaj. Król węgierski uszedł czem prędzej; car zaś zaraz po wycofaniu się wojsk węgierskich za Sawę zwrócił uwagę na południe i nie wiele uczynił dla zabezpieczenia północy.

Niemniej nieprzyjazne stosunki między Karolem Robertem, a Duszanem nie ustają. Walka na pograniczu trwała, z jednej strony Węgrzy starali się rozszerzyć władzę swoją na pograniczne twierdze, z drugiej Serbowie napadali i pustoszyli często Szrem.

W r. 1338 Karol Robert wyruszył przeciwko Serbom.

Działał on z pewnem powodzeniem i posunął się dość daleko w głąb posiadłości serbskich, co potwierdza rozkaz jego z dn. 22 września „in Kuchen prope fluvium Obona". [1]) Do tej wojny odnosi się też nakaz palatyna Wilhelma Drugeta, z którego dowiadujemy się, iż Stefan i Paweł, synowie Gyurka, byli z banem Maczwy — Mikołajem na wojnie z Serbją. [2]) Ten nakaz odnosi się też do roku 1339, w którym to walka wrzała, co potwierdza list papieża Benedykta XII, pisany w roku 1339, w którym rozgrzesza się tych wszystkich, którzy walczą „cum poganis et schismaticis". [3]) Serbowie w r. 1339 napadli też na Szrem, pustosząc ziemie i uprowadzając do niewoli mieszkańców w takich rozmiarach, że kraj opustoszał.

W 1340 r. rządy Maczwy objął po Mikołaju brat jego Dominik (1341—1351), człowiek wielce energiczny. Stosunki między Serbją i Węgrami zaostrzyły się znowu. Serbowie kontynuowali swoje napady na Węgry, co wywołało w r. 1342 nowy pochód Karola Roberta, zakończony pewnemi sukcesami. Serbowie zostali czasowo wyparci na południe od Sawy. Bardzo interesujący jest fakt, iż Karol Robert, walcząc z Serbją, zmuszony był też zwalczać jednocześnie swoich magnatów, którzy zbuntowali się i przystali do Duszana. Mówi o tem list Benedykta XII z r. 1339: „guerram quasi continue ipsum cum gentibus suis exercere contingit". [4]) Nie odnosiło się to do chorwackich wielmożów, tylko do serbskich w Szremie i Maczwie „et specialiter cum quibusdam schismaticis a devocione sanctae Romanae ecclesiae deviantibus", że byli to „schismatici" to dowodzi, iż należeli do plemienia serbskiego.

Następca Karola Roberta dłuższy czas nie miał sposobności skierowania swego oręża na Bałkany, cała uwaga Ludwika zajęta była sprawami na Zachodzie. Neapolitański projekt jego ojca nie udał się. Brat Ludwika Andrzej, koronowany na króla Neapolu, padł z ręki mordercy, nasłanego przez żonę królowę Joannę, która wkrótce potem

[1]) Fejer, *Codex dipl.* VIII.
[2]) Nagy, *Codex dipl. Andeg.* III.
[3]) Theiner. *Mon. Hung.* I.
[4]) Ibid. II.

wyszła za Ludwika ks. Tarentu. Ludwik wielki postanowił pomścić śmierć brata i przyłączyć Królestwo Neapolitańskie do Węgier. W tym celu przedsięwziął on kilka pochodów do Włoch, stracił wiele pieniędzy i wojska, celu jednakże nie dopiął. Papież Klemens VI, trzymając stronę Joanny, zmusił Ludwika do zrzeczenia się korony neapolitańskiej. Włoskie sprawy tak pochłonęły uwagę króla Ludwika, iż z tej przyczyny pośpieszył zakończyć wojnę rozpoczętą z Wenecją o miasta dalmackie (1345—1348). Zara, która zdążyła już oderwać się od Rzeczypospolitej Weneckiej nie otrzymała od Ludwika Wielkiego spodziewanej pomocy i zmuszona była po bohaterskiej obronie poddać się.

Zrozumiałem więc jest, iż wśród takich przedsięwzięć na Zachodzie, Ludwik nie ma czasu zająć się swojemi planami, dotyczącemi Wschodu. Tym sposobem dziesięć zgórą lat panowania Ludwika, były okresem dogodnym dla energicznych poczynań Duszana w Serbji zachodniej. Car serbski skorzystał z tego i wtargnął do Węgier. Są na to pewne dowody. Z nadania z dnia 26 maja 1345 r., w którym Ludwik obdarza bana Dominika nowemi przywilejami za zasługi uczynione jemu i jego ojcu, widać wyraźnie, iż walka trwała i po śmierci Karola Roberta (1342); w nadaniu tem czytamy: „confinjum regni nostri contra aemulos nostros et ejusdem regni nostri ex parte Rascye non sine effusione sanguinis proximorum famulorum et cliencium suorum atque nece conservando...“ *(Cod. patr. II).* Pisze też o tych walkach tajny sekretarz Ludwika (suorum secretorum notarius) — archidiakon Jan Kükülo. Walkę tę prowadziły obie strony wprost po barbarzyńsku. Z listu Benedykta XII z r. 1339 widać, iż południowe Węgry zostały strasznie zniszczone, a lud wybity lub uprowadzony.[1]) Te najazdy Serbów powtarzały się co pewien okres (...et talis persecutio recipit modica intervalla - Theiner). Czytamy też w rozkazie Ludwika z r. 1351, iż Serbowie zniszczyli Maczwę i Szrem i uprowadzili tylu ludzi do niewoli, że kraje te stały się pustynią („raro incoleretur habitatore“). Pisze też Jan Kükülo,

[1]) Theiner, *Mon. Hung.* I.

iż Karol Ludwik w pierwszych latach swojego panowania walczył „contra rebelles Racenses". [1])

Miał też wiele kłopotu Ludwik Węgierski z wielmożami chorwackimi, z którymi Duszan utrzymywał ścisły kontakt (wizyta krbawskiego księcia Kurjakowića na dworze Duszana, prośba Wenecji w roku 1343, ażeby Duszan zaopiekował się jej sprawami u ks. Nelepića i innych wielmożów chorwackich, ślub siostry cara Heleny z Mladenem III Szubiczem, najpotężniejszym wielmożą), groźbą i orężem zmuszał ich król węgierski do uległości. Od drugiej połowy r. 1344 Serbowie zaprzestają napadów na ziemie węgierskie; naodwrót Węgrzy przekraczają Sawę i Dunaj, zagłębiając się w ziemie serbskie. W r. 1345 ban Dominik przechodzi do ofensywy, zdobywając stopniowo nowe grody i ziemie. Energiczną jednak akcję przeciwko Serbom prowadzili Węgrzy niedługo, rozpocząwszy jednocześnie walkę nad Adrjatykiem i na Apeninach; na pograniczu serbsko-węgierskiem zapanował spokój.

W czasie największego napięcia walk Ludwika we Włoszech, Duszan znajduje się w pokojowych stosunkach z królem Węgier i w r. 1346 pośredniczył skutecznie między Wenecją i Ludwikiem.

W r. 1352 rozstrzygnęła się nakoniec sprawa neapolitańska. Ludwik podporządkował się wyrokowi papieża, który uznał Joannę za niewinną zabójstwa Andrzeja Andegaweńskiego, a tem samem zatwierdził jej prawa do korony neapolitańskiej. Pogodziwszy się z papieżem Ludwik Wielki zwraca oręż przeciwko Serbji. W rozkazie z r. 1351 nazywa Duszana głównym swoim nieprzyjacielem. Nastrój wrogi wywołały w nim zwycięstwa, odniesione przez króla serbskiego nad banem bośniackim.

O stosunkach Duszana z Bośnią historja podaje nader skąpe wiadomości. W pierwszej połowie rozpatrywanej epoki stosunki serbsko-bośniackie nie były wrogie. Lecz w miarę, jak wyjaśniały się dążenia polityczne poszczególnych władców serbskich, starcie między dwoma państwami stawało się nieodzownem. Za panowania cara Duszana stosunki Serbji

---

[1]) „Rabellis" w królewskich rozkazach oznaczało wewnętrznych wrogów — buntowników przeciwko władzy królewskiej.

ze Stefanem Kotromaniczem, banem bośniackim, układały się dłuższy czas pokojowo.

Był moment, gdy Stefan Kotromanicz, chcąc się uwolnić z pod przewagi Węgrów, dąży do stworzenia przeciwnikom koalicji południ.-słowiańskiej wraz z Wenecją. W czerwcu r. 1343 wysła ban poselstwo do Wenecji z propozycją sojuszu i sprzedaży mu oręża. W skład projektowanej koalicji, która zresztą nigdy do skutku nie doszła, mieli wejść: Bośnia, Wenecja, Serbja, miasta dalmatyńskie i „barones Sclavonie". [1])

Zczasem jednak nieokreślony charakter wspólnej granicy, przejście władzy Bośni na stronę Węgier (1344), rozgałęziona w Bośni sekta Bogumiłów, których w Serbji prześladowano i obopólne dążenie Duszana i Kotromanicza do rozszerzenia swoich posiadłości [2]) doprowadziły do walki. W tym czasie, gdy stosunki serbsko-węgierskie układały się pokojowo, antagonizm bośniacko-serbski zaostrzył się. Przystawszy do Ludwika W. ban Stefan wspomagał go w walce jego z Duszanem i napadał na ziemie serbskie, położone w południowej Bośni. Walki te trwały (od r. 1344 do 1346), ograniczając się na pustoszeniu granicznych miejscowości, wkońcu za pośrednictwem Wenecji zawarte zostało zawieszenie broni między banem i Duszanem [3]). Aż do roku 1349 kroniki nie mówią o jakichkolwiek bądź zatargach bośniacko-serbskich; wprawdzie wojewoda bośniacki Grgur Gojslawić uzyskał 19 lutego 1348 r. pozwolenie Wenecji na zakup oręża dla swego władcy za sto dukatów [4]), lecz spokój na granicach był niezakłócony.

W r. 1349 zaczęły się znowu napady Bośniaków na miasta i zamki w Trebinji, Konawli, Gaczce i inne posiadłości, położone koło zatoki Kotorskiej. Napady te i odrzucenie przez Wenecję (w 1350 r.) zawarcia sojuszu z Duszanem rozdrażniły cara. W głowie jego powstaje plan wielkiej wyprawy na zachodnio-serbskie prowincje. Historyczna

---

[1]) Ljubić, II, 181—182.

[2]) Dotyczyło się to Chumu (Hercegowiny) i Primoria (županje Konawli i Drażewicz) — Klaić, *Porjest Bosne.*

[3]) Ljubić, II, 408.

[4]) Ibid. III, 54.

misja Nemanjidów przypomina mu się w godzinę gorzkiego rozczarowania. Z myślą o złączeniu wszystkich ziem serbskich, o zwrocie Carstwu tego, co historycznie powinno należeć do niego, łączy się u Duszana też chęć zemsty nad Kotromaniczem za napady. W październiku r. 1350 car Duszan na czele doborowych wojsk przeprawił się przez Drinę i wtargnął do Bośni. Czas do wyprawy był wybrany pomyślnie. Król węgierski z całem swojem wojskiem znajdował się we Włoszech i nie mógł zjawić się na obronę swego wasala. Stefan Kotromanicz nie decydował się walczyć w polu z potężnym Duszanem i ograniczył się do obsadzenia górskich przełęczy i zamków, spodziewając się, iż tym sposobem zatrzyma napór wojsk serbskich. Plan jego jednak nie udał się z powodu zdrady wielu bojarów, których car zdążył przeciągnąć na swoją stronę. Z obawy, aby nie być wydanym przeciwnikowi, ban chroni się w góry, a cała poł.-wschodnia część Bośni zostaje zajęta przez Serbów. Niektóre oddziały serbskie dotarły do posiadłości Dubrownika i okolic Żrnownic i Stonu, co wywołało u Raguzy i Wenecji obawę, iż car zamierza przyłączyć do swoich posiadłości stonski Rat[1]) *(et per nova... de voluntate regis Raxie, qui forte attendit ad occupationem puncta Stagni)*[2]), Grody, Trogir i Sibenik, będące pod zwierzchnictwem Wenecji, przysłały posłów i dary, uspokoił Wenecję jednak Duszan zapewnieniem, iż uczynili to dowódcy bez jego wiedzy. Wyprawa trwała niedługo. Duszan otrzymał wiadomości o napadzie Jana Kantakuzena i jego sojuszników Turków na Macedonję i już w grudniu śpieszy na obronę nowozdobytych ziem. Wkrótce też Dubrownik z polecenia Wenecji przyjmuje na siebie pośrednictwo między Bośnią i Serbją. Car postawił za warunek pokoju małżeństwo córki Stefana Kotromanicza Elżbiety z synem swoim Uroszem, mając nadzieję, że uda mu się związać interes obu panujących rodów, zczasem zaś zjednoczyć Serbję z Bośnią w jedno państwo i odzyskać Chum. Ban nie mógł zgodzić się na to, Elżbieta była już zaręczona z Ludwikiem Węgierskim. Tym sposobem

[1]) Stonski Rat został sprzedany Dubrownikowi przez Bośnię i Serbję (wspólnie) w 1333 *Mon, Rag.* L. R. II. *Monumenta Serbiae* 105.

[2]) Ljubić, III. 199.

rokowania zostały zerwane i wojna wybuchła z nową siłą [1]). Kotromanicz pozostawał jednak nadal nieugięty, a Duszan, nie mogąc wymusić na nim zgody na małżeństwo Elżbiety z Uroszem, wyruszył do Chumu (Hercegowiny) i zająwszy północną część tej prowincji [2]) obsadził serbskiemi garnizonami grody tamtejsze [3]). Wielu bojarów chumskich przeszło na stronę Stefana Duszana, a niektórzy z nich nawet, jak Władysław i Bogisz Nikoliće, ażeby otrzymać Hercegowinę, gdzie rządzili ich przodkowie, asystowali carowi w powrotnej drodze do Serbji [4]). Tak skończyła się wojna bośniacka, rozpoczęta z tak wielkim nakładem i energją. Podbicie Bośni nie nastąpiło, był to cel zresztą przyświecający carowi Serbji przez krótki okres czasu. Dążenie to nie wypływało z narodowego uczucia lub z potrzeby zjednoczenia serbskich plemion. Było ono raczej podyktowane dążeniem do nowych podbojów, chęcią rozszerzenia terytorjum państwa, a najwięcej żądzą zdobycia łupów i licznych niewolników.

Poza tem car Duszan zmuszony był wkrótce przejść do obrony swojego państwa przed Węgrami. W r. 1352 sprawa neapolitańska została nakoniec załatwiona i Ludwik Wielki śpieszy na Dunaj. Upokorzyć Duszana i zemścić się za bana uważał on za pierwszy swój obowiązek. W tym momencie kieruje Ludwikiem Węgierskim już nietylko tradycyjne dążenie do rozszerzenia posiadłości Królestwa Węgierskiego kosztem poł.-słowiańskich ziem, ale i specjalnie bliskie stosunki ze Stefanem Kotromaniczem. W 1353 r. Elżbieta, której ręki tak domagał się Duszan dla syna Urosza, zostaje żoną króla węgierskiego. [5]) W poniesionej przez bana porażce widzi więc Ludwik swoją osobistą zniewagę. Duszan staje się dla niego nietylko państwowym *hostis publicus*, lecz i osobistym wrogiem.

Szybki wzrost potęgi Duszana był dla Zachodu niespodzianką bardzo przykrą. Podbicie Macedonji, koronacja

---

[1]) Resti, *Chronica Ragusina.*

[2]) Orbini, *In regno degli Slavi.*

[3]) Resti, *Chronica Ragusina.*

[4]) Orbini, *In regno degli Slavi hoggi corrottomente detti Schiavoni*, p. 265.

[5]) Chum miał służyć za wiano bośniackiej księżniczce.

Stefana Duszana na cara Serbów i Greków, przyłączenie Epiru, Tessalji, Etolji i Akarnanji, zwycięska wyprawa do Bośni, wydarzenia te zaniepokoiły wszystkich, którzy bezpośrednio byli zainteresowani w utwierdzeniu swojego panowania na półwyspie. Andegawenowie byli niemal wyparci z Albanji. Wenecja bała się o swoje posiadłości w Grecji i Dalmacji, książęta achajski i ateński nie uważali swoich ziem w Helladzie i na Poloponezie za zbyt zabezpieczone przed orężem serbskim. Król węgierski niepokoił się o Bośnię, Maczwę, Szrem i Hercegowinę. Wszyscy rozumieli dobrze, iż na miejscu Bizancjum, którego podziałem byli zajęci razem z innemi zachodniemi narodami, utworzyło się nowe silne państwo, mogące objąć cały półwysep. A ograniczenie przez cara Serbji propagandy katolickiej w jego państwie,[1]) sekwestr dóbr kościelnych[2]) i próby osłabienia związku oddzielnych parafji katolickich z biskupstwem w Kotorze wywołały protest papieża Klemensa VI.[3]) Orbini przypisuje prześladowanie katolików nietyle Duszanowi, ile żonie jego Helenie, którą nazywa *donna perversa, che odiava molto i Cattolici.* W r. 1353 Ludwik Wielki przedsięwziął walną wyprawę na Serbję. Wyruszając na państwo Duszana król węgierski spodziewał się widocznie słabej obrony, liczył on na to, iż Duszan zajęty w Macedonji, nie będzie stawiał większego oporu. Duszan zamierzał początkowo stawić czoło w otwartem polu, ale z powodu przeważających sił najeźdźców, za radą wojewody odstąpił na dolinę Łomnicy i Rudnika, broniony przez nieprzebyte lasy.[4]) Wszystkie drogi wiodące przez te lasy w głąb kraju były poprzecinane zaciekami. Widząc ze strony Serbów pełne przygotowanie do walki, Ludwik postanowił przed rozpoczęciem działań wojennych przeprowadzić rokowania. Żądał mianowicie od cara serbskiego przyjęcia katolicyzmu, uznania się za wasala króla Węgier i oddania syna Urosza jako zakładnika.[5]) Żą-

[1]) Novakowić, *Zakonnik,* art. 6.

[2]) Theiner, *Mon. Hung.* I.

[3]) Ibid. 7, 711.

[4]) Orbini, *In regno degli Slawi,* p. 262—264. — Luccari, *Copioso nitretto de gli annali di Ragusa,* p. 57.

[5]) Orbini, *In regno degli Slavi,* 263.

dania te jednak zostały odrzucone przez Duszana i rozpoczęła się wojna. Węgrzy wdarli się do Serbji i spustoszyli całą krainę do Łomnicy i Rudnika, lecz zawładnąć fortyfikacjami serbskiemi nie zdołali i cofnęli się do swoich posiadłości. Ludwik jednak nie zadowolnił się tą wyprawą, której powodzienie było bardzo wątpliwe. W 1354 r. zawrzała znowu walka.[1]) Stefan Duszan, przestraszony sukcesami Węgier; nawiązał stosunki dyplomatyczne z papieżem, który z powodu wyrażonej przez cara-schizmatyka pokory powinien był powstrzymać Ludwika Węgierskiego od walki z Serbją. Przyczyny zwrócenia się cara do Avinjonu były następujące: ciężkie straty, które poniosła armja serbska na Wschodzie w walce z Turkami i na północy z Węgrami, oraz spustoszenie północnej Serbji.

Rok 1354, przedostatni w życiu i działalności cara Duszana, to dla niego rok rozczarowania się do swoich politycznych posunięć na Wschodzie. Porażka poniesiona nad Marycą wskazuje carowi jak niedostateczne są jego środki do walki z Turkami. Obronna wojna z Węgrami w 1353 r. również świadczyła, że Duszan nie czuł się na siłach do walki z Ludwikiem. Naturalnem zjawiskiem więc było, że car Stefan powątpiewał w pomyślny wynik przyszłej walki, tem bardziej, że według wiadomości o przygotowaniach Ludwika, walka byłaby bardzo ciężka. Przeto car postanowił zbliżyć się do papieża Inocentego VI, wysyłając w czerwcu r. 1354 do Awinjonu poselstwo, w skład którego weszli sędzia Bożydar, sereski czefalij Nestjag i patrycjusz Damian[2]). Duszan pozornie uznał Inocentego VI. głową Kościoła i zobowiązał się znieść wszystkie ograniczenia katolików w Serbji, prosząc zarazem o wstawienie się za nim do Ludwika. Podczas rokowań Duszana z Awinjonem walka w północnej Serbji nie ustawała. Świadczy o tem list żony księcia Slawońskiego, Małgorzaty, z r. 1356, wspominający o wielkiej pomocy, jaką okazał niejaki Stefan jej mężowi, księciu Stefanowi, śpieszącemu na pomoc bratu swemu, królowi Ludwikowi w walce jego z Serbją. O księciu Ste-

[1]) *Životi*, str. 379.
[2]) Ljubić, III.

fanie waradzka kronika pisze: „qui Stephanus in Viligja beati Laurentii, anno milesimo trecentesimo quinquagesimo quarto de exercitu moto contra Rascianos". Orbini pisze, iż wielkie straty poniosła armja węgierska od malarji, która dziesiątkowała wojsko i była powodem, iż Ludwik, ulegając prośbie papieża, zakończył wojnę. Posunięcie to nie zawiodło Duszana. Pochód Ludwika został zakończony, a warunki zewnętrzne wkrótce tak się ułożyły, iż car mógł zerwać z papieżem wcześniej, niż sam się tego spodziewał. W r. 1355 doszło do skutku małżeństwo królewicza Urosza z Anną, córką ks. wołoskiego Wlajki, a Serbja uzyskała sojusznika w walce z Węgrami. Wenecja też narzuciła się carowi serbskiemu. Władza i znaczenie Rzeczypospolitej w Dalmacji narażone były na wielkie niebezpieczeństwo. [1]) Ludwik bowiem uważał powrót tej ziemi do korony węgierskiej za równie ważny, jak pognębienie Serbji. Duszanowi więc nasuwała się możliwość wykorzystania zatargu dwóch zachodnich mocarstw, ażeby wzmocnić swoje znaczenie na zachodzie. Umożliwiała ona również Duszanowi uczynienie próby podniesienia prestiżu serbskiego państwa na zachodzie półwyspu, z którym i przedtem łączyły go pewne związki w szczególności z książętami bribirskimi (Szubiczami). Niema żadnej wątpliwości, iż władcy bribirscy byli między tymi chorwackimi wielmożami, którzy dążyli do stworzenia sojuszu wojennego z Serbją, Bośnią i Wenecją dla walki z Ludwikiem w r. 1343 r. Kiedy twierdza Ostrwica zastała zajęta w 1347 r. przez Węgrów, rodzina Szubiczów dążyła do oparcia się o silne państwa sąsiednie: Serbję i Wenecję, ażeby z ich pomocą obronić się przed zachłannością Węgierską. To dążenie zostało usankcjonowane małżeństwami, Pawła III z wenecką patrycjuszką Katarzyną Dandolo i Mladena III z siostrą władcy serbskiego Heleną.

Kiedy umarł Mladen III posiadłościami nieletniego jego syna Mladena IV (Omisz, Klis i Skradin) zarządzał brat jego Paweł. Tenże jednak wkrótce (1351) zachorował i o władzę rozpoczęły się kłótnie w książęcej rodzinie. Wtedy wdowa po Mladenie III, Helena, wezwała na pomoc brata swego

[1]) Ljubić, III. 275.

cara Duszana, który natychmiast wysłał wojsko pod wodzą Burasza Ilji i Pelmana (Niemca). Serbowie marszem forsownym przez Hercegowinę dotarli do Dalmacji, a w grudniu 1355 r. obsadzili grody Klis i Skradin. Niedługo jednak utrzymali się oni w zajętych miastach. Już w końcu grudnia 1355 r. względnie na początku stycznia 1356 r., znalazły się przedmieścia Klisu w ręku Mikołaja Banti bana chorwackiego, na pomoc któremu zbierała się silna armja pod Kninem.[1]) Skradin zaś został 10 stycznia 1356 r. oddany dobrowolnie Wenecji[2]) przez Buraszę, który obawiał się, że może stać się łupem wojsk węgierskich.

Chłodne przyjęcie poselstwa papieskiego na wiosnę 1355 r.[3]) oraz nieprzyjazny stosunek cara serbskiego do katolicyzmu wywołały oburzenie na Zachodzie. Na prośbę Ludwika Węgierskiego ogłoszona na początku r. 1356 krucjata przeciwko Serbom, która ściągnęła masy rycerskie z całego Zachodu do Zagrzebia. Wkrótce w obozie zebrało się do stu tysięcy krzyżowców, na czele których stanął Ludwik Wielki, ogłoszony przez papieża „chorążym Kościoła przeciwko schizmatykom" (signifer Ecclesiae adversus infideles)[4]) Wyprawa ta jednak nie skierowała się w r. 1356 do Serbji. Ludwik postanowił najpierw rozprawić się z Wenecją. w r. 1358 skończyła się wojna i Dalmacja cała została wcielona do królestwa węgierskiego. Car Stefan nie dożył jednak tej walki. Przebywał on na wschodzie państwa; ostatnie jego rozkazy noszą datę 5 grudnia 1355 r., pisane w okolicach Berrhoi. W dwa tygodnie później w niedzielę 20 grudnia 1355 r. umarł on, licząc 48 lat, i został pochowany w klasztorze, przez siebie zbudowanym, około Prizren. Śmierć Stefana Duszana odczuł lud serbski ogromnie, w pieśniach swoich odzwierciadla on uczucie żalu i zrozumienie tej wielkiej straty, jaką monarchja serbska poniosła, tracąc swego naczelnika.

Pozostają nam jeszcze do omówienia stosunki Stefana

---

[1]) Ljubić, III.

[2]) Ibid.

[3]) Pewne materjały w tem poselstwie papieskiem do Serbji podaje Filip de Megières, późniejszy sekretarz króla francuskiego Karola V.

[4]) Theiner, *Mon. Hung.* II. 21—27.

Duszana ze słowiańskimi sąsiadami, Bułgarją i Dubrownikiem. Bułgarja, jeszcze tak niedawno w XIII w. odgrywająca pierwszorzędną rolę w politycznem życiu półwyspu, zczasem w miarę wzrostu Serbji powoli traciła znaczenie. Ustąpiwszy pierwszeństwa Serbji, Bułgarja zachowała jednak całkowicie niezależność polityczną. Oba państwa stale pozostawały z sobą w pokojowych stosunkach; czasem działają odrębnie, lecz nigdy nie przeszkadzają sobie w spełnianiu obopólnych celów. Stefan Duszan nie próbuje nawet wtrącać się do wewnętrznych spraw słowiańskiej sąsiadki, a car bułgarski Aleksander zapomocą całego szeregu szczęśliwych posunięć politycznych powiększył terytorjum swojego państwa. Zasadniczym też faktem, tłumaczącym przyjazne stosunki Serbji i Bułgarji i w danym momencie, jest bliskie pokrewieństwo władców. Car Duszan był żonaty z siostrą Aleksandra, pochodzącego ze znakomitej rodziny serbskiej Grebostrekowiców. Jako syn Teofanji, siostry cara Michała bułgarskiego, poległego pod Welbnidą, sięgnął Aleksander po koronę i z pomocą Serbji w 1331 r. został obwołany carem bułgarskim. Podobnie jak Duszan, Aleksander często wojuje z Grekami, przyjmując żywy udział w domowych walkach Cesarstwa. Lecz wszędzie działa on niezależnie od cara serbskiego, mając jedynie dobro swojego państwa na względzie; rezultatem zaś jego zręcznej polityki było przyłączenie do Bułgarji całego szeregu pogranicznych ziem Cesarstwa. A jak niebezpiecznym przeciwnikiem dla Cesarstwa był Aleksander, świadczy zgoda cesarza Andronika na małżeństwo córki Marji z Michałem, synem cara Aleksandra, które zawarto w r. 1338 w Adrianopolu w obecności obu ojców.[1])

Tak więc oba słowiańskie państwa okazały się niedostatecznie jednomyślnemi i zbyt niezależnemi w tym pomyślnym momencie, gdy historyczne wydarzenia narzucały ich władcom zadania pierwszorzędnej doniosłości dla południowej Słowiańszczyzny t. j. odparcie Turków i Węgrów i stworzenie na gruzach Bizancjum potężnej monarchji słowiańskiej. Wydarzenia r. 1330 dawały władcy Serbji możność wciągnięcia i Bułgarji do urzeczywistnienia tego wielkiego zadania,

[1]) Cantacuz. II. c. 33. — Gregoras, *Historia.*

ale Duszan, z powodu wielu przyczyn, nie mógł, nie umiał i nie zdążył tego uczynić. Szukał on sojuszników tam, gdzie mógł spotkać li tylko przeszkodę w swoich poczynaniach, jakgdyby zapomniawszy o swojej najbliższej słowiańskiej sąsiadce.

Co się tyczy stosunków Dubrownika z Serbją, to one były oddawna bardzo bliskie. Im to zawdzięcza Dubrownik poczęści swoje terytorjum, bez którego nie do pomyślenia byłoby przekształcenie się go z prostego handlowego miasta w maleńkie państewko. Z Serbją Dubrownik prowadził głównie handel lądowy. Serbowie potrzebowali handlowo-przemysłowej działalności przedsiębiorczej, a zarazem bliskiej im co do pochodzenia ludności Rzeczypospolitej, przeto wcześniej zaczęli się do niej zbliżać, a swoją częstą emigracją w jej granice przyczynili się do stopniowej przewagi w niej słowiańskiego żywiołu nad romańskim. Dubrownik zaś ze swojej strony doskonale rozumiał wagę tego zbliżenia dla utrwalenia swojej własnej zamożności i wszelkiemi sposobami starał się podtrzymać przyjazne stosunki z carem. [1]) Maleńka Rzeczpospolita stale zajęta była myślą jakby rozszerzyć swój handel na ziemiach serbskich i prowadzić go w warunkach najdogodniejszych dla siebie. Dubrownik nie skąpił więc na podarunki i wszelkiego rodzaju usługi, użeby tylko uzyskać sympatję potężnego cara i przez to osiągnąć urzeczywistnienie tych lub innych swoich zamierzeń. Głównem dążeniem Dubrownika poza interesami handlowemi było rozszerzenie granic swego terytorjum. Przy każdej więc nadarzającej się sposobności Rzeczpospolita umiejętnie występowała ze swojemi dążeniami i nie bez powodzenia. Stąd polityczne i handlowe znaczenie Dubrownika stale rośnie i krzepnie. Za to ile to wysiłków i ofiar musiał on ponieść, w jakich ciężkich warunkach odbywał się ten powolny wzrost Dubrownika, jakie walki toczyła o to Rzeczpospolita, najlepiej o tem mówią same kroniki. Ze strony Serbji Dubrownik szczególniej cierpiał z winy wojewody Dabisa, który, ponieważ między krajami nie było ściśle ozna-

[1]) *Monumenta Ragusina.*

czonej granicy, grabił i pustoszył w Breno (żupie) [1]) i innych posiadłościach Rzeczypospolitej. W 1344 i 1345 r. senat dubrownicki nieraz zmuszony był wysyłać do Duszana listy i specjalnych posłów, zaopatrzonych darami, ze skargami na tego niespokojnego wielmożę.

Ubiegając się o przychylność samego cara, Dubrownik starał się też zjednać dla siebie najbardziej wpływowych wielmożów serbskich, przedewszystkiem tych, z którymi musiała rzeczypospolita wchodzić w stosunki czy to we własnych sprawach, czy też w sprawach Serbji. Znany komornik carski (camerarius regius) Mikołaj Bucza miewał częste sprawy z Dubrownikiem, który zawsze przyjmował go wielkiemi honorami i darami. Do niego rzeczpospolita zwracała się w różnych sprawach; tak np. w r. 1346 prosiła go o sprzedaż większej ilości chleba. [2])

Z handlowych punktów w Serbji, nawiedzanych przez dubrownickich kupców, kroniki wymieniają twierdzę Ostrowicę, Brskowo, Rudnik i Prizren. W Brskowo i Rudniku znajdowały się komory i ważniejsze faktorje Dubrownika. W Prizren znajdował się zamek, o którego nabycie ubiegali się w r. 1345 dubrowniccy kupcy, zamieszkujący licznie to miasto. Z nadmorskiemi miastami carstwa, Kotorem, Barem, Ulczynem, Dubrownik prowadził też ożywiony handel.

Rozpatrzyłem więc proces powstania Carstwa serbskiego. W ciągu 24 lat cała działalność jednej z najwybitniejszych historycznych osobistości XIV w. skierowana była ku stworzeniu nowej monarchji, która zastąpiłaby według planów swego twórcy cesarstwo wschodnio-rzymskie. Zawzięte walki domowe w Bizancjum, wzmocnienie się Turków w Małej Azji, nieustanne napady ich na Europę, i nakoniec utwierdzenie się w Gallipoli, niemal u bram stolicy Cesarstwa, oto warunki, wśród których drogą podbojów tworzyła się monarchja Stefana Duszana.

Ostateczny cel dążeń władcy serbskiego nie został jednak osiągnięty. Był on bowiem niedostępny przy tych

[1]) Breno podarowane zostało Dubrownikowi przez Stefana Krzesimira — króla Chorwacji i Dalmacji.

[2]) Ljubić, III.

środkach, któremi Duszan rozporządzał. Losy Bizancjum były już rozstrzygnięte w zupełnie innym sensie na korzyść przybyszów azjatyckich, umiejących z większą zręcznością, niż słowiański zdobywca, wykorzystać pomyślne warunki. A nieudały plan i powodzenie Turków bezwątpienia miały znaczenie smutnej przepowiedni dla południowej Słowiańszczyzny. Lecz nie w tureckiej grozie jedynie czaiło się niebezpieczeństwo na przyszłość. Duszan bowiem, nie zdążywszy urzeczywistnić nakreślonego przez siebie planu, nie spełnił i tego zadania, które odziedziczył po przodkach. Mimo utworzenia się nowego wielkiego państwa południowa słowiańszczyzna po dawnemu znajdowała się w stanie partykularyzmu. Całe dzielnice serbskie pozostawały w dalszym ciągu poza granicami nowo stworzonego państwa. W carstwie serbskiem Serbowie nie byli przeważającym elementem; złożona z wielu prowincyj z różnoplemienną ludnością nie przedstawiała nowopowstała monarchja mocno związanego ciała politycznego. Chociaż najlepszemi zamiarami przeniknięta była wewnętrzna działalność Stefana Duszana, na którą zresztą z powodu stałych wojen pozostawało bardzo mało czasu, sama jednak nie mogła zapewnić trwałości i potęgi nowemu carstwu, ani powstrzymać nadchodzącego przewrotu na Bałkanach.

Historyczna niepospolita osobistość Stefana Duszana, cara-zdobywcy, staje się ukochaniem ludowej poezji, lecz wzniesiony przez niego gmach państwowy był nietrwały.

Osoba cara Duszana zniknęła z horyzontu historji w tym momencie, kiedy była dla państwa najpotrzebniejszą. Dwa wielkie państwa zagroziły istnieniu Serbji. Z Zachodu Węgry, które dosięgły zenitu swojej potęgi za Ludwika W., a na Wschodzie tworząca się nowa potęga, która wkrótce miała zająć cały półwysep. Napór pierwszej siły Stefan Duszan powstrzymał, lecz druga siła zniszczyła jego państwo, które składało się z tak różnoplemiennych elementów. Zabrakło silnej ręki cara, pod którą wszystkie te elementy mogłyby się zczasem zlać w jedną całość.

Sam car widocznie to zrozumiał i być może dlatego za życia rozdał oddzielne posiadłości swojego państwa w nie-

zależny niemal zarząd swoim wojewodom.[1]) Po śmierci cara Stefana państwo serbskie rozpadło się na wiele części, a po trzydziestu czterech latach podzielonym Słowianom przyszło zmierzyć się z potęgą turecką na Kosowem polu.

---

[1]) Istniały też w carstwie serbskiem ziemie i miasta rządzące się autonomicznie, jak np.: Dukaczyce, Kraina, Pasztrowicze, Grbal, Kotor, Budwa, Bar, Ulczyn, Skader i Drivast (N o v a k o v i ć, *Zakonski, tpomenicy srpskich drżaba*).

Zygmunt Okniński.

Drugi powszechny spis ludności w Polsce.

Powszechne spisy ludności, dokonywane dziś we wszystkich cywilizowanych krajach co dziesięć, a w niektórych co pięć lat, posiadają, poza naukowem, także duże znaczenie praktyczne dla życia państwowego. Zagranica dowiaduje się z nich o sile i organizacji danego kraju, o jego zasobach i możliwościach stosunków z niem. Wewnątrz zaś państwa cały szereg różnorodnych spraw — jak wybory do ciał ustawodawczych, organizacja samorządów, sprawy gospodarcze, podatkowe, higjena, szkolnictwo, opieka społeczna, uposażenia i t. d. — zostaje w dziedzinie ustawodawczej i wykonawczej załatwiony w dużej części dzięki danym, zdobytym przy spisie ludności. Nasze polskie prawodawstwo jest tego wymownym przykładem. Do dnia 1 stycznia 1929 r. naliczono w *Dzienniku Praw* i *Dzienniku Ustaw R. P.* 58 pozycyj, zawierających 81 obowiązujących przepisów prawnych, opartych bezpośrednio i pośrednio na spisie mieszkańców kraju. W rzeczywistości przepisów takich jest więcej, ponieważ w wykazie powyższym nie uwzględniono *Monitora Polskiego*, oraz różnych okólników, instrukcyj i t. p.[1])

Zrozumiałą jest więc rzeczą, dlaczego powszechne spisy ludności należą wszędzie do tych ważniejszych aktów państwowych, których termin i zasadnicze szczegóły określane bywają drogą ustawodawczą. W Polsce ustawa z dn. 21 października 1919 r., o organizacji statystyki administracyjnej,

---

[1]) Obszerniej omawia tę rzecz Jerzy Heinrich w artykule „Powszechne spisy ludności a ustawodawstwo Polski odrodzonej". *Kwartalnik Statystyczny*, Warszawa 1931 zesz. 1 str. 66.

(*Dz. U. R. P.* 1919 nr. 85 poz. 464), przyznała Radzie Ministrów prawo wydawania rozporządzeń, potrzebnych dla przeprowadzenia spisu ludności i ustaliła, że spisy powszechne mają się odbywać co dziesięć lat, mianowicie pierwszy w r. 1920, a następny dn. 31 grudnia 1930 r.

Niestety wypadki nie pozwoliły zachować żadnego z wyznaczonych terminów. Wojna z Rosją sowiecką przeszkodziła pierwszemu spisowi, odłożono go więc ustawą z dnia 13 maja 1921 r., na dzień 30 września tegoż roku, a szczegółowe przepisy wykonawcze ujęto w rozporządzeniu Rady Ministrów z dn. 9 czerwca. (*Dz. U. R. P.* r. 1921 nr. 43 poz. 262, nr. 58 poz. 368. Drugi spis powszechny przesunięto również o rok rozporządzeniem Rady Ministrów, z dn. 2 września 1931 r., które wyznaczyło jego termin na dzień 9 grudnia tegoż roku, a organizację i opracowanie wyników oddało w ręce Biura Powszechnych Spisów z Generalnym Komisarzem Spisowym na czele. Spis ten objąć miał wszystkie osoby, zamieszkałe w granicach Rzpltej, „bez względu na to, czy będą w dniu spisu obecne czy też czasowo nieobecne w miejscu swego zwykłego zamieszkania, jak również osób, które w dniu spisu przebywają w Polsce czasowo, t. j. osób zamieszkałych poza granicami Rzpltej". Równocześnie miał być przeprowadzony także spis zawodów, budynków mieszkalnych i innych, o ile są zamieszkane, nieruchomości, na których się budynki te znajdują, spis mieszkań i spis miejscowości. (*Dz. U. R. P.* r. 1931 nr. 80 poz. 629).

Warunki przeprowadzenia obu spisów były bardzo nierówne, i zgóry można było przewidzieć, że spis z r. 1921 będzie posiadał spore braki. Personel, dokonujący go, nie był jeszcze należycie wykwalifikowany; kraj nie miał dostatecznie zorganizowanej administracji, co utrudniało w wysokim stopniu pracę spisową; wreszcie nieuświadomienie ludności i wroga gdzieniegdzie agitacja, zwłaszcza we wschodnich terytorjach, uniemożliwiały miejscami zebranie ścisłych informacyj. Poza tem spis ów nie objął całego terytorjum dzisiejszego, gdyż G. Śląsk i t. zw. Litwa Środkowa zostały wcielone do Polski dopiero w latach 1922 i 1923; statystyki tych dwóch dzielnic uzupełniono też póź-

niej na podstawie spisów, przeprowadzonych w r. 1919 przez władze niemieckie, względnie przez Zarząd Cywilny Ziem Wschodnich. [1])

Wszystkie te inne jeszcze niedomagania sprawiły, że ostateczny wynik pierwszego spisu powszechnego, oceniającego liczbę mieszkańców Polski na 27,176.717, niezupełnie odpowiadał rzeczywistości. Ze stron kompetentnych zwracano już niedługo potem uwagę, że uzyskana tu liczba ludności jest niższą od rzeczywistej i że odchylenie to jest znaczniejsze, niż zazwyczaj bywa przy spisach ogólnokrajowych. Że przypuszczenie to było słuszne, stwierdził drugi powszechny spis ludności. Po zamknięciu obliczeń pokazało się bowiem, że faktyczna liczba ludności Polski była w r. 1931 o przeszło pół miljona wyższa od tej, jaką podał równocześnie Główny Urząd Statystyczny po podstawie t. zw. szacunku.

W sprawie tej parę słów wyjaśnienia. Spisy powszechne stanowią wprawdzie najlepszy sprawdzian rzeczywistej liczby mieszkańców kraju i dlatego służą za podstawę do wszelkich innych obliczeń, odbywają się jednak rzadko (u nas co 10 lat), podczas gdy potrzeby nauki i życia domagają się znajomości stanu zaludnienia z roku na rok. Zestawienia coroczne, dokonywane w tym celu przez państwowe urzędy statystyczne, noszą nazwę „szacunku" i polegają na tem, że po otrzymaniu danych o ruchu ludnościowym w całym kraju, oblicza się z jednej strony przybytek ludności przez urodzenia i immigrację, z drugiej zaś ubytek jej przez zgony i emigrację, poczem otrzymany po odjęciu obu tych cyfr faktyczny przyrost dodaje się do liczby ludności roku poprzedniego.

Szacunek taki przeprowadzano więc i u nas corocznie, opierając się na wynikach spisu powszechnego z r. 1921, oraz zarejestrowanego przez Gł. Urząd Statystyczny przyrostu ludności w latach następnych. I gdyby powyższe dane były prawdziwe, wówczas ostatni szacunek, na koniec roku 1931, musiałby się zgadzać z wynikami dokonanego wtedy drugiego spisu powszechnego.

[1]) Trudności te i braki omówiliśmy obszerniej w artykule „Sytuacja demograficzna Polski", *Przegląd Powszechny*, październik r. 1927, str. 67 i n.

Tymczasem stało się inaczej. Błąd, popełniony przy spisie z r. 1921 i uzupełnieniu go co do terytorjów Śląska i Litwy Środkowej, i który konsekwentnie zaciążył na wszystkich obliczeniach lat następnych, wyszedł teraz na jaw. Ludność Polski w dn. 9 grudnia 1931 r. wynosiła bowiem:

podług szacunku (okrągło) 31,600.000
„ II-o spisu powszechn. 32,132.936

Różnica obu obliczeń wynosi więc 533 tys. i — jak zauważa Stefan Szulc [1]) — jest wprawdzie „niewielka w stosunku do ogólnego zaludnienia Polski, jednakże w stosunku do przyrostu ludności pomiędzy spisami z roku 1921 i 1931," — wynoszącego 4.956 tys. — stanowi bądź co bądź 10·7 % i „wymaga wyjaśnienia, choćby w tym celu, aby zorjentować się, które z czynników, stanowiących podstawę szacunku, są mniej, które więcej wiarygodne".

Analizę owych czynników przeprowadza S. Szulc w dalszym ciągu swojego artykułu i dochodzi do wniosku, że na wspomnianą pomyłkę w obliczeniach złożyło się kilka przyczyn: 1) przedewszystkiem, jak już wyjaśniliśmy powyżej, sam spis z r. 1921 był niekompletny; co się zaś tyczy nieobjętych nim obszarów, G. Śląska i Litwy Środk., nie uwzględniono dostatecznie zmian ludnościowych pomiędzy r. 1919 a 1921. 2) Niedokładną była również gdzieniegdzie rejestracja ruchu naturalnego ludności, urodzeń a poczęści i zgonów, zwłaszcza w b. zaborze rosyjskim. 3) Dużo niedokładności spowodowały wreszcie braki w statystyce ruchu emigracyjnego. Liczby emigrantów z Polski można jeszcze uważać za dość ścisłe, przynajmniej w ostatnich pięciu latach, ale rejestracja powracających do kraju wykazuje poważne braki; przez samą niedostateczną kontrolę repatjantów pominięto w obliczeniach jakie 100-200 tys. osób.

---

[1]) W artykule „O przyroście ludności w Polsce w okresie od r. 1921 do 1931." *Kwartalnik Statystyczny* 1932 r. zesz. 1 str. 31. — Dodać tu możemy, że powyższa rozbieżność pomiędzy szacunkiem a spisem z r. 1931, skłoniła Gł. Urząd Statystyczny do zrekonstruowania dotychczasowych szacunków wstecz, od r. 1931-1926 wł. Na tych więc cyfrach, zamieszczonych w *Wiadomościach Statyst.* z dn. 5 czerwca b. r. (str. 310) i które znajdą się zapewne w następnym *Roczniku Statystyki*, należy się odtąd opierać.

Jeszcze większe wątpliwości nasuwa statystyka powrotu wychodźców, ponieważ zapisywano tylko te osoby, które wracały do Polski za paszportami emigracyjnemi; nadto do r. 1928 włącznie notowano jedynie powracających z krajów pozaeuropejskich, a nie uwzględniono wracających z Niemiec zachodnich. Dodać wreszcie można, że wogóle nie prowadzono u nas statystyki immigracji we właściwem tego słowa znaczeniu, jakkolwiek cyfra jej jest zapewne niewielka.

Różnica pomiędzy wynikami drugiego spisu powszechnego a szacunkiem z r. 1931 jest więc dostatecznie wytłumaczona i raczej możnaby się dziwić, że jest stosunkowo tak niewielka. „W tych warunkach — zauważa S. Szulc — różnica pół miljona osób w okresie 10-letnim nie może być uważana za dużą".

Ostatni spis powszechny, z grudnia 1931 r., będzie zapewne daleko bliższy rzeczywistości. Dokonany w warunkach zupełnie odmiennych, kiedy administracja kraju jest już uporządkowana, a Gł. Urząd Statystyczny dobrze uorganizowany, będzie mógł służyć za pewniejszą podstawę do szczegółowych zestawień i dorocznych szacunków ludności. Wprawdzie i pod jego adresem podnoszono tu i ówdzie zarzuty, lecz, o ile nam wiadomo, dotyczyły one głównie pominięcia pewnych rubryk w spisie; szczegółowe błędy wyjdą zresztą najaw później i dziś byłoby jeszcze za wcześnie wdawać się w krytykę spisu i jego wyników.

Sprawą w tej chwili najbardziej aktualną, a przytem trudną, jest kontrola i możliwie rychłe opracowanie materjału spisowego. Zagadnieniu temu poświęca osobny artykuł Edward Szturm de Sztrem [1]) i żąda, ażeby praca ta nie trwała, jak przy pierwszym spisie, przez 6-7 lat, lecz aby w przeciągu najwyżej trzech lat ukazały się ostateczne pełne tablice. Drugą sprawą, na której mu bardzo zależy, jest program opracowania materjału spisowego. Dotychczasowy bowiem, stosowany przy pierwszym spisie powsz., grzeszył

---

[1]) E. Szturm de Sztrem: „Uwagi o planie opracowania drugiego powszechnego spisu ludności w Polsce". *Kwartalnik Statyst.* r. 1932 zesz. 1 str. 23.

różnemi niedomaganiami a przedewszystkiem przesadą w zestawianiu i ogłaszaniu wszelkich możliwych kombinacyj i szczegółów, które mogą być bardzo „ciekawe", lecz okazały się mało pożyteczne. Nietylko więc dzisiejsze oszczędności budżetowe narzucają „konieczność uproszczenia i zwężenia zakresu opracowania," ale leży ono również w interesie nauki i potrzeb państwowych. „Opracowanie spisu ludności winno dać odpowiedzi w kwestjach zasadniczych, możliwie najmniej rozczłonkowanych, oraz służyć za podstawę dla wszelkiego rodzaju badań bieżących i ubocznych, przeprowadzanych szybko i tanim kosztem". Tej zasady każe się autor trzymać i przy wydawaniu publikacyj statystycznych. „Należy dać rzeczywiście potrzebne rzeczy, przedstawiając objektywnie zachodzące zjawiska społeczne i gospodarcze,.. a nie liczne tomy,[1]) przedstawiające potop cyfr, wśród których trudno się zorjentować nawet specjaliście i które w rezultacie zadawalniają jedynie potrzeby amatora-zbieracza książek..."

Tyle narazie o samym spisie i planach opracowania. Przejdźmy teraz do ogłoszonych dotychczas jego wyników. Pierwsze obliczenia otrzymaliśmy dość wcześnie, bo już w połowie stycznia b. r., jakkolwiek w następnych miesiącach ulegały one drobnym poprawkom, gdyż opierały się na telegraficznych doniesieniach władz spisowych. Dopiero w 16-ym zeszycie *Wiadomości Statystycznych* z 5 czerwca b. r. podano nam zestawienia, opracowane na podstawie arkuszy spisowych.[2]) Porównane z danemi pierwszego spisu powszechnego dają nam one pewien obraz dzisiejszego stanu ludnościowego Polski, oraz zmian, jakie zaszły od r. 1921.[3])

---

[1]) Autor ma tu na myśli wydawane przez G. U. S. foljały *Statystyki Polski*, które uważa za zbyteczne, z wyjątkiem „Skorowidza miejscowości Rzplitej Polskiej".

[2]) *Wiadomości Statystyczne*, wyd. Gł. Urzędu Statystycznego; r. 1932 zesz. 2 do 16 wł. Na nich opieramy się w niniejszym artykule.

[3]) Mówiąc o pierwszym spisie powsz. z r. 1921, rozumiemy zawsze spis uzupełniony danemi co do Śląska i Litwy Środ., a zatem obejmujący całe dzisiejsze terytorjum Polski.

Tablica 1.

	ludność obecna (w tysiącach)		przyrost ludności 1921-1931 (w tysiącach)			mieszkańców na 1 km.² — r. 1931.
	r. 1921	r. 1931	przyrost ogólny	przyrost naturalny	nadwyżka immigracji(+) lub emigr.(−)	
Polska	27,177	32,120	4,956	4,893	+ 50	82·7
M. st. Warszawa	937	1,179	241	63	+ 178	9425·7
Województwa:						
Warszawa	2,115	2,531	418	406	+ 12	86·3
Łódź	2,253	2,633	380	363	+ 16	138·3
Kielce	2,536	2,937	400	487	— 87	114·0
Lublin	2,086	2,467	383	417	— 35	79·3
Białystok	1,294	1,643	346	264	+ 82	51·0
Wilno	1,003	1,275	270	206	+ 64	44·0
Nowogródek	811	1,057	244	207	+ 37	45·5
Polesie	747	1,131	386	241	+ 145	30·8
Wołyń	1,570	2,085	512	396	+ 116	58·3
Poznań	1,968	2,114	145	300	— 155	79·6
Pomorze	936	1,086	151	172	— 21	66·3
Śląsk	1,125	1,298	174	220	— 47	307·1
Kraków	1,993	2,297	304	322	— 18	131·6
Lwów	2,789	3,128	338	424	— 85	110.1
Stanisławów	1,263	1,477	213	198	+ 15	87·3
Tarnopol	1,435	1,603	165	211	— 46	97·9

Postęp, jaki ilościowo uczyniliśmy w tem dziesięcioleciu, jest ogromny. Obecna ludność Polski, wraz z wojskiem skoszarowanem, wynosi podług spisu z dnia 9 grudnia 1931 r. — 32,132.936 osób, a zatem o 4,956.219 więcej niż w r. 1921.[1]) Pod względem liczby mieszkańców stoimy więc na szóstem miejscu w Europie, po Rosji, Niemczech, W. Brytanji, Francji i Włoszech.

Na szczegółowy wykaz narodowości, jakie obejmuje ta 32-miljonowa masa, poczekamy zapewne jeszcze dłuższy czas. Narazie otrzymaliśmy z początkiem czerwca b. r. tymczasowe obliczenia, dotyczące podziału obecnej ludności Polski „według języka ojczystego" — a więc nie podług „narodowości", jak przy pierwszym spisie powszechnym —

[1]) W rzeczywistości, jak wynika z poprzednich wyjaśnień o niedokładności pierwszego spisu, różnica ta będzie mniejsza i wyniesie prawdopodobnie około $4\frac{1}{2}$ miljona.

przyczem uwzględniono tylko dwie najważniejsze rubryki: ludności, której językiem ojczystym jest język polski albo niepolski. Zestawienie — którego szczegóły, w cyfrach bezwzględnych i w odsetkach, podajemy na tablicy drugiej — jest zarówno interesujące jak ważne, gdyż pokazuje nam, gdzie i ile mamy żywiołu w kraju, który nie przyznaje się do języka polskiego jako ojczystego.

Tablica 2.

województwa	mieszkańców uznających za język ojczysty			
	polski		niepolski	
	ogółem (w tysiącach)	%	ogółem (w tysiącach)	%
Polska	22.208	69·1	9.925	30·9
M. st. Warszawa	834	70·7	345	29·3
Warszawa	2.238	88·4	292	11·6
Łódź	2.109	80·1	524	19·9
Kielce	2.621	89·3	316	10·7
Lublin	2.114	85·7	353	14·3
Białystok	1.184	72·0	460	28·0
Wilno	764	59·9	512	40·1
Nowogródek	556	52·6	501	47·4
Polesie	164	14·5	967	85·5
Wołyń	343	16·5	1.742	83·5
Poznań	1.912	90·5	201	9·5
Pomorze	977	89·9	110	10·1
Śląsk	1.198	92·3	100	7·7
Kraków	2.100	91·4	197	8·6
Lwów	1.812	57·9	1.316	42·1
Stanisławów	332	22·5	1.145	77·5
Tarnopol	794	49·5	809	50·5

Mieszkańców, którzy język polski uważają za ojczysty, jest u nas 69·1%.[1]) Istnieje więc i w Polsce niemała mieszanina narodowościowa (czy językowa), lecz pod tym względem nie stoimy gorzej od szeregu innych państw europej-

[1]) W liczbie tej, jeżeli mamy sądzić na podstawie dotychczasowego stanu rzeczy, będzie się znajdowała także pewna ilość Żydów, a może i osób innej z pochodzenia narodowości, uważających się jednak za Polaków.

skich, jak Belgja (43% język flamandzki, 39% jęz. francuski), Szwajcarja (71% jęz. niemiecki, 21% jęz. francuski), Czechosłowacja (66% narodowości czesko-słowackiej, 23% nar. niemieckiej), Rosja Sow. (53% nar. rosyjskiej, 21% nar. ukraińskiej) i t. d. Rozmieszczenie ludności, uważającej za ojczysty język „niepolski", jest wszakże u nas ogromnie niejednolite. Jeśli, co uważać należy za objaw bardzo dodatni, w zachodnich województwach odsetek jej zmalał — dzięki emigracji Niemców, a poczęści dzięki odpolszczeniu zniemczonych dawniej sztucznie Polaków — to we wschodnich terytorjach jest on gdzieniegdzie niezwykle wysoki. Najbardziej uderza to w województwie wołyńskiem, w którem niespełna $^1/_6$ i w poleskiem, w którem tylko $^1/_7$ część mieszkańców przyznaje się do narodowości polskiej. Pod względem polskości najlepiej przedstawiają się dziś województwo śląskie, krakowskie i poznańskie, w których liczba nie-Polaków wynosi poniżej 10%. W wojew. krakowskiem znajdują się też te trzy powiaty (Kraków pow., Maków, Myślenice), które w całym kraju mają najmniejszy odsetek, bo poniżej 1% ludności niepolskiej, podczas gdy najwyższy jej odsetek, 92—94%, zawierają dwa powiaty wojew. poleskiego (Drohiczyn i Kamień Kosz.) oraz dwa wojew. stanisławowskiego (Bohorodczany, Kosów).

O ile chodzi o rozmieszczenie ludności, na uwagę zasługuje rozdział jej pomiędzy miasto a wieś. Pomimo tego, że w rubryce „miast" znajdują się nawet miejscowości bardzo słabo zaludnione (siedm „miast" naszych liczy poniżej 1.000 mieszkańców), obejmują one razem niecałe 9 miljonów osób, czyli 27·2% ogółu ludności Polski. Cała pozostała masa $23\,^1/_2$ miljona ludzi, czyli blisko $^3/_4$ ogółu, należy do ludności wiejskiej. Rolniczy charakter naszego kraju występuje więc w pełni, zwłaszcza w porównaniu z innemi, silnie uprzemysłowionemi państwami. W Niemczech naprz. prawie połowa ludności jest miejska, a w W. Brytanji (podług spisu z r. 1926) ludność miejska obejmuje $^2/_3$ ogółu mieszkańców kraju.

Jakże przedstawia się w szczegółach statystyka naszych miast? — Ogółem posiadamy 636 miast z 8,679.979 mieszkańcami. Dla bliższego zilustrowania ich stanu liczebnego po-

dzielono je na dziewięć kategoryj, zależnie od liczby ludności, jak to pokazuje tablica 3. Widzimy na niej, że miast ponad 100 tysięcy mieszkańców mamy 11, które łącznie obejmują jednak niecałe 3 1/2 miljona osób, a więc mniej niż sam Berlin lub Chicago, nie mówiąc już o Londynie (prawie 8 milj.) i New Yorku (blisko 7 milj.). Miast, liczących od 50—100 tys. mieszkańców, posiadamy również 11, o łącznej liczbie 687 1/2 tys. osób, a miast od 20—50 tys. mamy 46 z 1.391 1/2 tys. mieszkańców. Najliczniejszą grupę stanowi 485 miasteczek i mieścin, reprezentujących razem przeszło 2 miljony osób.

Na terytorjum tak rozległem, jakie zajmuje Polska — 388.390 km², — i o ludności przeważnie rolniczej, gęstość

Tablica 3.

miasta liczące	liczba miast	liczba mieszkańców w r. 1931
powyżej 100 tys. mieszkańców	11	(w tysiącach)
Warszawa		1,178
Łódź		605
Lwów		316
Poznań		247
Kraków		221
Wilno		196
Katowice		127
Częstochowa		118
Bydgoszcz		118
Lublin		113
Sosnowiec		109
		3,348
75—100 tys. mieszkańców	3	250
50— 75 „ „	8	437
25— 50 „ „	29	1,005
20— 25 „ „	17	386
15— 20 „ „	18	319
10— 15 „ „	65	776
		3,174
5— 10 „ „	177	1,231
poniżej 5 „ „	308	927
		2,158
wszystkie miasta razem	636	8,680

zaludnienia musi oczywiście wahać się bardzo silnie, zależnie od warunków terenu i stopnia uprzemysłowienia. Toteż, poza miastem stoł. Warszawą, najwyższą jest ona na zasianym kopalniami i hutami Śląsku, gdzie przypada 307 mieszkańców na 1 km², a następnie w wojew. łódzkiem — 138 i krakowskiem — 131 mieszkańców na 1 km²; najniższy zaś stopień zastajemy w województwie poleskiem — 30·8 osób,[1]) oraz w wileńskiem — 44 osób na 1 km². W całej Polsce przeciętna gęstość zaludnienia wynosi 82·7 mieszkańców na 1 km² (w r. 1921 tylko 70); przewyższyliśmy więc pod tym względem Francję — 75 osób na 1 km², a jesteśmy znacznie poza Niemcami — 138 osób, W. Brytanją — 186, Holandją — 226 i Belgją, która przedstawia w Europie *maximum* gęstości zaludnienia, 257 osób na 1 km².

Momentem, który w porównaniu z ogółem prawie innych państw Europy najbardziej uderza w naszej statystyce ludnościowej, jest wysoki przyrost ludności. Od r. 1921 do 1931 ludność Polski powiększyła się o przeszło 4½ milj. osób, czyli o 18 % — podczas gdy równocześnie w innych krajach, o większej liczbie mieszkańców, przyrost okazał się znacznie słabszy, we Francji i we Włoszech po 2½ milj., a w W. Brytanji 2 milj. osób. Dla mocarstwowego znaczenia Polski jest to okoliczność wielkiej wagi, a obawy niemieckich naszych sąsiadów, że z powodu malejącej u nich silnie cyfry urodzeń, ilość mieszkańców ich zrówna się po pewnym czasie z nami, nie jest bynajmniej nieuzasadniona.

Ogólny ten przyrost ludności Polski rozkłada się jednak bardzo niejednolicie na poszczególne jej terytorja (p. tablica 1). Jeżeli np. ludność wojew. śląskiego powiększyła się w tym czasie o 51%, wołyńskiego o 32%, nowogródzkiego o 30%, to w wojew. lwowskiem przyrost wyniósł 12%, w tarnopolskiem 11%, a w poznańskiem tylko 7%. Jeszcze ostrzej zaznaczają się te różnice w pojedynczych miastach. Znalazło się przecież 49 miast, w których ludność zmniej-

[1]) Słabe zaludnienie Polesia tłumaczy się ogromną ilością bagien. Po osuszeniu ich — czego plan, opracowany już oddawna, nie może jednak być narazie zrealizowany z powodu trudności finansowych — będzie można tam pomieścić dwa razy tyle ludności, co obecnie.

szyła się w porównaniu ze stanem w r. 1921. W innych wzrosła naogół, ale ten przyrost waha się w olbrzymich granicach od 1% aż do rekordowej cyfry 855%, jaką wykazało miasto Gdynia. Ten ostatni wypadek stanowi jednak wyjątek, wogóle bowiem ponad 100% wzrosła ludność tylko w 11 miastach. Ogół ludności miejskiej w kraju wzrósł w ostatniem dziesięcioleciu o 24·5% czyli 1.705 tys. mieszkańców, przyczem najsłabszy przyrost przypada na miasta liczące poniżej 5 tys. mieszkańców, a najsilniejszy na mające powyżej 100 tys. mieszkańców, z wyjątkiem stolicy, której ludność powiększyła się o 25·8%.

Mówiąc o przyroście ludności w okresie od r. 1921 do 1931, uwzględnialiśmy dotychczas tylko sam fakt i rozmiary powiększenia się jej liczby, a nie wchodziliśmy wcale w przyczyny tego faktu, nie zajmowaliśmy się „składnikami", jakie złożyły się na ów przyrost. Tymczasem już sama nierównomierność jego w poszczególnych terytorjach kraju świadczy, że obok przyrostu naturalnego, płynącego z nadwyżki urodzeń nad zgonami, działał tu jeszcze inny czynnik.

Tym drugim czynnikiem były wędrówki ludności, jedne pomiędzy Polską a zagranicą — emigracja, immigracja i repatrjacja, drugie zaś, t. zw. wewnętrzne, polegające na przenoszeniu się mieszkańców z jednego terenu kraju na drugi, naprz. ze wsi do miast i ośrodków przemysłowych. Ten ostatni rodzaj wędrówek jest najbardziej widoczny we wzroście miasta Warszawy w tem dziesięcioleciu; ponieważ ogólny jej przyrost wynosił 241 tys. mieszkańców, a przyrost naturalny tylko 63 tys. przeto całe pozostałe 178 tys. składa się z ludności napływowej, jaka z różnych stron przybyła do stolicy. Podobnie objaśnić trzeba silny w stosunku do przyrostu naturalnego wzrost liczby mieszkańców wojew. białostockiego, wołyńskiego i poleskiego, a z drugiej strony niższy (wskutek emigracji) w porównaniu z przyrostem naturalnym ogólny wzrost ludności w wojew. lwowskiem, kieleckiem i poznańskiem. (P. tablica 1, która podaje porównawcze cyfry przyrostu ogólnego i naturalnego).

Bilans tych wędrówek, zarówno zagranicznych jak wewnętrznych, zestawiał Gł. Urząd Statystyczny najprostszą

drogą, przez porównanie cyfry przyrostu ludności wogóle i przyrostu naturalnego; różnica pomiędzy temi dwiema cyframi szła na rachunek wędrówek, bądź jako ubytek ludności przez emigrację z danego terytorjum (—), bądź jako przybytek z zewnątrz przez immigrację (+). Metoda ta, uznana przez fachowców za najpewniejszą i w tym wypadku jedynie dostępną, wystarcza jednak tylko do stwierdzenia samego faktu wędrówek i ustalenia czy ostatecznie przeważyła emigracja czy immigracja. Do bliższego wyjaśnienia roli i charakteru (a nawet rozmiarów) obu tych czynników konieczną jest wszakże osobna, szczegółowa rejestracja emigracji i immigracji, zwłaszcza z zagranicy.

Brak takiej rejestracji, a w każdym razie jej niezupełność, o czem nadmieniliśmy poprzednio, odbił się u nas dość dotkliwie przy opracowywaniu wyników spisu ludności z r. 1931. Ponieważ ogólny przyrost w ostatniem dziesięcioleciu wynosił 4,956.219 osób, a przyrost naturalny 4.893.313 osób, przeto, zgodnie z powyższą metodą obliczeń, odjęto tę ostatnią cyfrę od poprzedniej, poczem różnicę, wynoszącą przeszło 60 tys. osób zapisano na korzyść immigracji. Wynikało stąd, że w okresie od r. 1921 do 1931 liczba przybyszów z zagranicy do Polski była o 60 tys. wyższa niż liczba emigrantów z Polski zagranicę, do krajów pozaeuropejskich i europejskich (zwłaszcza do Francji).

Taki wynik zaskoczył jednak wszystkich. Nadwyżka immigracji nad emigracją — w Polsce, która miała zawsze tak silny ruch emigracyjny, wydała się wszystkim, podług wyrażenia Stefana Szulca, „dość niespodziana." „Nie jest ona — pisze on we wspomnianym artykule — wielka... jednakże wobec dużej emigracji z Polski spodziewaliśmy się raczej bilansu ujemnego, zgodnie zresztą z wynikami, otrzymywanemi przy dotychczasowym szacunku ludności." Bezwątpienia zaszła więc pomyłka, której przyczynę należy upatrywać w nadmienionych przedtem brakach pierwszego spisu powszechnego. W rzeczywistości też mniemana nadwyżka immigracji zapewne nie istnieje, owszem według wszelkiego prawdopodobieństwa zachodzi raczej pewien ubytek ludności na rzecz emigracji z Polski zagranicę. „O ile przyjmiemy," pisze S. Szulc, że spis z r. 1921 był

„choćby trochę" mniej kompletny niż spis z r. 1931 i że „rejestracja urodzeń jest chociażby trochę mniej kompletna, niż rejestracja zgonów, niewielka nadwyżka dodatnia przejdzie napewno w ujemną."

Tak przedstawia się, w świetle ogłoszonych dotychczas wyników drugiego spisu powszechnego sytuacja ludnościowa Polski. Dalsze szczegóły i ich analiza będą dostępne dopiero po dokładniejszem opracowaniu spisu. W każdym razie tyle możemy dziś powiedzieć, że nasze położenie — o ile chodzi o ilościową stronę zagadnienia ludnościowego — jest pomyślne i wprowadza nas do rzędu kilku czołowych potęg Europy.

Czy i nadal pozostanie tak? — Żywimy co do tego pewne obawy, jakkolwiek nie na najbliższe lata. Odnosimy bowiem wrażenie, że właśnie ów dodatni bilans przesłania oczy kierownikom nawy państwowej i przyczynia się do tego, że nie prowadzimy właściwie żadnej planowej polityki ludnościowej. Lecz rozważania te wychodzą już poza zakres niniejszego artykułu.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Sylwetki słowiańskie w współczesnej powieści amerykańskiej.

I.

Podnietę do niniejszego studjum dała mi wzmianka Jacka Londona w jego *Dolinie Księżycowej* o sadownikach jugosłowiańskich, hodujących specjalnie wspaniałe jabłka i robiących na tem w Ameryce majątki. Ponieważ w powieści tej bohater-robotnik, zniechęcony do życia w mieście, wędrując po Stanach Zjednoczonych w celu znalezienia sobie odpowiedniego kawałka ziemi na osiedlenie się, napotyka rozmaitych kolonistów, osadników portugalskich, chińskich i jugosłowiańskich, których sposób pracy i stosunek do roli charakteryzuje, przypuszczałem, że znajdę też może charakterystykę naszej „emigracji chłopskiej". Byłoby ciekawe dowiedzieć się, co o naszych rolnikach myśli Jack London, Amerykanin szczery, niczem nie krępujący się w swych sądach, a usposobiony dla naszego narodu życzliwie, jak o tem przekonuje nowela o tym jakimś Polaku-zbiegu z Syberji i bohaterskim sposobie, w jaki przed śmiercią uniknął tortur u indjańskiego pala męczarni.

Niestety, w *Dolinie Księżycowej* wzmianki żadnej o Polakach niema, dużo natomiast można się z tej powieści dowiedzieć o braku miłości fermera amerykańskiego do roli i o jego zawistnej niechęci do osadników innych narodowości bez względu na ich pracowitość, zapobiegliwość, miłość do ziemi i umiejętność należytego obchodzenia się z nią. Solą w oku było Londonowi ich bogactwo, mimo że uzyskali je ciężkim trudem z nieużytków lub gruntów, rabunkową gospodarką fermera anglo-saskiego wyniszczonych i mimo,

że to ich wzbogacenie się było zarazem wzbogaceniem Stanów Zjednoczonych. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego w powieści amerykańskiej, tak niby wysoko stawiającej pracę i wielbiącej ją, nigdy nie spotykałem wzmianek o naszych osadnikach. Powodzenie ich, w stosunku do powodzenia emigrantów innych narodowości bardzo skromne, kłuło Amerykanów w oczy, albowiem tu szło nie o efektowne lecz nietrwałe zwycięstwa i szczęście na giełdzie, lecz o wartość na tym naszym globie podstawową, o chleb i ziemię pod nogami. To nigdy nie było najsilniejszą stroną Anglo-Sasów. *Inde irae.*

Nie można jednak bez szkody dla samego siebie ignorować czegoś, co jest oczywistem. Niepodobna przemilczać narodów, o których wyzwolenie, jak to wynika z orędzia prezydenta Wilsona, wojowało się z Niemcami z dodatnim rezultatem, które w Europie utworzyły niezależne i wcale poważne państwa, a których współplemieńcy stanowią w Stanach Zjedn. niemniej poważny odsetek emigracji twórczej, dzielnej, zdolnej do życia kulturalnego i na swój sposób kulturalnej, wreszcie lojalnej i pracującej na pożytek i sławę przybranej ojczyzny. Istnieje w Stanach Zjednoczonych cała literatura, zajmująca się Indjanami, murzynami, metysami i mulatami, Chińczykami i Japończykami, dlaczegożby nie zająć się raz serdecznie tymi, z którymi wspólnie, pod temi samemi znakami, tymi sami wodzami, ramię w ramię przelewało się krew w okopach Francji? Dlaczegożby tym pracownikom szarym, nie pnącym się bynajmniej na najwyższe szczeble karjery, a niestrudzonym i tak pożytecznym, nie rzucić od czasu do czasu ciepłego i serdecznego „Szczęść Boże!" Czyż oni nie są współobywatelami?

Nic podobnego czytelnik w powieści współczesnej Stanów Zjedn. nie znajdzie. Wyjątkowo tylko mamy parę książek, poświęconych emigrantom słowiańskim, a z których dwie zawdzięczamy piórom kobiecym. O tych właśnie będzie mowa. Poza tem autorzy amerykańscy nietylko starają się zignorować Polskę i naród polski — Czechosłowację i Jugosławję zignorowali zupełnie — ale gdzie mogą, starają się złośliwie przypiąć nam łatkę. Tę ich wrogą obojętność można zauważyć nawet w powieściach historycznych. Herges-

heimer w swych *Quiet Cities*, książce poświęconej wojnie o niepodległość i Washingtonowi, o Kościuszce nie wspomina ani słowem, wymazuje go poprostu z historji tej wojny, szeroko natomiast rozwodzi się nad jenerałem-Niemcem w wojsku amerykańskiem, karjerowiczem, myślącym o objęciu głównej komendy nad armją. Nic dziwnego. Nie darmo nazywa się Hergesheimer.

Należy sobie też dokładnie i jasno zdać sprawę ze stosunku tej beletrji do wojny światowej, rewolucji rosyjskiej i bolszewików, a także oczywiście i Niemców. Wszyscy ci pisarze w czambuł potępiają wmięszanie się Stanów Zjednoczonych do wojny, rozmyślnie jego znaczenie i rezultaty bagatelizują, a obrazem okropności wojny i niedorzeczności wzajemnego wyrzynania się przez ludzi ściągają ku ziemi, gorzej, bo nawet w błoto, wysokie i wzniosłe ideały, dla których naród amerykański w szlachetnem uniesieniu chwycił za broń. Prezydenta Wilsona, któremu tyle wdzięcznych narodów Europy wznosi pomniki lub też nazwiskiem jego chrzci najpiękniejsze place, ulice, monumentalne gmachy i urocze parki swych szanownych, starodawnych miast, kolebek genjuszów i ojców tej kultury, której Ameryka jest wspaniałą, lecz nie zawsze dobrze wychowaną córą, tego Wilsona, powtarzam, obsypują beletryści Stanów Zjedn. wyzwiskami a co najmniej lekceważącemi epitetami. Jedni (Sinclair Lewis) nazywają go „ckliwym, sentymentalnym deklamatorem", drudzy (John dos Passos) poprostu „głupim deklamatorem". Wszyscy robią z niego marjonetkę.

Więc właściwie jakże ta sprawa wygląda? Co było celem wystąpienia Stanów Zjednoczonych podczas wojny? Deklaracja prezydenta Wilsona określa je wyraźnie. Złamanie imperjalizmu niemieckiego, zagrażającego wolności a stąd i kulturze świata, oraz wyzwolenie „małych" narodów. Następstwem zwycięstwa było przenicowanie Europy, które dziesiątkom miljonów uciśnionych przyniosły tak upragnioną wolność, to jest możność twórczego wyżycia się zgodnie z ich indywidualnością i potrzebami duchowemi. A tedy Stany Zjednoczone pomogły do dokonania czynu pięknego i dobrego.

Z powieści amerykańskiej — przynajmniej tych autorów,

którzy lansują się w świat jako pisarze czołowi — dowiadujemy się, że sprawy miały się wprost przeciwnie. Ponieważ Rosja zdołała już obalić carat, naród amerykański, a raczej amerykański robotnik wstąpił do szeregu narodów Ententy, aby dopomóc „towarzyszom" niemieckim do zrzucenia z siebie jarzma imperjalizmu i wraz z nimi, rozpędziwszy na cztery wiatry bandę spekulantów z Wallstreet, uszczęśliwić ludzkość nowym, idealnym porządkiem. Tymczasem to się zupełnie nie udało. „Towarzysze" niemieccy, niepotrzebnie osłabieni przegraną wojną i wysysani przez kapitalistów zapomocą oburzających odszkodowań wojennych, jęczą w dalszym ciągu w jarzmie, cała Europa, a w szczególności już biała i reakcyjna Polska, czyha na wolność rosyjskiego proletarjatu, a „The Great Nation", skalana rozlaną niewinnie krwią niemiecką i brudem wojny, sponiewierana bardziej niż kiedykolwiek, i zupełnie już zdana na łaskę i niełaskę spekulantów z Wallstreet, pracuje pod bagnetami w fabrykach amunicji i broni, wyrabianej znów dla tejże samej Polski, głodzącej w swych obozach dla jeńców Bogu ducha winnych żydów-komunistów, wydalonych ze Stanów Zjedn. i wydanych jej na pastwę przez wysługujący się spekulantom z Wallstreet rząd amerykański.

Dla nas wynika z tego wszystkiego nad wszelką wątpliwość jasno, że o udziale Ameryki w wojnie piszą obecnie nie ci, którzy brali w niej ten udział, lecz jego przeciwnicy, określani w owych czasach złowrogiem słowem „progerman". Nie zainkasowali oni w swej twórczości ani jednego szlachetnego drgnienia czy odruchu z tego historycznego, tak niedawnego okresu natchnionego zapału patrjotycznego i wiary w zwycięstwo pognębionej wolności, skrzętnie natomiast podsuwają mu pod nos wszystko, co mogłoby być dowodem, że postąpił nie jak bohater i dobry syn ojczyzny, lecz jak skończony matoł. Wykazują mu to z całą brutalnością, nie przebierając w słowach. A ponieważ łatwowierny w gruncie rzeczy i niezbyt inteligentny Amerykanin bądź co bądź, jak zresztą wszyscy, w następstwie wojny cierpi, nie trudno mu wytłumaczyć, że sam sobie winien. I w tej literaturze, jak i w innych, przedewszystkiem znaczy hasło: Nie tak było, jak było, ale tak, jak ja napiszę. Trudno,

powieściopisarz nie jest historykiem, nie szuka prawdy objektywnej, lecz chce podać swoją prawdę. Na obronę powieściopisarzy amerykańskich trzeba powiedzieć, iż oni w tę swoją prawdę wierzą święcie i głoszą ją z pobudek prawdziwie ideowych. Wobec tego nie można się dziwić, że stosunek ich do ludów mało im, niestety, znanej Słowiańszczyzny, jej ukształtowań państwowych i jej dążeń, jest co najmniej obojętny i niepoważny. Jej istnienie mąci im, że tak powiem, i w irytujący sposób zaciera piękne i jasne kontury „prawdziwego obrazu" rzeczywistości, jak ona im się przedstawia.

Po tym wstępie, mojem zdaniem koniecznym, przystępuję do rzeczy, przyczem zaznaczam: Nie piszę tu o *Trębaczu Krakowskim* prof. Kella, bo o tem pisano dużo. Znaczenie propagandystyczne tej powieści zostało należycie ocenione i uwydatnione, o niej samej niema się co rozwodzić. Nie piszę o notowanej niedawno w prasie powieści *The Procid House* Annette Esty, ponieważ jej jeszcze nie czytałem. Nie piszę o Rosjanach, ponieważ nie mógłbym tego pomieścić w studjum niniejszem, a prócz tego temat ten i z innych względów tu się nie mieści.

II.

Zaczynam od powieści Henryego Channona, zatyt. *Paradise City*, co przetłumaczyłbym na polskie poprostu „Rajsko". Channon opisuje w niej dzieje niektórych, powiedzmy, najbardziej może typowych mieszkańców małego dzięki zbiegowi okoliczności nagle wzbogaconego miasteczka, prawnuków osadników (a więc arystokracja amerykańska), którzy tu niedawno jeszcze w stepach bydło pasali. Nas zajmuje specjalnie jedna tylko z jego figurek, mianowicie dama, żyjąca bez troski i doskonale bezczynnie z wysokich dywidend, jakie daje miejscowe towarzystwo zbożowe i młyny elektryczne, świetnie prosperujące. Na imię tej pannie, o ile sobie przypominam, Amy.

Tkliwa i marzycielska z natury, dodajmy, gruntownie rozpróżniaczona, prowadząca bezczynne życie bogatej panny z towarzystwa wielce zaściankowego, wspaniale bezużyteczna i niepotrzebna, dopatrywała się w swym narzeczonym wszel-

kich cech doskonałości bohaterów tuzinkowych romansideł owych czasów. Narzeczony, któremu te porównania z nieznanemi mu bliżej „Lohengrinami", jako człowiekowi prostemu, wcale się nie podobały i który doskonałością żadną być nie pragnął, znudzony marzenną szczytnością panienki zaczął się powoli od niej odsuwać, aż wreszcie delikatnie opuścił ją i ożenił się z drugą. Amy przyjęła to dość biernie, przezwyciężyła bez większego bólu i w dalszym ciągu pędziła życie ciche i spokojne, pogrążona w marzeniach i kontemplacji tychże i tak, ani sobie z tego nawet sprawy nie zdając, została starą panną. Żyło się jej trochę niby smętnie, ale w gruncie rzeczy przyjemnie.

Znalazłszy się w możności dowolnego rozporządzania większą gotówką, miła Amy opuszcza miasto rodzinne, wciąż forsownie tyjące i wzbogacające się, i wyjeżdża do Nowego Yorku, gdzie znowu poprostu „bawi", systematycznie i gruntownie nic nie robiąc. Wreszcie, sama nie wiedząc dlaczego, ot, naskutek pierwszej lepszej reklamy, puszcza się luksusowym statkiem w podróż dokoła świata. Poco? Naco? Czego szuka w tym dalekim, nieznanym świecie, co spodziewa się znaleźć? Tego nie wie ani pisarz, ani czytelnik, ani ona sama. Wyjeżdża poprostu dlatego, że może sobie na to pozwolić, stać ją na taką przyjemność a zresztą nie ma nic innego do roboty. Bez gruntowniejszego wykształcenia, bez żadnych właściwie zainteresowań cóż ona może znaleźć na wyspach Hawajskich, w Chinach czy w Colombo? Piękne widoki, kwiaty, owoce. Bezmała to samo mogła sobie sprawić w pierwszem lepszem kinie nowojorskiem, nie ruszając się z miejsca. Amy ma pieniądze, ubiera się — ubierają ją — dobrze, umie się jak należy zachować w luksusowych hotelach i drogich restauracjach, zatem jest damą. Wobec tego może robić to samo, co robią inne damy z jej towarzystwa.

To się jej jednak tylko tak zdaje, bo któraż prawdziwa dama spoufaliłaby się tak ni stąd ni zowąd z jakimś wędrownym muzykantem, nieznanej bliżej narodowości, grajkiem z orkiestry okrętowej, wiolonczelistą, choćby nawet on nie opowiadał jej, jak to mają w zwyczaju „Babbittowie" z Zenithu czy właśnie innego Rajska amerykańskiego, śliskich

lub wprost głupich kawałów (vide Lewisa *Człowiek, który znał Coolidgea*), nie mówił jéj nic o swej loży, o swym klubie i towarzyszach klubowych i nie cuchnął cygarami, co wszystko było naszej damie wstrętne. Wiolonczelista przemawiał cicho, głosem melodyjnym, pieszczotliwym i pełnym uczucia, był smętnym brunetem o słodkich, melancholijnych oczach, a opowiadał niesłychane historje o tragicznym losie swej ojczyzny, Polski, o jej rozbiorach, o Kościuszce, o zamku swych ojców, leżącym już do połowy w gruzach, lecz z którego przecie wygryźli go źli krewni, o brudnych chłopach w łachmanach, chudych żydach, wilkach, napadających wsie mroźną zimą, a wreszcie o swem wspaniałem dziele, o tytanicznej Symfonji Słowiańskiej, mogącej ziemię z posad poruszyć, lecz której on, tułacz przez złych krewnych z mienia swego i dóbr wyzuty, z braku środków dokończyć nie może. Nazywa się ten czarujący młody człowiek Grinsky, a wkrótce, w miarę jak się wypadki rozwijają, dowiadujemy się, że jest hrabią, czego, znając romantyczność i łatwowierność Amerykanki, zgóry już spodziewaliśmy się. Ma lat mniej więcej dwadzieścia osiem, jego bogdanka jest według moich obliczeń o jakie dziesięć lat od niego starsza.

Miłość wybucha w tych dwojgu duszach z siłą prawdziwie niepohamowaną. Amerykanka pragnie za wszelką cenę dopomóc biednemu kompozytorowi do wykończenia Symfonji Słowiańskiej. Pomaga im czarowna wyspa miłości, Honolulu, gdzie Polak posyła pannie olbrzymi bukiet egzotycznych kwiatów. Dama wymogła na kapitanie statku, że daje im ślub, który potem gdzieś po drodze zatwierdza jakiś konsul amerykański. Panienka z amerykańskiego Rajska staje się „hrabiną Grinsky".

Radosna płynie wraz ze swym hrabiowskim małżonkiem przez modre morza, łaskawym uśmiechem szczęścia akceptując i zatwierdzając istnienie nieznanych egzotycznych miast, wybiegających z hołdem i kornem powitaniem na jej spotkanie. Nie jest już samotna, ma o kim myśleć, ma o kogo dbać. Tymczasem „hrabia" oczywiście pokłócił się z orkiestrą i wystąpił z niej. Gra jednak w dalszym ciągu, ale w karty, i nie w salonie, tylko w barze. Jest jednakże bardzo dobry dla żony, czuły i tkliwy niemal po dziecięcemu. Wo-

góle ma manjery rozpieszczonego dziecka i naprzykład zupełnie nie orjentuje się w pieniądzach. Pieniądze żony bierze jak swoje, klejnotów jej używa również bez żadnych ceremonij. Wreszcie ląduje z żoną w Paryżu, gdzie dla zaoszczędzenia „hrabinie" niepotrzebnej bieganiny po bankach, bierze od niej pełnomocnictwo dla spraw finansowych i po pewnym czasie, niewdzięcznik, ulatnia się, zostawiając Amy bez grosza, co zresztą nie jest żadną tragedją, bo konto bankowe w amerykańskiem Rajsku rośnie wciąż.

Zatem, oczywiście, żaden hrabia tylko oszust. Można się było tego spodziewać. Ale „hrabina" wyjeżdża za mężem w pogoń. „Po długiej, męczącej podróży" (72 godziny, o ile sobie przypominam) przybywa wreszcie z Paryża do Krakowa, gdzie jest wprawdzie pałac Grinskich, plac Grinskich i prócz tego dwudziestu ośmiu żywych hrabiów Grinskich, ale o Stanisławie Grinskim, jej mężu, nikt nigdy nie słyszał. Wobec tego „hrabina" opuszcza Kraków, „to dziwne miasto z kościołami w kształcie meczetów" i wraca do Paryża, gdzie znowu „bawi", tęskniąc po swojemu do łajdaka-męża i oczekując mimo wszystko jego powrotu. Tak samo czekała kiedyś na narzeczonego, który ją opuścił. Dopóki się nie ożenił, wierzyła wciąż, że do niej powróci. Wybucha Wielka Wojna, „hrabina" „nic na to", siedzi wciąż bezczynnie w Paryżu i tak sobie tęskni. Wreszcie, podróżując po wojnie po Włoszech, znajduje w Ankonie nagrobek, przypominający z twarzy jej męża, którego podobno podczas wojny rozstrzelano w Paryżu za szpiegostwo. Wdowa osiada w Ankonie i trawi życie na rozmyślaniach niewiadomo o czem w oparach mglistych tęsknot i dusznej woni tuberoz, których bukiety stale składa na nagrobku kondotjera.

Cała ta historja w wysokim stopniu „weinerlich lustig", że użyję starego niemieckiego terminu teatralnego, jest jednak prawdziwie wzruszająca a opowiedziana z takiem zrozumieniem duszy ludzkiej, że nie można ani zbyt śmiać się z sentymentalnej Amerykanki, ani gniewać się zanadto na jej „hrabiego". W każdym razie Amy z Rajska nie zrobiła zbyt złego interesu. Straciła wprawdzie kilka tysięcy dolarów, ale zyskała „tytuł", męża, wspaniałą podróż poślubną, garść przygód i wspomnień, co też ma swoją wartość,

i wreszcie miała bodaj przez pewien czas jakiś cel w życiu. Dzięki niemu, temu nieuczciwemu mężowi, marzenia jej uzyskały żywą krew i treść. Tego nie dał jej nikt ani w rodzinnem Rajsku ani nawet w wspaniałym Nowym Yorku. A zmarłego męża znakomicie zastąpił jej marmurowy posąg z XVI w. Więcej jej do życia nie było trzeba.

Babbitt panamerykański — *sui generis Telimena* — i artysta, pełen mdłego, wątłego wdzięku przekwitającego już estetyzmu i zwodniczej, kłamliwej wielkopańskości zmurszałej szlachetczyzny. Oryginalne zestawienie.

Postać Polaka nakreślona jest świetnie, z taką prawdą, wnikliwością psychologiczną, plastyką i subtelną ironją, że trudno się obronić wrażeniu, iż jest to obserwacja z życia. Autor otarł się prawdopodobnie o ten typ gdzieś na paryskim bruku.

Mimowoli jednak wystawia tu pisarz amerykański kulturze swego kraju niezbyt pochlebne świadectwo. Bo ostatecznie w oczach tej damy z dobrego bądź co bądź towarzystwa amerykańskiego mężczyźni z jej sfery są widocznie tak mało kulturalni i subtelni, że w porównaniu z nimi pierwszy lepszy, od biedy obyty obieżyświat europejski, zachowuje się — mówimy o manjerach — i wygląda, jak się to mówi — jak urodzony hrabia.

Pozostawmyż łzawą Amerykankę przy jej ukochanym nagrobku, a sami chodźmy dalej przyjrzeć się żywym.

III.

Co myślą Amerykanie o emigrantach wogóle?

Aby się z tem szybko załatwić, przytoczę zdanie prof. R. Dyboskiego. W jego *Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej* czytamy:

„Mimo krzykliwego entuzjazmu dla Ameryki, emigrant — czyto polski, czy żydowski, włoski, grecki czy rumuński — był i w znacznej mierze jest u starszego społeczeństwa amerykańskiego wzgardzony z powodu braku kultury materjalnej i obywatelskiej.“ Dodałbym, że może też z powodu braku kultury intelektualnej.

O „emigracji chłopskiej“ czytamy w tejże książce: „Jeżeli dzisiejszy amerykański socjolog Thomas, który

wspólnie z naszym prof. Znanieckim wydał pięciotomowe dzieło o „Chłopie Polskim w Europie i w Ameryce," później streścił wyniki swych spostrzeżeń w bardzo ujemnej charakterystyce ogółu emigrantów polskich po wielkich miastach amerykańskich pod względem myślenia politycznego i zmysłu prawnego, to mogę się oburzać na jego jednostronność, ale w sztucznie zaciśnionych ramach jego dowodzeń nie mogę mu odmówić pewnej dozy słuszności."

Dalej: „Entuzjastyczny patrjotyzm amerykański, przybierający" postać ślepego fanatyzmu i zupełnego zmaterjalizowania. „Cyniczny kult dolara i szowinistyczny kult Ameryki a pogarda dla biednej Europy z włączeniem własnej ojczyzny" i t d.

Sądy te cytuję dlatego, że one stanowią tło dla obrazu życia naszej „emigracji chłopskiej," tak jak ją przedstawia Edna Ferber w swej powieści *Piękno Ameryki* („American Beauty," Londyn, William Heinemann, 1931) o emigrantach polskich w Connecticut w Stanie Massachusets.

O Ednie Ferber (ur. 1887-go r.) wspominałem już w poprzedniem studjum. Jest to powieściopisarka zdolna, z temperamentem, jasną głową i sercem na swojem miejscu, starająca się widzieć życie i świat takim, jakim on jest, mająca cześć dla walki. Pisze żywo, zajmująco, barwnie, z dużym zmysłem malarskim i zamiłowaniem wyrazistej, zdecydowanej linji architektonicznej. Świat w jej powieściach jest słoneczny, nakreślony z rozmachem jędrnemi linjami. Ona sama ma ciekawość życia i jego zawsze zajmujących opowieści a także sympatyczną skłonność do romantyzmu. Tli się w niej jeszcze Marka Twaina miłość do Mississipi, poezji i pieśni murzyńskiej, brawurowy rozmach awanturników z Dalekiego Zachodu, czułość dla Indjan, wyssana z powieści Heleny Jakson, drugiej pani Stowe, tylko że ujmującej się za Indjanami a niespodziewanie znów zainteresowanie się życiem fermerów holenderskich, w Stanie Illinois, dowożących jarzyny do Chicago („Pola kapusty mają też swoje piękno!" — zdanie z „Bo Big," charakteryzujące jak żadne inne optymizm i miłość życia autorki), kocha Indjan, zwłaszcza Osagów z dawnego rezerwatu Oklahomy, o których życiu opowiada mnóstwo ciekawych historyjek, lubi

przyglądać się budowaniu życia od podstaw. Żyje w niej jeszcze entuzjastyczna, bohaterska dusza dawnych pionierów amerykańskich. Oto dlaczego prawdopodobnie zainteresowała się też życiem osadników polskich w Connecticut, oczywiście nie ze względu na nich samych, ale ze względu na klęskę, jaką na tym samym terenie poniosło osadnictwo, przybyłe tu za czasów Kromwella z Anglji.

Co oznacza tytuł powieści „Piękno Ameryki?" Connecticut w Massachusets.

„Kraj ten — cytuje autorka wyjątek z listu jednego z kolonistów angielskich — podobny jest do naszego Kentu, tylko bardziej okazały, śmielszy, przestronniejszy i bardziej rozłożysty. Sklepienie niebieskie jest tu o wiele obszerniejsze, drzewa są wyższe, skały dziksze. Jest to, możnaby powiedzieć, inny rodzaj piękności, szczególne piękno Ameryki".

Dziś kraj falisty, z małemi wzgórzami i soczyście zielonemi dolinami, a jak daleko okiem sięgnąć, pola tytoniu i cebuli, na wielką skalę tu uprawianej. Tu i ówdzie widać jeszcze po obu stronach drogi szare, stare, zsychające się ze starości domy dawnych osadników, niechętnie przyglądające się nowym domostwom z czerwonej cegły. Connecticut (Quaneh-ta-cut, po indyjsku Rzeka Długiej Fali), niegdyś, gdy go koloniści angielscy od Indjan kupili, był ziemią bardzo bogatą. Rzeki były pełne ryb, dziewicze lasy zwierzyny. Na właścicieli ziemskich pracowali czarni niewolnicy. Żyło się tu wtedy ludziom bogato i łatwo. Potem ziemia wyjałowiona zaczęła rodzić skąpo, osadnicy pociągnęli w inne żyźniejsze strony, a w Connecticut pozostali tylko ludzie słabi, chorzy, niedołęgi różne i kobiety. Rozumie się, że z ziemi, wymagającej ciężkiej pracy, to się używić nie mogło. Trzeba było szukać pomocy najemnych rąk roboczych, które były rzadkie, a co za tem idzie kosztowne i do pracy mało skwapliwie. Próbowano Szwedów — napróżno, nie nadawali się. Wówczas wdarła się do kraju pierwsza fala Polaków. Był to snać wypadek brzemienny w poważne następstwa, bo autorka dedykuje swą powieść komuś, „kto wskazał pierwszego, młodego Polaka, idącego ku nam w blaskach zachodzącego słońca nad Wading Riwer". Do czego się to zdanie odnosi, nie wiem, bo dat żadnych z życia tej

autorki nie znam, prawdopodobnie jednak ma związek z osadnictwem polskiem, którego początki, przypadające na rok 1890 autorka prawdopodobnie miała sposobność oglądać.

W krótkości podaję treść powieści:

True Baldwin, miljoner, pochodzący z Oakesfield w Connecticut, gdzie swego czasu osiedli jego przodkowie, pierwsi koloniści angielscy, jacy się w tych stronach pokazali, przepracowany i zmęczony życiem w mieście, wyjeżdża z córką autem na wycieczkę w rodzinne strony. Córka ma nadzieję, że ojciec kupi tam może jaki majątek lub odkupi posiadłość przodków i pozostanie na wsi, co przy jego stanie zdrowia byłoby dla niego zbawieniem. Niestety pokazuje się, że cała okolica jest w polskich rękach. Wszędzie widać polskie fermy, polskie na domach nazwiska, a „gdzie jest najbardziej gęsta i najbujniejsza zieleń, tam z pewnością w polu pracuje Polak". Miljoner odnajduje dom swoich ojców, a jego córka, architektka z zawodu, tak się nim zachwyciła, że koniecznie postanawia go nabyć wraz z przyległościami. Właścicielem tej fermy, dawnego Oakesfield, jest młody człowiek, noszący wprawdzie rodowe imię Oakesów, Orrange, ale zarazem polskie nazwisko Olszak. Jest on synem ostatniej linji Oakesów i polskiego emigranta, chłopa, nazwiskiem Olszak. Nawiasem mówiąc, autorka sama przyznaje, że to skrzyżowanie ras wydało w tym wypadku rezultat dodatni. Stosownie do szablonu powieściowego córka miljonera wyjdzie za Olszaka i „wszystko będzie dobrze", Oakesfield wróci do swych dawnych właścicieli, a gorąca krew polska, wzmocni ich, poczem rozpłynie się bez śladu.

Powieść dzieli się na dwie części, z których pierwsza, historyczno obyczajowa, opowiada o dawnej sławie i bogactwie kolonistów angielskich, druga zaś poświęcona jest emigracji polskiej, rozwijającej się i mnożącej na gruzach minionej wspaniałości.

Otóż nas przedewszystkiem zajmuje część druga.

Dawni mieszkańcy Nowej Anglji nienawidzili Nową Anglję — mówi autorka — nie byli rolnikami z urodzenia lecz z konieczności. Nie kochali naprawdę ziemi. Dlatego opuścili ją i wynieśli się do miast. Przyszli Polacy. Jakże ich przyjęto? — To dzicy! — mówi o nich jedna z osób

powieści. Widziałem ich. Składają ludzkie ofiary, jak w Biblji. Ofiary z krwi i ludzkiego mięsa. Nocami i w Sabbath pokrzykują przy muzyce, a ich kobiety są dzikie jak drapieżne zwierzęta. Gdyby to było możliwe, ci purytanie spaliliby nowoprzybyłych na stosach jak czcicieli szatana. Gdzie się pokaże jeden Polak, tam wkrótce kraj cały roi się od nich. Polak jako parobek w domu, zwłaszcza z rodziną, to dla chlebodawcy śmierć od trucizny i przejście majątku w polskie ręce. Tak powszechnie mówią.

Ale w Oakesfield niema parobka, niema wogóle żadnego mężczyzny, a 360 akrów to jednak spory kawał pola, któremu kobieta rady nie da. Zresztą w Ameryce kobiety w polu nie pracują, na takie „horrendum" pozwalają tylko Polacy. A tedy do Oakesfield najmuje się za parobka Polak z zachodniej Galicji, „więcej już Austrjak — pisze autorka — nie tak posępny, nieokrzesany i ponury, jak Polacy ze wschodu i północy". Nazywa się Ondia (prawdopodobnie przekręcone Andrzej) Olszak. Jest to mężczyzna trzydziestoletni, krępy, o potężnych barach, ciemny blondyn z niebieskiemi, bystro patrzącemi oczami, z czołem „pomarszczonem od wysiłku myślenia i mówienia po angielsku", co jest prawdą, że to są znane nam dobrze „zmarszczki myślenia", oznaka pewnej tępoty umysłowej. Miał pełne, jędrne i kuszące usta i kształtne, mocne ręce, w przegubach porosłe gęstym, złocistym włosem. Kobiety chętnie patrzyły na te jego usta i ręce. Usposobienia był pogodnego, chętnie się śmiał, lubiał z rodakami wypić w niedzielę i poplotkować, a cechował go jakiś swoisty wdzięk i coś w rodzaju słodyczy. Miękkość słowiańska. W Ameryce był już cztery lata. W Starym kraju pozostawił żonę, Polcię i syna, do którego bardzo tęskni. Wciąż myśli o tem, aby żonę z synkiem sprowadzić do Ameryki. Parobkiem nie jest nadzwyczajnym, bo nie ma udziału w zyskach, tylko płacę miesięczną.

Zadomowiwszy się i szybko i łatwo dostosowawszy się do otoczenia, zostaje wkrótce duszą Oakesfield. Jest opiekunem młodziutkiej Tamary, ewentualnej dziedziczki po śmierci właścicielki fermy, starej panny, dziwaczki, wciąż jeszcze stojącej mimo biedy na straży wielkopańskiej tradycji Oakesów. Ta miss Judy nie ma przekonania do Ol-

szaka, niedowierza mu i wciąż posądza go o chęć przywłaszczenia sobie w podstępny sposób jej fermy.

Ale nic nie świadczy o jakichś niegodziwych zamiarach Olszaka, który coraz bardziej wrasta w Oakesfield w grunt. Miss Judy jest „kucharką straszliwą", jak mówi autorka, wiec Olszak pomaga potrosze i w kuchni. Nauczył Tamar smażyć placki kartoflane, marzy o faszerowanej kapuście, ale nie umie jej zrobić. Później żona jego, Polcia, przybywszy z Europy z synkiem do męża, obejmuje rządy w kuchni i uszczęśliwia Amerykanów czerniną, powidlanką, kapustą faszerowaną, struclą z rodzynkami, żytnim chlebem, twarogiem, kwaśnem mlekiem i innemi potrawami polskiemi, w Ameryce nieznanemi.

Abyśmy skończyli z fabułą powieści, Polcia, obdarzywszy męża przedwcześnie córką — prezent ze starego kraju — umiera podczas połogu. Miss Judy, sparaliżowana, nie wie, co się w domu dzieje, a właściwie — nie liczy się. Olszak żeni się w tajemnicy z Tamarą i w ten sposób osiąga przecie swój cel, do którego skrycie w głębi duszy od samego początku dążył. Teraz dopiero zaczyna pracować na roli z całym zapałem i wrodzonem zamiłowaniem.

„Do tej chorowitej gminy — czytamy — do tej pozbabawionej życia okolicy z ich obejściami, bez mężczyzn, zaczął napływać ten obcy lud, w którym zmieszana krew różnych krajów stworzyła Słowianina. Była w nim krew węgierska, austrjacka (?), może nawet krew Saracenów (!), krew polska, rosyjska, czeska. Napływali do tej nowej ziemi chciwi, pokorni, ubóstwiający błoto, które orali, skiby, w które rzucali ziarno. Kochali ziemię z żarem urodzonych rolników, pochodzących ze stron, w których ziemi zawsze było mało, a jeśli, to była droga. Wkładali w nią całą swą namiętność, kochali ją, jak mężczyźni kochają kobiety. Była to ich rozkosz, ich całe życie emocjonalne, ich marzenie o posiadaniu. Pieniądze nie miały znaczenia. Oni byli miłośnikami roli." „Polacy nie dbają o domy, im zależy tylko na roli." „Każde pole zna swego właściciela — mówi Olszak — i jeśli je kto bezprawnie zagarnie, ono nie zechce mu rodzić".

Tamara zaczyna teraz rozumieć, dlaczego Olszak kocha

ziemię. I ona też zaczynała kochać Oakesfield ze wszystkiem, co je otaczało. Nietylko dom sam, ale całą posiadłość. Uwierzyła, że nie należy mącić ani zanieczyszczać wody niepotrzebnie, ani używać w jej pobliżu brzydkich słów, robić brzydkich rzeczy, ponieważ ona wie o tem i może się zemścić. Jaskółki i jaszczurki znają zioła, mające zdolność wskrzeszania umarłych. Ognisko rozpalone w wigilję św. Jana zapewnia obfite żniwo. Ogień jest wogóle istotą wyższą. Jaskółki opuszczają dom, w którym popełniono zbrodnię. Pszczoły nie będą się trzymały u złodzieja. Ondy rozpalając rano ogień, żegnał go zawsze krzyżem świętym, na noc pokrywał go popiołem. Węże i dzikie ptaki wiedzą wszystko, ale wszystkim czworonogom znane są niektóre rzeczy lepiej niż ludziom. Teraz dopiero zaczynała Tamara rozumieć Olszaka sposób obchodzenia się z bydłem. W mroźne, słoneczne południa zimowe Ondia wyprowadzał krowy z ciemnej obory na podwórze, gdzie stały, dymiąc parą przez nozdrza. On je głaskał po bokach i karkach, a one zwracały ku niemu swe łagodne oczy. Codzień dawał krowom po dwa kłosy pszenicy, z miłością, pieszczotliwie.

Naturalnie, że ten folwark amerykański zaroił się też wkrótce od duchów, upiorów, krasnoludków, południc i innych straszydeł tego rodzaju, wśród których figuruje też jakaś nieznana mi nawet ze słyszenia „topczika".

Ale o wiele konkretniejsza od tej inwazji duchów i upiorów była oczywiście inwazja żywych. Okolica roi się od Polaków. Gdy nauczycielka wywołuje w szkole nazwiska, słyszy się: Sarah Dibble, Will Vaine, Wiktor Pawlak, Hannah Brown, Max Konstanty, Katy Wroblewski, Sophie Markiewicz, Joseph Krupa, Paulina Borek, Nathaniel Brown. Mięszanina nazwisk angielskich i polskich. Polacy wciskali się wszędzie, lecz miejscowa, dawna ludność nie miała z nich wielkiego pożytku. Żywili się kapustą, ziemniakami i soloną wieprzowiną. Kiedy gromadami zaczęli wdzierać się w dolinę, rozpacz ogarnęła sklepikarzy i kramarzy wiejskich. Nowoprzybyli sami hodowali wieprze, kapustę, ziemniaki. Ich pieniądze pochłaniała ziemia, albo też wysyłali je do Polski. Sami wyrabiali kwaśne wino, warzyli piwo, ich jabłecznik, mocny jak wódka, pochodził z ich własnych, so-

czystych jabłek. Czasem tylko pokazywał się w sklepiku wiejskim Polak, aby kupić za parę groszy torebkę cukierków dla dzieci. I to było wszystko.

Ale to nie znaczy bynajmniej, aby ci ludzie byli dusigroszami. Przeciwnie. Olszak naprzykład nie był rozrzutny, ale nie cenił pieniędzy, podobnie zresztą jak i inni mężczyźni. Lubiał wypić z rodakami, kupić dobrego konia, dobrą krowę. Wogóle, mężczyźni byli weselsi od kobiet, bardziej lekkomyślni i słabsi od nich. Nie byli chciwi pieniędzy, tylko ziemi. A kobiety były straszne, despotyczne i chciwe do skąpstwa.

— „Matka, dawaj trochę pieniędzy!" — mówił Polak do swej Frani, Peci czy Kazi, gdy przyjechali do miasta. I Frania, Pecia czy Kazia, pomrukując, wybulała żądany grosz.

Olszak pracuje w czasie żniw i w jesieni, w porze zbiorów tytoniu po piętnaście godzin na dobę. Dzieci pracują również i wątła, drobna Amerykanka dała się wciągnąć w ten pracowity tryb życia. Haruje narówni z Polakami i jest fizycznie zdrowa.

W powieści jest mnóstwo ciekawych obrazów, naprzykład porównanie potomków dawnych osadników z emigrantami polskimi. Pierwsi są przedewszystkiem już bardzo nieliczni, a prócz tego na pierwszy rzut oka widać, że to ludzie zdegenerowani, właściwie niezdatni do niczego, niezdolni nawet do życia. Chudzi, anemiczni, o woskowych twarzach snują się jak cienie. Drudzy — w kościele przedstawia nam ich autorka podczas przystępowania do Komunji świętej — idą do ołtarza ławą, zbitemi szeregami, mocni, barczyści, o byczych czerwonych od słońca karkach, pełni krwi, sił i zwierzęcej niemal żywotności.

Dziwna jest ta książka dla czytelnika polskiego, a mam wrażenie, że także i dla amerykańskiego. Na kartach jej przemięszane widzimy nazwiska polskie z angielskiemi. I nietylko nazwiska, lecz także zwyczaje, poglądy na świat, na życie, na ludzi i ich prawa. Olszak bije do krwi syna za to, że ten, będąc już pełnoletnim, wypowiedział mu posłuszeństwo i oświadczył, że nie chce pracować na roli ojca i w dodatku zadarmo, lecz woli pracować w fabryce, gdzie może

sporo zarobić. Córka też się buntuje i to nietylko przeciw niewoli, w jakiej trzyma ją ojciec, ale także przeciw wielkopańskim, osadnickim tradycjom anglo-amerykańskim macochy. Nie chce wyglądać jak straszydło w sukienkach, przerobionych z jedwabiów, welwetów i atłasów, ozdobionych kto wie czy nie bezcennemi koronkami ze strojów, pozostałych po dawno umarłych damach z rodziny Oakesów, chce mieć suknie z materjału nowego i modnego. Ja osobiście czytałem tę powieść z taką emocją, z jaką przypatrujemy się czasem jakimś zapasom. Objektywizm autorki zasługuje na wiarę. Czuje się, że ona prawdziwie przedstawia walkę tych dwóch żywiołów, polskiego i amerykańskiego. Czytamy, myśląc wciąż o tem, który zwycięży. Rozumie się, kultura anglo-amerykańska jest wyższa, ale żywotność w tym wypadku o wiele od polskiej słabsza. Polacy idą naprzód na całej linji z furją, z pięknym, bojowym rozmachem. Kraj kwitnie dzięki nim, oni zaś sami nie na żarty porastają w piórka. Fermy urządzone są nowocześnie, fermerzy polscy używają popędu elektrycznego, mają elektryczne oświetlenie. Słynna jest ferma Wolskich, zorganizowana tak, że niewiadomo już czy to ferma czy fabryka. Są też artezyjskie studnie. Fermerzy polscy mają auta, mają rasowe holsztyńskie krowy. Pani Wolska codziennie wypędza swe krowy na pastwisko i spędza je z niego autem i porykiwaniem klaksonu. Czternaście holsztynek z pełnemi wymionami kroczy przed nią poważnie, a ona jedzie powoli swem autem za niemi, jedną ręką tuląc do piersi ssące niemowlę, drugą kierując i tak zagania je do obory. Ale starsi Polacy nie są dobrymi kierowcami, nie ufają maszynie i nie mają czucia w ręku.

Młodego Olszaka posyła matka, Amerykanka, do szkoły rolniczej w Fenwick. Niestety, tylko ona jedna. Zresztą młodzież polska nie kwapi się do wyższych szkół, lecz szuka lżejszej pracy w mieście, lepszych zarobków i używania życia na sposób amerykański. Fermy wyludniają się powtórnie, Polacy nie umieją gospodarować w sposób nowoczesny, nie kupują maszyn, i oto — True Baldwin wykupuje znowu fermę swych ojców, możnaby powiedzieć, wraz z inwentarzem, to znaczy — z potomkiem Oakesów, wzmocnionym przez dopływ świeżej krwi polskiej.

Tak to sobie wyobraża powieściopisarka amerykańska i ma słuszność, bo tak właściwie powinno być. Życie za życie. Ameryka dała emigrantom polskim ziemię, pracę, chleb, prawo do życia, obywatelstwo, za to słusznie może żądać od nich krwi. Niewątpliwie. Rozumiemy to. Ale czy może żądać i duszy?

Zresztą zajrzyjmy do wspomnianej już książki prof. R. Dybowskiego:

„Do najmilszych wrażeń z samej ziemi amerykańskiej zaliczam wycieczkę w dolinę rzeki Connecticus koło Springfield, gdzie folwark przy folwarku zasiedli chłopi polscy już w roli zasobnych gospodarzy. Wkupili się przez pracę i oszczędność w posiadanie gospodarstw, na których pierwotnie pracowali jako najemni robotnicy. Są to plantacje dwóch tylko roślin, mianowicie cebuli i tytoniu. Uprawiając tylko cebulę i tytoń, wszelkie produkty muszą kupować; mają w tym celu wspaniale rozwiniętą i nader umiejętnie prowadzoną kooperatywę w miasteczku Holyyok... Miewają po 20.000 dol. w banku... W niedzielę nikt tam Forda nie zobaczy, wszyscy mają auta lepszej marki... W domach są łazienki, pianina, na półkach Sienkiewicz".

Jak z tego widać, nie we wszystkich fermach polskich sprawy przedstawiają się tak, jak w Oakesfield z powieści Edny Ferber. Rozmaicie bywa.

(Dokończenie nastąpi)

Jerzy Bandrowski.

Najnowsze odkrycia w Gnieźnie.

Rozkopy i poszukiwania archeologiczne, jakie od paru lat prowadzone są w całem Gnieźnie, a specjalnie w katedrze metropolitalnej gnieźnieńskiej, przyniosły tak niesłychanie ważne szczegóły i rewelacyjne odkrycia, odsłoniły tak duży szmat naszych dziejów i mrocznej przeszłości i kultury, że warto im poświęcić nieco uwagi. Chodzi tu przecież o Gniezno, tę kolebkę narodu polskiego, stolicę pierwotną państwa i odwieczną siedzibę prymasów polskich. Wiemy, że miasto to ma bardzo bujną i rozmaitą historję, że jego kościoły, a zwłaszcza katedra, pełna jest wspaniałych i drogocennych zabytków przeszłości i sztuki, pamiątek i świętości kościelnych i narodowych, ale wiemy również, że im dalej sięgniemy w wieki ubiegłe, tem mniej mamy tych zabytków i pamiątek, tem historja sama staje się coraz więcej mroczna i ciemna, tem mniej jest tej historji wogóle. Objaw zresztą zrozumiały i odnoszący się do wszystkich miejscowości, nietylko w Polsce.

Już przed laty kilkudziesięciu, gdy zaczęto na Wawelu krakowskim robić pierwsze rozkopy i odkrycia, zwrócono uwagę na Gniezno i wskazano na tamtejszą górę Lecha, na której dziś katedra prymasowska się wznosi, jako na miejsce, które powinno być przedewszystkiem i zaraz po Wawelu poddane skrupulatnym badaniom. Opis bowiem tej katedry, jaki zostawił nam ks. Polkowski (Gniezno 1874), nie wyczerpywał wszystkich problemów, a i późniejsze badania Kothego przy inwentaryzacji zabytków wielkopolskich powierzchownie tylko dotknęły tej sprawy.

Był czas, że architekturą kościołów gnieźnieńskich zainteresowała się Politechnika warszawska i godziła się już na wysłanie osobnej ekspedycji naukowej, w najnowsze przyrządy miernicze i w najzdolniejsze siły wyposażonej. Niestety zamiary te rozbiły

się o niechęć miejscowych czynników i ekspedycja do skutku nie doszła.

To, co w ostatnich czasach odkryto na terenie Gniezna, to są właściwie odkrycia i znaleziska przypadkowe, wykopaliska robione mimochodem, które są tylko wskazówką, co może kryć się jeszcze w głębi ziemi i murów gnieźnieńskich, gdyby można było przedsięwziąć akcję zorganizowaną, badania i rozkopy planowe, pod egidą jakiejś naukowej i świadomej celu instytucji.

Zaczęło się od restauracji kościoła św. Jana, niedużego, z XIV wieku pochodzącego, który aż do 1822 r. był własnością klasztoru Bożogrobców w Miechowie. Przy tej sposobności pokazało się, że prezbiterjum tego kościoła pokryte było niesłychanie ciekawemi freskami, pochodzącemi również z XIV wieku, które po usunięciu wierzchniego wapna ze ścian, dały się prawie zupełnie wydobyć, odświeżyć i zakonserwować. Są to przeważnie duże, monumentalne postacie Chrystusa i apostołów, malowane nie na tynku, lecz wprost na cegłach i zdradzające duży wpływ współczesnej szkoły czeskiego malarstwa. Znaczenie ich jest tem większe, że w Polsce są jak dotąd najstarszym przykładem malarstwa monumentalnego, w całej pierwotnej czystości dochowanym.

W parę lat później, w 1925 r., odkryto znów przypadkowo w czterech oddzielnych miejscach miasta szczątki z okresu wczesno-historycznego, pochodzące z IX—XI wieku, a to szczątki ceramiki, przedmioty żelazne, żużle, kości zwierzęce etc. W jednej osadzie znalazły się liczne kawały polepy, oraz znaczna ilość kawałków stopionego bronzu. W innem miejscu znów znaleziono pewną ilość monet srebrnych z XI wieku, które są już czwartym zrzędu skarbem srebrnym, wydobytym na terenie tego miasta. Już bowiem przed 1850 odkryto tu skarb monet arabskich z IX wieku, połączony z ozdobami filigranowemi. W 1870 znaleziono znów przy budowie kolei w kierunku Trzemeszna około 300 srebrnych denarów z XI wieku. Trzeci skarb również z monetami XI wieku odkryto 1902 pod samem miastem, czwarty wreszcie już z końca XI wieku pochodzący znaleziono w 1920 r.

Poza tem w 1925 r. natrafiono nad brzegiem jeziora Jelonka na osadę znacznie starszą od wszystkich poprzednich, bo na osadę pochodzącą z epoki kamiennej, a więc z jakiego trzeciego, a nawet czwartego tysiąclecia przed Chrystusem. Jeżeli dodamy

że znaleziono tu również złotą monetę Heliogabala z III wieku, to musimy dojść do wniosku, że Gniezno od najdawniejszych czasów musiało być osiedlem ludzkiem i stanowić ośrodek kraju.

Ważniejsze jednak od wszystkich dotychczasowych są odkrycia, dokonane w 1931 r. w samej katedrze gnieźnieńskiej. Oto przy naprawianiu posadzki kościelnej w południowej bocznej nawie, naprzeciwko kaplicy prymasa Baranowskiego, natrafiono tuż pod posadzką przy fundamencie filaru na mur, zbudowany z bardzo dobrze ociosanych granitów, na których spoczywał cokół z piaskowca o prostej skośni bez profilu. Mur był półokrągły, a po zbadaniu jego wewnętrznej strony okazało się, że i jego wewnętrzna ściana złożona jest ze starannie obrobionej granitowej kostki. Mur ten o grubości 180 cm. zakreślał półkole w stronę prezbiterjum dzisiejszego i miał średnicę wielkości tegoż prezbiterjum, t. j. około 10 metrów.

Badając dalej podziemia, natrafiono na drugi mur, również półkole zataczający, o 6 metr. średnicy, ale idący pod dzisiejszą boczną nawą południową. Materjał w nim jest ten sam, t. j. kostki granitu, ale mniejsze i gorzej obrobione, ze szczelinami między kostkami szerokiemi i nierównemi. Mur ten zachował jednak na swej wewnętrznej ścianie resztki tynku, które — co niesłychanie ciekawe — miały jeszcze wyraźne ślady polichromji. W kolorach jej przeważają zielony, czerwony i niebieski. Wysokość cokołu na obu tych murach świadczy, że pierwotna posadzka odkrytej budowli leżała 80 cm. niżej niż posadzka obecnego kościoła.

Dalsze poszukiwania wykazały, że od półkolistego tego muru ciągnie się ku zachodowi prosty mur granitowy, na którym spoczywała południowa ściana obecnej katedry w czasie, gdy kaplic jeszcze w tej stronie nie posiadała.

Jakież te odkrycia mają znaczenie? Oto ni mniej ni więcej tylko odkryto tu fundamenta starszej bazyliki gnieźnieńskiej, katedry romańskiej, stojącej tu bezpośrednio przed obecną gotycką. Mury bowiem półokrągłe to dwie absydy, jedna główna i środkowa absyda o rozpiętości około 10 metrów, i druga boczna, południowa, o rozpiętości 6 metrów. Absyda większa zamykała od wschodu prezbiterjum tej bazyliki, absyda boczna mniejsza zamykała nawę południową. Znaleziony szczątek muru prostego jest resztką ściany południowej tejże nawy. Nie ulega też wąt-

pliwości, że poszukiwania, po stronie północnej prowadzone, doprowadziłyby do odkrycia trzeciej absydy z tamtej strony.

Przyzna każdy, że odkrycia te są sensacyjne i do tego zupełnie analogiczne do odkryć przy katedrze krakowskiej na Wawelu. Do wypowiedzenia własnego zdania w tej sprawie uprawnia nas przedewszystkiem fakt, że już cztery lata temu, kiedy o rozkopach w katedrze gnieźnieńskiej mowy jeszcze nie było, przepowiedziałem najdokładniej to, co obecne odkrycia wydobyły na światło dzienne. Pisząc o najstarszych bazylikach romańskich w Polsce (*Przegląd Powsz.* 1927) wykazałem na podstawie badań planu dzisiejszej katedry, że w murach obecnych musi być ukryta dawniejsza bazylika. Mury te bowiem mają oś skrzywioną, a ich część zachodnia z wieżami musiała stanowić kiedyś bazylikę romańską z trzema nawami i trzema absydami, z których środkowa stała mniej więcej w tem miejscu, gdzie dziś stopnie do chóru w tyle mauzoleum św. Wojciecha. Przypuszczałem dalej, że była to bazylika z nawą poprzeczną, umieszczoną w tem miejscu, gdzie dziś kaplice prymasów Łubieńskiego i Potockiego, oraz z dwiema wieżami w tem miejscu, gdzie i dzisiejsze. Z badań moich wynikało, że była to bazylika jedna z największych w Polsce, daleko większa od krakowskiej, a co do długości ustępująca tylko katedrze płockiej, z tej samej romańskiej epoki.

Te wszystkie przypuszczenia znalazły najzupełniejsze potwierdzenie w dzisiejszych odkryciach i niespodziewanych znaleziskach. Znalezione absydy są akurat w tem miejscu, jak przypuszczałem, ich średnica i rozmiary są właśnie takie same, jak cztery lata temu już przewidziałem. Bazylika romańska, przeczuwana tylko wówczas, dziś staje się faktem rzeczywistym.

Ale przejdźmy teraz do historji, tem bardziej, że a konto tych wykopalisk pojawiły się w dziennikach najnieprawdopodobniejsze wersje. Pierwsze sprawozdania z tych robót brzmiały nawet w ten sposób, jakoby absyda środkowa do innego, a boczna do znacznie starszego, jeszcze innego należała kościoła. Przypuszczano dalej, że jest to pierwotna bazylika katedralna gnieźnieńska, jeszcze pod wezwaniem N. P. Marji stawiana i t. d. W rzeczywistości rzecz się ma zupełnie inaczej.

Odkryte fragmenty murów dawnej bazyliki są oczywiście romańskie i tylko ten styl zdradzają. Nie mogą to być zatem fragmenty pierwotnej świątyni, ani nie mogą pochodzić z czasów

Bolesława Chrobrego († 1025) czy Bolesława Śmiałego (1079), jak chcą niektórzy, a to z tego prostego powodu, że za panowania tych monarchów nie budowano jeszcze bazylik w Polsce. Jakie budowano wtedy świątynie, widzimy na drzwiach gnieźnieńskich spiżowych, a katedra gnieźnieńska, jaka w XI wieku istniała, musiała mieć styl inny, przedromański.

Budowa bazylik w stylu romańskim zaczęła się u nas dopiero przy końcu XI wieku, a pierwszą tego rodzaju była bazylika katedralna krakowska, budowana od 1091 r. Szczątki jej kolumn i fundamentów odkryto przed kilkunastu laty w murach zamku wawelskiego, poza dzisiejszą kaplicą Batorego. Świeżo odkryte fragmenty bazyliki gnieźnieńskiej są nieco późniejsze, gdyż zaczęto je układać w 1097, a to po spaleniu się poprzedniej katedry w 1092 r.

Dwa ciężkie ciosy przeszła metropolja gnieźnieńska w 1092 r.: pożar katedry i śmierć arcybiskupa Piotra - Bogumiła, zaliczonego później w poczet świętych. Czy był to skutek jakiego napadu Pomorzan, kroniki nie mówią. Faktem jest jednak, że pobliskie Nakło nad Notecią było wówczas w ich ręku i że napady takie łupieskie istniały. W kilkanaście lat później uciekł przed Pomorzanami arcybiskup Marcin aż do Spicymierza w ziemi Sieradzkiej, a i tak o mało co nie wpadł w ich ręce.

Datę pożaru dawnej katedry przedromańskiej r. 1092 zapisano dokładnie w roczniku gnieźnieńskim i zaczęto myśleć o nowej budowie, gromadzić materjał i fundusze. Pod r. 1097 czytamy w kronice Galla o konsekracji kościoła gnieźnieńskiego *(Igitur Gnesnensis basilica consecrata)*. Są tacy, co widzą tu poświęcenie gotowego już kościoła i przypuszczają, że można było wówczas w ciągu pięciu lat (1092—97) wystawić nową bazylikę. Wiemy dobrze, że było to niemożliwe. Katedrę krakowską budowano, jak to kroniki i roczniki mówią lat 50, katedra zaś gnieźnieńska w tym samym okresie czasu budowana była znacznie większa i było wprost technicznie niemożliwem, postawić ją w ciągu dziesięć razy krótszego okresu czasu.

Sądzę przeto, że konsekracja z 1097 zapisana u Galla oznacza tylko poświęcenie kamienia węgielnego nowej budowli, której szczątki dzisiaj odkryto. Ale właśnie dlatego, że zabrano się do budowli w większym stylu, do stawiania bazyliki największej w Polsce, dlatego, akt ten poświęcenia kamienia węgielnego od-

prawiono z wielką uroczystością. Połączono ją bowiem ze zjazdem w Gnieźnie rodziny książęcej z monarchą ówczesnym, Władysławem Hermanem na czele i ze zjazdem dygnitarzy duchownych i świeckich ze świeżo obranym arcybiskupem Marcinem. Zjazd zakończył się, jak wiemy z kroniki Galla, ważnemi pociągnięciami politycznemi, bo wypuszczeniem ks. Zbigniewa z dotychczasowego więzienia, i podziałem kraju między tegoż Zbigniewa, a młodego Bolesława Krzywoustego.

O dalszej budowie tej bazyliki gnieźnieńskiej nie piszą kroniki ani słowa, tak samo zresztą, jak nie mówią o współczesnych jej budowach bazylik w Kruszwicy i Mogilnie. Nie ulega jednak wątpliwości, że budowę tą prowadził i popierał dalej arcybiskup Marcin i że opiekował się nią gorliwie dom książęcy. O opiece tej mówią nam dwa uboczne zresztą szczegóły. Oto na Wielkanoc 13 kwietnia 1113 r. przybył do Gniezna monarcha polski, Bolesław Krzywousty, z pielgrzymką do grobu św. Wojciecha, został tu aż do odpustu tegoż świętego, rozdawał jałmużny, wyposażył hojnie kościół i ołtarze, a na zakończenie pobytu darował katedrze drogocenny relikwjarz na głowę św. Wojciecha, który prócz pereł i kamieni miał 80 grzywien złota wagi ($14\,^1/_2$ *kg*).

Relikwjarz powyższy był rzeczą tak cenną i niezwykłą, że reprodukowano go na późniejszych monetach Bolesława Kędzierzawego (1148—74). Zachował się on aż do końca XV wieku, a przerobiony wtedy na sposób gotycki przeszedł aż do naszych czasów i dopiero przed kilku laty padł ofiarą świętokradczej kradzieży.

Drugi szczegół z tych czasów to monety z wyobrażeniem św. Wojciecha i klęczącego u jego stóp Bolesława Krzywoustego. Uważano je dotychczas za rodzaj medali pamiątkowych, odnoszących się do pokuty Bolesława, odprawionej z okazji oślepienia Zbigniewa 1112 r. Kto wie jednak czy nie bardziej racjonalne będzie, jeżeli w monetach tych widzieć będziemy pamiątkę budowy kościoła i szczodrej pomocy księcia w tym kierunku. Istnieją przecież analogiczne monety, odnoszące się do budowy katedry krakowskiej.

Szczegóły powyższe wskazują jednak, że za czasów arcybiskupa Marcina prowadzono intensywnie budowę bazyliki metropolitalnej w Gnieźnie. Prowadzono ją też dalej i za czasów jego następcy, arcybiskupa Jakóba ze Żnina (1124—48), pochodzącego

z potężnego wówczas rodu Porajów. O tym Jakóbie piszą kroniki, że wydobył z ukrycia szczątki św. Wojciecha i uroczyście je podniósł. Bolesław Krzywousty zaś, pokonawszy Warcisława ks. szczecińskiego, zmusił go w 1126 r. do składania daniny kanonikom gnieźnieńskim na ołtarz św. Wojciecha. W rocznikach zaś Trzaski i w krakowskim zapisano pod 1127 wiadomość o znalezieniu całych relikwij tego świętego.

Jest rzeczą jasną, że skoro w 1113 r. sprawiał Bolesław złoty relikwjarz na głowę świętego Wojciecha, to głowa ta nie mogła dopiero w 1127 się odnaleźć. Relikwie były zatem przechowane aż do 1127 r. we wiadomem sobie miejscu, ale w podziemiach bazyliki, a dopiero w 1127 r. uroczyście podniesione i osadzone w głównym ołtarzu. Znaczy to, że właśnie wówczas budowa samej katedry postąpiła tak dalece, że przynajmniej jej część wschodnia była już wykończona i można było w absydach ustawić ołtarze. Uroczystość tę, odnoszącą się do głównego ołtarza ze zwłokami św. Wojciecha uczcił arcybiskup Jakób osobną antyfoną, zapisaną w pozostałym po nim rękopisie bibljoteki kapitulnej.

Również i wykończenie całej budowli należy zapisać na dobro tegoż Jakóba ze Żnina. Kładę je na rok 1135, a to z dwóch powodów. Jeden to znana bulla papieża Innocentego II z 1136 r. zatwierdzająca stare i świeże nadania i majątki kościoła gnieźnieńskiego, a w tem całkiem nowe nadanie dóbr żninskich, dokonane przez wymienionego arcybiskupa. Bulla, jak wiadomo, nie jest oryginalna, ale fakty w niej spisane zdają się być autentyczne. Wiadomo zaś, że tego rodzaju nadania praktykowały się właśnie przy sposobności ukończenia budowy kościoła czy klasztoru, jak to było np. w Czerwińsku lub Trzemesznie. Jeżeli bullę wystawiono rzeczywiście w Rzymie 1136 r., to nadanie np. klucza dóbr żninskich lub innych mogło nastąpić w 1135 r. właśnie z okazji poświęcenia ukończonej już budowy.

Poza bullą mamy i drugi zabytek tych czasów, również pierwszorzędnego znaczenia, mianowicie słynne drzwi spiżowe gnieźnieńskie ze scenami legendy o św. Wojciechu. Szczegółowe badania i analiza artystyczna wykazały, że drzwi te powstały najprawdopodobniej w latach 1129—37, zatem w czasie, kiedy nadania na rzecz katedry gnieźnieńskiej hojną sypały się ręką i kiedy właśnie budowa tejże bazyliki się kończyła. Uważam, że drzwi

te są fundacją księcia Bolesława Krzywoustego, a wykonane zostały na miejscu przez jego kapelana i artystę zarazem Leoparda. Osadzenie zaś ich we drzwiach bazyliki było zapewne ostatnim etapem i szczegółem tej budowy. One też wraz z ciosami kamiennemi dokoła są jedyną dziś resztką dawnej bazyliki, która ostała się jeszcze ponad powierzchnią ziemi.

Jakie wezwanie miała ta bazylika? czy N. P. Marji, jak to niektórzy przypuszczają? Twierdzę, że nie i że katedra ta stanęła już pod wezwaniem św. Wojciecha. Świadczą o tem wymienione wyżej szczegóły, jak relikwjarz złoty na głowę tego Świętego, kontrybucja Pomorzan na jego ołtarz, podniesienie zwłok i ustawienie w wielkim ołtarzu, wreszcie drzwi spiżowe ze scenami z jego życia. Gdyby bazylika ta miała tytuł N. P. Marji i nadal, mielibyśmy na drzwiach sceny z Jej żywota.

Bazylika powyższa, której fundamenty w ubiegłym roku dopiero odkryto, nie jest też pierwotną katedrą. Prawdopodobnie jest ona czwartą zrzędu. Znane są bowiem losy trzech poprzednich. Pierwsza katedra, wyniesiona do tej godności na zjeździe monarchów w 1000 r., zniszczona została przez pożar, jak świadczy Dietmar, dnia 24 kwietnia 1018 r., bezpośrednio przed wyprawą kijowską Chrobrego. Po powrocie z tej wojny zbudował Bolesław nową, drugą zrzędu katedrę w Gnieźnie i tu odprawił w niej swą koronację w 1025 r. W niej również koronował się i Mieszko II. Jednakże w 14 lat potem obrabowali i zniszczyli ją Czesi pod wodzą ks. Brzetysława i biskupa Sewera z Pragi 1038 r. i to tak dalece, że jak mówi kronikarz, dzikie zwierzęta obrały sobie w jej ruinach siedlisko.

Trzecią zrzędu katedrę zbudował następnie Bolesław Śmiały, a jej poświęcenie nastąpiło jak piszą roczniki w 1064 r. Przetrwała ona, jak wiemy, do r. 1092, kiedy to padła znowu pastwą pożaru. W 1097 r. zaczęła się budowa czwartej. Z tamtych trzech nie zostało ani śladu, z tej czwartej pozostały drzwi spiżowe z obramieniem kamiennem, a dziś znalazły się fragmenty absyd, murów i fundamentów.

Nie dotrwała bowiem do naszych czasów w całości, podobnie jak wiele innych romańskich bazylik i budowli. Kościoły w tym stylu budowane przestały zczasem spełniać swoje zadania, okazały się za szczupłe i za słabe, uległy poza tem z biegiem czasu innej modzie, t. j. gotykowi. Stało się to w czasach Kazi-

mierza W. w połowie XIV wieku. W 1342 zaczyna arbybiskup Jarosław Bogorja Skotnicki przebudowę katedry bazylikowej i romańskiej na sposób gotycki. Wtedy to zburzono ostatecznie naszą bazylikę, podniesiono znacznie poziom nowego kościoła, wydłużono go w stronę wschodnią, dając nowe, nieco w osi skrzywione, prezbiterjum i oparto filary i ściany nowe, ceglane na starych ciosowych fundamentach. Na dawnem miejscu zostawiono jedynie słynne drzwi spiżowe, a może i ołtarz św. Wojciecha.

Jest rzeczą jasną, że ta w 1342 zniszczona bazylika romańska pozostawiła w głębi murów i podziemi dzisiejszej katedry daleko więcej śladów swojego istnienia, które przy dalszych poszukiwaniach mogą wyjść na światło dzienne. Należałoby jednak zerwać posadzkę i rozkopać poziom obecnego kościoła. Życzyćby sobie tylko należało, aby odkrycia dotychczasowe jak najdokładniej zostały architektonicznie opracowane i na planach i wykresach uwidocznione, podobnie jak się to stało z odkryciami wawelskiemi.

Powyższe odkrycia fundamentów bazyliki romańskiej nie wyczerpują jednakże tego, co w katedrze gnieźnieńskiej w ostatnich czasach znaleziono. Podczas bowiem dalszych robót pod posadzką dzisiejszego kościoła, od jego południowej strony i w głębokości $2^1/_2$—3 m pod obecną powierzchnią znaleziono szereg niezwykle interesujących i bardzo starodawnych grobów kamiennych średniowiecznych, jakich nigdzie gdzieindziej w tej katedrze nie odkryto.

Groby te stawiane są w ten sposób, że na wyrównanej gołej ziemi układano nie wyższe nad 40 cm obudowanie kamienne z ciosów, w formie prostokąta dostatecznie dużego, by zwłoki dorosłego człowieka w nim pomieścić. Ciosy te ułożone były w jednej tylko warstwie i nie powiązane wapnem, a po złożeniu zmarłego przykryte płytami granitowemi, lub nawet piaskowemi. Wielkość tych grobów wynosi około 2 m długości, a 60 cm szerokości w głowach i 40 cm w nogach. Jak widać, charakter tych grobów jest bardzo prosty i pierwotny i żadnych ozdób, znaków lub napisów niema tu zupełnie.

W grobach tych znaleziono kości prymasów Polski średniowiecznej, znowu bez żadnych napisów lub odznak, po których możnaby je zidentyfikować. Nie ulega wątpliwości, że pochowani oni byli bez trumien, jedynie owinięci w drogocenną tkaninę,

t. zw. *pallium mortuorum*. Sposób bowiem chowania biskupów we wczesnem średniowieczu był nieco inny, niż późniejsze zwyczaje nakazywały. Ciało owijano więc we wspomnianą materję, na piersiach zawieszano krzyż biskupi, na ręce zostawiano biskupi pieścień, a nadto dawano do rąk kielich z pateną, a u boku kładziono pastorał.

W odkrytych obecnie grobach większa część kości i cała materja w proch się już rozpadły, a zostały jedynie kości co silniejsze i przedmioty metalowe, a więc krzyże biskupie, pastorały, kielichy i pateny. W jednym z grobów, zamiast krzyża na piersiach, znaleziono medaljon emaliowany z popiersiem św. Tomasza po jednej stronie, a z uszkami do otwierania po drugiej, co świadczy, że były w nim swego czasu relikwie. Na głowie była jeszcze infuła z drogocennej złotej tkaniny, o wzorach romańskich, a na piersiach paljusz metropolitalny.

W innym grobie znaleziono na kościach krzyż biskupi, około 8 cm wysoki, bronzowy, z bogatemi rzeźbami romańskiemi po obu stronach. Rzeźby te wyobrażały po jednej stronie Chrystusa na krzyżu i czterech ewangelistów po rogach, a po drugiej stronie N. P. Marję świętymi otoczoną. Krzyż ten miał zawiaski i był otwieralny, także musiał w środku relikwie przechowywać.

Z pośród znalezionych pierścieni dwa zwracają szczególniejszą uwagę. Jeden złoty ma znacznej wielkości szafir, przewiercony na wylot, co może być dowodem, że jeszcze dawniej był jakimś amuletem. Drugi również złoty pierścień ma w sześciobocznej ramce oprawny wspaniały topaz, ozdobiony jest nadto emalją i wyrytowanemi postaciami: biskupa w stroju pontyfikalnym, oraz niewiasty.

Kielichy tu znalezione i pateny, są specjalnie charakteru pogrzebowego ze zwykłych metali i bez ozdób. Jak przy kielichach z tej epoki, kruże ich są płytkie i szerokie. Wyjątkowo jeden jest srebrny, drugi z ołowiu srebrzonego.

Z pastorałów zachowały się naturalnie tylko części metalowe, bronzowe lub ołowiane przeważnie górne krzywizny. Jeden z nich ma krzywiznę ołowianą, z głową żmiji na końcu, drugi z bronzu złoconego, ozdobiony jest wyjątkowo koralikami. Zresztą żadnych napisów, żadnych znaków, niczego coby pozwoliło nazwać imiennie zmarłego prymasa. A przecież byli to mężowie o historycznem znaczeniu, książęta Kościoła i najwyżsi dygnitarze Polski

piastowskiej, którzy powagą i znaczeniem swojem, potęgą środków i materjalnych i duchownych przewyższali o wiele swoich następców.

Już dawno było wiadomem, że ziemia, na której stoi katedra gnieźnieńska, jest jednem wielkiem cmentarzyskiem, w którem spoczywają nietylko członkowie panującego domu Piastów, ale również arcybiskupi, biskupi, prałaci i kanonicy, a czasem i wybitne osobistości świeckie. Samych prymasów spoczywa tu 48 i to nietylko w murowanych grobowcach pod kaplicami ich imienia, ale na całej przestrzeni kościoła, nawet w anonimowych grobach, jak je wyżej opisaliśmy.

Brak miejsca oddawna już dawał się tutaj odczuwać tak, że niejednokrotnie dawniejsi ustępowali miejsca późniejszym. W podziemiach katedry piętrzą się groby jeden na drugim, nieraz w dwóch lub trzech kondygnacjach. Przy ich budowie wyłamywano czasem i niszczono w drodze będące fundamenty i architektoniczne części dawnych i nowszych murów, nie robiąc sobie skrupułów, że niszczy się rzeczy zabytkowe. Tak naprz. dla zrobienia miejsca Zbigniewowi Oleśnickiemu, prymasowi olbrzymiego wzrostu, którego kościec mierzy 210 cm, a którego w środku prezbiterjum chciano pochować (wiek XV), wyłamano fundament absydy, przypuszczalnie jeszcze przedromańskiego pochodzenia. Z powodu tej ciasnoty niewielu nieboszczyków posiadło tu rzeczywisty spokój, a jest rzeczą jasną, że i bez ograbienia ich z drogocennych przedmiotów też się nie obyło.

Najważniejszym z tych grobów jest bezwątpienia grób Dąbrówki, małżonki Mieszka I, która do Wielkopolski wniosła jak wiadomo światło wiary chrześcijańskiej. Księżna ta zmarła w 976 r. jeszcze za panowania swego męża i pochowana została w Gnieźnie. Dziś spoczywa, jak wiadomo, w środku prezbiterjum katedry, a skromny kamień na posadzce wskazuje to miejsce. Czy to jest miejsce pierwotne niewiadomo, a raczej wątpić należy z powodu, że znajdujemy się poza obrębem bazyliki romańskiej, której fundamenty właśnie odkryto.

I ten grobowiec był przedmiotem obecnych badań. Pokazało się, że zaglądał już do niego 100 lat temu Edward hr. Raczyński, a rezultaty ówczesnych spostrzeżeń zapisał ks. Polkowski w swojej monografji katedry. Grobowiec ten stanowi przeto prawie sześcienną komorę z cegieł średniowiecznych zbudowaną, której

powstanie nie można przesunąć poza wiek XIV. Grób ten powstał zatem równocześnie z budową gotyckiej dzisiejszej katedry w połowie XIV wieku i zawdzięcza swe powstanie promotorowi całej budowy, prymasowi Jarosławowi Bogorja Skotnickiemu. Nasuwa się jednak pytanie, gdzie prochy Dąbrówki spoczywały przedtem, w którem miejscu, kościele, a nawet mieście? Rzecz zupełnie nieznana, która może na zawsze tajemnicą pozostanie.

Grób Dąbrówki był pierwszym, którym zainteresował się niesłychanie zasłużony obecny ks. biskup Laubitz. Już parę lat temu zeszedł do lochu i począł badać jego zawartość. Znalazł wówczas resztki trumny i resztki kości z kawałkami drogocennej materji bizantyńskiej na czaszce, materji pochodzącej widocznie z X wieku. Zresztą żadnych pamiątek, zabytków lub napisów.

W grudniu 1931 r. odbyły się uroczyste oględziny tego grobowca w obecności prymasa, kard. Hlonda i zaproszonych antropologów poznańskich. Ich badania naukowe i skrupulatne pomiary mają rozwiać wątpliwości i potwierdzić tradycję, co miejmy nadzieję, niedługo się uskuteczni.

Taki byłby w ogólnych zarysach rezultat poszukiwań dotychczasowych w katedrze gnieźnieńskiej. Przyznać musimy, że to rezultat niesłychanie ważny i interesujący. Poszukiwania nie są jeszcze ukończone, prowadzi się je w dalszym ciągu i oczekuje się dalszych niespodzianek. Ale im więcej ich wychodzi na światło dzienne, tem bardziej ujawnia się konieczna potrzeba ich naukowego opracowania systematycznej inwentaryzacji, jak najdokładniejszego opisania. A tymczasem mamy jak dotąd tylko sprawozdania dziennikarskie, no i krótkie osobiste obserwacje, które systematycznych badań nie zastąpią. Czy zabrał się już kto do nich niewiadomo.

Dr. M. Gumowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Naokoło projektu prawa małżeńskiego.

Ludwik Domański: O małżeństwie. Studjum społeczno-prawne. Warszawa, 1932, str. 160.
Rozbiór krytyczny Projektu prawa małżeńskiego uchwalonego przez K. K. Praca zbiorowa pod red. Ks. Dr. Jana Wiślickiego, Lublin, Uniwersytet, 1932, str. 151.
Ankieta „Prądu". Odpowiedzi prof. O. Balzera, prof. L. Pinińskiego, P. Dunin-Borkowskiego, prof. E. Dubanowicza i prof. O. Haleckiego. *Prąd*, Lublin, zeszyty: marzec, kwiecień, maj i czerwiec 1932.
Ks. Stefan Biskupski: O nowe prawo małżeńskie w Polsce. Nakł. Instytutu Akcji Kat. Włocławek, 1932, str. 112.
Stanisław Gołąb: Polskie prawo małżeńskie w kodyfikacji. Wydawn. „Bibljoteka prawnicza", Warszawa 1932, str. 135.

Projekt nowego prawa małżeńskiego, opracowany w Komisji Kodyfikacyjnej, wywołał już całą literaturę. Nie mówiąc już o powodzi artykułów publicystycznych za i przeciw, o wiecowych protestach ze strony katolickiej i kontrprotestach ze strony obrońców projektu, ukazało się w ostatnich miesiącach kilka obszernych publikacyj o tym przedmiocie, których tytuły podaliśmy wyżej, a które pokrótce chcemy tutaj omówić.

1. Z zaciekawieniem bierzemy do ręki książkę L. Domańskiego, który jako prawnik (adwokat) i członek Komisji Kodyfikacyjnej, a przytem znany z przywiązania do katolicyzmu, posiada szczególne kwalifikacje do zabrania głosu w przedmiocie reformy prawodawstwa małżeńskiego. Czytając jednak jego książkę zauważamy, że ona, aczkolwiek podaje niemało materjału naukowego, nie jest w gruncie rzeczy akademicką pracą naukową, lecz raczej pracą popularną i publicystyczną.

O genezie Projektu K. K. autor podaje niewiele, sam bowiem w pracach odnośnej podsekcji udziału nie brał (więcej się o tem dowiemy od prof. S. Gołąba poniżej). Większa część książki poświęcona jest historji prawodawstw małżeńskich, lecz różne rozdziały tej historji potraktowane zostały nierównomiernie i stoją nie na jednakowym poziomie. Tak rozwój instytucji małżeństwa wogóle jak i historja prawa małżeńskiego w państwie rzym-

skiem przedstawione są w „krótkich zarysach", powiedzielibyśmy — zbyt krótkich, elementarnych (str. 7—31). Nad wiekami średniemi autor przemknął błyskawicznie, jakby o nich nie było nic do powiedzenia. Pouczającym jest rozdział, omawiający rozwój prawa małżeńskiego we Francji (str. 39—68); inne kraje zbyte już tylko paru wierszami, lub zupełnem milczeniem. Znowu obszerniejsze wiadomości mamy o prawodawstwie małżeńskiem w Polsce porozbiorowej (str. 79—113), zwłaszcza w zaborze rosyjskim. Krytyka Projektu K. K. zajmuje 31 stron (120—151) i jest bardzo surowa. Autor widzi w nim sprzeczność z konstytucją, występuje przeciwko dopuszczeniu ślubów cywilnych w jakiejkolwiek postaci, oczywiście także przeciwko rozwodom i przekazaniu spraw małżeńskich sądom świeckim. We „wnioskach" końcowych przyznaje (po koleżeńsku?) iż „niema dostatecznych podstaw do posądzania autorów Projektu o świadome dążenie do zwalczania małżeństw religijnych, zrywania związków małżeńskich z lada powodu i szerzenia demoralizacji w życiu codziennem i społecznem", wypowiada wszakże przypuszczenie, że niebezpieczny Projekt wypłynął z zaślepienia projektodawców „ideą państwa bezwyznaniowego" (str. 151). Wkońcu wypowiada się za prawem małżeńskiem, zgodnem z prawami wyznaniowemi, dopuszcza jednak, by dla wyznań niekatolickich, nie posiadających dotąd skrystalizowanego i uznanego prawodawstwa, państwo ujednostajniło przepisy prawa małżeńskiego, tudzież, by jurysdykcję w tych sprawach powierzyło „czasowo" sądom cywilnym z ograniczeniem rozwodów, jako społecznie szkodliwych (str. 152). Żadnych małżeństw cywilnych, według autora, być nie może, gdyż „związków i gmin bezwyznaniowców i bezbożników Polska uznać nie może"; dla takich niechaj pozostaną „luźne związki płciowe" (str. 153). Stawiając ostatnie żądanie, autor nie zauważa, że warunkiem dopuszczenia ślubów cywilnych dla bezwyznaniowych nie musi być istnienie „gmin" bezbożniczych; dosyć, że istnieliby — jak faktycznie istnieją w byłych dwóch zaborach — uznani bezwyznaniowcy jako jednostki.

Książka p. Domańskiego wypłynęła niewątpliwie z pięknych pobudek bronienia chrześcijańskiego stanowiska, w krytyce wszakże Projektu K. K. autor, zapewne w zapale polemicznym, dopuścił się pewnych nieścisłości. Tak w Projekcie owym upatruje „o d e b r a n i e Kościołowi katolickiemu jego władzy i jurysdykcji w zakresie prawa małżeńskiego" (str. 124), gdy ściślej należało się wyrazić: pozbawienie prawa kościelnego sankcji cywilnej, co nie jest jedno i to samo. Nie jest ścisłem powiedzenie, że według Projektu K. K. „ślub religijny nie ma żadnego znaczenia prawnego", skoro małżeństwo uważa się za istniejące od chwili takiego ślubu, a nie od chwili spisania cywilnego aktu. Mamy tu przypadek analogiczny z prawodawstwem włoskiem, gdzie ważność małżeństwa uznaje się od chwili ślubu kościelnego, chociaż d o-

wodem jego zawarcia wobec forum cywilnego jest wciągnięcie aktu do ksiąg stanu cywilnego. Zbyt dowolnie wyprowadza autor wniosek z art. 6 Projektu, jakoby według niego „zaręczyny uprawniały do stosunków małżeńskich przed zawarciem ślubu" (str. 129). Przesadnem jest przypisywanie projektodawcom takiego pojęcia instytucji małżeństwa, „w której... wola stron nie może odgrywać prawie żadnej roli" (str. 135), pojęcia małżeństwa jako rodzaju „loterji państwowej" etc. Owszem, zdaje się, zawiele jeszcze Projekt pozostawia wolności owej woli stron. Pomysł autorów Projektu wprowadzenia systemu rozłączeń, zamienialnych na rozwód, nazywa autor „pomysłem oryginalnym"; otóż takie pomysły są już znane i zrealizowane gdzieindziej i projektodawcy są w tem tylko naśladowcami innych. Takich nieścisłości, przesadnej interpretacji myśli przeciwnika i t. d. możnaby wytknąć więcej. Oczywiście uważny czytelnik odniesie wrażenie tem większego pogromu Projektu. Czy jednak naprawdę sprawie katolickiej służy się w ten sposób najlepiej — o tem pozwalamy sobie wątpić. Dlatego też radzilibyśmy autorowi, aby swą pracę przerobił, zachowując więcej objektywizmu i spokoju.

2. „Rozbiór krytyczny Projektu prawa małżeńskiego uchwalonego przez K. K.", dokonany przez profesorów Uniwersytetu Lubelskiego, był już omówiony pokrótce w naszem piśmie (marzec 1932). Obecnie jednak, omawiając łącznie wszystkie ważniejsze publikacje na temat Projektu K. K., chcemy zwrócić uwagę na parę ważniejszych szczegółów z lubelskiej książki.

Jest ona pracą zbiorową. Najpoważniejszym w niej jest rozdział I pióra ks. Dr. A. Szymańskiego p. t. „Podstawy polskiego prawa małżeńskiego". Jest to krytyka „Zasad" wyłożonych przez autora Projektu K. K., prof. Lutostańskiego. Powiemy krótko: ks. prof. Szymański rozprawia się z prof. L. gruntownie i zwycięsko, bez popełniania błędów, jakich dopuszczają się niektórzy inni apologeci katolickiego stanowiska. Wyrwie mu się czasem z pod pióra twardsze słowo (zaiste, niekiedy *difficile est satyram non scribere*), nie pozwala sobie wszakże na zniekształcanie myśli przeciwnika, cytuje go obficie własnemi jego słowami, skrzętnie notuje te jego zdania, na które można i trzeba się zgodzić, a które, gdyby prof. Lut. chciał być konsekwentny, musiałyby go doprowadzić do przekreślenia innych jego tez i skonstruowanych na nich paragrafów Projektu. Niektóre wyjaśnienia ks. Sz. przydadzą się także publicystom katolickim, naprz. stwierdzenie na str. 25, że nierozerwalność małżeńskiego związku opiera się nie dopiero na jego sakramentalności, ale na prawie przyrodzonem, wskutek czego autor żąda, aby prawo małżeńskie w Polsce wykluczyło, na wzór Włoch, rozwody dla wszystkich wyznań (str. 45) i uspokaja obawy tych, co w takiem postawieniu rzeczy dopatrują się gwałtu religijnego.

W rozdziale drugim: „Zaręczyny" ks. H. Insadowski zestawia przepisy Projektu o zaręczynach z Kodeksem prawa kanonicznego, dochodząc do końcowego wniosku, „że niema pomiędzy niemi istotnej niezgodności, lecz jest raczej wzajemne uzupełnienie" (str. 54). Zasadnicza niezgodność dotyczy tylko jurysdykcji, którą Projekt całkowicie pozostawia sądom powszechnym. Kwestji jurysdykcji w sprawach małżeńskich poświęcony jest końcowy (VIII) rozdział Ks. Dr. G. Michielsa, ujęty wszakże zbyt sumarycznie i niewyczerpująco (str. 145—148).

Tenże O. G. Michiels w rozdz. III (str. 58—73) omawia „prawną zdolność do wstąpienia w związek małżeński i przeszkody", jak one zostały ujęte przez Projekt K. K. Odnośnym rozdziałom Projektu autor zarzuca brak ścisłości i jasności sformułowań, co mogłoby pociągnąć za sobą dowolność interpretacyj i nadużycia. Ważniejszym jest jeszcze zarzut, że Projekt nie liczy się z ogólnemi zasadami wszelkiej umowy, jakie płyną z samej natury rzeczy, a znalazły jeszcze sformułowanie w Kodeksie prawa kanonicznego, jak naprz. gdy braki istotne w samym akcie zawarcia małżeństwa rozpatruje nie jako przeszkody, które czynią małżeństwo od początku nieważnem, ale jako powody unieważnienia, lub rozwodu. Wylicza także autor niezgodności między Projektem a prawem kościelnem co do przeszkód, wynikających z samegoż prawa kościelnego, którego Projekt zupełnie nie respektuje.

„Czynności przedwstępne do małżeństwa i ślub" stanowią treść rozdz. IV, napisanego przez ks. Dr. J. Wiślickiego, który jest także redaktorem tej książki zbiorowej (str. 74—103). Autor tutaj uwzględnia nie sam Projekt prawa małżeńskiego, ale także Projekt ustawy o aktach stanu cywilnego. Powiem odrazu, że od spokojnego wykładu w innych pracach tej książki artykuł ks. Dr. Wiślickiego wyróżnia się niekorzystnie patosem, retoryką i pewnemi polemicznemi chwytami. Szkodzą one dowodzeniu autora nawet wtedy, kiedy rzeczowo ma rację, naprz. kiedy mówi o przewidzianych przez Projekt K. K. sankcjach karnych na duchowieństwo. Mówiąc o ślubach cywilnych, jak je proponuje Projekt K. K., autor uważa je słusznie za dowolne, w odróżnieniu od innego naszego autora, o którym będzie mowa niżej. Zwalcza je jednak najkategoryczniej i pono przechyla się do zdania tych autorów, którzy takie dowolne śluby cywilne uważają za zgubniejsze od ślubów cywilnych obowiązkowych. Sądzi także, że u nas — w odróżnieniu od Włoch — śluby cywilne są tylko furtą prowadzącą do rozwodów i nie wyobraża sobie ustawy, któraby wprowadziła śluby cywilne, a nie uznawała rozwodów (str. 88). Autor w poprzedniej książce zbiorowej profesorów lubelskich p. t. „Małżeństwo w świetle nauki katolickiej" przyznał państwu moc wprowadzenia ślubów cywilnych dla bezwyznaniowców, nie tylko tych, co nigdy katolikami nie byli, ale i tych, co

katolicyzm opuścili. W obecnej pracy o tej koncesji niema wzmianki, lecz czytelnik nie wie czy autor zmienił pod tym względem zdanie, czy też pozostaje przy poprzedniem zdaniu, tylko go nie wypowiada. Wogóle w swojej obecnej pracy ks. Dr. Wiślicki zajmuje się tylko sprawą małżeństw katolickich, jakkolwiek należało się spodziewać, że winien dotknąć i małżeństw innych, gdyż przedmiotem książki miała być krytyka Projektu K. K., a ten ustanawia normy dla wszystkich wyznań. Z pracy ks. W. prawodawca-katolik nie dowiedziałby się, czy mu wolno przykładać rękę do wprowadzenia ślubów przed urzędnikiem świeckim dla protestantów i żydów, czy też ma kruszyć kopję o „prawa" pastorów i rabinów. Wreszcie obawiamy się, że końcowe stronice rozdziału, omawiające sposób cytowania dokumentów przez prof. Lutostańskiego, dostarczą temu ostatniemu okazji do łatwej repliki. Żeby poprzestać na jednym przykładzie nieścisłości czy niedomówienia, autor na str. 101 twierdzi, że konkordat włoski nie domaga się od narzeczonych zaświadczenia braku przeszkód, wystawionego przez urzędnika stanu cywilnego, kiedy się stawiają przed proboszczem dla zawarcia małżeństwa, czego się u nas domaga Projekt K. K. Otóż prawda, że w samym konkordacie niema o tem mowy, ale rozwinięciem konkordatu jest z jednej strony nowela do prawa cywilnego z dn. 27 maja 1929 r., z drugiej strony Instrukcja Św. Kongregacji Sakramentów z dnia 1 lipca 1929, a teksty obu tych źródeł, mianowicie art. 7 noweli i art. 20 Instrukcji, przewidują właśnie takie zaświadczenie.

W rozdz. V „obowiązki, wynikające z małżeństwa" omawia ks. Dr. J. Lenart (str. 104—111). Znajdujemy tu krótkie zestawienie Projektu z Kodeksem prawa kanonicznego, z zaznaczeniem rozbieżności między niemi — ostatecznie bez zasadniczego znaczenia.

Ks. Dr. P. Kałwa, w rozdziałach VI i VII, omawia unieważnienie małżeństwa, rozłączenia i rozwody, przewidziane przez Projekt K. K. Znajdujemy tutaj drobiazgową a sumienną analizę odnośnych rozdziałów projektu w zestawieniu z prawem kanonicznem. Cennem jest stwierdzenie różnicy pojęcia „unieważnienia" w projekcie a w kodeksie: w pierwszym wyrok sądowy nosi cechy wyroku „konstytutywnego", podczas gdy w kodeksie, zgodnie z prawem natury, jest on tylko wyrokiem „deklaratoryjnym". W sprawie rozwodów autor słusznie powołuje się (na str. 141) nietylko na prawo Kościoła, lecz także prawo naturalne i boskie pozytywne, wykluczające rozwody. Szkoda tylko, że autor nie wyprowadził wyraźnego wniosku o niedopuszczalności rozwodów w prawie państwowem dla wszystkich wogóle małżeństw.

3. Asocjacja miejsca każe nam wspomnieć tutaj o ankiecie w sprawie projektu prawa małżeńskiego, rozpisanej przez redakcję lubelskiego miesięcznika *Prąd*. Dotychczas (do czerwca 1932 r. włącznie) zostały ogłoszone odpowiedzi O. Balzera, L. Pinińskiego,

P. Dunin-Borkowskiego, E. Dubanowicza i O. Haleckiego. Każdy z tych uczestników ankiety występuje negatywnie przeciwko Projektowi, nie wszystkie jednak zapatrywania ich zgadzają się między sobą, a niektóre nawet trzeba zakwestjonować ze stanowiska nauki katolickiej. Prof. O. Balzer wypowiada się przeciwko rozwodom, wnikliwie i subtelnie analizując ich szkodliwość, ale niespodziewanie dochodzi do wniosku: „zakaz rozwodów co do małżeństw katolickich, a dopuszczalność ich co do małżeństw innowierców". Naszem zdaniem jest to nielogiczne, jeżeli bowiem przeciwko rozwodom przytacza się argumenty rozumowe, to obowiązują one niezależnie od wyznania. P. Dunin-Borkowski zwraca uwagę na negatywne stanowisko socjalistów Proudhona i Sorela względem rozwodów, tudzież na opinję publiczną w Anglji, nie tolerującą na wysokich stanowiskach ludzi, których życie rodzinne nie byłoby nienaganne. Prof. E. Dubanowicz nie wnosi do dyskusji nic interesującego, przyznając się, że nie posiada przed sobą Projektu K. K. i ocenia go tylko na podstawie wiadomości z prasy. Prof. O. Halecki krótko, rzeczowo i stanowczo wypowiada się, że Projekt K. K., jako zapowiadający rozwody, jest u nas nie do przyjęcia. Obszerniej rozpisał się prof. L. Piniński, wypowiadając się naogół przeciwko rozwodom i ślubom cywilnym; śluby takie jednak dopuszcza dla osób, nie należących do żadnego wyznania, rozwody także dla innowierców, a co najważniejsza wypowiada się za kompetencją sądów świeckich w sprawach małżeńskich, nie wyjmując katolików, gdyż wyłączenie małżeństw katolickich z ogólnych norm, zdaniem jego, „pozostawałoby w sprzeczności z uznanem konstytucyjnie równouprawnieniem wyznań". W kwestji ślubów cywilnych, na wypadek że musiałyby być wprowadzone, jest raczej za ślubami cywilnemi obowiązkowemi, niż fakultatywnemi, jednak „gdyby u nas wprowadzono, tak jak we Włoszech, ogólną niedopuszczalność rozwodów, to możnaby się i tu zgodzić na fakultatywne śluby cywilne". Dodaje jednak: „Nie mamy zresztą doniosłego powodu do tego, by wykluczać rozwody także w odniesieniu do tych wyznań religijnych, które na rozwody zezwalają". Jak widzimy, względy prawa naturalnego, przytaczane przez innych autorów, ba, przez encykliki papieskie, nie stanowią w oczach prof. P. „doniosłego powodu". Prof. P. jest przeciw tworzeniu osobnych urzędów stanu cywilnego. Wielkie zastrzeżenia musi wzbudzić pobłażliwe stanowisko autora względem „regulacji urodzin", chociaż wypowiada się przeciwko takim małżeńskim związkom, które zgóry zastrzegałyby sobie bezpłodność. U prof. P. spostrzegamy pewne braki w znajomości katolickiej nauki, a za to zbytnie przywiązanie do form prawnych, jakie w b. Galicji wytworzyło prawodawstwo austrjackie.

4. Praca ks. Dr. Biskupskiego dzieli się na trzy części: w pierwszej streszczony został Projekt K. K., w drugiej zesta-

wiony tekst z nauki katolickiej o małżeństwie, wyjęte z enuncjacyj papieży, z konkordatów, z Ojców Kościoła i t. d., wreszcie w trzeciej jest mowa o katolickiej opinji w Polsce wobec nowego Projektu. Jak autor potraktował swój przedmiot? Musimy powiedzieć, że w książce ks. Biskupskiego otrzymujemy nie wyczerpujący i równomierny traktat naukowy, ale broszurę przedewszystkiem polemiczną i to z niedostatkami, jakie często są właściwe tego rodzaju publikacjom. Cel, który im przyświeca, nie tyle polega na tem, by rzecz przedstawić ściśle, lecz raczej, by przeciwnika jak najgłębiej pogrążyć. Pomaga do tego patos, oburzenie, niekiedy nieścisłość, wszystko oczywiście użyte w jak najświętszym celu. Inna rzecz, czy naprawdę ten cel się osiąga, osiąga się wszakże napewno subjektywne przekonanie o tem.

Ramy zbiorowej recenzji nie pozwalają nam na szczegółowe omówienie książki ks. Dr. Biskupskiego, ograniczamy się tylko do zaznaczenia kilku charakterystycznych z niej szczegółów. W odróżnieniu od wielu autorów, którzy w Projekcie K. K. widzą śluby cywilne fakultatywne, nasz autor uważa je za przymusowe, tylko zręcznie osłonięte pozorami fakultatywności. W tym celu konstruuje pojęcie „dowolnych ślubów", które według niego polegałyby nie na samym fakcie wyboru przed kim małżeństwo się chce zawrzeć, ale także na wyborze systematu prawnego, według którego ślub byłby zawierany. Autor sądzi, że w projektowanem prawie takiego wyboru niema, że duszpasterz musiałby się stosować do prawa świeckiego, że punkt ciężkości przesunięty został z momentu ślubu na czynności przedwstępne i następcze i t. d. Sądzimy, że na podstawie tych rozumowań także śluby kościelne we Włoszech należałoby uznać za śluby tylko pozornie fakultatywne, bo i tam czynności przedwstępne załatwiane są obowiązkowo w urzędzie świeckim, duszpasterz obowiązany jest nowożeńcom odczytywać paragrafy prawa cywilnego, tamtejszy „akt" ślubu, jak w Projekcie K. K. „protokół", nie sam przez się posiada znaczenie dowodowe, lecz dopiero po rejestracji w urzędzie stanu cywilnego. Oczywiście ustawa włoska nie zabrania duszpasterzowi uzupełniać tę procedurę wszystkiemi ostrożnościami, przewidzianemi w prawie kościelnem i stosować się do tego prawa, lub odmówić ślubu, gdyby uprawnienia cywilne i kościelne rozbiegły się w jakimś wypadku, — ale nie zabrania tego wszystkiego także Projekt K. K.

Mówiąc o separacji i rozwodzie według Projektu K. K., autor twierdzi, że separacja ma byt jeno wstępem i stanem przejściowym do rozwodu (str. 34). Z wyrazu „jeno" wynikałoby, że po każdej separacji musi nastąpić rozwód, co nie jest ścisłem. Na str. 49 do twierdzenia, że władza nad instytucją małżeństwa należy wyłącznie do Kościoła, należało dodać dla jasności, że to się odnosi do małżeństw chrześcijan. Na str. 60 powiedziano, że w sprawie „formy małżeńskiej" (zapewne formy zawarcia mał-

żeństwa) Kościół „zrzeka się swej władzy" w stosunku do „chrześcijan niekatolików i bezwyznaniowców". Takie brzmienie jest zbyt ogólne, bo jak wynika z przytoczonego zaraz kan. 1099 § 1 nie zrzeka się Kościół tej władzy względem tych niekatolików i bezwyznaniowców, którzy uprzednio byli katolikami. W związku z tem trzeba zakwestjonować także twierdzenia autora, jakoby Kościół „tolerował niekatolicką formę ślubu nawet u tych, którzy dobrowolnie odpadli od niego, zrywając wszelkie z nim węzły i albo przystąpili potem do innego związku religijnego, albo pozostali bezwyznaniowcami" (str. 61). Zdanie to powtórzył ks. Biskupski za ks. Wiślickim, który wszakże w najnowszej swej pracy, jak widzieliśmy wyżej, już tego zdania nie powtarza. Nie wiemy, co autor rozumie tu przez „tolerancję" Kościoła. Jeśli uznanie ślubów cywilnych tej kategorji osób albo wziętych przed duchownym innego wyznania za ważne, to się rozmija widocznie z § 1 kan. 1099 Kodeksu, który sam tylko co przytoczył. W swoim czasie, by ułatwić Ks. B. wyjście z tej trudności, podsuwałem inne pojęcie „tolerancji" Kościoła w tym wypadku (t. j. powstrzymanie się od potępienia tych prawodawców, którzy w tym wypadku rozminą się z Kodeksem prawa kan.), szan. autor wszakże na to rozróżnienie pozostał głuchy, gdyż przyjęcie jego utrudniłoby mu polemikę ze mną. Może raczy wyjaśnić jak on sam ową „tolerancję" Kościoła rozumie, o której na str. 61 (i na str. 64) zapewnia. Na str. 65 spotykamy się z niedokładnym przekładem konkordatu litewskiego: francuskie „par là même", t. j. „tem samem" autor przetłumaczył: „na zasadzie tego artykułu". Poza tem mylnie komentuje art. 15 owego konkordatu, sądząc, że możliwość formy cywilnej pozostaje według niego tylko dla osób, „które dla jakichś powodów znalazły się poza Kościołem". Rzeczony artykuł, podobnie jak analogiczny artykuł konkordatu włoskiego, pozostawia — dzięki przemilczeniu pewnemu — możność korzystania z ślubów cywilnych nawet katolikom, oczywiście nie uznając takich ślubów za ważne. — Wiązanie na str. 75 wielkiej rozrodczości narodu z absolutnem wykluczeniem rozwodów jest za ryzykowne. Na str. 83—85 nierozerwalność małżeństwa autor wciąż łączy z sakramentalnością i mówi tylko o małżeństwie chrześcijańskiem; tymczasem nierozerwalność wypływa już z samego prawa natury i winna być cechą małżeństw nawet niechrześcijańskich.

Ks. Dr. Biskupski w ostatniej części swej książki uważa za potrzebne wznowić prowadzoną przed dwoma laty polemikę ze mną. Moje artykuły w sprawie prawodawstwa małżeńskiego uważa za „rysę" w jednolitości katolickiej opinji. Wywody moje „mimo pozorów prawidłowości" uważa za niesłuszne, formuły moje za „mgliste i kompromisowe". Sądzi, że ja sam swoje stanowisko uznałem za niesłuszne w oświadczeniu, złożonem prasie. Sugeruje mi (str. 94) jakobym utrzymywał, że Kościół swym członkom,

przynajmniej milcząco, daje swobodę zawierania ślubów cywilnych i t. d. Po nieudałej poprzedniej próbie dojścia do porozumienia z ks. B. nie mam ochoty ponawiać takiej próby. O swojem „oświadczeniu w prasie", o jego znaczeniu, pisałem osobno w marcowym zeszycie *Przeglądu*, a o genezie tego oświadczenia może ks. B. coś wie; nie odwoływałem w niem żadnych błędów doktrynalnych, bo ich nie byłem świadom. Każdego, kto chce znać moje zapatrywania, proszę o jedno tylko, by czytał moje artykuły, a nie ich zniekształcanie w polemicznych wystąpieniach innych autorów. Takiego zniekształcenia dopuszcza się ks. B., gdy rzecz tak przedstawia, jakobym twierdził o zgodzie (choćby milczącej) ze strony Kościoła na śluby cywilne swych członków, podczas gdy ja zawsze z całym naciskiem powtarzałem, że takich ślubów Kościół nie uzna za ważne, że karami kościelnemi tak postępujących może okładać; szedłem dalej nawet, niż Ks. B. i Ks. Wiślicki, gdyż wyraźnie akcentowałem, w zgodzie z prawem kanonicznem, że te rygory odnoszą się także do odstępców od Kościoła. Chodziło o co innego, co się Ks. B. wydaje „mglistem" i „kompromisowem", a co jest hipotetyczną konsekwencją stanowiska samego Ks. B. wobec ślubów cywilnych „zarejestrowanych bezwyznaniowców".

Swój pozytywny program ujmuje ks. B. na str. 104 w sześć tez, na których mogłoby się, jego zdaniem, opierać przyszłe prawo małżeńskie w Polsce. Tezy te nie są jednak kompletne, pomijają bowiem kwestję, czy ze stanowiska katolickiego można lub nie można zgodzić się na rozwody niekatolików. A to kwestja przecież ważna dla katolickich członków K. K. i ciał prawodawczych. Nadto zauważyć trzeba, że teza piąta, o ile chodzi o bezwyznaniowców, którzy przedtem byli katolikami, odchyla się od kan. 1099 Kodeksu prawa kan.

5. Wszystkie omówione dotąd prace pochodziły od bezwzględnych przeciwników Projektu K. K., książka prof. St. Gołąba ma inny charakter i cel. Autor w pewnem stadjum prac podkomisji brał w nich udział, jest więc dobrze o ich przebiegu poinformowany; Projekt więc K. K. rozpatruje w jego „stawaniu się", począwszy od r. 1920. W uwagach wstępnych omawia metodologiczne zasady pracy kodyfikacyjnej. Projektowane prawo osobiste małżeńskie rozpatruje łącznie z projektem majątkowego prawa małżeńskiego, któremu poświęca prawie połowę swej książki (rozdz. III). Względem przyjętego ostatecznie Projektu zajmuje naogół stanowisko obrońcy, w pewnych jednak szczegółach nie szczędzi mu krytyki. Uwidocznia to się w *votum separatum*, jakie autor złożył co do kilku ważnych punktów. Z przebiegu prac podkomisji przekonywujemy się, że nie było w niej takiej jednomyślności i zmowy przeciwko Kościołowi, jaką niektórzy upatrują: ścierały się tam ostro zdania i projekt wyszedł ostatecznie jako dzieło kompromisu, chociaż decydujące

piętno wycisnął na nim prof. Lutostański. Dowiadujemy się, że dowolność ślubów kościelnych albo cywilnych była przyjęta już w „Zasadach", przedstawionych w roku 1920 przez ś. p. prof. Wł. L. Jaworskiego, także rozwody bardzo szeroko pojęte. Śluby fakultatywne, w porównaniu z obowiązkowemi cywilnemi, wydawały się wówczas wielkim postępem nawet szan. prof. Abrahamowi (str. 24). Tenże członek komisji sądził, że dopuszczalność rozwodów powinna być wzięta w rachubę, „gdzie tego dobro publiczne wymaga" (str. 25). Prof. J. Brzeziński bronił stanowiska katolickiego, atoli i on dopuszczał możliwość rozwodów dla niekatolików (str. 26). Natomiast rozwody t. zw. dobrowolne, t. j. za zgodą obu stron, wykluczono wówczas znaczną większością głosów (str. 28).

Najciekawszemi dla nas są rozdziały IV i V książki, omawiające Projekt z r. 1929. W rozdziale IV (str. 87—108) po streszczeniu Projektu autor rozpatruje „zarzuty i wnioski". Usiłuje odeprzeć zarzut, jakoby Projekt był najbliższy ustawie Rosji Sowieckiej. Tu można się zgodzić z autorem, że między ustawą rosyjską a Projektem są wielkie jeszcze różnice, ale trzeba się obawiać, że skoro państwu przyzna się nieograniczone prawo legiferowania w tej dziedzinie, to się wstąpi na drogę, która łatwo może do bolszewickiej ustawy doprowadzić. Następnie autor omawia encyklikę *Casti connubii* i orędzie naszego Episkopatu. Zaprzecza, by Projekt K. K. wprowadzał małżeństwa na próbę, jak mu się zarzuca. Tutaj o tyle ma słuszność, że określenie „małżeństwa na próbę", dane przez Dra Urbantschitscha, jest obce naszemu Projektowi; mimo to przewidując rozłączenie, zamienialne na rozwód, bezdzietnych małżeństw za wspólną zgodą bez podawania powodów — naprawdę Projekt wprowadza faktycznie próbne małżeństwa. Omawiając konkordat włoski, prof. G. wyraził się, że on „wprowadza" fakultatywne śluby cywilne; może ściślejszem byłoby powiedzenie, że on zniósł obowiązkowość ślubów cywilnych, jaka przedtem istniała. Omawiając pewien artykuł anonimowy w *Ateneum Kapłańskiem*, prof. Gołąb prostuje niektóre zawarte w nim „fałsze", jak naprz. ten jakoby ważność kościelnemu małżeństwu według Projektu K. K. nadawało dopiero „zatwierdzenie" go przez państwo, i t. p. Wogóle skarży się na niepoważne prowadzenie polemiki przez niektórych obrońców stanowiska katolickiego.

W rozdz. V-tym (str. 107—135) wypowiada swoje własne uwagi *de lege ferenda*. Broni zdania, że Projekt nie jest niedopuszczalny ze stanowiska Konstytucji lub Konkordatu, wypowiada się za fakultatywnością formy zawarcia małżeństwa, nie widzi możności uniknięcia rozwodów, ale jest przeciwnikiem mieszania rozłączenia z rozwodem i zamienialności pierwszego na drugi, tudzież rozwodów za obopólną zgodą bez podania powodów. Ilość przyczyn rozłączenia, przewidzianych w Projekcie, uważa za

„rażąco wielką", sądzi jednak, że niebezpieczeństwo nadużyć łagodzi klauzula o „trwałym rozkładzie pożycia małżonków" i o dobru dzieci. W toku prac podkomisji autor składał wniosek, by małżeństwa zawarte w kościele podlegały w kwestji unieważnienia, rozłączenia i rozwodów prawodawstwu kościelnemu odnośnego wyznania — byłaby to fakultatywność „rozszerzona", wniosek ten jednak większością głosów został odrzucony. Prof. Gołąb występował także, bezskutecznie, przeciwko przymusowi dopełniania przedwstępnych czynności koniecznie przed urzędnikiem stanu cywilnego, proponując i tutaj możność wyboru; żądał nadto, by właściwy akt zawarcia małżeństwa mógł być spisywanym przez duchownego, z obowiązkiem przesłania go tylko do urzędu stanu cywilnego. Odrzucenie tych wniosków i „nawskroś etatystyczne ujęcie Projektu jest wyrazem manji wielkości państwowej" (str. 116).

Nie będziemy cytowali wszystkich trafnych uwag prof. G. o Projekcie. W jednem miejscu (str. 110) autor reflektuje Boya-Żeleńskiego w jego wystąpieniach przeciwko sądownictwu kościelnemu, jakby sądy cywilne były zabezpieczone przed nadużyciami. Streszczając się, powiemy krótko, że aczkolwiek ze stanowiska kościelnego nie na wszystkie zdania prof. Gołąba można się zgodzić, to jednak jego książka wnosi wiele światła do zagadnienia kodyfikacji prawa małżeńskiego i jako taka zasługuje na to, by była studjowaną przez publicystów katolickich, zabierających głos w tej sprawie.

Ks. J. Urban.

Tadeusz Sinko: Literatura grecka, Tom I część 1, Literatura archaiczna (w. IX—VI). Nakładem Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków, str. V+412.

Publiczną tajemnicą wśród filologów polskich od szeregu lat było, że profesor Tadeusz Sinko da nam historję literatury greckiej, i czekaliśmy na spełnienie obietnicy z niecierpliwością, jak przed laty na literaturę rzymską prof. Kazimierza Morawskiego. I oto słowo zaczyna przyoblekać się w realne kształty. Na półkach księgarskich ukazała się pierwsza część pierwszego tomu tej literatury, obejmująca epokę archaiczną, a część druga, nierównie obszerniejsza, omawiająca czasy klasyczne, już gotowa, niebawem będzie w świat puszczona. [1]) Jest to owoc wieloletniej, niezwykle intensywnej i bogatej w skutki pracy krakowskiego filologa-profesora, owoc najzupełniej dojrzały i piękny, wyhodowany nietylko na najlepszych przyprawach, jakie wymyśliły wiekowe studja największych badaczy, ale także przez znakomitego znawcę i artystę ogrodnika. Bo Sinko zna i cudze dorobki, aż dziw

[1]) W czasie między napisaniem tego sprawozdania a jego wydrukowaniem już się to stało. *Przyp. Redakcji.*

bierze, kiedy miał czas je zgłębić, jako też sam ma o każdem zagadnieniu niemało od siebie do powiedzenia, a do przedmiotu zawsze odnosi się z szczerem umiłowaniem. „Literatura grecka" to pamiętnik jego przeżyć naukowych i obcowania z antykiem helleńskim, sprawozdanie z lektur i rozmyślań nad niemi. „W wykładach uniwersyteckich", — pisze we Wstępie — „prowadzonych od r. 1904, przedstawiałem monograficznie wszystkich ważniejszych przedstawicieli literatury nadobnej od Homera do Nonnosa. Ale przedewszystkiem szukałem śladów literatury greckiej w literaturach nowoczesnych, zwłaszcza w polskiej. Podręcznik, w którymby prócz wyników obcych badań przyszły do głosu także zdobycze filologów polskich; podręcznik, w którymby równą wagę, jak do życia doczesnego, przywiązywało się do życia pogrobowego każdego autora, od dwudziestu pięciu lat był ujściem moich zainteresowań i badań."

Życzyć też wypada książce i jej twórcy jak najliczniejszych czytelników, nietylko z pośród zawodowych filologów, którzy dzieło przyjęli z prawdziwym zapałem, ale także tych mnogich rzesz ludzi oświeconych, którzy wiedzą o błogosławionym wpływie znajomości antyku na kulturę, słyszeli o nim jako źródle wiedzy wielorakiej, ale sami o tem bliżej przekonać się nie znaleźli możności. To poznanie obiecuje dać autor i daje rzeczywiście, poczytując sobie je za główne swe zadanie: „Tak znajomość życia pośmiertnego autorów starożytnych, znajomość kapitału, jaki wnieśli do kultury europejskiej, i dzisiejszych procentów od tego kapitału musi być podstawą planu naszej historji kultury greckiej, byśmy autorom największym mogli w niej najwięcej poświęcić miejsca, a który był mniej produktywny po śmierci, mniej się nim zajmowali."

W myśl powyższego założenia najobszerniej potraktował autor Iljadę i Odysseę. Nic w tem zresztą dziwnego, wszakże Sinko jest tu nietylko referentem mnogiej literatury, jaka powstała w związku z zagadnieniami Homeryckiemi, ale także dobrze zapisanym jej współpracownikiem. Przynależy do obozu unitarystów, dzielnie kruszy kopje i skutecznie — mam wrażenie — w obronie jednolitości obu eposów, przeciwko pluralistom, t. j. tym wszystkim, począwszy od Wolfa czy wcześniejszego d'Aubignac'a, a skończywszy na Wilamowitzu, którzy uważają je za zlepek różnych utworów, tak czy owak w całość złączonych. Świetne analizy działają na czytelnika naprawdę sugestywnie, bo autor w to, co pisze, wierzy święcie. „Ta architektonika," — pisze o Iljadzie — „polegająca na symetrycznem rozłożeniu materjału w całości i również symetrycznem ugrupowaniu go w szczegółach, świadczy nie tyle o pracy według planu zgóry ułożonego, ile o szczęśliwym instynkcie, towarzyszącym genjuszowi najbardziej wtedy — gdy tworzy nieświadomie, prawie improwizuje." A o Odyssei: „Wszystko tu zaokrąglone, doprowadzone do końca..., nic nie pozostało

bez rozstrzygnięcia: los Odysa, jego wiernych i jego nieprzyjaciół. Jednolitości przedmiotu (mąż wielebywały) i treści (powrót do żony) odpowiada jednolitość przedstawienia." Daleki jest jednak od skrajności. Broniąc tezy jednolitości, nie twierdzi bynajmniej, by Iljada i Odyssea były płodem tego samego twórcy. Powstanie jednej i drugiej przedzielone jest dłuższym okresem czasu, bo gdy Odyssea na swe narodziny wyznacza lata około 750, Iljada o jaki wiek od niej musi być starsza. Niejedno kryterjum na tę różnicę wieku wskazuje. Silnie też stoi autor przy zapatrywaniu na dworski charakter eposów, a przeciw zaliczaniu ich do poezji ludowej. Bogaty w treść, z której w tem krótkiem sprawozdaniu nie sposób mi zdać sprawę nawet w przybliżeniu, traktat o Homerze, zamyka rozdział „Pośmiertne losy Homera" z końcowym paragrafem „Homer u nowożytnych."

Po rozdziale VIII, który ma za przedmiot niezachowane utwory t. zw. Cyklu epicznego, i IX „Hymny, fraszki, bajki" przyszła kolej na Hezjoda, nazywanego pierwszą uchwytną osobistością w literaturze greckiej, dlatego że w dziele „Roboty i dnie" podaje kilka personaljów. W kwestji Hezjodowej w odniesieniu do Teogonji, podobnie jak przy Homerze, staje Sinko na stanowisku zdecydowanie unitarystycznem i uważa, że „cała Teogonja jest jednym wielkim hymnem, skomponowanym w tym samym stylu epizodycznym, który poznaliśmy z wielkich hymnów Homeryckich." Unitarystą jest również w ocenie najbardziej osobistego dzieła poety „Robót i dni," z tem że „Dnie" uważa za przyczepkę starą, ale nie Hezjodową. Niezachowany „Katalog niewiast" poczytuje za utwór Hezjoda i za identyczny z „Eojami," odróżnia od niego natomiast „Wielkie Eoje." „Tarcza" budzi bardzo poważne wątpliwości co do autentyczności. Potem mowa jest o języku, stylu i technice Hezjoda, i znowu na zakończenie „Hezjod u potomnych."

Na tle przewrotu ekonomicznego, politycznego i religijnego w. VII, demonicznym przez Joela nazwanego, charakteryzuje zkolei autor lirykę grecką, od ludowej pieśni poprzez Archilocha, który „był takim samym twórcą i prawodawcą w zakresie jambu i liryki, jak Homer w epice," Semonidesa z Samos, elegików jońskich, muzykę i pieśń u Dorów VII w., mellkę lesbijską (Alceusz i Safona) i jońską (Anakreont), schyłkowych jambografów, do poezji mistycznej VII i VI w. — Rozdział XXI poświęcony jest pierwszym prozaikom greckim, a następny najstarszym filozofom jońskim. „Zwiastunami nowych czasów" nazwał autor Ksenofanesa z Kolofonu, Heraklita z Efezu, Hekatajosa z Miletu, tudzież drobniejszych logografów jońskich.

Omówiwszy potem gnomików Teognisa, Demodokosa i Focylidesa, zajął się w długim i wyczerpującym wykładzie — jak na to zasługuje — „reakcjonistą" Pindarem. „Pindar z Teb" — czytamy — „wymaga w historji literatury greckiej wysunięcia przed

starszego współzawodnika, Symonidesa z Kos, jako ostatni wyraziciel i obrońca ginącego świata arystokratycznego i jako ostatni wielki przedstawiciel poezji poza Atenami." Był to poeta religji i sportu, dwóch napozór bardzo różnorodnych czynników twórczości, ale nie w starożytnej Helladzie, gdzie igrzyska były instytucjami boskiemi i stanowiły część nabożeństwa na cześć rozmaitych bóstw. Autor podkreśla pobożność Pindara, jego szczególny kult dla Apollina Delfickiego, etykę staroświeckiego szlachcica, pogląd na świat ujęty w formułę konserwatyzmu o odcieniu reakcyjnym. „Bo jak jońskie oświecenie żadnym promieniem nie rozjaśniło jego beockiej głowy, tak idee demokratyczne nie znalazły przystępu do jego szlacheckiego serca. Na nieszczęście swe nie dał się też owionąć tchnieniu greckiego patrjotyzmu, wykrzesanego niebezpieczeństwem perskiem." Pindar był poetą urodzonym, nigdy jednak nie czuł się prorokiem, ale tylko kapłanem Muz, przemawiającym do tych, którzy pieśń u niego zamówili. Prorocy tymczasem nie uprawiają kaznodziejstwa na zamówienie. „Epinikia Pindara są kantatami okolicznościowemi na cześć zwycięzców sportowych, są ich pochwałami, komponowanemi według obowiązujących tradycyj, według konwenansu". Poeta jednak w tem ograniczeniu konwenansem potrafił okazać się mistrzem i zyskać słuszną rangę najznakomitszego liryka chóralnego. O tem pisze Sinko w dalszym ciągu, odkrywając przed nami indywidualne oblicze Pindara. Następuje opis pośmiertnych losów poety i przegląd nowożytnych jego naśladowców, wśród których nie brak także nazwisk Polaków, jak Szymonowicza, Jana Kochanowskiego, Kniaźnina i i.

Krótko już tylko co do reszty zaznaczam, że w dalszej części książki jest mowa o jońskich współzawodnikach Pindara z w. V, Symonidesie z Kos i Bakchylidesie, o filozofach „italskich" z w. VI/V, oraz dramacie sycylijskim. Obfitą w treść — jak żadna inna na świecie — literaturę prof. Sinki, skreśloną w sposób niezwykle żywy i w pięknej, nierzadko kwiecistej polszczyźnie, zamyka rozdział „Oblicze literatury archaicznej," będący świetną syntezą, na jaką mało który uczony i mało które pióro może się zdobyć.

Dr. Stanisław Skimina.

Carl Rahn: Nauka i życie religijne. Studjum psycho-fizjologiczne. Z oryginału angielskiego tłum. Władysław Okiński. Przedmowę napisał Dr. St. Błachowski, Prof. U. Poznańskiego. Poznań 1932, str. XV+174.

Nie jest to rzeczą przypadku, że psychologja religji powstała w Ameryce Półn., która jest duchową ojczyzną współczesnego typu człowieka o technicznej, zracjonalizowanej kulturze i doczesnem nastawieniu życiowem. Myśl europejska zajmowała

się przedewszystkiem stroną ideową przejawów religijnych, natomiast psycha amerykańska, wrażliwa na stronę zjawiskową rzeczywistości, a wykazująca tak mało „czucia metafizycznego", przywykła patrzeć na życie religijne jako na pewne formy zjawiskowe i stosować do nich kryterja empiryczne. Taka postawa kryła w sobie niebezpieczeństwo jednostronnej, naturalistycznej oceny faktów religijnych. Zaznacza się ona już u pewnych psychologów religji, jak u James'a, Leuby, ale najwyraźniej występuje u niektórych współczesnych pisarzy, jak Coe, Pratt, Stratton i inni.

Praca Rahna, jaka ostatnio ukazała się w tłumaczeniu polskiem, daje wgląd w ducha tych prądów naturalistycznych, nurtujących we współczesnej amerykańskiej psychologji religji.

Autor w ten sposób wyobraża sobie powstanie przeżyć religijnych. Procesy chemiczne ciała ludzkiego nagromadzają pewną ilość energji, która wyładowuje się nietylko w swej pierwotnej formie fizycznej, ale przyobleka się w kształty obrazów, uczuć, myśli i innych aktów psychicznych (21—23). Ideologja człowieka ma więc podłoże fizjologiczne i ulega zmianom w zależności od przeobrażeń strukturalnych i funkcjonalnych typu ludzkiego w ciągu wieków. W procesach fizjologicznych komórek organizmu należy również szukać wytłumaczenia życia społecznego, ustroju państwa, kryzysu kultury i t. p. (58, 62).

Maszyna organizmu ludzkiego nie zawsze funkcjonuje normalnie. Czasami energje nagromadzone zostają otamowane i nie mogąc się wyładować, wzajemnie się wyczerpują i wyniszczają. Ten stan jest początkiem przeżyć religijnych. Odpowiednikiem psychicznym tej depresji fizjologicznej są takie uczucia, jak zniechęcenie, znudzenie, oczekiwanie, tęsknota, lęk i t. p. (105—112). Organizm nastawiony jest na wybuchową reakcję, a psychika — na nadzieję i radość (115).

Równolegle z odnowieniem organizmu, jakie następuje wskutek wstrząsu fizjologicznego, towarzyszącego wyładowaniu się energij witalnych, powstaje skupienie uwagi — jako refleks przemian cielesnych (125—130). Odpowiadające temu chwilowemu nastrojowi treści poznawcze występują w świadomości z niezwykłą siłą i organizują wokół siebie pokrewne akty psychiczne. Przymusowość, nieodpartość, a zarazem wyrazistość tych doznań podsuwa myśl o ich wyższem, ponadludzkiem pochodzeniu — przez objawienie religijne. Ich genezy trzeba się jednak doszukiwać w procesach fizjologicznych, które przyoblekając się w kształty obrazów, budzą cały kompleks uczuć, oznaczanych mianem religijnych (137 nn.).

Tajemnica odkupienia, będąca duszą każdej religji, dokonuje się ciągle w formie odradzania się ciała ludzkiego — w przemianach fizjologicznych i w tem nieustannem parciu organizmu ku doskonalszym formom istnienia (174).

Taka jest treść książki Rahna. Nie odbiega ona od tych utartych szlaków, jakiemi kroczyła myśl materjalistyczna od Demokryta i Lukrecjusza do Haeckla i Le Danteca. Naukowy aparat psychologiczny, jakim się autor posługuje, nie zmienia tezy podstawowej, że całe życie duchowe człowieka sprowadza się do przejawów materjalnych.

Światopogląd materjalistyczny nazywany bywa w filozofji prymitywizmem myślowym. Takie uproszczenie rzeczywistości, jest jej zniekształceniem, a zarazem dowodem niewyrobienia i powierzchowności myśli, która niezdolna jest do objęcia całości i ogranicza się do drobnego, zewnętrznego odcinka bytu.

Taki sam prymitywizm myślowy cechuje teorję religji Rahna. Nikt nie zaprzeczy, że przejawom życia religijnego towarzyszą pewne przemiany fizjologiczne i że religja posiada znaczenie biologiczne. Ale doszukiwać się w procesach chemicznych genezy faktów psychicznych, a życie religijne uważać za funkcję reintegracji organizmu — to znaczy przekreślać zasadniczą różnicę pomiędzy materją a przejawami duchowemi. Już pomiędzy elementarnemi aktami czucia a materją zachodzą istotne różnice, które wskazuje na ich odmienną naturę. Świadomość występująca w czuciu, nie da się w żaden sposób sprowadzić do reakcji fizycznej. Wyższe przejawy życia duchowego charakteryzuje coraz wyraźniejsza odrębność ontyczna i uniezależnienie od materji. Bogatego materjału dowodowego dostarczają pod tym względem najnowsze badania psychologiczne. Warto przypomnieć źródłową pracę prof. Girgensohna (*Der seelische Aufbau des religiösen Erlebnis*. Eine religionspsychologische Untersuchung auf experimenteller Grundlage, 2 wyd. Gütersloh 1930), który wiele lat poświęcił badaniu doznań religijnych. Wykazuje on, stosując ścisłą metodę psychologiczną, że duszą przeżyć religijnych są pierwiastki intelektualne. Zmiany cielesne są tylko rezonansem religijnych procesów myślowych, które ponadto w swą służbę wciągają cały aparat psychiczny człowieka, bo posługują się obrazami zmysłowemi i budzą pewne uczucia i nastroje.

Na Zachodzie Europy fala materjalizmu już dawno przepłynęła. W filozofji i nauce panują dziś wrogie materjalizmowi prądy. Polska zwykła się spóźniać, i teorje, które gdzieindziej przebrzmiały, bywają u nas przedstawiane jako ostatnie słowo nauki. To właśnie dotyczy pracy Rahna. Prócz tytułu, nie ma ona z nauką nic wspólnego. Jej twierdzenia są dogmatyczne, aprioryczne i stoją w sprzeczności z psychologją, Gdyby przynajmniej była oryginalna w ujęciu, jak np. „Doświadczenia religijne" James'a, to jeszcze ten wzgląd usprawiedliwiałby jej przekład na język polski. Ale tego nie można o niej powiedzieć. Wyszedłszy ze znanych „pewników materjalistycznych" o pochodzeniu czuć i wyobrażeń z materji, autor dedukuje dalsze wnioski, oświetlając jednostronnie fakty i wykazując całkowite niezrozumienie życia

religijnego. O jego „bezstronności" i „naukowości" można choćby wnosić ze złośliwych, a zarazem pełnych ignorancji wycieczek pod adresem chrześcijaństwa i Kościoła katolickiego (4, 6, 66—68, 162, 166). Czy czasem te ustępy nie zadecydowały o przełożeniu całego dzieła na język polski?

Ks. Dr. J. Pastuszka.

OD REDAKCJI. Do powyższej recenzji, omawiającej książkę C. Rahn'a pod kątem filozofji religji, uważamy za pożyteczne dodać, że książka ta treścią swą wybiega poza te ramy. Autor, występujący jako materjalista, determinista i naturalista, zarzuca wszakże współczesnemu naturalizmowi brak konsekwencji w tem, że uważa ewolucjonizm biologiczny za ukończony w gatunku ludzi, pozostawiając miejsce tylko dla ewolucjonizmu społecznego. Przeciwko temu „finalizmowi biologicznemu" autor stoi na stanowisku możliwości dalszej nieograniczonej ewolucji organizmów ludzkich w kierunku wytworzenia nowego doskonalszego gatunku, tę zaś ewolucję, polegającą ostatecznie na fizjologicznych i chemicznych zmianach, zdaniem autora, sprowadzi należyte ustosunkowanie się do zagadnień wiedzy (otrząśnięcie się z różnych „tabu") oraz wyzyskanie naturalistyczne pewnych postaw, jakie niegdyś dawała religja. Charakterystyczną u autora deterministy jest niekonsekwencja, z jaką żąda świadomego kierowania przez człowieka swojemi procesami biologicznemi. Czy to nie suponuje jakiejś dozy wolnej woli, jakiejś prawdziwej autokreacji? Naogół książka Rahn'a idzie po linji radykalnych usiłowań rosyjskiego komunizmu w kierunku przemiany natury ludzkiej.

Rocznik Krakowski t. XXIII. Kraków 1932, str. 183.

Najświeższy tom tego pięknego wydawnictwa dorównuje swym poprzednikom niezwykle wytworną szatą zewnętrzną, a bogactwem treści nawet je przewyższa. Prawdziwą ozdobę omawianego tomu stanowi rozprawa p. rektora A. Szyszki-Bohusza o średniowiecznym Wawelu, oparta na gruntownem zbadaniu jego starożytnych murów w związku z restauracją tej wspaniałej królewskiej rezydencji. Autor poprawia w dużej mierze dotychczasowe poglądy na rozwój zamku wawelskiego, stawia własne tezy w znacznej części nowe, przeważnie zupełnie pewne lub wysoce prawdopodobne, które też stanowią niemal ostatnie słowo nauki. Do wyników osiągniętych przez Szyszko-Bohusza niewiele będzie można przypuszczalnie dodać, chyba w razie znalezienia nowych źródeł archiwalnych. Okazuje się, że najstarszy zamek romański znajduje się w północno-wschodnim cyplu wzgórza wawelskiego, koło dzisiejszej Kurzej Stopki. Zczasem przestrzeń obwarowań koło zamku rozszerzyła się ku wschodowi, osiągając linję kościółka św. Gereona i rotundy N. P. Marji. W tych granicach powstaje za Kazimierza W. nie całkiem jeszcze zwarty komplet zabudowań gotyckiego zamczyska, który dwa wieki później ulega rozszerzeniu w stronę południowo-wschodnią i gruntownej przebudowie w stylu odrodzenia. Przejrzyste plany ułatwiają znakomicie orjentację.

Poza tem mamy szereg innych interesujących artykułów. St. Tomkowicz daje szczegółowy opis i analizę stylistyczną wieży ratuszowej; temat aktualny ze względu na niedawną restaurację tej jedynej pozostałości po dawnej siedzibie władz miejskich w Krakowie. Obszerne studjum St. Komornickiego o kaplicy Zygmuntowskiej w katedrze na Wawelu przynosi wiele nowych wiadomości, zaczerpniętych głównie z rachunków podskarbińskich, o budowie owej istnej „perły odrodzenia po północnej stronie Alp." Autor ustala chronologję poszczególnych faz budowy, która trwała przeszło 11 lat (1520-1531), nie licząc prac przygotowawczych i późniejszych uzupełnień. Sumienna analiza stylistyczna rzuca nieco światła na indywidualność artystyczną głównego twórcy omawianego arcydzieła, Bartola Berecci'ego z Florencji, oraz jego współpracowników, wśród których spotykamy artystów tej miary, co Giovanni Cini ze Sienny i (zdaje się) Gian Maria Padovano. J. Muczkowski zestawia wszystkie ważniejsze portrety i podobizny Zygmunta Starego, wzięte z współczesnych obrazów, rzeźb, medali, drzeworytów itp., (niektóre reprodukowane po raz pierwszy) i dochodzi do przekonania, że najwierniej oddaje rysy wielkiego króla, ojca naszego renesansu portret, znajdujący się w Galerji X.X. Czartoryskich w Gołuchowie, a przedstawiający króla Zygmunta w sile wieku (około 50 lat). Twórca tego obrazu nie jest znany; autor przypisuje go Hansowi z Kulmbachu.

Prof. Semkowicz poddaje krytycznej analizie wiadomości P. H. Pruszcza podanej w jego „Kleynotach stołecznego miasta Krakowa," jakoby z kościółka św. Salwatora w Krakowie wywieziono starożytny krucyfiks do miejscowości Sirolo we Włoszech. Ponieważ w Sirolo koło Ankony znajdował się istotnie starożytny krucyfiks (dziś przechowywany w sąsiedniej Numascie), stylistycznie odmienny od średniowiecznych typów włoskich podobizn Ukrzyżowanego, przeto informacja Pruszcza może mieć pewne uzasadnienie. Poza tem mamy kronikę konserwatorską oraz recenzje nowych prac i dziejów Krakowa.

M. N.

Kraków w XIX wieku. „Bibljoteka Krakowska" n. 72 i 76. Wydawn. Towarzystwa Miłośników historji i zabytków Krakowa. Tom I str. 248, t. II str. 237.

Najświetniejszą epokę w dziejach naszego miasta stanowiły niewątpliwie czasy Jagiellońskie, kiedy to Kraków był stolicą potężnego mocarstwa, sięgającego swemi dzierżawami bezmała od morza Czarnego aż po sine fale Bałtyku. Z tych świetnych chwil pozostało w naszym grodzie mnóstwo drogich pamiątek historycznych oraz arcydzieł architektury i sztuki plastycznej, które go zdobią i przyciągają doń tłumy swojskich pielgrzymów, a nawet obcych turystów. Z tem wszystkiem jednak epoka Jagiellońska

jest zbyt odległą, aby można było nawiązywać do niej bezpośrednio nić tradycji dziejowej. Chcąc zrozumieć psychikę i charakter dzisiejszego Krakowa, trzeba sięgnąć w czasy bliższe, z których obecne miasto bezpośrednio wyrosło, należy spojrzeć na ten Kraków wczorajszy, jak się kształtował w ciężkiej i smutnej, ale częstokroć hartownej epoce niewoli.

Poznanie tych właśnie nowszych dziejów naszego grodu z doby porozbiorowej ułatwia szerokim warstwom krakowian najnowsze publikacje Towarzystwa Miłośników Historji i Zabytków Krakowa, wydane w dwóch tomach nr. 72 i 76 „Bibljoteki Krakowskiej". p. t. „Kraków w XIX w." Jest to praca zbiorowa, napisana przeważnie przez wybitnych znawców danego przedmiotu. Poprzedza ją artykuł wstępny, prof. St. Estreichera p. t. „Znaczenie Krakowa dla życia narodowego polskiego w ciągu w. XIX". Autor dał w nim poniekąd kwintesencję całego wydawnictwa, podkreślił bowiem wszystkie najistotniejsze momenty w rozwoju zeszłowiecznego Krakowa, jako ośrodka ruchu naukowego, artystyczno-literackiego, religijnego i politycznego, przedstawiając sobie w znakomitym skrócie wpływ Krakowa na całokształt życia polskiego w powyższych dziedzinach. Po tym ogólnym, syntetycznym wstępie idą artykuły bardziej szczegółowe, omawiające poszczególne zagadnienia. Dyr. Chmiel daje krótki, ale zwarty zarys zmian ustrojowych, jakie miasto nasze ośmiokrotnie w okresie 75 lat od pierwszych reform Sejmu czteroletniego w r. 1791 do statutu gminnego z r. 1866, który z małemi zmianami jeszcze dotychczas obowiązuje, nie mogąc się doczekać polskiej ustawy samorządowej. Te częstsze przeobrażenia ustroju miejskiego wywołane były zmiennemi losami politycznemi całego kraju. Stosownie do ogólnych stosunków, widzimy w naszem mieście różne systemy rządów od oligarchji patrycjuszowskiej poprzez rządy wojskowe i obcej biurokracji aż do władz autonomicznych, powstałych z wolnego wyboru obywateli. Przy końcu swej pracy autor zobrazował działalność prezydentów miasta z ostatniego okresu samorządowego aż do prez. Federowicza włącznie. W następnym artykule Dr. Kl. Bąkowski, długoletni syndyk i historjograf m. Krakowa, maluje jego stosunki gospodarcze w ciągu ubiegłego stulecia. Ulegały one poważnym zmianom, smutnie wyglądały w niespokojnych latach doby napoleońskiej, poprawiły się nieco za Rzeczypospolitej, ale dopiero w erze konstytucyjnej zmiana na lepsze uwidacznia się wyraźnie, doprowadzając stopniowo stan miasta do pomyślnego rozkwitu. W czwartym artykule p. Zofja Adamowa Krzyżanowska kreśli obszerne dzieje dobroczynności krakowskiej chrześcijańskiej i żydowskiej, przedstawia powstanie i rozwój rozlicznych towarzystw charytatywnych oraz instytucyj humanitarnych, społecznych i wychowawczych na terenie Krakowa, które przeważnie działają jeszcze obecnie, rysując na powyższem tle sylwetki osób szczególnie za-

służonych na polu miłosierdzia, jak Piotr Michałowski, ks. Siemaszko, Brat Albert, Dr. Henryk Jordan, ks. Marcelina Czartoryska, Adela Dziewicka i t. d. Z opieki nad ubogimi, celowo zorganizowanej, a prowadzonej przy bezinteresownem poświęceniu się licznych wybitnych jednostek, Kraków może być dumnym.

Drugi tom dzieła rozpoczyna się artykułem Dra M. Niwińskiego, poświęconym nauce krakowskiej; daje on krótki zarys historji Uniwersytetu Jagiellońskiego w dobie porozbiorowej, następnie obrazuje działalność różnych organizacyj naukowych krakowskich, głównie Towarzystwa Naukowego, które w r. 1873 przemieniło się na Akademję Umiejętności; dzięki niej Kraków stał się w drugiej poł. XIX w. stolicą duchową całej Polski. Dyr. Kopera przedstawia rozwój sztuki krakowskiej w zeszłem stuleciu. Architektura z powodu małej zamożności społeczeństwa nie miała tu wielkiego pola do popisu poza pracą konserwatorską nad dawnemi zabytkami; dla tych samych przyczyn nie mogła się rozwinąć na większą skalę rzeźba. Natomiast malarstwo, zwłaszcza sztychowe, posiadało dobre warunki i osiągnęło pod koniec XIX w. wysoki stopień rozkwitu, skupiając w Krakowie szereg najwybitniejszych mistrzów pendzla z całej Polski. Mniej wybitną rolę odegrał Kraków zeszłowieczny w dziedzinie literatury, jak stwierdza w swym artykule prof. Sinko. Przez cały niemal przeciąg stulecia przewijają się przez nasze miasto talenty skromne lub bardziej przeciętne (Wasilewski, Bałucki, Anczyc), nie wywierające wielkiego wpływu na ogólny rozwój literatury narodowej. Dopiero „Młoda Polska" z przełomu XIX i XX stulecia (Przybyszewski, Tetmajer, Wyspiański) zaznaczyła silniej swą działalność na polskim Parnasie. Dzieje sceny zeszłowiecznej krakowskiej zobrazował w obszernym artykule Dr. A. Bar. Teatr krakowski zachował charakter narodowy polski, niemal przez cały okres niewoli; niemiecka Muza pomimo wysiłków władz austrjackich nie zdołała zagnieździć się trwale na tutejszych deskach scenicznych. Lokale na przedstawienia teatralne były zrazu zgoła nieodpowiednie, dopiero w r. 1840—1842 Senat Rzeczypospolitej przerobił na powyższy użytek gmach przy placu Szczepańskim (Stary Teatr), który służył krakowskiej Melpomenie aż po r. 1893, kiedy otwarto obecny gmach teatralny. Pod względem artystycznym stała sztuka teatralna w naszem mieście dość nisko przez całą pierwszą połowę ub. wieku za wyjątkiem krótkiego okresu rządów Meciszewskiego (1843—1846), dopiero A. Skorupka i St. Koźmian wznieśli scenę krakowską na wysoki poziom w latach sześćdziesiątych i siedmdziesiątych, a dyrekcja Pawlikowskiego inauguruje najświetniejszy okres w jej dziejach, kiedy teatr krakowski skupił pierwszorzędnych artystów, a dzięki znakomitej wystawie doborowych sztuk literatury rodzimej i obcej umiał krzewić smak i wysoką kulturę teatralną wśród publiczności naszego grodu. Cenne są ustępy, poświęcone dziejom teatru ludo-

wego i „Bagateli", bo stanowią one pierwsze opracowanie tego przedmiotu w literaturze. Również po raz piewszy ujęty został, całokształt muzyki krakowskiej w ub. stuleciu dzięki gruntownemu artykułowi prof. Dra J. Reissa. Za czasów Wolnego Miasta kulturę muzyczną krzewiło Towarzystwo Przyjaciół Muzyki, które pielęgnowało muzykę kościelną i świecką, urządzało koncerty orkiestry symfonicznej, chórów i t. p. Później obowiązki te przeszły nu Szkołę Muzyczną przy Instytucie Technicznym, a wreszcie na założone w r. 1866 Towarzystwo Muzyczne. Poza tem ruch muzyczny w Krakowie zaznaczał się przez koncerty miejscowych i przejezdnych artystów oraz występy opery. Ta ostatnia reprezentowana była przeważnie przez zamiejscowe trupy, przedstawienia operowe dawane własnemi siłami nie stały wysoko poza wcale udatnemi, lecz krótkotrwałemi próbami zorganizowania stałej opery w Krakowie za Meciszewskiego i Skorupki.

Ze studjum całej pracy wyłania się obraz zeszłowiecznego Krakowa, pozwalając rozpoznać rolę, jaką gród podwawelski odegrał w życiu całego narodu w epoce porozbiorowej. Aż do okresu autonomicznego rola powyższa przedstawia się dosyć skromnie, odrobina swobody, jaką miasto cieszyło się za czasów Rzeczypospolitej, mogła mu zapewnić tylko znośny byt, ale nie rozkwit. Dopiero od czasu uzyskania szerokiego samorządu w r. 1866 miasto podnosi się w szybkiem tempie. Wprawdzie pod względem gospodarczym Kraków i teraz jeszcze pozostał w tyle poza innemi głównemi centrami przemysłu i handlu na ziemiach polskich, (Warszawa, Łódź, Lwów, Poznań) ale zato w dziedzinie kulturalnej wybił się stanowczo na pierwszy plan. Pod koniec stulecia zaczyna robić samej Warszawie poważną konkurencję na polu literatury pięknej i teatru, a w zakresie nauk i sztuk plastycznych, zwłaszcza malarstwa, sięga nawet po prymat. Po wojnie w zmienionych warunkach Kraków musiał przeważnie ustąpić pierwszeństwa politycznej stolicy, mimo to zachował tak wielkie skarby i zasoby kulturalne, że ma zapewnione na zawsze jedno z najwybitniejszych miejsc wśród miast polskich.

M. N.

Gustaw Morcinek: Wyrąbany chodnik. Powieść nagrodzona na śląskim konkursie literackim roku 1931. Nakładem księgarni „Dziedzictwo".

Gustaw Morcinek wzbudził w nas duże zaufanie do swego młodego talentu świetnemi nowelami „Serce za tamą," które omawialiśmy swego czasu na łamach *Przeglądu Powszechnego.* Były to żywe, plastyczne, pełne wdzięku i prawdy obrazki z życia śląskiego. Te fragmentaryczne obrazy miały być przygrywką do zapowiedzianej oddawna wielkiej powieści śląskiej.

Powieść ta, która dziś się ukazała p. t. „Wyrąbany chodnik," miała być śląską epopeją, i zdaje się w zamierzeniach autora jego wielkiem dziełem. Czy dotrzymała obietnic zawartych w pierwszych książkach Morcinka i czy spełniła zadanie wielkiej regjonalnej epopei? Odpowiedź trudna.

Jeśli chodzi o dokładność obrazu, o wierny reportaż śląskiego życia i historji ostatnich lat 40-tu, to trudno sobie wyobrazić dzieła bardziej kompletnego i wyczerpującego. Na szkielecie dobrze skonstruowanej fabuły nanizał autor wszystko, co się o Śląsku da powiedzieć. Mamy w tej olbrzymiej 1000 stronnicowej powieści dokładny opis wszystkich rodzajów prac robotnika, robotę w kopalni i hucie, we wszystkich jej gatunkach; mamy wszystkie rodzaje niebezpieczeństw i katastrof kopalnianych, mamy — i to przedewszystkiem — wierny obraz stosunków narodowościowych, politycznych, religijnych i oświatowych na Śląsku austrjackim i niemieckim przed wojną, mamy całą wojnę, wszystkie śląskie powstania, plebiscyty, stosunek do Niemców i Czechów, do Ligi narodów, do Rady ambasadorów i t. d. Mamy ogromną galerję typów (może trochę szablonowo traktowanych), typy Niemców i Czechów, polskich patrjotów i działaczy, polskich renegatów i zdrajców, inżynierów, robotników, księży, nauczycieli.

Mimo tak bogatego materjału, mimo poprawności i żywości rysunku poszczególnych scen, czegoś nam jednak w tej książce brak i musimy otwarcie powiedzieć, że po Morcinku spodziewaliśmy się jeszcze czegoś więcej i że obietnic swoich nie dotrzymał. Odnaleźliśmy Morcinka obserwatora i patrjotę, ale zagubił nam się Morcinek artysta.

Kilkakrotnie już w moich recenzjach zaznaczałam, że powieść ze swojej istoty należy do t. zw. sztuk pięknych i bez założeń artystycznych pomyśleć się nie da. Powieść oparta jedynie na założeniach narodowych i społecznych, choćby najsłuszniejszych, jest zawsze rzeczą chybioną, o ile u jej źródła niema artystycznego przeżycia, przymusu twórczego, czyli tego, co pospolicie nazywamy natchnieniem. Pisarz musi z konieczności spojrzeć na obrany temat nietylko okiem myślącego człowieka, ale i okiem artysty. Jedynie to spojrzenie artysty sprawia, że nam swoją wizję świata i życia narzuca. Artysta musi prawdę życia na swoją wewnętrzną prawdę artystyczną przetworzyć, i dopiero tę nam przedstawić. Doświadczenie wieków zaś uczy nas, że ten proces przetwarzania prawdy życia naprawdę sztuki odbywa się zazwyczaj drogą eliminacji. Artysta wybiera rysy i momenty zasadnicze (te, które się jemu zasadniczemi zdają), resztę pomija. Malarz studjuje wprawdzie anatomję, ale gdyby w portrecie chciał namalować każdą istniejącą w człowieku żyłkę, każdy nerw i ścięgno, to portret jego byłby może anatomicznie prawdziwy, ale artystycznie byłby chybiony, czyli nieprawdziwy.

Artysta, który całą prawdę życia w siebie chłonie, przedstawia nam ją w pewnym skrócie, w pewnym przekroju. Rzeczą jego talentu jest przekrój ten zrobić tak, abyśmy w nim dostrzegli wszystko, co powiedzieć nam chce. Gdy jednak pisarz zamiast uczynić wybór, życie, czy jego fragment, niejako przez kalkę z rzeczywistości kopjuje, bojąc się jakiegoś szczegółu opuścić, to może napisać książkę historycznie cenną, ale artystycznie napewno niedociągniętą.

Trochę tak właśnie postąpił Morcinek. Książka jego jest cenna, prawdziwa, ciekawa, jest dobrze zbudowana, żywo i ładnie pisana, a mimo tylu zalet jest jednak artystycznie chybiona. Zabija ją zbytnia wierność, widoczna chęć nie opuszczenia żadnego historycznego szczegółu ani epizodu, chęć poinformowania nas o wszystkiem, co Śląska dotyczy. Jedynie w poszczególnych scenach, zwłaszcza w scenach opisujących życie górników w kopalni, lęk i grozę pracy w podziemnych ciemnościach odnajdujemy Morcinka artystę, a tracimy z oczu Morcinka historyka i reportera. I gdy zastanawiamy się nad tą cenną i ciekawą a jednak mimo wszystko chybioną książką, przychodzi nam żałować, że autor wybrał dla swej pracy propagandowej i patrjotycznej formę powieści. Gdyby był swój bogaty materjał opracował w formie historji Śląska ostatnich czasów, pisząc ją swoim żywym, prostym stylem, byłby nam dał książkę ciekawą bez zastrzeżeń. Powieść musi mieć uzasadnienie artystyczne, a gdy tego uzasadnienia, jak w tym wypadku, nie znajdujemy, drażni nas, daje wrażenie braku i wyczuwamy, że jest tylko pretekstem, a że punkt ciężkości leży gdzieindziej. Śmiało zarzuty te stawiamy Morcinkowi, bo wiemy, że go na ten punkt artystyczny stać i nie wątpimy, że w swej pracy patrjotycznej artysty w sobie nie zagubi.

Jeżeli chodzi o ideową stronę dzieła Morcinka, to określenie jej też proste nie jest. Autor jest bezwątpienia człowiekiem o gorących i szlachetnych uczuciach patrjotycznych, jego stosunek do kwestyj religijnych i etycznych nie pozostawia nic do życzenia, toteż cała ideologja religijna i moralna (pod względem obyczajowym) książki jest jak najlepsza (choć może dla czytelników zbyt młodych byłaby to lektura przedwczesna). Jednakowoż stosunek autora do chrześcijańskiego pacyfizmu nasuwa silne wątpliwości. Czy tak jaskrawe i namiętne przedstawianie krzywd choćby prawdziwych, jakich doznaliśmy i doznajemy na Śląsku, jest moralnie zdrowe? Czy niema innego sposobu rozbudzania naszego patrjotyzmu, naszej miłości i pietyzmu dla Śląska, jak rozdmuchiwanie w nas nienawiści do sąsiadów? Czy przedstawianie prawa i niejako słuszności zemsty i odwetu jest zgodne z nauką ewangelji?

Może ten krwawy obraz śląskiej martyrologji miałby większą rację bytu, gdyby go zechcieli przeczytać Niemcy, a także członkowie wszelkich międzynarodowych lig i konferencyj. Dla

nich nie byłby, jak dla nas, pobudką do nienawiści i zemsty, a może skłoniłby ich do sprawiedliwszej oceny naszych stosunków na Śląsku. Toteż przypuszczam, że doniosłe dzieło Morcinka spełniłoby dopiero wtedy w całej pełni swoje zadanie propagandowe i informacyjne, gdyby było przełożone na języki obce. Trzeba ufać, że o to postarają się czynniki powołane.

Zofja Starowieyska-Morstinowa.

Johannes Mumbauer: Die deutsche Dichtung der neuesten Zeit. In zwei Bänden. Erster Band. Freiburg im Breisgau, Herder et Co Verlagsbuchhandlung, 1931, 8, str. XI, 623.

Znana firma nakładowa katolicka Herdera wydała pierwszy tom dzieła, zakrojnego na wielką skalę. Jest to syntetyczny podręcznik najnowszej literatury niemieckiej, napisany z katolickiego punktu widzenia. Autor, ksiądz katolicki, zmarły w roku 1930, zasłużył się szeroką działalnością pisarską, w której krytyka literacka zajmowała jedno z najważniejszych miejsc. Dzieło jego znalazło uznanie wśród krytyki niemieckicj również niekatolickiej, jako odznaczające się wielką wszechstronnością i objektywizmem. Rzecz to interesująca, w naszych stosunkach zupełnie prawie niespotykana, jak bardzo kwestja przynależności religijnej odgrywa rolę w literaturze niemieckiej i w ocenie pisarzy, jak wyraźnie bywa zaznaczany w krytyce i historji podział na literaturę katolicką i protestancką. Objaw to znamienny i — raczej dodatni. Świadczyłby o tem, że i pisarze nie wahają się szczerze zaznaczać swe przekonania religijne i publiczność czytająca bardziej jest w tym kierunku zorjentowana, niż u nas, gdzie np. brak linji granicznej między pisarzami Polakami, a żydami, piszącemi po polsku, a częstokroć w duchu zupełnie niepolskim. Nie mówię już o rozróżnianiu przez ogół pisarzy chrześcijańskich, ale należących do Kościoła z jednej strony, a do sekt z drugiej.

Jak zaznaczyłam Mumbauer umie stanąć na stanowisku wyższem ponad małostkowość i nietylko nie pomniejsza zasług i wartości artystycznej pisarzy innych przekonań, ale wprost przeciwnie wymownie umie je podkreślić. Natomiast jest bezapelacyjnym w krytycznej analizie ideowej, w wydobyciu na jaw istotnej zawartości omawianych utworów i w zaznaczeniu — w sposób niezmiernie spokojny i umiarkowany, ale rzeczowy — stosunku tej zawartości ideowej do przekonań własnych, t. j. katolickich. Zaznaczenie to nie ma charakteru potępienia. Jest to tylko stwierdzenie faktu, mające zadania czysto informacyjne dla czytelnika. W ten sposób powstaje obraz literatury w ujęciu nowem, oryginalnem, a zarazem oświetlony w sposób niezmiernie jednolity. Autor nie zamyka oczu na formalne wartości literatury; wprost odwrotnie poświęca im dużo miejsca, wykazując niekiedy dużo zrozumienia i odczucia dla tych rzeczy, ale nie przypisuje im

roli naczelnej i wyłącznej. Hasło „sztuka dla sztuki" uważa za pewnego rodzaju obniżenie tej sztuki właśnie. W dziele swem stara się przeprowadzić jakgdyby linję ewolucyjną, prowadzącą od naturalistycznej fotografji życia, poprzez subjektywną obserwację powierzchni zjawisk przez impresjonistów, ku uduchowieniu kierunków ekspresjonistycznych. Omówienie ich, które będzie najciekawszem, pozostało do drugiego tomu. W pierwszym zawarty został okres naturalizmu i impresjonizmu.

Książka Mumbauera ma do pewnego stopnia charakter rewizjonistyczny. Sprowadza do właściwej miary niektóre rozdmuchane sztucznie wielkości, jak Gerhard Hauptmann, Stefan Zweig, Thomas Mann, krytycznie ustosunkowuje się do literackiej twórczości Ryszarda Wagnera. Z drugiej strony odwojowuje dla literatury pisarzy katolickich, niejednokrotnie niesłusznie pomijanych i obniżanych. Czyni to bardzo stanowczo: „Trzeba raz skończyć — pisze — z psychologją helotów z jednej strony i uroszczeniami kasty panującej z drugiej!" (Czyż podobne stosunki nie panują u nas dzisiaj jeszcze?) Będąc pisarzem sprawiedliwym wobec pisarzy akatolickich, lub nawet antykatolickich, autor celuje w subtelnej analizie duchowej jaźni i dzieł tych twórców, którzy stoją na pograniczu religijności, których nie można nazwać ani katolikami, ani protestantami, których dążenie do Boga przybiera formy mało mające wspólnego z prawdziwą religijnością. Nie potępia, ale stara się wydobyć i podkreślić pierwiastki dodatnie. Wzorem bezstronnej, ciepłej, a zarazem jasnej i bezkompromisowej oceny jest analiza twórczości i „religji" Stefana George'a, który dochodził do ubóstwienia — siebie. Natomiast ostro umie napiętnować wszelkie objawy o charakterze rozkładowym, jak np. powieści baronowej Puttkamer.

Kompozycja książki jest bardzo celowa. Ogólne charakterystyki prądów, niekiedy znakomite, jak np. analiza impresjonizmu, zestawienie go, niezmiernie bystre, z naturalizmem, a przeciwstawienie sztuce ekspresjonistycznej, wysunięte są na czoło wielkich rozdziałów. Po krótkiem wprowadzeniu w ten sposób na właściwy teren autor charakteryzuje następnie poszczególnych pisarzy. Pouczające i pożyteczne są cytaty, a dla wielu czytelników, zwłaszcza zagranicznych nie bez wartości są streszczenia ważniejszych utworów. Obok charakteru syntetycznego obrazu, książka ma dużą wartość czysto informacyjną, uwzględniając mnóstwo pisarzy, nieraz pomniejszych i cytujących mnóstwo tytułów dzieł. Niekiedy ilość ta wydaje się nawet za wielka, psuje harmonję całości. Najwidoczniej jednak autor kierował się myślą, by dać czytelnikowi autentyczną i godną zaufania wiadomość o każdym ważniejszym pisarzu nowożytnym, z jakim ten może się spotkać. Mimo jednak mnóstwa szczegółów, nie zatraca się jasność ogólnych zarysów. Niektóre daty są niezupełnie do-

kładne; wydaje się, że w większości wypadków zawiniła tu korekta drukarska.

Dodajmy, że rzecz pisana jest stylem żywym, barwnym i czyta się doskonale. Niema w niej nic pedanterji, szkolarskich podziałów i analiz. Oryginalność i głębia ujęcia, szeroka podstawa historyczna i ideowa, obok wartości formalnych sprawiają, że książkę Mumbauera można uważać również za niepospolite dzieło sztuki.

Dla zajmujących się nowszą literaturą polską może być praca ta, dająca jasne i dosadne charakterystyki prądów i pisarzy również bardzo użyteczna. Omawia bowiem okres, w którym nowe prądy literackie docierały do wielu pisarzy naszych drogą na Niemcy. W związku z tą uwagą trzeba nawiasowo zaznaczyć, że — podobnie, jak w wielu innych opracowaniach niemieckich tego okresu — brak u Mumbauera nawet wzmianki o Przybyszewskim, pomimo, że w swym okresie pisania do niemiecku, brał żywy udział w kształtowaniu się tych nowych prądów w Niemczech, a talentem z pewnością przewyższał niejednego z omówionych pisarzy niemieckich.

Użytecznem będzie dla nas zaś zapoznanie się z prawdziwą wartością pisarzy, którzy i u nas zyskali popularność, jak Hauptmann, Sudermann, albo którzy i dziś obficie są tłumaczeni i czytani, jak Mann, Zweig, Rilke i i.

Na zakończenie zwracam jeszcze uwagę na piękną przedmowę, w której autor głosi swoje „credo" w zakresie pojmowania przez siebie celów i zadań literatury. Nowoczesne ujęcie, połączone z oparciem się na odwiecznych ideałach, charakteryzuje to wypowiedzenie się, w którem niejedną naukę znaleźliby dla siebie i nasi pisarze i krytycy, którzy chcą uważać się za katolickich.

Dr. Zofja Ciechanowska.

Ks. Dr. L. Wasilkowski: Nauka Badaczów Pisma św. o przyjściu Chrystusa P. na sąd w oświetleniu katolickiem. Lwów 1932, nakł. „Bibljoteki religijnej", str. 48.

„Badacze Pisma św." w pierwszych latach powojennych mieli znaczne powodzenie w Polsce dzięki dolarowemu poparciu Ameryki. Obecnie mniej o nich słychać. Ale rozrzucili po kraju w polskim przekładzie tysiące niedorzecznych traktatów swego proroka Russella, które zdolne są w głowach prostaczków wzniecać zamęt. Dlatego zaznajomienie się z tą herezją jest potrzebne, wszakże nie należy do rzeczy łatwych wobec tego, że pisma Russella stanowią lekturę trudną do strawienia. Zorjentowanie się w tym labiryncie niedorzeczności i dowolności ułatwił już ks. Dr. S. Ufniarski, obejmując w dokładnie opracowanym referacie (wygłoszonym na Kursie duszpasterskim w Poznaniu w lu-

tym 1931) całokształt nauk „Badaczy" i ich historję (Zob. „Pamiętnik Kursu duszpasterskiego", Poznań 1931, str. 45—70). Obecnie Ks. Dr. L. Wasilkowski rozpatruje jeden punkt tej „nauki", dotyczący przyjścia Chrystusa Pana na sąd. Według Russella miał Chrystus przybyć powtórnie na świat już w r. 1874 — obecnie odbywa się sąd ostateczny, pojęty jako długi proces historyczny. Autor, zestawiając drobiazgowo pomysły Russella z dogmatyką i egzegezą katolicką, wykazuje ich bezzasadność. Broszura nie jest przeznaczona dla prostego ludu, lecz raczej dla księży. Na końcu broszury stwierdza autor „nastawienie eschatologiczne społeczeństwa, zwłaszcza mas ludowych", którego się dostatecznie nie uwzględnia z powodu upadku piśmiennictwa dogmatycznego i „straszliwej bierności ogółu duchowieństwa względem zagadnień dogmatycznych". Jeśli ten sąd nie za surowy, to smutnie się przedstawia nasz katolicyzm.

Ks. J. Urban.

Pamiętnik II Konferencji kapłańskiej w sprawie Unji kościelnej w Pińsku. Nakładem Kurii Biskupiej, Pińsk 1932, str. 153.

Pomimo śmierci nieodżałowanego ks. biskupa Łozińskiego wyszedł z druku Pamiętnik zeszłorocznej konferencji unijnej w Pińsku. Jak Pamiętnik pierwszej konferencji, tak i ten — drugiej zawiera protokół przebiegu zebrania i referaty wygłoszone; dyskusja podana została w streszczeniu. Słowo wstępne napisał ks. arcybiskup Ropp. Jak drugi „głos z poza grobu" czyta się przemówienie ś. p. ks. biskupa Łozińskiego o usposobieniu duszy, z jakiem należy zabierać się do kwestji unijnej. Referaty częściowo dotyczą prawosławia („Współczesny stan prawosławia i różnice w systemie moralnym między prawosławiem a katolicyzmem"), częściowo metod pracy unijnej. Dwa referaty i jeden koreferat podane zostały w języku ukraińskim, w jakim były wygłoszone. Wobec bałamuctw, szerzonych przez prasę codzienną o akcji unijnej na Kresach, wydany Pamiętnik winien być tem bardziej poszukiwany przez wszystkich interesujących się tem zagadnieniem jako źródło autentyczne do poznania charakteru owej akcji unijnej.

Ks. J. Urban.

Joannes Michael Hansens S. J. Institutiones Liturgicae de Ritibus orientalibus. Romae, Universitas Gregoriana. Tomus II, str. XL+514; tom III, str. XII+646; Appendix str. 120.

Dla interesujących się Kościołami wschodniemi i sprawą Unji tych kościołów z Rzymem notujemy o bardzo poważnem nowem wydawnictwie. Prof. papieskiego Gregorjańskiego Uniwersytetu w Rzymie O. Hanssens, wydał dwa obszerne tomy (drugi i trzeci), poświęcone liturgjom wschodnim, nadto zapowiada je-

szcze wydanie trzech tomów, mianowicie pierwszego, czwartego i piątego. Wydane dwa tomy rozpatrują tylko mszę w obrządkach wschodnich; pierwszy ma być poświęcony zagadnieniom ogólnym, ostatnie zaś dwa — sakramentom i oficjum wschodniemu. Appendix do wydanych już tomów mieści indeksy i przekłady łacińskie ważniejszych tekstów z mszy wschodnich.

Nie tutaj miejsce na fachową recenzję tego olbrzymiego dzieła; powiemy tylko, że autor zajmuje się wszystkiemi liturgjami chrześcijańskiego Wschodu i w rozmaitych ich odmianach, a posiłkując się wprost imponującym aparatem naukowym, nie ogranicza się tylko do analizy tekstów, ale daje drobiazgową ich historję, i t. d. Otrzymujemy więc dzieło o wielkiej wartości naukowej.

Ks. J. Urban.

Polska Bibljografja Biblijna. Od 1920—1930 r. Zebrana przez Koło Biblistów U. U. J. Przedmowę napisał Ks. prof. J. Archutowski. Kraków 1932, str. 75.

Koło Biblistów na Uniw. Jag. pod kierunkiem swego profesora dokonało tego mozolnego zestawienia prac, poświęconych Pismu św. w Polsce za 30 lat ostatnich. Liczbowo dorobek ten przedstawia się okazale: 600—700 tytułów; są to jednak przeważnie artykuły po czasopismach, niekiedy nawet o charakterze popularnym lub informacyjnym. Słusznie też ks. prof. Archutowski ubolewa nad szczupłością tego dorobku, czego przyczynę złożyć trzeba na warunki zewnętrzne. Wśród nazwisk autorów spotykamy wszakże kilka nazwisk więcej zasłużonych dla biblistyki w Polsce, jak nazwisko samego ks. Archutowskiego, następnie Ks. Ks. Hozakowskiego, Kruszyńskiego, W. Michalskiego, ś. p. Szczepańskiego, Szydelskiego, z poza obozu katolickiego — rabina Dr. Schorra. Zestawienie bibljograficzne może pobudzi młodsze siły do pracy naukowej, by jako tako Polska podążała pod tym względem za innemi krajami.

Ks. J. U.

Wybór pism kaznodziejskich Bossueta. Przetłumaczył prof. M. M. Paciorkiewicz. Nakł. Księgarni św. Wojciecha. Str. VIII+208.

Ks. Józef Kłos: Dwie ofiary. Sześć kazań pasyjnych z dodatkiem kazania na uroczystość wielkanocną. Nakł. Księgarni św. Wojciecha. Str. 111.

Ks. Gracjan Tretkowski: Krótkie homilje na niedziele całego roku. Pelplin, 1932. Str. 160.

O. Konstanty M. Żukiewicz Z. K.: Salve Regina. Rozważania majowe. Lwów, Wydaw. OO. Dominikanów. Str. 190.

Ks. Dr. Kazimierz Kowalski: Dwa kazania eucharystyczne na tle hymnów św. Tomasza z Akwinu. Lwów, Wydawnictwo OO. Dominikanów. Str. 43.

1. Wybór pism kaznodziejskich Bossueta ukazał się jako pierwszy tom wydawnictwa p. t. „Skarbiec mistrzów kaznodziej-

stwa". Dalsze tomy „Skarbca" mają przynieść przekłady kazań niemieckich, angielskich, włoskich, oraz wybór polskich. Praca zaiste bardzo pożądana, gdyż ułatwiłaby po seminarjach duchownych zetknięcie się głębsze z obcem kaznodziejstwem. Tego rodzaju opracowanie, jakie wyszło z pod pióra prof. Paciorkiewicza, rzuca jasne światło i na ewolucję, jaką przechodziło kaznodziejstwo francuskie od humanizmu do św. Franciszka Salezego, ukazuje etapy rozwoju genjusza Bossueta i zachęca czytelnika do korzystania za przykładem Bossueta z pierwszych źródeł kaznodziejstwa, jakiemi pozostaną na zawsze Pismo św. i Ojcowie Kościoła. Sam zaś wybór kazań daje możność każdemu osobistej oceny tego, którego La Bruyère nazwał „ostatnim z Ojców Kościoła". Czy jednakowoż praktyczna korzyść będzie wielka to rzecz inna. Dzisiaj tak się zmieniła technika kazań i taki popyt u każących za „myślami", któreby naprędce można przetworzyć już na ambonie w jakieś kazanie, że przebijanie się poprzez długie wywody i pytania retoryczne dawnych, choćby najwybitniejszych kaznodziejów, niejednego może odstraszyć. Dlatego w podobnem Wydawnictwie obok kazań *in extenso,* dla „praktyków" byłyby wskazane szkice myśli. W ten sposób „Wybór pism" możeby znalazł szersze zastosowanie.

2. Dwie ofiary, jak sam tytuł wskazuje, są to kazania o ofierze Krzyża i ofierze Mszy św. Niema tu jednak podziału w ten sposób sformułowanego, aby istniał osobny typ kazań pasyjnych a osobny dział tworzyły kazania liturgiczne, lecz w jednem i tem samem kazaniu mówi autor i o Męce Pańskiej i o Mszy św. W literaturze polskiego kaznodziejstwa trzeba powitać tę koncepcję jako nową i czyniącą zadość dwom postulatom: po pierwsze zadowala pragnienia słuchaczy, zbierających się na „pasję", aby coś usłyszeć o męce P. Jezusa, po drugie sprzyja ruchowi liturgicznemu, którego zadaniem jest doprowadzić wiernych do możliwie doskonałego zrozumienia ofiary krzyża. Na szczególniejszą uwagę zasługuje w tych kazaniach właśnie ten spryt kaznodziejski, że autor w Męce Pańskiej, która zazwyczaj zajmuje wstęp kazania, umie znaleźć bardzo trafnie punkt zaczepny, doprowadzający go, bez niezgrabnych przeskoków, do właściwego tematu o Mszy św.

3. Homilje ks. Trętkowskiego czyta się z przyjemnością. Dużo rzeczy przypomina się u nich z Kepplera, dużo z Honnefa, wieje z nich jakaś ożywcza świeżość a zarazem prostota, która się nie nadyma. Miłe zabarwienie nadaje homiljom tło historyczne czy geograficzne, którego autor nie pomija, gdy tylko nadarza się po temu okazja; przemawia również bardzo często słowami Pisma św., jednak często bez odnośników, co może być ze szkodą dla tych, którzy chcieliby może ten cytat rozszerzyć, względnie przytoczyć kontekst. Homilje są naprawdę króciutkie, czasem mieszczą się na dwóch stronach małej ósemki, poruszają tylko

jedną myśl, niekiedy są tylko rozszerzeniem perykopy niedzielnej z dodaniem paru uwag od siebie. Naogół jednak zdolne są zapłodnić myśl czytającego i rozkołysać jego wyobraźnię celem rozbudowania i rozwinięcia tematu.

4. Specjalny typ kazań i przemówień marjologicznych tworzy O. Konstanty Żukiewicz. Możnaby nazwać ten typ koronkowym. Delikatnie dziergane myśli, przetykane poezją, przykładem, cytatem świętych czcicieli Marji, zabarwione słodkiem i niezbyt gwałtownem uczuciem tworzą kazania O. Żukiewicza właśnie ten typ dostrojony do miesiąca maja, kiedy to serce ludzkie łatwo daje się ponosić uczuciu. Literaturę kaznodziejską na maj mamy już dosyć bogatą. Ks. Kłos opracował: „Magnificat" ks. Staich kult Marji w naszym narodzie, ś. p. ks. bp. Łoziński i O. Prokop „Litanje", kazania marjologiczne wydali również ks. ks. Niezgoda, Babicz, Albin i wielu innych. Obecnie przybywa nowy tomik O. Żukiewicza oprócz wydanych dawniej kazań i rozmyślań. Nowy ten tomik zajmuje się rozbiorem: „Salve Regina". Przemówień jest 32 i 4 ilustracje. Wiele przykładów i opowiadań sprawia, że rozważania powyższe mogą być bardzo łatwo użyte na czytanki majowe.

5. Dwa kazania ks. dr. K. Kowalskiego są zakrojone na w pełnem tego słowa znaczeniu kazania. Porusza w nich autor bardzo wiele myśli, które oznacza w tekscie cyframi. Szkoda jednak, że nie rozbił tych myśli na poszczególne kazania; wynikłyby z tego nie dwa, ale kilka kazań, a i zastosowanie hymnów znalazłoby więcej miejsca; zastanowienie się „pokrótce" nad wielu naraz tematami niewiele przynosi pożytku i jest przeciwne obecnym prądom w homiletyce, która żąda jasno określonego i jednego celu w kazaniu, co przy wielu tematach jest trudnem do osiągnięcia.

W każdym razie ks. Kowalski wskazał drogę kaznodziejom na wyzyskanie na ambonie tych prześlicznych hymnów eucharystycznych św. Tomasza, o co dotychczas niewielu kaznodziejów, przynajmniej w literaturze pisanej, się pokusiło. W samem opracowaniu stylistycznem przebija się zbytnia górnolotność, która sprawia, że kazanie idzie ponad głowy a nie do uszu słuchacza; taki np. obraz, że „słońce ożywia wszystko gorącym całunem złocistych strzałów swoich" (str. 11) jest barokowy. Poza temi drobnemi usterkami kazania zalecają się obfitością doborowych myśli i stąd godne są polecenia.

Ks. J. Godaczewski.

Msgr. Dr. Tihamér Tóth: Christus und die Probleme unserer Zeit. Predigten. Ferd. Schöningh, Padernborn, 1932.

Msgr. Tóth znany jest ze swych książek dla młodzieży oraz jako radjowy kaznodzieja w uniwersyteckim kościele w Buda-

peszcie ze swojego cyklu kazań o przykazaniach. Możnaby go określić jako kaznodzieję „modern", oczywiście nie w złem tego słowa znaczeniu, ale najlepszem; t. zn. każdy problem religijny potrafi zaktualizować, nasycić współczesnością czyto zaczerpniętą wprost z życia, własnego przeżycia i doświadczenia, czy też w zestawieniu z wypadkami, notowanemi w dziennikach i czasopismach. Stąd też obok aktualności występuje w jego kazaniach drugi również bardzo ważny czynnik w kaznodziejstwie mianowicie dramatyczność i barwność. Te właśnie cechy nosi na sobie wyżej notowana książka. Najwięcej stosunkowo miejsca w swych kazaniach poświęca autor życiu rodzinnemu: „Christus und die Familie" stanowi temat aż 4-rech kazań, poza tem znajdują się tematy pokrewne jak: „Christus und die Kinder", „Christus und die Jugend", „Christus und die Mutter". Interesują autora i inne tematy, ku którym zwraca swe oczy i stąd rozwija również takie problemy jak: „Christus und der Tod", „Christus und das irdische Vaterland", „Christus und der Priester" i t. p. Zasadniczy ton jego myśli zda się być echem Spenglera książki: „Der Untergang des Abendlandes". Wykazuje, że wyolbrzymiona technika, kultura materjalna nie da ludzkości szczęścia, owszem doprowadzi ją do skarłowacenia, jeśli nie będzie pielęgnowana równocześnie kultura duchowa, moralność zdrowa, którą jedynie Chrystus dać może. I stąd tytuł książki i tytuł ostatniego rozdziału: *Ave Rex.*

Ks. J. G.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Wydawnictwa Towarzystwa Ekonomicznego w Krakowie.

Dziesięciolecie Towarzystwa Ekonomicznego w Krakowie (1921 — 1931). Sprawozdanie. 1931, str. 45.

Jan Zieleniewski: „Koszty własne". Uwagi o niektórych zagadnieniach związanych z kalkulacją przemysłową. 1931, str. 32.

Dr. Rudolf Frommer: O poprawie rentowności gospodarstw leśnych. 1932, str. 32.

A. Weiss: Waluta indeksowa. 1932, str. 45.

Stanisław Lauterbach: Finansowanie przez skarb życia prywatno-gospodarczego. 1932. str. 63.

Stefan Żurowski: Finanse Francji w latach 1913 — 1928. 1932, str. 112.

A. Heydel, T. Lulek, S. Schmidt, St. Wyrobisz i Ferd. Zweig: Etatyzm w Polsce. Z przedmową A. Krzyżanowskiego 1932, str. str. VII+327.

Nakładem różnych:

P. Simański, generał: Podręcznik Historji wojskowości powszechnej. Rzym i Bizancjum. Przełożył Stan. Płoski. Warszawa 1931, Wojskowy Instytut naukowo - wydawniczy. Str. 142 i mapy.

Wład. Dziewanowski: Podręcznik Historji wojskowości powszechnej. Średniowiecze. Warszawa 1932, Wojskowy Instytut naukowo-wydawniczy. Str. 116.

Jacques Langlade: Jean Kochanowski. Paris, Société d'édition „Les belles lettres" 1932, str. VIII+415.

Jean Kochanowski: Chants. Trad. du polonais par. J. Langlade. Paris, wyd. jak wyżej, str. 148.

Księga pamiątkowa Koła polonistów słuchaczów Uniw. Stefana Batorego w Wilnie. 1922—1932. Skład główny w Księg. św. Wojciecha w Wilnie. Str. 249.

Tetus et documenta. Wydanie Uniwersytetu Greg. w Rzymie. De Platonis doctrina circa animam, textus collegit J. Souilhé. Str. 82. De Origine Formae materialis, collegit P. Hoenen. Str. 85.

Jędrzej Giertych: O program polityki kresowej. Nakł. Tow. wyd. „Patria", Warszawa 1932, str. 148.

Ks. Dr. Józef Lubelski: Dogmatyka katolicka. Podręcznik szkolny. Nakł. autora, Kraków 1932, str. 170.

Jerzy Braun: Ziemia i niebo. Poezje. Nakł. F. Hoesicka, Warszawa 1930, str. 58.

Tenże: Cień Parakleta. Powieść. Nakł. F. Hoesicka, Warszawa 1932, str. 290.

Ks. Antoni Liedtke: Walka Księcia Jana Opolskiego „Kropidły" z Krzyżakami w obronie majątkowych praw diecezji włocławskiej. („Roczniki Tow. Nauk. w Toruniu", 38). Toruń 1932, str. XV+139.

Liber mortuorum monasterii Coronoviensis O. Cist. Wyd. Ks. A. Mańkowski (Tow. Nauk. w Toruniu, Fontes, XXV). Toruń 1931, str. 185.

Polskie Pomorze. Praca zbiorowa pod red. J. Borowika. Wyd. Instytutu Bałtyckiego, Toruń. Tom I, Ziemia i Ludzie, str. X+326 i mapa; Tom II. Przeszłość i Kultura, str. X+224.

Problem narodowościowy na Pomorzu. Obrady i referaty naukowe, wygłoszone na II Naukowym Zjeździe Pomorzoznawczem w Toruniu. Wyd. Instytutu Bałtyckiego. Toruń 1931, str. 130.

Port Gdynia. Nakł. Instytutu Bałtyckiego. Str. 32, ilustr.

Witold Bunikiewicz: Żywoty djabłów polskich. Bibl. *Dziennika Poznańskiego*. Poznań 1932, str. 138.

Felicja Żurowska: Kółka wychowawcze w S. M. P. Poznań 1932, nakł. Zjedn. Młodz. Polskiej, „Ostoja", str. 16.

Tari: Metoda pogadanek ankietowych. Poznań 1932, nakł. jak wyżej, str. 10.

Nouvelle Revue de Hongrie. Janvier 1932. Numéro spécial consacré au problème du Desarmement. Budapest, str. 104.

Bischof Hedley O. S. B.: Lehre mich Deine Wege. Exerzitien für Priester u. Ordensleute. Bearbeitet u. herausgegeben von Dr. P. Virgil Redlich O. S. B. — Verlagsanstalt „Tyrolia" Innsbruck — Wien — München. Str. 292.

Tadeusz Sinko: Literatura grecka. Tom I cz. 2. Literatura klasyczna. Kraków, nakł. Polskiej Akademji Um. 1932, str. V+837.

Polska w czasie Wielkiej Wojny. Tom II. Historja społeczna. Dzieło zbiorowe. Warszawa, Towarzystwo Badania Zagadnień międzynarodowych 1932, str. 312.

Ks. Józef Londzin: Kościoły drewniane na Śląsku Cieszyńskim. Z pośmiertnych zapisków autora przejrzał... Ks. R. Tomanek. Cieszyn 1932, nakł. „Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra", str. 427.

Ks. A. Syski: Krótki Katechizm z obrazkami do pierwszej Komunji św. Paryż, wyd. 3, 1932, str. 40.

Stan. Helsztyński: Mnich opactwa Lubińskiego. Ballada liryczna. Szamotuły, druk. nakł. J. Kawalera, 1932, str. 47.

Tenże: Międzyrzecze. Wielkopolskie sonety regjonalne. Szamotuły 1932, wyd. jak wyżej str. 47.

Sprawozdanie Towarzystwa Kolonij wakacyjnych Poręba Wielka za r. 1931. Kraków 1932, str. 42.

Marja Reutt: Legendy o świętych. Nakł. Księgarni Katolickiej, Katowice 1932, str. 102.

W. Szary: Świetność i upadek Eldorada. Paradoksy z życia gospodarczego. Warszawa 1932, nakł. gł. „Dom Książki polskiej". Str. 95.

Benedictus Henricus Merkelbach O. P.: Summa Theologiae Moralis. Paris, Desclée de Brouver et C. Tom I, str. 756; tom II, str. 994.

Księga pamiątkowa półwiekowej działalności Pow. Komun. Kasy Oszczędności w Krakowie, 1882—1932. Str. 172.

Roman Brandstaetter: Legion Żydowski A. Mickiewicza. Dzieje i dokumenty. Nakł. wydawn. „Menora", Warszawa 1932, str. 70.

Prof. K. Lutostański: O metodach stosowanych w polemice z Projektem prawa małżeńskiego Komisji Kodyfikacyjnej. Warszawa 1932, Str. 14.

Ks. Dr. A. Tymczak: Sakrament małżeństwa. Odbitka z *Ateneum Kapłańskiego.* Włocławek 1932, str. 30.

Ks. Dr. Paweł Kirstein: Argue, obsecra, increpa, czyli Słowo Boże na ambonie. Tom I. Kazania niedzielne. Wyd. 2, Nakł. autora. Pelplin 1932, str. 376.

Jan Kuczyński: Manewrowanie jachtem żaglowym. Warszawa 1932. Główna Księgarnia Wojskowa. str. VIII+203.

Textus et Documenta in usum exercitationum et praelectionum academicarum. De Ordaliis, collegit... P. Brouwe S. J. str. 48: De frequenti Communione in Ecclesia occidentali, collegit idem, str. 82. Rzym, wydanie Papieskiego Uniwersytetu Gregorjańskiego.

Hymny Kościelne. W nowym przekładzie ks. T. Karyłowskiego T. J. Z przedmową prof. Stan. Windakiewicza, Kraków, Wydawn. Ks. Jezuitów, 1932, str. 334.

Ks. Andrzej Kraśnicki: Posty w dawnej Polsce. Lwów, nakł. Towarzystwa „Bibljoteka Religijna", 1931, str. 135.

Ks. Kazimierz Karłowski: Uwagi o projekcie prawa małżeńskiego Komisji Kodyfikacyjnej. Poznań, nakł. Związku kapłanów „Unitas", 1932, str. 59.

Sprawozdanie z działalności Centralnej Bibljoteki wojskowej. Za czas od 1. IV. 1931 do 31. III. 1932. Warszawa 1932, str. 32.

Marja Czeska - Mączyńska: Macierzyństwo i wiersze różne. Poznań, nakł. autorki, 1932, str. 47.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kilka szczegółów z prześladowania w Meksyku. — „Piatiletka bezbożnictwa" w Rosji.

O tem, co właściwie dzieje się z religją i Kościołem w Meksyku, niezmiernie mało świat się dowiaduje. Nawet *Osservatore Romano*, który przed kilku laty zapełniał długie szpalty wiadomościami stamtąd, obecnie bardzo mało o Meksyku informuje. Można chyba wnioskować, że jest to skutek zaostrzonej cenzury meksykańskiej w stosunku do prasy i korespondencji z zagranicą. W zeszycie lutowym podaliśmy pewne szczegóły o nowej fali prześladowania katolicyzmu w Meksyku, obecnie chcemy je uzupełnić na podstawie dobrego francuskiego artykułu Paul Aviat'a w *Bulletin Catholique International* (kwiecień 1932), powtórzonego przez *Documentation Catholique* (11 czerwca 1932).

Autor rzeczonego artykułu kreśli najpierw historję zawartego w r. 1929 *modus vivendi*, znaną naszym czytelnikom z dawniejszych relacyj na tem miejscu. Względny spokój, jakim cieszył się Kościół po owym układzie z prezydentem Gilem, trwał zaledwie dwa lata. Utrzymywał się dzięki jak najdalej posuniętej ustępliwości władz kościelnych i względnej życzliwości kilku członków rządu. Tak naprz. nowy prezydent unji meksykańskiej, Pascual Ortiz Rubio, uważany był za człowieka dobrej woli, który aczkolwiek uwikłany w nieważne małżeństwo i dlatego znajdujący się jakby poza Kościołem, jednego z swoich synów oddał na wychowanie benedyktynom. Oczywiście zagranicę, bo w kraju szkoły i konwikty zakonne zostały skasowane. Minister spraw zagranicznych, Estrada, wziął ślub kościelny, co w Meksyku u dygnitarza państwowego jest dowodem wielkiej cywilnej

odwagi. Życzliwym dla Kościoła był także minister skarbu Montes de Oca. Zato gubernatorzy poszczególnych stanów przeważnie znani są z sekciarskiej zaciekłości przeciwko religji, a niektórzy, jak gubernator stanu Vera Cruz, Tejeda, z radykalizmu, graniczącego z bolszewizmem. Oni to rozpętali nową burzę, korzystając z uprawnień jakie poszczególnym stanom daje konstytucja meksykańska.

Między innemi postanowieniami stanom ma przysługiwać „prawo" określania maksymalnej ilości duchowieństwa. W stanie Vera Cruz gubernator Tejeda skłonił parlament do uchwalenia ustawy, ustalającej liczbę księży po jednym na 100 tysięcy mieszkańców, t. j. dziesięciu na cały stan o miljonowej ludności. Przykład ten naśladować poczęły inne stany: Yukatan, Sonora (dopuszczono 16 księży), Chiapas (1 ksiądz na 45 tysięcy) i Chihuahua (1 ksiądz na 40 tysięcy), Jalino (jak w Vera Cruz); w Tabasco niema wcale kapłanów, gdyż tam ustawa żąda od księdza jako warunku *sine qua non* wyrzeczenia się celibatu(!) i t. d. Tylko niektóre stany nie poszły za tym przykładem, jak Queretaro, które dopuszcza 1 księdza na 8 tysięcy wiernych, lub Morlos, gdzie pozostawiono wszystkich kapłanów.

To w poszczególnych stanach, a w samym Meksyku, t. j. na terytorjum wspólnej Unji? Tutaj wybuch paroksyzmu sekciarskiego nastąpił w grudniu ub. roku, z powodu jubileuszowych uroczystości Matki Boskiej z Guadalupy. Fanatycy ateizmu, którzy rozporządzają bezwzględną większością w łonie rządu i w parlamencie, przekonali się podczas owych uroczystości jak nikłe są wśród ludu rezultaty ich „oświecicielskiej" działalności i to ich podnieciło do nowych ataków na religję. O ich „tolerancyjności" dla prywatnych przekonań może świadczyć fakt, że wykluczyli z senatu pewnego senatora za to, iż jego żona udekorowała swoje mieszkanie podczas uroczystości jubileuszowych. Usuwano urzędników, którzy brali udział w jubileuszu. Senator Altamizano żądał zamienienia bazyliki Guadalupa na muzem rewolucyjne, a przeniesienia organów do teatru narodowego, i t. d. Zupełnie tak samo, jak się praktykuje w Rosji bolszewickiej. Tu i ówdzie hordy bezbożników wkraczały do świątyń, wywoływały burdy, padły ofiary. Życzliwsi dla Kościoła ministrowie, Montes de Oca i Estrada, ustąpili ze swoich stanowisk, ten ostatni zmuszony do tego z tego powodu, że nie przeszkodził ciału dyplomatycznemu we wzięciu udziału w uroczystościach jubileuszowych. Ustąpił także minister wojny, jego zaś miejsce zajął generał Calles, osławiony przed kilku laty prezydent — prześladowca i dotąd główny motor wszystkich poczynań „antyklerykalnych". Jako wyraz nowych obostrzeń trzeba zanotować dekret prezydenta Ortiz Rubio

z dn. 29 grudnia 1931, wprowadzający wyjątkowe przepisy egzaminacyjne dla katolickich szkół średnich) prowadzonych bynajmniej nie przez Zakony); tylko pustki w skarbie przeszkadzają zupełnemu zamknięciu owych szkół, utrzymywanych przez rodziców. Gorszem jest stanowisko wspólnego parlamentu w sprawie ilości duchowieństwa dla okręgu Unji. Przedstawiciele stanu Vera Cruz zażądali przyjęcia ich normy: jeden ksiądz na 100 tysięcy mieszkańców. Izba łaskawie złagodziła to żądanie, uchwalając normę: jeden kapłan na 50 tysięcy. Mocą tej ustawy z 500 kapłanów, jakich liczył okręg federacyjny (t. j. sam Meksyk) ma pozostać tylko 25 księży. Miał ich wybrać biskup, podać do zarejestrowania, poczem inni automatycznie tracili prawo wykonywania funkcyj duchownych. Zarejestrowani kapłani mogą odprawiać nabożeństwa tylko w wyznaczonych im kościołach, każdy w swoim. Nie pomogły protesty arcybiskupa Diaza, ani adresy ludności katolickiej i niewykonanie ustawy groziło zamknięciem wszystkich świątyń. W tym stanie rzeczy nawet Stolica św. dała dyrektywę, by ustawowa liczba kapłanów poddała się owej przymusowej rejestracji, jako złu mniejszemu od zupełnego zawieszenia publicznego kultu w kraju. Reszta sług ołtarza ze swym charakterem kapłańskim musi ustąpić do katakumb. Zapewne egzystencja tych z pośród nich, którzy zechcą pozostać wiernymi swojemu powołaniu służenia chwale Bożej i duszom ludzkim, a takimi da Bóg okażą się wszyscy, będzie niczem innem jak drogą męczeństwa za Chrystusa.

Zarządzenia o redukcji kleru zdradzają dość wyraźnie cel, do którego zmierza rządząca w nieszczęśliwym kraju masońsko-ateistyczna klika. Jest nim nie co innego, jak likwidacja religji. Wszak ustanawianie jednego kapłana na 50 tysięcy ludności (a tem bardziej na 100.000) przy głoszeniu „wolności religji" (to głosi konstytucja meksykańska) to przecież szczyt cynizmu. Widocznie liczono na to, że Kościół odrzuci *a limine* tę „hojność" i dostarczy pretekstu do legalnego zamknięcia wszystkich świątyń. Narazie jeszcze ta rachuba zawiodła, ale czy wojowniczy ateizm nie obmyśli nowego środka, by celu swego dopiąć?

Co prawodawcy meksykańscy jeszcze przysłaniają, to godni ich bracia z czerwonej Moskwy głoszą najzupełniej otwarcie. Już przed kilku laty, śledząc rozwój polityki Sowietów względem kultów religijnych, stwierdzaliśmy cel, do którego bolszewizm zmierza — zupełne zlikwidowanie wszelkiej religji. Europejskim ludziom nie mogło się to w głowach pomieścić, prześladowanie religji tłumaczyli sobie wro-

gim stosunkiem duchowieństwa do nowego reżymu, nadużyciami podrzędnych czynników państwowych, nadmiernym etatyzmem we wszystkich dziedzinach, ale zupełne zniszczenie religji — to wydawało się zbyt wielką utopją, by się na nią mógł ważyć nawet szalony bolszewizm. A jednak ten cel od początku przyświecał komunizmowi i był właściwem źródłem wszystkich dekretów, wydawanych przeciwko kościołom i duchowieństwu. Dzisiaj organizacje religijne przez prześladowanie są już tak osłabione, zdemoralizowane i steroryzowane, że uznano za możliwe przystąpić do zupełnej ich likwidacji. W Bolszewji istnieje osobna „Nadzwyczajna Komisja do walki z religją" i ona to opracowała wszechstronny plan definitywnego zniszczenia wszelkiej religji do roku 1937. Plan ten, nazwany „piatiletką bezbożnictwa", wypracowany przez wodza bezbożników Jarosławskiego, uzyskał już zatwierdzenie Rady Komisarzy ludowych i począł obowiązywać od 15 maja b. r. Przytacza go, wślad za organem owej Komisji *Mołodoj Awangard,* warszawski rosyjski dziennik *Mołwa.*

Plan - dekret składa się 118 punktów, jest więc obmyślanym w szczegółach programem likwidacji religji. W ciągu pierwszego roku tej bezbożnej piatiletki mają ulec zamknięciu wszelkie szkoły służące nauczaniu religji, a więc akademje duchowne prawosławne, seminarja katolickie, wszelkie katechetyczne kursy i t. d. Trzeba uprzytomnić sobie, że ten punkt programu już dawno jest wykonany i w planie znalazł się chyba dla pochwalenia się dotychczasową „tolerancyjnością" Sowietów. Seminarjów katolickich żadnych, ani nawet czegoś zastępczego za nie, niema już od 14 lat, jedna duchowna akademja prawosławna i parę prymitywnych kursów duszpasterskich podobno wegetowało jeszcze i te właśnie mają być zamknięte. Dalszym punktem programu ma być pozbawienie duchowieństwa i wszelkich sług kultu już w pierwszym roku kart chlebowych, czyli zaliczenie tego rodzaju obywateli do kategorji tak zw. „liszeńców", t. j. pozbawionych prawa do życia i pracy. Świątynie mają być zamykane stopniowo: do 1 maja 1934 mają być zamknięte w miastach stołecznych (w stolicach republik związku), zaś do 1 maja 1937 wogóle na całem terytorjum Związku republik sowieckich. Duchowieństwo, którego głód nie zmusi do zrzeczenia się funkcyj duchownych, ma być przed 1 maja 1935 przymusowo wydalone z granic sowieckich. Sądząc po stosowanych dotychczas metodach takie wysiedlanie duchownych zagranicę okaże się zbyteczne: zostaną oni „zlikwidowani" raczej w inny sposób, w obozach sołowieckich i na robotach przymusowych, przy przygotowaniu drzewa dla Anglików i Niemców. Równorzędnie z tą likwi-

dacją publicznego kultu religijnego i jego sług, ma być wzmocniona pozytywna propaganda bezbożnictwa zapomocą prasy, teatru, kina, radja etc. Wszelka zaś obrona religji radykalnie będzie uniemożliwiona, zabrania się bowiem surowo drukowania jakichkolwiek książek treści religijnej, czasopism, książek do nabożeństwa, tudzież wyrabiania przedmiotów religijnych, jak krzyżów, obrazów.

Jak widzimy nic nie zostało pominięte w tym djabelskim planie. Sądząc po dotychczasowym przebiegu walki z religją, bolszewizm nie cofnie się przed realizacją tego planu. W polityce ekonomicznej dopuszcza on pewną zygzatowatość linji, „nepy," „pieredyszki," natomiast na „froncie antyreligijnym" nie cofał się on dotąd. Za kilka lat chce on doprowadzić do tego, by o religji wspominano tylko „z przykrością," jako o zjawisku szkodliwem, któremu ulegało poprzednie pokolenie, ale które ustąpiło przed oświatową pracą komunizmu.

Takie plany układa i urzeczywistnia bezbożnictwo. Jakie plany ma Pan Bóg, dopuszczając do tego, nie wiemy. Wiedzieć powinniśmy wszakże o naszym obowiązku wobec tego pochodu bezbożności i barbarzyństwa. Wszyscy wierzący w Boga, z katolikami w pierwszych szeregach, winni utworzyć także jednolity front nietylko obrony ale i natarcia. Nie rachujmy na kupców, przemysłowców i polityków, jako na obrońców wiary w Boga; w swych stosunkach z Sowietami, dali oni już dosyć dowodów, że nie uczynią nic albo prawie nic dla powstrzymania bezbożnego najścia. Często u siebie w domu kapitulują przed Antychrystem. Świat wierzących uzbroić się musi przedewszystkiem w oręż ducha: w wiarę mocną jak stal i nie ślepą tylko, tradycyjną i bierną, ale oświeconą i zdobywającą, w chrześcijańskie czyny nietylko w domowem zaciszu, ale w realizacji sprawiedliwości społecznej, w odnawianiu wszystkiego w Chrystusie. „Walka o Boga" — oto zawołanie na nasze czasy, program wszystkich naszych narad i organizacyj. Galilejczyk jeszcze raz zwycięży, ale tylko tam, gdzie pod Jego chorągwią staną karne i ofiarne na wszelki trud szeregi.

Ks. Jan Urban T. J.

Archiwa kościelne w Polsce.

Jak w wielu innych dziedzinach, tak również w zakresie opieki na zabytkami pisanemi okazał się Kościół w Polsce pionierem kultury i postępu. Duchowieństwo, które w zaraniu naszych dziejów reprezentowało głównie czynnik inteligentny w pań-

stwie zrozumiało wcześnie znaczenie kulturalne, jak i praktyczne zabytków pisanych, szczególnie o charakterze prawnym, pierwsze podjęło starania o zabezpieczenie swych praw majątkowych i przywilejów zapomocą bulli papieskich, dokumentów książęcych i t. p. i pierwsze też postarało się o troskliwą ochronę tych drogocennych aktów prawnych. Z dążności powyższej wyrosły pierwsze archiwa kościelne, tworzące się naprzód przy ważniejszych instytucjach duchownych, znamienitszych klasztorach, a przedewszystkiem przy kapitułach. Te ostatnie dzięki swemu stanowisku, które zapewniało im poważny udział w zarządzie diecezji, gromadziły w swych zbiorach nietylko archiwalja, dotyczące samej kapituły, ale również wiele dokumentów i akt, odnoszących się do biskupstwa, albo i samej osoby biskupa. Nawet urzędowa, tajna korespondencja ordynarjusza, którą za życia przechowywał u siebie, po śmierci biskupa przechodziła pod opiekę kapituły. To ścisłe zespolenie archiwów kapitulnych i biskupich trwało przez kilka wieków, dopiero pod koniec średniowiecza wyodrębniają się osobne archiwa konsystorskie, których główny zrąb tworzyły księgi rządów biskupich i oficjała, później także wizytacje biskupie, a w czasach najnowszych od końca XVIII w. registratura konsystorska. Pomimo powstania osobnych archiwów biskupich wiele akt, które tam raczej znajdować się powinny, dostawały się nadal do archiwów kapitulnych (np. akta dóbr biskupich). Archiwa klasztorne dorównują starożytnym wiekiem archiwom kapitulnym; zaczęły się tworzyć już w XII wieku. Archiwa parafjalne organizują na dobre dopiero w czasach nowożytnych, niektóre tylko starsze i znamienitsze sięgają początkami swemi XV, a nawet XIV stulecia. Wszystkie archiwa kościelne obejmowały zrazu tylko dokumenty pergaminowe, nieliczne rękopisy, jakie możnaby tu zaliczyć (roczniki, opisy cudów i t. p.) miały raczej charakter bibljoteczny. Zresztą archiwum ówczesne łączyło się ściśle z bibljoteką i razem z nią było przechowywane w skarbcu. Dopiero od XV w. przybywają manuskrypty ściśle archiwalne o charakterze historyczno-prawnym (księgi sądowe, protokóły sesyj kapitulnych, zbiory statutów, kopjarjusze dokumentów, księgi bractw i t. p.) lub gospodarczym (księgi rachunkowe, wizytacje dóbr, inwentarze majątkowe i t. d.). Od XVI w. pojawiają się po parafjach księgi metrykalne, niezwykle cenny materjał dla dziejów statystyki ludnościowej. Niestety starsze materjały z XVI i XVII w. dochowały się jedynie fragmentarycznie, dopiero z XVIII stulecia posiadamy pełniejsze zasoby. Rzecz zrozumiała; starsze księgi metrykalne nie były potrzebne dla celów praktycznych, więc jako nieużyteczny balast leżały w zaniedbaniu i ulegały łatwo zniszczeniu. Nadto materjały powyższe znajdowały się przedewszystkiem po archiwach parafjalnych, a te nie były i nie są dotąd należycie zabezpieczone przed zwykłymi wrogami wszelkich zbiorów rękopiśmiennych,

jako to ogień, wilgoć i wandalizm ludzki. Na tę niedostateczną ochronę zabytków piśmiennych na prowincji zwrócono już wcześnie uwagę i starano się zapobiec grożącym stąd niebezpieczeństwom. Biskup krakowski Bernard Maciejowski w swym głośnym liście pasterskim z pocz. XVII w. poleca, by przywileje i akta fundacyjne pomniejszych kościołów składano w archiwum katedralnem, lub jakiejś pobliskiej kolegjacie, na miejscu zaś miano zostawić urzędowy odpis odnośnych dokumentów, przynajmniej zaś powinno się wpisać dotyczące dyplomy w akta ordynarjatu. Mamy tu zatem częściową koncepcję centralnego archiwum diecezjalnego, która obecnie jest aktualnym postulatem nauki w dziedzinie archiwistyki kościelnej. Podobne idee występują w postanowieniach licznych synodów diecezjalnych, jak chełmskiego z lat 1604 i 1624, przemyskiego 1621, wrocławskiego 1641, wileńskiego 1669, poznańskiego 1642 i 1720 i t. d. W praktyce koncentrację archiwaljów parafjalnych przeprowadzono częściowo jedynie w Wilnie, niemniej same usiłowania w tym kierunku zasługują na podkreślenie. Tendencje powyższe nie zmierzały zresztą bynajmniej od skasowania archiwów parafjalnych, toteż ustawodawstwo synodalne zajęło się wcale gorliwie należytem urządzeniem tychże i innych archiwów kościelnych. Czuwano nad prawidłowem prowadzeniem ksiąg parafjalnych, nakazywano utrzymywać w ewidencji dobra beneficjalne, wreszcie wydawano szczegółowe przepisy porządkowe i organizacyjne, z których najlepsze, wydane na synodzie diecezjalnym w Żytomierzu (1762) pochodzą od biskupa kijowskiego Józefa Andrzeja Załuskiego. Poza tem sami biskupi i kapituły wydawały różne dekrety reformacyjne i statuty, które zmierzały do lepszego zabezpieczenia zbiorów archiwalnych, zarządzały perjodyczne rewizje archiwów, żądały ich inwentaryzacji i t. p. Dzięki wszystkim powyższym zarządzeniom, w znacznej części wykonanym, archiwa ważniejszych instytutów kościelnych znajdowały się za dawnej Rzeczypospolitej naogół w dobrym stanie (wyjąwszy lata zawieruchy wojennej, które dały się we znaki szczególnie na Kresach Wschodnich) i nie ustępowały pod względem porządku zupełnie archiwom świeckim, ziemskim i grodzkim, o ile ich w tym względzie nie przewyższały. Dopiero rozbiory i późniejsze zarządzenia władz państwowych, sięgające głęboko w życie wewnętrzne Kościoła, odbiły się fatalnie na stanie archiwów kościelnych. Najmniej jeszcze ucierpiały archiwa tych instytutów kościelnych (głównie biskupstwa, kapituły), które przetrwały zawieruchę. Natomiast archiwa klasztorne poniosły ciężkie straty wskutek kasaty licznych klasztorów, przeprowadzonej na szeroką skalę przez władze zaborcze. Najlepiej wyszły stosunkowo archiwa klasztorne pod zaborem pruskim, bo zostały w znacznej części włączone do zbiorów państwowych i dzięki temu ocalały. Natomiast archiwa klasztorne pod zaborem rosyjskim, (częściowo także z zaboru austrjackiego i pruskiego) roz-

prószyły się przeważnie po różnych zbiorach państwowych, kościelnych i prywatnych, przyczem poważna ich część uległa zniszczeniu.

Po odzyskaniu niepodległości ujawniła się niebawem zdrowa tendencja do lepszej organizacji archiwów kościelnych w Polsce. Pobudzająco działał tu nietylko przykład archiwów państwowych, coraz lepiej się organizujących, lecz również wpływ ogólnego ustawodastwa kościelnego i zarządzeń Stolicy Apostolskiej. Centralne władze kościelne od czasu soboru trydenckiego wykazują szczególnie żywe zainteresowanie dla spraw archiwalnych. Naprzód na wzmiankę zasługują postanowienia o ochronie archiwów wydane przez św. Karola Boromeusza, arcybiskupa Medjolanu w r. 1565. Tą samą sprawą zajęły się niebawem bulla Piusa V, „Muneris nostri" z r. 1571, konstytucja „Provida" Sykstusa V z r. 1587 i pismo Kongregacji Concilii z r. 1626. Najgorliwszego zaś rzecznika znalazły archiwa kościelne w osobie papieża Benedykta XIII, który jeszcze jako arcybiskup Benewentu okazał wiele troskliwości o ochronę zabytków pisanych, a później, osiągnąwszy najwyższą godność w Kościele, wydał w r. 1727 dla całych Włoch szczegółowe przepisy o organizacji archiwów kościelnych. Przepisy te, trafnie przemyślane, nie straciły dotąd na aktualności i dzięki temu najważniejsze postanowienia weszły do nowego kodeksu prawa kanonicznego, który normuje sprawy archiwalne w kanonach 304 § 1, 375—384 i 410 § 4. Zajmują się one głównie archiwami kurji biskupiej i zawierają przepisy, zmierzające do ochrony ich zawartości przed zatratą lub wykorzystywaniem przez osoby niepowołane.

Państwo polskie uznało te przepisy jako dotyczące wewnętrznej administracji kościelnej w art. 114 konstytucji i w konkordacie. Ten ostatni zapewnia też władzom państwowym pewien wpływ na sprawę utrzymywania archiwów kościelnych. Mianowicie w każdej diecezji ma powstać komisja, mianowana przez biskupa w porozumieniu z właściwym ministrem dla ochrony w kościołach i lokalach kościelnych starożytności, dzieł sztuki, dokumentów archiwalnych i rękopisów o wartości historycznej lub artystycznej. Wedle rozporządzenia ministra W. R. i O. P. z 19 grudnia 1925 te komisje mieszane składają się z ordynarjusza jako przewodniczącego i czterech osób, mianowanych za zgodą ministra, wśród których znajdować się powinien państwowy konserwator zabytków sztuki i kultury lub inny przedstawiciel Ministerstwa W. R. i O. P. Późniejsze rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 6 marca 1928 zapowiada pewne zmiany (dotąd nie uskutecznione) w składzie i kompetencji tych komisyj. W związku z powyższemi możliwościami sfery naukowe i fachowe archiwalne wysuwają postulat, aby w skład powyższych komisyj wchodził na przyszłość również delegat z Wydziału archiwów państwowych. Współpraca wybitnych fachowców świeckich

w zakreste konserwacji zabytków i archiwistyki wyjdzie napewno na korzyść zbiorom kościelnym i będzie też niezawodnie mile przyjętą przez nasze władze duchowne.

Gdy na Stolicy Piotrowej zasiadł były prefekt Ambrosiany i Bibljoteki Watykańskiej, nie mógł pominąć tak ważnej dla Kościoła i ogólnej kultury sprawy opieki nad zasobami archiwalnemi i bibljotecznemi. Toteż już w drugim roku Jego pontyfikatu, dnia 15 kwietnia 1923 r. Sekretarjat Stanu wydaje okólnik do biskupów włoskich, wzywając ich do należytego urządzenia archiwów i bibljotek kościelnych, ponieważ jest to najchlubniejszy i najszlachetniejszy gatunek dóbr kościelnych.

„Spuściznę tę — pisze kardynał Sekretarz Stanu, — która tak wymownie świadczy o zasługach i potędze Kościoła, o wierze i pobożności przodków, o ich kulturze i dobrym smaku, którą świat cały tak wysoko ceni, powinniśmy zachować i potomnym przekazać w dobrym stanie; obowiązani jesteśmy mądrze nią zarządzać, aby to wszystko wyszło na korzyść religji, nauki i sztuki; w przeciwnym razie my jako posiadacze tych skarbów zamiast chwałę sobie pozyskać, raczej hańbą obarczymy nasze imiona, prowokując zarazem umysły do tem większej niechęci względem Kościoła i duchowieństwa". Do powyższego okólnika dołączono obszerną i doskonale obmyśloną instrukcję bibljoteczną i archiwalną, która, chociaż przeznaczona dla biskupów włoskich, może bardzo dobrze dostarczyć światłych wskazówek przy urządzaniu archiwów i bibljotek kościelnych w innych krajach. Między innemi okólnik zaleca organizowanie centralnych archiwów diecezjalnych, gdzie należałoby złożyć wszelkie archiwalja zagrożone niebezpieczeństwem zniszczenia, w szczególności starsze metryki parafjalne z przed 150 lat już niepotrzebne dla celów parafjalnych i dlatego narażone na zaniedbanie i zatratę.

Głos, płynący z wyżyn papieskiego tronu, nie przebrzmiał w Polsce bez echa. W poszczególnych diecezjach przystąpiono do lepszego urządzenia spraw archiwalnych, a gdzieniegdzie zaczęto nawet realizować koncepcję centralnych archiwów diecezjalnych, które prócz podanych wyżej korzyści ułatwiają w wysokim stopniu wykorzystywanie materjałów archiwalnych dla celów naukowych. Prym wiedzie w tym kierunku Poznań. Tutaj ś. p. kardynał Dalbor powołał do życia archiwum archidiecezji poznańskiej jako odrębną instytucję i przeznaczył na jej potrzeby duży, dwupiętrowy gmach po dawnej akademji biskupa Lubrańskiego, przystosowany do celów archiwalno-bibljotecznych. Archiwum diecezji poznańskiej, na czele którego stoi w charakterze dyrektora ks. E. Majkowski, zawiera połączone zbiory z trzech archiwów, kapituły metropolitalnej poznańskiej, konsystorza i ordynarjatu biskupiego. Nadto ściąga się w charakterze depozytów starsze archiwalja parafjalne i niektóre klasztorne. Wzorowo urządzone archiwum archidiecezji poznańskiej cieszy się liczną

frekwencją w swej pracowni i może się już poszczycić wcale długim szeregiem prac naukowych, opartych na swych cennych materjałach.

Drugi przykład godzien naśladowania dała diecezja przemyska obrządku łacińskiego. Archiwa tamtejsze zyskały życzliwego rzecznika w osobie ks. biskupa-ordynarjusza A. Nowaka, przedewszystkiem zaś znalazł się tam człowiek całą duszą oddany sprawie ochrony kościelnych zabytków rękopiśmiennych, niezmordowany dyrektor archiwum diecezjalnego ks. dr. Jan Kwolek, zarazem niestrudzony propagator idei naukowej organizacji archiwów diecezjalnych. Archiwum przemyskie zostało umieszczone w nowym gmachu kurji diecezjalnej, gdzie posiada obszerny lokal i pracownię naukową. Dotąd ściągnięto niemal wszystkie starsze archiwalja parafjalne po r. 1772. Ogółem zebrano do 1 stycznia 1932 dokumentów pergaminowych 217 od XIV w. i 1940 ksiąg. Cały ten poważny zasób został już uporządkowany i zinwentaryzowany. Archiwum kapituły przemyskiej pozostało odrębną instytucją.

Na zaszczytne wyróżnienie zasługuje dalej Płock, gdzie ks. arcybiskup A. Nowowiejski wystawił okazały gmach dla bibljoteki seminaryjnej i pomieścił tam również archiwum diecezjalne. Przeniesiono do niego akta starsze, z przed XIX wieku, i tylko akta wieku ubiegłego i bieżącego pozostawiono przy konsystorzu, utrzymywane także we wzorowym porządku dzięki skrzętności i systematyczności ks. prałata P. Dmochowskiego.

Za przykładem Poznania, Płocka i Przemyśla poszedł ostatnio Lwów; świeżo powstało tam mianowicie archiwum archidiecezjalne obrządku łacińskiego. W skład jego weszły: 1) archiwum konsystorza lwowskiego, zawierające dokumenty, księgi konsystorskie od r. 1482, akta wizytacyjne i obfitą registraturę konsystorską od r. 1787; 2) archiwum zarządu dóbr arcybiskupich (14 ksiąg) i 3) starsze archiwalja parafjalne, ściągnięte prawie w komplecie z uznania godną energją. Uratowano w ten sposób od pewnej niemal zagłady 34 dokumentów pergaminowych (z lat 1441—1668), 1026 ksiąg (w tem księgi metrykalne od pocz. XVII w.) i 61 fascykułów.

Z pośród archiwów kapitulnych zupełnie uporządkowanem (ostatnio w r. 1921 przez Dra St. Zajączkowskiego) jest archiwum kapituły metropolitalnej obrządku łacińskiego we Lwowie. Zawiera ono dokumenty pergaminowe od poł. XIV w., protokoły sesyj kapituły 1511—1839, statuty kapitulne, księgi majątkowe dóbr kapitulnych, księgi kancelarji kapitulnej od końca XVIII w., wreszcie księgi i akta, dotyczące kościoła katedralnego, kolegjów wikarjuszy, mansjonarzy, bractw istniejących przy katedrze i t. d. Z pośród archiwów parafjalnych jedno tylko, coprawda może najcenniejsze, mianowicie kościoła N. P. Marji w Krakowie jest

dokładnie co do treści znane dzięki katalogowi, sporządzonemu w r. 1915 przez E. Długopolskiego.

O ile chodzi o klasztory, to należy wyrazić uznanie dla konwentu OO. Cystersów w Mogile pod Krakowem, który za staraniem przeora O. Gerarda Kowalskiego i przy współdziałaniu Dra Kaczmarczyka (obecnego dyrektora archiwum państwowego w Poznaniu) doprowadził do porządku owe zasoby archiwalne i biljoteczne; o ich bogactwie świadczy najlepiej katalog wydany 1919 przez obydwóch wspomnianych autorów. Za przykładem Mogiły przystąpił po wojnie do uporządkowania swego archiwum klasztor OO. Paulinów na Jasnej Górze, powołując do współpracy ks. prof. Fijałka z Krakowa, a później dyrektora Kaczmarczyka z Poznania. Praca ta jest już w głównym zarysie ukończona, dzięki czemu można się zorjentować w bogatych zasobach tego archiwum, które prócz akt samego konwentu częstochowskiego od XIV stulecia obejmuje nadto archiwalja polskiej prowincji zakonu Paulinów od połowy XVII w. oraz akta 26 konwentów paulińskich w Polsce, które skoncentrowano w Częstochowie w ciągu XVII i XVIII stulecia.

Miejmy nadzieję, że za przykładem podanych wyżej instytucyj pójdą zczasem również inne diecezje, kapituły i klasztory, porządkując i udostępniając swe zbiory. Akcja ta wymagać będzie niezawodnie pewnych ofiar pieniężnych na urządzenie i dotację archiwów, wyszkolenie, utrzymanie odpowiednich archiwistów, trzeba się będzie jednak kiedyś, gdy obecny kryzys minie, zdobyć na te ofiary, gdyż wymaga tego bezwzględnie interes i honor Kościoła oraz dobro ogólnej kultury narodowej.

Mieczysław Niwiński.

Starożytność i chrześcijaństwo.

Jednym z najwybitniejszych i najgłębszych badaczy historji pierwszych wieków chrześcijaństwa tudzież historji porównawczej religij jest niemiecki ksiądz Franciszek Józef Dölger, od kilku lat profesor historji kościelnej i archeologji na uniwersytecie w Bonn (przedtem w Münster w Westfalji). Bez przesady można nazwać go ojcem nowej metody w badaniu historji pierwotnego chrześcijaństwa i patrzenia na nie; on to w szerokiej mierze umiał wyzyskać w tym celu wyniki badań archeologicznych i wiele ciemnych punktów w ten sposób wyjaśnił. Opracowując w ten sposób wyniki dociekań archeologicznych jak również zabytki piśmiennictwa pierwszych stuleci naszej ery, zarówno świeckiego jak kościelnego, którego jest doskonałym znawcą, ks. Dölger podjął zamiar nakreślenia rzeczywiście nowego obrazu historji wczesnego chrześcijaństwa, poczynając od chwili zjawienia się jego na grun-

cie helleńsko-rzymskim i spotkania się z ideami religijnemi i kulturą świecką owego świata.

Dzieło ks. Dölgera jest niezmierne. Znalazło ono uznanie nietylko wśród uczonych katolickich, ale nie mniejsze i nie mniej szczere ze strony protestanckiej i liberalnej. Głównem jego dziełem, które można uważać za punkt kulminacyjny w tego rodzaju poszukiwaniach, jest słynny „Ichtys," o którem pisaliśmy już w swoim czasie na tem miejscu. Ks. prof. Dölgerowi powiodło się stwierdzić w sposób decydujący, że symbol ryby w chrześcijaństwie starożytnem przedstawiał Eucharystję, tudzież że został użyty w tym celu świadomie jako przeciwieństwo do kultur pogańskich, w których ofiara ryby odgrywała wielką rolę. To znakomite dzieło ma obejmować pięć wielkich tomów, z których dotąd ukazały się cztery, a piąty jest oczekiwany z niecierpliwością przez świat uczony.

Innem dziełem niepospolitem jest „Sol salutis" — rezultat rozległych badań nad liturgją pierwszych wieków.

Kiedy uczony tej miary, co prof. Dölger, zakłada czasopismo, to tego rodzaju publikacja musi zainteresować nawet nie fachowców. Nasz uczony miał szczęście znalezienia wydawcy zarówno umiejącego ocenić wartość jego badań, jak i hojnego. Publikacja *Antike und Christentum* została powołana do życia jako organ wyłączny ks. Dölgera, w którym co kwartał ogłasza on wyniki swych ostatnich badań. Wydawcą tego kwartalnika jest firma Aschendorff w Münster w Westfalji.

O celu czasopisma poucza sam ks. D. w przedmowie do pierwszego tomu. Przewodnim tematem całej jego pracy jest to, co on nazywa „Auseinandersetzung" chrześcijaństwa z starożytną kulturą pogańską. Owa Auseinandersetzung w dziedzinie idei i kultu religijnego mogła być tylko bezwzględną negacją pogaństwa. Lecz mogła być także pewnego rodzaju przystosowaniem się chrześcijaństwa i takie przystosowanie się rzeczywiście zachodziło, o ile nie stały temu na przeszkodzie właściwe wierzenia religijne. W ten sposób nawet zewnętrzne ceremonje kultu, formuły, zwyczaje i obyczaje życia rodzinnego, towarzyskiego i obywatelskiego, wreszcie formy artystyczne z pogaństwa zostały przejęte przez chrześcijaństwo już to świadomie, już to nieświadomie, niekiedy bez oporu, kiedyindziej po gorącem zwalczaniu przez chrześcijan, którym wydawały się niezgodnemi z nową religją Boskiego Zbawiciela. Właśnie przedewszystkiem z punktu widzenia owego przystosowania ks. Dölger opracowuje w swym kwartalniku historję liturgji, dogmatów, archeologję i patrologję. W ramy tego programu wkłada on wiele tematów specjalnych: język liturgiczny, terminologję chrześcijaństwa i jej zależność od języka potocznego i naukowego starożytnego świata, pozostałości pojęć prawnych pogańskich w krajach, które zostały pozyskane

dla chrześcijaństwa, wpływ medycyny naukowej i ludowej na zapatrywania chrześcijan na choroby, i wiele, wiele innych.

Nie bez pewnej słuszności zarzucano naszej historji pierwotnego Kościoła, że była ona prawie wyłącznie historją misyj, prześladowań i herezyj. Prof. Dölger w swych rozległych badaniach i w szczególności w swoim kwartalniku usiłuje urzeczywistnić inne rozszerzone pojęcie historji kościelnej. Chce on nam ukazać i pomóc zrozumieć życie wewnętrzne pierwotnego Kościoła, o którem do niedawna wiedzieliśmy niewiele. Bardzo słusznie przypomina on, że dotąd naprzykład nie wiedzieliśmy prawie nic o obyczajach i zwyczajach życia domowego chrześcijan starożytnych. Słowem, ks. Dölger pracuje niezmordowanie nad tem, by stworzyć historję żywą Kościoła pierwszych wieków.

Dr. A. H.

Rekolekcje dla kapłanów, w Domu rekolekcyjnym ks. ks. Jezuitów w Dziedzicach na Śląsku w 1932 roku.

SERJA I. Początek dnia 4 lipca, godz. 19-ta; zakończenie dnia 8 lipca rano.

SERJA II. Tygodniowe rekolekcje dla kapłanów świeckich i zakonnych. Początek w poniedziałek dnia 11 lipca o godz. 17-tej Veni Creator i 1-a wstępna medytacja. Po kolacji o godz. 20-tej 2-a medytacja. Następnie rekolekcje trwać będą od wtorku aż do soboty. Zakończenie w sobotę dnia 16 lipca o godz. 12 w południe. Wszyscy uczestnicy rekolekcyj winni być już na wstępnej medytacji w poniedziałek.

SERJA III. Pocz. dnia 1 sierpnia. godz. 19; zakończenie dnia 5 sierpnia rano.

SERJA IV. Początek we wtorek dnia 16 sierpnia, godz. 19; zakończenie w sobotę dnia 20 sierpnia rano.

SERJA V. Dla WW. Ks. Prefektów. Początek dnia 22 sierpnia, godz. 19; zakończenie dnia 26 sierpnia rano.

SERJA VI. Początek dnia 26 września, godz. 19; zakończenie dnia 30 września rano.

SERJA VII. Początek dnia 10 października, godz. 19: zakończenie dnia 14 października rano.

SERJA VIII. Początek dnia 7 listopada, godz. 19; zakończenie dnia 11 listopada rano.

SERJA IX. Początek dnia 21 listopada, godz. 19; zakończenie dnia 25 listopada rano.

Bardzo uprasza się o wczesne zgłoszenia, które przyjmuje:

Ks. J. Bok T. J
Superjor Domu

Dziedzice, Śląsk.
Tel. 67.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 2 lipca 1932.

Logika a logika tradycyjna i logika matematyczna.

I.

EN ARCHE EN HO LOGOS, KAI HO LOGOS EN PROS TON THEON KAI THEOS EN HO LOGOS. Io. I. 1.

Co to jest ta logika, czy ta logika bez dodatku w nazwie, czy ta logika tak zwana tradycyjna, czy ta logika matematyczna, czy wogóle jakaś logika?

Zanim się zabiorę do roboty niezbędnej do zdania sobie sprawy z tego pytania i niezbędnej do dania ewentualnie na nie odpowiedzi, chcę z obecnych mych rozważań wykluczyć *a limine* rozważania czegoś takiego, czemu dawano czy daje się nazwę logiki materjalnej, teorji poznania, krytyki poznania. Chcę tu mówić wyłącznie o takiej logice czy takich logikach, której czy których nazwa przydawkę ma domyślną, jeśli nie wymienioną wyraźnie: formalna. Więc pytanie moje początkowe odnosi się do logiki formalnej wogóle czy do logiki formalnej tradycyjnej czy do logiki formalnej tak zwanej matematycznej. Umawiam się zatem: przy wyrazie „logika" w tych moich rozważaniach domyślną zawsze jest przydawka „formalna". Zobaczymy w toku rozważań, jak istotnym dla logiki wszelakiej jest ten jakiś jej charakter formalny.

Otóż pytanie jest przed nami: co to jest logika? — Kiedy się ma do czynienia z nazwą jakiejś nauki, ma się zazwyczaj jakąś skłonność czy ochotę upatrywania związku między etymologją nazwy a samą nauką nazwę tę noszącą, między znaczeniem tego *etymon* nazwy a znaczeniem przed-

miotu tej nauki. Zwracam na to uwagę, że upatrywanie tego związku a zwłaszcza kładzenie nań nacisku nieraz bardzo jest zawodne i raczej przyciemniające jasność pojęcia przedmiotu właściwego tak a tak nazwanej nauki. Przykłady takiej zawodności dałyby dociekania związków między etymami nazw a znaczeniami przedmiotów nazwanych nauk: metafizyka, filozofja, filologja, geometrja, matematyka, fizjologja, fizyka etc. Nazwa „logika" pod względem etymologicznym o wiele korzystniej, jak wnet zobaczymy, odpowiada celowi zastanawiań się nad pytaniem: „Co to jest logika"; pod tym względem należy do przykładów takich nazw, jak: arytmetyka, kinetyka, botanika. Ale nieporównanie ważniejsze dla rozważań nad definicją nauki danem mianem nazywanej jest należyte uwzględnienie tła historycznego, na którem przejawia się wprowadzanie i używanie nazwy danej nauki. Pod tym względem szczęśliwie dla nas przedstawia się nazwa „logiki".

Wyraz ten „logika" jest oczywiście żywcem wzięty z greckiego wyrazu HE LOGIKE (dom.: EPISTEME czy TECHNE); zatem nazwa naszej nauki urobiona z greckiego przymiotnika LOGIKOS, -E, -ON. To ETYMON wyrazu LOGIKOS jest LEG- czy (na wyższym stopniu wokalizacji) LOG-. Etymon LEG-LOG jest podstawą urobienia tak czasownika LEGEIN, którego znaczenie „mówić" tu nas pierwszorzędnie obchodzi, jak rzeczownika LOGOS o dwu zasadniczych znaczeniach: mowy, powiedzenia i myśli, rozumienia, mowie czy powiedzeniu odpowiadającego. Znaczenie przymiotnika LOGIKOS historycznie rozwija się właśnie na tem drugiem znaczeniu rzeczownika, od którego bezpośrednio zdaje się pochodzić, na znaczeniu LOGOS jako rozumieniu czy jako myśli odpowiadającej powiedzeniu, mowie, słowu wypowiedzianemu (więc rzeczownikowi LOGOS w pierwszem jego znaczeniu).

Ten związek semantyczny między mową-LOGOS a LOGOS-myślą, mowie tej odpowiadającą, jest jakby kamieniem węgielnym, od którego historycznie zaczęła się i około którego historycznie obraca się logika jako nauka w swej genezie i w swoim rozwoju od początku aż do czasów obecnych jej najwyższego i zadziwiającego rozkwitu. To też wart

on bacznego weń wejrzenia naszego. A to nasze pilniejsze nad nim się zastanowienie ułatwi nam, czy mnie, danie odpowiedzi na stojące przed nami pytanie: „Co to jest logika, jaki jest właściwy przedmiot tak nazwanej nauki?".

Kiedy człowiek, mniej lub więcej rozumnie, wypowiada czy słowo jakie czy zdanie jakie, wtedy to wypowiedzenie poprzedza czy wypowiedzeniu temu towarzyszy, czy po niem następuje, pomyślenie tego człowieka jakieś o tem, co wypowiedział czy wypowiada czy wypowiedzieć się zabiera, jakieś lepsze czy słabsze rozumienie tej wypowiedzi. W pomyśleniu czy rozumieniu wyróżnić trzeba czynność psychiczną pomyślenia czy rozumienia od produktu tej czynności, od myślowego tworu, od tego, co filozofja świętego Tomasza z Akwinu nazywa *verbum mentis*. Niech mi będzie wolno ten produkt myślowy, ten twór myślowy, to scholastyczne *verbum mentis* nazwać fikcją logiczną. Otóż, kiedy się mówi o związku między słowem wypowiedzianem a myślą, to przez wyraz „myśl" rozumiem tę fikcję logiczną, którą tworzy (myślowo) człowiek słowo owe wypowiadający czy wypowiedziane lub napisane rozumiejący.

Żeby oswoić się z pojęciem tu teraz wprowadzonem fikcji logicznej, żeby to pojęcie sobie wyrobić, dojść do możliwej jego jasności i przejrzystości, żeby ułatwić przyswojenie sobie tego dla logiki nad wszystkie inne pojęcia ważniejszego i najniezbędniejszego, zanalizujmy parę historycznych a typowych przykładów pewnych fikcyj logicznych. Pierwszy przykład daje nam klasyczne adagjum scholastyczne o przedmiotach ogólnych; adagjum to brzmi: *universalia sunt formaliter in intellectu, fundamentaliter in rebus*, czyli po polsku: przedmioty ogólne są jako takie w umyśle, a podstawy ich są w rzeczach. Otóż przedmiot ogólny, którego pojęcie (pojęcie ogólne) jest czemś takiem, bez czego żadnej nauki pomyśleć się nie da, ten przedmiot ogólny, wszelki przedmiot ogólny (człowiek, ptak, owad, trójkąt, linja, liczba etc.) jest w ścisłem tego słowa znaczeniu (wyżej wskazanem) fikcją logiczną, choć podstawę swą i podstawę urabiania ich pojęć ma w świecie rzeczywistości, w tych związkach, relacjach rzeczywistych, jakie zachodzą

między rzeczywistemi jednostkami ludzkiemi, między rzeczywistemi jednostkami świata zwierzęcego, między rzeczywistemi relacjami przestrzennemi, między rzeczywistemi relacjami arytmetycznemi, a innemi relacjami, a resztą świata. Te podstawy są rzeczywiste rzeczywistością świata rzeczywistości czy wszechświata.

Drugi przykład fikcyj logicznych dadzą nam scholastyczne *entia rationis*, takie przedmioty nierzeczywiste, jak braki, negacje, niedobory etc., przedmioty rzeczywiste na modłę przedmiotów rzeczywistych myślowo konstruowane *(ad modum entium considerata)*.

Innym przykładem fikcyj logicznych są wszelkie tak zwane koncepcje, idee, myślowe konstrukcje, tak zwane pomysły, przypuszczenia, domysły, hypotezy, teorje etc. Warto się będzie trochę dłużej zastanowić nad tego rodzaju fikcjami logicznemi.

Kiedy tu mówię „koncepcja", to nie mam na myśli tego jakiegoś przeżycia psychicznego, tej jakiejś czynności psychicznej, która się odbywa w jednostce psychicznej, w jej świadomości, lecz mam na myśli coś innego. Podobnie, kiedy tu mówię „fikcja", to nie mam na myśli tej jakiejś czynności psychicznej, która się odbywa w świadomości pewnej jednostki psychicznej pewnego człowieka, f i n g u j ą c e g o, myślowo konstruującego, tworzącego, lecz mam na myśli wtedy coś innego. To coś innego, co mam na myśli operując wyrazami „fikcja", „koncepcja", etc., to właśnie jest ten twór myślowy, ten wytwór, ten produkt myślenia, który nie jest czemś rzeczywistem, lecz jedynie myślową modłą, sposobem myślowym u j m o w a n i a (naturalnie, myślowego) rzeczywistości czy jakiegoś przedmiotu rzeczywistego. Mamy tu relację trzyterminową:

Czynność psychiczna koncypowania czy fingowania myślowego.	—— Fikcja logiczna, koncepcja jako myślowy produkt koncypowania.	—— Rzecz.

Identyfikowanie fikcji logicznej z czynnością psychiczną, z koncepcją jako rzeczywistem przeżyciem umysłu czy jednostki psychicznej, doprowadza do groźnego pod względem filozoficznym błędu, t. zw. p s y c h o l o g i z m u. Identyfikowanie

fikcji logicznej z rzeczą, którą umysł po swojemu myślowo w tej fikcji ujmuje, doprowadza do groźnego pod względem filozoficznym błędu, t. zw. idealizmu i t. zw. ontologizmu.

Jeszcze jeden podam przykład historyczny, dużo, sądzę, światła rzucający na fikcję logiczną. Wiadomo (ludziom wierzącym) z wiary, że człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo Boże. Oczywiście, skoro Bóg jest żywym, osobowym, duchem szczerym, przeto podobieństwo człowieka - stworzenia do Boga - Stwórcy może być tylko ANA LOGON tego Bożego osobowego życia duchowego. I znów niewielebyśmy o tej analogji wiedzieli, gdyby wiara nam nic nie powiedziała o tej Tajemnicy Tajemnic, o Tajemnicy Przenajświętszej Trójcy, o tych Trzech Osobach, z których każda jest tym samym co do natury Bogiem, a Troistość ich jest Troistością odwiecznej przetajemnej relacji Boga - Ojca do Boga - Syna, a Boga - Ojca i Boga - Syna do Boga - Ducha Świętego. Co w analogji duchowego życia ludzkiego odpowiada Duchowi Świętemu i tej odwiecznej przetajemnej Relacji Osobowej dwu pierwszych Osób Przenajświętszej Trójcy do trzeciej Osoby, od nich pochodzącej, tego z dokumentów wiary tak wyraźnie dotąd nie umiemy wyrozumieć, ale dobrze wiemy z tychże dokumentów wiary o tem, co w analogji życia duchowego ludzkiego z przetajemnem życiem Trójcy Przenajświętszej odpowiada Bogu - Synowi i pochodzeniu odwiecznemu Boga - Syna od Boga - Ojca.

Otóż w dokumentach wiary Bóg - Syn nazywa się LOGOS (podobnie u Neoplatoników), w łacińskim przekładzie Verbum, w polskim Słowo. Początek Ewangelji świętego Jana wyraźnie mówi o tem właśnie Słowie, że *Słowo było u Boga, a Bogiem było Słowo.* Analogicznie do tego Słowa-Boga, rodzącego się wieczyście z Umysłu Boga - Ojca, w życiu umysłowem ducha ludzkiego z tego umysłu, z jego myślenia rodzi się myśl, słowo myśli. Osobowy Umysł Pierwszej Osoby Trójcy Przenajświętszej to Bóg, Boską swą naturę identycznie tę samą posiadający z Osobowem Słowem Drugiej Osoby Trójcy: tu oczywiście analogja z umysłem stworzonym i z słowem - myślą przez ten umysł spłodzoną ustaje, boć umysł stworzony tak jak własną swoją naturę

ma nie od siebie, lecz z nicości wywołaną przez boską twórczą potęgę, tak nie jest mocen przelać jej na myśl swoją, lecz ten jego twór, ta myśl-słowo nie jest już rzeczą, nie jest rzeczywistym przedmiotem, jest jedynie produktem koncepcji myślowo ustalonym, więc fikcją logiczną.

Ale analogja między fikcją logiczną a Bogiem-Słowem znów w swej pełni występuje, kiedy się sobie uprzytomni to, co o Bogu-Słowie pisze w trzecim zaraz wierszu swojej Ewangelji św. Jan: „Wszystko się przez nie [Słowo] stało, a bez niego nic się nie stało, co się stało", i kiedy się uwzględni rolę fikcyj logicznych, koncepcyj, teoryj, etc., w życiu duchowem, w życiu umysłowem człowieka. Podobnie jak wszelkie działanie Boże nazewnątrz jest dziełem Trójcy Przenajświętszej, bo dziełem potęgi tego jedynego Boga, którym jest Trójca, a cokolwiek się stało, o ile Panu Bogu podobało się świat stworzyć, stało się i przez Ojca i przez Syna i przez Ducha Świętego, a nic się nie stało bez Ojca, bez Syna, bez Ducha Świętego, tak wszelkie działanie ludzkie, o ile jest rozumne i z woli rozumnej wynikające, nie jest możliwe bez myśli, bez myślnego słowa, bez koncepcji, bez fikcji logicznej.

Różnice między Słowem-Bogiem a słowem-fikcją logiczną są m. i. takie: Słowo-Druga Osoba Trójcy istnieje, jest rzeczywiste rzeczywistością tak Boskiej Natury, jak i rzeczywistością tej Relacji Osobowej Drugą Osobę Trójcy stanowiącej; fikcje logiczne są, lecz nie istnieją, bo nie są jednostkami, indywiduami; są one czemś nierzeczywistem; Bóg-Słowo jest jeden, słowa-myśli, fikcje logiczne są mnogie tak mnogością jednostek psychicznych, te fikcje tworzących, lecz także mnogością przeżyć psychicznych tej samej jednostki psychicznej coraz to nowe koncepcje tworzącej.

Na zakończenie uwag o fikcji logicznej chcę jeszcze usprawiedliwić jakiem słówkiem to moje klasyfikowanie fikcyj logicznych, włączające je do klasy przedmiotów. Otóż w tem rozszerzeniu pojęcia przedmiotów, tak iżby obejmowało ono nietylko rzeczy, w szczególności nietylko konkretne rzeczywiste przedmioty jednostkowe, przyświeca mi myśl i intencja, aby wszystko to, o czemkolwiek się mówi jako o czemś, miało wspólne miano dla dogodności wyrażania

się: mówi się o czemś możliwem, o czemś niemożliwem, o czemś nawet sprzecznem, choćby i o „niczem", niechże i to coś możliwego, choć nie jest niczem rzeczywistem, i to coś niemożliwego i to coś sprzecznego, i to nawet „nic", nosi miano przedmiotu. Nie myślę, że ta propozycja obraża w czemkolwiek zasadniczem klasę przedmiotów rzeczywistych. Ta więc nowa klasa klas obejmuje tak klasę przedmiotów rzeczywistych, jak i klasę abstrakcyj, koncepcyj, fikcyj logicznych, jak i klasę przedmiotów możliwych (tylko możliwych, nie istniejących w rzeczywistości), jak nawet i i klasę przedmiotów sprzecznych (a więc i kół kwadratowych).

Teraz rozejrzmy się w tym materjale, jaki nam daje mowa pewnego z języków na dość wysokim stopniu kultury, naszego dajmy nato ojczystego języka. Przypatrzmy się nieco temu bogactwu wyrazów, kompleksów wyrazów, zdań i kompleksów zdań. Zdajemy już sobie sprawę z tego, że wyrazy i zdania coś znaczą, mają pewien sens, i że tym wyrazom mowy i zdaniom odpowiadają te przedmioty nierzeczywiste, przez umysł ludzki tworzone, te t. zw. fikcje logiczne. Tym fikcjom logicznym, jak i wyrazom i zdaniom mowy odpowiadają znów w świecie (rzeczywistym) rzeczywiste przedmioty, pewne indywidua i pewne związki, pewne prawa, relacje, tak wiążące to, o czem jest mowa, jak i samą mowę, jej powstawanie, jej rozwój, jej wyrazy, jej zdania. Mowa, wyrazy, zdania z natury swojej są s y m b o l a m i tak rzeczy, jak i myślowych ujęć tych rzeczy, czyli fikcyj logicznych. Jednocześnie one, t. j. mowa, jej wyrazy, jej zdania, wyrażają (behaviourystycznie) przeżycia psychiczne osób, tej mowy używających, ale tu nas teraz nie to obchodzi, nie relacje mowy behaviourystyczne, lecz tu nas teraz obchodzą relacje mowy symbolistyczne. Z symboliki zaś mowy tu nas przedewszystkiem obchodzi teraz rola mowy symbolizującej fikcje logiczne i relacje między fikcjami logicznemi.

Z rzeczowników najwięcej tu mnie obchodzą rzeczowniki nazwy klas wyrażające, więc symbolizujące tak ważną fikcję logiczną, jaką jest t. zw. k l a s a, następnie rzeczowniki wprost oznaczające fikcje logiczne, jak: liczba, trójkąt koło, etc. Przymiotniki przez się symbolizują, podobnie jak

rzeczowniki oderwane, fikcje logiczne t. zw. cech, własności, właściwości. Czasowniki tu mnie te najwięcej obchodzą, które są symbolami zachodzenia relacyj pomiędzy fikcjami logicznemi, jak np. w zdaniu „suma kątów trójkąta euklidesowego wewnętrznych wynosi dwa kąty proste" czasownik „wynosi". W tem zdaniu fikcją logiczną jest: kąt, kąt prosty, trójkąt, dwa, suma; relacją zaś (naturalnie, rzeczywistą) jest to, że suma kątów wewnętrznych trójkąta euklidesowego równa się czy wynosi dwa kąty proste. Z innych zaś części mowy liczebniki są wprost symbolami słownemi tych fikcyj logicznych, które są liczbami, przedmiotami nauk o liczbach (jak np. arytmetyka); z przysłówków tak zwanych niezbędnym mi jest przysłówek „nie" jako słowny symbol przeczenia; ale najważniejszemi tu dla mnie są spójniki.

Zacznę od spójnika „a". Myślę, że ten spójnik symbolizuje w mowie wogóle relację, związek. Przykłady: rodzice a dzieci, mąż a żona, nauczyciel a uczeń, Bóg a człowiek, logika a psychologja, sprzeczność a przeciwieństwo, demokracja a dyktatura; i t. d. i t. d. Inne spójniki symbolizują pewne kategorje relacyj logicznych, czyli takich relacyj, które zachodzą między fikcjami logicznemi, a w logice wraz z temi fikcjami stanowią właściwy bodaj jej przedmiot. Tu najważniejszym bodaj jest spójnik „jeżeli" czy „jeśli". Ten spójnik nadaje charakter hypotetyczny temu, co po nim następuje, symbolizuje zatem nierzeczywistość, fikcyjność, przypuszczalność jakiegoś zdania, odbiera mu apodyktyczność, asertoryczność, abstrahuje od prawdziwości czy nieprawdziwości tego tak zwanego poprzednika zdania warunkowego, zaznacza również zgóry obojętność na prawdziwość czy nieprawdziwość tak zwanego następnika zdania warunkowego, z naciskiem natomiast zapowiada rzeczywistość związku (logicznego) między poprzednikiem a następnikiem. W naszym języku rzeczywistość tego związku wyraża się przez wstawienie przed następnik zdania warunkowego słówka „to". Oba te spójniki „jeśli - to" razem symbolizują relację implikacji. Przykład: jeśli liczba szeregu naturalnego podzielna jest przez 2 i przez 3, to podzielna ona jest przez 6. Podobne funkcje, co spójnik „jeśli", speł-

nia spójnik „gdyby". Spójnik „i" jest symbolem relacji konjunkcji. Przykład: zimno i ciemno.

Spójnik „lub" czy też „albo" czy też spójnik „czy" symbolizuje relację dyzjunkcji. Przykład: pada deszcz czy śnieg, czy śnieg z deszczem.

Spójniki „zatem", „przeto", „więc" symbolizują relację konsekwencji, pokrewnej z relacją od niej ogólniejszą, a dla całej logiki najbardziej bodaj zasadniczą relacją tautologji. Przykład: ponieważ każdy człowiek jest śmiertelny, przeto i Piotr.

Po tych wszystkich uwagach może będzie można dać prowizoryczną, jeśli nie ostateczną, odpowiedź na pytanie: „Co to jest logika, jaki jest właściwy jej przedmiot?" Odpowiem: logika (czysta nie stosowana) jest to nauka o prawach (relacjach) fikcyj logicznych i ich funkcyj. Ta moja definicja prawie się zlewa z definicją logiki daną w tytule dzieła Boole'a „The Laws of Thought". Zwracam uwagę na to, że Boole swojej logiki nie definjuje jako nauki o prawach myślenia (thinking), lecz jako naukę o prawach myśli (thought, czyli myśli jako produktu myślenia, fikcji logicznej).

Dalszy ciąg moich rozważań na temat powyższy nawiążę do uwag do tego tematu się odnoszących a zawartych w profesora Łukasiewicza „Elementach logiki matematycznej".[1]) Uczynię to dla wyrazistszego uwydatnienia podstawowych myśli, rzucających światło na omawiany temat. Jeśli przy sposobności wypadnie mi zająć względem tej nader cennej książki tu i ówdzie trochę ujemnie krytykujące stanowisko, to za złe tego mi nie weźmie wielce szanowny autor. Uczynię to dla dobra przedmiotu, nie z chęci dokuczenia czcigodnemu i przezemnie wielce cenionemu autorowi, nader zasłużonemu i pierwszorzędnemu w Polsce uczonemu na polu logiki matematycznej.[2])

[1]) Wydawnictwa Koła matematyczno-fizycznego słuchaczów uniwersytetu warszawskiego. Tom XVIII. Dr. Jan Łukasiewicz, profesor uniwersytetu, *Elementy Logiki Matematycznej*. — Skrypt autoryzowany. Opracował M. Presburger. — Z częściowej subwencji Senatu Akademickiego Uniw. Warszaw. 1929.

[2]) Dowodem tego mego wysokiego poważania niech posłuży choćby ten fakt, że będąc profesorem zwyczajnym uniwersytetu uważałem sobie

Niewyróżnienie należyte i ścisłe myśli w sensie fikcji logicznej od myślenia w sensie pewnej czynności psychicznej doprowadza do niebezpiecznych nieporozumień i nawet niekiedy do zacierania granic między dwiema tak odrębnemi naukami, jak psychologja a logika! Logika, jak i matematyka, za przedmiot swój ma fikcje logiczne, psychologja — przeżycia psychiczne. Matematyka i logika nie obchodzą i nie powinny obchodzić czynności psychiczne, nawet te, jakie sam przeżywa wtedy, kiedy bada prawa i związki logiczno-matematyczne: przecież nie bada wtedy praw i związków psychologicznych zachodzących między przeżyciami, czynnościami psychicznemi! Zdaje mi się, że niedość ściśle wypowiada się prof. Łukasiewicz (na str. 12—13 swego podręcznika) na ten temat, kiedy czyni właśnie zarzut logice tradycyjnej (nazywanej przez niego w tem miejscu logiką filozoficzną) wkraczania w dziedzinę psychologji. Nieścisłość widzę w jakowejś zgodzie autora na pogląd pewnych logików-filozofów na logikę jako naukę o prawach myślenia, a myślenie brane tu w sensie czynności psychicznej. Nieścisłość ta przybiera wybitne kształty w powiedzeniu autora: „nie ulega zaś wątpliwości, że dodawanie, mnożenie, potęgowanie liczb są to czynności psychiczne". Ze względu na wielkie niebezpieczeństwo nieporozumienia w kwestji zasadniczej poddam krótkiej krytyce to uważanie działań arytmetycznych („których prawami zajmuje się arytmetyka") za czynności psychiczne.

Przedewszystkiem, kiedy się mówi o prawach działań matematycznych, to prawa, związki, relacje odróżnia się od reguł postępowania, pewnych mechanizmów rachowania, wskazówek praktycznych. Te reguły i wskazówki mogą mieć wielką wartość praktyczną w stosowaniu praw, z których reguły wysnuto, wartość jakąś dydaktyczno-pedagogiczną, ale to zupełnie coś innego od praw, jakiemi arytmetyka się zajmuje jako nauka (czysta w odróżnieniu od stosowanej). Tak zwane dodawanie, mnożenie, potęgowanie to są wyrazy, oznaczające pewne relacje pomię-

za zaszczyt, że mogłem korzystać z łaskawie udzielonego mi pozwolenia i brać udział w prowadzonem przez wielce szanownego profesora Łukasiewicza seminarjum logiki matematycznej.

dzy temi fikcjami logicznemi, jakiemi są, dajmy na to, liczby szeregu naturalnego 1, 2, 3, 4, 5,... — relacje np. tautologiczne:

$$17 \cdot 16 = 17 \cdot 10 + 17 \cdot 6;$$
$$3 \cdot 4 = 4 + 4 + 4;$$
$$4^4 = 4^2 \cdot 4^2 = 16 \cdot 10 + 16 \cdot 6; \text{ etc.}$$

Jeżeli kto nie widzi tej tautologji $4^4 = 256$, to ostatnia relacja (prawo) daje regułę łatwą do przeprowadzenia rachunku, ale ani symbol 4^4, ani symbol $16 \cdot 10$, ani symbol $160 + 96$ nie jest symbolem czynności psychicznej!

Podobnie i w logice (czystej) relacje czy prawa logiczne n i e są prawami myślenia, lecz są prawami wiążącemi myśli jako fikcje logiczne. Logika nietylko że nie jest jakąś nauką psychologiczną, jakąś częścią jakiejś psychologji, lecz jej zupełnie nie obchodzą prawa psychologiczne, według których odbywają się jakieś czynności psychiczne, choćby czynności myślenia. W obecnej terminologji logicznej już na szczęście coraz rzadsze są takie terminy jak s ą d i t. p.: oczywiście, z sądem jako jakiemś przeżyciem psychicznem logika nie ma do czynienia nic, mając bardzo dużo do czynienia z tą fikcją logiczną, jakiej symbolem słownym jest z d a n i e, jakiemuś t. zw. sądowi odpowiadające. Jest nadzieja, że dalszy rozwój ścisłej logiki czystej formalnej wyemancypuje ją od innych także pozostałości z psychologizującej epoki rozwoju naszej nauki.

Ale ta nasza nauka nie jest także częścią filozofji, nie jest i nie powinna już być nauką filozoficzną. Już według samego ojca logiki t. zw. tradycyjnej, według Arystotelesa, jego logika stanowić miała ORGANON, narzędzie, które przynieść ma z sobą gotowe człowiek zabierający się do tej nauki o najwyższych prawach, najogólniejszych relacjach rzeczy, jaką jest t. zw. filozofja.

Nie wchodząc tu w kwestję, czy i o ile krytyka poznania (rzeczy) lub t. zw. teorja poznania jest czy nie jest nauką filozoficzną (według mnie ani krytyka poznania rzeczy nie jest jeszcze nauką filozoficzną, lecz jak logika-nauką przedfilozoficzną), chcę tylko nacisk na to położyć, że t. zw. zagadnienia teorjopoznawcze, jak t. zw. zagadnie-

nie prawdy, zagadnienie kryterjum prawdy i t. p., w żaden sposób nie wchodzą w zakres czystej logiki formalnej.

Po wyróżnieniu logiki od takich nauk, jak psychologja, krytyka poznania, filozofja, wypadnie ją wyodrębnić od gramatyki, nauki w rozwoju logiki odgrywającej wybitną rolę a w swoim własnym rozwoju nawzajem bardzo zależnej od rozwoju logiki, zwłaszcza w rozwoju swym semantycznym i syntaktycznym. Już wyżej miałem sposobność zaznaczyć, że właściwiej należałoby mieć odrębny termin logiczny zdaniu gramatycznemu odpowiadający. Bezpieczniej, myślę, byłoby zamiast wyrazu „zdanie" używać w logice wyraz „twierdzenie", „teza" czy coś podobnego. Pod tym względem w szczęśliwszem położeniu jest taki np. język angielski, mając do dyspozycji termin „proposition" dla oznaczenia fikcji logicznej odpowiadającej terminowi gramatycznemu „sentence" (zdanie). Większe niebezpieczeństwo dla ścisłości logicznej przedstawia używanie wyrazu „nazwa" w znaczeniu tego logicznego odpowiednika, jakim jest fikcja logiczna przez n a z w ę jakiegoś indywiduum symbolizowana. Dla przykładu weźmy jakąkolwiek funkcję propozycjonalną (czy twierdzeniową, t. j. taką funkcję, której wartości stają się dopiero twierdzeniami przy podstawieniach pewnych wartości za argument tej funkcji); mamy dajmy na to, funkcję:

x jest mieszkańcem Warszawy.

Przez analogję z funkcjami matematycznemi mamy tu dwie zmienne: zmienną niezależną x, t. zw. argument, i zmienną zależną (zależną od argumentu x), czyli funkcję f (x), funkcję: x jest mieszkańcem Warszawy.

Ta funkcja twierdzeniowa czy propozycjonalna (zdaniowa, jak ją nasi polscy logicy zwykli nazywać), jak wszelka inna funkcja twierdzeniowa, determinuje pewną klasę, tutaj klasę mieszkańców Warszawy. Wartości tej funkcji stają się twierdzeniami w miarę podstawień pewnych wartości za zmienną x. Otóż jakiś pan Piotr, mieszkający w Warszawie, nadaje się oczywiście do tego, aby nam dostarczyć materjału (logicznego) do utworzenia takiej fikcji logicznej, która mogłaby z naszego wyboru stać się wartością (logiczną) zmiennej x. Oczywiście: nie nazwa pana Piotra czy nazwa „pan Piotr" da się wstawić zamiast literki x w funkcję twierdzeniową

„x jest mieszkańcem Warszawy", bo byłby dopiero nonsens: nazwa pana Piotra czy nazwa „pan Piotr" jest mieszkańcem Warszawy. Oczywiście także: samego tego pana, którego nazwa jest „pan Piotr", nie wstawimy zamiast literki x. Wstawiamy ani mniej ani więcej za x jak jedynie „pan Piotr" w napisie: „x jest mieszkańcem Warszawy"; to zaś wstawienie ustne czy napisane „pan Piotr" zamiast literki x symbolizuje jedynie relację (logiczną) między fikcją logiczną symbolizowaną przez „x jest mieszkańcem Warszawy" a fikcją logiczną symbolizowaną przez napis „pan Piotr jest mieszkańcem Warszawy", odpowiadającą relacji (rzeczywistej) między rzeczywistą osobą pana Piotra a rzeczywistem jego zamieszkiwaniem w Warszawie. Dopiero ta właśnie fikcja logiczna, której symbolem słownym jest zdanie „pan Piotr jest mieszkańcem Warszawy", stanowi twierdzenie: „Pan Piotr jest mieszkańcem Warszawy". Otóż to, co tu zostało wstawione zamiast x w funkcji twierdzeniowej „x jest mieszkańcem Warszawy" i dzięki czemu funkcja stała się twierdzeniem „Pan Piotr jest mieszkańcem Warszawy", to jest pewna wartość (logiczna) zmiennej x, ta wartość cząstkowa, jaką ma element (członek, składnik) klasy w stosunku do klasy.

Nieścisłość logiczną widziałbym w następującem powiedzeniu prof. Łukasiewicza (na str. 31 „Elementów"):

„Przytoczone przez nas twierdzenie z arytmetyki liczb naturalnych będzie miało następującą postać:

C (a×bjPn) C N (aj Pn) (bj n).[1])

Występujące w twierdzeniu zmienne „a" i „b" mogą przybierać jako swe wartości jedynie nazwy liczb naturalnych".

To twierdzenie, tak wyrażone w symbolice prof. Łukasiewicza, takby mniej więcej brzmiało w symbolice słownej języka polskiego: Jeśli iloczyn dwu liczb szeregu naturalnego jest podzielny przez pewną liczbę pierwszą i jeśli jeden z czynników tego iloczynu nie jest podzielny przez

---

[1]) Ze względów techniczno-drukarskich przez „j" zastąpiłem grecką literę *epsilon*, oznaczającą „jest"; C oznacza: jeśli - to; N oznacza negację tego, co w nawiasie obok; P oznacza: podzielne; n oznacza liczbę pierwszą; a i b oznaczają liczby szeregu naturalnego.

tę liczbę pierwszą, to drugi czynnik tego iloczynu jest podzielny przez tę liczbę pierwszą.

Jabym ośmielił się powiedzieć, że to twierdzenie, tak proste (prostotą matematyczno-logiczną), tak sensowne i tak ścisłe, stałoby się czemś niezrozumiałem, a nawet bezsensownem, gdyby się zamiast zmiennych („a" i „b") podstawiło nie jakieś l i c z b y szeregu naturalnego, np. nie liczby 3 i 14, lecz jedynie n a z w y tych liczb, czy choćby cyfry 3 i 14, nie zaś wartości liczebne, liczby symbolizowane przez ich nazwy, czy przez ich znaki, cyfry.

Teraz, kiedy już coraz więcej oswajamy się z pojęciem fikcyj logicznych i z pojęciem związków logicznych czyli relacyj, związków, zachodzących między fikcjami logicznemi, teraz może już na czasie będzie zacząć omawiać związek, jaki zachodzi między logiką wogóle, a jakąś z logik, przedewszystkiem zaś z logiką t. zw. tradycyjną i z logiką t. zw. matematyczną.

Logika wogóle, choć może przed Arystotelesem niesformułowana w pisane prawa i reguły, to jednak przed Arystotelesem była na świecie tak dawno, jak człowiek jest na świecie, boć człowiek jest ZOON LOGIKON, boć człowiek od chwili „dochodzenia do rozumu" myśli, rozumie mowę własną i drugich, rozumuje, tworzy fikcje logiczne i niemi operuje. Operowanie fikcjami logicznemi i przed Arystotelesem i po Arystotelesie odbywało się i odbywa według praw, jakie człowiek, ani nawet genjusz Arystotelesa, nie tworzy, lecz odkrywa, odnajduje, odczytuje w księdze przyrody, w księdze świata, przez tegoż Stwórcę, co i sam człowiek, stworzonego. Tę logikę można nazwać naturalną, nawet wrodzoną w tym sensie, że wrodzoną jest człowiekowi zdolność poprawnego rozumowania i odkrywania odwiecznych praw niezmiennych, którym podlega wszelkie poprawne rozumowanie.

Praw logiki człowiek nie stwarza, nawet największy genjusz logiczny. Czego genjusz logiczny bywa autorem, to pewnych formuł rozumowania, pewnych schematów i struktur logicznych, a nadto mniej udatnej czy udatniejszej symboliki logicznej czy t. zw. logistycznej. Czego jeszcze twórcą

jest autor t. zw. systemu logicznego, o tem będzie sposobność później wspomnieć. Tutaj tylko do poprzednich mych uwag, charakteryzujących wszelką logikę i logikę wogóle (czystą, formalną), chcę jedno-drugie słówko dorzucić o tej t. zw. czystości i o t. zw. formalności naszej nauki. Zacznę od formalności.

Charakter formalny logiki domaga się od niej m. i. tego, aby nie wciągała do swoich roztrząsań, wywodów, rozumowań, etc. tego, czego stwierdzaniem zajmują się inne nauki, historyczne, przyrodnicze, społeczne, etc. Postaram się na przykładzie pokazać, o co mi tu idzie. Przykład wezmę z książki prof. Łukasiewicza (ze str. 18—19 „Elementów"). Czytamy tam:

„Wnioskowanie uważamy za poprawne tylko wtedy, gdy zdania, z których wychodzimy, przesłanki wnioskowania, uważamy za prawdziwe. Gdybyśmy w sylogizmie I[1]) dokonali podstawień: zamiast „M" — „człowiek", zamiast „P" — „roślina", zamiast „S" — „Polak", otrzymalibyśmy sylogizm:

Każdy człowiek jest rośliną.
Każdy Polak jest człowiekiem.
A więc każdy Polak jest rośliną.

Nikt jednak nie uważałby powyższego sylogizmu za poprawny. Poczucie niepoprawności przytoczonego sylogizmu wynika z fałszywości pierwszej jego przesłanki".

Wbrew twierdzeniu autora „Elementów" — „Nikt jednak nie uważałby powyższego sylogizmu za poprawny" — śmiem twierdzić: nieomal każdy logik wraz ze mną uważa ponopowyższy sylogizm za poprawny; bo formalnie jest on poprawny, nie jest zaś rzeczą logika rozstrzygać, czy każdy człowiek jest czy nie jest rośliną, ani też nie jest rzeczą logika rozstrzygać, czy są Polacy, ludzie, etc. Poprawności logicznej tego dziwacznego sylogizmu nie wzruszy ani to, czy kto przesłanki jego uważa za prawdziwe, ani to, czy kto tych przesłanek nie uważa za prawdziwe.

---

[1]) Sylogizm I jest (str. 15):
Każde *M* jest *P*.
Każde *S* jest *M*.
A więc każde *S* jest *P*.

Co do tej zaś tak zwanej czystości logiki, to rzecz tak samo się przedstawia, jak z czystością matematyki (t. zw. czystej). Odróżnia się poprostu naukę samą, logikę czy matematykę, od jej zastosowań czy do praktyki życia codziennego czy do innej jakiejś nauki, która już nie jest logiką ani matematyką.

Stosowanie logiki np. do retoryki już nie jest logiką czystą, lecz stosowaną, podobnie jak nie jest matematyką czystą stosowanie jej do techniki czy do umiejętności kupiecko-bankowych.

Z tego nie wynika, jakoby zastosowywanie logiki do innych dziedzin umysłowości ludzkiej nie było cennem i pożądanem. Owszem, to właśnie nadawanie się naszej nauki (logiki czystej) do wszechstronnego jej zastosowywania czyni z niej dla człowieka i dla ludzkiego życia umysłowego istotne i niezbędne ORGANON.

Ale w stosowaniu logiki należałoby, sądzę, wystrzegać się używania wielkiego aparatu logicznego dla osiągnienia celu, osiągalnego przez użycie małego aparatu logicznego. Pokażę to na przykładzie, który mamy w podręczniku prof. Łukasiewicza na str. 26 do 35. Dla ilustracji poruszonych na poprzednich stronach zagadnień szanowny autor podaje przykład dowodu pewnego twierdzenia matematycznego. Twierdzenie jest poprostu takie: jeżeli kwadrat pewnej liczby *a* szeregu naturalnego jest podzielny przez czynnik pierwszy *n*, to i ta liczba *a* jest przez ten czynnik *n* podzielna.

Dowód tego twierdzenia najprostszy i zupełnie ścisły, oparłbym na pojęciu kwadratu liczby szeregu naturalnego. Mianowicie: kwadrat liczby *a* z pojęcia swego jest iloczynem takich tylko czynników pierwszych, które są czynnikami pierwszemi liczby *a*. Albo inaczej: jeśli kwadrat liczby *a* podzielnym jest przez liczbę pierwszą *n*, to tylko dlatego, że liczba pierwsza *n* jest czynnikiem liczby *a*, więc *a fortiori* wtedy liczba *a* jest przez tę liczbę pierwszą *n* podzielna; q. e. d.

Inny dowód: Kwadrat liczby *(a)* szeregu naturalnego z pojęcia swego jest iloczynem kwadratów wszystkich czynników pierwszych tej liczby (*a*), jeśli więc a^2 jest podzielne przez

liczbę pierwszą n, to tem samem jest podzielne przez n^2; a zatem i a jest podzielne przez n, bo gdyby $^a/_n$ było ułamkiem właściwym, kwadrat tego ułamka $^{a^2}/_{n^2}$ byłby ułamkiem właściwym, a^2 nie byłoby podzielne przez n^2, co się sprzeciwia założeniu.

Teraz zreferuję dowód tego twierdzenia, dany przez prof. Łukasiewicza. Dla zrozumienia naprzód podaję umowy co do jego symbolów:

Cpq — skrót okresu warunkowego o poprzedniku p i następniku q.
Np — „nieprawda, że p".
ajPn — a jest podzielne przez liczbę pierwszą n.

W dowodzie swym autor posługuje się dwiema dyrektywami, „regułami wnioskowania: regułą odrywania i regułą podstawiania". Reguła odrywania „pozwala na mocy uznanych zdań typu „Cpq" i „p" uznać zdanie typu „q". „Reguła podstawiania odpowiada mniej więcej zasadzie logiki tradycyjnej *dictum de omni*". Ona „pozwala na podstawie jakiegoś ogólnie uznanego twierdzenia ze zmiennemi uznać za prawdziwe zdanie, powstające z tego twierdzenia, przez zastąpienie zmiennych innemi wyrażeniami". Nadto korzysta autor z dwu twierdzeń logicznych:

CCpqCCqrCpr — (prawo sylogizmu warunkowego), i
CCNppp — („Jeśli (jeśli nieprawda że p, to p), to p").

Obok tego posługuje się twierdzeniem arytmetycznem:

(Ca×bjPn) CN (ajPn) (bjPn).

„Przyjmując za przesłanki jedynie podane trzy twierdzenia, dwa logiczne i jedno arytmetyczne, i stosując jedynie dwie reguły wnioskowania: regułę podstawiania i regułę odrywania" (str. 31), autor bez zarzutu udowadnia twierdzenie (oznaczone u niego cyfrą 8):

C (a×ajPn) (ajPn).

Po skończeniu dowodu swego autor wypowiada o nim te uwagi: „Podany przez nas dowód twierdzenia 8 jest przykładem dowodu zupełnego. Uznanie każdego zdania w tym dowodzie jest uzasadnione na podstawie pewnej reguły, którą zgóry przyjęliśmy; każdy krok dowodu ma swoją legitymację. Ta legitymacja znajduje się w wierszu dowodowym

poprzedzającym każde uznane w dowodzie zdanie" (str. 31—32); „Podany przez nas dowód jest wzorem ścisłości naukowej".

Zrobię teraz moją uwagę: wywody szan. autora z okazji powyższego twierdzenia (8) i jego dowodu są znakomitą ilustracją tego, co możnaby nazwać typowem rozumowaniem i dowodzeniem logiki, zwłaszcza logiki matematycznej, ale dobór twierdzenia może nie był tak szczęśliwy czy też aparat dowodowy nie był może tak szczęśliwie dobrany, jakby może oczekiwać należało. To jedna uwaga; druga to ta: czy do ścisłości dowodu niezbędne jest „u z n a w a n i e" przez kogokolwiek twierdzeń w skład dowodu wchodzących? Ta ostatnia uwaga moja, w formie wątpliwości czy pytania podana, wydała mi się tu właśnie konieczną, kiedy podaję ogólną charakterystykę logiki wogóle. Ale do tej kwestji „uznawania" wrócę jeszcze zaraz przy sposobności krótkich mych uwag o logice tradycyjnej.

(Dokończenie nastąpi).

S. A. Kobyłecki.

Ks. Albertrandy jako pedagog.

Karta z dziejów myśli wychowawczej XVIII w.

W literaturze naukowej z zakresu dziejów kultury i szkolnictwa zakorzenił się niesłuszny sąd o zbyt niskim poziomie umysłowym społeczeństwa czasów saskich, w których, jak wykazały najnowsze badania, były przecież wybitniejsze rody magnackie, jak Sułkowskich, Małachowskich, Potockich, Czartoryskich, Poniatowskich i wiele innych; oni to, obudziwszy się z chwilowej apatji, przodowali w propagowaniu nowych haseł oświecenia na jałowym narazie gruncie polskim. Nie można też wierzyć zupełnie ówczesnym zwolennikom kultury francuskiej, potępiającym bezwzględnie szkolnictwo jezuickie; z murów bowiem kolegjów „Societatis Iesu" i identycznie niemal prowadzonych szkół pijarskich wyszli pionierzy oświaty i reformatorzy polityczni czasów Stanisława Augusta. Widocznie więc, mimo zarzucany Jezuitom opportunizm wychowawczy, były w ich gronie, nawet w czasach największego kryzysu edukacyjnego, jednostki światlejsze, które swoją wiedzą i patrzeniem na świat potrafiły pociągnąć zdolniejszych wychowanków, przyszłe czołowe postaci w kulturze polskiej XVIII w. Dowodzą tego tacy potentaci umysłowi, jak Adam Naruszewicz, wybitny na owe czasy historyk i geograf, Karol Wyrwicz, głośny astronom - matematyk, niezrównany po zniesieniu zakonu szermierz słowa Stefan Łuskina, późniejszy współpracownik Komisji Edukacji Narodowej Grzegorz Piramowicz i wielu innych.

W rzędzie tych uczonych niepoślednie miejsce zajmował Jan Albertrandy, którego urodzenie i młodość przypada

na czasy Augusta III-go. Ojciec jego, nieznany z imienia pułkownik artylerji króla sardyńskiego, opuścił ojczyznę i rodzinny Piemont, aby śladem tylu swoich współziomków przenieść się do dalekiej Polski i osiedlić się w Warszawie.[1]) Żona, bardzo możliwe, mieszczanka warszawska, odumarła go dosyć wcześnie, zostawiając mu trzech synów i jedną córkę. Najstarszy z rodzeństwa Jan Chrzciciel urodził się w Warszawie dnia 7 grudnia 1731 r.[2]) W parę lat później ujrzał światło dzienne brat jego Antoni, nadworny malarz Stanisława Augusta i poeta; znany jest jego „Wiersz o malarstwie", do którego dołączył rozprawę o sztuce malowania twarzy, wyrażających różne stany psychiczne.[3])

Jako młody chłopak uczęszczał Jan Albertrandy prawdopodobnie do kolegjum jezuickiego w Warszawie. Poważne i spokojne życie klasztorne, oddane tylko pracy naukowej i modlitwie, pociągało młodego wychowanka. Dlatego też już w 17-tym roku życia przywdziewa habit zakonny i po dwuletnim nowicjacie rozpoczyna pracę nauczycielską.[4]) W ciągu dziesięciu lat (1750—1760) uczy w Pułtusku, Płocku, Nieświeżu i Wilnie, gdzie oprócz pracy pedagogicznej poświęca się studjom prawa kanonicznego i teologji.[5])

---

[1]) Maciej Loret, *Życie Polskie w Rzymie w XVIII w.* Warszawa 1930, str. 359 przyp. 129. — Niemcewicz, *Pamiętniki czasów moich*, Paryż 1848, str. 351, twierdzi wobec tego błędnie, że ród Albertrandych w dawnych czasach przeniósł się do Polski, potwierdzenia tej wiadomości nie znajdujemy jednak w żadnych źródłach. Loret zaś powołuje się na relację nuncjusza Garampi z lat 1772—1776. Czem zajmował się ojciec Albnertrandego w Polsce, nie wiadomo. Niektórzy biografowie podają ogólnie, że był rzemieślnikiem. Jedynie w *Biographie universelle ancienne et moderne*... Paris 1811, t. I, str. 340 czytamy, że był rzeźnikiem. Bliższych jednak na to dowodów nie posiadamy.

[2]) Datę urodzin podają: Augustin Backer, *Bibliotéque des ecrivains de la Compagnie de Jésus*... Liége 1856, t. III str. 7; Feliks Bentkowski, *Historja literatury polskiej*, Warszawa 1814, t. II str. 605; Gabrjel Korbut, *Literatura polska*, Warszawa 1918, str. 184 i inni.

[3]) Edward Rastawiecki, *Słownik malarzy polskich*, Warszawa t. I str. 5. O. Załęski, *Jezuici w Polsce*, Kraków 1902, t. III, część II, str. 1123, identyfikuje mylnie tego malarza z ojcem Jana.

[4]) Józef Brown, *Bibljoteka pisarzów asystencji polskiej Towarzystwa Jezusowego*, Poznań 1862, t. I. str. 9.

[5]) Por. Backer, *l. cit.* i *Pamiętniki o dawnej Polsce z czasów Zyg-*

W następnych latach porzuca na pewien czas dotychczasowe zajęcia pedagogiczno-naukowe i obejmuje stanowisko bibljotekarza w Bibljotece Załuskich.[1]) Instytucja ta, otwarta 1746 r. przez dwu wielkich protektorów nauki, Józefa Andrzeja Załuskiego, biskupa kijowskiego i brata jego Andrzeja Stanisława, cierpiała wskutek apatji społeczeństwa na zupełny brak czytelników.[2]) Założyciele musieli uciekać się nawet do wybiegów, aby zwrócić uwagę obojętnego społeczeństwa na tak ważną placówkę kulturalną. Nic więc dziwnego, że młody jezuita, uczęszczający pilnie od kilku lat do Bibljoteki, miłym był gościem dla obu fundatorów, którzy celem silniejszego związania Albertrandego ze swemi zbiorami powołali go na stałego urzędnika bibljoteki.

Na nowem stanowisku wszedł Albertrandy w bliższe stosunki z dawniejszym już urzędnikiem Załuskich, autorem biografij uczonych i mecenasów polskich, Danielem Janockim.[3]) Tu zgromadzała się cała elita ówczesnej umysłowości polskiej; częstym gościem bywał Franciszek Bohomolec, Stanisław Konarski, Adam Naruszewicz, Karol Wyrwicz i wreszcie sam biskup kijowski Andrzej Załuski. Wśród nich niepoślednie stanowisko zajmowała osobistość warszawskiego księgarza-nakładcy Michała Gröllа.[4]) Podniósł on wysoko sztukę drukarską, dbając nietylko o piękność typograficzną, ale także i o powab zewnętrzny; do umiłowanego zawodu wnosił obok zrozumiałej zapobiegliwości kupieckiej gruntowne wykształcenie, znajomość kilku języków nowożytnych, a nawet skłonność do twórczości literackiej. Stosunki Albertrandego z Gröllem zacieśnią się niebawem, kiedy młody jezuita zacznie pracować na polu publicznem i naukowem.

---

munta Augusta, obejmujące listy Commendoniego, wyd. Franciszek Malinowski, Wilno 1851, t. I, str. LIII.

[1]) Józef Bieliński, *Uniwersytet Wileński*, Kraków 1900, t. III str. 367.

[2]) Aleksander Kleczeński, *Dzieje Bibljoteki Załuskich*. Sprawozdanie Państw. Gimnazjum I w Przemyślu 1902, str. 40; Franciszek Radziszewski *Rys historyczno-statystyczny o bibljotekach i archiwach w Polsce*, Kraków 1875, str. 87.

[3]) Kleczeński, *op. cit.* str. 44.

[4]) Por. o nim Adolf Pawiński, *Michał Gröll*, Kraków 1896.

Przypuszczać można, że dopiero w tem środowisku zaczęła się u Albertrandego rozwijać skłonność do badań historycznych, którym później poświęcił się z wielkim zapałem. Narazie z inicjatywy Załuskiego podjął się Albertrandy razem z Bohomolcem wydawania dziejopisów polskich; z zamierzonego na szeroką skalę wydawnictwa ukazały się tylko dwa pierwsze tomy, z powodu braku środków materjalnych.[1])

Z racji pobytu młodego jezuity w bibljotece ciążył na nim ponadto obowiązek porządkowania zbiorów, ułożonych bez żadnego planu i myśli przewodniej. Z polecenia fundatora uporządkował Albertrandy dzieła, pisane w językach obcych, przeważnie w niemieckim i francuskim i ułożył dokładny ich katalog.[2])

Stosunki z uczonemi i wpływowemi osobistościami, nawiązane podczas czteroletniej pracy (od 1760—1764) w bibljotece, tudzież gruntowna już wówczas jego wiedza, zwróciły nań uwagę szerszego wykształconego ogółu. Dzięki zapewne protekcji nowych znajomych wezwał Albertrandego na swój dwór ówczesny prymas polski, Władysław Łubieński.[3]) Schorowany, bez energji książę Kościoła, oddawszy prowadzenie wszystkich spraw politycznych i kościelnych koadjutorowi Andrzejowi Młodziejowskiemu, „rozumowi prymasa", jak go popularnie zwano, zamykał się najchętniej w głębi z królewskim przepychem urządzonych komnat pałacu, spędzał czas na lekturze, tudzież na rozmowie z ulubionym bratankiem, Feliksem Łubieńskim. Rolę wychowawcy małego Feliksa miał pełnić od 1764 r. Albertrandy, używany ponadto bardzo często do pracy w kancelarji pierwszego po królu dostojnika w Polsce.[4])

Zajęcia dyplomatyczno-administracyjne i pedagogiczne nie odrywają jednak Albertrandego od pracy naukowej.

---

[1]) Wład. Smoleński, *Przewrót umysłowy w Polsce w XVIII w.* Warszawa 1925, str. 134.

[2]) Kleczeński, *l. cit.* str. 44.

[3]) Bieliński, *op. cit.* t. III, str. 367. — *Pamiętniki o dawnej Polsce* t. I, str. XLVII i inni.

[4]) Wład. Wójcicki, *Cmentarz powązkowski*, Warszawa 1855, t. II, str. 163. — Emil Kierski, *Opiekun domowy* r. 1865, str. 407, *Księga świata*, r. 1859 r. cz. II, str. 143.

Raz rozwinięte do lotu skrzydła na niwie historycznej nie zraziły się trudnościami i zataczały coraz szersze kręgi. Od wydawnictw źródeł przystąpił Albertrandy do tłumaczeń. Jako młody pedagog odczuwał przedewszystkiem brak historji polskiej, którąby w skróceniu podawała całość minionych czasów. Idąc za wzorem Konarskiego, zwrócił Albertrandy przedewszystkiem uwagę na podręczniki francuskie. W 1766 r. wydaje *Dzieje Królestwa Polskiego*, tłumaczenie francuskiego dzieła *Abrégé chronologique de l'histoire de Pologne* z 1763 r., pióra Franciszka Augusta Szmidta, który podręcznik swój pisał w Polsce i przez to zasługiwał na wiarę.[1]) Drugą poważną luką ówczesnej szkoły był brak podręcznika polskiego do historji starożytnej, w szczególności rzymskiej. Ażeby temu zaradzić rozpoczyna Albertrandy zaraz po wydaniu *Dziejów Królestwa Polskiego* tłumaczenie historji rzymskiej z języka francuskiego i publikuje ją w r. 1768 p. t. *Dzieje Rzeczypospolitej Rzymskiej od założenia Rzymu aż do cesarzów; krótko porządkiem lat opisane.*[2]) Obok wiernego tłumaczenia dodano „dla uprzątnięcia trudności, których czytający takowe historje doznawać zwykli" przypiski, objaśniające rzeczy trudniejsze, oparte przedewszystkiem na autorach klasycznych.[3])

W tym samym czasie stawia Albertrandy pierwsze kroki na polu publicystyki polskiej. W wielkiej, jak na owe czasy, liczbie czasopism warszawskich najdłuższym bytem i największem znaczeniem może pochlubić się *Monitor* wychodzący od 1764—1784 r. Należał on do tak zwanych czasopism moralnych; zadaniem jego ponadto było szerzenie w społeczeństwie kultury francuskiej i walka z ciemnotą. Do licznego grona współpracowników obok Franciszka Bohomolca, który był naczelnym redaktorem, należał Alber-

---

[1]) Jan Albertrandy, *Dzieje Królestwa Polskiego*, krótko lat porządkiem opisane, podług Franciszka Augusta Szmidta, na język polski przełożone i przydatkiem panowania Augusta III pomnożone, Warszawa 1766. W 1768 r. ukazało się już drugie wydanie pod tym samym tytułem.

[2]) Jest to tłumaczenie dzieła Filipa Maquеza, *Annales Romaines ou abrégé chronologique de l'histoire Romaine... depuis la fondation jusqu'aux Empereurs*, 1758.

[3]) Przedmowa, str. XIV.

trandy, pracę jego trudno jednak scharakteryzować, gdyż wszystkie artykuły są anonimowe. Wedle twierdzenia Smoleńskiego, pupil prymasa ograniczył się do dwu tylko artykułów p. t. *Listy do Monitora.*[1])

Z początkiem 1770 r., na rok przed wyjazdem z Feliksem Łubieńskim do Włoch, rozpoczyna Albertrandy wydawać *Zabawy przyjemne i pożyteczne.*[2]) W pierwszym roku jest założyciel nietylko redaktorem ale i autorem pisma, gdyż wszystkie prawie artykuły wyszły z pod jego pióra. Z biegiem dopiero czasu zdobyły sobie *Zabawy* szeroką popularność i licznych współpracowników, a nawet stały się niejako oficjalnym organem uczestników słynnych obiadów czwartkowych.[3]) Celem *Zabaw* była popularyzacja literatury zagranicznej, zwłaszcza francuskiej, wśród społeczeństwa polskiego. Już w przedmowie zaznaczył redaktor, że w czasopiśmie tem będą umieszczane przedewszystkiem tłumaczenia, ale nie niewolnicze, dosłowne, gdyż tłumaczom będzie zależało jedynie na oddaniu przewodniej myśli autora, podczas gdy szata słowna będzie oryginalna polska.[4]) Tego rodzaju tłumaczeniami, zwanemi adaptacjami, były prawie wszystkie artykuły Albertrandego na łamach *Zabaw.*

Po powrocie z Włoch do Warszawy w 1774 r., już w sukni księdza świeckiego, na którą zamienił za zgodą generała jezuitów habit zakonny,[5]) uzyskuje Albertrandy tytuł doktora teologji na uniwersytecie wileńskim i wstępuje w poczet dworzan wielkiego mecenasa na tronie, Stanisława Augusta.[6]) Zaszczytu tego dostąpił dzięki protekcji swego wychowanka Feliksa Łubieńskiego, który darował królowi wielki zbiór medali greckich i rzymskich, zgromadzony podczas pobytu we Włoszech, pod okiem Albertrandego. Pierw-

---

[1]) Wł. Smoleński, *Towarzystwa naukowe i literackie w Polsce,* Pisma historyczne, t. II, Kraków 1901, str. 44.

[2]) Pierwszy tom *Zabaw* ukazał się w 1770 r., a ostatni w 1777.

[3]) Smoleński, *Przewrót umysłowy,* str. 312.

[4]) *Zabawy,* t. I, cz. I przedmowa, str. XVI.

[5]) *Pamiętniki o dawnej Polsce,* t. I, str. XLIX, Bieliński, *op. cit.* t. III, str. 367.

[6]) *Pamiętnik* Feliksa hr. Łubieńskiego, wyd. Władysław Chomętowski, Warszawa 1876, str. 247.

szą godnością byłego jezuity na królewskim dworze był urząd nadwornego lektora Stanisława Augusta, nadany mu oficjalnie w 1776 r., chociaż funkcję tę pełnił od dwu lat w zastępstwie Marka Reverdila.[1]) Obowiązkiem lektora rano, kiedy robiono skomplikowaną garderobę pięknego króla, było czytać wybrane ustępy z dzienników czy też z książek. Bardzo często sięgano do najnowszych dzieł filozoficznych i astronomicznych, a także do nowości literackich. O godzinie jedenastej wieczorem król udawał się na spoczynek, a lektor czytał tak długo, aż powieki królewskie zaczęły zamykać się do snu.[2]) Poniatowski przerywał bardzo często lekturę różnemi pytaniami i żądał na nie dokładnych odpowiedzi, które dawały szerokie pole do popisu dla erudycji Albertrandego. Odpowiedzi jego, bardzo obszerne i szczegółowe, zjednały mu wprawdzie początkowo względy królewskie, lecz po pewnym czasie znudziły króla „Stasia".[3]) Dlatego też powołał król na urząd lektora późniejszego biskupa krakowskiego, ex-jezuitę Andrzeja Gawrońskiego, a Albertrandemu powierzył inną funkcję.[4])

Stanisław August nosił się już oddawna z zamiarem założenia na zamku królewskim bibljoteki; obecnie przy realizacji tych planów postanowił wykorzystać doświadczenie dawnego urzędnika bibljoteki Załuskich. Wedle rady Albertrandego miano zebrać na zamku poważne dzieła historyczne, ekonomiczne, statystyczne, filozoficzne i literackie dla zaspokojenia szerokich zamiłowań osoby królewskiej.[5]) Przy wprowadzaniu w życie tego planu zabrał się Albertrandy gorliwie do pracy. Książnica królewska, zakupiona od Jana Steinhausera, byłego nadwornego historjografa Augusta III, była nieuporządkowana i nie posiadała nawet katalogu. Przy pomocy księdza Gawrońskiego, Teofila Woźnickiego, późniejszego arcybiskupa gnieźnieńskiego i Adama

---

[1]) A. Kraushar, *Marek Reverdil, lektor i bibljotekarz króla Stanisława Augusta,* Dwa szkice historyczne, Warszawa 1905, str. 46.

[2]) *Pamiętnik* Jana Segatyńskiego, byłego pazia króla St. Poniatowskiego, Poznań 1845, str. 54.

[3]) Łubieński, *op. cit.* str. 60.

[4]) Kraushar, *Marek Reverdil,* str. 46.

[5]) Kraushar, j. w.

Prażmowskiego, biegłego znawcy greczyzny i wybornego kaznodzieji, przeprowadza Albertrandy rzeczowy podział bibljoteki oraz opracowuje katalog, który obok tytułów dzieł zawierał także krótką ich treść i charakterystykę.

Przez cały czas pobytu na dworze opiekuje się też urzędnik królewski gabinetem numizmatycznym, gabinetem starożytności i rycin, którego został kustoszem na prośbę Łubieńskiego. Obydwa te gabinety zawdzięczały wiele swemu kustoszowi, który stara się ciągle o powiększenie zbiorów przez ściąganie różnych zabytków podczas podróży zagranicznych i z dworów magnatów polskich.[1]) Opracowuje ponadto katalogi zbiorów królewskich i pisze o nich rozprawy naukowe, pozostałe przeważnie w rękopisach.[2])

Zaprzyjaźniony od dawnych lat z Naruszewiczem, staje się Albertrandy gorliwym jego współpracownikiem i pomocnikiem przy pisaniu historji. Przebywając ciągle w bibljotece królewskiej i to w ścisłym kontakcie z Naruszewiczem, zetknął się ze wszystkiemi niemal źródłami krajowemi i widział ich braki, nie pozwalające na wszechstronne i dokładne traktowanie dziejów ojczystych. Po takiem spostrzeżeniu miał oświadczyć królowi, że do napisania historji, opartej na bogatym materjale źródłowym — jak tego żądał Naruszewicz — musi zebrać się dokumenty, odnoszące się do dziejów Polski, przechowywane w bibljotekach i archiwach włoskich.[3]) Król zgodził się z tem zdaniem i samego projektodawcę wysłał w 1779 r. do Rzymu na okres trzech lat. Owocem poszukiwań Albertrandego było 110 woluminów materjałów, które przywiózł po powrocie do Polski, gdzie część ich weszła w skład znanych „Tek Naruszewicza". Rękopis, skopjowany wówczas przez Albertrandego z listami legata apostolskiego, Franciszka Commendoni do kardynała Karola Boromeusza, wydał później Franciszek Malinowski.[4])

[1]) *Opiekun domowy*, 1855, str. 408. Wyciągi piotrowickie, wyd. Ed. Koźmian, Wrocław 1842.

[2]) Rkps Bibljoteki Baworowskich we Lwowie nr. 1074, fasc. III i Dr. Zygmunt Batowski, *Katalog zbioru gemm Stanisława Augusta przez Jana Albertrandego*, osob. odb. z *Wiadomości numizmatyczno archeologicznych*, nr. 51.

[3]) Łubieński, *Pochwała Albertrandego*, Rocz. T. P. N. — t. XIII, str. 9.

[4]) *Pamiętniki o dawnej Polsce*, l. cit.

Reszta materjałów, przeważnie z epoki jagiellońskiej i Stefana Batorego, pozostała w rękopisach, rozproszonych po różnych bibljotekach i archiwach.[1])

W parę lat później podejmuje się Albertrandy drugiej podróży naukowej do Szwecji. W sierpniu 1789 r. widzimy go już w Berlinie, gdzie przegląda tamtejsze archiwa razem z uczonym niemieckim Karolem Denina.[2]) Z Berlina wyjeżdża przez Hamburg i Kopenhagę do Sztokholmu; w bibljotekach szwedzkich poszukiwał przedewszystkiem materjałów, odnoszących się do stosunków Polski ze Szwecją w okresie panowania Wazów, chociaż nie pomijał i korespondencji wpływowych osobistości czasów Zygmuntowskich, jak Dantyszka, Hozjusza i Kromera.[3]) Oprócz materjałów do dziejów politycznych znalazł w Sztokholmie rękopisy, do których odnosił się ze specjalnym pietyzmem, a mianowicie źródła do dziejów Jezuitów w Polsce, wywiezione przez Szwedów z Brunsbergi.[4]) Z końcem lipca 1790 r. jest już Albertrandy w Warszawie razem z owocem swoich badań, które zawierały około 70 tomów kopij i wyciągów z archiwów sztokholmskich.

Głębokie zamiłowanie do badań przeszłości Polski i wielka erudycja źródłowa skłoniły Albertrandego do opracowywania zgromadzonych w wielkiej części przez niego materjałów, zwłaszcza, że do historji Naruszewicza nie miał wielkiego zaufania. Rozpoczął więc pisać dzieje narodowe od 962 r. i doprowadził je do 1595 r. Czasy, objęte „Dziejami" Naruszewicza, pozostały do dzisiaj jako niewykończone w rękopisie. Specjalną uwagę zwrócił nasz historyk na czasy jagiellońskie; pociągały go bowiem — jak zresztą i dzisiaj działają na każdego badacza — swoją świetnością i wszechstronnym rozwojem ówczesnego społeczeństwa, a ponadto praca ta miała być kontynuacją dzieła Naruszewicza.

---

[1]) Część ich znajduje się w Kórniku. Por. *Inwentarz rękopisów Bibljoteki Kórnickiej*, Kórnik 1930, nr. rkpsów 1310, 1311, 1312, 1315 i 1316.

[2]) Wiadomości o podróży do Szwecji zawarte są w korespondencji Albertrandego z Piusem Rogalą Kicińskim, wydanej w *Archiwum domowem*, Warszawa 1856 i w *Muzeum domowem*, 1836 i 1837.

[3]) List z 29 I 1790, *Muzeum domowe*, str. 122.

[4]) Tamże.

Celu zamierzonego nie zdążył niestety osiągnąć. W rękopisach pozostawił historję czasów Władysława Jagiełły, Kazimierza Jagiellończyka, Jana Olbrachta i Aleksandra, Henryka Walezego i Stefana Batorego. *Dwadzieścia sześć lat panowania Jagiełły* oparł przeważnie na kronice Długosza, do czego zresztą sam się przyznaje.[1]) Większą samodzielnością odznacza się *Panowanie Kazimierza Jagiellończyka.*[2]) W dziele tem podaje autor dokładny opis epoki, zajmuje się szczegółowo stosunkami handlowemi w Polsce, kwestją polsko-krzyżacką i przenika trafnie dążności separatystyczne Litwy. Zbyt drobiazgowo tylko opisuje stosunki kościelne i uroczystości, zwłaszcza przebieg wręczenia kapelusza kardynalskiego Zbigniewowi Oleśnickiemu. *Panowanie Jana Olbrachta i Aleksandra* Jagiellończyków jest właściwie tylko szkicem, ujętym w grubsze rysy, pozbawionym samodzielnego sądu autora; dlatego też robi wrażenie kroniki, zestawionej wedle kolejności faktów.

Czasy Henryka Walezego i Stefana Batorego, przedstawione naogół zwięźle i plastycznie, są bezsprzecznie najlepsze z omawianych prac Albertrandego.[3]) Oparte na bogatym materjale źródłowym, nawet dotychczas częściowo tylko wydanym, miały w swoim czasie wielką wartość i doczekały się trzykrotnej publikacji. Pewna pobieżność cechuje tylko okres pierwszej wolnej elekcji i czasy po ucieczce Henryka, do których źródła znajdują się do chwili obecnej w archiwach wiedeńskich.

Po upadku państwa polskiego występuje Albertrandy w nowem, nieznanem dotychczas świetle. Staje się zaufanym powiernikiem rządu pruskiego i rosyjskiego. Nie wiadomo skąd przyszła ta nagła zmiana; w całem bowiem dotychczasowem jego życiu nie można było spostrzec żadnych przekonań ani skłonności politycznych. Były to może ziarna sprzedajnej polityki Młodziejowskiego, rzucone w młodą duszę niedoświadczonego sekretarza, które dopiero teraz wydały hańbiące owoce. Czyż należy może wierzyć twier-

[1]) Albertrandy, *Dwadzieścia sześć lat panowania Władysława Jagiełły*, wyd. Edward Raczyński, Wrocław 1845.

[2]) Wyd. Żegota Onacewicz, Warszawa 1826.

[3]) Wyd. Żegota Onacewicz, Wilno 1822, potem w Krakowie 1850 i 1860.

dzeniu Feliksa Łubieńskiego, jakoby Albertrandy tak był daleki od zagadnień politycznych, że nie zdawał sobie sprawy, iż służba na rzecz zaborców pokrywa się częściowo ze zdradą narodową?

Najważniejszem narzędziem, służącem zaborcom do wytępienia ducha narodowego na ziemiach polskich, była cenzura. Urząd ten sprawował Albertrandy od 13 grudnia 1794 r., od chwili kapitulacji wojsk kościuszkowskich na rzecz armji rosyjsko-pruskiej.[1]) W następnych latach powierzano mu nadal tę funkcję, rozszerzając nawet jej kompetencję z cenzurowania czasopism na wszelkie druki, wychodzące w Warszawie.[2])

Jego też nadzorowi powierzono wszystkie pensjonaty i szkoły warszawskie. W jakiemś zaślepieniu kosmopolitycznem podpisuje nawet odezwy zaborców, organizujących żałobne nabożeństwa za poległych żołnierzy w walce z powstańcami kościuszkowskimi.[3])

Obce rządy odwdzięczyły mu się za jego działalność; od śmierci prymasa Poniatowskiego w 1794 r. sprawuje funkcje najwyższego dostojnika kościelnego w Warszawie, w 1796 r. zostaje mianowany biskupem zenopolitańskim.[4])

Z drugiej jednak strony osiągnął Albertrandy swoją uległością wobec rządu pruskiego pewne korzyści i dla Polski. Z jego inicjatywy i dzięki jego zabiegom powstaje w 1800 r. Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, którego celem, od początku jasno wytkniętym, było pielęgnowanie języka narodowego i dziejów Polski.[5]) Władze zaborcze zgodziły się łatwo na powstanie tej instytucji, przypuszczając, iż osobistość bezwzględnie im oddanego prezesa Albertrandego jest doskonałą rękojmią lojalności Towarzy-

[1]) Smoleński, *Przewrót umysłowy*, str. 411.

[2]) Wł. Smoleński, *Mieszczaństwo warszawskie w XVIII w.* Warszawa 1917, str. 299.

[3]) Smoleński, j. w.

[4]) Daty tej dowodzi tenże rok wydania panegiryku ku uczczeniu biskupa: „Illmo ac reverendissimo dno J. Albertrando, Dei gratia episcopo Zenopolitanensi, collegium academicum scholarum Varsaviensium, suo protectori amplissimo, die ipsius consecrationis 2 ianuarii 1796, gratulatur".

[5]) O działalności Albertrandego w T. P. N. zob. Kraushar, *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, Kraków-Warsz. 1900, t. I i II *passim*.

stwa. Prezes zaś pragnął — jak utrzymuje Michałowski — utrzymać samopoczucie wartości moralnej Polaków, którzy powinni wedle wskazań byłego jezuity zachować cichą wiarę we własne siły i czekać cierpliwie lepszej przyszłości, ją zaś można przyspieszyć przez kultywowanie języka narodowego i nauki polskiej.[1]) Jeżeli można bezwzględnie wierzyć powyższej relacji pamiętnikarza, to należałoby Albertrandego pasować na prekursora pozytywizmu polskiego, niosącego na swoich sztandarach potępienie dla wszelkich zbrojnych ruchów wolnościowych, a wynoszącego na pierwszy plan hasło pracy organicznej, pracy od podstaw.

Po zajęciu Warszawy przez legjony polskie i wkroczeniu armji napoleońskiej, Albertrandy zmienia przekonania i z entuzjazmem wita nową władzę. W mowie, którą w imieniu Towarzystwa wygłosił do saskiego Fryderyka Augusta, zdobył się nawet na ostrą krytykę rządów pruskich, którym sam nie tak dawno służył.[2])

Pierwsze chwile Księstwa Warszawskiego są już ostatnim etapem życia Albertrandego; w sierpniu bowiem 1808 r. śmierć przerwała jego długi, pracowity żywot.[3]) W ostatnim niemal publicznym występie danem mu było oglądać świetną karjerę byłego ucznia Feliksa Łubieńskiego. Po uroczystem bowiem nabożeństwie w dniu 1 maja 1808 r. wręczył mu Albertrandy, jako ministrowi sprawiedliwości, nowo zaprowadzony na ziemie Polski kodeks napoleoński.[4])

Feliks Walezjusz Łubieński, urodzony w 1758 r., wychowywał się po śmierci ojca Celestyna, szambelana Augusta III, na dworze babki Kazimierzowej Łubieńskiej do piątego roku życia.[5]) Sześcioletnim dopiero chłopcem zainteresował się stryj jego, prymas Władysław Łubieński, zabrał go na dwór arcybiskupi do Skierniewic i oddał pod opiekę

---

[1]) Bartłomiej Michałowski, Pamiętniki, wyd. hr. Rzewuski, Warszawa 1858, t. IV, str. 36.

[2]) Kraushar, *Towarzystwo P. N.* t. II, str. 9.

[3]) *Gazeta Warszawska* r. 1808, dodatek nr. 60.

[4]) Łubieński, *Pamiętnik*, str. 202.

[5]) Tamże str. 8.

nauczyciela domowego księdza Pepłowskiego.[1]) Po przeniesieniu się prymasa z dworem do Warszawy w 1764 r., miejsce dotychczasowego nauczyciela-opiekuna zajął nasz Albertrandy. Młody pedagog, jako członek zakonu Jezuitów, nie mógł rozporządzać dowolnie swoją osobą; do przyjęcia bowiem nowego stanowiska potrzeba było zgody generała zakonu. Wpływy jednak prymasa łatwo przełamały tę przeszkodę. Już 5 marca 1765 r. zawiadamia jezuita Andrzej Wagner Młodziejowskiego, że generał zgadza się „i tem chętniej to czyni, im większa jest w nim powolność na rozkazy Książęcia J. Mości Dobrodzieja, pochodząca z powinnego względu na wysoką godność jego".[2])

W warszawskim programie wychowawczym młodego Feliksa pod kierownictwem Albertrandego spostrzegamy przedmioty, wprowadzone pod wpływem zachodnich haseł pedagogicznych. Do nich należą: historja, nauczana zapewne na podstawie podręczników francuskich, które Albertrandy przetłumaczył na język polski, geografja, może na podstawie podręcznika jezuity Karola Wyrwicza, matematyka, wiadomości z geometrji, botanika i mineralogja.[3]) Do tego przyłączały się języki: francuski i włoski, a może także i niemiecki. Widzimy więc program, zupełnie zgodny z ówczesną teorją pedagogiczną, propagowaną przez myślicieli Zachodu, a w Polsce częściowo zrealizowaną od czasów reformy Konarskiego w szkołach pijarskich, a Karola Wyrwicza w kolegjach jezuickich. Nie mógł jednak Albertrandy wyrzec się zupełnie tradycji wyniesionej z murów konwiktu Societatis Iesu. Jedną z wad było przywiązywanie wielkiej wagi do kształcenia pamięci. Młody uczeń musiał często deklamować z pamięci długie ustępy czy wiersze w obecności króla i innych znakomitych osobistości.[4]) Po kulcie pamięci szła nauka retoryki, w której uczynił szybkie postępy. Mowa jego, wygłoszona na pogrzebie prymasa w 1767 r., a napisana prawdopodobnie przez Albertrandego, roztkliwiła, a zarazem za-

---

[1]) Tamże.
[2]) List z Rzymu, wyd. Wójcicki, *Archiwum domowe*, 1856, str. 41.
[3]) *Pamiętnik* Łubieńskiego, str. 9.
[4]) Tamże.

dziwiła uczestników smutnego obrzędu. Słuchacze chwalili jednogłośnie wykształcenie dziewięcioletniego chłopca i podziwiali jego zdolności.[1]) Z tego nacisku na ćwiczenia retoryczne nie możnaby robić Albertrandemu zarzutu — wymowa bowiem była wówczas w Polsce dla karjery politycznej niezbędna — gdyby nie była uprawiana przez dziewięcioletniego chłopca, przeciążonego innemi przedmiotami. W programie edukacji zajmowała ponadto dość wybitne miejsce nauka łaciny.

Po śmierci prymasa Łubieńskiego w 1767 r. przeniósł się Albertrandy wraz z uczniem do jezuickiego, zreformowanego już na wzór szkół pijarskich „Collegium Nobilium" w Warszawie, za rektoratu znanego geografa, historyka i publicysty Karola Wyrwicza.[2]) Kolegjum warszawskie zmieniło za czasów kierownictwa Wyrwicza od 1763 r. zupełnie swój program nauk. Obok dawnej filozofji i wymowy spotykamy już prawo natury i prawo narodów, wykładane przez francuskiego jezuitę O. Couviere, historję powszechną i polską, literaturę niemiecką i francuską obok konwersacji, geografję, matematykę i geometrję, a nawet trygonometrję i fizykę. Astronomji uczył 1762 r. głośny później publicysta ks. Stefan Łuskina, inicjator obserwacyj astronomicznych z górnej galerji bibljoteki Załuskich.[3]) Rozgłosu kolegjum dodawały wybitne postacie profesorów, jak Franciszek Bohomolec, Adam Naruszewicz w roli nauczyciela historji powszechnej i wymowy, Jan Albertrandy, jako nauczyciel historji polskiej i wymowy, czy wreszcie Józef Olędzki, który wpajał uczniom zasady fizyki, geometrji praktycznej, a nawet architektury.[4]) Zmieniła się więc obecnie rola Albertrandego, jako nauczyciela młodego Łubieńskiego. Ograniczył się prawdopodobnie do ogólnego nadzoru nad wychowaniem i do „repetowania" czy nawet rozszerzania zadanych lekcyj.

---

[1]) Józef Bartoszewicz, *Znakomici mężowie polscy XVIII w.* Petersburg 1856, t. II str. 90.

[2]) *Pamiętnik* str. 9.

[3]) Załęski, *op. cit.* t. III, cz. II, 1047.

[4]) Tamże.

Pobyt w jezuickiem „Collegium Nobilium“ w Warszawie miał być tylko etapem edukacji Łubieńskiego, który, w myśl życzenia prymasa, miał wyjechać do szkół zagranicznych dla dokończenia studjów. Śmierć prymasa opóźniła nieco wykonanie planu; wykonano go dopiero w 1770 r., kiedy Młodziejowski, jako egzekutor testamentu Łubieńskiego, polecił Albertrandemu wyjechać z uczniem do Włoch. Peregrynację rozpoczęto we wrześniu tegoż roku; razem z Feliksem udawał się na studja nieznany bliżej Stanisław Ostrowski, dodany zdaje się, wedle panujących zwyczajów, do towarzystwa paniczowi.[1]) W krótkim czasie widzimy naszych peregrynantów w Wiedniu u babki Feliksa, Heleny z Łubieńskich hr. Salmour, ochmistrzyni dworu Marji Antoniny, późniejszej królowej francuskiej i Marji Józefy, przyszłej królowej neapolitańskiej.[2]) Wpływowa ochmistrzyni zaopatrzyła wnuka w polecające listy do księcia toskańskiego we Florencji. Po przedstawieniu się nowemu protektorowi udał się Łubieński wraz z opiekunem i towarzyszem do kolegjum jezuickiego w podległej księciu toskańskiemu Sienie.[3]) Czy Młodziejowski, wysyłając Albertrandego z Łubieńskim do ojczyzny Petrarki, polecił mu jakąś szkołę, trudno dowieść. Nasuwa się raczej przypuszczenie, że zostawił w tej kwestji wolny wybór zaufanemu nauczycielowi, ten zaś, sam jezuita, skorzystał z nadarzającej się sposobności i skierował ucznia do konwiktu swego zakonu.

Wybór ten jednak nie był trafny. Już po krótkim pobycie przekonał się nauczyciel o niskim poziomie szkoły, nazywanej przez Łubieńskiego akademją. W liście, a raczej w obszernym memorjale, wystosowanym do Karola Koryckiego, asystenta prowincyj polskich przy ostanim przed rozwiązaniem generale zakonu, Wawrzyńcu Ricci, podaje Albertrandy dokładną relację o poziomie naukowym Kolegjum

---

[1]) *Materjały do dziejów piśmiennictwa polskiego*, wyd. Teodor Wierzbowski, Warszawa 1904, t. II, str. 138. List polecający, pisany w imieniu królewskiem przez Młodziejowskiego, nosi datę 18 IX 1770.

[2]) *Pamiętnik*, Łubieńskiego, str. 10.

[3]) List Koryckiego do Albertrandego z 27 IV 1771, *Pamiętniki o dawnej Polsce*, t. I str. XLVIII.

Ptolomeusza w Sienie.[1]) W krytyce wyzbywa się nawet przywiązania do swego zakonu na rzecz objektywizmu. Dla lepszej argumentacji swoich zarzutów umieszcza je na bogatem tle porównawczem szkolnictwa jezuickiego w Polsce i we Włoszech.

Utrzymuje się w Polsce — mówi Albertrandy — powszechna opinja, że uczniów jezuickich łatwo poznać po zbytecznej pobożności i religijności. Szkoła jezuicka przyzwyczaja do tego wychowanków zwykłemi środkami, przyjętemi i zachwalanemi przez cały Kościół oraz przez wszystkich najwybitniejszych jego przedstawicieli. Są więc codzienne ranne i wieczorne modlitwy, krótkie wprawdzie, lecz nie męczą młodzieży, a przez swoją głęboką treść porywają uczucia wychowanków. W dniach zwykłych słuchają uczniowie jednej, w niedziele i święta dwu mszy św., a oprócz tego krótkiego kazania, które u starszych wiekiem zmierza do wyplenienia wad i zagrzewa do cnót, młodszym zaś wyjaśnia zasady wiary chrześcijańskiej; w niedziele ponadto przez kwadrans, co najwyżej przez pół godziny czytają wskazaną im pobożną lekturę, traktującą o zasadach prawdziwego uczucia religijnego.[2])

Tak przedstawiała się wówczas, wedle zdania Albertrandego, kwestja wychowania religijnego u Jezuitów w Polsce i w Niemczech. W Kolegjum zaś Ptolomeusza w Sienie kładą Jezuici przedewszystkiem nacisk na głośne modlitwy, już nigdzie, wedle autora listu, nie stosowane, które chłopcy odmawiają nietylko w kościele, ale nawet podczas ubierania się i rozbierania. Polecono im przytem krzyczeć jak najgłośniej, wskutek czego wychowanek Ostrowski rozchorował się na zapalenie gardła, a to samo zagraża i Łubieńskiemu. Wpaja się przytem uczniom na każdym kroku, przy

---

[1]) List ten znajduje się Bibljotece Baworowskich we Lwowie, nr. rkps 1075, fasc. I, adresata brak. Na podstawie jednakże listu Koryckiego do Albertrandego z 6 lipca 1771, *Pamiętniki o dawnej Polsce*, str. XLIX—LI, który jest — jak z treści wynika — odpowiedzią na memorjał Albertrandego, możemy stwierdzić, że adresatem był Korycki i że wspomniany memorjał był pisany z końcem maja lub z początkiem czerwca 1771 r.

[2]) Ponieważ dalsza część niniejszego artykułu opiera się na wspomnianym memorjale, autor nie podaje do niego dalszych odsyłaczy.

każdej sposobności fałszywą wiarę w cuda, objawiające się rzekomo w codziennem życiu, co większą przynosi szkodę prawdziwej pobożności, niż pożytek. Kiedy bowiem młodzi chłopcy zaczną później zastanawiać się nad wpojonemi im naukami i spostrzegą wiele w nich fałszu, stracą wiarę w dawnych wychowawców, a może nawet zwątpią o prawdziwości zasad religji.

Oprócz tego istniały w Sienie dwa inne rodzaje praktyk religijnych, zwanych „ristretti" i „fioretti". Pierwsze z nich to rozmyślania samotne uczniów przez 15 dni przed każdą spowiedzią, wskutek czego przeszło 50 dni w roku traci się na nie z wielkim uszczerbkiem dla konwiktorów i poziomu naukowego samej szkoły. „Fioretti" byłyby może pożyteczne — twierdzi Albertrandy — gdyby uczniowie dokładnie rozumieli, czego wychowawcy od nich wymagają. Ćwiczenia te odbywają się kilka razy do roku zamiast częściowych czy okresowych egzaminów, podczas których uczniowie powinni powtórzyć przerobiony materjał. Tak jednak nie jest. Konwiktorowie, pozostawieni własnej woli, słuchają wprawdzie z udaną czy prawdziwą pobożnością po dwie msze św. dziennie, odmawiają głośno modlitwy i czynią wszystkie rzeczy, aby wykręcić się od nauki. Wszystkie te praktyki religijne przepojone są wiarą w cudowność, powszechną u nas u schyłku XVII i w pierwszej połowie XVIII w., obecnie jednak wyśmiewaną w całej Europie, nie wyłączając Polski.

„Jakiemi argumentami — zwraca się Albertrandy z pytaniem do Koryckiego — mogą bronić te praktyki religijne od zarzutów, że pielęgnują one fanatyzm religijny?" Gorliwy pedagog polski zdaje sobie sprawę z tego, ile szkód całemu zakonowi Jezuitów przynoszą takie oskarżenia, z któremi jednak sam musi się zgodzić.

Kilka razy do roku polecają sieneńscy jezuici konwiktorom układać pobożne książeczki z modlitwami do Ducha Św., św. Alojzego i wielu innych, upatrując w tych ćwiczeniach wielką wartość wychowawczą. Książeczki, podpisane imiennie, oddają uczniowie swoim spowiednikom, a ci w dniu święta samego lub w przeddzień rzucają je do ognia na spalenie. Skutkiem tych ćwiczeń było, że wycho-

wankowie polscy, tak Ostrowski jak i Łubieński, zatracili dawną prawdziwą, wewnętrzną pobożność, a stali się gadułami, co okazuje się specjalnie przy modlitwach. Na potwierdzenie tego faktu powołuje Albertrandy na świadka nieznanego nam bliżej jezuitę Goreckiego, który przez jakiś czas bawił w Sienie i obserwował zachowanie się młodocianych polskich przybyszów.

Pożywienia konwiktorskiego, stosownego dla ludzi prostych, uczniowie Albertrandego znieść nie mogli. Ujemny ten sąd o wikcie nie był wynikiem porównania go ze sposobem życia tylko w Polsce, ale i w Niemczech, a nawet w samej Sienie, w domach zamożniejszych obywateli. Zastrzega się przytem Albertrandy, że chodzi mu tylko o wychowanków, a nie o niego. Bratanek arcybiskupa, wychowany w domu i w konwikcie warszawskim w wielkim dostatku, rzadko skarży się na pożywienie, chyba wtedy, jeżeli istotnie już go znieść nie może. Przez ostatnie ośm dni przed pisaniem listu żywił się Łubieński tylko owocami, nie mogąc przyzwyczaić się do wiktu konwiktorskiego. Często bowiem w ciągu tygodnia podają w Sienie tylko chleb z oliwą i z octem. Tego zaś — wedle Albertrandego — nie może znieść żaden syn szlachcica, w którym wyrabia się powoli przekonanie, że Jezuici włoscy uprawiają wstrętne skąpstwo i bogacą się cudzym kosztem, zwłaszcza, że opłaty za utrzymanie są dosyć wysokie.

Kwestja wychowania towarzyskiego w Sienie zostawiała także wiele do życzenia. Troska o kulturę towarzyską była nawet tak dalece zaniedbana, że Albertrandy obawiał się, aby wychowankowie jego nie stracili zupełnie wpojonych im dotychczas zasad dobrego zachowania się i nie upodobnili się do mieszczan. Młodsi bowiem z konwiktorów stają się pochlebcami wobec starszych i swoich przełożonych i tak zachowują się w sypialni, przy stole czy podczas zabaw, że przypominają zupełnie synów chłopskich. Nikogo to nawet w Kolegjum Ptolomeusza nie dziwi. Nadzór nad uczniami w ich salach sprawują duchowni świeccy za wynagrodzeniem jednego skuda miesięcznie; uwaga ich skierowuje się przedewszystkiem na to, aby uczniowie stale przebywali w wyznaczonej sali i cicho się zachowywali. Na niczem in-

nem ci prefekci nie rozumieją się i postulaty wychowawcze młodzieży stanu szlacheckiego, wedle przyjętych powszechnie zasad, są im zupełnie obojętne, a często wogóle nieznane. Wiele trudów — woła Albertrandy — kosztuje rodziców przyzwyczajenie swych synów do pewnej wytworności i elegancji towarzyskiej, a jeszcze więcej wysiłków trzeba będzie włożyć, aby synów, czy wychowanków, pozostających przez pewien czas w dzikiej swobodzie, nagiąć znowu do pewnych ram, obowiązujących kulturalnego człowieka.

Poziom naukowy Kolegjum Ptolomeusza przedstawiał się tak, jak w Polsce przed stu laty, a we Włoszech przed trzystu. Wymagania natomiast zupełnie zmieniły się, przy równoczesnym wzroście i powstawaniu nowych gałęzi wiedzy, społeczeństwo ponadto żąda od szkoły jezuickiej przygotowania młodzieży do życia, jako ludzi prywatnych i obywateli państwa, a postulat ten należy przedewszystkiem sumiennie spełniać, tak, jak to czynią Jezuici polscy, którzy zreformowali w Warszawie „Collegium Nobilium" w myśl najnowszych haseł i dokonali tego dobrowolnie bez żadnego zewnętrznego przymusu. Słusznie więc zasłużyli na uznanie społeczeństwa i to nietylko przychylnego dla Jezuitów, ale i dotyczasowych zaciętych wrogów. „Czy Włochy zechcą kiedyś — woła Albertrandy — naśladować piękny przykład Polski? Chyba nie czekają na to, aby książę florencki wglądnął — co już zamyśla zrobić — w sposób wychowywania młodzieży i zmusił Jezuitów do przeprowadzenia gruntownej reformy". Gdyby to się stało, wychowawca polski nie dziwiłby się księciu, którego największą troską powinna być edukacja młodego pokolenia.

Zanim jednak to nastąpi, Jezuici sieneńscy powinni sami dążyć do podniesienia poziomu nauczania, „gdyż ćwiczenie w naukach dla panien w Sienie ledwie takie jest, jakie w „Collegium Nobilium" warszawskiem dla pokojowych".[1]) Pięć godzin każdego dnia spędza młodzież w szkole; w porze popołudniowej przygotowuje się przez dwie godziny do lekcyj szkolnych, resztę zaś czasu poświęca na

[1]) Tak samo pisał Albertrandy w zaginionym liście do Karola Wyrwicza, jak o tem w memorjale do Koryckiego wspomina.

próżnowanie. W szkole uczą przedewszystkiem języka łacińskiego, którego choćby najlepiej uczono, pozostanie zawsze tylko językiem, nie rozwinie należycie umysłu i nie daje najmniejszego pojęcia o innych naukach. Nie zgadza się Albertrandy z obrońcami wykształcenia filologicznego, którzy twierdzili, że przy nauce łaciny można łatwo udzielać innych wiadomości; jak nie można — mówi autor listu — bielić równocześnie dwu ścian domu, tak żaden nauczyciel, choćby najgorliwszy i najzdolniejszy nie potrafi równocześnie uczyć języka łacińskiego i udzielać dokładnych wiadomości o innych rzeczach, a jeżeli nawet to czyni, to bez żadnej metody, przypadkowo i dorywczo, co uczniom nie przynosi żadnej korzyści.

Albertrandy nie może też pojąć, dla jakiej przyczyny Kolegjum Ptolomeusza zażywa wielkiej sławy w całych Włoszech, chociaż nie może nawet równać się pod względem wychowawczym i naukowym z konwiktami jezuickimi w Polsce, którą Włosi uważają za kraj barbarzyński. Gdyby jednak w tej pogardzanej przez nich Polsce światlejsi jezuici byli nie przeprowadzili reformy konwiktów w tym kierunku, aby przynosić nietylko pożytek Rzpltej ale i stać się dla niej rzeczą konieczną, nie wiadomo, coby do tego czasu stało się z całym zakonem w Polsce. Przeciwko zaś kolegjum sieneńskiemu nikt nie występuje, chociaż ono na to zupełnie zasługuje.

Nie uczą tu bowiem Jezuici nawet podstawowych zasad geografji ani historji, nie znają prawie zupełnie języków nowożytnych, lekceważą, a nawet potępiają prawo narodów i naukę moralną; tego wszystkiego, czego uczą się wychowankowie w „Collegium Nobilium“ w Warszawie, uczniowie w Sienie nawet z nazw nie znają. Od czasu do czasu przychodzi do sali jadalnej jezuita Salvioni, zażywający sławy wybornego poety, siada przy jednym z konwiktorów, rozkłada przed nim mapę z XVII stulecia (nowszych wogóle nie znają), wymienia i pokazuje niektóre miasta i prowincje, powtarza kilka razy bez żadnego porządku i metody, po chwili odchodzi i siada przy innym. Przy takim sposobie nauczania wychowankowie nie dowiadują się nic o obyczajach i zajęciach ludności danych państw, o for-

mach rządów i o wielu innych rzeczach, które tak obszernie wyłożył Karol Wyrwicz.[1])

Podobnież wyglądają lekcje języka francuskiego. Francuz w podeszłym wieku czyta z jednym z konwiktorów kilka wierszy z książki, pisanej wstrętną francuszczyzną i bez żadnych objaśnień przechodzi za chwilę do innego ucznia. Jedynym celem, do którego dążą nauczyciele, jest przygotowanie uczniów do popisu publicznego na końcu roku; dlatego też zwracają przedewszystkiem uwagę na trzech lub czterech wychowanków, którzy mają wystąpić publicznie, podczas gdy reszta niczem nie zajmuje się i niczego nie umie. Miesiąc zaledwie minął — mówił Albertrandy — jak wprowadzono naukę historji; uczą jej Jezuici na podstawie starego łacińskiego podręcznika, w ten sposób, że uczniowie na pamięć recytują zadane im ustępy, pełne opowiadań o niewiarygodnych cudach.

Przy omawianiu popisów publicznych nie może Albertrandy powstrzymać się od złośliwej uwagi, że Jezuitów sieneńskich należałoby wysłać do warszawskiego „Collegium Nobilium", aby tam nauczyli się, jak takie popisy należy urządzać i jakie im społeczeństwo polskie stawia wymagania. Przed najznakomitszymi obywatelami Sieny staje kilku uczniów, którzy na początek deklamują sonety włoskie, pióra wspomnianego już jezuity Salvioni; utwory jego oprócz pięknego języka i frazesów nie zawierają żadnych głębszych myśli i są obliczone tylko na efekt. Po deklamacjach, często przy wtórze instrumentów muzycznych, następują popisy retoryczne. Kilku uczniów wygłasza na zadany temat całe ustępy, wzięte wprost z autorów klasycznych, łacińskich lub greckich w tłumaczeniu łacińskiem, co obciąża tylko pamięć chłopców, nie przynosząc im żadnej korzyści na przyszłość. W najwyższej klasie urządzano nawet popisy z geografji. Kiedy omawiano strony świata, Albertrandy zapytał się niespodziewanie jednego z uczniów gdzie leżą bieguny ziemskie. Łatwe to pytanie spowodowało

[1]) Wspomina tu Albertrandy o znanym podręczniku: Karol Wyrwicz, *Geografja czasów teraźniejszych*, Warszawa 1768, skonfiskowana przez Repnina. Wydanie drugie p. tyt. *Geografja powszechna* ukazało się w 1770, następne w 1773, 1774 i 1778 r.

konsternację na sali, gdyż ani nauczyciel, ani uczniowie nie umieli dać na nie odpowiedzi.

Niewiarygodna ta i smutna relacja o poziomie wychowawczym i naukowym Kolegjum Ptolomeusza nasuwa Albertrandemu twierdzenie, że większy pożytek odnieśliby chłopcy, gdyby ich rodzice oddali pod nadzór księdza świeckiego, któryby czuwał tylko nad stroną moralną wychowania, a na naukę posyłał pupilów do nauczycieli prywatnych, lub do szkół publicznych; w ich murach nauczyliby się synowie szlacheccy wszystkich przedmiotów, przystosowanych do ducha czasu, a równocześnie zdobyliby wielką ogładę towarzyską. Do wyższego wykształcenia tych uczniów przyczyniłaby się znajomość języków nowożytnych, o które w Sienie nikt rzetelnie nie troszczy się, nikt nie zachęca konwiktorów, aby w domu ćwiczyli się w nich przez konwersację; wychowawcy nawet sami tyle wiedzą o wartości posługiwania się językami nowożytnemi, ile wiedzieli o tem mieszkańcy Ameryki w XV w.

Wobec takiego stanu rzeczy, wychowawca paniczów polskich, pamiętając o odpowiedzialności moralnej wobec opiekunów Łubieńskiego, postanowił wrócić do kraju, aby zapoznać ucznia z instytucjami państwowemi w Polsce, z prawem publicznem i obyczajami. Zanim jednak to uczynił, starał się zapobiec złemu przez układy z rektorem konwiktu sieneńskiego. Przedłożył mu obszerny memorjał, w którym domagał się: 1) aby wychowankowie przebywali stale tylko pod jego opieką; 2) aby mógł być obecny przy spożywaniu posiłków; 3) ażeby sam ich przygotowywał do lekcyj szkolnych i uczył innych przedmiotów. W czwartym punkcie wyraził życzenie przyjęcia do służby dla jego pupilów oddalonego niedawno na żądanie rektora chłopca polskiego któryby uczył paniczów języka niemieckiego. Po kilku dniach namysłu pozwolił rektor tylko Ostrowskiemu na prywatną naukę i zgodził się na lekcje języka niemieckiego, ale tylko podczas przechadzki obydwu konwiktorów. To ustępstwo nie zadowoliło Albertrandego. Domagał się nadal już osobiście odrębnej sypialni dla swoich wychowanków, w którejby sam był prefektem i sam mógł ich nauczać. Tłumaczył rektorowi, że nie domaga się czegoś nadzwyczajnego,

gdyż wiele sal jest pustych, a on sam chce poddać się przepisom, obowiązującym miejscowych prefektów. Jedyną odpowiedzią na te postulaty była nadąsana mina rektora i gniewliwe spojrzenia, kierowane w stronę polskiego przybysza. Dopiero kiedy Albertrandy zapowiedział, że opuści niebawem kolegjum, przerażony rektor oświadczył mu, że w sprawie żądanych ustępstw musi porozumieć się z generałem zakonu.

Jezuita polski zaufał przyrzeczeniu. Po kilku dniach oświadczył mu rektor, że generał Ricci nie zgodził się na żadne ustępstwa, motywując odmowę tem, że studenci polscy mają zamiar przebywać w Sienie tylko krótki czas, a na ten okres nie można wprowadzać żadnych zmian i pozwalać na wyróżnienia pewnych konwiktorów, gdyż to wprowadziłoby niepotrzebny zamęt w całym zakładzie.

Rozżalony tą odpowiedzią Albertrandy podejrzywa rektora, że fałszywie poinformował o całej sprawie generała zakonu, lub, że ten zgodził się na jego żądania, a rektor nie chce do tego się przyznać. Jest on bowiem specjalnie niechętny dla Polaków za to, że nie mają uznania dla tego, co Włosi uważają za godne podziwu i chwały.

Podejrzenia te nie były jednak słuszne. Korycki w odpowiedzi na memorjał Albertrandego oświadcza, że generał Ricci istotnie dostał pismo od rektora sieneńskiego z postulatami polskiego peregrynanta.[1]) Generał jezuitów orzekł po dłuższej naradzie z Koryckim, że konwikt nie może pozwalać na wyjątki wśród konwiktorów i że dla dobra całego kolegjum nie wolno mu tolerować żadnych wyłamywań się z pod obowiązujących przepisów przez polskich wychowanków, mających w krótkim czasie opuścić Sienę. Korycki zajmuje także podobne stanowisko, chociaż z drugiej strony przyznaje rację Albertrandemu. Twierdzi bowiem, że wychowawca polski nie może tolerować przepisów ani zwyczajów, które wychodzą na szkodę jego pupilów. Jedynem wyjściem z tej trudnej sytuacji będzie — wedle Koryckiego — jak najszybsze opuszczenie Sieny i wyjazd do

---

[1]) List Koryckiego do Albertrandego z 6 VII 1771, *Pamiętniki o dawnej Polsce,* t. I, str. XLIX—LI.

kolegjum rzymskiego, w którem generał zakonu przyrzekł pozwolić na pewne przywileje dla polskich uczniów. Wyjazd nie może jednak wcześniej nastąpić, jak podczas wakacyj letnich, gdyż inaczej uraziliby się Jezuici sieneńscy, czego należy uniknąć za wszelką cenę.

Projekt Koryckiego urzeczywistniono w sierpniu 1771 r. w tym bowiem czasie widzimy naszych peregrynantów w Rzymie, jako mieszkańców „domicilium", zwanego także „hospitium", a przeznaczonego wyłącznie dla członków „Societatis Iesu". [1]) W kilka miesięcy później przeniósł się Albertrandy wraz z uczniami do polskiego, założonego jeszcze w XVI w. przez kardynała Hozjusza „Hospitium Sancti Stanislai", zwanego obecnie „Casa nazionale degli Polacchi al S. Stanislao". [2]) Zetknął się tu z kolonją polską, reprezentowaną przez jezuitę Ignacego Włodka, prokuratora prowincji polskiej w Rzymie, autora dzieła *O naukach wyzwolonych w powszechności i w szczególności.* Ścisłą też przyjaźń zawarł ze znanym malarzem polskim Franciszkiem Smuglewiczem, późniejszym uczestnikiem „obiadów czwartkowych" Stanisława Augusta. [3])

Wielką uwagę zwracał Albertrandy w Rzymie na wykształcenie wychowanków. Łubieńskiego sam uczył matematyki, astronomji, geografji, historji naturalnej i dziejów ludzkości, a ponadto budził w nim zamiłowanie do archeologji i zbierał starożytne medale rzymskie. [4]) W późniejszym czasie uczył się bratanek prymasa tylko prawa i historji. [5]) Na tem zapewne nie kończył się program edukacji. Łubieński bowiem, późniejszy minister sprawiedliwości w Księstwie Warszawskiem, odznaczał się wszechstronnemi i gruntownemi wiadomościami, które zjednały mu podziw oraz uznanie u współczesnych. [6])

Po dwuletnim pobycie we Włoszech wrócili nasi pere-

---

[1]) Maciej Loret, *Pielgrzymstwo naukowe w Rzymie od XV-XVIII w* Nauka polska, t. XI, Warszawa 1929, str. 172.

[2]) *Pamiętniki o dawnej Polsce*, t. I, str. LII.

[3]) Loret, *Życie polskie*, str. 359.

[4]) Tamże.

[5]) *Pamiętnik* Łubieńskiego, str. 245.

[6]) Leon Dembowski, *Moje wspomnienia*. Petersburg, 1898 str. 363.

grynanci, wezwani przez Młodziejowskiego, do Warszawy w 1773 r. [1])

Jan Albertrandy jest typem polskiego pedagoga, owianego nowemi prądami edukacyjnemi, które w miarę sił starał się wprowadzić w życie. Usiłował przedewszystkiem, jak Konarski i Komisja Edukacji Narodowej, zrealizować ideał szlachetnego człowieka. Wychowanie jego opierał w pierwszym rzędzie na zasadach wiary chrześcijańskiej, nie zewnętrznej, polegającej tylko na hałaśliwem wypełnianiu praktyk religijnych, lecz opartej na głębokiem i szczerem uczuciu oraz na ufności w Bogu. Do raz wytkniętego celu dążył konsekwentnie, chociaż konsekwencja ta jednała mu nawet wrogów i była powodem wielu kłopotów w Sienie.

Drugą cechą jego wysiłków pedagogicznych jest dążenie do wychowania obywatela Polaka. Należy on do jezuitów, którzy zerwali z zasadą „szkoła dla szkoły" i udowodnił czynem, że szkoła powinna przedewszystkiem przygotowywać młodzież do życia. W związku z tem pozostaje pewien utylitaryzm w jego sposobie edukacyjnym. Pamiętając, że Łubieński ma zająć kiedyś wysokie stanowisko w Polsce, przygotowuje go już w młodości do sprawowania urzędów. W tym celu poleca mu naukę prawa, pragnie go zapoznać z obyczajami obcych narodów, jako też własnego, i żywi zamiary wtajemniczenia wychowanka w polską administrację państwową.

Na osobną uwagę zasługuje kwestja wykształcenia. Memorjał świadczy wymownie, że Albertrandy razem z innymi polskimi Jezuitami zdawał sobie sprawę, iż przepisy „Ratio studiorum" są przestarzałe, że konwikty „Societatis Iesu" muszą zmienić gruntownie dotychczasowy system edukacji. W programie, przez niego propagowanym, widzimy już wszystkie przedmioty nowoczesne. Na pierwszy plan wysuwają się języki nowożytne: francuski, niemiecki i włoski, ponadto geografja i astronomja, matematyka i geometrja, filozofja, oparta na poglądach myślicieli XVII i XVIII stulecia, a nawet nauka tańca i szermierki. Równocześnie zwraca Albertrandy baczną uwagę na metodę nauczania i zwalcza

[1]) *Pamiętniki o dawnej Polsce*, str. LIII.

ostro wszelką pobieżność, niedbalstwo i niesystematyczność w prowadzeniu lekcyj, co mu przynosi wielką chlubę.

Streszczony list Albertrandego do Koryckiego ma dla nas ponadto inne znaczenie. Świadczy on wybitnie na jakie wyżyny kulturalne i pedagogiczne wznieśli się polscy Jezuici, podczas gdy członkowie zakonu w niektórych krajach tkwili jeszcze w zwyczajach XVI w. i odgradzali się grubym murem od haseł, tchnących nowością i godzących w dotychczasowe, szkodliwe dla nowoczesnego człowieka, praktyki. Wysiłki polskich Jezuitów nie ograniczyły się tylko do reformy wewnętrznej; pragnęli oni także przekonać kolegja innych prowincyj o konieczności zmiany na lepsze i odgrywali z całem poświęceniem wobec zacofanej jeszcze zagranicy rolę gorliwych pionierów postępu.

Lucjan Kurdybacha.

Ramon Fernandez jako przedstawiciel nowej krytyki literackiej we Francji.

La meilleure critique, c'est la création devenue consciente d'elle même.

Nazwisko przedstawiciela nowej krytyki francuskiej znano u nas głównie z artykułów, umieszczonych w jednem z najpoczytniejszych czasopism literackich. Wiedziano też, że rzucił on wiele światła na Moliera, którego pojął na tle właściwego narodowi francuskiemu zdrowego rozsądku. Jego pobyt w Polsce zwrócił też nań uwagę znawców, którzy poświęcili mu mniejsze lub większe artykuły.

Nie tajnem jest zaś, że krytyka paryska stoi bezsprzecznie poza idealistycznym i estetyzującym ruchem w innych krajach. Pisał o tem uszczypliwie Filip van Treghem, wiedzą coś na ten temat Mornet i de Fey. A jednak i tam pozytywne metody tracą na znaczeniu. I tam poczyna się pojmować, że rozkładanie złożonej literackiej rzeczywistości na elementy spojone momentem przyczynowości i grupowanie około człowieka i dzieła wszystkich faktów, które rzekomo się na nich złożyły, nie rozstrzyga jeszcze wszystkiego.

I w Paryżu znajdują się ludzie czuli na indywidualne osobliwości i wyjątkowe wartości estetyczne. Kampanję przeciw filologizmowi, genetyzmowi, co niedoceniały inicjatywy jednostki i niepowtarzalnych zjawisk artyzmu, podtrzymuje we Francji wzmagające się uznanie dla Crocego, co zwrócił się, jak w Niemczech Walzel, Ermatinger, Hirt i inni, przeciw dotychczasowym metodom, a uznając krytykę za filozofję literatury, podkreślił nieobliczalne znaczenie twórcy.

Źródła, które odkrywała stara krytyka, nie stanowią, wedle Crocego równoważników dzieła, które jest nowym tworem genjuszu. Zanosiło się na to zresztą i we Francji od czasów Guyau. Dziś Ségond rozprawia już o genjuszu jako zupełnej wolności, o życiotwórczej sile, o myśli organizacyjnej, o potędze czucia i afirmacji siebie, w czem idzie za nim i Fernandez w pojęciu twórcy i twórczości.

Fernandeza obchodzi mocno osobowość. Chcąc zrozumieć pisarzy trudnych, szuka ich wielkości, by znajdować ją w harmonji władz, w mocy intelektu, wreszcie w klasycyzmie, który u nas nie wydał wielkiego przedstawiciela. Klasycyzm, jako zjawisko powracające w literaturze, wydaje mu się momentem nasycenia, uporządkowania, przewartościowania tego, co dawał romantyzm dawnych i nowych wieków. Choć opiera się o klasycyzm, nie stroni Fernandez i od intuicjonizmu, w który wiarę wszczepił współczesnym niegdyś Bergson a dziś Husserl.

A i charakterolog Klages pogłębia i nad Sekwaną świadomość, że każda żywa jednostka nie da się rozłożyć na elementy i że wypada znać środki wniknięcia w jednostkę. Współczesny obserwator literatury Berge głosi zaś, że psychologja ma być odtąd morfologją czyli nauką o formach strukturalnych duszy, co tkwi w formie a nie w mózgu. Indywidualność ludzka nie jest tylko czemś odosobnionem, ale jaźnią, na którą składa się zespół ducha uniwersalnego i jednostkowego.

Zalatuje więc z Niemiec prąd idący od Sprangera, Müller-Freienfelsa i innych. Zagadnienie osobowości zaczyna pochłaniać uwagę krytyków, co chcą rozplątać zagadkę człowieka. Toczy się jakby dialog ciała z duchem, w którym duch usiłuje nawiązać dawno zerwany związek z universum, a pisarz wyczuwający w powietrzu zainteresowanie dla tajemnicy szuka ścieżki uporczywie i namiętnie. Wszakże żyjemy w epoce przełomu, gdy filozofowie ducha wracają do Hegla, o którego opiera się i Croce, gdy filozofowie historji Troeltsch i Simmel narzucają nowe rozumienie świata historycznego, gdy charakterologowie Klages i Utitz odkrywają głąb człowieka, gdy fenomonologowie Husserl, Scheler, Heidegger rozważają byt w jego istocie.

Przebudowa nauk humanistycznych zwraca się wogóle przeciw dotychczasowemu przyrodniczemu pojmowaniu psychologji w stronę tak zwanej egzystencjonalnej psychologji, gdzie chodzi nie o rozumienie i objaśnienie psychicznych zjawisk, ale o ujęcie człowieka jako całości. Bada ona człowieka w jego podstawie, w wewnętrznej strukturze, w stosunku do całości bytu. Tak człowiek stara się odszukać siebie i walczyć o siebie, w czem kiedyś pomógł Bergson, gdy usiłował wrócić mu jego odrębność w walce z maszyną i ze zmechanizowaniem. Zaczął się bój, w sferze psychologji z psychologją asocjacyjną, w sferze nauk ścisłych z matematycznem przyrodoznawstwem, w sferze filozofji z materjalizmem wogóle.

Pomogli w nim Boutroux, Poincaré, Duhem. Zasadniczą zaś tezą bergsonizmu była koncepcja trwania, jako nowa analiza świadomości i wzniesienia się ponad liczbę, czas i przestrzeń, która rzeczy duszy potraktowała w ich całości i płynnej realności, a nie na tle niezmiennych elementów. Koncepcja twórczego rozwoju ujęła wszystko nie w normy mechanicznego procesu, ale celowości, gdzie powtórzyła się znów koncepcja trwania. Życie natury utożsamiono z duchowem. Instynkt zwrócił się przeciw intelektowi, dusza przeciw ciału, trwanie przeciw długości czasu, czas przeciw przestrzeni, wolność przeciw konieczności, pamięć przeciw materji, jak opisał przełom wynikły z bergsonizmu Heinemann.

A u nas Mysłakowski orzekł trafnie, że ta filozofja obracając się koło psychologicznej kategorji świadomości, chciała uchwycić całą rzeczywistość w jednolitym opisie pojęciowym psychologji, by przedłużyć się w rodzaj kosmologicznej metafizyki. Czy nie szło jej chyba o włączenie organiczne nauki w sferę osobowości, gdyż wykwitła ona dla człowieka i przez człowieka czyli na podstawie psychologicznego związku pamięci, jako pośredniczki między wrażliwością a aktywnością? Sfera psychiki jest czemś nieokreślonem, gdzie ludzkie czynności są aktami rozwijającemi się ze względu na kierunek i znaczenie pod wpływem przeszłości. Nauka jest uporządkowaniem międzyosobowej pamięci czyli zbiorowego doświadczenia ludzi. Człowiek oddzielił się zaś

od natury sztucznym światem rzeczy, również sztucznym światem objektywnych symbolów nauki, co zmusza do powrotu do personalizacji nauki i sharmonizowania jej z moralną osobowością człowieka.

I oto Fernandez, jako krytyk, zajmuje się przedewszystkiem człowiekiem. Rozróżnia jaźń powierzchowną i nieuporządkowaną od zjednoczonej i aktywnej, co stwierdza siebie, nie ginie w absolucie, dysponuje swą treścią. Ona może przecież wyjść z siebie, mając za element oporu uczucie, co wypowiada się przez czyn jak swój obraz. Afirmacja siebie jest właśnie momentem aktywności, ujawniającym się nietylko w elementach ale i w koncepcji elementów. W człowieku musi być bowiem związek między metodą postępowania a życiem wewnętrznem.

Czy takie pojęcie człowieka nie odpowiada bergsonowemu pojęciu działania? Indeterminista, rozróżnia przecież filozof francuski *ja* głębokie i *ja* powierzchowne, z których pierwsze utrzymuje właśnie kontakt z absolutem. Ono walczy z materją, z automatyzmem, by właśnie żyć sobą przez akty całej osobowości, co ją wyrażają. Ono wymaga wewnętrznego wysiłku, organizując się w nową całość stawania się. Albowiem twórcza zasada jest u podstawy stawania się, a rozmach życia polega na postulacie twórczości.

I Fernandez jest zdania, że osobowość jest zgodnością osoby i jej czynu, gdyż ona to konkretyzuje swą treść, stwierdza siebie w sposób przedmiotowy nie przez próżność lub naśladowanie ale retrospektywnie i prospektywnie. Nawet wtedy, gdy przeżywamy w sobie innych ludzi, ustalamy własną postawę, bo jedność osobowości nie jest aktem intelektu, ale pochodzi z uczucia, ze zgody, z wyprzedzenia siebie. Czy nie tak jest z religją i z etyką, których nie poddajemy chyba intelektualnemu sprawdzaniu? Aktem osobowości jest także twórczy czyn artysty, co tryska ze źródła irracjonalnego, z energji życiowej, z dążenia do stwierdzenia się.

Ten swój pogląd stosuje Fernandez do literatury francuskiej i obcej. Wymieniwszy krytykę uniwersytecką artystyczną i mówioną, dodaje od siebie filozoficzną. Czy uniwersytecka miałaby oznaczać upór przy dawnych metodach

pozytywnych? Czy artystyczna miałaby za źródło dawno przeżyty impresjonizm? Tego nie wyjaśnia krytyk. Ale liczy się zapewne z tem, co zaszło od czasów Guyau, Dilthego, Lippsa, Bergsona i innych. Ze stanowiska filozoficznego na komizm, na tragizm, na twórczość, na twórców od szeregu lat. Krytyka współczesna, jak pisał niedawno Fehr, chce zastanawiać się nad twórczością w jej sensie wiecznym, w dynamizmie wewnętrznym, w stanowisku wśród ludzkiego universum.

Zatem Fernandez wkracza na tory wyznaczone przez husserlistów. Za podstawowe zagadnienie estetyki poczytuje on metafizyczne zagadnienie bytu na płaszczyźnie uczucia. I słusznie uważa, że wypada znaleźć przedmiotowy korelat, jeżeli chce się ująć uczucie w artystyczny kształt. Czy sztuka nie daje pod tym względem przykładu? Krytyk typu filozoficznego ocenia zatem jej zjawiska z punktu filozoficznego jako zbiory hipotetycznie zorganizowanych idei, co wyjaśnią obchodzące nas zagadnienie.

Oczywiście, jak głoszą to i husserliści, intuicja rozstrzyga w takiej krytyce. Jak Müller-Freienfels, Ermatinger i inni, wyprowadza Fernandez wszystko z irracjonalizmu. Zatem podnosi, że ludzie wytworzyli sami filozofję idej. Nie byłby bergsonistą, gdyby nie głosił, że nieprzewidzianość kroczy drogą absolutną a nie intelektualną i czysta aktywność nie zamyka w sobie elementów racjonalnych. Zaś ujęcie aktu twórczego może się dokonać wyłącznie na drodze filozoficznej i odrębnej od intelektualnego sposobu poznawania intuicji.

Jeżeli wogóle intuicję można przenieść na całokształt rzeczywistości, co w wynikach jest niewątpliwie aktem nadświadomości, da się to zastosować i w krytyce, gdy w nauce ścisłej obowiązuje doświadczenie a w filozofji dialektyka. Nie znaczy to, byśmy mieli wyrzekać się intelektualnego przygotowania, lekceważyć ludzi intelektu, rozciągać na wszystkie przedmioty myśl intuitywną. Każde dzieło twórcze jest przecież pewnego rodzaju poznaniem. *Statique par sa méthode* — mówi Fernandez — *mais dynamique par se méthode, cette critique s'efforce de faire jaillir la pensée de la vie, puis d'assurer entre elles des échanges constants.* Chodzi tu

jakby o rodzaj duchowego doświadczenia, o którem mówił Dilthey.

Czy nie głosił on już kiedyś, że na tle wewnętrznego doświadczenia danych nam duchowo faktów ujmujemy rzeczywistość w jej istocie? Albowiem inny przedmiot wymaga innego procesu poznania. Jeżeli fakta przyrody możemy poznawać zewnętrznie przez rozum, to duchowe trzeba poznawać jedynie wewnętrznie czyli intuicyjnie. Wszystko tedy, co przypada sferze ludzkiej, wynika z całości ducha. Z nią też muszą mieć do czynienia humanistyczni badacze. Elementami świata ludzkiego są zaś jednostki, na które składają się związki świata zewnętrznego o charakterze typu.

Nic innego nie mówi Fernandez. Przyznając intuicji sposób poznawania nas samych i drugich osób, mniema on, że do człowieka zbliżył nas kiedyś impresjonizm, co miał zmysł rzeczywistości i chwytał życie na uczynku. Nie osiągnął jednak celu, bo dziś nie odłącza się rzeczywistości od życia pojmowanego w sposób inny od empiryków czyli przyrodników. A zatem myśli tu krytyk o duchowej rzeczywistości, którą Dilthey mianuje znów historyczną, skoro z nią właśnie wiąże strukturę ludzkiej głębi.

Jeżeli Dilthey znajdował w przeszłości jedynie dzieje duchów i ich przeżyć, to Fernandez widzi w niej też tylko osoby. Odsuwa to, co nazywano kiedyś prądami, by zmierzać do ujęcia osób w sposób intuicyjny, chwytać ideową strukturę ich dzieł na tle prądów myśli. Bo myśl jest przecież tworem osoby, która uświadamia nam drogi ducha i wydobywa jego kształty treściowe i formalne. Jedno objaśnia drugie, co wiemy z coraz bardziej popularnej u nas krytyki fenomenologicznej, jako zmierzającej do ustalenia związku treści i formy. Nie inaczej rozprawia o tych sprawach i Welzel w określaniu stosunku zawartości i kształtu.

Najsłuszniej sądzi zaś Fernandez, gdy żąda wyraźnie, by krytyk filozoficzny był zarazem biografem, analitykiem, filozofem i estetykiem. Rozumie pod tem zapewne, że krytyk nie może lekceważyć ani dawnej ani nowej metody. Ale estetyzm, to przecież już dorobek modernizmu, gdy Ribot, Guyau, Herneguin wyznaczali drogę gubiącej się na moczarach impresjonizmu krytyce. Estetyzm wynikał jednak z re-

latywizmu, który stracił dawno na znaczeniu i wiódł prosto do dekadentyzmu Przybyszewskiego i jego otoczenia.

Dziś nie wystarcza estetyzm. Fernandez domaga się także rozumienia sensu dzieł, nie rozdzielając, na wzór analityków, niczego, nie odrzucając na wzór estetyków wartościowania. Nie nowem jest dla nas jego stanowisko od czasu, gdy na gruncie psychologji oddzielono dążenie ku przyczynowemu objaśnianiu zjawisk od dążenia ku opisywaniu i rozumieniu. Wtedy to badacze oparci już o metody humanistyczne pojęli, że ich celem jest zajmowanie się zjawiskami mającemi pewien sens i coś wyrażającemi. Nie odrzucili też, jak Müller-Freienfels lub Utitz, bynajmniej wartościowania.

Gdy Dilthey wyznaczał jeszcze schemat przeżywania, wyrażania i rozumienia, husserliści wygłosili pogląd, że istniejące poza fizycznością i przeżyciami psychicznemi zjawiska duchowe mają sens jeden, trwały i niezmienny, choć akty rozumienia tych zjawisk mogą być różne. Jest to bowiem świat idealny, gdzie zjawiska nie mogą być spostrzegane ani wewnętrznie ani zewnętrznie, ale jedynie i wyłącznie intuicyjnie rozumiane. Dzieła mają bowiem swój sens objektywny, ponadindywidualny, aktualizowany w aktach rozumienia.

Stąd płynie stanowisko w poglądzie na dzieło takiego Ingardena, co patrzy na dzieło jako na twór gotowy na złość realistom dawnym i nowym. Góruje w nim pogląd, że jeżeli psychologja stanowi naukę o zjawiskach duchowych w ich stosunku do przeżywającej je jednostki, to fenomenologja jest nauką o zjawiskach duchowych w ich niezależności od przeżywającego je osobnika. Myśl dzisiejsza zdąża do istoty. A Ingarden, jak Fernandez, zetknął się z Bergsonem, co oznacza, że interesuje go teorja poznania. I dlatego, jako fenomenolog, pyta, czy dzieło sztuki jest idealnem lub realnem. Ogląda zatem jego strukturę, wyróżniając w niej warstwy, z których jedna stanowi właśnie przedstawienie pewnych treści czy sensów. Nie obcą jest mu metafizyczna wartość dzieła.

Echem filozofji współczesnej jest zatem teorja poznania Fernandeza, bo i we Francji zaczyna się mówić o metodzie dostosowanej do spontaniczności, niepowtarzalności, imma-

nentności rozwoju całości i powtarza, że zjawiska duchowe są niewyjaśnialne. On sam idzie też nową drogą, gdy ocenia twórczość takich pisarzy, jak Balzac, Stendhal, Meredith, Proust, Conrad. Lubuje się zatem w romansie, co zatem wraca poniekąd do żywotności po pewnem zaćmieniu w epoce modernizmu.

W romansie wyróżnia Fernandez jedne, gdzie chodzi o wypadki, co kiedyś już zaszły, i drugie, gdzie góruje opowiadanie, opis, analiza, dowodzenie. Wogóle określa romans jako bezpośrednie odtworzenie życia, choć nie zaznacza, jak to życie pojmuje i rozprawia jedynie o mnogości estetycznych środków i wrażeniu konkretności w romansie. Balzac jest dla niego kompromisowym wyobrazicielem obu form w strukturze postaci, w umieszczaniu ich w pewnej grupie, w opisie wewnętrznym i zewnętrznym, gdzie wszystko jest ściśle określone.

Stendhal przechyla się raczej do intuicji, nie opisuje, nie komentuje. Conrad wywołuje znów dotykalną rzeczywistość. Meredith celuje optymizmem, harmonją, umiarem, Proustowi brak wreszcie syntezy intelektualnej i konkretnej rzeczywistości i progresywności w rozwoju charakteru, choć wprowadził on natomiast irracjonalne dziedziny życia. Te charakterystyki są niezawodnie trafne i zrozumiałe. Stanowisko krytyka zbliża go zaś, jak już zauważono, do Du Bona i Thibaudeta, także niemieckich krytyków filozofów.

Jest on krytykiem filozofem, dla którego historja literatury wyobraża system logiczny, a dzieło sztuki — pomost między światem życia a światem myśli. Jednostka twórcza rozwiązuje u niego, zagadnienie życia i odkrywa sens moralny, który mianuje tonem. Chodzi o to tego typu krytykom, by ten ton rozwiązać. Z angielskich pisarzy Meredith ma z nim wspólną niechęć do scientyzmu i mechanizmu.

Kokietuje on zresztą z nauką i metafizyką. Nie gardząc intuicją, co kojarzy wedle Bergsona intelekt i instynkt, będąc sama wiedzą treści, drogą do syntezy, sympatją intelektualną, ujmującą realność ludzi i rzeczy, odcina się Fernandez mocno od krytyków uniwersyteckich, artystycznych i dziennikarskich. Chodzi mu, jak dziś wielkiej liczbie myślicieli, o rozwiązanie zagadnienia, czem jest człowiek. Wy-

raża postawę czasu, który zna ogrom faktów a nie umie ich uzasadnić, bo rozbił się jednolity pogląd i wyłaniają się różne teorje rzeczywistości.

Jeżeli jednych zaciekawia to, czem jest człowiek, drugich rozpala pytanie, czem jest artysta. Chcą oni przeniknąć do źródła życia, do początku wszystkiego, do tajemnicy bytu. A artysta jest człowieka interesującą odmianą. Otóż dla krytyków typu Fernandeza bergsonizm utorował drogę. Nauczył ich bowiem, że to, co nazywa on życiem, wnosi wolność do materji i przygotowuje nadejście ducha.

I to jest właśnie w twórczości, to jest właśnie historją, to jest właśnie rozwojem. Zaledwo naznaczyliśmy mu pewne granice, on już wyszedł za nie, szukając porządku, harmonji, widzenia rzeczy. To jest ewolucja, w której duch idzie ciągle naprzód, zawsze obecny sam sobie, rozwiązujący wszelkie sprzeczności. Intuicja, której żądają od nas Bergson i Fernandez, wymaga zaś intelektualnego upokorzenia, jeżeli chcemy zejść do poznania czystych danych.

Da je nam poznać duch, którego, wedle Bergsona, zaniedbano, gdyż nauka przywiązała się do materji, usiłując z matematyki wydobyć wyjaśnienie świata, na którym żyjemy. Swe metody zastosowała do życia wewnętrznego ducha, do stosunku ciała do ducha. A ciało jest właśnie przeszkodą, by pojąć istotę rzeczy. I dlatego ludzkość jęczy pod ciężarem postępu, którego dokonała.

Źródła.

H. Bergson: *Les deux sources de la morale et de la religion.* Paris 1932.

O. Jankélévitch: *Bergson,* Paris 1931.

M. Kridl: *Ramon Fernandez.* Pamiętnik Warszawski z r. 1931. R. III, z 7—9 i 10—12.

F. Heinemann: *Neue Wege der Philosophie.* Leipzig 1929.

Z. Mysłakowski: *Intuicjonizm Bergsona.* Kwartalnik Filozoficzny z r. 1924. T. II.

E. Lerinas: *La théorie de l'intuition dans la phenoménologie de Husserl.* Paris 1930.

K. Riezler: *Człowiek i wiedza.* Przegląd Współczesny z r. 1931. R. X, nr. 106.

Tadeusz Grabowski.

Sygryda Undset na tle literatury Norwegji.

Niedawny obchód pięćdziesięciolecia Sygrydy Undset znowu zwrócił uwagę świata kulturalnego na tę laureatkę Nobla. Zwłaszcza zareagował na tę rocznicę świat katolicki, gdyż konwersja jej w kraju św. Olafa, w kraju do niedawna zakrzepłego, suchego, nietolerancyjnego luteranizmu, zdaje się otwierać nowe drogi rozwoju dla inteligencji norweskiej.

Tak wybitne zjawisko, jakiem jest powieść średniowieczna „Krystyna córka Lawransa", która przyniosła najwięcej sławy autorce, jednocześnie budzi nasze zaciekawienie co do kraju i środowiska, w którem powstała. I wtedy przekonywujemy się, że prawie nic nie wiemy o współczesnej Norwegji. Ibsen! Oto wszystko. Ale i Ibsena nasze studja krytyczne [1]) traktują oderwanie, wszechludzko, nie związując go wcale z podłożem narodowem. Trochę wiadomości o Norwegji daje duński krytyk, Jerzy Brandes, w swej książce „Umysły współczesne", portrety literackie XX w. Książka ta na użytek wolnomyślnej lektury licho przetłumaczona przez M. Posner-Garteiową, wydana nakładem red. „Głosu" w roku 1894 i obecnie wyczerpana, w oświetleniu radykalno-naturalistycznem daje sylwetki Ibsena i Björnstjerne Björnsona. Dowiadujemy się pobieżnie z nich, oraz ze studjów nad innymi pisarzami skandynawskimi (Paludan Müller, Esaias Tégner, Andersen) o środowisku i wa-

[1]) W. Feldman: *Ibsen.* Studjum, 1905, wyd. II, 1922; H. Życzyński: *Wyspiański i Ibsen. Pam. liter.* 1923 i in.

runkach politycznych i nastrojach społeczeństwa, w których ich dzieła powstawały. Ale teraz i tej przestarzałej i zmurszałej ideowo książki niema na widowni.

Warto więc odmalować chociaż pokrótce to środowisko i atmosferę kulturalno-społeczną Norwegji, w której dojrzał krzepki talent Sygrydy Undset.

Kiedy za prastarych czasów pozostawało państwo lechickie z bramą otwartą na Bałtyk i szeroki świat, jak o tem świadczy podanie o Wizymirze, wtedy istniała bezpośrednia łączność ze Skandynawją. Wszakże nietylko nasi dziejopisarze, poczynając od Wabowskiego, wspominają o wojnach Wizymira z Duńczykami, lecz i złota księga duńskiej kultury, jej praźródło — Taxo Grammaticus — opowiada o bitwie biskupa Absalona pod Rugją (1184), opisuje świątynię w Arkonie, napad Mieszka na Brandenburg i t. d. Saga o Jomsburgu wspomina niejednokrotnie o Polsce i zwrócili na nią uwagę historycy polscy (R. Wachowski, Jomsborg 1914).

Odcięcie Polski od Skandynawji nastąpiło od strony Danji na skutek zalewu niemieckiego, od strony Szkocji i Norwegji — na skutek rozerwania Polski i odebrania jej ujścia Wisły. Nawet za Wazów nie było wielkiej kulturalnej wymiany między Skandynawją i Polską, zresztą były to czasy dość kosmopolitycznej kultury łacińskiej. Teraz znamy Ibsena, Selmę Lagerlöf, Kunta Hamsuna, czasem Jacobsena, Garborga, Stründberga, Banga. Ale pojęcia inteligenta polskiego o Norwegji wciąż są bardzo mętne.

Tymczasem Artur Górski, człowiek najbardziej syntetycznie odczuwający Polskę, w swem „Słowie o sagach", umieszczonem w przekładzie „Sagi o Gislûm" (Warszawa, Dom Książki Polskiej 1931) zwraca uwagę na to, żeśmy opuścili ten dawny szlak dziejowy, drogę do Skandynawji. Wraz z odzyskaniem Pomorza wrócić nań należy.

Nie zdajemy sobie przedewszystkiem sprawy, jak dalece bliskie sobie kulturalnie są trzy kraje skandynawskie wraz ze szwedzką Finlandją i Islandją. Do XIV w. język *Eddy* był, z małemi odmianami lokalnemi, językiem ogólnoskandynawskim. Na początku w. XIV „język północny" przeciwstawiano niemieckiemu, rozumiejąc pod nim wszyst-

kie narzecza skandynawskie. Kiedy Unja Kalmarska (1397) przy królowej Małgorzacie połączyła wszystkie trzy kraje w jedno, język norweski rozpadł się na liczne narzecza ludowe. Norwegja pozostała chłopskim krajem demokratycznym, zachowując wśród różnych kolei historycznych własne przedstawicielstwo ludowe (storthing). Właściwym językiem literackim w Norwegji jest dotąd duński. Ale Norwegja po usamodzielnieniu się od Szwecji (zerwanie unji ze Szwecją w 1905 r.) zaczęła dbać o odrębność językową. Pisarze norwescy, tacy, jak Björnstjerne Björnson, Arne Garborg i in. wprowadzili do literatury narzecza ludowe i zwrócili się znów do języka skaldów, do sag, które były pisane na Islandji mową staro-norweską, odrębną od duńskiej i szwedzkiej.

Jeszcze wcześniej Szwedzi, po oderwaniu się od Danji za Gustawa Wazy (1523), zaczęli usilnie kultywować cechy odrębne swej mowy, by jak najbardziej różniła się od duńskiej. Pomimo tych dążeń nacjonalistycznych Skandynawczycy dotąd łatwo porozumiewają się z sobą i mają literaturę prawie wspólną. Norwegowie mieli do niedawna wspólnego króla ze Szwecją, a wspólną kulturę z Danją. Wzajemne wpływy są jednak tak wielkie, że nie sposób rozdzielić literatur trzech narodów i większość pisarzy traktowała je razem, jako jedną literaturę skandynawską. Tak czynili dawniej Fred. W. Horn, Ph. Schweitzer, L. Dietrichson, Marmier, W. and M. Howitt i obecnie dr. Hilma Borelnis (Die nordischen Literaturen, Athenaion, Potsdam 1931), Bayer i in.

Jednakże Norwegja posiada cechy odrębne. Przez 400 lat była pod absolutną władzą Danji (od czasu Unji Kalmarskiej). Dopiero w r. 1811 Norwegowie stworzyli uniwersytet w Oslö. A w r. 1814 koalicja, wynagradzając Bernadotte'a za zdradę Napoleona, przyłączyła Norwegję do Szwecji.

Norwegowie, którzy mieli już u siebie towarzystwo patrjotyczne i byli zorganizowani, chcieli wykorzystać ten moment i utrzymać swoją samodzielność. Bernadotte, który chciał niedawną utratę Finlandji na korzyść Rosji wynagrodzić sobie Norwegją, wszczął wojnę. Norwegowie wy-

grali ją, a jednak musieli ustąpić przed wolą wielkich mocarstw. Unja ze Szwecją pozostawiła jednak dużo samodzielności Norwegji, jakiej nie miała w łączności z Danją. Zaczął się rozrost kultury narodowej. Dzieje tej unji — to walki storthingu z królem o coraz to większą samodzielność.

Tymczasem powstał ruch skandynawski, znajdujący wyraz w zjazdach akademików wszystkich trzech krajów, np. w Upsali 1856 roku. Tak więc obok tendencyj separatystycznych szerzyło się dążenie do ponownego zjednoczenia i solidarności. Ale kiedy w 1864 roku Szwecja i Norwegja opuściły Danję, zmagającą się w śmiertelnych zapasach o Szlezwig i Holsztynję z Prusami, okazało się, że nie były to tendencje zdolne do realizacji. Wielki Norweg, Henryk Ibsen, który uważał, że należało ratować Danję, w swej surowej i bezkompromisowej prostolinijności oburzył się na swych rodaków za ospałość i tchórzostwo tak straszliwie, że opuścił kraj i wyjechał zagranicę.

Solidarność skandynawska słabła, natomiast indywidualizmy trzech narodów wzrastały, wzbogacając się jednak ciągle od siebie. Norwegja swym rozwojem gospodarczym i kulturalnym dowiodła raz jeszcze tej prawdy, że swoboda polityczna sprzyja zdrowiu każdego narodu. Walka storthingu z królem szwedzkim skończyła się zupełnem zerwaniem unji w roku 1905. W walce tej obok wielkiego męża stanu, Sverdrupa, brał udział Björnstjerne Björnson, wielki pisarz norweski.

Jak i we Włoszech (Garibaldi, Cavour) i wielu innych krajach żywioły opozycyjno-niepodległościowe były społecznie radykalne i antyreligijne. Rezultatem swobód uzyskanych było wprowadzenie w Norwegji całego szeregu bardzo daleko idących reform: prawa wyborczego dla kobiet, reformy rolnej, która zniosła całkowicie wielką własność, szerokiej oświaty dla ludu, zdobyczy robotniczych, gdyż tymczasem powstał w Norwegji wielki przemysł, tolerancji dla wszystkich wyznań (rok 1878). Pierwsi uzyskali swobodę wyznania Żydzi (1851), co jest charakterystyczne dla owych czasów po roku 1848. Jak Garibaldi, tak i Björnstjerne Björnson rozpoczął walkę z Kościołem.

Surowy luteranizm północny, dochodzący do fanatyzmu

w swej bezkompromisowości tkwił mocno w chłopach norweskich, tworzących główny żywioł kraju. Z nich to rekrutują się marynarze, rybacy, robotnicy fabryczni. Chodziło im jeszcze o purytańskie obyczaje, o przynależność do kościoła panującego. Srerdrup przeprowadził odmowę pensji dla pisarza radykalnego, Aleksandra Kiellanda za wypowiadanie przekonań antychrześcijańskich (1885) i wniósł projekt prawa o radach parafjalnych, które mogły wykreślać z list wyborczych tych, co zerwali z Kościołem lub żyli niemoralnie, wtedy to nowa lewica pod przewodnictwem Björnsona, zwana także lewicą literacką lub europejską, zaczęła zwalczać Srerdrupa.

Tak więc od wielkiej rewolucji francuskiej prawie każda nowonarodzona niepodległość zawdzięczała swój byt żywiołom ruchliwym, zdolnym do walki, ale jednocześnie wprowadzającym rozbrat narodu z Bogiem. Nieinaczej było i u nas. Czyż jednak każdy ruch narodowy, odrodzeńczy ma być garibaldyzmem? Zjawiska, które obserwujemy, każą przypuszczać, że w dalszych latach XX wieku będzie inaczej. Czystym poganizmem jest i teraz niejeden ruch nacjonalistyczny, niejedna irredenta, sprzymierzająca się z ateistycznym rewolucjonizmem socjalnym. Ale jeżeli pozostaje nacjonalizm w pogańskiej czci państwa i mamonizmie interesów gospodarczych, sprzyjających egoizmowi klasy panującej w narodzie, wtedy rozmija się ze swem przeznaczeniem życiowem.

Pomijając naleciałości swedeborgjańskie i inne nauki, zatrącające herezją, miał nasz mesjanizm zdrowe jądro w sobie, przedłużając linję ewolucji duchowej w wieczność. Że mesjanizm może mieć inny odcień, jednocząc się zupełnie z kościołem panującym w kraju, dowodzi tego najlepiej kierunek w Danji, zwany od nazwiska inicjatora grundtvigianizmem. Sven Grundtvig łączył „wesołe chrześcijaństwo", przeciwstawiane ponuremu pietyzmowi północy, z wiarą w misję krajów skandynawskich. Kierunek ten silnie oddziałał na Björnsona w pierwszej fazie jego twórczości.

Norwegja nie miała tak starej i wyrafinowanej kultury, jak Danja i Szwecja. Wyrafinowanie Paludana-Müllera, Jacobsena, Hermana Banga, Gjellerupa w Danji albo Wernera

von Heidenslam lub hr. Snoilskiego w Szwecji, szukających nowych wartości w estetyźmie i egzotyce nie miało gruntu w surowej rasie, pochodzącej od wikingów i skaldów i twardych chłopów z fjordów i skał. Brak inteligencji ze starych rodów szlacheckich dał się odczuć. Świat pracy — pracy rolnika i marynarza wycisnął piętno na psychice narodu, ujmującego każde zjawisko rzeczowo, namacalnie, czynnie. Więcej jest w tej młodej literaturze animuszu bojowego, prostolinijności natur pierwotnych, potężnej i nieustępliwej siły, niż subtelności i złożoności starej kultury.

Na całą literaturę skandynawską wywarły wpływ stare utwory poetyckie — sagi skaldów. Naśladowała je większość wybitnych pisarzy skandynawskich. Oddziałały one i na dwa główne dzieła Sygrydy Undset: *Krystyna, córka Lawransa* i *Olaf Audnûsson.*

Najstarsze sagi i pieśni skaldów powstały na Islandji. Osadnicy islandzcy przybyli z Norwegji. Długa zima, utrudniająca inne zajęcia, niezależność społeczeństwa, które zachowało urządzenia demokratyczne wtedy, gdy lud Skandynawji na kontynencie popadł w niewolę, względny spokój na wyspie, oddalonej od metropolji — wszystko to sprzyjało powstaniu bardzo odrębnej kultury. Norwegowie, przybywając na Islandję, przynieśli już ze sobą *Eddę.* Na wyspie ułożona została później wieszcza księga *Völo Spa.*

W *Eddzie* były już pieśni o Zygfrydzie i Nibelungach, o Dietrichu von Börn i in. Przeszły one niewątpliwie z Niemiec, nawet w oryginale, gdyż w owych czasach język duński i dolno-niemiecki mało się różniły. Jednakże jeden ze skandynawskich bohaterów, Holger Danske zwycięża w sadze Dietricha.[1]) Ten wpływ niemiecki i bliskie współżycie kulturalne Danji z Prusami (Klopstock dwadzieścia lat spędził w Danji) szkodliwie zaciężył na oryginalności Skandynawji. Berlin, Niemcy były źródłem romantyzmu skandynawskiego w XIX w., był ośrodkiem, gromadzącym pisarzy skandynawskich. Stamtąd przychodził od czasu Gustawa Wazy,

[1]) Ten Holger Danske, o którym tak ładnie pisał Andersen w *Baśniach*, jest śpiącym rycerzem w rodzaju naszego Bolesława lub Barbarossy i ma się obudzić w chwili klęski, by pomóc do zwycięstwa.

aż do czasu siostry Fryderyka Wielkiego, królowej Ludwiki Ulryki szwedzkiej (w. XVIII), która wprowadziła francuzczyznę i pseudoklasycyzm, niejeden dar Danaów. Najfatalniejszym był protestantyzm.

Wszelako germańskie wątki epiczne były oczywiście przez skaldów po swojemu przepracowane.

W tej literaturze norwesko-islandzkiej spotykamy kilka różnych rodzajów tematów i mitologiczne, bohaterskie, rodowe, historyczne.

Zaczyna się *Edda* od teogonji. Tu znajdujemy rzeczy wspólne dla szczepów germańskich i wogóle indo-celtyckich. Wszakże bardowie celtyccy byli mistrzami skaldów, a Irlandja wywierała wpływ kulturalny na Islandję. Początek teogonji przypomina ileż podobnych mitów.

> Nie było w praczasie, kiedy Imir żył
> Piasku, ani morza, ani zimnych fal,
> Nie stworzone były ziemia, ani niebo,
> Tylko ziała otchłań niezgłębiona,
> Trawa zaś zielona nie wzrastała.

I walki złych duchów mrozu — Jötunów z Asami — bogami światła są tym samym udramatyzowaniem życia przyrody, które we wszystkich mitach świata dostrzega Max Müller.

Edda była przyniesiona na Islandję przez te pierwszych 400 rodów, które tam wyemigrowały po zwycięstwie Haralda Haarfagara. Król ten pokonał jarlów, zjednoczył Norwegję i zgniótł dawniejsze swobody. Ale na Islandji samej prócz księgi proroczej *Völo Spa* powstały sagi rodowe. Opowiadania te zgadzają się najdokładniej z danymi pierwszego kronikarza islandzkiego, Ariego (około roku 1130) i Księgi o Osiedleniu (Landsnama) z XIII w. Rozrosły się te sagi w ogromne dwadzieścia przeszło tomów druku. One to dają dokładny obraz życia rodzimego i społecznego, takiego, jakiem było ono i w Norwegji. Drobne szczegóły obyczajowości, sposobu pracy, kultury materjalnej, psychiki pradawnej zachowały się doskonale. Chociaż układane na Islandji, sagi te mają dużo wiadomości o dalekich krajach, zwłaszcza bałtyckich. Islandczycy nieraz jeździli do dalekich

krajów albo na wyprawy korsarskie, jako berserkerowie, wikingowie, albo też służyli w drużynach królewskich. Tak Torkel i Eywind z sagi „o Hrafnkelu ofiarniku Freja" byli w służbie aż w Bizancjum. Toteż i o polskich władcach i Pomorzu spotykamy tam wzmianki.

Najznakomitszymi skaldami islandzkimi byli Egil Skalagrimson (połowa X w.), który sam potem został bohaterem sagi i Snarre Sturlasson (1178—1242).

Po sagach rodowych, które kończą się na roku 1030, idą sagi królewskie. Dociągnięte są one do epoki o 150 lat późniejszej. Wśród nich księga królów *(Heimskringla)* wyszła z pod pióra drugiego sławnego skalda, Snorrego Sturlassona. „Saga o Jomsburgu" z tego samego cyklu najwięcej zawiera wzmianek o Polsce. Snorrego (Młodsza Edda) czytał wielki poeta duński, Ochlenschläger i na jego sagach oparł utwory (*Helge, Hrolf Krake, Hakon Jarl* i in.), czytał go wielki wskrzesiciel pierwiastka narodowego w literaturze, Sven Grundtvig, i Norweg Andrzej Munch zużytkował rozdział sagi Snorrego o św. Olafie i czerpał z niego w norweskich dramatach historycznych. Björnstjerne Björnson lubił Snorrego i na wzór sag napisał *Synnöve Solbakken.* Sagi były osnową, na której utkał poemat wszechświatowej sławy Eljas Tegner w Szwecji (Saga o Fritjofie). I mało jest pisarzy skandynawskich, którzyby nie wykorzystali tej skarbnicy poezji, jaką są sagi. Ponieważ skaldowie byli najczęściej wojownikami, opiewali oni czyny wojenne i powstawały pieśni bohaterskie (drapa, koempeviser). Pieśni, które się przechowały na Islandji, pochodzą z w. IX, ale zebrane były w XIII w. W XIV w. zdolności mitotwórcze w Islandji i Norwegji ostatecznie zanikły — powstała nowa liryka świecka i religijna. I w Norwegji przestały rozbrzmiewać pieśni wojownicze takie, jak owa *drapa* o królu skaldów, Eywindzie Finsonie, zwanym Skaldaspillir czyli zaćmiewacz skaldów, który stworzył w w. X drapa na cześć swego przyjaciela, króla Hakona Dobrego, zwaną Hakonarmal.

Wiersz pieśni był krótki, opierał się na alliteracjach. Formy dźwiękowe i rytmika były tak urozmaicone, że kiedy twórczość na Islandji wyschła, a nastąpił okres klasyfikowania jej i zbierania, wtedy poetyka (Háttatál) wyszczególnia 102

rodzaje wiersza. Nie trzeba zapominać, że towarzyszyła im muzyka. Oto wiersz z *Völo Spa:*

Söl tekr sortna
Sigr fold ï mar
Hverfa af himni
Heidar stiörnor.

Kiedy w X w. Norwegja przyjęła chrześcijaństwo przy św. Olafie, który posłał wnet misjonarzy na Islandję, domieszały się do sag i pieśni pierwiastki chrześcijańskie. Katolicyzm nietylko nie stłumił poezji ludowej, lecz wzbogacił ją legendami o świętych i męczennikach, co przyznają nawet pisarze protestanccy. Stare wyobrażenia mitologiczne o trollach, rusałkach, karłach, elfach i t. d., o duchach dobrych i złych działających w przyrodzie, bynajmniej nie zaginęły, weszły tyko do kategorji djabłów i aniołów. I Huldra z ogonem, i trollowie przechowały się w poezji norweskiej aż do Welhavena, Ibsena *(Peer Gynt)* i Sygrydy Undset włącznie.

Wysuszył źródła twórczości luteranizm, który przybrał tu formy surowego i oschłego purytanizmu.

Pieśni i sagi, w których się spotykają razem bogowie pogańscy, bohaterowie i święci chrześcijańscy, dowodzą, jak dalece katolicyzm ożywił twórczość ludową północy wtedy, kiedy świat *Eddy* był już tylko zamarłą cywilizacją.

Pieśni takie były nieraz śpiewane przy tańcach — przodownik śpiewał zwrotkę, reszta tańczących dośpiewywała refren. Jeżeli dana pieśń nie miała refrenu, brano go z jakiejś innej. Stąd zestawienia na pozór bez związku, które jednakże wywołują wrażenie artystyczne. Naprz. w pieśni islandzkiej „Olaf og Alfamaer" (Olaf i Elfica).

Olaf przejeżdżał po górze wysokiej —
Zechce on, stanie on —
Do elfic przyjechał o świcie nad ranem,
Tam pała ognisko,
I wiosna zawiewa od gór.

I pierwsza elfica przybliża się doń —
Zechce on, stanie on —
A duchem przeczystym elfica ta była —
Tam pała ognisko,
I wiosna zawiewa od gór.

Ballady z refrenami w Skandynawji przypominają takież utwory szkockie i angielskie w słynnym zbiorze Percy'ego. Niejeden motyw tych pieśni spotyka się i u nas. Ballada szkocka o zabójstwie siostry przez siostrę (Biunorie o Biunorie) znana jest w Skandynawji — łączy motyw *Balladyny* z motywem *Lilli Wenedy*. Śpiewak z ciała utopionej siostry robi harfę, która oskarża zabójczynię. Tak samo znana jest ballada o zabójstwie ojca, którą umieścił z wersji Percy'ego Słowacki w *Marji Stuart*.

Kultura Islandji powoli zamarła i poezja islandzka też. Despotyzm duński zniszczył prastary ustrój demokratyczny. Przeciwstawiali się z mocą absolutyzmowi metropolji katolicy islandzcy. Luteranizm zmiótł katolicyzm, a wraz z nim zapanowała przemoc centralizacji. Znana to rozbieżność protestantyzmu, który rozpętał nieograniczoną swobodę indywidualną po to, aby poddać ją uciskowi państwa i puszczając na swobodę myśli, tem bardziej skrępować czyny.

Od czasu reformacji literatura islandzka coraz to bardziej ubożała — działali w niej już tylko zbieracze, archeologowie, historycy. Przestała być ośrodkiem kultury skandynawskiej. Nawiedziły ją zresztą straszliwe klęski — choroby, wybuchy wulkanów, prześladowania biurokracji. Ale wiadomo, że klęski również pobudzają twórczość narodową. Było to więc tylko wysuszające działanie protestantyzmu. Po roku 1868 dopiero zaczęła powstawać literatura nowoislandzka. (W tym roku umarł zwiastun — Jan Thóroddsen). Wydała ona utwory Gestura Palssona, Einara Hjörleifssona, Jona Trausti. Najbardziej czytany na Islandji jest Gunnar Gunnarsson, pisujący po duńsku.

Norwegja w swych osamotnionych dworzyszczach wśród gór i nad fjordami dalej snuła poezje ludowe, przerabiając wątki prastare. A tymczasem inteligencja żyła kulturą duńską, z którą dotąd nie jest rozłączona. Kiedy po oderwaniu się od Danji zaczęto się starać o samodzielną twórczość norweską, wtedy, prócz starych sag, wydobyto z pyłu zapomnienia *Trąbę krajów północnych* Piotra Dass, duchownego z w. XVI. Książka ta zawierała żywy, realistyczny opis Norwegji.

Literatura wolnej Norwegji na początku w. XIX wydała Henryka Wergelanda. Łączy on w sobie racjonalizm, romantyczną filozofję przyrody, idee francuskiej rewolucji i chrześcijaństwo o zabarwieniu racjonalistyczno-demokratycznem. Ten rys radykalizmu filozoficznego i społecznego będzie odtąd długo właściwy garibaldystom norweskim. Wergeland miał wyobraźnię bujną i mięszanina jego pojęć właściwa była niejednemu pisarzowi romantycznemu. Wszakże główne jego dzieło, olbrzymi poemat *Stworzenie, człowiek i Mesjasz* (1830) zbiegło się ze zwycięstwem w Szwecji „Phosphorytów", których wodza Atterboma wybrano do Akademji (1829). Była to grupa romantyków, pozostających pod wpływem niemieckim i wydających czasopismo *Phosphoros*.

Stella Wergelanda, poemat nieszczęśliwej miłości, przypomina Wertera. On zaś sam, pełen zapału dla wolności, chciałby, jak Byron, jechać do Grecji i zginąć w obronie uciemiężonych. Wielki jego poemat ma oświetlenie całkiem zeszłowieczne, wolterjańskie. Opisuje zjadliwie rolę duchowieństwa w ewolucji społeczeństw i to zupełnie w stylu wolnomyślicielskim. Zresztą pisał wiersze patrjotyczne o norweskim sztandarze i inne, które pasowały go na poetę niepodległej Norwegji. Religijność jego wzrosła w późniejszym wieku, ale zawsze była rozwichrzona i nieujęta w dogmaty Kościoła. Pisał w imię równouprawnienia o Żydach z sympatją też charakterystycznie dla wolnomyślicieli. Lubił zwierzęta i układał dla swych czworonogich faworytów wiersze.

Pisał z natchnienia podobnie, jak Ochlenschläger, w rozwichrzeniu kosmicznem. Ale jego sfery duchów w głównym poemacie nie są wolne od erotyzmu, który wogóle brzmi hałaśliwie w jego poezji. Obok erotyzmu — wizje kosmiczne, obok obrazów zmysłowych — ohydne widoki zgnilizny. W porównaniach jego brak smaku i umiaru. Np. o planecie Saturnie pisze, że jest „powstaniem ranka i pożegnaniem wieczoru, wymalowanem na brzeżku tego samego jabłka widnokręgu". Wielkich ludzi nazywa „łabędziami drogi mlecznej niebiańskiego prądu Nilowego, w którym gwiazdy są kroplami, a słońca — perłami". To już czysty barok.

Ten pisarz prawdziwie romantyczny pełen wzlotów

i fantazji, lecz i dysonansów, niesmacznych porównań, grubości materjalnej i brutalności wzbudzał z jednej strony entuzjazm nacjonalistów norweskich, z drugiej — krytykę. Tym umysłem krytycznym i wytwornym, który mu się przeciwstawił, był Jan Sebastjan Welhaven.

Drugi to był w Skandynawji wypadek gwałtownej pobudki literackiej i to bardzo podobny. Ochlenschlägera u szczytu jego sławy atakował uszczypliwie Baggesen i bardzo pokrewny duchowo Welhavenowi Heiberg. I tutaj zwalczano bezpośrednią, naiwną twórczość poety duńskiego, piszącego z natchnienia, i tu zarzucano brak formy, przekładano umiar i wykończenie nad genjalne rzuty, gigantyczne zarysy, romantyczną bujność. Heiberg, heglista i intellektualista, zarzucał Ochlenschlägerowi brak zdolności konstrukcyjnych w dramacie i eposie. Napaści i Heiberga, i Baggesena pomogły Ochlenschlägerowi do usunięcia pewnych błędów i słabizn w swych utworach, ale twórczości jego nie zaszkodziły. Baggesen porównywał sam siebie i Ochlenschlägera do Aladyna i Nuredyna z utworu Ochlenschlägera *Aladyn*, jednego z najwybitniej romantycznych w jego twórczości. Nuredyn szuka tajemnicy szczęścia, ponuro rozmyślając i trawiąc się samoanalizą, Aladyn zaś znajduje szczęście igrając.

Spór literacki między Wergclandem a Welhavenem w znacznie mniej wyrafinowanej atmosferze odrodzonej Norwegji przyjął formy znacznie ostrzejsze, niż między Ochlenschlägerem a jego krytykami. Doszło do tego, że zwolennicy Welhavena przeszkadzali przedstawieniu sztuki Wergelanda *Campbellowie*, gwiżdżąc i hałasując w teatrze.

Welhaven była to natura pokrewna Heibergowi — krytyczna i intellektualistyczna. Ganił on gwałtowną wyobraźnię Wergclanda, w której widział niższość prymitywną, brak umiaru i dobrego smaku. Grupa nacjonalistyczna Wergclanda wydawała mu się zbyt hałaśliwa. Stała ona, podług niego, w sprzeczności z nakazami kultury ogólnoludzkiej.

Sam Welhaven był pisarzem o tyle zasłużonym, że on to odkrył naturę norweską wespół z malarzem Gude. Pejzażysta ten nieraz malował obraz, ilustrujący wiersz Wel-

havena, albo też on opisywał obraz Gudego wierszem. Do pieśni jego dorobił muzykę kompozytor Halfdan Kjerulf i należą one w swej słonecznej i cichej pogodzie do najlepszych utworów poety. Z poezji ludowej, którą odkrył również, wziął postać Huldry istoty mitycznej, ogoniastej, złej, potwornej i dziwacznej. Jest ona u niego poprostu uosobieniem krajobrazu i odjął on jej groteskowe i brutalne cechy ludowe. Krytycy nazywali przeto jego utwory pogardliwie „liryką Huldrańską". Była to jednak ta sama krytyka, która u nas złośliwie trawestowała ballady Mickiewicza i *Dziady*. Huldra przesuwa się w poezjach Welhavena, jak cień i nie we wszystkich lirykach występuje. Tak więc, jeżeli lata 1840—1850 przyniosły Norwegji zwrot do poezji ludowej i przyrody ojczystej, należy to przypisać Welhavenowi.

Do grupy Wergelanda należał znacznie od niego spokojniejszy Andrzej Munch. W młodości walczył zawzięcie w obronie wolności, wielbił Lafayette'a i Byrona. Na konkursie teatralnym zwyciężył raz w Oslo Wergelanda. Utwór nagrodzony nazywał się *Młodość króla Sverre* i zaczerpnięty był z historji norweskiej, z tego samego okresu, z którego brali później tematy do swych dramatów północnych Björnson i Ibsen. Pisał on jeszcze inne dramaty, *Wieczór na Giske* (1855), *Książę Skule* (1864), opierając się na sagach Gnorre Sturlassona i kronikach. Ale nie jemu było danem odkrywać prawdziwe skarby starodawnego dziedzictwa literackiego Norwegów. Munch ulegał wpływom późnej romantyki duńskiej i nawet bawił przez pewien czas w Danji. Największe znaczenie miał w latach pięćdziesiątych zeszłego wieku.

A oto życie-dramat: Siostra Wergelanda, Kamilla z męża Collet, także literatka, pokochała przeciwnika literackiego brata, pięknego i wytwornego Welhavena. Ponieważ było mu na imię Sebastjan, zaś wszyscy malarze renesansu, a i późniejsi przedstawiali świętego tego imienia, jako wykwit męskiej urody, przyjaciele nazywali Welhavena św. Sebastjanem. W domu rodzina i brat wrogo mówili o pięknym pisarzu, ale Kamilla bywała w domach zwolenników Welhavena, melancholijnego i subtelnego, trochę bajronicznego przez rozdźwięk ze społeczeństwem, które wolało od

niego żywiołowego Wergelanda, wyznającego hasła polityczne większości. Welhaven zresztą polemizował nader delikatnie, bo w sonetach na tematy antyczne. Pomimo wyjątkowej urody i inteligencji Kamilli Welhaven nie pokochał jej nigdy. Może dlatego, że pod nakazem konwenansu pozostała zbyt bierna. Kiedy wzięła pióro do ręki, zaczęła na wzór George Sand walczyć o prawa uczuciowe kobiety i obalać konwenanse. Wyszła Kamilla zamąż za Jonasa Collet, który należał do grupy dziennika Welhavena *Konstytucjonalista*. Kamilla Collet owdowiała z czworgiem dzieci. Zarabiając piórem na ich utrzymanie poznała wszystkie ciernie życia kobiety-literatki w owych czasach. Toteż wzbierał w niej bunt przeciwko niesprawiedliwości względem kobiety nieprzeciętnej i pracującej. W twórczości jej znać było coraz szersze horyzonty — zaczęła zaś od *Uwagi przy pończoszce*. Napisała powieść *Córki Starosty* (1855).

Kamilla Collet także mieszkała przez pewien czas w Kopenhadze, przyjaźniąc się z Heibergiem, antagonistą Ochlenschlägera, Paludan-Müllerem, Andersenem. Wpływ Danji dał się odczuć i na największym z pisarzy norweskich — Ibsenie — na którego oddziałał indywidualista — chrześcijanin Sören Kirkegaard.

Życie dramatyczne tego człowieka dlatego tak się ułożyło, że płynęło w ciasnem i kamienistem łożysku protestantyzmu. Wysuszające jego działanie odbiło się na największych umysłach Skandynawji. Dręczył się w kościele protestanckim Esaias Tégner, brak wyzwolenia i szerokiego tchu czuć u wszystkich większych pisarzy skandynawskich. Są jakby w okolu ciasnem skał przemarzłych, skąd widać tylko mały skrawek nieba. Niema u nich tego, co Niemcy nazywają „Weltoffenheit" — otwarciem duszy na świat — tego, co jest właściwe katolicyzmowi. Ciasne moralizatorstwo pastorskie zaciążyło nawet na cudnej fantazji bajek Andersenowskich, jak skóra owcza na powiewnych gazach. Sztywny „rozdawca cenzur" na tamtym świecie jakże jest odmienny w swej deistycznej abstrakcyjności od Boga wszechświata, manifestującego twórczą potęgę w historji i tajemnicy obcowania dusz!

Rozpacz człowieka w zwątpieniu i grzechu, pozosta-

wionego w głuchych murach własnej duszy, bez możności otworzenia się innemu człowiekowi, bez oparcia o rozgrzeszenie indywidualne i radę, częstokroć natchnioną zwyżej! Takie życie jest więzieniem. W protestanckich wydaniach Biblji słowo „pokuta" zastąpiono wszędzie słowem „upamiętanie". W takiej atmosferze modlitwa się stała tragedją ojca Kierkegaarda i jego samego.

Ojciec Sörena był człowiekiem o silnie rozwiniętem, lecz ponurem życiu religijnem. Oddziałał on silnie na syna. To poczucie religijne było jakby związane. Człowiek ten zgrzeszył kiedyś, zbluźniwszy Bogu. I w ciemnicy zawartej swej duszy, bez pomocy spowiedzi ustnej, bez pokrzepiającego i odradzającego hyzopu pokuty dręczył się i trawił w posępnej samoanalizie, w straszliwem okratowaniu się przed światem, w indywidualizmie bez wyjścia.

W pewnej chwili ojciec zwierzył się przed synem z swojego grzechu. Kilka wypadków śmierci i nieszczęść w rodzinie uważał za karę Bożą. Kierkegaard przedtem czuł się całkiem oderwany od ojca. Zajmował się filozofją i estetyką, chrześcijaństwo było dla niego doktryną ograniczoną i przygnębiającą. Później dzieła Hamanna i pewne przeżycia wywołały w nim reakcję. Światopogląd swój nazwał on „humorem chrześcijańskim" (jest to jednak bardzo różne od tego, co można nazwać humorem chrześcijańskim u Chestertona).

Po zwierzeniu ojca Kierkegaard przyjął na siebie ekspjację. Został proboszczem. Dźwignął brzemię ojca, przełożył na swoje barki, by uzyskać odkupienie. Smutek ostatecznie zwyciężył w jego życiu. Został samotnym indywidualistą religijnym. Bezkompromisowość, nieugiętość prawdy, w którą się wierzy, doprowadzoną do ideału, do paradoksu, do wyniszczenia życia cechuje Kierkegaarda. Tę siłę, nie chcąc paktować ze złem, przejął u niego Ibsen. Zresztą mało jest pisarzy skandynawskich, którzyby nie odczuli na sobie wpływu Kierkegaarda. Jest on poprzednikiem *Branda*. Wycisnął piętno na „komedji miłości" Ibsena.

Wszystkie jego utwory są zwierzeniami osobistemi — albo dialogiem z samym sobą. W tem rozbrojeniu posługiwał się różnemi pseudonimami, uosabiając różne strony

swej różnolitej, szarpiącej się osobowości. Tylko pisma religijno-budujące wydawał przed rokiem 1846 pod własnem nazwiskiem. W niektórych pismach (np. *Dziennik uwodziciela)* wyrażał nie swoje poglądy, lecz przeprowadzał pewne możliwości, wykonywał eksperyment psychologiczny, ujawniał to, co potencjonalnie tkwi w człowieku, chociażby to tłumił wiarą i wolą.

Jest Kierkegaard urodzonym dialektykiem (w utworze „Albo-albo" i in.). Trzy stadja rozwoju uznaje u człowieka: estetyczne, etyczne i najwyższe: religijne. A pomimo to wciąż jakiś typ romantyczny, nieraz na pograniczu demonizmu, wypływa w jego utworach. Frater Taciturnus w *Studjach na drodze życia* ma zacięcie faustowskie. Uwodziciel Jan przypomina Wertera, bohaterów Byrona, René'go, Chateaubriand'a.

Człowiek, który przyjął na siebie krzyż za zbawienie ojca i świata, nie umiał uczynić tego radośnie. „Humor", to jeszcze nie radość franciszkańska, która ze stygmatami na rękach i dłoniach uśmiecha się w niezwyciężonej ekstazie. Wyznawanie bezkompromisowej, bezwzględnej prawdy chrześcijańskiej, doprowadzonej do parodoksu pociąga za sobą cierpienie. W *Dziełach miłości,* książce religijnej, Kierkegaard porównuje chrześcijaństwo z wyostrzoną bronią, którą tylko ludzie głupi ofiarują z taką miną, jakby to był bukiet kwiatów. Broń ta rani tego, kto nią walczy.

Samotne przebywanie na wyżynie lodowej sam na sam z Bogiem, który czy przemawia do duszy w lodowym kościele? Przewalczenie walki o prawdę, opierając się tylko na samym sobie, bez pomocy, bez sprawdzianów, bez łączności ze światem bratnich dusz! Czy może dusza istnieć w ten sposób i nie zapomnieć o radości.

Kierkegaard, żądając prawdy tak bezwzględnej, pisał przeciwko duchowieństwu, krytykując jego życie bezideowe i dalekie od Ewangelji, lecz nie tykając dogmatów swego kościoła. Kierkegaard wywyższył doktrynę chrześcijańską tak, że otworzył otchłań między nią a wszystkiemi ludzkiemi dążeniami. Jest to wielka różnica między nim a pisarzami katolickimi, chociażby Undset, u której chrześcijaństwo wszystko małe i ludzkie przygarnia i przepromienia.

To rozdarcie między prawdą wyznawaną przez czło-

wieka a życiem stało się bolesną, napiętą, wciąż pękającą struną w twórczości Ibsena. Najsilniej wyraził to w młodzieńczych utworach *Peer Gynt* i *Brand*. Nie trafiły one odrazu na scenę, a u nas były przetłumaczone dość późno, tak że wśród publiczności czytającej wytworzyło się przekonanie, że są to utwory późniejsze nawet od *A kiedy obudzimy się zmarli!*

To, co uderza w utworach Ibsena, to, co uczyniło literaturę norweską dzięki niemu w latach 1880—1890 tak wpływową w Europie, jest to potęga osobistości ludzkiej. I Kierkegaard upatrywał w niej siłę, ale siłę nadprzyrodzoną, idącą od Boga.

Ibsen widzi w niej pierwiastki tylko ludzkie. Olbrzymia wola, wytrzymałość, opanowanie, oniemiające ludzi na życie całe w sprawach, w których serce ocieka im krwią, małomówność tych nocy północnych, które trwają po pół roku — wszystkie te cechy, właściwe ludziom sag norweskoislandzkich, podkreślane we wszystkich utworach skandynawskich, opartych na *Eddzie*, drápa i *Koempeviser* w niebywałem skondensowaniu i wyrazistości ukazały się w dramatach Ibsena. Rozpatrywano je dotąd pod kątem widzenia nowoczesności, jako traktujące szereg zagadnień współczesnych: stosunek lepszej, większej jednostki do małego społeczeństwa *(Wróg ludu)*, kwestję kobiecą *(Nora, Dom lalek)*, przyrodniczej dziedziczności, będącej ponurą ananką ludzi *(Upiory)*. Widziano w nich protest jednostki uskrzydlonej, głodnej piękna przeciw szarzyźnie i brzydocie życia *(Hedda Gabler, Mistrz Solness)*, który to motyw podchwycili pisarze rosyjscy, jak Czechow, niesłusznie uważani za oryginalnych dlatego, że Ibsenowski motyw więziennej codzienności zabarwili chandrą specyficznie rosyjską (toska).

W licznych studjach o Ibsenie zagranicą i u nas nie zestawiano charakteru twórczości Ibsenowskiej z tym charakterem nordyckim, tak potężnym i obrębnym. Jest to ta sama stalowa nić, idąca od *Eddy* aż do Ibsena.

Ten wyłączny, zamknięty w sobie, władny osobnik — „Jedyny wraz z jego własnością" — przypomina także i Nietzsche'go. Epoka jest ta sama: koło 1890 światło inteligencji Nietzsche'go zagasło ostatecznie, w 1906 r. umarł

Ibsen, zaś okres największego wpływu literatury norweskiej w Europie przypada na lata 1880—1890. Ale jest różnica w odcieniu między brutalnym egoizmem militarysty niemieckiego (przebył on wojnę 1870 r., chociaż nie znosił literatury niemieckiej, a czerpał z Francji), a Ibsenem milczącym, wyniosłym, mroźnie-intelektualnym, lecz zarazem wytwornym i subtelnym pomimo twardego opancerzenia indywidualizmem.

Był okres, kiedy sprawy religijne pomijano całkowicie milczeniem. Ludzie w utworach literackich umierali, męczyli się, rozwijali tak, jak gdyby nigdy nie powstała w ich głowach kwestja religijna. A tymczasem niema nawet ateisty i wolnomyśliciela, któryby negatywnie chociaż wobec tych zagadnień nie stanął. Tak samo u Ibsena większość utworów ma za temat nietylko walkę sumienia, lecz stosunek do Boga.

W *Brandzie* nieubłagany, krańcowy pastor, wymagający ofiary idącej do końca, jak Kierkegaard w *Albo-albo*, żelazną wolą łamiący słabość własną i cudzą, pyta wśród burzy: „Czy nie wystarczy dla zbawienia męskiej woli quantum satis?“ I wśród huku grzebiącej go lawiny rozbrzmiewa głos z góry: „On jest — *Deus caritatis*“.

Ale odpowiedź to była rozumu, docierającego do najgłębszej prawdy świata, nie zaś płomiennego serca. Wołał on o namiętność, bujność, wielkość, rozmach, siłę protestu, oporu w walce, wytrwania do końca i zguby raczej, niż sprzeniewierzenia się sobie. Odczuwał on w całej pełni słowa Kierkegaarda: „Niechaj inni skarżą się, że czasy są złe. Ja skarżę się, że są nędzne. Myśli ludzi są cienkie i nietrwałe, jak koronki, oni zaś sami — tak nędzni, jak robotnice, trudniące się wyrobem koronek. Uczucia ich są zbyt nędzne, by móc być grzesznemi“.

Tu widzimy ślepą ulicę krańcowego indywidualizmu: j a k o ś ć osobowości staje się celem samym w sobie, nie zaś osiągnięcie w granicach osobowości prawdy, ku której osobowość dąży, przełamując granice swego „ja“, tworząc chór duchów połączonych w miłości. Najwyższa z sił Bożych — miłość — nie może istnieć w samotności i oderwaniu od świata dusz, w „jedyności“. To było rafą, o którą

rozbił się mózg Nietzsche'go i zdolność radości i możność wyzwolenia Ibsena.

Bo został on do końca niewyzwolony. Stoczył jeden z najcięższych bojów o możliwość szczęścia. Walczą u niego: szczęście i sumienie *(Rosmersholm)*, twórczość i sumienie *(John Gabryel Borkmann)*, wreszcie twórczość i szczęście *(Budowniczy Solness, Kiedy budzimy się zmarli)*. Ibsen szuka Boga, tęskni za nim nawet wtedy, gdy go neguje. Tragedja mistrza Solnessa jest to, że nie chce budować „domów dla Boga". Ale i to, że buduje „domy dla ludzi", nie zadawalnia go. Rzeźbiarz Ruhbek tworzył piękne posągi, dopóki wierzył w zmartwychwstanie. Kiedy stracił wiarę, dzieła jego — to karykatury, ludzie ze zwierzęcemi twarzami.

Ten ciężki bój, ta samotność bez rozwiązania i wyzwolenia jest ostatecznem słowem u kresu drogi, wyznaczonej przez indywidualizm protestancki. Wzmocniony przez cechy nordyckie, wyrósł w samowolę i pychę jednostki, stojącej ponad wszystkiem i wszystkimi, oderwanej od żywego świata, uwięzionej w lodowym pałacu z kawałkiem zaczarowanego szkła w oku i z sercem zamarzniętem, jak kraj w baśni Andersena *Królowa Śniegu.*

Björnstjerne Björnson nie ma rozmiarów tak gigantycznych, nie tworzy posągów niebotycznych, zastygłych w męczarni. Zamiast huku lawin słyszymy u niego szmer strumienia. Stworzył on na wzór sag i niemieckich opowieści ludowych nowele chłopskie *(Synnöve Solbakken, Ojciec, Orle gniazdo* i in.). W niejednym utworze poruszy problematy współczesne *(Rękawiczka* — żądania dla mężczyzn czystości na równi z kobietami). I u niego wiara zatraca się stopniowo w materjalizmie bezwyznaniowym. Jest on typem nawskróś społecznym w przeciwstawieniu do samotnika Ibsena, bojownikiem o prawa Norwegji, członkiem partji narodowo-liberalnej. Pisze dramaty przeważnie historyczne z dziejów Norwegji. Wyjątek stanowi *Marja Stuart*, w której przeciwstawia ponuremu purytanizmowi bujność renesansu. Wśród utworów jego dramat *Ponad siły* i powieść *Na drogach Bożych* poruszają zagadnienia religijne. Pierwszy utwór zwalcza możliwość cudów, drugi stawia ponad wszystko

prawość, pojętą jako śmiałość uznania pojęć nowoczesnych i antyreligijnych.

W swej nowoczesności Björnson zachował jednak zdrowe pojęcia o życiu, stawiając wysoko rodzinę zgodną, kochającą się, harmonijną. W poezjach opiewał przyrodę Norwegji, dążenia narodowe. Był sztandarowym poetą patrjotów.

Jonas Lie, poczynając od *Jasnowidza*, stał się piewcą krajów północnych, gdzie słońce wcale się nie ukazuje w zimie, a lato jest niekończącym się radosnym dniem. Był on realistą, opisywał również morze i życie żeglarzy w portach i na okrętach. Życie rodzinne jest u niego na pierwszym planie i przygody wszelkie odbywają się w obrębie przeżyć rodzinnych. Wyjątkowo dobre małżeństwo z kobietą, którą znał od wczesnej młodości, dało mu pogodne, serdeczne spojrzenie na ludzi i humor. Odczuwał ciężkie położenie kobiety, naprz. w *Rodzinie na Gilje* przeciwstawił hałaśliwego tyrana domowego i zadręczoną, zjednoczoną przez troski kobietę, o której życiu można zapytać: „Czy to można jeszcze nazwać życiem?"

Uderza w powieściach północnych (i u Lie także) zajęcie się drobnemi szczegółami życia. W naszych powieściach kwestje słodkiego pieroga, kawy, pończoch, wazoników i drobiazgów nie odgrywają takiej roli. U Gejerstama, Karin Michaelis, Selmy Lagerlöf, Hamsuna przedmioty „grają także", jak mówił Gëmier o rekwizytach, często jak o symbole. Andersen potrafił stworzyć całą symbolikę, wykrzesać niezliczone efekty, ożywiając przedmioty codziennego użytku, jak w *Latającym kufrze* całą kuchnię z garnkami, zapałkami i t. d.

Warunki klimatyczne, odosobnienie siedzib, małomówna, zamknięta w sobie natura północnych ludzi — wszystko to zacieśnia przeżycia do obrębu własnej duszy. Cała liryka zostaje stłumiona i stłoczona wewnątrz. Skandynawczyk nie tłumaczy się słowami, lecz czynami. Dlatego woli wyrażać przeżycia symboliką przedmiotów i zdarzeń najdrobniejszych, najbardziej codziennych. Jeszcze i dlatego, że nie znosi patosu. Świąteczne, uroczyste, jaskrawe momenty zawstydziłyby tych powściągliwych ludzi, nieporad-

nych, jak dzieci, kiedy chodzi o wypowiedzenie się, o obronę swych uczuć i praw.

„Przemilczenie", które Norwid tak wielbi, doprowadzono w literaturze nordyckiej do absurdu. W *Krystynie, córce Lawransa* wzajemna uraza małżonków rośnie i zatruwa im życie przez to, że nigdy nie jest do końca wypowiedziana. Chociaż w powieściach Sygrydy Undset, tak samo, jak w dziełach konwertyty duńskiego, Joergensena i Selmy Lagerlöf, która jest pod urokiem kultury włoskiej i katolicyzmu *(Cuda antychrysta)*, przerwało się cokolwiek powściągliwe atamowanie dusz. Jakby pod promieniami cieplejszego słońca odtajały trochę. To tłumaczenie przeżyć ludzkich bez liryki bezpośredniej, zdarzeniami, symboliką przedmiotów, niby częściowemi zdjęciami w filmie, szczególnie podobało się w okresie symbolizmu, zwalczającego „wypowiedź bezpośrednią" parnasowców. Nasza zbyt rozlewna, rozgadana liryka, zajmująca tak niepomiernie dużo miejsca w powieści (Reymont, Żeromski) z uszczerbkiem dla strony czynnej, dużo mogłaby skorzystać od powściągliwej, opanowanej, milkliwej literatury północnej, w której żelazna siła i nieustępliwość charakterów wyrzeźbiła natury potężne.

A jednak siła ta rozwinęła się kosztem subtelności, lekkości, wdzięku. Sceny z życia północnego wydają się nieporadne i niezgrabne, jak podanie ręki przez robotnika. Z początku oczarowuje nas odmienność, potem czujemy zbyt wielką pierwotność. Natury animalistyczne, prymitywne, żywiołowe, jak huk morza i szał wiatru, targającego sosny nad fjordami — oto, co spotykamy. I nie wiemy, czy ta małomówność — to bełkot człowieka, zbyt mało rozwiniętego, by znaleźć słowa dla swych myśli, czy też doskonałe opanowanie duszy głębokiej, która nie chce mówić.

Dostojną sztywność odrzucił do pewnego stopnia Kunt Hamsun. Rewolucyjność jego, przeciwstawienie się wszelkim autorytetom jest jeszcze dalej u niego posunięte, niż u Björnsona i Ibsena. Protestem namiętnym przeciwko ustrojowi społecznemu są dzieje ginącego inteligenta (*Głód* — 1890). Posuwa on ten protest aż do anarchizmu. Jest pod wpływem teorji o nadczłowieku, która przesączyła się do niego przez

Strindberga *(Misterje)*, od którego wziął też trochę mysoginizmu (projekt utworu *Płeć* w *Wiktorji*). W powieści *Pan* dał wyraz panteizmowi. Nawrót do natury jest wogóle jedną z cech radykalizmu, odrzucającego życie duchowe i zaświat. Później opisał świat pracy — życie rolnika w *Błogosławieństwie ziemi*, za które otrzymał nagrodę Nobla. Prymitywizm, wyzwolenie w człowieku zmysłów, apoteoza instynktów — wszystko to jest w jego twórczości, jak i w twórczości wielu pisarzy europejskich owego okresu. Jego myśliwiec w lesie odczuwa orgjastyczne uniesienie na myśl o dzikiej walce o byt wśród natury. Ostatnio w *Auguście Powsinodze* Hamsun wyraził uznanie dla pierwiastka włóczęgarsko-anarchistycznego w osobie Augusta, niezdolnego do życia szczerze osiadłego, ale rzucającego ziarna postępu, wywołującego ruch w stojącem życiu. W okresie, gdy maszyna zajęła w życiu tak złowrogie miejsce, Hamsun paradoksalnie ujął sprawę uprzemysłowienia i kultury: urządza się ogródki i buduje piękne gmachy, a potem niema gdzie sadzić kartofji. Hamsun, który zarzucał Ibsenowi schematyzm, przypomina Reymonta lub Proust'a tem, że kreśli postaci indywidualne, żyjące własnem życiem, nie uosabiające żadnej idei lub problematu. Ten współczesny poganin nie walczy o nic, prócz szczęścia dla jednostki.

„Ciężka religijność" — piszą krytycy o pisarzach północnych. Taką miał Kierkegaard, taką miał również Arne Garborg, nauczyciel ludowy i dziennikarz. Ganił on Ibsena za negatywne strony jego twórczości, ale potem sam zmienił jego przekonania i w roku 1883 wydał powieść *Wolnomyśliciel*.

Jednocześnie uprawiał kierunek naturalistyczny i podobnie, jak radykalna bohema w Oslo, walcząca o prawo do nieosłoniętego pisania o sprawach płciowych, walczył o wyzwolenie ciała. Ale naturalizm pogrążał go w beznadziejność i bezwolę, jak niejednego z ludzi, nie widzących celu u końca swej drogi. Wyraził to w powieści *Ludzie zmęczeni*. W powieści *Spokój* (1892), którą nazwano utworem o histerji religijnej, rozprządł melancholijne bolesne dzieje Einara Hove, który trawi się w rozmyślaniach nad grzechem i znajduje „spokój" w samobójstwie. Ta tragedja we-

wnętrzna ponurej, starotestamentowej grozy protestanta odbywa się na tle szarego, jednostajnego kraju. Garborg powoli przechodzi do opisów przyrody i tematów ludowych w poemacie epicznym *Hangtussa*. Tu już Garborg odszedł od naturalizmu, wszedł w świat mistyki i mitów ludowych, wprowadził trollów i inne istoty z fantazji ludowej.

Potem nastąpił jeszcze jeden przełom w jego światopoglądzie. W *Zgubionym Ojcu* występuje znowu rodzina Hove. Jeden z synów, Gunniar, jest zmęczonym życiem ateistą, który po długich wędrówkach wrócił do domu bez nadziei i Boga. Drugi brat, człowiek wierzący — żyje w miłości i pokoju, wyznając chrześcijaństwo pełne ciszy i jasności. Wpływowi tej atmosfery ulega częściowo nawet posępny Gunnar.

Naturalizm brutalny, upatrujący gorsze, zwierzęce cechy w człowieku, cechuje Olafa Duuna. Wprowadził on znowu styl sag i wierzenia ludowe, przesądy i zabobony, zwłaszcza dotyczące duchów i złych mocy. Więcej tu folkloru niż sztuki, a światopogląd jego ludzi jest zupełnie pogański. W dążeniu nacjonalistycznem do podniesienia znowu cech odrębnych dawnego narodu, do podkreślenia indywidualności swojej, doszli wszak ludzie za naszych czasów do tego, że np. w Estonji chciał pewien działacz wskrzesić pogaństwo, jako wytwór rdzennie narodowy. W Norwegji, której kultura niedostatecznie jeszcze wyodrębniła się od duńskiej, jest tendencja do opierania się również w literaturze na pierwiastkach archaicznych i ludowych.

Wszyscy ci pisarze norwescy, o ile nie są wierzący, to przynajmniej negatywnie poruszają problem religijny, jak Ibsen, Björnson, albo w formie pytania, jak Sigbjörn Obstfelder. Poeta ten również jak Hamsun podróżował po Ameryce, ale podpadł pod wpływ Walt Whitmana i stworzył *Pieśni pampasów*. Bardzo oryginalny co do swej formy, jest rozdwojony i bojaźliwy wobec życia.

Był czas, kiedy literatura skandynawska silnie przesiąkała do Polski, kiedy w Berlinie w kołach literacko-artystycznych Przybyszewski stykał się ze Strindbergiem, Ola Hansunem, duńskim poetą Holgerem Drachmannem, artystami Munchem i Vigelandem. Bez porównania bardziej od naszej literatury rzeczowa i poważna, literatura skan-

dynawska nie igra z życiem. I we wszystkich jej większych utworach jest surowa walka o prawdę. Dość porównać *Zgubionego Ojca* Garborga z *Kwiatem lotosu* Rodziewiczówny, by zrozumieć różnicę głębi. Nawet Żeromski, mimochodem potrącający o religję, nie uczynił walki duszy o znalezienie Boga i podniesienie się do Niego punktem centralnym żadnej ze swych powieści. To niewidoczne, jak powietrze w pogodę, to manifestujące się, jak potężnie huczący wicher, zagadnienie Boga przechodzi przez całą literaturę skandynawską.

Po luterańsku postawione, nie przynosi ono radości i wyzwolenia. Posępna melancholja, indywidualizm okratowany bez wyjścia, nieubłagana surowość prawdy wyznawanej, która życia nie dźwiga, lecz miażdży je w konflikcie bez kompromisu — oto wartości, które wytworzyło oderwanie się od Kościoła katolickiego.

Protestantyzm, wspomagany przez wolnomyślicieli wszystkich krajów, ustalił rejestr grzechów nietolerancji katolickiej. Niema dość rozpowszechnionej książki, któraby wyszczególniła akty nietolerancji protestanckiej, od krwawych prześladowań w Anglji, od spalenia Serveta do pozbawienia katolików praw w różnych krajach. Wszakże niedawne to czasy, kiedy w Norwegji katolicy nie mogli zajmować urzędów.

(Dokończenie nastąpi)

Anna Zahorska.

Sylwetki słowiańskie w współczesnej powieści amerykańskiej.

(Dokończenie).

IV.

Czeskim emigrantom poświęcona jest książka Willi Cather pod tytułem *Moja Antonina*, („My Antonia", ogłoszona poraz pierwszy drukiem 1919 r.), z życia fermerów w Stanie Nebraska.

Willa Cather (ur. 1875-go r.), popularna autorka i redaktorka miesięcznika literackiego, zalicza się do tak zwanej nowo-realistycznej szkoły powieściowej. Uprawia z powodzeniem realizm psychologiczny w powieściach obyczajowych, pisanych z wybitnym malarskim talentem. Jej powieść *Stracona Dama* („Lost Lady", wydawnictwo B. Tauchnitza), opowieść o pięknej wdówce, która, żyjąc w stepowem miasteczku na odludziu, radzi sobie w sposób niezbyt zgodny z obyczajnością, a mimo to staje się bardzo kochaną żoną miljonera, wywołała swego czasu w Stanach Zjednoczonych sensację, graniczącą z oburzeniem, ponieważ, przedstawiając grzesznicę sympatycznie, była jak gdyby rękawicą, rzuconą amerykańskiej hipokryzji i purytańskiej pruderji. Jakkolwiek tam już było, powieść jest bardzo piękna, z doskonałem wyczuciem duszy kobiecej a obfitująca w momenty wysoce dramatyczne. W powieści *Mój Śmiertelny Wróg*, której jeszcze nie czytałem, jest podobno sympatyczna wzmianka o Modrzejewskiej. Za najpiękniejszą powieść Willi Cather uważam osobiście *Śmierć przychodzi po Arcybiskupa* („Death

comes for the Archbishop", wyd. B. Tauchnitza), opowieść o pracy apostolskiej, podróżach i związanych z niemi niebezpieczeństwach arcybiskupa katolickiego w Nowym Meksyku. Przepiękna jest postać arcybiskupa i jego wikarego, Francuzów, a opisy życia Indjan, ich zwyczajów, poglądów na świat i na życie, a także tajemniczych wierzeń i obyczajów, stawiają tę powieściopisarkę wraz z Edną Ferber i jej *Cimarronem* także i w rzędzie najlepszych pisarzy słynnej swego czasu szkoły Dalekiego Zachodu.

„My Antonia" to wspomnienia z czasów dzieciństwa i wczesnej młodości chłopca, wzrosłego na fermie a później w małem miasteczku w Stanie Nebraska, wśród łanów pszenicznych stepów. Zatem dużo przestrzeni, nieba, powietrza, morze zieleni, tu i ówdzie grupy potężnych drzew, tam znów głębokie jary. W lecie upały, w zimie wielkie mrozy, śniegi, zadymki śnieżne. Coś w rodzaju Ukrainy. Herbem tego kraju jest pług. Autorka bardzo pięknie o tem mówi przy sposobności opisu zachodu słońca:

„Naraz zobaczyliśmy ciekawą rzecz. Nie było chmur, słońce zachodziło na płynnem, złotem niebie. Kiedy dolna krawędź złotego dysku dotknęła pól, podnoszących się ku horyzontowi, pokazał się naraz na twarzy słońca jakiś wielki czarny kształt. Zerwaliśmy się na równe nogi, wytężając wzrok w kierunku zjawiska. W krótkiej chwili zrozumieliśmy je. Gdzieś na jakiejś dalekiej fermie pozostawiono w polu pług. Słońce właśnie za nim zachodziło. Powiększony w przestrzeni przez poziome światło, stał jak wrysowany w tarczę słoneczną: czapidła, lemiesz, wszystko było widać, czarne na stopionej, gorącej czerwieni. Był to, heroiczny swą wielkością, obraz namalowany na słońcu".

W tym to kraju osiadła wśród fermerów amerykańskich, szwedzkich, norweskich i duńskich rodzina Szimerdów, niedawno przybyłych emigrantów czeskich. Przywabił tu tych Czechów z Europy chytry „strejczek" Krajek, który, sam już do roboty niezdatny, opisał im Nebraskę jako nową jakąś „Szlarafję", obdarł ich przy odprzedawaniu im swej fermy, przyczem wymówił sobie na dodatek bezpłatne utrzymanie i kąt do końca życia, a teraz siedzi im na karku, patrzy jak oni się męczą i krytykuje albo daje im zbawienne

rady. Tymi biednymi i bezradnymi narazie ludźmi, wprowadzonymi w błąd i cierpiącymi skutkiem tego straszną nędzę, opiekuje się rodzina amerykańska z sąsiedztwa, w następstwie czego mały Jimmy poznaje się a potem zaprzyjaźnia z dziewczynką czeską, Antosią. Właściwie książka zajmuje się nietylko kolonistami czeskimi, ale wogóle życiem osadników w tych stronach, przeważnie skandynawskich, w szczególności zaś poświęcona jest historji dziewcząt z ferm, ich przygodom i losom na służbie i w dalekim świecie między ludźmi oraz „karjerom", jakie porobiły. Główną osobą jednak jest Antosia ze względu na serdeczną przyjaźń z lat dziecinnych i sąsiedzkie współżycie. Rysem zasługującym na uwagę jest, że Skandynawki w oczach autorki bynajmniej nie są ani kulturalniejsze ani zdolniejsze od Czeszki, przeciwnie, przypominają raczej nasze dziewczęta z powieści Edny Ferber. Są dzielnemi pracownicami, ale łatwo się amerykanizują, a poziom ich ideałów nie sięga wyżej powodzenia materjalnego i używania życia. Pod tym względem jak i co się tyczy charakteru, inteligencji i aspiracyj ideowych, Czeszka stoi od nich bezwarunkowo znacznie wyżej.

Przedewszystkiem Szimerdowie, jak wogóle emigranci czescy, są ludźmi kulturalnymi. To nie głodomory, szukające przedewszystkiem służby i chleba, lecz ludzie z ambicjami, którzy w Nowym Świecie z jego nową demokracją spodziewają się prędzej je zaspokoić. Nie popadają bynajmniej w fanatyczny szowinizm amerykański, zachowują sobie prawo krytyki i nie zapominają nigdy ani o swem pochodzeniu ani o swej pięknej ojczyźnie i jej historji i kulturze. Nieraz też z miłością i tęsknotą swe dalekie Czechy wspominają, a przywiezione z nich grzyby suszone uważają za skarb, którego strzegą pilnie, skąpo i tylko w chwilach największego wzruszenia udzielając z niego tym, którzy sobie ich wdzięczność zaskarbić zdołali. „Tatinek" Szimerda, z bladą twarzą, okoloną siwą grzywą, z zawodu grajek, jest pięknym starcem, pełnym szlachetnej dystynkcji, stylizowanym à la Palacky i, jak go określa Jimmy, „przypomina portrety widziane w Wirginji", kraju wczesnej arystokracji amerykańskiej. Patrzy na świat i ludzi „okiem rozumiejącem". Ukochany przez córeczkę Antosię, niedokrewny

i chory na piersi, nie mogąc przetrzymać nędzy, umiera zaraz pierwszej zimy.

Teraz rodzina sama boryka się z nędzą, matka, Ambroż, starszy już wyrostek, kaleka-matołek i oczywiście Antosia, która mimo swego wątłego wyglądu stara się w polu nie pozostawać w tyle za starszym bratem. Przyjacielem jej jest wspomniany już Jimmy. Z opowiadania dowiadujemy się różnych rzeczy, niezbyt pochlebnie świadczących o charakterze czeskim, przed czem ostrzegał rodzinę fermerów amerykańskich pracujący u nich swego czasu parobek, Niemiec austrjacki. To złamano piłę pożyczoną, a potem Ambroż tego się wypiera, to znowu zamiast pożyczonego nowego chomąta oddaje się stare, rzuca się kalumnje, plotki opowiada się brudne i złośliwe, zrywa się stosunki z zawiści, a odnawia się je znów, gdy trzeba pieniędzy lub pomocy w pracy, wogóle rodzina czeska odnosi się do ludzi zawsze z wielką interesownością a także zawiścią, nieufnie („Nie wierzmy nikomu w świecie szerokim" — poemat Nerudy), ale trzyma się razem solidarnie, pracuje z zaciśniętemi zębami i wszelkiemi siłami dąży do wytkniętego celu.

Jak wiele dziewcząt ze wsi, tak i Antosia idzie po pewnym czasie na służbę do miasta. Jest to właściwie mieścina, zamieszkała prócz kupców i rzemieślników, przeważnie przez byłych fermerów, którzy fermy swe wydzierżawili i spędzają stare lata w swych domach miejskich. W gruncie rzeczy strasznie nudno jest w tej mieścinie. Po sennym, bezczynnym dniu już wczesnym wieczorem panowały w miasteczku ciemności. Świeciły się tylko okna baru, dokąd nikt przyzwoity nie chodził. Spały domostwa, nędzne przeważnie, sklecone z lichego drzewa. Niktby nie przypuścił nawet, ile zazdrości, zawiści i nieszczęść gościło nieraz w tych mizernych budach. Życie w nich składało się, jak gdyby pod uciskiem jakiejś tyranji, z oszczędności, wyrzeczeń się i samozaparcia, aby tylko uniknąć gotowania, prania czy mycia, nie narażając się na plotki. Sposób mówienia ludzi, ich głosy, nawet spojrzenia były jak gdyby ukradkowe i powściągliwe. Ostrożność hamowała każde osobiste upodobanie, najbardziej nawet naturalny apetyt. Ludzie starali się tu żyć jak myszy w kuchni, unikając wszelkiego hałasu, nie pozo-

stawiając żadnych śladów, prześlizgując się w ciemnościach po samej powierzchni rzeczy. Tylko kupy popiołu i śmieci, rosnące wciąż w podwórzach, świadczyły, że przecież odbywa się tu proces życia.

W takiej to mieścinie nabierają kultury, poloru i uczą się form towarzyskich dziewczęta z ferm, pracujące tu jako służące „do wszystkiego", panienki sklepowe, szwaczki, rzadko kelnerki. Całe miasteczko śledzi je, kontroluje ich prowadzenie się, postępy w pracy, skłonności. Dziewczęta te traktowane są w domach jak gdyby należały do rodziny, to znaczy, pani domu dba o nie nie inaczej jak o swe własne córki. Są to przecież córki sąsiadów. Ale — służba nie drużba, więc do towarzystwa one nie należą, przeciwnie, do dobrego tonu należy trzymać je w pewnem oddaleniu. Szablon życiowy prowincji zakreślił dokoła nich koło zaczarowane, którego granic przekraczać im nie wolno. Każda próba wyłamania się z tego szablonu uważana jest za zuchwalstwo, niemal za upadek moralny. Życie pokazuje, że rzeczy mają się wprost przeciwnie. Tak kelnerka jak i szwaczka, którym-to dziewczętom wróżono koniec bardzo marny, dorobiły się znacznych majątków. Kelnerka miljony przywiozła z Klondike, gdzie prowadziła restaurację i sprzedawała górnikom żywność, szwaczka otworzyła wielki i modny salon krawiecki w San Francisco. W miasteczku dziewczęta te łączą się w grupki, dokoła których krążą chłopcy zdaleka jednak, aby się nie narazić na plotki. Panienki z ferm pracują pilnie, nie tracą łączności ze swemi rodzinami, nie zapominają o nich nigdy, przy każdej sposobności posyłają im prezenty, a zasadniczo odsyłają im swą pensję, co na wsi, gdzie tak trudno o gotówkę, jest wielką pomocą.

Czasami zjeżdża do miasteczka „wielki świat" w postaci sławnego pianisty murzyńskiego albo pary mistrzów tańca, Włochów, nazwiskiem Vanni. Pani Vanni jest tęgą brunetą ze złotym łańcuszkiem, leżącym na jej łonie, z włosami, zaczesanemi wysoko „w wieżę", spiętą koralową spinką. W uśmiechu pokazywała dwa rzędy mocnych, żółtych zębów. Uczyła tańca. Małżonek jej, który grał na harfie, uczył starsze dzieci. Wieczorami tańczyła młodzież w tanc-

budzie drewnianej, zbudowanej wśród starych drzew bawełnianych, otaczających ją jak gdyby zielonem sklepieniem. Przygrywał do tańca pan Vanni i kataryniarz, sprzedawano, lody i sodową wodę z sokiem, „starzy" wynosili krzesła przed domy i przyglądali się, jak młodzież wirowała do taktu walców Straussa. W tej tancbudzie kiełkowały pierwsze miłości. Gdy zabrzmiały na harfie pierwsze tony „Home, sweet home", wszyscy zabierali się do domów. To znów widzimy trupę wędrowną, wystawiającą „Damę Kameljową" głośną wówczas w całym świecie. Podczas przedstawienia kapela grała w odpowiednich miejscach wyjątki z „Traviaty". Sztuka wzruszała widzów do łez, mimo iż „Damę Kameljową" grała dobrze przejrzała, tęga Heród-baba-aktorzyca, wymawiająca imię Armanda tak rozkazująco i emfatycznie, że „r" aż warczało. Ale może to właśnie było piękne. Kto wie? W każdym razie imponowało swoją niezwykłością.

Rozumie się, że dziewczęta „latały" do tancbudy wieczór w wieczór i tańczyły namiętnie. Zwłaszcza znakomitą tancerką była Antosia, smukła, dobrze zbudowana, dziewczyna o zgrabnych nóżkach i nadzwyczajnym temperamencie. Tańczyła z całym zapałem, duszę swą wkładając w taniec. Tam zakochała się też w jakimś kolejarzu, w konduktorze jeżdżącym pociągiem pośpiesznym, „światowcem", z czego jednak wynikło nieszczęście. Kolejarz uwiódł dziewczynę, oszukał ją, bo gdy ona przyjechała do niego, aby wziąć z nim ślub, on się od tego wykręcił, obrał ją z pieniędzy, wyzyskał i wreszcie uciekł. Wynędzniała i upokorzona dziewczyna wróciła do domu, gdzie wkrótce powiła córeczkę. W miasteczku myślano, że przepadnie, ale ona ciężką pracą odpokutowała za swą lekkomyślność i wszystko przecież dobrze się skończyło. W ostatnim rozdziale widzimy ją jako żonę fermera, Czecha jak i ona, nie bogatą wprawdzie, ale w względnym dostatku i otoczoną całą gromadką dzieci. Mąż dobry, ferma otoczona zielenią, ziemia urodzajna, dzieci zdrowe — wszystko w porządku. Antosia niczego więcej nie pragnie, jest szczęśliwa. Rozumie się, dzieci mówią po czesku, mniejsze po angielsku wogóle nie umieją. Wiara i obyczaj ojców jest też zachowany.

W jednym z rozdziałów tej książki spotykamy rodaka, niejakiego pana Ordyńskiego, nauczyciela muzyki w mieście — nazwijmy je po swojemu — powiatowem. Pan Ordyński jest skrzypkiem, nauczycielem muzyki. Podkochuje się w jednej z mieszkających tam przyjaciółek Antosi, również „stepowej panience", u której po dawnej znajomości bywa nasz Jimmy. Polak nosi się dumnie i zgóry patrzy na Amerykanów, uważając ich za nieokrzesanych prostaków i barbarzyńców, on, człowiek, którego „noblesse oblige", jak mówi. Po jakimś koncercie napisał gwałtowny artykuł, piorunujący na brak artystycznej kultury publiczności i kazał go koniecznie wydrukować w miejscowym dzienniku, grożąc, że inaczej „redaktor będzie miał z nim osobiście do czynienia", a gdy wydrukowany artykuł nie wywołał zamierzonego wrażenia i nikt się nim nie uczuł dotknięty, pan Ordyński oświadczył z pogardą, że gdzie niema rycerskości, nie może też być poczucia godności własnej i jeszcze wyżej niż przedtem zadzierał głowę. Przypuszczam, że nikt z nas nie bierze mu tego za złe. Książka nieco nudna, napisana jest bardzo pięknie.

V.

A teraz historja o tem, jak Jencić, Jugosłowianin, nieznanej nam bliżej przynależności narodowej, Czarnogórzec, Serb czy Chorwat, został prawdziwym obywatelem amerykańskim. Opowiada o tem Thames Williamson w powieści *Hunky*. (Tak w Ameryce urągliwie nazywają Jugosłowian).

Jencić jest olbrzymiego wzrostu i nadludzkiej siły posługaczem w piekarni małego, rudego Niemca, Antona Vogla, w jakiemś wielkiem mieście, bodaj czy nie w Chicago. Dźwiga i układa wory z mąką. Chleb jest bogiem, Vogel panem tego człowieka ciemnego i nieokrzesanego, ciężkomyślnego, lecz dobrodusznego i poczciwego, który pracuje pilnie od wieczora do rana, świata bożego nie widząc po za swą piekarnią i pokojem, gdzie sypia nie rozbierając się i na niepościelonem łóżku. Żywi się chlebem i zimnem mięsem albo tanim serem, bo ciepłą strawę uważa dla siebie za zbyt drogą. Cały jego zbytek stanowi od czasu do czasu butelka wódki, kupiona potajemnie u znajomego

fryzjera, żyda. Bo grosze ciuła. Jencić nie jest rolnikiem jak sadownicy Jacka Londona, lecz robotnikiem, zmiażdżonym duchowo przez bezlitosny mechanizm wielkiego miasta, potwora krwiożerczego a bezdusznego. Nie wie już właściwie, skąd pochodzi i kim jest, zatracił się cały w pracy ciężkiej wśród obcych ludzi. Haruje jak bydlę, nie lepiej żyjąc i składa grosz do grosza, od ust sobie odejmując, walcząc o każdy cent, zawsze w panice na myśl o jakimś wydatku, nie ze skąpstwa lecz z trwogi o ten pieniądz, bez którego człowiek w mieście jest jak gdyby poza nawiasem, bez prawa do życia. Dlatego, mimo że w pasie nosi dobrych kilkaset dolarów zaoszczędzonych, gdy nie zarabia, sypia po jakichś ciemnych kątach, w zaułkach czy „na budowie", byle tylko nie naruszyć nagromadzonego zapasu.

Opiekunem i przyjacielem Jencicia jest majster piekarski Krusack, Bułgar, pracujący u tegoż Vogla, mężczyzna żwawy, sprytny, umiejący sobie w każdej sytuacji dać radę, znający stosunki i czujący się jak w domu w tej Ameryce, w której pracuje już 11 lat i jest naturalizowany, a co więcej, członek Unji Związków Robotniczych, wyborca, słowem obywatel poważny, z którym należy się liczyć. Postarać się o to wszystko Jenciciowi na myśl nawet nie przyszło. Tento Bułgar „wychowuje" Jencicia na obywatela amerykańskiego.

Jakieś szowinistyczne organizacje robotnicze nagabują Jencicia o papiery, grożąc mu, że jeśli się należycie nie wylegitymuje, zostanie jako obcokrajowiec pozbawiony pracy. Przykra sytuacja, której jednak Bułgar podejmuje się zaradzić. Wstępna narada odbywa się po pracy w piekarni, na ulicach, po których przyjaciele krążą, popijając domowej roboty wódkę Bułgara. W rezultacie postanawiają udać się do znanego Bułgarowi urzędnika policji, który za łapówkę w wysokości pięciu dolarów wystawia Jenciciowi poświadczenie obywatelstwa amerykańskiego. Sprawa załatwiona z korzyścią obu stron, bo czyż dzięki temu nie przybywa Ameryce jeszcze jeden wyborca?

Zaprowadziwszy w odnowionej i rozszerzonej piekarni dźwig do dźwigania worów z mąką, stary Vogel „wylewa" Jencicia, o którego, jako nie należącego do związku, niema się kto upomnieć. Jugosłowianin wyrzucony ze swego po-

koju, za który, jako pozbawiony pracy, płacić nie chce, zaczyna się wałęsać po mieście. Dowiedziawszy się przypadkiem od jednej z dziewcząt z piekarni, że umarł pomocnik Krusacka, udaje się do niego z prośbą o przyjęcie na miejsce zmarłego. W Ameryce majster ma prawo angażować pomocników na własną rękę i odpowiedzialność. Krusack mieszka daleko, w jakiejś opuszczonej ruderze, w której prócz niego i jego rodziny niema żadnych lokatorów. Ma dwa pokoje z kuchnią. W kuchni ciepło, pachnie gotującą się zupą, za piecem figlują dzieci Krusacka, Jencić je gorący obiad pierwszy raz od Bóg wie jak dawna. Krusack z dumą częstuje go, pokazuje mu żonę, którą wychwala, dzieci i namawia go, żeby się ożenił. Praca? Jakoś to będzie. Ale koniecznie trzeba wstąpić do związku. W Starym Kraju można się było obejść bez tego, ale tu inne stosunki, tu Ameryka. I ostatecznie organizacja daje duże wygody. „Stary" nie może „wylać" robotnika dla swego widzimisię, nie pozwolą mu na to. Wogóle — na przykład narodowość. Sprawy narodowościowe pozostały w Starym Kraju. Tu już niema co o nich nawet myśleć. Tu jest nowa narodowość amerykańska, dająca wszystkim Amerykanom równe prawa, i t. d. A do piekarni, do pracy pójdą zaraz. Wychodzą. Na dole w sieni Krusack podnosi jakąś deskę i wyjmuje ukrytą pod nią bezpiecznie flachę z gorzałą. „Nie mówcie nic żonie, bo ona nie lubi" — powiada, przepijając do Jencicia. Jeszcze jedna dodatnia strona życia rodzinnego.

Jencić staje się z niewykwalifikowanego popychadła kolejno pomocnikiem Krusacka, potem czeladnikiem tak, że „zachodzi obawa", iż mimo swej fenomenalnej, wprost rekordowej głupoty, gotów wkońcu zostać kiedyś majstrem. Ma stałe zajęcie, pracę i należy do organizacji. Teraz może się ożenić. Przychodzi to w samą porę, bo właśnie zakochał się w jednej z dziewcząt w piekarni. I tu zaczyna się znowu dramat. Bo dziewczyna kocha innego, a inny to zwykły Don Juan uliczny i oszust, łobuz, rzezimieszek. Ten dręczy i wyzyskuje dziewczynę z piekarni, która go mimo to kocha. Jencić boleje nad tem, ale cierpi i zachowuje się spokojnie. Drab, mężczyzna młody, w porównaniu z Jenciciem chuchro, jest jednak śmiały, zwinny i nietylko nie boi

się jugosłowiańskiego olbrzyma, ale go wprost prowokuje. Wywiązuje się bójka, w rezultacie której Jeńcić pada na ziemię jak snop. Tragedja. Nie mogąc ukryć porażki, o której aż zbyt wymownie świadczą sińce na twarzy, Jencić przyznaje się do niej Bułgarowi. Bułgar jest oburzony. Tak tego nie można pozostawić. Jencić musi ukarać należycie łobuza, który, nie poprzestawszy na tem, że go zbił, domaga się jeszcze od niego pieniędzy. Jeśli tego nie zrobi, nie będzie prawdziwym Amerykaninem.

Wobec tego Jencić szuka znowu okazji do bójki i znajduje ją. Mógłby jednym ciosem zmiażdżyć przeciwnika, ale nie śmie uderzyć. Nie może. I znowu bierze wały. — Źle! — powiada sobie — trzeba się inaczej zabrać do dzieła. Kupił u swego fryzjera kilka flaszek wódki, siedzi w domu i pije. Przychodzi łobuz. — Mam cię bratku! — myśli rozżalony brat Słowianin i idzie do niego, wyzywa go do walki. Jest rozsrożony, zły, zabiłby, ale cóż, kiedy lekki i zwinny Amekanin tańczy dokoła niego a Jencić, ciężki, niezgrabny, i trochę pijany, ledwo się trzyma na nogach. Znockautowany wali się na ziemię. — Jeszcze! — powiada, dźwigając się i stając do walki. I znowu pada. — Jeszcze! — warczy zawzięcie i bezlitośnie. Dzieje się zadość jego żądzy walki, pada znów. — Jeszcze! — sroży się dalej, ale Amerykanin ma już dość. Oświadcza, że nie ma czasu na knockautowanie przez całe pół dnia głupiego „hunky" i że Jeńcić ma trzymać się zdala od jego dziewczyny i ma zapłacić mu żądaną sumę, inaczej, i t. d. Wreszcie jednego dnia dochodzi do walki decydującej. Jeńcić jest trzeźwy i naprawdę zły. Teraz on znów ma dość. Gdy Amerykanin tańczy dokoła niego, Jugosłowianin łapie go za ubranie i jak go strzeli!.. Amerykanin padł, a widząc, że Jencić gotuje się do drugiej „rundy", dobywa noża. Więc zbój, morderca a nie mężczyzna.

Krusack jest nareszcie ze swego ucznia zadowolony. Umie — za przeproszeniem — bić dobrze w pysk, to znaczy, że jest prawdziwym Amerykaninem. Teraz może już być pewny swej ukochanej dziewczyny. I ostatecznie Jencić żeni się z tą Amerykanką.

Ta brutalność może się niepodobać, ale taką już jest rzeczywistość amerykańska, a przynajmniej tak a nie inaczej

przedstawia ją Thames Williamson, pisarz miary średniej, ale który tę swą Amerykę zna z pewnością lepiej od nas. A zresztą, nie udajmy, bo i my w Europie też dobrze znamy bokserskie manjery Nowego Świata. Można je zaobserwować tak dobrze w polityce, handlu, przemyśle i finansach, jak i na bankietach literackich.

Hunky jest powieścią niby psychologiczną, napisaną na tle życia robotniczego w Ameryce. Jesteśmy w piekarni, wśród robotników w niej pracujących i jak oni nie widzimy zresztą nic innego. Poza granicami najbliższej okolicy piekarni miasto jest nam obce i tylko jakiś nadzwyczajny zbieg okoliczności prowadzi nas w inne jego strony, zupełnie nam obce, nieznane i niemal wrogie. Policjant, patrolujący tamte okolice, ujrzawszy robotnika, żąda od niego legitymacji, bada go, każe mu iść dalej a nie wałęsać się niepotrzebnie. Miasto poza tem, że odbiera towar, nie ma z życiem piekarni i jej pracowników nic wspólnego. Do piekarni nie dociera nic z jego kultury, nie słyszy się tu ani o teatrze, ani o książkach, ani wogóle o niczem, co ludziom życie uprzyjemnia. Największą przyjemnością jest odpoczynek, jedzenie, przy sposobności trochę wódki, dającej uczucie dostatku i dosytu, wreszcie niedzielna przechadzka przy słonecznej pogodzie, wieczorem kolacja gorąca w taniej restauracji, gdzie jednak wszystko imponuje jako niesłychany luksus, a potem jakaś hala rozrywkowa ze strzelnicą, z siłomierzem i tym podobnemi atrakcjami. Najwyższa rozkosz — tańce w tanim salonie publicznym.

Jugosłowianin zrobiony jest nieźle, choć czuć w robocie wysiłek. Bez znajomości tła europejskiego i warunków, z których Jencić wyszedł, autorowi trudno się w jego duszy zorjentować, trudno wyciągnąć z niej właściwą jej treść i barwę. Stąd pewna jednostronność, jednopłaszczyznowość bez cieniów, bez plastyki, bez perspektywy.

VI.

Przyjrzawszy się sobie w zwierciadle współczesnej powieści amerykańskiej możemy sobie spokojnie powiedzieć:

Po pierwsze, że ani my, ani Czesi, ani nawet Jugosłowianie nie wyglądają w niem zbyt niekorzystnie czy kary-

katuralnie, przeciwnie, wszystkie te narody zachodnio słowiańskie mają, zdaniem autorów amerykańskich, swe niezaprzeczone i wielkie wartości, zdolności i talenty, które Amerykanie lojalnie przyznają. Nawet ten głupi Jencić posiada wielką mądrość i siłę serca.

Po drugie, to powieściowe zwierciadło amerykańskie jest wcale czyste i dobrze oszlifowane i podaje obraz możliwie wierny a w każdym razie nie wypaczony. Co konsekwentnie dowodzi, iż literatura ta pracuje uczciwie, rzetelnie i sumiennie, skutkiem czego zasługuje na zaufanie. Nie jest oczywiście ani nieomylna, ani wszechwiedząca, ale zasługuje na zaufanie i okazuje dobrą wolę.

Pierwsze spostrzeżenie ma dla nas równie wielką wartość i znaczenie jak drugie. Przypomnijmy sobie tylko *Pana Balcera w Brazylji*, Anczyca, to co o emigracji pisał Sienkiewicz, przypomnijmy sobie wogóle żałosny, niemal dziadowski ton prawie wszystkich, którzy o naszych emigrantach pisali — czyż nie odnosiliśmy upokarzającego wrażenia, że właściwie jesteśmy narodem niedołęgów, niedojdów, ciemnych analfabetów i w gruncie rzeczy barbarzyńców, którzy w bardziej cywilizowanym kraju nie mają nic do roboty, pętają się tylko i z ręką na sercu mówiąc, przy całym wyzysku właściwie z łaski tylko ten swój chleb suchy jedzą? Pokazuje się, że nie jest tak źle. Stary Szimerda jest niewątpliwie inteligentniejszy od Olszaka, ale chciałbym zobaczyć muzykanta czeskiego, który potrafiłby wmówić w miljonerkę chociażby z amerykańskiego Rajska, że jest hrabią Grinskim. Tegoby nie dokazał nawet Kubelik przy całem swem wirtuozostwie. Szimerdowie zdobyli fermę, Olszak zdobył nietylko fermę, ale i serce arystokratycznej dziedziczki, a pani Wolska autem krowy zagania z pastwiska do obory i ma w domu pianino a w banku z pewnością co najmniej 20.000 dol. Głupi Jencić jest co najwyżej majstrem albo właścicielem małej piekarenki „tureckiej", ale inni jego rodacy robią kokosy na jabłkach w samej Kalifornji ku wielkiej irytacji różnych Jacków Londonów. To warto wiedzieć i należy o tem pamiętać. Zwłaszcza nie powinien o tem zapominać naród, który, słusznie czy nie słusznie, przebąkuje coś o kolonjach.

Wszystkie te narody słowiańskie żyją, tworzą i pracują nietylko w Europie, ale też wraz z narodami sąsiedniemi czy nawet pod ich kierunkiem, jak to było za czasów naszej niewoli. A jednak ani Niemcy, ani Francuzi, ani Rosjanie, że pominę już oczywiście Anglików, nie mogą się pochwalić choćby jedną jedyną książką z życia polskiego, napisaną z taką znajomością rzeczy, z tak uczciwemi zamiarami i z taką chęcią poznania prawdy i wypowiedzenia jej, jak to widzimy w książce Edny Ferber. Otóż, mimo że literatura amerykańska dnia dzisiejszego nie wie o nas dużo, to co wie, wie o wiele lepiej od naszych europejskich sąsiadów.

Jerzy Bandrowski.

Warszawa 20. IV. — 5. V. 1932.

Udział duchowieństwa katolickiego w rozwoju nauk matematyczno-przyrodniczych w Polsce.

I.

Duchowieństwo katolickie dobrze się zasłużyło Ojczyźnie na polu nauk matematyczno-przyrodniczych. Skromne początki tych nauk zaczęły się rozpowszechniać w Polsce wraz z chrześcijaństwem. W szkołach klasztornych oraz kościelnych uczono arytmetyki, geometrji i astronomji, których znajomość służyła do układania, a przynajmniej zrozumienia kalendarza. Pewne położenia ciał niebieskich uważano za znaki, zapomocą których Bóg oznajmia kiedy i jaką uroczystość należy obchodzić, kiedy wszyscy mieszkańcy ziemi mają się radować lub umartwiać. Zjawienie się znaków takich na niebie można przewidywać zapomocą mozolnych rachunków. Jak widzimy, nauki matematyczne wprowadzono do Polski przedewszystkiem dla celów kościelnych i aż po ostatnią ćwierć XVIII stulecia wszyscy niemal matematycy polscy byli duchownymi. Tak samo rzecz przedstawiała się z fizyką. Chociaż w Polsce średniowiecznej wogóle nie panowała atmosfera, sprzyjająca rozwojowi nauk przyrodniczych, to jednak uczeni polscy, w lwiej części pochodzący z duchowieństwa, wywarli duży wpływ na fizykę europejską. W dalszym ciągu trzeba zaznaczyć, że zamiłowanie do chemji, a właściwie alchemji, przynieśli do Polski bracia zakonni. „Pomimo zakazów papieskich — pisze profesor J. Zawidzki — uprawiali oni już w wieku XV-ym praktyki alchemiczne w swych ponurych celach klasztornych". Długosz oraz inni kronikarze ówcześni wspominają niejednokrotnie o pożarach zabudowań klasztornych, wywołanych rzekomo owemi praktykami

alchemicznemi. Głównymi propagatorami tych zajęć laboratoryjnych byli niewątpliwie dominikanie. Jeden z braci, niejaki Wincenty Koffsky, zmarły w Gdańsku w 1488 r., pozostawił nawet oryginalny traktat alchemiczny p. t. *De prima materia veterum lapidis philosophorum*, ogłoszony drukiem poraz pierwszy dopiero w roku 1608.

I w rozwoju mineralogji, zwłaszcza w jej zastosowaniu praktycznem — górnictwie, duchowieństwo ma piękną kartę. Oto z *Historji Górnictwa* H. Łabęckiego[1]) dowiadujemy się, że „brat Jerzy z zakonu Augustjanów, pochodząc prawdopodobnie z rodziny górniczej, zajmującej się wydobywaniem metali, wielkiej w tym kierunku nabrał wprawy; poznawał po różnych znakach, dla innych niezrozumiałych, obecność pożądanego minerału. Całemi tygodniami przebywając wśród gwarków czyli posiadaczy nadań górniczych „firachcenteli" w Olkuszu, nauczył ich posługiwać się świdrem do badania rudy kruszcodajnej, co określano jako „robienie borlochów". Przełożeni klasztoru nie przeszkadzali wycieczkom, które im hojnie opłacali gwarkowie, że zaś zakon był żebrzący, bowiem ślubował ubóstwo, a dary były znaczne — przekazywano je na różne cele i z funduszów tych wzniesiono nowy klasztor Augustjanów w Olkuszu, który, jak kronika klasztorna głosi, miał stać na srebrnym słupie".

Odnośnie do ofiarności duchowieństwa nawiasem wspomnijmy to, co słusznie dowiódł Antoni Karbowiak w swem pracowitem dziele *Dzieje wychowania i szkół w Polsce*, II, 1903, że to, co duchowieństwo nasze otrzymywało jako uposażenie różnych kanonij, kustodyj, altaryj i t. p. „chlebów duchownych", że to w postaci szkół, w postaci przeróżnych fundacyj oświatowych i dobroczynnych powracało prawie zawsze, a często z naddatkiem znowu do społeczeństwa.[2])

II.

W wiekach średnich uniwersytet krakowski miał duży rozgłos w Europie, głównie ze względu na matematykę, astronomję i astrologję. M. Wiszniewski w *Historji Literatury*, t. IV str. 361

---

[1]) H. Łabęcki: *Historja górnictwa w Polsce*. wyd. 1840.

[2]) To samo potwierdza ks. biskup L. Łętowski w przedmowie do swojego *katalogu biskupów i kanoników krakowskich*.

przytacza świadectwo Eneasza Silviusa Piccolominiego, późniejszego papieża Piusa II: *Cracovia praecipua regni civitas in qua artium liberalium scola floret, arte mathematica celebris.* Tamże znajdujemy pogląd Hartmana Schedela z r. 1473: „Przy tym kościele (św. Anny w Krakowie) jest wielka i sławna Akademja, której chlubą są mężowie uczeni i głośnego imienia, w której daje się wiele wyzwolonych nauk: retoryka, poetyka, filozofja, fizyka. Najlepiej tam atoli zakwitła astronomja; w całych Niemczech sławniejszej nauki astronomji niemasz". Zajmowanie się matematyką czystą i astronomją teoretyczną stworzyło właśnie atmosferę umysłową, sprzyjającą rozwojowi genjuszu Kopernika.

Odkrycie Mikołaja Kopernika, kanonika we Frauenburgu, które Polskę okryło niebywałą sławą, położyło podwaliny pod dzisiejszy system mechaniki nieba i temsamem zbudowało podstawy do późniejszego rozwoju dynamiki ogólnej. Zagadnienia filozoficzno-przyrodnicze, zagadnienia o budowie wszechświata, o przyszłych losach ludzkości i o sposobie wpływania na nie, odbijają się u nas nawet w dziełach czysto matematycznych [1]). Jednocześnie przytrafiają się próby uzgodnienia nauk ścisłych z Biblją i niektórzy matematycy polscy starają się zużytkować swą wiedzę do wynalezienia praw najogólniejszych, które rządzą przyrodą, a które byłyby zgodne z Pismem Świętem. Z 1647 r. możemy zanotować fakt, że kapucyn Walerjan Magni wykonał w Warszawie doświadczenie Torricellego, podobno w zupełnej niezależności od badań tego uczonego, na dowód możliwości próżni, a następnie prowadził polemikę z Pascalem o prawo pierwszeństwa co do wygłoszenia praw ciśnienia barometrycznego.

Jednym z najwybitniejszych obok Kopernika matematyków i fizyków polskich był ks. Adam Amandy Kochański z Towarzystwa Jezusowego, który działał w drugiej połowie XVII wieku, a zajmował kolejno stanowiska profesora matematyki w: Moguncji, Florencji, Pradze, Ołomuńcu, Wrocławiu — aż wreszcie został mianowany nadwornym matematykiem i bibljotekarzem króla Jana III Sobieskiego. Ks. Kochański wsławił się w świecie swoją metodą wyprostowania okręgu koła, dającą dla π (pi) cztery znaki dziesiętne dobre oraz pracami z dziedziny statyki, zamieszczanemi w *Acta Eruditorum,* które cieszyły się wielkiem uzna-

[1]) Por. Ks. J. Polkowski: *Żywot Mikołaja Kopernika,* w 2. 1873 r L. Birkenmajer: *Mikołaj Kopernik,* t. I. nakł. Ak. Umiej. 1900 r.

niem u obcych, o czem świadczy długa korespondencja naukowa między nim a filozofem niemieckim Leibnizem [1]).

Charakterystycznym jest pogląd Kochańskiego na badania przyrodnicze: „Niema nic trudniejszego — pisze — i nic bardziej na niebezpieczeństwo narażającego, niż chcieć samym tylko rozumowaniem śledzić prawa natury, które w tajemnych swych kryjówkach częstokroć naszym wymykają się sylogizmom, jeżeli te nie będą poparte często i starannie urządzanemi doświadczeniami".

Pierwszą arytmetykę w języku polskim napisał ks. T. Kłos p. n. „*Algorithmus: To iesth nauka Liczby: Polską rzeczą wydana: przez Xiędza... Na trzy się części dzieli, pierwsza będzie o osobach liczby, wtora o Regule detri. Trzecia o rozmaitych rachunkach y o spolkach kupieczkich. Cracoviae ex Officina Ungleriana*, 1538, 8° kart 31".

Na ten czas przypada również świetny rozwój naszego górnictwa, a pierwszym drukiem polskim, zawierającym wiadomości o różnych ciałach kopalnych, jest zielnik ks. Falimierza (1534) [2]).

Gruntowny traktat z zakresu mineralogji wyszedł u nas z pod pióra uczonego jezuity ks. Wojciecha Tylkowskiego, profesora akademji wileńskiej. Tylkowski (ur. w 1624 czy też 1629 r., zmarły 1695 r.), nie doczekał się dotąd u nas umiejętnej oceny swej naukowej działalności. Słynął on jednak wśród współczesnych ze swej uczoności, a dzieła jego w licznych wydaniach drukowane były nietylko w Polsce, lecz i zagranicą (we Wrocławiu, Frankfurcie, Augsburgu, Wiedniu, Ulnie, Regensbergu, Paryżu i innych). Z licznych dzieł Tylkowskiego najważniejsza jest jego Fizyka albo Filozofja naturalna *(Physica curiosa)*. Wchodzi ona w skład obszernego w języku łacińskim wykładu filozofji scholastycznej *(filozofji powszechnej Arystotelesa)*, który w 15 tomach in 8° wyszedł w Oliwie w latach 1680—1691. „Fizyka albo Filozofja naturalna — pisze Tylkowski — wzięła to sobie za zabawę, aby nam rzeczy materjalnych początki, przyczyny, własno-

[1]) S. Dickstein: *Korespondencja Kochańskiego i Leibniza wg. odpisów Dr. Bodelmana.* Prace Mat. Fiz. XII i XIII, 1902. F. Kucharzewski: *Statyka Kochańskiego.* T. N. W. 1910. A. Kochański: *Observationes cyclometricae ad facilitandam praxin accomodatae.* Acta eruditorum. Lipsk 1685.

[2]) J. Morozowicz: *Przegląd historyczny podręczników mineralogji w Polsce.* (Podręcznik mineralogji dr. G. Tschermaka. Warszawa 1900.

ści wszystkim pospolite wytłumaczyła". Zajmuje się więc w niej rozbiorem mnóstwa zagadnień z dziedziny fizyki, chemji, astronomji, geografji fizycznej, meteorologji, biologji, wreszcie mineralogji. Niektóre części są wyłożone sposobem katechizmowym. W fizyce tej, liczącej 5301 stron, ciałom kopalnym poświęcono 374. Zgóry zaznaczyć należy, że Tylkowski, przy całej swej wszechstronności, był przedewszystkiem matematykiem i to naonczas bardzo wybitnym. Mineralogja z istoty rzeczy leżała zdala od sfery, w której najchętniej obracała się jego umysłowość. Wbrew mniemaniu olśnionych jego nauką współczesnych i na nim sprawdza się zasada: *Non omnia possumus omnes.* Tylkowski poprzestaje na przyjętym przez Alberta Wielkiego podziale ciał kopalnych na metale, kamienie i ziemie, dodając jeszcze grupę — soków ziemnych. W tym porządku rozpatruje kopaliny. Charakterystyczne są jego poglądy na sztuczne otrzymywanie złota i sprawę kamienia filozoficznego. Uważa, że złoto sztuczne i kamień filozoficzny są fizycznie możliwe, ale są zgoła niemożliwe moralnie i mniema, że dowiódł tego swojem rozumowaniem „nietyle chemicznem, ile Arystotelesowskiem". Wykład opatruje całym szeregiem wtrąceń t. np. wspomina o trafiających się w Polsce białych krzemieniach rzecznych, które mają według pospólstwa powodować rany (zastrzały) pod paznokciami (zanokcica).

Najmniej mówi o ziemiach, potrącając tylko o używanej wówczas w lecznictwie ziemi pieczętnej *(terra sigillata)*, która jakoby nawet pod Warszawą ma się trafiać nad brzegami Wisły. Soki ziemne dzieli na zsiadłe (sól, salmjak, saletra, siarka, bitum, witryol, bursztyn) i ciekłe (nafta, malta, olej skalny). Dzieło Tylkowskiego wprowadza nas w świat pojęć uczonych XVII wieku, zapoznaje z ich sposobem tłumaczenia sobie różnych zjawisk natury, a wogóle dość pobieżnie traktuje stronę opisową minerałów i miejsca ich występowania.

Jakie złoża minerałów były znane u nas w początkach XVIII wieku, dowiadujemy się od jezuity, ks. Gabrjela Rzączyńskiego, który, w wydanej w 1721 r. w Sandomierzu książce p. t. *Historia naturalis curiosa regni Poloniae, magni ducatus Lituaniae, annexarumque provinciarum* oraz w uzupełnieniu, wyszłem po śmierci autora w Gdańsku w 1742 r. p. t. *Auctuarium historiae naturalis curiosae regni Poloniae*, wprawia w podziw swojem oczytaniem i starannością swojej kompilacji, razi jednak niekiedy

bezkrytycznością. Do napisania tych dzieł, jak widać z przedmowy, skłoniła Rzączyńskiego chęć zwalczenia błędnego, a w wielu głowach zakorzenionego przeświadczenia o rzekomem ubóstwie Polski w płody naturalne, o rzekomem jej upośledzeniu przez naturę. Ks. Rzączyński skupił w swych dziełach wiadomości, dotyczące historji naturalnej Polski, w mnóstwie ksiąg i rękopisów rozproszone, uzupełniając te poszukiwania książkowe tem, czego się w tejże sprawie od osób wiarogodnych dowiadywał i co sam w swoich podróżach dostrzegał. Jest on bardzo powściągliwy w wypowiadaniu własnego zdania, poprzestaje więc czasami na zestawieniu obok siebie opinij różnych autorów, niekiedy sprzecznej treści.

Historję naturalną Rzączyńskiego, pomimo licznych jej niedokładności, musimy wogóle uznać za ważny nabytek literatury naukowej polskiej. Dzieło tego uczonego jezuity zaznacza u nas świt nowej epoki, kiedy nauki przyrodnicze mniej będą na rzecz nauk humanistycznych zaniedbywane. W literaturze polskiej naonczas nie było jeszcze na taką skalę zakrojonego opisu fizjograficznego Polski. Na tle martwoty czasów saskich ukazanie się tych książek stanowiło zjawisko niezwykłe. Coprawda poczet minerałów i skał, rozpatrzonych w pracy ks. Rzączyńskiego nie jest wielki. Po wyłączeniu skamielin liczba ich nawet 100 nie przekracza. Z małemi bowiem wyjątkami autor zajmuje się minerałami użytkowymi, niektórych jednak zastosowanie było odmienne od dzisiejszego [1]).

III.

W pierwszej połowie XVIII wieku szerszą działalność na polu fizyki, przedewszystkiem dydaktyczną, opartą na postępach nauki zachodniej, rozwinął jezuita ks. Józef Rogaliński. Wykształciwszy się w naukach ścisłych w Paryżu, objął profesurę fizyki w kolegjum jezuickiem w Poznaniu, gdzie obok swych zajęć urzędowych urządzał także popularne wykłady fizyki doświadczalnej, na które także dopuszczał rzemieślników. W 1764 roku wydał obszerne pięciotomowe dzieło: *Doświadczenia skutków rzeczy pod zmysły podpadających.*

Podręczniki fizyki wydają również pijarzy ks. Samuel Chróścikowski oraz ks. Józef Herman Osiński. Ostatni był wielkim

[1]) Karol Koziorowski: *Materjały do dziejów mineralogji w Polsce.*

miłośnikiem fizyki i jego *Fizyka doświadczeniami potwierdzona* oraz *Gatunki powietrza* stanowiły prawdziwie na czysto naukowym poziomie stojące podręczniki fizyki i chemji elementarnej. Ks. Osiński dawał w Warszawie publiczne prelekcje, połączone z doświadczeniami, a zapoznawszy się z epokowymi postępami, dokonanymi wówczas, zwłaszcza na polu chemji, przez Cavendisha, Lavoisiera i Laplace'a, posiadał sąd naukowy o tyle dojrzały, że porzucił zasady uprzednio przez siebie głoszone i podjął się z nowego punktu widzenia zupełnej przeróbki swej pierwszej książki wydanej w 1777 roku.

W połowie też XVIII stulecia poczęło budzić się w Polsce nowe życie umysłowe, przygotowujące zwolna grunt do wielkich i doniosłych reform. Początek reformy szkolnictwa odnieść można do 1740 roku, kiedy ks. Stanisław Konarski, pijar, zakłada w Warszawie *Collegium Nobilium*. Zainteresowanie się nauką wzrasta i poza szkołami: biskupi Józef i Andrzej bracia Załuscy zakładają w 1746 r. bibljotekę publiczną.

W 1769 r. ukazuje się pierwsza książka chemiczna p. t. *Uwagi Warszawskiego Towarzystwa fizyczno-chemicznego,* w której już wówczas propagowano „założenie *Labaratorii Oeconomico-Chymici*, w którymby nietylko w innych już krajach znajome, u nas ale jeszcze nie świadome sposoby niektórych sztuk, y rzemiosł należycie y z wszystkiemi fortelami tych ćwiczono, którzyby kosztów nie żałowali, tą lub ową fabrykę, czyli manufakturę założyć, ale w którymby też usiłowano, nowe zaś y nie wydoskonalone ieszcze manufaktury odkryć i polepszyć, ba y niektóre subtelne rzeczy... robiono y przedawano".

Miarą zainteresowania się społeczeństwa naukami ścisłemi, specjalnie zagadnieniami matematycznemi, jest niezwykły fakt rozstrzygnięcia w 1780 r. przez Sąd Marszałkowski w Warszawie sporu o kwadraturę koła pomiędzy księdzem Kocem, profesorem filozofji, a porucznikiem Korsonichem [1]).

Z chwilą powstania Komisji Edukacyjnej, tego pierwszego w Europie ministerjum oświaty, którego duszą byli księża Hugo Kołłątaj i Grzegorz Piramowicz, dla nauk matematyczno-przyrodniczych nastała nowa era. Wzmożony ruch umysłowy odbił się korzystnie na ich rozwoju; Komisja Edukacji Narodowej

[1]) A. Wejnert: *Zabytki dawnych urządzeń sądowych,* cz. IV. Warszawa, Orgelbrand, 1872 r.

wprowadza do szkół średnich geometrję Euklidesa, arytmetykę i algebrę w zakresie zbliżonym do dzisiejszego. Matematyka wyższa zostaje wprowadzona do uniwersytetów i do nowozałożonego korpusu kadetów. Na zamówienie Komisji pisze matematyk szwajcarski Ł'hulier podręczniki arytmetyki, geometrji, oraz algebry, które, wydane w dobrym przekładzie księdza Jędrzeja Gawrońskiego, ustalają polską terminologję matematyczną. Tenże ksiądz przekłada w 1791 r. *„Naukę chymiczną Spielmanna*, podając pierwszą próbę słownictwa chemicznego, przeważnie narzędziowego i manipulacyjnego.

Podupadłą Akademję Krakowską ks. Kołłątaj pobudza do nowego życia i powołuje na katedrę fizyki ks. D. Andrzeja Trzcińskiego, który w 1787 r. wydaje książkę p. t. *Nauka o napuszczaniu wody powietrzem kwaskowem.* W tym okresie do wykładu historji naturalnej używano w naszych szkołach dzieła jezuity niemieckiego, ks. Józefa Redlhamera, wydanego poraz pierwszy w Wiedniu w 1754 r. p. t. *Philosophia naturalis seu physica generalis.* Wykład mineralogji potraktowany jest tutaj dość pobieżnie, mieści się bowiem na 44 stronach.

Dopiero w 1781 r. regens seminarjum duchownego w Sandomierzu, ks. Józef Lisikiewicz, wydaje swą *Physica*, której cz. II księgi drugiej stanowi *Historja naturalna zawierająca wiadomości o rzeczach kopalnych.* W dziełku tem mamy szereg wiadomości o sześciu szczególniejszych rodzajach rzeczy kopalnych: o ziemiach, o wodach kruszcowych lub mineralnych, o solach, sokach ziemnych, kamieniach i wreszcie o kruszcach i półkruszcach. Dwa ostatnie rozdziały traktują o elektryzacji czyli sile bursztynowania i o własnościach i sile magnesowej. Umieszczone w niem wiadomości o występowaniu różnych ciał kopalnych w Polsce są przeważnie wyciągami z Rzączyńskiego, zrobionemi dość niedbale i bezkrytycznie. Całe dziełko nie posiada wielkiej wartości.

W 1783 r. ks. R. Ładowski napisał *Historję naturalną Królestwa Polskiego,* w której, mimo braku cech oryginalnych, umiał trafić do gustu współczesnych czytelników, książka bowiem jego doczekała się dwóch wydań i została nawet przełożona na niemiecki. Zasługą jego jest, że spopularyzował przewodnią myśl Rzączyńskiego o konieczności poznania kraju ojczystego pod względem przyrodniczym.

Dziełem nieprzeciętnem natomiast było napisane przez ks.

K. Kluka *Rzeczy kopalnych, osobliwie zdatniejszych, szukanie, poznanie i zażycie,* które ukazało się w 1781 r. w Warszawie. W założeniu swojem książka stanowi mineralogję popularną, połączoną z technologją ciał kopalnych i autor zgóry nadał jej charakter dzieła, mającego czynić przysługę „gospodaruiącemu ieno, nie zaś głębokiemu naturalistowi lub chimistowi". W rozwoju polskiego słownictwa mineralogicznego praca księdza Kluka jest ważnym etapem. On pierwszy wprowadził takie wyrazy jak: kwarzec, szpat, łupek, łyszczak, rogowiec; on też używa już takich wyrażeń jak: „krystalizacja", „sól kuchenna krystalizuje się w kostkę", „ałun krystalizuje się cząstkami ośmiobocznemi", „kąt przytępiony". Nie dopuszcza się on niepotrzebnego spolszczania nazw minerałów, ogólnię w mineralogji przyjętych, zaznaczając, że talk, onyks, agat, szpat, kwarzec, jaspis we wszystkich językach podobnąż noszą nazwę. Ks. Kluk pisze językiem prostym, jasnym, stylem prawie gawędziarskim, znalazł więc sobie licznych czytelników. Dzieło jego doczekało się trzech wydań i było zaliczone przez Komisję Edukacyjną w poczet podręczników szkolnych [1]).

Nie od rzeczy będzie omówić książkę wspomnianego już pijara, ks. J. Osińskiego p. t. *Opisanie polskich żelaza fabryk,* która wyszła w 1782 r. w Warszawie, a zawiera opis 48 gatunków rudy żelaznej krajowej, występującej przeważnie w powiatach opoczyńskim i radomskim, głównem siedlisku ówczesnego naszego przemysłu żelaznego. Książka ta, ułożona nader sumiennie i starannie, wykazuje duży talent narracyjny i znajomość przedmiotu przez autora.

Słów kilka wspomnieć należy o zbiorach okazów mineralogicznych, gromadzonych przez duchowieństwo. I tak książe prymas Michał Poniatowski jest pierwszym fundatorem gabinetu mineralogicznego uniwersytetu w Krakowie; drugie miejsce zajmuje ks. H. Kołłątaj, jako ofiarodawca kilkuset sztuk minerałów z Czech, Saksonji i Węgier. Ks. kanonik Jan Wichert oddaje swój znaczny zbiór minerałów Szkole Głównej w Wilnie. Jeżeli mowa o tej szkole, to trzeba wspomnieć wykładającego tamże od 1798 *historji naturalnej viceprofesora,* ks. B. S. Jundziłła, który

[1]) J. Morozewicz: *Przegląd historyczny podręczników mineralogji w Polsce.*

napisał skromną rozprawkę p. t. *Dissertacya mineralogiczno-geograficzna o krajach, gdzie się kruszce znaiduią i o wielkości rocznego ich wydobywania.* Z chwilą, gdy w Szkole Głównej Wileńskiej założono osobną katedrę fizyki, zajął ją ks. Józef Mickiewicz, stryj poety, później dziekan fakultetu matematyczno-fizycznego. Równocześnie powstała tam katedra mechaniki, którą ofiarowano ks. T. Kundziczowi, niestety, bardzo słabą siłę fachową. Mickiewicz nie mógł wprawdzie nauki zgłębić wskutek braków w przygotowaniu matematycznem, ale zasłużył się spopularyzowaniem swego przedmiotu, który wykładał w sposób eksperymentalny.

Niewiele jest do powiedzenia o roli duchowieństwa w liceum krzemienieckiem w rozwoju historji naturalnej. Ks. Kołłątaj ofiarował powyższemu liceum „gabinet mineralogji" kupiony w Dreznie, a składający się z przeszło 6000 sztuk, którego największą osobliwością były „liczne i bardzo wielkie labradory", kosztujące przeszło 300 czerwonych złotych.

Ale jednym z najwybitniejszych przyrodników polskich był ksiądz Stanisław Staszic, współtwórca Komisji Edukacji Narodowej, Konstytucji 3 Maja, inicjator Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie oraz dyrektor górnictwa. Na posiedzeniach T. P. N. Staszic odczytywał pojedyńcze rozprawy, wchodzące w skład jego dzieła *O ziemiorodztwie Karpat i innych gór i równin Polski.* Dzieło to podstawowego w literaturze naszej znaczenia, jako pierwszy w języku polskim opis geologicznej budowy Polski, przez pewien czas było także źródłem najpełniejszych i najdokładniejszych wiadomości o występujących na ziemiach jej minerałów.

Ks. Staszic wogóle był duszą wszystkiego, co się działo na polu nauk przyrodniczych. Oceniał on dokładnie znaczenie należytego wyzyskania bogactw krajowych, jako jednej z podstaw rozumnego gospodarstwa narodowego. We wszelkich poczynaniach, mających na celu rozwój nauk ścisłych i stosowanych, spotykamy się stale z jego nazwiskiem. On to na posiedzeniu styczniowem 1814 r. T. P. N. powiedział: „... Członkowie Towarzystwa przedsięwzięli pracować nad poznaniem ojczystej ziemi, nad jej jeognozją i mineralogją, opisać jej skład wewnętrzny, wskazać w jej utworze porządek jeognostyczny, porządek wewnętrznego w jej górach składu rozmaitych rodzajów,

gatunków mineralogicznych rzeczy". Ks. St. Staszic ofiarował też wówczas swój własny gabinet historji naturalnej T. P. N., a później, jako dyrektor górnictwa, zasilał zbiory jego minerałami, nadsyłanymi z różnych kopalń krajowych. On wreszcie założył w 1816 r. szkołę akademiczno-górniczą w Kielcach.

I tak doszliśmy do końca naszych rozważań i wspomnień nad rolą duchowieństwa katolickiego w rozwoju nauk matematyczno-przyrodniczych w Polsce. Dałoby się jeszcze wiele dodać, ale niestety, materjał dotyczący historji wiedzy ścisłej jest nader szczupły; na polu tem panuje u nas prawie że zupełna martwota. Wiązankę tych szczegółów, ułożoną może nieco bezładnie, pisaliśmy z racji następującego zdarzenia: Oto podczas pewnej dyskusji, mającej za przedmiot sumę, jaką duchowieństwo polskie wniosło do postępu wiedzy w Polsce, pewien znany oraz wybitny przyrodnik podkreślił, że jedynie tylko nazwiska księży: M. Kopernika, A. Kochańskiego oraz St. Staszica godne są pewnej wzmianki w rozwoju nauk matematyczno-przyrodniczych w Polsce. Nasze badania, podjęte nad tym przedmiotem zaraz po wspomnianym fakcie, doprowadziły w ciągu dwóch lat do odkrycia z szeregu wieków wielkiej liczby nazwisk duchowieństwa, godnych nietylko wzmianki, lecz nawet pomnika.

O tych strażnikach kultury polskiej, którzy nieustannie pracowali, aby stanowisko narodu polskiego było oparte istotnie na potędze ducha, a następnie na potędze materjalnej należy pamiętać.

Źródła:

Prócz wspomnianych w tekście korzystałem jeszcze:

K. Morawski, *Historja Uniwersytetu Jagiellońskiego*, t. II, ks. III, rozdz. IV. Kraków.

N. Copernicus, *De lateribus et angulis triangulorum.* Vittenbergae 1542.

Ks. R. Skolimowski, *Kurs Rachunku Wyższego*, (wstęp) Warszawa 1823.

F. Zebrawski, *Bibljografja piśmiennictwa polskiego z działu matematyki i fizyki*, Kraków 1873 i 1886.

Katalog wydawnictw Akademji Umiejętności w Krakowie. Kraków 1910.

S. Dickstein, *Wiadomości bibljograficzne o badaniach historyczno-matematycznych w Polsce.* Por. mat. fiz. t. II. Warszawa 1890.

W. Wisłocki, *Katalog rękopisów Bibljoteki Uniw. Jag.* Cz. I. Kraków 1877.

Br. Znatowicz, *Nauki ścisłe i przyrodnicze w dawnej Akademji Jagiellońskiej. Wszechświat.* 1900.

A. Kraushar, *Towarzystwo Warszawskie Przyjaciół Nauk*, 8 tomów, Kraków 1900—1906.

Z. Mysłakowski, *O. Walerjan Magni i kontrowersja w sprawie odkrycia próżni.* Rozpr. Krak. Ak. Um. † 11, 1911.

Fr. Chłapowski, *Życie i prace księdza J. Rogalińskiego* 2. t. Poznań 1902—1905.

Cuvier, *Historja nauk przyrodzonych.* Wilno 1854.

W. Leppert, *Rys rozwoju chemji w Polsce do r. 1830.* Warszawa 1918.

J. Zawidzki, *O rozwoja chemji w Polsce.* Rocz. Chem. 1922 r. Warszawa.

H. Łabęcki, *Górnictwo w Polsce.* Warszawa 1841.

T. Pochwalski, *Zasługi Staszica na polu geologji i górnictwa w Polsce.* Warszawa 1906.

M. Rolle, *Ateny Wołyńskie.* Lwów, Warszawa, Kraków 1923.

H. Święcicki, *Szkoła Kielecka.* Warszawa 1871.

Ludwik Łakomy.

Stan badań nad architekturą w Polsce w epoce rokokowej.

Epoka „rokoko" nie przyniosła w architekturze nowych elementów konstrukcyjnych. Sztuka rokokowa to przedewszystkiem sztuka dekoracyjna, rozwój dekoracji ściennej, rozwój miękiego często zmysłowego malarstwa i rzeźby, rozwój przemysłu artystycznego, zwłaszcza porcelany.

Konstrukcje architektoniczne, idące od renesansu poprzez barok, pozostają w zasadzie te same. W stosunku do baroku, rokoko jest na zewnątrz spokojniejsze, bardziej skromne, wnętrze dopiero olśniewa nas jasnością barw, złotem, niezwykle lekką, powiewną prawie, niesymetryczną, a bardzo bogatą dekoracją. Możnaby więc przypuszczać, że architektury w epoce tej nie warto osobno traktować, a włączyć ją poprostu do architektury późno-barokowej. Wackernagel [1]) uważa rokoko za ostatnią fazę baroku. Istnieje jednak cały szereg elementów nie konstrukcyjnych, a więc nie zasadniczych, ale mających pewne znaczenie, które razem wzięte tworzą odrębny typ architektury w epoce rokokowej, tworzą tę właśnie odrębną fazę baroku.

Przedewszystkiem inny duch ludzi ożywia. Skończyła się już epoka kontrreformacji, skończyła się epoka wielkich pokut, wielkich kontrastów, życie weszło na tory spokojniejsze, lżejsze, a przedewszystkiem bardziej ziemskie. Epoka barokowa to rozwój z jednej strony wspaniałych kościołów, klasztorów, z drugiej imponujących zamków. Rokoko to przedewszystkiem pałace. Trochę kościołów, lecz jakże znikoma ich ilość w porównaniu

[1]) Wackernagel. *Baukunst der 17 u. 18 J. in den germanischen Ländern.* Handbuch der Kunstwissenschaft. Potsdam s. a. str. 3.

z pobożnym barokiem. Rokoko to pałace wygodne, ślicznie dekorowane, jasne, pałace ludzi myślących raczej o życiu doczesnem niż przyszłem.

Ten inny duch to najważniejsza różnica zachodząca między temi dwiema epokami. Z niej wypływają dalsze.

Przedewszystkiem sposób oświetlania, następnie kwestja barw i odrębność dekoracji. Różnice te najwyraźniej można wykazać na porównaniu kościołów tych dwóch epok. W baroku czaruje nas światłocień, mroczna głębia, jasność padająca przez kopułę, ukryte źródła światła, silne kontrasty czarnych marmurów przy białych stiukach. Wszystko to znika. W epoce rokokowej przeważnie jedna nawa, szeroka, równomiernie oświetlona, ściany o jasnych delikatnych barwach, wszystko to jeszcze bardziej podkreślone przez liczne lustra i lekkie, złocone stiuki. To nie są już świątynie pokuty, namiętnych modlitw, to raczej wytworne salony Boże. Dobremi przykładami mogą tu być kaplica Lipskich czy Wazów na Wawelu (barok) w przeciwstawieniu do kaplicy Załuskiego (rokoko), lub kościół św. Anny w Krakowie w przeciwstawieniu do kościoła parafjalnego w Dukli.

To samo mamy jeśli chodzi o budowle świeckie. Dawne wspaniałe, obronne zamki zamieniają się na pałace, pałacyki, które nawet o najsłabszej obronie marzyćby nie mogły. Naprz. klasztor Bernardynów w Kalwarji Zebrzydowskiej w przeciwstawieniu do katedry św. Jura we Lwowie, albo taki zamek w Wiśniczu w przeciwstawieniu do pałacu w Dukli. Ale i tutaj elementy konstrukcyjne nie ulegają zmianie, zmienił się duch czasu i zmieniła się dekoracja.

Do zmiany elementów konstrukcyjnych trzebaby było większego wysiłku umysłowego i twórczego ludzi, a ludzie owej epoki nie chcieli się wysilać. Toteż łatwiej było tworzyć bujną dekorację, niż ciężko przemyśliwać konstrukcyjne problemy. To nie była epoka, która była mogła wydać takich ludzi jak Montereau w gotyku, jak Michał Anioł czy później Borromini, czy wreszcie Fischer von Erlach w baroku, to epoka, która wydała przedewszystkiem dekoratorów, ale dekoratorów genjalnych.

Zajmować się będę jedynie architekturą rokokową w Polsce, uznając za zabytki tego stylu te, które posiadają dekorację rokokową, jako najistotniejszą cechę tego stylu. Jest niezaprzeczalną trudnością, że w okresie stylu rokoko powstają budowle czysto

barokowe, t. zn. nie posiadające dekoracji rokokowej, należą jednak do rzadkości, tak że całokształt tej epoki pozostaje nienaruszony. A teraz jak się w Polsce ta epoka przedstawia? Co wogóle Polska dawała od siebie do tej wielkiej „międzynarodówki", jaką jest sztuka, pozostaje dziś jeszcze kwestją otwartą. W każdym razie trzeba Polskę zaliczyć do narodów raczej przyjmujących niż dających. Epoka rokoko w Polsce nie jest specjalnie bujnym okresem, u nas wogóle w tym stylu niewiele zbudowano. Z jednej strony przeszkadzają częste wojny, z drugiej ogół masy szlacheckiej nie dorasta w tym okresie do kulturalnych wysiłków, tak, że właściwie budują tylko jednostki magnackie i król, a kościołów wybudowano sporo w baroku, tak, że religijność nie ma tu już wielkiego pola do działania (w Wilnie dzięki wielkiemu pożarowi przybyło trochę zabytków w tej epoce).

Syntetycznego opracowania architektury w epoce rokoko nie posiadamy, natomiast parę poszczególnych monografij. Zajmę się najpierw monografjami zabytków, następnie artystów.

Najwybitniejszem dziełem to: „Warschauer Bauten" Gurlitta [1]). Obejmuje okres panowania obu Sasów. Opiera się głównie na źródłach drezdeńskich i planach Tirregaillé'a. Stwierdza, że budowle świeckie powstały pod wpływem Saksonji. August II, za którego zaczął się ożywiać ruch budowlany (około 1702), sam wszystkie plany szczegółowo ogląda. Do najważniejszych architektów tego czasu zalicza Daniela Pöppelmanna, Longuelune'a i Knöffla.

Przechodząc pałace tego czasu stwierdza, że polską odrębnością było tworzenie bocznych, prawie że osobnych pawilonów mieszkalnych. Tak jest naprz. w pałacu Brühla, Czapskich i t. d.; można powiedzieć, że prawie we wszystkich pałacach. W budowlach kościelnych widzi Gurlitt przedewszystkiem barok idący do nas z Włoch trzema prądami: górnowłoski, gdzie wpływ Vignoli łączy się z barokiem austrjacko-niemieckim; rzymski z Chiaverim, który opiera się na C. Fontanie i Berninim, a wreszcie bardzo silny barok, którego przedstawicielami są Ceroni, a może i Franciszek Placidi. Do kościołów tego czasu należą przedewszystkiem Wizytki 1755—1761 [2]). Oprócz tego

[1]) C. Gurlitt: *Warschauer Bauten aus der Zeit der Sächsischen Könige.* Berlin 1917.

[2]) Bartoszewicz: *Kościoły warszawskie.* Warszawa 1855.

niektóre kościoły przebudowywano lub odnawiano w tym czasie.

Praca Gurlitta to pierwsza monografja, obejmująca już jakiś większy całokształt zabytków tej epoki. Lauterbach w swej monografji Warszawy [1]) nie wnosi właściwie nic nowego, opierając się głównie na Gurlicie, ujmuje jednak jasno przegląd zabytków. Czytając Gurlitta i Lauterbacha można tylko żałować, że tak mało pałaców do dnia dzisiejszego się dochowało. Pozostał nam tylko pałac Brühla (1750—59), pałac Czapskich (1740) dziś nieco zmieniony; pałac Kazimierzowski-Sułkowskiego (1728 do 1768) ogromnie zmieniony i pałac Czartoryskich (1730) dziś Potockiego.

Plany przebudowy zamku warszawskiego były przedstawiane przez niejednego z architektów [2]). Sam Jakób Fontana podał cztery plany. Chiaveri przedstawił bardzo wspaniałe i kolosalne zatwierdzone przez króla w 1740, ale odrzucone przez Brühla, a przebudowy dokonano według planów Knöffla bardziej rokokowych.

Według Skórewicza [3]) Pöppelmann przedstawiał także plany jeszcze za Augusta II, które jednak nie zostały przyjęte. Obok Knöffla pracował jakiś nieznany do dziś Polak. Przebudowa, obejmująca fasadę od strony Wisły i od strony podwórza wielkiego, a częściowo i wnętrze, trwała od 1740—47.

Z prywatnego pałacu królewskiego, pałacu saskiego, nic do dziś nie zostało, zburzono go w latach 1837—1842.

Świeykowskiego monografja Dukli [4]) wypełnia niewątpliwie dużą lukę w historji sztuki tej epoki, niestety poza bardzo szczegółowemi opisami i stylistycznemi raczej porównaniami niż analizami nie przynosi bardzo konkretnych zdobyczy. Wykazuje wpływy saskie, w ogólnej jednak stylizacji widzi też wpływ Blondel'a. Mojem zdaniem pałac (1764—1768) nie przedstawia większej wartości artystycznej, natomiast kościół parafjalny (1742—1765), a przedewszystkiem jego wnętrze jest chyba najpiękniejszym

---

[1]) A. Lauterbach: *Warszawa.* Warszawa 1925.

[2]) Tatarkiewicz: *O materjałach dotyczących zamku warszawskiego.* Warszawa 1914.

[3]) Skórewicz: *Zamek królewski w Warszawie.* Kraków 1924.

[4]) E. Świeykowski: *Monografja Dukli.* Studja do historji sztuki i kultury w XVIII w. w Polsce. T. I. Kraków 1903.

kościołem rokokowym w Polsce i zagranicznym niewiele chyba ustępuje.

J. Raczyński [1]) w „Centralnych barokowych kościołach woj. lubelskiego" łączy w jedną grupę kościoły w Lubartowie, Włodawie, farę w Chełmie i kościół po Bonifratrach w Lublinie. Dwa z nich: we Włodawie (1745) i w Chełmie (1653—1763) posiadają dekorację rokokową. Raczyński przypuszcza, że jeden architekt Rezler budował Lubartów, Włodawę i Chełm. Lubartów, najwcześniejszy (1733—1738), nie posiada jeszcze dekoracji rokokowej.

Stryjeński [2]) w „Pałacach wiejskich i dworach" opisuje przeważnie zabytki z epoki późniejszej, stwierdza jednak, że o ile w stolicy przejście od form rokokowych do stylu Stanisława Augusta nastąpiło prawie nagle, na prowincji dość długo powstawały budowle przynależne stylowo do epoki saskiej, dostające często, bądźto w czasie, bądź już po budowie dodatki z nowej epoki. Do grupy tych pałaców zalicza Rogalin, Racocę (ok. 1774), Pawłowice, (architekt Langhaus ze Śląska) i dwory w Gułtowach (1780—1785), Siedlcu i Czerniejewie. Do tych świeckich budowli dołącza jeszcze kościół w Wąwelnie (1758—1767) o dekoracji rokokowej prowincjonalnej roboty.

O architekturze Wilna mówią tylko dwie prace: Weber [3]) i Kłos [4]).

Weber ujmuje bardzo ciekawie całość zabytków. Charakterystycznemi są ozdoby czy nasadniki w kształcie spiralnych urn na szczytach i galerjach wież. Ciekawe jest także połączenie ambony z konfesjonałem i wygięte ku górze filary chóru muzycznego w kościele Dominikanów. Wogóle rokoko wileńskie cechuje duża ruchliwość mas. Kłos w ogólnej syntezie nie daje nowych wyników, podaje jednak daty, których brak u Webera. I tak mamy w Wilnie: prezbiterjum kościoła św. Jana (1737—49), kościół ewangelicko-luterański (1740), kościół Augustjanów (1746 do 48), Dominikanów (1748—70), kościół św. Krzyża i cerkiew

[1]) J. Raczyński: *Centralne barokowe kościoły woj. lubelskiego.* Studja do dziejów sztuki w Polsce. Warszawa 1929.

[2]) T. Stryjeński: *Pałace wiejskie i dwory z czasów saskich, Stanisława Augusta i Ks. Warszawskiego w woj. poznańskiem.* Kraków 1929.

[3]) P. Weber: *Wilna eine vergessene Kunststätte.* Wilna 1917.

[4]) Kłos: *Przewodnik krajoznawczy.* Wilno 1929.

św. Trójcy (po 1748 r.), kościół św. Mikołaja (po 1749), klasztor Bazyljanów (1750—75), kościół Najśw. Marji Panny na Piaskach i klasztor Franciszkanów (z 1764 r.), kościół Augustjanów ukończony w 1768 r., kościół św. Jerzego z drugiej połowy XVIII w. Mam tylko zastrzeżenia co do daty ukończenia kościoła św. Katarzyny (1703), jest to data niemożliwa, ze względu na bardzo bogatą dekorację rokokową. Nie znamy Wilna architektów, w każdym razie bujnością swej dekoracji najbardziej zbliża się do niemieckiego rokoka.

Kościołami Dominikanów w Tarnopolu i Lwowie pierwszy zajął się ks. Wł. Żyła [1]). Kościół Tarnopolski (1749—79) łączy z morawskiemi i austrjackiemi, szczególne widzi podobieństwo z kościołem parafjalnym w Jamierzycach Fischera v. Erlach. Budowę kościoła Dominikanów we Lwowie (1749—64) prowadzi Jan de Witte. Ks. Żyła i tu widzi wpływy austrjackie, zwłaszcza wpływ planu Kościoła św. Karola Boromeusza w Wiedniu, zostały jednak wprowadzone pewne zmiany na korzyść naszego kościoła. Ks. Żyła zbiera cechy, które tworzą architekturę rokokową: swobodne igranie formami, okazałe wnętrze a zaniedbanie strony zewnętrznej, empory nad arkadami, równomierne rozmieszczenie światła i wreszcie dekoracja stiukowa i malarska. Są to rzeczywiście cechy charakterystyczne dla budowli tego stylu.

Piotrowski [2]) w swoim przewodniku daje opis lwowskich budowli rokokowych. Ale jeżeli chodzi o zabytki lwowskie rokokowej epoki i o ich architektów, to zostały one opracowane przedewszystkiem przez dr. T. Mańkowskiego, poprzednio w mniejszych pracach (Katedra św. Jura we Lwowie. Spraw. Tow. Nauk. we Lwowie R. VIII z. 1 1928 i Kościół Dominikanów i architekci lwowscy XVIII w. S. T. N. L. R. XI z. 1 1931), a ostatnio wydanej przed paru miesiącami pracy: „Lwowskie kościoły barokowe" [3]). Autor widzi we Lwowie dwa okresy wzmożonego ruchu budowlanego, początek XVII i pierwsza połowa XVIII w. W tym drugim okresie, a specjalnie w okresie stylu rokoko,

[1]) Ks. Wł. Żyła: *Kościół OO. Dominikanów w Tarnopolu*, Lwów 1917; *Kościół i klasztor OO. Dominikanów we Lwowie*. Lwów 1923.

[2]) J. Piotrowski: *Lemberg*. Lwów s. a.

[3]) T. Mańkowski: *Lwowskie kościoły barokowe*. Lwów 1932. Prace Sekcji Hist. Sztuki. T. II. z. 2.

powstają kościoły: św. Marcina 1736 r.; SS. Sakramentek 1743 r.; św. Mikołaja 1745 r.; a wreszcie oba kościoły dominikańskie i katedra św. Jura. Dr. Mańkowski zajmuje się specjalnie trzema ostatniemi. Plany dominikańskiego kościoła Bożego Ciała dał Jan de Witte (autor kościoła i fortyfikacji klasztoru Karmelitów w Berdyczowie i szeregu budowli w Kamieńcu Podolskim). Ale sam nie kierował budową. Jako wykonawca jego planów wysuwa się przedewszystkiem Marcin Urbanik, który początkowo należąc do cechu uzyskał serwitorat królewski. Jeżeli chodzi o obce wpływy, to przedewszystkiem — jak to już wykazał ks. Żyła — uderza wpływ Karlskirche w Wiedniu, a pośrednio wpływ baroku bolońskiego. Kościół dominikański św. Marji Magdaleny, zaczęty w XVII w., wskutek pożaru uległ rozbudowie i przebudowie w połowie XVIII w. przez Urbanika. Obok Jana de Witte i Urbanika wysuwa się na czoło na terenie Lwowa Bernard Meretyn (Merettini) pochodzenia niemieckiego, twórca katedry św. Jura. W rzucie poziomym katedry widzi autor łączność z kościołami północnych Włoch, a zwłaszcza z działalnością Tibaldich i Agostina Borelli. Jeżeli chodzi o typ fasady i przedłużenie nawy głównej, to łączy autor katedrę św. Jura z kościołami z nad jeziora bodeńskiego (terytorjum częściowo szwajcarskie i południ.-niemieckie).

Meretynowi, działającemu na terenie Lwowa (1737—1759), przypisuje Mańkowski poza ratuszem w Buczaczu cały szereg kościołów (Nawarja, Hodowice i t. d.), między innemi sporą liczbę kościołów złączonych z fundacją lub poparciem ks. Mikulskiego.

Twórczość Meretyna załamała się prawdopodobnie wskutek krytyki Ricaud de Tirregaille, który tworzy raczej w duchu Blondel'a. Sam jest twórcą dworu Czackiego we Lwowie, pałacu Potockich w Perespie i przebudowy zamku Potockiego w Krystynopolu.

Praca dr. Mańkowskiego jest bardzo ważnym przyczynkiem do historji sztuki rokokowej epoki. Obok bowiem monografji zabytków uwypukla on bardzo jasno czterech architektów, działających na terenie Lwowa, z których Urbanik jest tak rzadkim typem Polaka architekty, może nie wybitnego, ale nie pozbawionego samodzielnej twórczości, a Meretyn staje się jednym z najpoważniejszych i najpłodniejszych architektów tej epoki.

Kościół Bonifratrów w Krakowie (1739—50) omawia przy kościołach barokowych Fr. Klein [1]). Niewątpliwie fasada tego kościoła, skomponowana dla siebie, jest pod względem artystycznym najbardziej wartościową. Klein łączy ją z Borrominim. Ciekawa także fasada Pijarów przypisywana Placidi'emu.

Przechodząc do monografij artystów, wysuwa się na pierwszy plan Makowskiego monografja Augusta Moszyńskiego, [2]) autora kościoła w Mikulińcach i Tarnopolu. Jest to artysta barokowy, pozostający pod wpływem Chiaverego. W drugiej swej fazie nagina się on już do klasycyzmu Stanisława Augusta. Mojem zdaniem, jego twórczość nie wykazuje cech rokokowych, nawet dzisiejsze fasady Mikuliniec i Tarnopola są mniej monumentalne, bardziej proste o charakterze bardziej rokokowym, niż na planach Moszyńskiego.

Nieznana jeszcze w całości w druku praca dr. Hornunga: „Bernardo Merettini i jego główne dzieła" [3]), po ostatniej pracy dra Mańkowskiego nie przynosi chwilowo nic nowego.

Jeżeli chodzi o architektów warszawskich, to Mycielski zajmuje się kwestją Chiaverego [4]). Przybywa on do Polski w roku 1753, ale jego plany są w stylu bardzo barokowym, niema w nich jeszcze śladów rokoka.

Jan Joachim Jauch [5]) pozostawił cały szereg planów do kościołów warszawskich i tak plan kościoła św. Jana, plan i fasada Franciszkanów, Kapucynów, fasada św. Krzyża i wreszcie Kalwarja wzdłuż alei Ujazdowskich. Z wyjątkiem Kalwarji plany te nie zostały wykonane. W każdym razie Jauch odegrał wielką rolę za czasów saskich.

Columbani, architekt ordynatów Zamoyskich, jest autorem pałacu w Klemensowie [6]) (dziś nieistniejącego) podobno na wzór pałasu saskiego w Warszawie. On także projektuje budowę klasztoru Bernardynów w Lublinie [7]).

---

[1]) F. Klein: *Barokowe kościoły Krakowa.* Rocznik Krakowski, XV.

[2]) T. Mańkowski: *August Moszyński.* Prace Kom. Hist. Sztuki. T. IV.

[3]) Z. Hornung: *Bernardo Merettini i jego główne dzieła. Sztuki Piękne.* nr. 12, 1931, str. 463.

[4]) J. Mycielski: *Gaetano Chiaveri w Polsce.* Spraw. K. H. S. T. IV.

[5]) W. Husarski: *Jan Joachim Daniel Jauch.* Prace Kom. Hist. Sztuki, T. II.

[6]) S. Tomkowicz: *O artystach pracujących w Polsce lub dla Polski w w. XVIII.* Prace K. H. S., T. II.

[7]) Wadowski: *Kościoły lubelskie.* Kraków 1907.

Istnieje poza powyższemi pracami cały szereg drobniejszych wzmianek, z których wymienię tylko parę ważniejszych.

Zamek w Ołyce [1]) w głównej mierze był gotowy w 1755 r. Mycielski zaznacza, że ślady epoki rokoko w tym zamku pozostają w ścisłem powinowactwie z zamkiem w Nieświeżu.

Zamek w Rydzynie [2]), przebudowany przez Sułkowskiego (1736—50), wykazuje cechy wczesno-rokokowe.

Hendel [3]), badając drezdeńskie archiwum, znalazł obok planów Pöppelmanna plany pałaców i pałacyków królewskich w Czerniakowie, Dombrowie, Wilanowie, Piasecznie. Pozatem ciekawe plany budowli królewskich i państwowych z Boguszyc, Bolimowa, Gdańska, Oczakowa, Samkowy i Słupny. Niestety plany te nie zostały opublikowane.

* * *

Sztuka nasza pozostaje bezpośrednio pod wpływem sztuki saskiej, a pośrednio bawarskiej. Bawarja to kraj, gdzie rokoko najbujniej rozkwita. Mówiąc o wpływie bawarsko-saskim, mam na myśli przedewszystkiem dekorację. Dwa są właściwie kierunki dekoracji rokokowej: francuska i bawarska. Francuska stosunkowo bardziej symetryczna, od bawarskiej spokojniejsza, pozostawia więcej przestrzeni wolnych, niepokrytych dekoracją, w Bawarji niema odpoczynku dla oka, wszędzie szalejące ornamenty. Wystarczy porównać pałac Amalienbourg koło Monachjum z pałacem de Soubuse w Paryżu, żeby się ta różnica dobrze uwidoczniła.

Jeżeli natomiast chodzi o samą konstrukcję architektoniczną, to w pałacach pozostaje wpływ saski, natomiast w architekturze kościelnej rozwija się w dalszym ciągu wpływ włoski z jednej strony (naprz. kościoły warszawskie), z drugiej strony wpływy morawsko-austrjackie (naprz. Dominikanie, św. Jur we Lwowie).

Nic dziwnego, że przedewszystkiem wpływy saskie mają znaczenie. Całe nasze życie historyczne jest wtedy silnie z Saksonią związane. Jedynie w architekturze kościelnej utrzymuje

[1]) S. Tomkowicz: *Ołyka.* Prace K. H. S. T. III i Mycielski Prace K. H. S. T. II, str. XXXVII,

[2]) J. Mycielski: *O zamku w Rydzynie.* Prace K. H. S. T. I.

[3]) Hendel: Spraw. K. H. S. T. VI, str. CXXXI.

się wpływ włoski, dzięki architektom włoskim, ale oni też raczej do stworzenia budowli barokowych niż rokokowych dążą.

Początek i rozwój sztuki rokokowej przypadają właśnie na okres panowania królów saskich, zwłaszcza Augusta III (1733—63). Jako okres jednak przygotowawczy, okres, w którym zaczyna się wyrabiać wśród wybitniejszych wówczas rodzin zamiłowanie pięknej architektury, należy uważać czasy Augusta II (1697—1733).

Największy rozwój architektury rokokowej przypada na lata 50-te. Pierwsze zabytki powstały naturalnie w stolicy. Przed rokiem 30-tym niema ich jednak jeszcze, natomiast o ile w stolicy rokoko z początkiem panowania Stanisława Augusta nagle się urywa, o tyle w całym kraju ciągnie się dłużej i nie równocześnie wygasa, naprz. Racoca 1774, Poczajów 1771—1791.

Możnaby się dziwić, że sami Polacy nie wydali architektów, ale która z ówczesnych warstw mogła była ich wtedy wydać? Możnowładcy, niezbyt zresztą liczni, to raczej mecenasi sztuki niż jej twórcy; o chłopach trudno mówić, pozostaje szlachta i mieszczaństwo. Szlachta, oprócz rolnictwa i wojny, nie uznawała innych zajęć; interesuje się raczej sztuczkami niż sztuką, ogólnie biorąc jej poziom kulturalny jest niski, zwłaszcza za czasów saskich się nie podnosi. Mieszczaństwo, jeszcze częściowo obce, widzi chętnie obcych artystów, zresztą coraz bardziej przez szlachtę ograniczane, nie może w walce o byt zdobyć się na twórczą działalność artystyczną.

Dla dokładnego opracowania tej epoki, brakuje nam przedewszystkiem inwentaryzacji. Bez niej niemożliwe jest ujęcie całokształtu sztuki tej epoki. Na podstawie inwentaryzacji dopiero będzie można tworzyć dokładne monografje, czyto artystów, czy zabytków, a wtedy dopiero wyłonić się będzie mogła charakterystyka całości. Brak inwentaryzacji, choćby tylko fotograficznej, pozostawia nieznanemi cały szereg zabytków powstałych w omawianej epoce, a o których przypuszczaćby można, że są rokokowe.

I tak naprz. niewiele wiemy o Pińsku, a sądząc po uwagach Sobieszczańskiego [1]) byłyby tam ciekawe zabytki do opracowania. „W Pińsku nakładem St. Radziwiłła kanclerza W. K. L.

---

[1]) Sobieszczański: *Wiadomości historyczne o sztukach pięknych w dawnej Polsce.* Warszawa 1847—49.

ogromne, w smaku XVIII w. wzniesione gmachy ...ale pod względem sztuki, żadnej nie mają wartości. Ozdób, esów, floresów, nawieszanych bez liku, wszystkie atoli, jak i cała budowla, żadnej nie mają harmonji". Zdaje się, że sąd ten nie całkowicie jest usprawiedliwiony. Koło Pińska także w Lubieszowie [1]) znajduje się wspaniały z freskami Hübla kościół OO. Pijarów, dziś niestety ogromnie zniszczony (1745—1762.

Niewiele wiemy o takich kościołach jak Kapucynów w Olesku [2]) (Złoczów) fundacji Rzewuskiego z r. 1739, budowie przewodniczył brat Dobrawski, o kościele 1765 i cerkwi Pokrowy 1764 w Buczaczu [3]); o kościele parafjalnym w Zborowie [4]) fundacji Siedliskiego 1748—55, poświęconym w 1766; o kościołach w Tykocinie [5]) 1745 i Tyczynie 1768, obu fundacji Rzewuskiego.

Streszczając się stwierdzam, że trzy są centra architektury tej epoki: jeśli chodzi o budowle świeckie — Warszawa wpływem swym sięgająca do Wielkopolski; budowle kościelne — Wilno i Lwów. Warszawa i Lwów opracowane dosyć dokładnie, niewiele wiemy natomiast o Wilnie, ani nie znamy zasięgu jego wpływów. Poznań sam nie posiada zdaje się nic charakterystycznego, ani Kraków w tym okresie nie jest twórczym ośrodkiem.

Architekci to przedewszystkiem obcokrajowcy z przewagą Niemców, z Polaków jak dotychczas znanym jest bliżej tylko Urbanik, przypuszczalnie jednak przy dokładnych opracowaniach wszystkich zabytków tej epoki znajdzie się jeszcze niejeden taki Polak budowniczy-architekt.

Marja Łubieńska.

---

[1]) W. Husarski: *Kościół OO. Pijarów w Lubieszowie.* Południe z. IV, Wilno 1922.

[2]) Czołowski Janusz: *Przeszłość i zabytki woj. tarnopolskiego.* Tarnopol 1926.

[3]) ibidem.

[4]) ibidem.

[5]) Słownik geograficzny, t. 14.

Przegląd piśmiennictwa.

Franciszek Magryś: Żywot chłopa-działacza. Opracował Dr. Stefan Inglot, z przedmową prof. Dr. Franciszka Bujaka („Bibljoteka dziejów i kultury wsi", t. I). Lwów 1932, Drukarnia naukowa.

Prof. Bujak, jako pierwszy tom swej bibljoteki ludoznawczej, wydaje otrzymany od swego ucznia, dr. Inglota z Albigowej, pamiętnik długoletniego pisarza gminnego sąsiedniej wsi Handzlówki (pow. łańcucki), sędziwego już dziś Fr. Magrysia — i opatruje go w przedmowie temi słowy: „Dziś, gdy się w Polsce szerzy niechęć do chłopa, nieufność do jego inteligencji, oraz niewiara w jego znaczenie dla państwa i narodu, wspomnienia Magrysia świadczą o wysokiej wartości umysłowej i moralnej naszego ludu, o jego wytrwałej dążności do kultury i postępu oraz o jego zdolności do samodzielnych wysiłków w tym kierunku". Bezpośredni wydawca pracy, dr. Inglot, podnosi różnice w rozwoju wsi Albigowej i Handzlówki oraz w sposobach działalności tamtejszych duszpasterzy. Gdy w Albigowej powszechnie znany ks. Tyczyński działał poniekąd dyktatorjalną metodą, co miało niestety ten ujemny skutek, iż Albigowa, wieś za pobytu tamże ks. T. znana jako wzorowa, po ustąpieniu jego zapadła poniekąd w letarg — to w Handzlówce proboszcz tamtejszy, ks. Krakowski, człowiek równego idealizmu, jak ks. T., oparł się raczej na samej wsi, a przedewszystkiem na Magrysiu, w którym znalazł inicjatora cierpliwszego na zacofańczy upór chłopski, niż on sam.

Magryś ma dziś lat przeszło 85 (* 1846); gdy zaś sięga pamięcią do wczesnego dzieciństwa, to wspomnienia jego obejmują potężny szmat lat 80 albo i więcej, bo wspomina też, co od rodziców słyszał. Szkoły żadnej nie kończył — syn małorolnego tkacza — sam tkacz z zawodu, czytać umie tyle, co go matka nauczyła, sam uczy się pisać, sam, w dorosłym już wieku, znaglony potrzebą, odkrywa tajemnice rachunku cyframi arabskiemi. Jako jedyny piśmienny w gminie, zostaje w r. 1874 pisarzem gminnym na miejsce dotychczasowego pisarza żyda, którego sprawki dały się wsi we znaki. Magryś już wtedy w 7 dziesiątku lat ub. w. jest chłopem, który czyta — czyta i korzysta,

zaznajamia się nietylko z historją polską, lecz i ze sposobami lepszej gospodarki, którą zaprowadza u siebie. Korzysta nawet — co w czasach wcześniejszych, pańszczyźnianych byłoby psychicznie wykluczone! — z przykładu lepszej gospodarki dworskiej. Małe jakieś, nieznaczne reformy, ale ważne; jakieś praktyczne użycie gnojówki, żeby się nie marnowała. Wybrany sekretarzem gminnym, zwalcza — sam abstynent — stary, zakorzeniony zwyczaj odbywania narad w karczmie przy wódce. W walce z pijaństwem nie ustępuje ani na chwilę. A były w tej wsi po drodze do Łańcuta cztery karczmy na siedm kilometrów drogi. Przejezdny włościanin, jak się oparł pokusie picia w pierwszej i drugiej, to przepijał zarobek w trzeciej i czwartej; przysłowie pijackie: „kto karczmę minie, ten nogę wywinie". „Rozpili się chłopi po pańszczyźnie w większym stopniu niż za pańszczyzny. W czasach pańszczyźnianych chłop nie mógł tak wiele pić, bo i karczem nie było tyle i panu zależało na tem, by chłop nie rozpijał się, gdyż w takim stanie nie mógł mu dobrze i na czas odrobić pańszczyzny i zapłacić czynszu. Kiedy lud poczuł się wolnym, nie mając czem czasu wolnego zapełnić, szedł do karczmy pić, początkowo z radości, że został obdarzony wolnością, a później szedł już pić nałogowo. Karczem pan w tych czasach nastawiał więcej, by dochodami z nich opłacić robotnika, którego obecnie do pracy folwarcznej trzeba było nająć..." (35). Sławna galicyjska propinacja! Kiedy w r. 1895 gmina Handzlówka wniosła do sejmu petycję o zniesienie trzech karczm, przyszedł w odpowiedzi na kontrolę żandarm, który zganił to podanie jako „głupie" — a po tej kontroli starostwo łańcuckie odpowiedziało pismem urzędowem, iż „gmina tamtejsza, licząca według spisu ludności 1052 osób, posiada od dawnych lat 3 wyszynki, zatem nie więcej, jak wiele innych miejscowości o tej samej ludności"...! (148). Tableau galicyjskie! Jaki ostatecznie koniec tych karczm, czy te 4 szynki na jedną milę przeszły do czasów polskich, niestety M. nie wspomina. Z pijaństwem walka szła na drodze obyczajowej, skoro polityczna okazała się niemożliwa.

W r. 1889 przybywa do wsi jako wikary ks. Krakowski, który przy pomocy Magrysia zaczyna agitację za szkołą, (prywatną, w której sam będzie uczył). Jeszcze w tym roku pod koniec wieku, szkoła wydaje się chłopom luksusem. Na radzie gminnej głosy: „Mój ojciec ani ja czytać i pisać nie umiemy i żyjemy"... Wkońcu jednak postępowcy wzięli górę, szkółkę jakoś tanim kosztem urządzono i ksiądz uczył dzieci przez 4 lata. Ze szkoły tej wyszło kilku późniejszych działaczy ludowych i gminnych. Dopiero w r. 1894 ks. K., zostawszy proboszczem, wszczyna z pomocą gminy staranie o szkołę publiczną, co wielce zdziwiło p. inspektora szkolnego. Ale wkońcu, dawszy budynek na szkołę, Handzlówka otrzymuje szkołę publiczną.

I tak z Handzlówki idą rozmaite inicjatywy, w których pisarz

gminny Magryś był zawsze *magna pars* lub conajmniej prawą ręką troskliwego proboszcza: budowa nowej drogi gminnej, dom ludowy, kółko rolnicze, kasa Raiffeisena, sklep kółka rolniczego, budowa kościoła i plebanji, założenie spółki mleczarskiej, walka z nieuczciwym wójtem, kółko gospodarskie dla kobiet. Magryś również podszepnął, w r. 1898, na przyjęciu z okazji uroczystości Mickiewiczowskiej w Łańcucie, Bolesławowi Żardeckiemu, sekr. rady pow. w Łańcucie i posłowi na sejm krajowy, który był pracownikiem zasłużonym, myśl szkoły gospodarczej dla dziewcząt wiejskich, podjętą przez Żardeckiego, a następnie przez ks. Tyczyńskiego w Albigowej, gdzie pod kierownictwem Marji Gostkowskiej rozwinęła się bardzo pięknie. W r. 1890 organizuje udział swej gminy w parcelacji obszaru dworskiego.

Epizodycznie bierze udział M. w polityce, agitując za Żardeckim do sejmu krajowego w r. 1895, w r. 1898 do parlamentu za Stojałowskim, do którego jednak wraz z innymi rozczarował się. Uprawia też publicystykę; zestawiona przez wydawcę bibljografja jego artykułów i wierszów liczy 111 pozycyj (od roku 1889—1918), więc na rok przeciętnie przeszło dwa artykuły lub wiersze (które są też właściwie artykułami wierszowanemi), ale były lata, w których nie pisał i takie, w których jest po kilka pozycyj. Trzeba to uznać za działalność dość obfitą, zważywszy rozliczne zatrudnienia autora, publiczne i gospodarskie, a także kłopoty i strapienia domowe (warjowała mu przez całe niemal życie swe żona, a potem po jej śmierci i córka). Część artykułów wydawca przytacza, pisane są bez żadnej maniery, ściśle rzeczowo. Ciekawy np. jest artykuł z r. 1903, w którem zwalcza obojętność chłopską na samorząd powiatowy, w innych wynurza zdrowe uwagi o asekuracji od ognia, walczy z karczmami, popularyzuje metody gospodarcze i t. p.

Wieś uznała zasługi swego sędziwego już prowodyra, w roku 1925 umieszczają jego portret w sali kółka rolniczego, niebawem, na gruncie przezeń ofiarowanym, otwierają ogród dla dzieci „im. F. Magrysia"; w otwarciu, które jest uroczystością na jego cześć, uczestniczą matadorowie powiatu z hr. Alfredem Potockim. Niestety bliskie lata niosą niepokój do wsi. W r. 1927 następuje rozdział wsi na zaciekle zwalczające się stronnictwa; w zapale sporu zniszczono park, barak teatru ludowego, a z domu ludowego wyrzucono portret autora pamiętnika, niedawno tam umieszczony... Trochę przykrym dysonansem wieńczą się dzieje wsi w nowej Polsce... Autor jednak jest pełen optymizmu. Na ostatniej karcie wspomnień staruszek, stwierdzając te wielkie zmiany na lepsze, jakie się dokonały podczas jego życia i spoglądając na swój długi dobrze spędzony żywot, wyraża przeświadczenie, że każdy, nawet w najgorszych warunkach urodzony, „może wyrobić w sobie charakter i silną wolę, poznać swój cel prawdziwy i wtedy dopiero stać się naprawdę człowiekiem", jeśli tylko

zechce pracować, opierając się na wyssanych z mlekiem matki zasadach moralności i wiary w Boga. Ten „morał" nie jest zaiste frazesem w ustach człowieka, co własnym dobrym uporem i z pomocą tych czynników społecznych, co o chłopie myślały i szerzyły oświatę, sprawił dużo dobrego.

Porównany z pamiętnikiem Słomki pamiętnik Magrysia wypada co do ilości informacyj ubożej, lecz indywidualność Słomki jest bogatsza, fizyczna postawa jego (por. podobizny) bardziej „rasowa". Ale może bardziej wzrusza Magryś, jako człowiek tak biedny i skłopotany. W osobie zwłaszcza Magrysia, jeśli wspomnimy, że urodził się jako dziecko pańszczyźnianych rodziców, akurat w tym r. 1846 — jest coś symbolicznego i zastanawiającego. Może jednak ten w. XIX nie był tak całkiem *stupide*, jakby chcieli niektórzy?...

K. L. Koniński.

Ks. Franc. Bączkowicz C. M.: Prawo kanoniczne. Tom I, wyd. 21, przejrzał i poprawił ks. Józef Baron C. M. Kraków 1932, Ks. Ks. Misjonarze, 8^0 str. XIII+589.

Pierwsze wydanie podręcznika przedwcześnie zmarłego ks. Bączkowicza wymagało bezsprzecznie gruntownej rewizji. Zadanie to było nie łatwe, podjął się go jednak następca autora na katedrze prawa kanon. w instytucie teologicznym Ks. Ks. Misjonarzy w Krakowie i wywiązał się z niego znakomicie. Poczyniwszy drobne, a szczęśliwe przesunięcia w układzie, nadał przez to książce większą przejrzystość; przedewszystkiem zaś poprawił tekst, starając się o czystość i piękność stylu i o większą zwięzłość, przyczem jednak szczęśliwie uniknął nieścisłości, będącej często wynikiem zbytniej troski o zwięzłość. Terminologja prawnicza jest bez zarzutu. Na każdej niemal stronicy uderza czytelnika doskonałe opanowanie przez autora całego Kodeksu; a największą może zaletą podręcznika w obecnej szacie jest sposób ujęcia poszczególnych problemów prawnych. Tu zdaje się ks. Baron osiągnął, jak dotąd, rekord w jasności, precyzji i gruntowności rozpatrywania poszczególnych zagadnień. To też z przyjemnością polecamy jego książkę każdemu, który się prawem kościelnem interesuje. Ze względu na dotychczasowy brak polskiej monografji o prawie zakonnem, życzyćby należało, żeby ten pierwszy tom, w którym autor aż 100 stron poświęca prawu zakonnemu, znajdował się także w każdym, zwłaszcza żeńskim domu zakonnym. Oczekujemy z niecierpliwością pojawienia się drugiego tomu tego doskonałego podręcznika, który dla jego walorów naukowych śmiało możemy postawić narówni z najlepszemi zagranicznemi podręcznikami prawa kanonicznego.

Chociaż w porównaniu do ogromnych zalet omawianego dzieła znikają drobne jego braki, nie możemy przecież nie zwró-

cić uwagi na niektóre usterki, w nadziei iż czcig. redaktor książki zechce je usunąć w następnem wydaniu, które prawdopodobnie wkrótce okaże się potrzebnem.

Jesteśmy świadomi sporu pomiędzy prawnikami i kanonistami co do podziału prawa na publiczne i prywatne; najmniej jednak uzasadnionem wydaje nam się zdanie tych, za którymi autor w n. 8 różnicę między prawem publ. i pryw. upatruje w podmiotach prawo ustanawiających. Stosując tę teorję do naszego przedmiotu, należałoby konsekwentnie np. normy o ustroju Kościoła przydzielić w części do prawa publicznego, w części do prawa prywatnego, co jest conajmniej wielce niewłaściwe. Jeżeli wogóle, to w szczególności w prawie kanonicznem trudno ścisłą nakreślić granicę między prawem publ. a pryw., zwłaszcza jeśli sobie uprzytomnimy, iż jedną z charakterystycznych cech prawa pryw. w odróżnieniu od publicznego jest to, że, podczas gdy prawo publ. usuwa się z pod dowolności osób prywatnych, prawo pryw. wchodzi w zastosowanie wówczas dopiero, gdy strony inaczej nie postanowiły, chociaż przyznać należy, że i w prawie pryw. mieści się wiele postanowień, które mają moc bezwzględnie obowiązującą, np. w prawie małżeńskiem. — „Arengą" zwykliśmy nazywać nie początkowe słowa (n. 35) dokumentu, lecz cały jego wstęp, określający okoliczności i motywy, które autora skłoniły do jego sporządzenia. — Na str. 38 przyp. 6 i str. 39 przyp. 3 należało cytować Schulta, D. Kath. K. R. I w odróżnieniu od tegoż autora D. Gesch. der Quellen. — Powszechne zwyczaje nie sprzeciwiające się Kodeksowi autor n. 135 uważa za zniesione. Czyż to prawdopodobne wobec faktu, że ustawodawca pozwala pod pewnemi warunkami na utrzymanie zwyczajów z Kodeksem niezgodnych? (Por. Michiels, Normae Gen. I, 83; mój artykuł w *Przegl. Powsz.* 1918 t. 138/9, 43). — Wyraz „nieletni", prócz niedojrzałych czyli impuberes (n. 149), obejmuje także dojrzałych czyli puberes. — Oddanie łacińskiego słowa *excusare a lege, poena* przez „wymawiać od prawa, kary" (n. 151, 152, 154, 279 i t. d.) nie odpowiada duchowi języka polskiego; mówimy raczej o powodach usprawiedliwiających niezachowanie prawa, uwalniających od skutków, od kary i t. d. — Co do kwestji spornej, czy niezasiągnięcie rady po myśli kan. 105 n. 1 powoduje nieważność aktu (n. 241), pozwalam sobie zwrócić uwagę na doskonały artykuł znanego kanonisty Boudinhon w Ius Pontif. 1928/29. Autor ten, analizując tak tekst przytoczonego kanonu, jak i wszystkie inne miejsca Kodeksu, w których jest mowa o obowiązku zasięgania rady, nad wszelką zdaje się wątpliwość dowiódł, iż nie było zamiarem ustawodawcy stanowić w kan. 105 generalną regułę o nieważności aktu w razie zaniechania przez Przełożonego obowiązku wysłuchania opinji swej Rady czy Kapituły. — Opat rządzący (n. 258) ważnie nie może święcić osób sobie niepodwładnych, choćby posiadały dymiso-

rjalja swych właściwych Ordynarjuszy (kan. 964 n. 1); zresztą pod koniec tegoż num. sam autor pisze: Kodeks oświadcza się za nieważnością. — Są w Kościele i tacy pustelnicy, którzy należą do jakiegoś zakonu, jak np. u nas w pustelni pod Duklą. Tym oczywiście odmawiać nie można przywilejów stanu duchownego (n. 318). — Na beneficjatów samo prawo (kan. 1475 § 2) wymierza karę za nieodmówienie brewiarza (n. 336). — O pochodzeniu nazwy *personatus* (n. 354) por. Schäfer, Pfarrkirche und Stift, Stutz, Kirchenr. Abhandl. Heft 3, 70. — Powszechnie od Hinschiusa II, 279 przejęte zdanie, iż dopiero od w. XI datuje się dzielenie miast na kilka parafji (n. 613), wymaga pewnej korektury. Hinschius opiera się wyłącznie na źródłach włoskich; w Niemczech natomiast, np. w Kolonji, spotykamy po kilka parafji w jednem mieście już w pierwszej połowie X w. (por. Schäfer, 139). — Również dość rozpowszechnione zdanie zwłaszcza wśrod ascetów, iż biskupi powinni znajdować się w stanie doskonałości nabytej (n. 650), pozbawione jest wszelkiego uzasadnienia. — W n. 652 pragnęłoby się znaleźć określenie pojęcia zgromadzeń mniszych. — Podział zakonów żebrzących, podany przez autora w n. 658, uważam za mniej właściwy. Dzisiaj (kan. 621) istnieją zakony z imienia i faktycznie żebrzące, jak Kapucyni, Minoryci, Jezuici, i zakony tylko z imienia żebrzące, jak Dominikanie, Augustjanie. — Zgromadzenia zakonne tercjarzy muszą być agregowane do pierwszego (kan. 492 § 1), a nie do trzeciego zakonu regularnego (n. 660); w szczególności Albertyni są agregowani przez Franciszkanów Konwentualnych, Felicjanki przez Kapucynów. — Nietylko (n. 682), ale przedewszystkiem w zakonach laickich powinni Przełożeni starać się, aby dwa razy na miesiąc odbywała się egzorta dla rodziny zakonnej. — Nie wszystkie, lecz tylko męskie zakony na prawie papieskiem obowiązane są mieć w Rzymie prokuratora generalnego (n. 690). — Jurysdykcja Przełożonych w zakonach kleryckich wyjętych jest przedewszystkiem osobową, a nie terytorjalną (por. kan. 501 § 1, 198 § 1); bezpodstawnie więc autor w n. 696 odmawia im oraz delegowanym przez nich kapłanom władzy rozgrzeszania domowników poza domem. — Wyrazowi *collegium* autor niesłusznie daje w n. 727 szersze znaczenie, niż w n. 726. — Sądzę, że *peculium proprie dictum*, czyli niezależne rozporządzanie rzeczami doczesnemi, sprzeciwia się nietylko uroczystemu (n. 765), lecz w równej mierze także prostemu ślubowi ubóstwa. — Autor (n. 772) rozróżnia trzy typy klauzury: papieską, biskupią i statutową. Pomijając to, że autor nie mówi nam, na czem klauzura statutowa polega, podkreślić należy, że Kodeks zna tylko klauzurę papieską i zwykłą; tamta obowiązuje w zakonach ścisłych (kan. 597), ta natomiast we wszystkich zgromadzeniach zakonnych (kan. 640). Dopiero praktyka pokodeksowa wytworzyła nowy typ klauzury biskupiej. Ile razy bowiem Stolica św. klasztorom mniszek udziela

indultu składania profesji prostej zamiast uroczystej (podobny indult uzyskały u nas np. Norbertanki w Krakowie, Benedyktynki w Staniątkach i Przemyślu), nakłada na nie obowiązek zachowania t. zw. klauzury biskupiej, różniącej się od papieskiej tylko tem, że na przekroczenie klauzury potrzebne jest i wystarcza pozwolenie biskupa miejscowego, nielegalne zaś przekroczenie klauzury nie pociąga za sobą kary klątwy z kan. 2342 n. 1, 3.

Ks. Jan Roth.

J. Lortz: Kardinal Stanislaus Hosius. Beiträge zur Eerkenntnis der Persönlichkeit und des Werkes. Abhandlungen der Staatlichen Akademie Braunsberg. 1931, str, 242.
Umiński J. Ks. dr.: Opinje o cnotach, świątobliwości i zasługach Stanisława Hozjusza. Lwów 1932. Nakładem Funduszu Hozjańskiego, str. 240.

350 rocznica śmierci Hozjusza przypomniała światu katolickiemu postać wielkiego obrońcy i reformatora Kościoła. Zapewne kryzysem współczesnym należy wytłumaczyć, że rocznica ta w Polsce nie została upamiętnioną żadną większą naukową monografją i że wydawnictwo jego korespondencji nie ruszyło naprzód. Najpoważniejsza, jedyna naukowa praca ukazała się tam, gdzie przedewszystkiem winna się była ukazać, w Brunsberdze, w Prusiech. Autor tej pracy, Lortz, skromnie studjum swoje zatytułował przyczynkiem do poznania osoby i dzieła Hozjusza, w rzeczywistości rzecz wykracza poza znaczenie, jakie zwykło się nadawać słowu przyczynek, chociaż z drugiej strony autor nie odważył się na próbę charakterystyki całej działalności Kardynała, lecz ograniczył się wyłącznie do jego działalności polemicznej. Książka winna właściwie nosić tytuł: Hozjusz jako polemista. Autor oparł się na dostępnych mu wydawnictwach i źródłach, z wyjątkiem historycznej literatury pisanej w polskim języku. To jest oczywiście wielki brak pracy. Uczeni obcy, piszący o sprawach polskich, muszą zrozumieć tę prostą rzecz, że bez narażenia się na poważną kompromitację, nie wolno im nie umieć naszego języka. Autor czerpie wiadomości o sytuacji religijnej i politycznej w Polsce przedewszystkiem z Völkera Historji Kościoła w Polsce, a więc informatora, mimo wielkich zalet jego dzieła, jednostronnego. Autor czuł zapewne tę niedostateczność wiadomości o Polsce ówczesnej, dlatego podaje je w bardzo skąpej mierze, a zato szeroko omawia działalność polemiczną Hozjusza, ale znowu tylko w odniesieniu do całości ruchu reformacyjnego, a właściwie jedynie niemieckiego, z zupełnem prawie pominięciem polskiej literatury polemicznej, która już autorowi była dostępną, jako prawie wyłącznie wydawana w języku łacińskim.

Po tych zastrzeżeniach musimy jednak podnieść i wielkie

zalety pracy Lortza. Autor bardzo sumiennie wczytał się i przemyślał dzieła Hozjusza i na podstawie tej lektury wgłębia się w jego metodę polemiczną, w jego swoiste sposoby reagowania na wystąpienia pseudoreformatorów, stara się wniknąć w wewnętrzne, zarówno uczuciowe jak i myślowe, pobudki całej polemicznej akcji Hozjusza, bada jego poglądy teologiczne, ścisłość argumentacji, wiedzę i oczytanie. Pewne ostrości w formie, nieuniknioną u polemisty jednostronność, zbyt silnie może podkreśloną, usiłuje autor wytłumaczyć. W ocenie wystąpień reformatorów jest czasem Lortz zabardzo może pobłażliwym, a niesprawiedliwym tem samem dla Hozjusza; skłonni jesteśmy uważać to tylko za świadomą taktykę, ze względu na współrodaków innego wyznania. Nawiasem dodajemy, że lektura studjum Lortza nie jest łatwą mimo wielkiej przejrzystości w rozkładzie materjału, zbyt pokawałkowanego na rozdziały, poddziały, części, paragrafy etc., autor pisze niepotrzebnie ciężko, zawile, zaciemniając bardzo zresztą interesujące opowiadanie typowym niemieckim stylem filozoficznym.

Praca ks. prof. Umińskiego ma cel przedewszystkiem praktyczny. Wobec podjęcia starań o beatyfikację wielkiego Reformatora, należało wedle przepisów prawa kanonicznego zebrać historyczne dowody sławy jego świątobliwości. Zadania tego podjął się autor, sam gorący propagator idei beatyfikacji Hozjusza. Na marginesie niejako swoich studjów hozjańskich, mających przynieść nam w przyszłości monografję Kardynała, pozbierał bardzo sumiennie opinje o nim wyrażone zarówno za jego życia jak i po śmierci. Z tych sądów ludzkich wyłania się i silnie zarysowuje postać wielkiego Reformatora, wielkiego jako człowieka, jako księcia Kościoła i działacza. Autor nie pominął ani jednego szczegółu, któryby mógł postać tę jeszcze bardziej uwypuklić, wolał abundare, być raczej przesadnym w dokładności i drobiazgowości, która tu i ówdzie jest trochę nużąca i niepotrzebna, niż deficere.

Ks. St. Bednarski.

Ioseph Donat: Über Psychoanalyse und Individualpsychologie. Innsbruck 1932, Fel. Rauch. W. 8: str. 312 (kart. 6 Mk., opr. 8 Mk.).

Wyrazy: „psychoanaliza, kompleksy, sublimacja" zdobyły sobie dziś powszechne prawo obywatelstwa, każdy niemal je powtarza, choć niewielu stosunkowo zna bliżej tę dziedzinę wiedzy i różnorodne jej drogi. Psychoanaliza Freud'a, zrazu specjalna metoda leczenia, potem gałąź psychologji, a wkońcu nowa teorja życia duchowego i nowy światopogląd, zdołała już w krótkim czasie swego istnienia rozpaść się na różne, zwalczające się wza-

jemnie obozy. Apodyktyczność twierdzeń Freud'a, przy niedostatecznej jasności pojęć i sile dowodów, a przedewszystkiem jednostronność i zamknięcie ogółu zjawisk życia duchowego człowieka w ciasnem i nisko pojętem kole seksualizmu, zraziły do Freud'a wielu jego pierwotnych zwolenników. Różni z wybitniejszych jego współpracowników opuścili go (E. Bleuler, C. G. Jung), niektórzy stworzyli nawet nowe kierunki (A. Adler). Niemniej właściwa „szkoła" Freud'a liczy dziś w świecie wielu wyznawców, skupionych w „Międzynarodowym Związku Psychoanalityków" i rozporządzających różnemi specjalnemi czasopismami, a wpływ jej trwa dalej i szerzy się, w wielkiej mierze dlatego, że odpowiada teorjom ekstremistycznie radykalnym i licznym dzisiejszym reformatorom na polu moralności, religji, wychowania i kwestji społecznej.

Że psychoanaliza ma także realne zasługi i wniosła w różne dziedziny nauki i praktyki pewne zdobycze, rozbudziła inicjatywę w niejednym kierunku i wskazała nowe drogi, tego nikt nie może zaprzeczyć. W tej postaci, jaką jej nadał Freud, zawiera ona jednak także wiele i bardzo poważnych błędów; obniżyła wartość życia duchowego człowieka, sprowadzając je do zwierzęcych popędów i ich przemian, wniosła materjalizm w pojmowanie różnych najwyższych przejawów życia, a niebezpieczeństwo stąd płynące jest tem większe, że pretensje psychoanalizy nie ograniczają się do samej teorji, lecz planowo wkraczają w życie praktyczne, a zwłaszcza w dziedzinę erotyki oraz wychowania młodzieży.

Toteż gruntowne zapoznanie się z teorją psychoanalizy i odróżnienie dodatnich jej składników od ujemnych, jest dziś wskazanem dla każdego wykształconego człowieka, a już niezbędnem dla tych, którzy oddają się działalności wychowawczej, w najszerszem pojęciu tego słowa, nie wyjmując pracy duszpasterskiej. I oto nieocenioną do tego pomocą staje się powyżej wymieniona książka ks. J. Donat'a T. J., profesora uniwersytetu w Innsbrucku, znanego ze swych prac na polu filozofji. W sposób spokojny, zupełnie przedmiotowy i bez żadnych inwektyw, z właściwą sobie jasnością zestawia on historycznie i rzeczowo całą teorję psychoanalizy i poddaje ją naukowej krytyce. Ważnem jest przytem, że autor nie opiera się na źródłach pośrednich — choć przytacza sporą literaturę w tym przedmiocie — lecz na samych dziełach Freud'a i dba o ścisłe rozgraniczenie jego teorji od poglądów innych „szkół" psychoanalitycznych, z pośród których szczegółowo zajmuje się kierunkiem Alfreda Adler'a, t. zw. „Individualpsychologie"; tej ostatniej poświęcona jest druga część niniejszej książki (od str. 166).

Wobec olbrzymiej rozmiarami literatury psychoanalitycznej i pochodzącej stąd trudności zorjentowania się w całości, należy

się ks. Donat'owi i Wydawnictwu F. Rauch'a szczera wdzięczność za obdarzenie nas pracą, która daje rzeczowy i krytyczny pogląd na tę dziedzinę.

Ks. St. Podoleński.

Lexikon der Pädagogik der Gegenwart, herausgegeben vom Deutschen Institut für wissenschaftliche Pädagogik, Herder 1932, kolumn 1499.

Po otrzymaniu drugiego i ostatniego tomu wymienionego dzieła (o pierwszym tomie pisaliśmy w swoim czasie), tomu mającego zawierać literę *p* przedewszystkiem, zupełnie samorzutnie poszukaliśmy Polski, nie dlatego jednak jakobyśmy choć na chwilę przypuszczali, że jej nie będzie, że jej może nie być w wydawnictwie katolickiem, poświęconem współczesnej pedagogice. Polska, państwo przeszło 30 miljonowe, w większości katolickie, o wspaniałej tradycji Komisji Edukacji Narodowej, społeczeństwo o bardzo żywym ruchu na polu szkolnictwa i wychowania, ruchu szukającym samodzielnie nowych dróg i rozwiązań i eksperymentującym... czyżby „Deutsches Institut fur wissenschaftliche Pädagogik" mógł o takiem społeczeństwie nic nie wiedzieć? A jednak! Polski w tym słowniku niema! Przy całej życzliwości dla firmy wydawniczej, która w tak ciężkich czasach finansuje kosztowne wydawnictwo, nie możemy inaczej nazwać tego faktu jak skandalem! Bo jeżeli się znalazło miejsce dla maleńkiej Litwy i Łotwy, dla Portugalji, która w porządku alfabetycznym winna sąsiadować z Polską, ba nawet dla komunistycznej Rosji, a nie było go dla Polski, — to jak to wytłumaczyć? Czy tylko przeoczeniem, zapomnieniem? Niech się więc wydawcy nie zdziwią, jeśli państwowe i prywatne bibljoteki pedagogiczne i specjaliści zignorują to wydawnictwo, chociaż mające swoje niemałe zalety. W międzynarodowym świecie naukowym obowiązują już dziś prawa, nie pozwalające na ignorowanie na mapie Europy wielkiego państwa. Nie uznawanie tych praw przeciwnem jest zarówno umiłowaniu prawdy, jakiej ślubuje każdy naukowiec, jak i ideałom katolicyzmu.

Ks. St. Bednarski.

Artur Vermeersch T. J.: Katechizm małżeństwa chrześcijańskiego według Encykliki *Casti connubii*. Przeł. ks. J. Korzonkiewicz. Poznań 1932, Księg. św. Wojciecha. Str. 100.

Papież, pisze autor w przedmowie, ogłosił w r. 1930 Encyklikę o małżeństwie chrześcijańskiem, która cały świat wprawiła w zdumienie przez swą jasność i bogactwo treści, i pragnie, żeby jego wskazówki rozeszły się jak najszerzej. Praca niniejsza ma właśnie odpowiedzieć temu życzeniu Ojca Św. i uczyni to bez-

wątpienia, gdyż ks. Vermeersch, profesor Papieskiego Uniwersytetu Gregorjańskiego w Rzymie, należy do najwybitniejszych znawców moralnej i prawniczej strony tego zagadnienia. Obrawszy sobie jako sposób przedstawienia formę katechizmową, potrafił autor objąć wszystkie, nietylko zasadnicze ale i praktyczne, dręczące niejednych kwestje, rozróżniając przytem ściśle rzeczy dogmatyczne od zdań, przyjmowanych przez teologów. Dzięki takiemu ujęciu rzeczy i oparciu jej na źródłach staje się broszura niniejsza cennym podręcznikiem dla ludzi świeckich wykształconych, owszem nawet duchowieństwa. O ile chodzi o polskie wydanie, podnieść należy, że tłumaczenie dokonane zostało przez wytrawne i pewne pióro ks. prał. Korzonkiewicza.

Ks. St. Podoleński.

S. Barbara Żulińska C. R.: O wychowaniu religijnem dzieci w wieku przedszkolnym. Poznań, 1932, Księg. Św. Wojciecha Str. 38.

Autorka, znana ze swych prac w zakresie religijnego wychowania dzieci, obdarza nas nowym zbiorem wskazówek, dotyczącym młodzieży w wieku przedszkolnym. Pierwsza ogólna część zawiera cenne i praktyczne pouczenia, świadczące o dużej znajomości psychiki dziecka: na które strony jego duszy i w jaki sposób należy oddziaływać, jak kształcić umysł i uczucie, których używać metod, jakiemi posługiwać się środkami pomocniczemi. Druga część podaje szczegółowy plan pogadanek, rozkład ich treści i sposób prowadzenia. Praca ta, przeznaczona głównie dla przedszkoli (ochron), przyda się również bardzo uczącym religji w najniższych klasach, rodzicom i wychowawcom.

P.

Kardynał Bourne: O wychowaniu duchowem. Przekład z ang. Poznań 1932, Księg. św. Wojciecha. Str. 84.

Mamy przed sobą broszurę niewielką ale cenną ze względu na przedmiot i osobę autora. Kardynał i arcybiskup Westminsteru, ks. Franciszek Bourne, nawiasem mówiąc przyjaciel Polski i dwukrotny jej gość, jest zarówno szerokim umysłem, który nieraz już zabierał głos w ważniejszych zagadnieniach życia publicznego swego kraju, jak ascetą, dbałym o wysoki poziom duchowy swego kleru. Toteż seminarja duchowne stanowiły zawsze przedmiot szczególniejszej jego troski, a praca powyższa jest właśnie owocem doświadczeń, jakie zebrał na tem polu w ciągu przeszło 30 lat. Zwięźle, systematycznie i jasno zestawione w niej wskazówki przeznaczone są dla tych wszystkich, którzy w seminarjach duchownych, a także i w małych seminarjach pracują nad przygotowaniem przyszłych kapłanów. Autor nie wchodzi tu w dro-

biazgi, lecz kreśli tylko główne wytyczne, a to ograniczenie tematu jest niemałą zaletą jego pracy. Czytelnik nie gubi się bowiem, widzi jasno co jest istotnem, jakie są najważniejsze metody i środki postępowania. Prosta ta napozór, a jednak zawierająca podstawowe wskazania, książka będzie z pewnością pożądaną pomocą dla wszystkich, którzy pracują nad kandydatami do stanu duchownego.

B.

O. Samuel Fabbro: Róża wśród cierni. Dzieje życia ś. p. Zofji Róży B. Opracował ks. F. de Ville. Poznań 1932, Księg. św. Wojciecha. Str. 145 z ilustr. (Zł. 3).

W ostatnich latach rozmnożyła się u nas literatura życiorysów osób, które, choć nie wyniesione na ołtarze, stają jednak przed nami jako postacie szczególnie piękne, wyrosłe na gruncie Kościoła kat. i zachęcające do naśladowania. Z książką niniejszą przybywa nam nowa taka świetlana postać, tym razem odkryta i uwieczniona naprzód przez obcych. W Heluanie, w pustyni Libijskiej, spoczywają od kilku lat jej zwłoki, z czcią odwiedzane przez licznych pielgrzymów, a Włoch i misjonarz afrykański, O. Fabbro, pierwszy skreślił jej żywot p. t. *Una rosa fra le spine*. Od niego to zaczerpnął bliższych szczegółów ks. prał. de Ville, właściwy autor niniejszej książki, opartej w pierwszej części na wiadomościach, otrzymanych od najbliższej rodziny. Nie mógł ich wprawdzie wykorzystać w całości, ze względu na zbyt świeżą datę, dał nam jednak bogaty w szczegóły i barwny opis życia Zofji Róży B., która zaraz z początkiem wojny światowej, szesnastoletnia dopiero, zgłosiła się do pielęgnowania chorych żołnierzy, leczyła ich ciała i dusze, by potem sama dokończyć drogę cierpienia, jaką z powodu słabego zdrowia szła od pierwszej młodości.

Piękny życiorys „anioła szpitali", poprzedzony serdecznemi słowy J. E. ks. Biskupa St. Galla, pociągnie wszystkich, a znaleźć się powinien zwłaszcza w rękach tych wszystkich, które pracę nad chorymi obrały sobie jako zawód życia.

P.

Józef Birkenmajer: Wycieczka. Poezje. Warszawa 1932, str. 60.

Na tle „kryzysu", jaki przechodzi powojenna poezja polska, kiedy to raz po razu, niby odlatujące żórawie opuszczają niwę twórczości literackiej dawni nasi znajomi, a na miejscu rzetelnych walorów panoszy się tandeta, mile odbijają młodsze, obiecujące talenty, darzące nas od czasu do czasu wiązanką nowych utworów. Taką miłą wiązanką jest „Wycieczka" Józefa Birkenmajera. Zawiera ona poematy przeważnie z lat ostatnich, utwory, które cechuje duże wyrobienie artystyczne i owładnięcie literacką formą.

Treścią ich są po największej części osobiste przeżycia autora, wspomnienia z czasów dziecięcych i młodych, nasiąknięte szlachetnym entuzjazmem dla piękna i życia. Nie bez wzruszenia czyta się pełne wdzięcznej prostoty „Listy matczyne". Oto ich początek:

Na dnie najgłębszej, najcichszej szufladki
Ukrytej w biurku — niby dusza w ciele —
Chowam skarb wielki: listy mojej matki
Pisane do mnie przez różnych lat wiele.
Tu, gdzie ich żadne nie dosięgną zgiełki,
Leżą spokojnie — jak w morzu perełki.

Piękna jest elegja na śmierć por. Jana Surzyckiego, poległego w obronie Śląska w r. 1921. Twórca jakby naumyślnie wyrzeka się przenośni i poetyckich ozdób, by dać słowo samej wzruszającej prawdzie życia i ona robi największe wrażenie:

W czystem cię polu znaleźli —
Przy tobie — krwi kałuża grząska —
I tu cię do mnie przywieźli —
Jasia mojego ze Śląska!..

Przed ludzi rzeszą idziesz przodem
Twa szabla odbłyska w słońcu —
Za twoim dziś, Jasiu, przewodem
Idę — na szarym gdzieś końcu...

Na lawecie cię wiozą armatniej —
Dziś, choć młody, od wszystkich tyś starszym!
Dzisiaj, Jasiu, już po raz ostatni
Żołnierskim z tobą kroczę marszem!

„Opuszczony okop" jawi żywo przed naszemi oczyma tragedję zmagań światowej wojny, które krwią i łzami płaciła nasza ojczyzna. „Wycieczka" wiersz, od którego bierze tytuł cały zbiorek, nosi na sobie niejakie wpływy „Księgi ubogich" Kasprowicza, przypomina też humor Syrokomli w kreśleniu zamaszystych postaci: Zabagło Bartłomiej godnie staje obok jego wiarusów z doby napoleońskiej. Ten sam humor swoisty cechuje „Rozmowę z cieniem". Miła, słoneczna pogoda, prawda odczucia i szlachetna tendencja czynią z „Wycieczki" miły wakacyjny podarek dla kulturalnego czytelnika.

Ks. T. Karyłowski.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Ks. Józef Pastuszka: Kryzys kultury a religja. Szkice filozoficzno-religijne. Warszawa 1932, Gebethner i Wolff. Str. 154.

Dr. Andrzej Niesiołowski: Formy i metody pracy oświatowej. Próba klasyfikacji i analizy socjologicznej. Z przedmową prof. Dr. L. Jaxy Bykowskiego. Warszawa 1932, Księgarnia Polska. Str. XII+272.

Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój. Tom XVI. Warszawa 1932, Wyd. Kasy im. Mianowskiego. Str. VII+200+84.

P. Debout O. S. C.: Vie de Saint Camille de Lellis, écrite par le P. S. Cicatelli, son contemporain. Traduction. Paris 1932 Desclée, de Brouwer et Cie. Str. 515 z ilustr.

Prof. Dr. Jan Wilczyński: Poligamja czy monogamja? Spór o prawo małżeńskie w świetle logiki i definicyj przyrodniczych, Wilno 1932, L. Chomiński. Str. 130.

Franciszek Sypowski: Piękno dusz i życia. Kraków 1933, księgarnia „Ruch". Str. 109 z ilustr.

Wladimir Szyłkarski: Sołowjews Philosophie der All-Einheit. Eine Einführung in seine Weltanschauung und Dichtung. Kaunas 1932, Universiteto Humanitar. Moks, Fakulteto. Str. XVI+497.

M. Brzeziński: Krótka nauka o ciałach przyrody martwej, ich własnościach, przemianach i znaczeniu. Wyd. 11 przejrzane. Warszawa 1932, „Księgarnia Polska". Str. 183 z ilustr.

Dr. Marja Balsigerowa: Społeczne skutki bezrobocia wśród fizycznych pracowników przemysł. m. st. Warszawy w świetle ankiety r. 1931/32. Warszawa 1932, Wyd. Polskiego Tstwa Polityki Społ. Str. 48.

Mieczysław Smolarski: Przygoda jednej nocy. Powieść współczesna. Warszawa 1932, Książnica Społeczno-Samorz. Z. P. A. G. Str. 247.

Abbé Quinet: Pour mes Tout-Petits. Vingt leçons de Catéchisme Evangelique par la méthode active. Paris 1932, Editions Spes. Str. VIII+372.

Henryk Łowmiański: Studja nad początkami społeczeństwa i państwa Litewskiego. T. II. Wilno 1932, Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie. Str. 448 i 2 mapy.

Mieczysław Smolarski: Człowiek bez przeszłości. Poznań 1932, *Dziennik Poznański.* Str. 175.

Ks. Ferdynand Machay: Wyszkolenie duchowne Apostolstwa świeckiego Poznań 1932, Nacz. Instytut Akcji Kat. Str. 24.

Greko-Katołyćka Bohosłowśka Akademja u Lwowi w perszym triochlittiu swojoho istnuwannia (1928—1931). Lwów, Nakładem tejże Akademji, 1932, str. 111.

St. Czajkowski: Intuicja twórcza filozofji Descartes'a i znaczenie pojęcia Boga w jego teorji poznania. Odb. z *Przeglądu Filozoficznego,* Warszawa 1930.

G. Hornaert S. J.: Le Bréviaire. Wyd. Desclée de Brouwer et C. Paris, str. 87.

La Silésie Polonaise. Conférences faites à la Bibliothèque Polonaise de Paris. Préface de M. Alexandre Millerand, Notes et Mémoire annexé par C. Smogorzewski. Paris, Gebethner et Wolff, 1932, str. 469.

M. Ostrawicka: Uśmiech Tatr. Cykl fragmentów powieściowych na tle zdarzeń prawdziwych. Warszawa 1932, str. 126.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Jubileusz jasnogórski. — Niekatolickie artykuły nowego Kodeksu karnego. — Kongres unijny w Welehradzie. — Jubileusz OO. Bazyljanów. — Unicka Akademja teologiczna we Lwowie.

Miesiące letnie są czasem przeróżnych zjazdów, obchodów, świeckich i kościelnych. U nas, w kraju, z pośród uroczystości kościelnych i zjazdów katolickich, jakie się w ostatnich tygodniach odbyły, należy wyróżnić uroczystość jubileuszową, obchodzoną na Jasnej Górze w Częstochowie w dniach 14 i 15 sierpnia jako 550-lecie założenia tego sanktuarjum i sprowadzenia doń cudownego obrazu Matki Bożej.

Obchód jasnogórski można uważać za termometr religijności polskiego społeczeństwa katolickiego. Jeżeli bez szczególnej agitacji za pielgrzymką zgromadziło się u stóp Jasnej Góry trzysta tysięcy wiernego ludu, nie licząc tłumów, jakie się przewinęły przez Częstochowę w innych tygodniach, jeżeli się weźmie pod uwagę, że ta ruchawka wszystkiemi sposobami lokomocji dokonała się w czasie największej ekonomicznej mizerji, każącej liczyć się z każdym groszem, — to zaiste można być dobrej myśli o gorącości uczucia religijnego w naszym narodzie i o głębokości przywiązania do tradycyj katolickich naszego kraju. Przedewszystkiem te nieprzejrzane zastępy Polaków i Polek, jakie godzinami wpatrywały się w oblicze Marji w jej przesławnym obrazie częstochowskim, to głośne, o strop niebieski odbijające się świadectwo popularności, rodzimości marjańskiego kultu w narodzie, zatem pośrednio dowód przywiązania do Kościoła katolickiego, bo kult marjański to nieomylny stygmat katolickości.

Uroczystość jasnogórska była narodowem świętem Polski w najlepszem i najpełniejszem znaczeniu tego słowa.

Czy potrzeba wymieniać, jakie reminiscencje historyczne budzi to słowo „Częstochowa", jakich uczuć patrjotycznych jest źródłem jasnogórska świątynia? Czy nie jednakowo ks. Kordecki na wałach wskazuje drogę do nieba i głosi obowiązek wierności ziemskiej ojczyźnie? Dlatego winno być zrozumiałem dla każdego Polaka, że na uroczystościach jasnogórskich lud polski nie mógł przedstawiać luźnych tłumów, choćby one były najliczniejsze, ale powinien był wystąpić jako żywy organizm, kościelny i narodowy zarazem, jako żywe ciało w członkach swoich i głowie. I tak się stało. Znaleźli się i wystąpili na Jasnej Górze Polacy jako Kościół polski, cząstka Kościoła powszechnego, mając na czele najwyższego dostojnika kościelnego, Prymasa; wystąpili jako naród z najwyższym swym przedstawicielem i głową — Prezydentem Rzeczypospolitej. Bliski udział p. prezydenta Mościckiego i przedstawiciela rządu ministra spraw wyznaniowych p. Jędrzejewicza w przebiegu ceremonij jubileuszowych doskonale symbolizował i wyrażał ową harmonję między religją a życiem publicznem, między Kościołem a państwem, jaka tkwi głęboko w tradycjach Polski i jaką wierzący jej obywatele pragnęliby zachować i utrwalić na stałe.

Owa harmonja między religją a życiem winnaby przedewszystkiem występować na polu prawodawstwa państwowego. Istnieją rozmaite dziedziny czynów ludzkich, których kwalifikacja nie może być sprawą dowolną, od prawodawcy całkowicie zależną, gdyż czyny te poddane są prawu głębszemu, pochodzącemu od Twórcy natury ludzkiej. W tej dziedzinie prawodawstwo państwowe nie jest źródłem obowiązku, ani podstawą do oceny co jest złe, a co dobre, zadaniem jego tylko bliższe określenie prawa naturalnego i zaopatrzenie go sankcją publiczną. Stanowisko pozytywistycznej szkoły prawa, według której wola prawodawcy jest zawsze adekwatnem źródłem obowiązku prawnego, lub też artykuły prawa tylko kodyfikacją wytworzonych i w danej epoce przez społeczeństwo uznawanych poglądów i zwyczajów, takie stanowisko nie godzi się z nauką Kościoła katolickiego o pochodzeniu moralności od Boga i o konieczności przystosowywania norm prawnych do niezmiennych norm etyki naturalnej.

Całkowicie owa harmonja między prawem pisanem a prawem Bożem pono nigdy i nigdzie nie została urzeczywistniona, w każdym razie winnaby być celem dążeń społeczeństw i państw, w których nie zanikła, owszem przeważa jeszcze wiara w Boga i przekonanie o zależności ludzi od Niego. Tem przykrzejszem jest odczucie ludzi wie-

rzących, gdy jakiś akt prawodawczy, zamiast zmniejszać rozbieżność między prawem pisanem a naturalnem, jeszcze ją powiększa, ustępując naporowi niewiary lub zepsutych obyczajów ludzkich. Takie przykre uczucie wywołał ogłoszony niedawno dekretem Prezydenta Rzeczypospolitej Kodeks Karny, mający obowiązywać już od 1 września. Nie chcemy mu odmawiać wielkich zalet nawet ze stanowiska religijnego i moralnego w porównaniu do dawnych kodeksów, jakie na ziemiach naszych obowiązywały i dobre jego strony będziemy się starali oświetlić na łamach tego pisma bardziej kompetentnem piórem. Tu już zaznaczamy, że szereg artykułów, jak rozdział przestępstw przeciwko małżeństwu (art. 197—202), rozdział o nierządzie (203—214), o przestępstwach przeciwko życiu i zdrowiu zasługują na uznanie ze stanowiska katolickiego. Taki naprz. art. 198-y, karzący czyny narażające małżeństwo na nieważność, taki art. 238 o pojedynkach, odejmujący im cechę „honorowości", taki art. 245, karzący za zarażenie chorobą weneryczną i wiele innych. Ale, niestety, zdaje się celowo zostały dopuszczone luki, które przyczyniać się będą do upadku obyczajów, a co gorsza wkradły się paragrafy, biorące pod opiekę państwa takie czyny, które potępia prawo Boże. Wiadomo, jak radykalni neopoganie walczą z etyką chrześcijańską w sprawach moralności pożycia małżeńskiego i pojmowania jego celów, — i otóż tutaj prawodawca polski dał się uwieść zbrodniczej propagandzie, mimo że był przestrzeżony wcześnie przez encykliki papieskie i wystąpienia episkopatu polskiego. I tak w rozdziale przeciwko nierządowi, naogół dobrym i pożytecznym, brak jest zakazu rozpowszechniania i reklamowania środków antykoncepcyjnych, kategorycznie potępianych przez moralność katolicką. Gorszą, niż ta luka, jest obecność art. 233, który pozytywnie upoważnia do zabójstwa życia ludzkiego w pewnych wypadkach. Tu już wyraźnie polski prawodawca poszedł wbrew prawu Bożemu. Stanął na stanowisku, które tylko podwójnie tłumaczyć można: albo niewiarą w nieśmiertelność duszy i godność jednostki ludzkiej, albo też uzurpacją prawa karania śmiercią istot ludzkich, które żadnej winy nie popełniły. Uczyniwszy to ustępstwo antyreligijnej propagandzie, wstąpił polski prawodawca na śliską i pochyłą drogę, prowadzącą na grząskie bagna dowolności. Rewolucyjni reformatorzy mogą słusznie go zapytywać, czemu na tej drodze nie posunął się dalej, lecz pozostawił wiele jeszcze „reakcyjnych" i „klerykalnych" paragrafów, które tem samem prawem mógł skreślić. My zapytujemy: czemu, stojąc naogół na stanowisku wiary w Boga targnął się na niektóre jego prawa? Taka niekonsekwencja, połowiczność i igranie z zasadami mścić się

zwykło dotkliwie w życiu narodów; przez takie wyłomy w zasadach zwykły wrywać się fale potopu, pogrążającego w swoich odmętach wszelkie zasady.

Z ostatnich przejawów życia katolickiego zagranicą zasługiwałby na szczególne omówienie międzynarodowy Kongres eucharystyczny w Dublinie zarówno z powodu swych imponujących rozmiarów, jak i z powodu niezwykłych warunków politycznych, w jakich się odbywał. Jest to wszakże zbyt obszerny temat, by dał się wtłoczyć w ciasne ramy miesięcznego sprawozdania ze „spraw Kościoła". Postaramy się w niedługim czasie z okazji tego kongresu poświęcić dłuższą uwagę katolickiemu życiu Irlandji.

Tymczasem z innych, mniej okazałych wystąpień katolickiej aktywności w tym roku, wypada zanotować VI-ty Kongres unijny, odbyty w Welehradzie na Morawach w dniach 13—17 lipca r. b. Kongresy welehradzkie mają swoją ustaloną markę. Wyrosły one z rozpowszechnionego na Morawach kultu apostołów Słowiańszczyzny, św. Cyryla i Metodego, przedstawiających w swoich postaciach i historycznej działalności pewną syntezę chrześcijańskiego Wschodu i Zachodu. Kult ten z konieczności prowadził do myśli o powołaniu słowiańskiego świata do urzeczywistnienia upragnionej unji Kościołów wschodniego i zachodniego, oddalonych od siebie przez nieszczęsną schizmę grecką. Pokrewieństwo plemienne Słowian, należących częściowo do jednego częściowo do drugiego z poróżnionych Kościołów, zdawało się być okolicznością ułatwiającą wzajemne zrozumienie się i zbliżenie także na gruncie kościelnym. Z drugiej strony osiągnięcie przez narody słowiańskie jedności kościelnej mogłoby wzmocnić także i zbliżyć też narody pod względem politycznym. Zjednoczony zaś kościelnie i wzmocniony politycznie świat słowiański mógłby już służyć za ogniwo niejako pośrednie między dalszemi narodami i kościołami Wschodu, a narodami łacińskiemi i germańskiemi Zachodu.

Tego rodzaju „słowiańskie" motywy odegrały pewną rolę w zaaranżowaniu pierwszych zjazdów teologicznych w Welehradzie, począwszy od r. 1907. Ten charakter „słowiański" (który zresztą nigdy nie istniał w całej czystości) coraz bardziej się zacierał przy następnych zjazdach: coraz więcej przybywało na nie uczestników z poza Słowiańszczyzny i bardziej rozszerzał się przedmiot bezpośrednich zainteresowań zjazdów. Już nie chodziło o pozyskanie dla jedności katolickiej przedewszystkiem Rosji, ale badano trudności i warunki możliwego połączenia całego dysydenckiego Wschodu z Kościołem katolickim, chociaż naturalnie,

dużą uwagę musiano poświęcać prawosławnej cerkwi rosyjskiej, jako największemu odłamowi odłączonego Wschodu.

Tegoroczny zjazd, który zarazem był obchodem 25-lecia pierwszego zjazdu welehradzkiego, posiadał charakter prawie czysto akademicki. Zgromadził stosunkowo wielką liczbę uczonych, zawodowo poświęcających się studjowaniu wschodniego chrześcijaństwa. Można było wyraźnie stwierdzić ogromny postęp w znajomości tego Wschodu, jego teologji i życia religijnego u teologów katolickich. Największą liczbę referatów wygłosili profesorowie uczelni rzymskich, zwłaszcza Instytutu Wschodniego; korzystnie wyróżniło się paru polskich prelegentów, jak ks. Pawłowski z Warszawy i ks. Niechaj z Lublina, wychowankowie tegoż Instytutu Wschodniego. Co do treści, przeważały zagadnienia czysto teoretyczne; dosyć powiedzieć, że o sposobach organizowania jakiejkolwiek akcji misyjnej wśród dysydentów wcale na tegorocznym zjeździe nie radzono; nie było nawet mowy o tem, jak ta sprawa praktycznie przedstawia się w różnych krajach. To nastawienie zjazdu akademickie, jak również przeładowanie referatami i zaniechanie dyskusji po nich działało na uczestników dosyć nużąco. Zjazd robił wrażenie nietyle kongresu rzeczoznawców w danej dziedzinie, jak raczej kursu, prowadzonego przez fachowców dla szerszego audytorjum. Jako taki przyczynił się niewątpliwie do pogłębienia zagadnień wschodnio-kościelnych wśród duchowieństwa, które w nim udział wzięło.

Przy sposobności należy podkreślić pożyteczność innego zjazdu, który się odbył w Welehradzie w przeddzień właściwego kongresu unijnego. Mianowicie 12 i 13 lipca odbyli swój „kongres" klerycy seminarjum duchownego w Ołomuńcu, którzy byli sprowadzeni w pokaźnej liczbie do asyst, śpiewu i pilnowania porządku na Kongresie unijnym. Dla tych młodych „teologów" odczytano parę instruktywnych referatów na tematy unijne, poczem obradowali oni nad praktycznem zorganizowaniem u siebie pogłębiania znajomości Wschodu w myśl wskazań Ojca św. Piusa XI. O wielkiem ich zainteresowaniu rzeczami wschodniemi, a zwłaszcza o sympatjach dla zagadnień unijnych, mogły świadczyć wykonane przez nich liturgiczne śpiewy przy celebrach w obrz. wschodnim, nie ustępujące najlepszym chórom prawosławnym i unickim.[1])

[1]) Ten kongres klerycki spowodował bałamutne doniesienia K. A. P., która z niego uczyniła „zjazd teologów słowiańskich" jakoby odrębny od Kongresu unijnego. Zapewne zmylona została nazwą „teologów", jaką pospolicie oznacza się w Czechosłowacji kleryków, studentów teologji, seminarzystów.

Z życia unickiej Cerkwi ruskiej mamy dwie rzeczy do zanotowania: 50-letni jubileusz reformy Zakonu OO. Bazyljanów i rozwój Akademji teologicznej we Lwowie.

W ostatnich dziesiątkach lat ubiegłego stulecia Zakon OO. Bazyljanów, podówczas jedyny w Cerkwi unickiej w Galicji, chylił się do upadku: karność zakonna się rozluźniła, klasztory pustoszały. Wówczas to — w r. 1882 — archimandryta owego zakonu, O. Klemens Sarnicki, profesor uniwersytetu lwowskiego, zwrócił się do ks. Jezuitów o pomoc w zreformowaniu upadającego zgromadzenia. Po wzajemnem porozumieniu się w tej sprawie zainteresowanych zakonów, ówczesny papież Leon XIII, konstytucją z dn. 12 maja 1882 powierzył dzieło reformy bazyljańskiej galicyjskim Jezuitom. Oddano na razie na ten cel klasztor w Dobromilu, gdzie miał być założony nowicjat pod kierunkiem mistrza-jezuity. Dotychczasowi Bazyljanie, o ile chcieli należeć do zreformowanych, mieli się poddać temu nowicjatowi; skorzystał z tego tylko jeden. Innym pozostawiono używanie klasztorów, jakie posiadali, bez prawa wszakże przyjmowania nowicjuszów. Młode pokolenie dobromilskie przechodziło już wyrobienie nowe, studja pod nauczycielami Tow. Jezusowego i w miarę, jak się rozrastało, obejmowało klasztory od wymierających Bazyljanów niereformowanych. Przełożonymi domów nowych Bazyljanów byli zrazu Jezuici, aż nowy zakon doczekał się zdolnych kandydatów na te stanowiska. Po 25 latach tego wychowawstwa Jezuici usunęli się zupełnie i Bazyljanie wystąpili do pracy na niwie Bożej już o własnych siłach.

Właśnie 19 sierpnia r. b. obchodzili OO. Bazyljanie w kolebce swego odrodzenia, Dobromilu pod Przemyślem, półwiekowy jubileusz. Mogli z dumą spoglądać na rozrost swego zgromadzenia. W Małopolsce (b. Galicji) obsadzili już wszystkie klasztory bazyljańskie. Od paru lat pracują przy swoim niegdyś kościele w stolicy państwa, w Warszawie. Z Małopolski rozszerzyli się na Ruś Zakarpacką (dawniej się mówiło: węgierską), gdzie przeprowadzili reformę podupadłych klasztorów, zakładając nowe. Objęli parę placówek w Jugosławji. Objęli prowadzenie kolegjum ruskiego w Rzymie, a niedawno przenieśli tam główny swój zarząd. Podążyli za ruskimi emigrantami do Nowego Świata i roztoczyli nad nimi opiekę duchowną w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Brazylji, Argentynie. Rozrost liczbowy zakonu i rozproszenie jego po tylu krajach wymagał reorganizacji zarządu, więc przed rokiem, z upoważnienia Stolicy św., wybrali generalnego przełożonego, przeznaczając mu na rezydencję stolicę chrześcijaństwa, Rzym. Stamtąd ma on zarządzać sprawami zakonu w różnych krajach za pośrednictwem prowincjałów. Tę reorganizację zakonu potwierdziła w roku jubi-

leuszowym Stolica święta dekretem Św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego z dnia 12 maja r. b., powołując się na dekret Leona XIII tejże daty z przed 50 lat. Nowy dekret ustala na przyszłość nazwę zakonu: Zakon Bazyljański św. Józafata, potwierdza wybór O. Djonizego Tkaczuka na generalnego przełożonego, czyli archimandrytę, na siedzibę jego wyznacza dom dawnego kolegjum ruskiego przy kościele św. Sergjusza i Baccha, wreszcie zatwierdza podział zakonu na trzy prowincje, mianowicie galicyjską (czemu nie polską?), św. Mikołaja (w Czechosłowacji?), amerykańsko-kanadyjską, wreszcie wiceprowincję południowo-amerykańską.

Tak urządzonemu i tak już zasłużonemu zakonowi składamy i my życzenia dalszego rozrostu i obfitych błogosławieństw Bożych w pracy.

Przed wojną światową kandydaci do stanu duchownego z unickiej archidjecezji lwowskiej, a poczęści i przemyskiej pobierali wykształcenie teologiczne razem z klerykami polskimi, na wydziale teologicznym Uniwersytetu we Lwowie, na którym też pewna ilość katedr profesorskich była obsadzona przez księży Rusinów. Wypadki polityczne spowodowały wyodrębnienie studjów teologicznych dla diecezyj grecko-katolickich. W Przemyślu, który poprzednio posiadał tylko ostatni, praktyczny rok teologji, urządzono całkowity kurs teologiczny. We Lwowie seminarjum ruskie, które przedtem było tylko konwiktem studentów uniwersytetu, przekształcone zostało na uczelnię, do której zaangażowano b. profesorów uniwersytetu i powiększono ich liczbę. W roku 1927 powstała myśl podniesienia tego seminarjum do poziomu i godności zakładu wyższego, Akademji, który ma być nietylko szkołą, wychowującą zwyczajnych księży, ale zarazem ogniskiem nauki teologicznej narodu ukraińskiego. Myśl ta dojrzała już w roku następnym, a w roku 1929, 6 października, odbyło się uroczyste otwarcie Akademji przez J. E. ks. metropolitę Szeptyckiego.

Obecnie leży przed nami broszura, zawierająca sprawozdanie z rozwoju i działalności Akademji za pierwsze jej istnienia trzechlecie (1928—1931). Po nakreśleniu pokrótce historji tej instytucji, podany został opis jej otwarcia, otrzymane przy tej sposobności gratulacje z różnych krajów (od Polaków niema żadnej), wreszcie statut, spisy profesorów, plany wykładów, sprawozdania finansowe i t. d. Sprawozdanie świadczy o pięknym rozwoju Akademji. Profesorów i docentów liczy ona 12-u, niektórzy z nich wykładają po parę przedmiotów; drugie tyle prawie jest zastępców profesorów. Studentów około 120-u. Rektorem Akademji od początku aż dotąd jest Ks. Dr. Józef Slipyj,

profesor dogmatyki. Wśród wykładanych przedmiotów wiele uwagi poświęca się, jak się spodziewać należało, studjum niezjednoczonego Wschodu, historji unji, sztuce kościelnej wschodniej i t. d. Wykaz prac, ogłoszonych drukiem przez profesorów Akademji, jest najlepszem świadectwem jej naukowego charakteru i wysokiego poziomu; spotykamy tu prace przeważnie w języku ukraińskim, ale trafiają się i w niemieckim, łacińskim, włoskim i polskim. Przy Akademji wydawanem jest osobne czasopismo p. t. *Bohosłowja*. Budżet uczelni, według zestawienia rachunkowego za rok 1930/31, zamyka się rocznie w sumie okrągło 66 tysięcy zł., z czego 43 tysiące idzie na płace profesorskie. Najpoważniejszem źródłem dochodu jest dotacja Ordynarjatu metropolitalnego w sumie 45 tysięcy i wpisowe i taksy od studentów 17 tysięcy. Jak widać Akademja finansowo nie jest związana z seminarjum pojętem jako internat; na utrzymanie kleryków, o ile wiemy, płaci skarb państwa z funduszu religijnego.

Akademja dotąd nie uzyskała od Stolicy Św. prawa nadawania stopni akademickich; można mieć nadzieję, że po ściślejszem przystosowaniu swego statutu do konstytucji apostolskiej *Scientiarum Dominus* prawo to otrzyma. W ten sposób Kościół unicki w Polsce posiadać będzie samodzielne ognisko teologicznej wiedzy, które promieniować może i poza granice kraju i wywrzeć nawet pewien wpływ na Cerkiew dysydencką w krajach słowiańskich.

Ks. J. Urban T. J.

Fermenty w Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Potężną organizacją Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych — który po złączeniu się w r. 1930 ze Związkiem Zawodowym Nauczycieli Polskich Szkół Średnich przybrał nazwę „Związku Nauczycielstwa Polskiego“ — jego stanem i działalnością zajmowaliśmy się już niejednokrotnie. Usiłowaliśmy przytem zachować możliwie przedmiotowe stanowisko, broniliśmy Związku przed zarzutami, które nam wydawały się przesadnemi, ale nie omieszkaliśmy zarazem wytknąć zauważonych braków i błędów.[1])

Za najważniejszy brak uważaliśmy zawsze to, że Związek chcąc być organizacją przedewszystkiem zawodową, za mało kładł wagi na tę stronę zawodu nauczycielskiego, która stanowi najistotniejszą jego treść i całą rację bytu, że pozostawił na boku

[1]) Ostatnio p. *Przegląd Powszechny* r. 1930, kwiecień str. 49; r. 1932 luty str. 269.

sprawę programu wychowawczego i podstawowych jego założeń, nie stawiał swym członkom w tym względzie jakichkolwiek warunków ani nie nakładał żadnych zobowiązań. W praktyce starano się wprawdzie, naogół przynajmniej, zachować poprawną linję postępowania, ale w statucie i w uchwałach Zjazdów unikano wszelkiego wyraźnego wypowiedzenia się w tej mierze. „Podniesienie szkolnictwa i ogólnej oświaty" — w tych kilku wyrazach (par. 3. c. statutu) zamknięto wszystko, co dotyczy pracy kształcącej i wychowawczej nauczyciela-związkowca; ani par. 3, mówiący o celach związku, ani obszerny, z 24 punktów złożony, par. 4 o środkach działania, ani par. 8 o obowiązkach członków nie zawierają nic o wymaganiu od nich określonych kwalifikacyj moralnych, czy obowiązków lub choćby wskazań w zakresie religijno-moralnego wychowania młodzieży. Cały statut robi wrażenie, jakby Związkowi nie chodziło o ideowe cele jego pracy, lecz o skupienie w swoich szeregach jak największej liczby nauczycielstwa, by z jego pomocą móc potem przeprowadzać swe postulaty. Lecz jakie postulaty?

Postawienie sobie takiego celu mogło być do pewnego (tylko do pewnego!) stopnia zrozumiałe w pierwszych latach istnienia Związku — kiedy pod rządami zaborców chodziło rzeczywiście o podniesienie stanowiska i polepszenie materjalnej doli nauczyciela polskiego — ale było absolutnie niewystarczającem na dalszą metę. Zwłaszcza w odrodzonej Ojczyźnie, która z takiem zaufaniem oddaje całe swe młode pokolenie w ręce szkoły, organizacja „nauczycielska", nie poruszająca w swym statucie ani słowem najważniejszej strony tej pracy zawodowej i jej religijno-moralnych założeń, wygląda naprawdę na anomalję! Kierownictwo Związku popełniło ogromny błąd, pozostawiając całą tę stronę zagadnienia zbiegowi wypadków. Co więcej, czas pokazał, że takie ujęcie sprawy było nieszczęściem i dla samego Związku, zaszkodziło mu bowiem zarówno nazewnątrz, doprowadzając go do konfliktu z wielką częścią katolickiego społeczeństwa, jak i wewnątrz, wywołując w szeregach jego tarcia, których doniosłości nie można jeszcze narazie dostatecznie ocenić.

Te ostatnie niepowodzenia, bo o nie chodzi nam głównie obecnie, nie wystąpiły na jaw odrazu. Blisko przez ćwierć wieku wszystko szło napozór pomyślnie. Związek zdołał objąć prawie $^2/_3$ ogółu nauczycielstwa szkół powszechnych, a dzięki tej liczbie i sprawnej organizacji potrafił zdobyć znaczne wpływy i stać się najbardziej materjalnie zasobną instytucją. Ale równocześnie ze wzmożoną ekspansją zewnętrzną, w ostatnich zwłaszcza latach, zaczął się w jego wnętrzu dokonywać proces odwrotny i niewzruszone, zdawało się, mury jego gmachu poczęły rysować się coraz silniej.

Przyczyny tego zjawiska nie były trudne do odgadnięcia. Szeroko rozpięte ramy statutu pozwalały bowiem gromadzić się

w obrębie organizacji ludziom różnej wartości osobistej i wszelkich przekonań religijnych, społecznych i politycznych, od prawicy do najskrajniejszej lewicy. Związek mógł wprawdzie przebierać między nimi, a w każdym razie mógł oddziaływać na nich wychowawczo i poprowadzić w dobrym duchu — lecz nie chciał i nie robił tego. O religijno-moralnej stronie samego nauczycielstwa i jego pracy nad młodzieżą milczano naogół zawzięcie, w organach związkowych unikano tych tematów i przychylnego ich traktowania, owszem raczej pozwalano na swobodę w kierunku przeciwnym — pomimo tego, że Związek składał się naogół z katolików i pracował głównie nad młodzieżą katolicką.

Dopuszczaliśmy dawniej i dzisiaj tego nie cofamy, że ta postawa Związku nie pochodziła z zdecydowanej chęci walki z religją i Kościołem. Była ona raczej wypływem zbytniego liberalizmu kierowników organizacji oraz składu członków tejże. Skład ten był od początku bardzo niejednolity, a przytem uległ jeszcze znacznemu pogorszeniu, kiedy pewna część nauczycielstwa, widząc zapoznanie przez Związek najważniejszych założeń ideowych, jakie powinny znamionować organizację nauczycielską, odwróciła się od niego i zawiązała nowa organizację zawodową o jasnym i skrystalizowanym programie — Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych. Nowa ta instytucja pociągnęła do siebie znaczną liczbę nauczycielstwa, co nie mogło naturalnie nie odbić się ujemnie na doborze członków Związku N. P. Pozostało w nim wprawdzie niemało ludzi wartościowych, ale obok nich nagromadził się liczny żywioł innych mniej pewnych, o przekonaniach niejednokrotnie mętnych lub wprost radykalnych, a ci wycisnęli na Związku owo charakterystyczne piętno, które w szerokich sferach społeczeństwa zjednało mu nazwę organizacji „lewicowej". Nazwa ta nie odpowiadała zasadniczo prawdzie, gdyż Związek w statucie swym nie stawiał sobie żadnych tego rodzaju celów, środków i metod — świadczyła jednak, że w składzie i w działalności jego nie brakło momentów, noszących dość wyraźny charakter lewicowy.

Momenty te były różne: opozycja do Stowarzyszenia Chrz.-Nar. Nauczycielstwa S. P.; fakt, że do steru Związku dostawały się osoby z P. P. S. i z Wyzwolenia; zamieszczanie komunikatów w prasie lewicowej; nierzadkie, na zjazdach i w prasie związkowej, głosy członków albo i kół Związku przeciw praktykom religijnym i nauczaniu religji w szkole; częste posługiwanie się w *Głosie Nauczycielskim* stylem i frazesami, używanemi tylko w obozach radykalnych i o ustalonem tamże znaczeniu. Dużo zaszkodziły także Związkowi zamieszczane w jego organach skargi na duchowieństwo; nie dlatego, że je wytaczano, bo każdy rozumie, że pomiędzy księdzem a nauczycielem może zajść jakieś nieporozumienie, zawinione raz przez jedną drugi raz przez drugą stronę — ale dlatego, że sposób przedstawienia wzorował

się na pismach wrogich Kościołowi, że sprawy nieraz uogólniano i z lokalnego zajścia robiono jakąś walkę „duchowieństwa przeciw nauczycielstwu". Najbardziej wreszcie podkopała opinję Związku jego, do ostatnich czasów przeciągająca się, walka z głośnym „Okólnikiem Bartla" o praktykach religijnych w szkole. Żadna bowiem racja z pośród przytaczanych nie mogła usprawiedliwić zaciekłego zwalczania rozporządzenia, które idzie po myśli wszystkich rodziców katolickich i które zostało z najwyższem uznaniem przyjęte przez całe społeczeństwo katolickie.

Wszystkie powyższe objawy świadczyły więc co najmniej, że w Związku N. P. panuje duch nienajlepszy, że organizacja znalazła się pod przemożnym wpływem radykalnie nastrojonych członków, wobec których kierownicy jej okazywali stale zbyt wielką ustępliwość, jeśli nie nawet sympatję. Nic dziwnego, że taki stan rzeczy podważał wśród uświadomionego społeczeństwa katolickiego zaufanie do Związku, a równocześnie jednał temuż sympatję u stronnictw radykalnych, które zaczęły go stopniowo uważać za swą domenę. Nasi socjaliści wyrażali się przecież stale z uznaniem o „postępowej, niezależnej" ideologii nauczycieli-związkowców, podnosili, że u nich zebrało się „wszystko co najlepsze" z pośród nauczycielstwa, chwalili ich „antyklerykalizm"; i musieli się widocznie czuć tu bardzo dobrze, skoro pos. Czapiński odważył się przy powitaniu jubileuszowego Zjazdu delegatów Związku w r. 1930 wystąpić z tak nietaktownem przemówieniem, że mu je aż przerwano.

I oto los zrządził, że właśnie z tej strony, która najsilniej manifestowała swą przychylność dla Związku i jego kierownictwa, nastąpił teraz najgwałtowniejszy atak.

Bezpośrednie przyczyny konfliktu — rozwijającego się już od dwóch lat, a który doszedł do najwyższego napięcia w ostatnich paru miesiącach przed tegorocznym zjazdem lipcowym — były natury politycznej. W okresie rządów pomajowych główne osobistości kierownicze Związku przeszły do obozu B. B. W. R. i pozostają w nim do dziś dnia. Zrazu fakt ten nie znalazł silniejszego oddźwięku, lecz pod wpływem rosnącego antagonizmu do Rządu zaczęli niektórzy z należących do nich związkowców ustosunkowywać się coraz nieprzychylniej do „sanacyjnego" Gł. Zarządu, a to ich stanowisko spotkało się naturalnie z żywem poparciem politycznych stronnictw opozycji, zwłaszcza P. P. S.

Na łamach tych samych dzienników, które przez tyle lat wiernie służyły związkowi, rozpoczęła się teraz kampanja — nie przeciw niemu, lecz przeciw sferom kierowniczym i innym wpływowym członkom, związanym z obecnym Rządem. Cele jej były przejrzyste; chodziło o to, kto ma rządzić organizacją: lewica czy sanacja?[1]) W odezwach i artykułach zaczęto wzywać nauczy-

[1]) Piszemy z rozmysłem „lewica", ponieważ ona głównie znajduje się w Związku. Przedstawiciele czy sympatycy stronnictw prawicowych

cielstwo związkowe, żeby przystąpiło do uzdrowienia stosunków w Zarządzie i uniezależniło się „od przeróżnych kacyków". W czerwcu b. r. wobec zbliżającego się dorocznego zjazdu delegatów napięcie doszło do szczytu i *Robotnik* czasem dzień w dzień apelował do nauczycielstwa, żeby nie omieszkało głosować odpowiednio przy „votum ufności" dla dotychczasowego Zarządu, oraz przy wyborze nowego. Obecni „przywódcy Związku N. P. — pisał — zmienili przekonania, przestali być demokratami i usiłują całą organizację przemocą pociągnąć za sobą", wyzyskują autorytet 40-tysięcznej masy nauczycielstwa dla celów „sanacji". Gł. Zarząd Związku działał „sprzecznie z ideologją" tegoż i wbrew interesom nauczycieli: nie przeszkodził sprawie przenoszenia ich „dla dobra szkoły", a „przy pomocy obłudnej taktyki" usypiał czujność nauczycielstwa, kiedy chodziło o sprawy dodatku mieszkaniowego, obniżenia płacy, redukcji nauczycieli; przy jego też pomocy przeszła nowa ustawa o ustroju szkolnictwa, nie odpowiadająca dotychczasowym postulatom związkowców co do szkoły „jednolitej". Jednem słowem obecny Zarząd zniszczył „niezależność szkolnictwa, zawodu nauczycielskiego i demokracji", a niema możności skutecznego przeciwstawienia się mu, gdyż „w opanowanym przez sanację Związku panuje bezwzględna dyktatura, a zarazem teror wobec opozycji".

Z całej tej wielkiej chmury spadł — jak dotąd — mały deszcz. Na Zjeździe Delegatów, jaki się odbył w pierwszych dniach lipca b. r. w Warszawie, opozycja zaznaczyła wprawdzie swe stanowisko, zarówno w głosowaniu jak w dyskusji nad sprawozdaniem Gł. Zarządu; żądała uchylenia krępującego regulaminu obrad, zarzucała przywódcom Związku rozpolitykowanie, „zaprzedanie nauczycielstwa sanacji", współdziałanie w przenoszeniach politycznych, złą gospodarkę finansową i wkońcu zgłosiła wniosek nieufności dla prezydjum organizacji. Lecz głos garstki 32 opozycjonistów ginął wobec pozostałych, którzy uchwalili votum zaufania dla Gł. Zarządu, a przy głosowaniu na listę nowych władz Związku wybrali ponownie najbardziej atakowanych przez opozycję dotychczasowych członków: sen. St. Nowaka i pp. J. Smulikowskiego i Z. Nowickiego.

Zjazd więc, można powiedzieć, udał się. Dotychczasowi kierownicy organizacji odnieśli pełne zwycięstwo. A jednak...

A jednak pokazało się, że w łonie samego Związku zaczyna już od pewnego czasu tworzyć się poważny ferment. Gł. Zarząd bezwątpienia wie o tem. Nie jest mu chyba tajnem, że gdyby nie nacisk zgóry i obawa zdołu, zarówno wybory delegatów jak sam zjazd wyglądałby inaczej. Wiadomo mu również — jak wie,

---

pozostają w Stowarzyszeniu Chrześc.-Nar. Nauczycielstwa S. P., które stara się rzeczywiście zachować apolityczność, zajmuje wobec Rządu stanowisko rzeczowe i wychowanie „państwowe" wciela do swego programu.

że od kilku lat musi walczyć z wciskającym się do różnych ośrodków Związku komunizmem — że opozycjonistów, ukrytych narazie, musi wśród nauczycielstwa związkowego być sporo i że ta opozycja skierowana jest dziś przeciw niemu przedewszystkiem, Gł. Zarządowi. Oczywiście w obecnych warunkach zwycięstwo jego jest zapewnione; lecz jak długo tak będzie? I czy zawsze uda się przełamać opór groźbą przeniesienia lub redukcji?

A z tem łączy się drugie, stokroć ważniejsze, bo obchodzące całe katolickie społeczeństwo, pytanie: co będzie później i co z tego wszystkiego wyniknie? Jaki kierunek weźmie górę w Związku, jaki duch w nim będzie panował? Bo choćby nawet ogół naszego nauczycielstwa, które w ciężkich dzisiejszych czasach składa tyle dowodów poświęcenia i poczucia odpowiedzialności oddania się sprawie wychowania młodego pokolenia, zdołał się oprzeć radykalnym prądom, to jednak fakt, że uległa im pewna (jaka?) jego część, jest już niepowetowaną szkodą.

Toteż społeczeństwo katolickie czuje się poważnie zaniepokojone całym dotychczasowym rozwojem wypadków w Związku, bo nie może mu być obojętnem, w czyje ręce powierzać będzie swoje dzieci. Zdając sobie zaś sprawę, że obecny stan rzeczy jest przedewszystkiem wynikiem niedomagań, tkwiących w samej organizacji Związku N. P., pragnie ich usunięcia i zwraca się do Kierowników Związku, ażeby zajęli się przeprowadzeniem tej reformy. Żadne zaręczenia mu nie wystarczą, nie dlatego, jakoby chciało kwestjonować dobrą wolę Gł. Zarządu, lecz ponieważ spokojnem się będzie mogło czuć dopiero wtenczas, kiedy zniknie główna przyczyna wszystkich braków dotychczasowych i możliwych nieszczęść na przyszłość — zaniedbanie ideowej strony w samej organizacji Związku, pominięcie w jego statucie religijno-moralnych postulatów, zarówno co do samych członków, jak ich pracy naukowo-wychowawczej. Dopiero gdy te życzenia zostaną spełnione, powróci zaufanie, niezbędne przecież do współpracy domu i szkoły, społeczeństwa i nauczycielstwa.

Gł. Zarząd zwyciężył i przy pomocy dobrze myślącego nauczycielstwa posiada dziś możność przeprowadzenia tych życzeń. Oby zechciał z niej skorzystać, zanim przyjdą cięższe wstrząsy!

Ks. St. Podoleński T. J.

Nowe przyczynki do historji dramatu jezuickiego w Polsce.

Znany badacz teatru staropolskiego Hahn zauważył w r. 1918, że dramat jezuicki, jako osobna gałąź dramatu szkolnego, sięga ósmego dziesiątka w. XVI, a jego typ opracowany w Rzymie obowiązywał wszystkie kraje. Tego typu nie przestrzegano jednak, choć autorami sztuk byli członkowie zakonu. Niestety dziejów

jezuickiego teatru nie mamy. Znawcy zbadali tylko kilka rękopisów, co jest dla ogólnej charakterystyki niewystarczającem.

A przecież już Hahn zauważył, że są tam rzeczy zasługujące na uwzględnienie i że, poza dramatami, grano intermedja, dialogi alegoryczne, komedje. Również świetny znawca teatru Windakiewicz, obejmując i teatr jezuicki, zaznaczył, że należałoby opracować dzieje teatrów jezuickich polskich, choć jest śmieszną rzeczą mówić o sztuce w teatrze jezuickim. Służył on głównie nauce łaciny, a poetyki jezuickie istotę twórczości dramatycznej właściwie pomijały. W produkcji panowała przeciętność, we wszystkich kolegjach świata był ten sam typ dramatu.

Coprawda już Windakiewicz napomknął, że w każdym kraju ten typ nieco inaczej się przedstawiał, co zawdzięcza zapewne Riezanowowi, który badał wpływ teatru jezuickiego na Rusi. Charakterystykę teatru jezuickiego podał na tle dwóch rękopisów z XVI i XVII w., które uzupełnił jeszcze jednym z XVIII w. Ale już dzieło Stendera Petersena o Bohomolcu wskazało, że komedjopisarz jezuicki nie zawdzięcza wszystkiego, jak wynikało z dawniejszych badań, Molierowi, bo czerpie i z komedjopisarzy antyku. A więc ma literackie tendencje, których pisarzom jezuickim zaprzeczano.

Nie było tedy słusznem, co mówił Gołąbek w r. 1922, że Bohomolec wyrobił sobie smak estetyczny w szkole moljerowskiego dowcipu. Mówił Gołąbek tylko o komedjach konwiktowych, choć jego opinję można było stosować i do komedji przeznaczonych do teatru królewskiego. Rewelacje Petersena podkopały przecież opinję o wyłączności molieryzmu Bohomolca. Pozwalały też mniemać, że teatr jezuicki rozwijał się na podstawie antyku, co wiązało go bliżej z humanizmem i jego antycznemi wzorami.

Obecnie Petersen występuje z nowemi rewelacjami, bo też teatr jezuicki studjuje z zapałem i zmusza nawet Windakiewicza do pewnej zmiany poglądu. Odkrył mianowicie obecny docent uniwersytetu duńskiego w Aarhus kodeks, który prześlepiła polska ekspedycja szwedzka, gdy badała zbiory w Upsali: znalazł ośm tragedyj jezuickich nie bez artystycznej wartości, by zająć się niemi szczegółowo i wykazać, że wzorem dla pomawianych dotąd o brak literackości autorów zakonnych był Seneka.

A skoro tak jest, mylili się dotychczasowi badacze, gdy mówili, że jest śmieszną rzeczą mówić o sztuce w teatrze jezuickim. Zakon, który wydał Skargę, nie mógł być ślepym na wartość sztuki. I oto okazało się, że znany powszechnie słownikarz Jezuita Grzegorz Knopski celował stylem,[1]) dramatyzując różne motywy dla studentów kolegjum poznańskiego. Nie pomijano i satyry na stosunki wyznaniowe, a nawet — rzecz nieoczekiwana — wy-

[1]) *Tragoediae Sacrae.* Materialien und Beiträge zur Geschichte der polnisch-lateinischen Jesuitendramatik der Frühzeit. Tortu (Dorpat) 1931.

mierzono satyrę przeciw polskiemu szlachcicowi, co srodze znęcał się nad chłopami.

Kto jest autorem tej satyrycznej sztuki, nie wiadomo. Był nim oczywiście jakiś autor jezuicki, który szedł za tradycjami Skargi, o ile idzie o sympatje chłopskie, a wyprzedzał takież sympatje u uczonego jezuickiego polityka Olizarowskiego. Nie schlebiał zatem zakon tendencjom szlachty, jak się to mówiło i pisało zawsze, póki badania nie poddały tej sprawy rewizji. Badacz duński, analizując szczegółowo sztuki Knopskiego, wykazał zaś, że kodeks upsalski, który należał do poznańskich Jezuitów, okazuje wpływ Seneki co do formy a także idei, wiąże się w ten sposób z barokiem, który styl Seneki lubił i stosował,

Bohater bezimiennej sztuki o złym panu p. t. *Antithemnis sive mors peccatoris* może z r. 1624 jest szarpany, jak dziedzic mickiewiczowski z *Dziadów* przez szatanów, bo jak mówi akt piąty,

> Pastwią się czarci srogo po śmierci na ciele,
> Którem żywy obrażał Boga nader śmiele.

Mistyczna akcja kojarzy się tu z realistycznie odtworzonem środowiskiem, linja demonologiczna z dążnością społeczną. Grzech, który tu potępiono, był typowym grzechem szlachty. Znajdą się tu wreszcie motywy późniejsze Zabłockiego i Fredry, bo nie brak i sporu granicznego.

Trzeci akt jest wprost opisem wiejskiego środowiska, gdzie występują poddani, zawodząc lament nad swym losem i pytają, skąd panowie mają prawo niszczyć lud. W lamencie, który ogłoszono potem drukiem w r. 1648, a krytyka nie przypisywała dotąd wcale autorowi jezuickiemu, zjawiają się narzekający Gaweł, Kopera, Nawłok, Marchewka, Kurpot, Łaguza, Dźwigoń, Strączek, Badura, Mikuła, Dyrda. Mikuła głosi, że

> Tak też to właśnie, ma miła gromado,
> Pan jest jako wilk, my jak owcze stado.
> Niech kmiecie co chcą pana sobie ganią!
> Myśmy wróblami, a pan przecię kanią.

Co prawda Dyrda uderza już w ton rezygnacyjny.

Przed badaczami polskimi otwiera się nowe pole dochodzeń. Trzeba zbadać inne rękopisy, by dojść do źródeł sztuk i określić ich wartość. A wtedy niewątpliwie teatr jezuicki pokaże się w innem niż dotąd świetle. Miał on zapewne okres swej świetności i upadku, choć przykład Bohomolca nie dowodzi wcale, by ten upadek zaistniał w czasie, gdy sam zakon zbliżał się do kasacji. Rola tego teatru jest zaś niezaprzeczenie dużą a jego rehabilitacja konieczną. *T. Gr.*

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono dnia 27 sierpnia 1932.

Spis rzeczy tomu 195.

Artykuły.

Str.

S. Pigoń: Wieszczby Mickiewicza 3
Dr. W. Tomkiewicz: Rzeczpospolita Polska i Wielkie Księstwo Moskiewskie a problem czarnomorski 35
Dr. M. J. Ziomek: Europa kręci sznur 57
S. Szczutowski: Dysputa o Sakramencie 85
Z. Okniński: Stefan Duszan, car Serbów i Greków (Dokończenie) 96
Ks. St. Podoleński: Drugi powszechny spis ludności w Polsce 119
J. Bandrowski: Sylwetki słowiańskie w współczesnej powieści amerykańskiej 133, 286
Dr. M. Gumowski: Najnowsze odkrycia w Gnieźnie . . . 151
S. A. Kobyłecki: Logika a logika tradycyjna i logika matematyczna 209
L. Kurdybacha: Ks. Albertrandy jako pedagog 227
T. Grabowski: Ramon Fernandez jako przedstawiciel nowej krytyki literackiej we Francji 253
A. Zahorska: Sygryda Undset na tle literatury Norwegji . 262
L. Łakomy: Udział duchowieństwa katolickiego w rozwoju nauk matematyczno-przyrodniczych w Polsce 299
M. Łubieńska: Stan badań nad architekturą w Polsce w epoce rokokowej 311

Przegląd piśmiennictwa.

Naokoło projektu prawa małżeńskiego. Ludwik Domański: O małżeństwie. — Rozbiór krytyczny Projektu prawa małżeńskiego uchwalonego przez K. K. — Praca zbiorowa pod red. Ks. Dr. Jana Wiślickiego. — Ankieta „Prądu". — Ks. Stef. Biskupski: O nowe prawo małżeńskie w Polsce. — Stan. Gołąb: Polskie prawo małżeńskie w kodyfikacji. (Ks. J. Urban) 163
Tad. Sinko: Literatura grecka, t. I, cz. 1. (Dr. S. Skimina) 173
Carl Rahn: Nauka i życie religijne. Z ang. tłum. Władysław Okniński (Ks. Dr. J. Pastuszka) 176
Rocznik Krakowski t. XXIII. (M. N.) 179
Kraków w XIX wieku. „Bibljoteka Krakowska" n. 72 i 76. (M. N.) 180
Gustaw Morcinek: Wyrąbany chodnik. (Z. Starowieyska-Morstinowa) 183

Str.

Johannes Mumbauer: Die deutsche Dichtung der neuesten Zeit (Dr. Z. Ciechanowska) 186
Ks. Dr. Z. Wasilkowski: Nauka Badaczów Pisma św. o przyjściu Chrystusa P. na sąd w oświetleniu katolickiem (Ks. J. Urban) 188
Pamiętnik II Konferencji kapłańskiej w sprawie Unji kościelnej w Pińsku (Ks. J. Urban) 189
Joannes Michael Hansens S. J.; Institutiones Liturgicae de Ritibus orientalibus (Ks. J. Urban) 189
Polska Bibljografja Biblijna. (Ks. J. U.) 190
Wybór pism kaznodziejskich Bossueta. Przetłum. prof. M. M. Paciorkiewicz. — Ks. Józef Kłos: Dwie ofiary. — Ks. Gracjan Tretkowski: Krótkie homilje na niedziele całego roku. — O. Konst. M. Żukiewicz Z. K.: Salve Regina. — Ks. Dr. Kaz. Kowalski: Dwa kazania eucharystyczne. (Ks. J. Godaczewski) 190
Msgr. Dr. Tihamér Tóth: Christus und die Probleme unserer Zeit (Ks. J. G.) 192
Franc. Magryś: Żywot chłopa - działacza. Oprac. Dr. Stefan Inglos, z przedm. Dr. Fran. Bujaka (K. Z. Koniński) 322
Ks. Fran. Bączkowicz C. M.: Prawo kanoniczne, T. I, wyd. 2, przejrzał i poprawił ks. Józef Baron C. M. (Ks. Jan Roth) 325
J. Lortz: Kardinal Stanislaus Hosius. — Umiński J. Ks. Dr.: Opinje o cnotach, świątobliwości i zasługach Stanisława Hozjusza (Ks. St. Bednarski) 328
Ioseph Donat: Über Psychoanalyse und Individualpsychologie (Ks. St. Podoleński) 329
Lexikon der Pädagogik der Gegenwart (Ks. St. Bednarski) 331
Artur Vermeersch T. J.: Katechizm małżeństwa chrześcijańskiego według Encykliki *Casti Connubii*. Przeł. Ks. J. Korzonkiewicz (Ks. St. Bednarski) 331
S. Barbara Żulińska C. R.: O wychowaniu religijnem dzieci w wieku przedszkolnym (P.) 332
Kardynał Bourne: O wychowaniu duchowem. (B.) 332
O. Samuel Fabbro: Róża wśród cierni. Dzieje życia ś. p. Zofji Róży B. bpr. ks. F. de Ville (P.) 333
Józef Birkenmayer: Wycieczka. Poezje. (Ks. T. Karyłowski) 333
Nadesłane 193, 334

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:
Lipiec-sierpień: Kilka szczegółów z prześladowania w Meksyku. — „Piatiletka bezbożnictwa" w Rosji (Ks. J. Urban). 196
Wrzesień: Jubileusz jasnogórski. — Niekatolickie artykuły nowego Kodeksu karnego. — Kongres unijny w Welehradzie. — Jubileusz OO. Bazyljanów. — Unicka Akademja teologiczna we Lwowie (Ks. J. Urban) 336
Archiwa kościelne w Polsce (M. Niwiński) 200
Starożytność i chrześcijaństwo (Dr. A. H.) 206
Fermenty w Związku Nauczycielstwa Polskiego (Ks. St. Podoleński T. J.) 343
Nowe przyczynki do historji dramatu jezuickiego w Polsce (T. Gr.) 348